

JENS HENRIK JENSEN

Fenomen
wydawniczy
z Danii
nareszcie
w Polsce!

Czy były komandos
zatrzyma spiralę zbrodni?

Zanim zawisły psy

W tajemniczych okolicznościach
ginie wpływowi polityk...

Jens Henrik Jensen

Zanim zawisną psy

Rozdział 1.

Zwierzę wyglądało, jakby wyciągnęło szyję, rozpaczliwie próbując jeszcze ten jeden, ostatni raz powąchać, jak pachnie życie. Na próżno. Nie udało mu się zbliżyć sznupy do delikatnych płatków kwiatu migdałowca nad jego głową.

W nieśmiałym jeszcze świetle wschodzącego słońca widać było rozczarowanie w jego matowych oczach. Walkę o życie przegrał już dawno temu. Minęło wiele godzin od chwili, gdy swoim ciężarem zacisnął pętlę wokół własnej szyi.

Ostry, lutowy wiatr znad jeziora Embalse del Guadalhorce-Guadalteba poruszał bezwładnym ciałem psa, kołysząc nim łagodnie na boki. Chmura oderwanych od gałęzi kwiatków wirowała w powietrzu, jakby z nieba sypnęło płatkami śniegu delikatnie muśniętych różem.

Jeden płatek spoczął na języku psa jak spóźniony pocałunek łaski.

Światło powoli przedzierało się przez rozkołysaną kwiecistą zasłonę i brązowy kształt nabierał wyrazistości. Duży pies. Rottweiler. Samiec.

Trochę wyżej na zboczu, za zagajnikiem drzew migdałowych i kępą wysokich sosen stało gospodarstwo. Wszystkie zabudowania były białe. Napis na tabliczce przy furtce z kutego żelaza głosił: Finca Frederiksen.

Miejscowi — których kilku wciąż jeszcze tu żyło pomimo inwazji bogaczy z zagranicy — znali majątek z baśniowym widokiem pod dawną nazwą Finca Fernandez. Nowa nazwa, Frederiksen, pochodziła pewnie ze szwedzkiego albo z norweskiego, albo może niemieckiego czy duńskiego. Nowi

mieszkańcy, którzy wprowadzili się do rezydencji nad jeziorem jakieś cztery, pięć lat temu, pochodzili w każdym razie z jakiegoś kraju na północy kontynentu. To zresztą nieważne, skąd przyjechali. Zmieniając nazwę, okazali brak poszanowania dla miejscowej tradycji i nikt nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Przyjezdnych i bogatych jedynie tolerowano. Żyli sobie schowani za wysokimi ogrodzeniami i właściwie nie uczestniczyli w życiu lokalnej społeczności.

Tuż po północy właściciel finki Hannibal Frederiksen wyszedł przed dom i zawołał swojego psa. Zwierzę nie przybiegało. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by Señor nie wrócił do domu po codziennej późnej rundce. Hannibal poważnie się zaniepokoił.

Całą noc źle spał. Rano, o siódmej, wstał, ubrał się po cichu, starając się nie zbudzić żony, i raz jeszcze wyszedł, by przywoływać i szukać swojego psa.

Kiedy pół godziny później dotarł do ostatniego rzędu drzew w migdałowym zagajniku, zrozumiał, dlaczego Señor nie wrócił.

Długo nie był w stanie się poruszyć.

Rozdział 2.

Odruchowo omiatał otoczenie spojrzeniem niczym radar i wyglądał przez to jak pospolity złodziejaszek. Nałożył kaptur na czapkę z daszkiem i znowu się rozejrzał. W prawo, w lewo, z tyłu. I od nowa. Ostatecznie pokonanie wysokiego ogrodzenia okazało się banalnie proste, a biały samojed posłusznie wykonał komendę — położył się w cieniu pod murem i stał się prawie niewidoczny.

Zeskoczył i wylądował na nogach. Może nie tak sprawnie jak kiedyś, stwierdził, ale mimo wszystko udało mu się utrzymać równowagę. Pewnym krokiem ruszył w kierunku najbliższego kontenera. Na trójkątny, metalowy uchwyt o zaokrąglonych kątach nałożył własny uchwyt domowej roboty. Przekręcił w lewo i otworzył ciężkie wieko.

Za pierwszym razem było to przeżycie bolesne. Dosłownie przekraczał wytyczoną przez kogoś granicę i wdzierał się na nieznane terytorium. Mentalnie zaś odczuł to jak ostateczne upodlenie i na kilka sekund stracił zdolność do jakiegokolwiek działania. Upokorzenie wgryzało się w jego ciało jak pasożyt. I pozostało w nim, siejąc spustoszenie jeszcze przez kilka tygodni.

Później to uczucie zniknęło i pozostał tylko jeden twardy fakt: jesteś głodny, więc musisz coś zjeść.

Przeczołgał się na drugą, wstydliwą stronę społeczeństwa dobrobytu, a tam przesyt objawił mu się niczym skrzynia pełna lśniącego złota. W pierwszym kontenerze były warzywa.

Włączył latarkę i zaczął poszukiwania. Zawsze, kiedy to robił, przed oczami stawały mu sceny z zakupów w sobotnie

przedpołudnie, gdy w sklepie tłoczyły się całe rodziny z hałasującymi dziećmi. Teraz robił to samo, tylko bez koszyka na zakupy i dziecka w spacerowym wózku. Obecnie zaopatrywał się pod wpływem impulsu.

Ogórek? A czemu nie. Pomidory? Bo ja wiem... To może sałata? Wspaniale. Cebula? Okej. I oczywiście ziemniaki.

Wszystko trafiało wprost do pojemnego plecaka. Na koniec pudełko pieczarek, przeterminowanych o trzy dni.

Wyczołgał się na zewnątrz, otworzył następny kontener i wskoczył do środka. Produkty mięsne do utylizacji. W szczelnie zamkniętym mięsie leżącym w ciemności mogły się pojawić drobnoustroje, ale to go nie zrażało. Wiedział, że wystarczy zachować szczególną ostrożność podczas przyrządzania mięsa. W świetle latarki uważnie przyglądał się kolejnym porcjom, obracając je z każdej strony i orzekając kciukiem w górę albo do dołu. No dobrze, zatem wygląda na to, że jutro będą mielone. Z podsmażoną cebulką, dodał po zastanowieniu.

Z radością kradł i zjadał rzeczy, których jego rodacy za żadne skarby nie wzięliby do ust. Wszystko, co przeterminowało się o dzień, dwa albo trzy dni, między innymi dlatego, że Duńczycy mieli w zwyczaju sięgać w głąb sklepowych półek i wybierać towary najświeższe zamiast tych z samego przodu, o krótszym okresie ważności. W ten boleśnie prosty sposób każdy przyczynia się do marnotrawienia całej masy pełnowartościowej żywności. I dlatego to, co właśnie robi, wcale nie jest przestępstwem.

Wsunął do plecaka pół kilograma farszu. Został zawodowym freeganinem.

Tak to nazywają młodzi. Na ten pomysł wpadł po tym, jak podsłuchał rozmowę dwóch małych dzieci na przystanku. Najpierw znalazł stronę internetową, a potem grupę na Facebooku, gdzie młodzi ludzie dzielili się radami i polecali

sobie najlepsze miejsca do nurkowania. Dlatego znalazł się właśnie tutaj — na tyłach dyskontu spożywczego w północno-zachodniej części Kopenhagi.

Dla niego to była konieczność. Ostatnie pieniądze z konta wydał dawno, dawno temu. Od kilku miesięcy na czynsz zarabiał, zbierając butelki i pomagając skurwielowi, od którego wynajmował mieszkanie, w drobnych naprawach podupadającego domu.

Zawsze było tak samo. Co wieczór, gdy robiło się ciemno, wyruszał na niekończące się poszukiwania znanymi już szlakami. Tego dnia, który właśnie się kończył, na butelkach zarobił prawie sto koron. Zaczął od miejsc, gdzie uwielbiają przesiadywać pijaczki w Utterslev, stamtąd skierował się w stronę cmentarza w Bispebjergu, dalej ruszył w dół do Fælledparken i Sortedams Sø i z powrotem w górę, do Nordhavn. Znał w tym mieście każdą pijacką miejscówkę. Od parkowych ławek po podziemne parkingi i wiaty przystanków. Pod osłoną nocy, butelka do butelki, korona do korony.

Wyskoczył z kontenera i już miał się włamać do trzeciego w szeregu, żeby zaopatrzyć się w jajka i może jakiś ser, kiedy ktoś krzyknął:

— A ty co tu, kurwa, robisz? — Zza pierwszego kontenera wyłoniły się dwie postacie. Jedna niska i szeroka, druga wysoka i chuda. Nie słyszał ich, jak przechodzili przez ogrodzenie.

— Halo! Do ciebie mówię, głuchy jesteś? A może głupi? To nasz teren. Zjeżdżaj stąd albo dostaniesz wpierdol, zasrany menelu.

Ten szeroki przybrał groźną pozę z uniesionymi pięściami.

Kiedy wyskakiwał z kontenera, kaptur musiał mu się zsunąć z czapki, bo szeroki dodał udawanie słodkim głosem:

— Jeee, patrzcie go, ma kucyka! Przecież to dziewczynka z kucykiem. Zawsze marzyłem, żeby wyruchać taką z kucykami metalowym drągiem.

Przez chwilę stał niezdecydowany. Podniesione, piskliwe głosy przekrzykiwały się w jego głowie, jednocześnie czuł, jak napinają mu się mięśnie w całym ciele.

— No chodź, kucyku — szczebiotał szeroki.

— Zostaw go — chudy mruknął cicho do kolegi, a potem podkreślił głośność: — Halo, słyszałeś? My tu rządzymy, więc ostatni raz ci radzę, żebyś spierdalał, skurwysynie.

Decyzja zapadła. Nałożył kaptur, plecak przewiesił przez ramię i skulił się potulnie.

— Jasne, sorry... Już mnie nie ma.

Szeroki nie odpuszczał.

— Czy mnie uszy nie mylą? Powiedziałeś „przepraszam”, kucyku?

— Przepraszam. Wybaczcie mi.

Jak zląkniony kundel, szerokim łukiem wyminął dwie groźne postacie, złapał się ogrodzenia, wspiął i zeskoczył na drugą stronę.

Pojedynczym gwizdnięciem obudził psa i zniknęli razem w ciemności.

Pochwalił się w myślach, idąc spokojnie chodnikiem do domu z psem przy nodze. Samo to, że potrafił podjąć decyzję na podstawie jakiejś namiastki rozważnej analizy, było wielkim sukcesem.

— No i co powiesz, Whitey? Czy to nie było dobre? A trzeba przyznać, że byli wyjątkowo zaczepni. Musiałbyś ich słyszeć. Dwaj gówniarze.

Pies go wysłuchał i pokiwał głową.

Frontowe drzwi do mieszkania w sutenerze były pogrążone w mroku i zabite deskami. Tak było, odkąd się wprowadził do tego zacnego lokum całą wieczność temu.

Przemknął przez bramę i wszedł tylnymi schodami.

Drzwi szurały po cementowej podłodze i trzeba było mocno pociągnąć, żeby je otworzyć. W przedpokoju rzucił okiem na stale rosnący stos reklam i gazet.

Dawno temu, w innym życiu i w innym przedpokoju, sortował korespondencję. Ba, z początku nawet ją otwierał.

Nie bardzo pamiętał, kiedy przestał otwierać listy, które do niego przychodziły. Nie zauważył, by cokolwiek się w związku z tym zmieniło. Nigdy nie czekał na żaden list, a odkąd tu mieszka, nigdy żadnego nie dostał. Z jednego prostego powodu — nie poinformował reszty społeczeństwa, że się przeprowadził.

— Do środka, Whitey.

Pies posłusznie wszedł do mieszkania, przeszedł przez otwarte drzwi, wskoczył na kanapę i położył się, ciężko wzdychając.

On z kolei w mikroskopijnym aneksie kuchennym wypakował jedzenie. Po drodze do pokoju zrzucił z siebie kurtkę, a potem bluzę. Buty kopnął w kąt i opadł na kanapę obok Mr. White'a, bo tak brzmiało pełne imię jego towarzysza. Kiedy zwracając się do psa, używał niepozornego słówka „mister”, jego prośba albo cała ich rozmowa stawała się po staroświecku uprzejma i pełna wzajemnego szacunku. Whitey miało oddziaływanie dokładnie odwrotne — nadawało rozmowie charakter nieformalny, choć mógł również używać prozaicznego White.

To był owocny wieczór. Dwaj nabuzowani kretyni, którzy nie pozwolili mu zaopatrzyć się w jajka i ser, tylko częściowo go zepsuli.

Włączył telewizor i przez chwilę skakał po kanałach, aż na Animal Planet trafił na film, w którym stado sępów pastwiło się nad jakąś padliną gdzieś w Serengeti.

Zaraz się podniesie i pójdzie zrobić im obu kanapkę z pasztetem.

Jeszcze przez kilka minut obserwował rozgrywający się w Afryce dramat, aż się zamyślił i jego wzrok powędrował na swoje stałe miejsce na brudnobiałej ścianie, do której dwiema pinezkami przyczepił wycinek z gazety. Tytuł artykułu i wstęp znał na pamięć.

Wycinek wisiał tu od bardzo, bardzo dawna, ale on wciąż się zastanawiał. Czy to może być rozwiązanie?

Czy to przyniesie mu śmierć, czy wyzwolenie? A może litościwie uda mu się wylądować gdzieś pomiędzy?

Rozdział 3.

Ciężka, żelazna brama do Finki Frederiksen automatycznie się odsunęła, kiedy Hannibal Frederiksen wcisnął guzik pilota. Skręcił w lewo i znacznie przyspieszył na drodze wiodącej w dół zbocza.

W normalnych okolicznościach sprawiłoby mu to przyjemność, lubił jeździć samochodem. Potężny silnik antracytowego mercedesa CLS 350 chętnie podjął wyzwanie i automatyczna skrzynia biegów płynnie prowadziła go w dół prostą drogą, zanim zaczęły się zakręty.

Po lewej widział, jak morze kwiatów spływa do jeziora. Pod wpływem impulsu wcisnął hamulec i zatrzymał się na poboczu.

Jeszcze tylko kilka dni można cieszyć oczy widokiem kwitnących drzew migdałowych. Już piąty rok dane mu jest podziwiać to чудо. Ludzie z całego świata jeździli o tej porze roku w różne części Hiszpanii podziwiać niezemską urodę tych drzew. Jego własny migdałowy zagajnik na końcu należącej do niego ziemi przy brzegu Embalse del Guadalhorce-Guadalteba dosłownie zlewał się z połyskującą taflą wody, tego dnia spokojną, jakby była odlana z cyny.

Poczuł, jak ciarki przechodzą mu wzdłuż kręgosłupa.

Kwiatowy dywan skrywał tajemnicę. Minęły dwa tygodnie. Żonie nie powiedział, co znalazł tamtego ranka w głębi zagajnika. Nie była dość silna, by udźwignąć taką prawdę.

Niestety, wcale nie było pewne, czy on sam jest wystarczająco silny. Wszystko, co się stało przed tym... A potem Señor dyndający na wietrze... Od tamtej pory nie

potrafił myśleć o niczym innym. Jeszcze niedawno był taki jak w czasach młodości — rzutki, bystry i nieugięty. A teraz ostatnie wydarzenia tak go przytłaczały, że prawie nie potrafił jasno myśleć.

Ponownie zjechał na jezdnię i samochód, jadąc z górki, szybko nabierał prędkości. To właśnie z powodu tego cholernego strachu i niezdecydowania jechał odebrać z lotniska w Maladze swojego gościa. Mieli na spokojnie zastanowić się nad tym, co ostatnio spędzało mu sen z powiek.

Kiedy dotarł do skalnego nawisu, gwałtownie wyhamował. Ostry zakręt w prawo był pierwszym na drodze, która od tego momentu wiała się serpentyną z ostrymi skrętami do samej doliny na dole. Nie lubił głębokich zakrętów na tym odcinku drogi i zawsze w tym miejscu zwalniał. Wolał długie proste w otwartej przestrzeni. Rany, a może to też oznaka, że się starzeje i staje się ostrożny?

Przez jakiś czas jechał, rozmyślając o swojej młodości, która przeminęła, i akurat w trakcie pierwszego ostrego zakrętu poczuł szarpnięcie. Usłyszał z tyłu huk i odgłos wgniatanego metalu, a uderzenie było tak silne, że pas bezpieczeństwa się zablokował i przycisnął mu pierś do fotela.

Z przerażeniem spojrzał w lusterko wsteczne. Mały, czerwony samochód, kierowca musiał stracić panowanie nad kierownicą i stuknął go od tyłu. Jego ubezpieczyciel powinien to pokryć. Zwolnił, żeby się zatrzymać, i zachował nawet na tyle przytomności, że wcześniej dał znak migaczem. Tu zaraz jest mały, trawiasty placyk, więc będą mogli...

Znowu huk i znów silne szarpnięcie. Co do cholery?

Poczuł teraz, że kolana mu drgają i nie jest w stanie nad nimi zapanować. Że dłonie kurczowo ściskają kierownicę, a samochód zjechał kawałek z jezdni, ale szybko udało mu się

na nią wrócić.

Ten człowiek zrobił to celowo. Czerwony samochód celowo w niego uderzył. Musi go zgubić.

Wbił wzrok w jezdnię przed sobą i odcinek prostej do następnego zakrętu pokonał na pełnym gazie. Serce tak mu waliło, że w całym ciele czuł jego dudnienie. Zerknął w lusterko. Udało mu się oddalić. Ale teraz musiał ostro hamować, bo zakręt był tuż-tuż. Samochód zatoczył się lekko, ale w zakręt wszedł prawidłowo i nie tracąc zbyt prędkości.

Kilka sekund później mały, czerwony samochód znowu siedział mu na ogonie. I znów go staranował — po raz trzeci. Zbocze góry i balustrada mignęły mu przed oczami. Co prawda udało mu się kawałek uciec na kolejnej prostej, ale przez to w następny zakręt wszedł ze zbyt dużą prędkością. Zanim wyhamował ciężkim pojazdem, przednie koła wjechały na pobocze wewnętrzne. W lusterku bocznym mignęło coś czerwonego i po chwili znów rozległ się huk, a pas wcisnął mu się w pierś. Kłykcie miał białe. Dziwne, że zwrócił na to uwagę w takiej sytuacji.

Po chwili czerwony samochód znowu się pojawił. Tym razem uderzył w bok i wielki mercedes zboczył z kursu.

Poczuł w ustach smak krwi. Może przegryzł sobie wargę? Usiłował wyprostować kierownicę dokładnie w momencie następnego uderzenia. Środkowy pas jezdni znikł mu z pola widzenia. Ostro skręcił kierownicą w lewo i zaraz potem odbił w prawo. Nie panował nad samochodem. Wymykał mu się. W lewo. Coraz bliżej zewnętrznej krawędzi jezdni. Coraz bliżej białych barierek.

Samego uderzenia właściwie nie poczuł. Już szybował swoim samochodem. W stanie nieważkości, bez kontaktu z podłożem. Kierownica lekka jak płatek śniegu. Przednią szybę wypełnił błękit nieba. On leciał dalej, a jego ciało

zamarzało na lód.

Kierowca czerwonego samochodu gwałtownie zahamował. Wskoczył jak oparzony i zdążył jeszcze zobaczyć, jak wielki mercedes, niczym szmaciana lalka, opada w głąb doliny. Wóz robił salta, obijał się o skaliste zbocze, a potem przeorał mały lasek, nim zatrzymał się na równinie tuż przed dnem doliny.

Nie było żadnego wybuchu ani płomieni jak na filmach. Kiedy kurz opadł, wrak leżał zupełnie nieruchomo, ciemna, poskręcana, milcząca kupa żelastwa.

Kierowca wrócił do samochodu i czerwony wóz spokojnie wjechał w kolejny głęboki zakręt.

W tym momencie cudzoziemiec z Danii Hannibal Frederiksen od dawna nie żył. Kiedy antracytowy mercedes uderzył w pierwszy skalny uskoki, kark mężczyzny złamał się z gruchotem.

Rozdział 4.

To była jakaś nędzna podróbka wiosny. Czuł się oszukany. Krajobraz, który przewijał się za brudną szybą pociągu, był nadal uderzająco brunatny i nagi.

Siedział wyprostowany, starą wojskową czapkę w kolorze khaki naciągnął na czoło. Mr. White trzymał straż ze swojego miejsca na podłodze między jego nogami. Obaj czuli się jak osaczeni przez tłum pasażerów zdających się emanować niezłomnym optymizmem, jakby wierzyli, że pociąg wiezie ich ku nowym, lepszym czasom.

Ci, którzy w imprezowych nastrojach wsiedli w Hadsten i Langå, wysiedli w Randers. W Hobro wsiedli nowi, a w Arden dosiadła się cała zwarta grupa, gramoląc się do środka ze swoimi czerwonymi flagami i szeleszczącymi siatkami.

Był pierwszy maja, więc niby wiosna. I międzynarodowy dzień walki o prawa ludzi pracy.

— „Wkrótce świt nastanie, już jaśniej na wschodzie, do pracy ruszajmy, ramię w ramię, bracia”. Na zdrowie — i niech to szlag!

Ciekawe, o co walczą. Poza tym, żeby w ogóle *znaleźć* pracę. Czy w Danii w ogóle są jeszcze prawdziwi robotnicy? Czy nie jest tak, że całą harówę przerzucono na barki tanich robotników z Azji?

— „...do pracy, na życie lub śmierć!” — Tyle że kiedy rozejrzał się ukradkiem, okazało się, że w przedziale nie ma zawziętych twarzy i nikt nie wymachuje zaciśniętymi pięściami. Żadnych rycerzy robotniczej krucjaty. Są tylko puszki taniego, ciepłego piwa trzymane między pulchnymi

palcami, okrągłe policzki i tłuste tyłki w dzinsach.

Ciekawe, dokąd jadą. Pewnie do Aalborga...

Mr. White wstał, gdy jakiś pijany facet w średnim wieku nadepnął mu na ogon, ale kiedy się zorientował, co się stało, z powrotem położył się między jego nogami. Możliwe, że pies mimo wszystko czuł się bezpiecznie. Za to on czuł się bardzo niepewnie. Miał wokół siebie za dużo ludzi.

Zerknął na rozkład jazdy, który przykleił mu się do spoczonej dłoni. Na następnej stacji wysiadają. Za chwilę głos w głośniku przyjdzie mu z pomocą. Zapowie następną stację i już będzie wiedział, że za chwilę wysiada. Tam zacznie się przyszłość. Nawet jeśli to nie jest prawdziwa wiosna.

Oparł się wygodniej w fotelu i próbował się poczuć tak, jakby ci wszyscy ludzie nie istnieli. Chciał zamknąć się w sobie, aż stanie się niewidzialny...

Poczuł na grzbiecie dłoni mokry język. Mr. White domagał się uznania. Wierny druh, który we wszystkim mu towarzyszył, nie chcąc w zamian niczego prócz akceptacji.

Był biały, dlatego nazywał się White. Był samcem, dlatego jego pełne imię to Mr. White. Logiczne. I choć we własnym życiu logiki wciąż nie potrafił odnaleźć, mógł ją uczcić w swojej prostej przyjaźni z czworonogiem.

Z zamyślenia wyrwał go brzęk wielu butelek stukających o siebie i ryk czerwonego operatora butelki, który tuż za jego plecami, niczym dzielny muszkieter, huknął: — Zdrowie!!!

W końcu przedział wypełnił niosący wybawienie komunikat:

— Następna stacja to Skørping. Wkrótce zatrzymamy się w Skørping. Peron znajduje się po prawej stronie pociągu.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim pociąg wtoczył się na peron i zatrzymał, a drzwi się otwały. Mr. White

wyskoczył z pociągu i pociągnął swojego pana za sobą. Ten poprawił sobie plecak, pewniej złapał długi, plastikowy futerał i ruszył w stronę ceglatego budynku dworca.

Dopiero kiedy tył pociągu wyraźnie się zmniejszył, a z peronu zniknęli ostatni pasażerowie, pociągnął Mr. White'a na drugą stronę stacji.

Znajdował się tam duży, bladożółty budynek opatrzony tablicą z napisem „Kultur Stationen”. Czyżby oferta kulturalna Skørping była tak bogata, że wypełniała cały budynek? Ale co on właściwie może o tym wiedzieć. Wcześniej tylko parę razy tędy przejeżdżał.

Padać zaczęło, kiedy skręcili w prawo asfaltową drogą, przeszli przez tory i ruszyli w stronę miasta.

Teraz deszcz przybrał na sile. Zatrzymał się, wyjął z plecaka stary sztormiak. Miał go na sobie podczas swoich niezliczonych wypraw po butelki, więc okrycie było mocno znoszone i dziurawe w kilku miejscach. Ruszył dalej i po kilkudziesięciu metrach wszedł na ścieżkę rowerową prowadzącą do małego miasteczka Rebild, oddalonego o jakieś dwa kilometry.

Ulewny deszcz przepędził z jego głowy wszystkie myśli oprócz tej jednej — dotrzeć na miejsce. Podobnie czuł Mr. White. Gdzieś w tyle głowy przeleciała mu myśl o artykule z gazety. Pewnie jeszcze trochę będzie wisiał na ścianie w zawilgoconym pokoju w suterenie, zanim ktoś inny pchnie odporne drzwi i będzie musiał się zmierzyć z faktem, że lokator przepadł bez śladu.

Przy Rentemestervej wszystko zostawił tak, jak było.

To artykuł podsunął mu tę myśl. A Skørping wybrał tylko dlatego, że można tu dojechać pociągiem. Kopenhaga - Skørping, połączenie bezpośrednio, *tour de force*. Do tego dochodziły pozostałe plusey akurat tej okolicy, które dane mu było poznać w przeszłości.

Nikt, absolutnie nikt nie wiedział, że porzucił swój dawny świat. Bo też komu miałyby o tym mówić? Może tylko L.T. Fritsen, któremu kiedyś coś napomknął, jak siedzieli i rozmawiali po pracy w małym warsztacie samochodowym Fritseny na Amager. Wspomniał, że chodzi mu po głowie myśl, by wszystko rzucić... ale to było rok temu. Owszem, przyjaźnili się, ale nie mieli w zwyczaju nagabywać się nawzajem.

Zerknął na niebo. Chmury wisiały ciężkie i granatowe, bez jakiegokolwiek prześwitu. Może tak lać jeszcze długo. Może nawet do jutra.

Do Rebild dotarli szybko. Marszobiegiem. Pośpiesznie minęli duży parking poniżej Rebild Bakker — porośniętego wrzosem miejsca, gdzie mieszkający w Danii Amerykanie co roku spotykali się czwartego lipca, w amerykańskie święto niepodległości.

Teraz było tu zupełnie pusto, ani jednego samochodu i nikogo jak okiem sięgnąć. Doskonale. Mając tablicę z nazwą miasta za plecami, ruszyli w ostatni długi etap swojej podróży. Kierowali się w stronę wielkich lasów — historycznego przyczółku kłusowników, złodziei i wyrzutków społeczeństwa. Trzydzieści lasów, z których każdy nazywał się inaczej, a łącznie tworzyły największy kompleks leśny w Danii, majestatyczny Rold Skov.

Rozdział 5.

Owczarek niemiecki wyszczerzył groźnie zęby na widok ubranej na czarno postaci, która niespodziewanie pojawiła się w kojcu. Przybrał postawę jak do ataku, a sierść na grzbiecie stanęła mu z przerażenia, które w żadnym razie nie czyniło zwierzęcia mniej niebezpiecznym. Po chwili zaczął ujadać.

Czarna postać okazała się postawnym mężczyzną. Zrobił szybko kilka kroków w przód, po czym odwrócił się i zaczął biec. Był to dokładnie ten impuls, na który czekało zwierzę. Gdy mężczyzna nagle stanął w miejscu i się odwrócił, pies błyskawicznie się na niego rzucił.

Wykonał długi skok w stronę lewego ramienia, którym mężczyzna zasłaniał sobie twarz. Szczęki psa zacisnęły się mocno na przedramieniu, zabezpieczonym rękawem ochronnym.

W tym momencie mężczyzna prawym przedramieniem założył żelazny chwyt na szyi psa. Szybkim ruchem przyciągnął go ku sobie i jednocześnie lewym, zabezpieczonym przedramieniem z całej siły szarpnął zwierzę w kierunku przeciwnym.

Rozległo się głucho chrupnięcie pękającego kręgosłupa. Pies rozluźnił zaciśnięte na rękawie szczęki i martwy bezwładnie spadł na ziemię.

Mężczyzna stał nad nim przez chwilę. Czuł nieprzepartą chęć, by zdjąć czarną kominiarkę, w której potwornie się pocił, ale wolał nie ryzykować. Dopóki miał ją na sobie, wtapiał się w ciemność i widać było tylko wąską szparę na oczy i otwór na usta. Czuł, jak wali mu serce, ale nie ze

strachu. Widok martwego zwierzęcia sprawiał mu satysfakcję, podobnie jak świadomość, że nie zapomina się tego, czego się kiedyś nauczyło, jeśli tylko człowiek pilnuje, by stale mieć to w tyle głowy.

Poniżej, przy końcu ogromnego ogrodu, rząd lamp oświetlał budynek, który musiał być hangarem na łódź. Ogród był ogrodzony i z wszystkich stron otoczony drzewami i krzakami. Do najbliższego sąsiada było dość daleko, choć nie można wykluczyć, że ktoś mimo wszystko usłyszał szczekanie owczarka. Rozejrzał się. Światła niewątpliwie bogatszej części miasta nazywanej Sejs-Svejbæk migotały wzdłuż linii brzegowej jak klejnoty rozrzucone na zboczach pagórków wznoszących się przy zwiężeniu.

Jeziorem, do którego schodziło się z ogrodu, było Borre Sø. Swoją bazę urządził w Silkeborgu, niecałe pięć kilometrów stąd, i od dwóch dni kręcił się po okolicy, dokładnie przygotowując całą operację.

Teraz w każdym razie pies już nie czekał. Złapał go za tylne nogi i powłókł przez trawnik w stronę luksusowej, skąpanej w ciemności willi. Zostawił psa na tarasie. Już wczoraj wypatrzył doskonałe miejsce, kiedy płynął wzdłuż brzegu wynajętym kajakiem i obserwował posiadłość przez lornetkę. Na wprost dużej, przeszklonej ściany rósł dąb. Doskonale.

Skierował światło latarki w stronę okna — w środku była kuchnia. Nie taka, jakie widywał, lecz ogromna, cała w stali i ciemnym drewnie. A w niej spory regał z winami.

Właściciel domu, niejaki Mogens Bergsøe, był adwokatem i mieszkał sam — tyle udało mu się o nim dowiedzieć. Ponadto musiał być człowiekiem bardzo zamożnym — nawet w kuchni wisiały dzieła sztuki. I oczywiście nie mógł nie zauważyć porsche cayenne na podjeździe, który teraz był pusty.

Z czarnego plecaka wyjął zwinięty sznur. Pętlę zawiązał już wcześniej. Zaciągnął psa pod drzewo, założył mu pętlę na głowę, a koniec sznura przerzucił przez jeden z najniższych, grubych konarów. Potem kilkoma długimi ruchami podciągnął zwierzę do góry. Kiedy uznał, że wisi na odpowiedniej wysokości, owinął sznur wokół pnia drzewa i zawiązał na supeł.

Gdy dziś w nocy, jutro rano albo innego dnia adwokat wróci do domu, zostawi porszaka pod wiatą i wejdzie do domu, żeby odpocząć, być może pierwsze kroki skieruje do kuchni. Może będzie chciał się napić mleka, wychylić szybkie piwo na dobranoc albo zrobić sobie kanapkę.

Nieważne — jedno jest pewne. Kiedy zapali światło, od razu zobaczy, co wisi tuż za oknem.

Rozdział 6.

Z zapartym tchem przyglądał się, jak zwierzę drepcze po błocie, zostawiając swój trop i zbliżając się do miejsca, w którym różne tropy mieszały się ze sobą.

To był kozioł, z tych mniejszych. Legalnie można będzie na niego zapolować dopiero za tydzień, ale nie mógł się przejmować takimi rzeczami. Był głodny jak wilk.

Siedział nieruchomo w kryjówce zbudowanej z gałęzi, korzeni i wszystkiego, co udało mu się znaleźć i ze sobą połączyć. Znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów od wodopoju. Przed kryjówką było zagłębienie, dokładnie takie, by pod odpowiednim kątem można było z niego oddać celny strzał. I właśnie pod takim odpowiednim kątem znajdzie się kozioł już za chwilę, jeśli tylko zrobi kolejne dwa kroki w tym samym kierunku. Było bezwietrznie, więc nie wiadomo dlaczego jest tak cholernie ostrożny.

A jednak zwierzę zawahało się, nim zrobiło krok naprzód. Oparł strzałę na podstawce i wsunął rowek nasadki w cięciwę, ale czekał z oddaniem strzału. Jeszcze krok, a kąt będzie idealny.

Kozioł niepewnie zbliżył się jeszcze odrobinę do źródła i na chwilę zastygł w bezruchu, zanim zaczął pić. Naciągnął łuk. Kozioł podniósł głowę i zastrzygł uszami. W tej samej sekundzie, w której zwolnił strzałę, jego wyciągnięte ramię odrobinę drgnęło. Strzała musnęła cel i znikła w krzakach. To samo zrobił kozioł.

Wyszedł z wprawy. Minęło sporo czasu. Naiwnie sądził, że po tylu latach uda mu się ot tak upolować cokolwiek, posługując się tą wyjątkowo trudną bronią. Czy naprawdę

myślał, że jego zmysły są wystarczająco wyostrzone, a motoryka dość precyzyjna dla tej formy polowania?

Szaleństwem było wsiąść w pociąg i jakby nigdy nic wyjechać z Kopenhagi. W głąszę. Łudząc się, że wszystko będzie tak jak dawniej, jeśli tylko znowu znajdzie się w lesie. Tam gdzie jest spokój. Jeszcze głębiej w dzicz, niż kiedykolwiek wcześniej powstała odziana w gumowiec stopa Larsa Tyndskinda.

Nad ranem padał drobny deszcz. Padało właściwie bez przerwy przez całe osiem dni, odkąd tu przyjechał. Las i cała dolina rzeki bulgotała, a kiedy przedzierał się przez bagniste łąki, przeskakując z kępki na kępkę, czuł woń rozkładu.

Został w kryjówce i wzdychając, obejrzał uważnie swój łuk. Wszystko było w porządku. To, że chybił, było wyłącznie jego winą. Był to łuk bloczkowy marki High Country Archery. Strzały były przystosowane specjalnie do tego sprzętu i celu, wyposażone w mechaniczne, trójstrzowe groty myśliwskie Innerloc. Łuk i strzały kosztowały kilka tysięcy koron. Była to więc ostatnia wartościowa rzecz, jaka mu została z dawnego życia. Nie potrafił wyjaśnić, jak to możliwe, że nie zamienił sprzętu na whisky i trawę już dawno temu.

Nasunął kaptur sztormiaka na wełnianą czapkę i wyczołgał się z kryjówki. Łuk i kołczan narzucił na ramię i ruszył z powrotem do domu. Na nogach miał swoje stare gumowce, które zdobył drogą wymiany na pchlim targu przy Vermlandsgade. Starał się iść wąskim strumykiem. Był głęboki na zaledwie kilka centymetrów, za to jego dno było w miarę twarde i dało się nim przedostać przez mokradła i piaszczyste grzęzawiska lasów iglastych, które normalnie były nie do pokonania.

Strumykiem doszedł aż do miejsca, gdzie wpadał do rzeki Lindenberg Å. Znajdował się teraz w dość wysokim punkcie doliny i wokół widział strome, zalesione zbocza. Rzeka nie

była tu jeszcze szeroka i rwąca jak niżej. Wyglądała raczej jak piękna, kręta, wartko płynąca górską rzeczką, szeroka na dwa, może trzy metry. Teraz była brązowa jak kakao. O ile deszcz kiedykolwiek ustanie, szybko zrobi się przejrzysta.

Pamiętał, jak piękna i czysta potrafi być woda w Lindenberg Å dzięki niezliczonym strumykom, które do niej wpadają. W Rold Skov można było pić wodę z każdego źródła, bo wypływała z rozległych podziemnych osadów wapiennych. Rold Skov był lasem tysiąca strumieni.

W drodze powrotnej wielokrotnie przystawał na skraju rzeki. Poprzedniego wieczora ponownie zarzucił haki. Łącznie dziesięć, a wszystkie przyczepione do kija, który wbił w miękką ziemię. Pierwszych dziewięć wyjął bez trudu. Dryfowały bezwładnie. Wyciągał je, zwijał żyłkę i chował do kieszeni. Połów był dramatycznie słaby. Z brunatnej wody udało mu się wyjąć dwa małe pstrągi źródlane. Kiedy przed wyjazdem w swojej piwnicy przeprowadzał drobną kalkulację, spodziewał się znacznie większego dziennego połowu. Lepiej, żeby ta cholerna ulewa w końcu ustała.

Stanął przy ostatniej żyłce. Na haczyku zaczepił się mały, zziębnięty pstrąg źródlany. Zdecydowanie za mały, ale i tak będzie musiał go zjeść. Przeciął rybce kark scyzorykiem i ruszył do domu.

Mr. White polizał go po nosie. Z początku spał za głęboko, żeby to poczuć, ale stopniowo dotarło do niego, że to jego wierny druh na swój tradycyjny sposób daje mu delikatnie do zrozumienia, że pora wstawać.

Kiedy otworzył oczy, pies polizał go jeszcze jeden, ostatni raz, po czym odwrócił się i wyjrzał spod plandeki na zewnątrz. On tymczasem ponownie zamknął oczy i schował głowę pod koc. Deszcz bezlitośnie dudnił nad jego głową. Naprawdę miał już dosyć. Był dziewiąty maja, powinna być wiosna, a zamiast tego lało bez chwili wytchnienia.

Całą noc nie spał. Bez konkretnego powodu — przeszkadzał mu po prostu ten szum wokoło. Każda próba zaśnięcia była skazana na porażkę. W tym sensie nic się nie zmieniło. Czy mieszkał w północno-zachodniej Kopenhadze czy w Rold Skov, żył według tego samego rytmu. Przeważnie zasypiał późnym popołudniem.

Przed snem podzielił się z Mr. White'em puszką pulpetów w sosie curry. Na wczesne śniadanie zjedli garść ryżu i po połowie smażonego pstrąga. Starął się ostrożnie rozporządzać ostatnim pożywieniem, jakie im zostało. Musi im wystarczyć, dopóki nie przyjdzie słońce i nie zrobi się ciepło.

Znowu poczuł, jak żołądek ściska mu się z głodu. We śnie o nim zapominał. W porównaniu z tym freeganizm był prawdziwym luksusem.

Bezwzględność przyrody nie była dla niego zaskoczeniem. Doświadczył jej kilka lat temu na Alasce. Zarówno wczesną wiosną, jak i w okresie nieprzerwanych obfitych opadów naprzemiennie śniegu, gradu i deszczu. Przyroda zapewniała człowiekowi wszystko, czego ten mógłby zapragnąć, każde ilości ryb, dziczyzny czy jagód, trzeba było tylko umieć się z nią zgrać. I on umiał to doskonale. A mimo to od ponad tygodnia chodził głodny, bo nic mu nie wychodziło.

Znowu się odwrócił. Mr. White siedział cicho jak trusia i wyglądał na dolinę i rzekę. On zaś leżał na pościeli, którego podstawę stanowiła konstrukcja z grubych gałęzi świerku wznosząca się nad ziemią dla ochrony przed chłodem. Za materac służyła gruba warstwa drobniejszych świerkowych gałązek, na których rozłożył swoją starą karimatę.

Obozowisko rozłożyli pięć dni temu. Po kilku dniach przeszukiwania zboczy w górnej części doliny, tam gdzie Ersted Skov łączył się z Vesterskov, znaleźli miejsce idealne. Leżało po stronie zachodniej, od strony lasu Ersted, na

suchym i twardym wzniesieniu na dnie doliny.

Ze Skørping i z Rebild kierowali się cały czas na południowy zachód i przeszli przez Hobrovej, drogę przecinającą ogromne tereny leśne.

Lasy Rold Skov zajmowały obszar osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych albo ośmiu tysięcy hektarów. Gdy mieszkał w Aalborgu, poznał te okolice całkiem dobrze. Resztę informacji wyczytał, kiedy w kopenhaskiej sutenerze obmyślał swój plan.

Trzy czwarte lasu było własnością prywatną. W tym zdecydowaną większość stanowiły ziemie należące do trzech potężnych gospodarstw leśnych: Lindenberg, Nørlund i Willestrup. Reszta lasów należała do państwa. Obecnie znajdowali się z White'em na terenie należącym do Nørlund. Przez kilka pierwszych dni mieszkali w prowizorycznym obozowisku na poziomie poszycia leśnego, dopóki nie znalazł czegoś na stałe.

Nowy obóz założyli powyżej dużego wyrwanego przez wicher drzewa. Rozłożysta sieć korzeni potężnego dębu zaczepiona była w wierzchniej warstwie piaszczysto-żwirowej gleby morenowej i kiedy drzewo się przewróciło, zostawiło w ziemi ogromną wyrwę. Część korzeni wciąż tkwiła w ziemi i pień leżał teraz na ziemi niczym potężny wał liczący około dwóch metrów średnicy.

Pień tworzył więc ścianę frontową na jednym końcu wyrwy, dając również pewne miejsce zaczepienia dla dużej plandeki w kolorze khaki. Była to zwykła plastikowa plandeka, jaką można kupić za parę groszy w każdym sklepie budowlanym.

Kalenicę zrobił z długiego świerkowego bala, przez który przewiesił plandekę. Zadaszona część obozowiska miała niemal trzy metry szerokości i około czterech metrów długości. Legowisko znajdowało się przy ścianie z pnia

drzewa — w miejscu najlepiej osłoniętym. Na przeciwnym końcu wyrwy zrobili palenisko. Mr. White sypiał na oddzielnym, małym posłaniu z gałązek świerku w części sypialnej, tuż przy boku swojego pana.

Zamaskował ich dom materiałami typowymi dla bagnistych obszarów dna doliny — gałęziami wierzb i innych młodych drzew liściastych. Obrazu dopełniały dwie brzozy z białą korą.

Niewprawne oko kogoś stojącego na zboczach nigdy by nie wypatrzyło ich siedziby, teren przy samej rzece Lindenberg Å opisywano jako najbardziej niedostępny gąszcz w całym królestwie.

Żeby tylko przestało padać.

Odrzucił koc na bok i usiadł w śpiworze. Miał na sobie większość swoich ubrań. Deszcz i wiatr powstrzymywały normalną majową aurę.

Głośno zaburczało mu w brzuchu. Pod legowiskiem miał pustą butelkę po whisky — zero siedem Burke & Barry, whisky dla niewolników. Nawet ją musiał sobie dawkować. Wystarczyła mu na cały tydzień. A w plecaku została już tylko jedna. Wraz z małym woreczkiem zawierającym bletki i trawę z Christianii stanowiła jego apteczkę. Wolał nie myśleć, co pocznie, kiedy jego zapas leków się skończy. Może na tym właśnie polegało największe wyzwanie — i jedyna kwestia, jaką tak naprawdę miało rozstrzygnąć jego wycofanie się do lasu. Czy powinien żyć dalej? Czy stoczyć się na dno?

Znów zaburczało mu w brzuchu. Miał wrażenie, że marznie. Wcześniej nigdy nie chorował, ale kiedy mieszkał w Kopenhadze, wielokrotnie zdarzało mu się podupadać na zdrowiu.

Stopniowo w jego głowie zrodził się nowy plan. Dziś w nocy wybierze się na dłuższą ekspedycję.

Rozdział 7.

Spotkania w Kopenhadze się przeciągały. Przeliczył się zwłaszcza co do spotkania zarządu komisji z Wambergu. Trwało niemal godzinę dłużej, niż zakładał, co było nie do przyjęcia. Przez to dopiero późnym wieczorem adwokat Mogens Bergsøe wrócił do domu — eleganckiej willi w bajkowym otoczeniu jeziora i środkowojutlandzkich pagórków w Sejs-Svejbæk.

W stolicy zatrzymał się tylko na jedną noc, jak zwykle w hotelu Copenhagen Admiral przy Toldbodgade. Uwielbiał stary budynek portowego magazynu i to, jak starannie i z wyczuciem dokonano jego przemiany.

Hermann, owczarek niemiecki, powinien dać sobie radę. Dostał wystarczająco jedzenia i picia i raczej było mu dobrze w wygodnym kojcu ustawionym w ogrodzie po tym, jak Jytte się wyprowadziła.

Wjechał na podjazd swoim cayenne i w lusterku dostrzegł za sobą parę świateł przednich. Ochroniarz.

Człowiek, który oficjalnie nie miał imienia, ale wszyscy znali jego ksywę, Madsen, od dawna już chodził za nim jak cień.

Dom był pogrążony w ciemności. Tylko na wprost paliły się ustawione w rzędzie lampy podłączone do timera. Światło dostrzegł również w kojcu dla psa. Wszystko było tak, jak powinno. A jednak... Brakowało mu Jytte. Bez niej dom wydawał się pusty, kiedy do niego wracał. Nie pojmował, jaki czort sprawiał, że kobietom obdarzonym jakimikolwiek — dużymi lub małymi — zdolnościami artystycznymi po sześćdziesiątce strzelało go głowy, że muszą zerwać z

dotychczasowym życiem, spełnić swoje marzenie i realizować się twórczo. Mój Boże, przecież na takie pierdoły i tak było już za późno.

I proszę, teraz mieszkała w małym mieszkanku od podwórza w Silkeborgu, gdzie w artystycznym kolektywie bardzo już dojrzałych i realizujących się pań otworzyła swoje atelier. Jytte robiła szklane mozaiki. I choć ładnie połyskiwały w słońcu, to jasne jak słońce było również to, że nie są wybitnymi dziełami.

Nadal się przyjaźnili. Chodzili razem do teatru, opery i na koncerty jazzowe. Liczył, że ta fiksacja szybko jej minie. Ale nie — już ponad rok mieszkała sama. Żałosna kobieta.

Zaparkował, wysiadł z samochodu i zamknął go pilotem.

— Wejdz też — zaproponował ochroniarzowi i ruszył wyłożoną płytkami alejką w stronę tylnych drzwi. — Spróbujesz najlepszego salami na świecie. A może napijemy się piwa na dobry sen?

Zapalił światło w korytarzu i ruszył prosto do kuchni, gdzie w pierwszej kolejności włączył lampę nad dużym stołem jadalnym.

— Siadaj, Madsen — mruknął. — Zajrzę tylko do Hermanna. Zaraz wrócę.

Bergsøe odwrócił się na pięcie i zamarł. Stał na środku kuchni z nieruchomym wzrokiem wbitym w wielkie okno.

Sekundę później ochroniarz rzucił się na niego całym ciałem. Wyjął broń, jednocześnie dociskając adwokata do podłogi i rozkazując mu, by przeczołgał się w bezpieczne miejsce.

Ale nic się nie działo. Żadnego dźwięku. Tylko duży, milczący kształt wiszący na drzewie za oknem. Oświetlony tak dobrze, że nie można było mieć wątpliwości.

Siedzieli na podłodze z plecami dociśniętymi do kuchennych szafek, kiedy zadzwoniła mu komórka. W słuchawce usłyszał głos mężczyzny mówiącego po angielsku z silnym akcentem. Wysłuchał go w skupieniu, a potem krzyknął z wściekłością:

— *Go to hell!* — Dłoń ściskająca telefon trzęsła się niepoohamowanie.

— This is a stupid answer, Mr Bergsøe. I will...

— *I said: go to hell!*

Rozłączył się i odrzucił telefon od siebie.

Rozdział 8.

Była pełnia i księżyc oświetlał drogę przed nimi. Zgadywał, że przeszli jakieś sześć, siedem kilometrów i byli już całkiem blisko celu.

Szli asfaltową Hobrovej na północ. Za każdym razem, gdy widział światła samochodu, wycofywał się razem z Mr. White'em na bok do lasu, przykucał i przytulał psa, by ukryć jego białe futro, które w ciemności było jak odblask. Robił to tylko dlatego, że wolał pozostać niewidzialnym.

Przy Vælderskoven trzymali się prawej strony. Psa trzymał blisko siebie, kiedy ruszyli w górę podjazdem do Rold Storkro.

— Mr. White, odtąd musimy być bardzo ostrożni. Będę ci wdzięczny, jeśli będziesz się trzymał blisko mnie.

Ciemność rozświetlały liczne latarnie, w oknach paliły się światła. Kiedy usłyszał trzask drzwi samochodu, błyskawicznie schował się za barierki i poczekał, aż auto przejedzie. Dopiero potem ruszył dalej, w stronę hotelu. Przed budynkiem było pole do minigolfa, za nim wejście i osłonięty placyk z kawiarnianymi stolikami, przy których siedziało sporo gości.

Stał schowany za drzewem i zajął się tym, czym jego ukochany towarzysz: niuchał zawzięcie chłodne wieczorne powietrze, szukając w nim zapachu, którego tropem dotrą do ostatecznego celu: strefy kuchennej. Nic to jednak nie dało, więc zamiast tego ruszyli po prostu, okrążając szerokim łukiem hotelowe zabudowania.

Szli dalej wzdłuż tylnej ściany budynku i kiedy dostrzegł

stojące jedna przy drugiej przyczepy na śmieci, nie miał już wątpliwości. Należało tylko dobrze się schować i stać na czatach.

Dopiero teraz pomyślał, że może jednak się przeliczył. Na myśl o zimnym, lepkiem sosie w plastikowym worku z resztkami ziemniaków i mięsa raczej nie ciekła mu ślinka. Cóż, gdzieś jednak personel kuchenny musiał wyrzucać jedzenie, którego przygotowali za dużo, albo zwykłe resztki niedojedzone przez gości. Trzeba było tylko zachować cierpliwość.

Jakiś czas trwało, nim z budynku wyszedł młody chłopak i wrzucił dwa worki do przyczepy stojącej najdalej. Od razu się do nich dobrał. W świetle latarki sprawdził zawartość. W pierwszym były obierki z ziemniaków. W drugim same puste puszki po pomidorach. Poświecił wokół. W przyczepie nie było nic, co przyciągnęłoby jego wzrok — albo przemówiłoby do kubków smakowych.

Wyprawa do zajazdu była poronionym pomysłem. Tak samo jak przyjazd tutaj, w tej niekończącej się ulewie.

Nagle za jego plecami otworzyły się drzwi. Przerażony, szybko zamknął klapę śmietnika. W oświetlonych drzwiach zobaczył szczupłą kobiecą postać.

— Hej!

Jej okrzyk zawisł w powietrzu. Niewykluczone, że była równie zaskoczona jak on.

— Co pan tu u licha robi? — powiedziała wreszcie i zrobiła krok w jego kierunku, co pozwoliło mu obejrzeć jej twarz. Była młoda, miała niewiele ponad dwadzieścia lat.

Szukał w myślach dobrej odpowiedzi. Nie przywykł rozmawiać z nieznajomymi. Ostatnią osobą, z którą rozmawiał, był staruszek, pomógł mu wstać, kiedy ten przewrócił się na rowerze. Wymienili wtedy parę zdań. To

było kilka miesięcy temu. Konkretnie jakoś tuż po Nowym Roku.

Nie, zdecydowanie nie był przyzwyczajony do rozmawiania z ludźmi. A już na pewno nie z kobietą. Lubił rozmawiać tylko z Mr. White'em.

— Nic...

W tej samej sekundzie usłyszał, jak głupio to zabrzmiało. Naciągnął daszek czapki jeszcze niżej na czoło.

— Grzebie pan w naszym śmietniku? Naprawdę wszedł pan do śmietnika, żeby grzebać w naszych odpadach? Zwariował pan? — kobieta wydawała się autentycznie zaskoczona.

— No...

— To ci dopiero.

Wzruszył tylko ramionami.

— To pana pies?

Skinął głową.

— Jak się wabi?

— Mr. White.

Podeszła bliżej i uważnie, bez cienia zmieszania przyjrzała mu się w świetle bijącym z otwartych drzwi.

— Jest pan głodny?

— Trochę — wymamrotał.

— Musi pan być cholernie głodny. Pies też?

Znów skinął głową.

Stała jeszcze chwilę i od nowa zmierzyła go wzrokiem. W końcu oświadczyła:

— No dobrze! W tych kontenerach nie znajdzie pan nic, co

dałoby się zjeść. Niech pan poczeka, zaraz coś przyniosę. Na miejscu czy na wynos? — dodała ze śmiechem.

Nie był do końca pewien, czy to miał być żart.

— Na wynos poproszę. Dziękuję, to bardzo miło z pani...

Nim dokończył, już jej nie było. Wydawała się w porządku. I miała ładny uśmiech. Powie komuś? Nie, ona nie powie. I na pewno wróci.

Minęło trochę czasu, może z dziesięć minut. Drzwi za sobą zostawiła uchylone. W myślach tłumaczył sobie, że pewnie mają w kuchni duży ruch i trudno jej się wymknąć. Nagle usłyszał pośpieszne kroki na wykafelkowanej podłodze i po chwili zobaczył ją w drzwiach. Z uśmiechem wyciągnęła ku niemu dużą reklamówkę.

— Proszę. Gulasz z jelenia — specjalność szefa kuchni. Resztki z wieczora. Powinno wystarczyć dla was obu. Zapakowałam je do dwóch aluminiowych tacek.

Wziął ciężką torbę i odwzajemnił jej uśmiech.

— Ogromnie dziękuję, miło z pani strony.

— Nie ma sprawy. Włożyłam też sztucce. Stary złom, może je pan zatrzymać.

— Dziękuję.

— A co pan właściwie robi na tym pustkowiu? — zatoczyła wokół rękoma.

— Ja... my... podróżujemy. Wyruszyliśmy na wiosnę, żeby się wyrwać z miasta na jakiś czas.

— Jest pan wagabundą? Włóczęgą?

— Nie, zdecydowanie nie.

— Bezdomny?

Wzruszył ramionami i lekko się zaczerwienił.

— Niezupełnie bezdomny. Jak mówiłem, jestem w podróży. Do Aalborga.

— Do Aalborga? Rozumiem... Mogę go pogłaskać? — przykucnęła.

— Przywitaj się, Whitey.

Pies podszedł ostrożnie, dał się pogłaskać i poklepać po grzbiecie.

— Słodki jest, i ładny. Ale... Mamy trochę roboty ze sprzątaniem. Muszę już wracać.

— Jasne. — Wyciągnął rękę, a ona bez wahania ją uścisnęła. — Bardzo pani dziękuję.

— Drobiazg. Szerokiej drogi — i smacznego.

Pomachała, zanim zamknęła za sobą drzwi. On też jej pomachał, tyle że nikt tego nie widział.

Rozdział 9.

Żółty kajak morski był rasowym ścigaczem. Był prawie nowy, miał go od zaledwie kilku tygodni, ale już od dawna czuł się, jakby był przedłużeniem jego ciała ze smukłym kadłubem i z trudnym do utrzymania punktem równowagi. Gdyby wiedział, jak wielka to różnica, już dawno przesiadłby się do tego cacka z szerokiego kajaka dla początkujących, w którym pływał przez ostatnie dwa lata.

Teraz ochroniarz Madsen musiał się męczyć w jego starej skorupie.

Padał deszcz. Czy tylko mu się zdawało, czy padało bez przerwy od jakichś stu lat? Gdzie się u licha podziała wiosna? Wytarł twarz rękawiczką. Deszcz był mu obojętny.

Musiał popływać. Ostatnie dni były dość nerwowe. Nie miał do zwierząt stosunku sentymentalnego jak Jytte. Nie traktował ich jak małych czworonogich ludzi. W tym sensie o owczarku Hermannie przestał myśleć, kiedy tylko zakopał go pomiędzy brzozaami. Nie dawało mu spokoju wszystko, co było konsekwencją dramatycznej śmierci psa.

Trwało to już od pięciu dni. Pięć dni niewoli. Ci, którzy go kryją, powiedzieli, że na razie nie wolno mu się ruszać z działki. I przydzielili mu jeszcze dwóch ochroniarzy. Stali obaj z lornetkami na pomoście i przeczesywali jezioro. I bynajmniej się nie śpieszyli, choć wiedzieli, jak bardzo chciały już wypłynąć i rozruszać kości.

W końcu starszy opuścił lornetkę i skinął głową.

— No dobrze, Bergsøe. Udanej wycieczki. Ale trzymaj się tej części jeziora — zastrzegł poważnym głosem.

Kilkoma powolnymi, płynnymi ruchami wiosła odbił od brzegu. To ważne, aby rozgrzać i porządnie rozruszać mięśnie, zanim dociśnie bardziej. Zwłaszcza w jego wieku.

Wyłynęli na zaledwie kilka długości, kiedy z szuwarów wysunął się czerwony kajak. W środku siedziała kobieta, młodsza. Zwolnił i szarmancko pozwolił jej przepłynąć.

Obejrzał się za nią. Była nie tylko młodsza, ale również wyjątkowo atrakcyjna. Lśniące czarne włosy miała zebrane w ciasny kok na karku, z którego zadziornie wysunął się jeden kosmyk. Zgodnie z najnowszą modą oczy miała zasłonięte sportowymi okularami, których szkła były czarnymi lusterkami. Rysy twarzy były delikatne i regularne, usta lśniły karminem. Więcej — niestety — nie mógł zobaczyć.

Uśmiechnął się szeroko i pomachał. Z ociąganiem, lecz odwzajemniła jego gest. Potem znów przyśpieszyła i ich minęła.

Ach, kobiety... Był szczery, kiedy wyznał, że tęskni za Jytte. Z drugiej strony były również i dobre strony życia oddzielnie. Odkąd Jytte się wyprowadziła, trzykrotnie skorzystał z okazji i dał się ponieść namiętności jak za dawnych czasów. Dla jego słabnącego męskiego ego był to niezły upgrade. Bo chyba tak to się nazywa we współczesnym duńskim?

Zwykle miał trzy trasy do wyboru: w górę i przesmykiem Sejs wpłynąć na jezioro Brassø, na południowy wschód przesmykiem Svejbæk do Julsø albo na zachód dopłynąć do części Borre Sø nazywanej Paradis, gdzie z wody wyrastały cztery małe wyspy jak sznur koralu prowadzący do Østerskov i Virklund. Jego zdaniem ta ostatnia trasa była najbardziej malownicza i spokojnie zdążą obrócić tam i z powrotem.

Wyrównali tempo i ruszyli w stronę dużego, zalesionego cypla wystającego na przeciwległym brzegu. Poruszając się wzdłuż brzegu, minęli trzy najdalsze wyspy w jednej linii.

Zawsze w miarę możliwości starał się pływać wzdłuż brzegu. Deszcz tworzył rodzaj zasłony i ograniczał widoczność, ale najwyraźniej na jeziorze i tak nikogo nie było. Kawalek dalej, po lewej minęli największą z wysp, Borre Ø. Czuł się teraz zupełnie rozgrzany, zwiększył kadencję i zerknął przez ramię. Jego cień, Madsen, płynął tuż za nim, bez najmniejszych oznak wysiłku. Pod kamizelką ratunkową miał zimową kurtkę. Musiało mu być niewygodnie, bo jeszcze na pomoście zauważył, jak poprawia sobie kaburę pod kurtką.

W swojej karierze próbował wielu rzeczy i nierzadko miał do czynienia z informacjami wysoce wrażliwymi, które mogły mieć znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. Lecz w ostatnich latach, stojąc na czele komisji z Wambergu, miał z nimi styczność częściej niż kiedykolwiek. Nigdy jednak nie trzeba mu było w związku z tym przyznawać uzbrojonej ochrony. Nigdy.

W żadnym razie nie bagatelizował ponurego scenariusza, jaki potencjalnie mógł się stać jego udziałem w związku z tą śliską sprawą, w którą się wplątali. Przypuszczono przeciwko nim poważny atak. Ten, kto im groził, najwyraźniej nie żartował, lecz była jedna rzecz, która sprawiała, że czuł się pewnie:

Jego zaplecze. Cała mocna sieć kontaktów, której nikt nie mógł zobaczyć ani usłyszeć, cała ta ściśle tajna maszyna pracowała obecnie na pełnych obrotach, by zlokalizować i wyeliminować zagrożenie.

Dlatego był spokojny. Potrzeba znacznie więcej niż martwy pies albo dwa martwe psy, żeby nim wstrząsnąć.

Langø minęli z prawej i sunęli ku trzeciej z wysp, Bredø, położonej jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów dalej, tuż przy małym przesmyku odbijającym od południowego brzegu jeziora. Ostatnią i najmniejszą perłą w sznurze była płaska Annekens Ø, którą zamierzali opłynąć.

Znów lekko wyrównał kurs, żeby minąć Bredø z lewej i przepłynąć wąskim pasem pomiędzy południowym krańcem jeziora a przesmykiem. W tym miejscu było głęboko. Latem często widywał żaglówki cumujące przy wyspie i kąpiących się ludzi. Na moment puścił wiosło luzem. Kiedy podpłynęli bliżej, perkoz dał nura w szuwary i wydało mu się, że nad przesmykiem widział kołującego w deszczu myszołowa. Obejrzał się. Madsena dzieliły od niego zaledwie dwie długości. On również zrobił sobie przerwę.

Bezdźwięcznie sunęli dalej. Zerknął w bok na wyspę i niemal słyszał śmiechy, piski dzieci i plusk wody z minionego lata. Było cudownie...

Tafla jeziora tuż przed kadłubem pękła niespodziewanie i czarny kształt wyskoczył pionowo w górę, jak potwór z morskich otchłani wśród kaskad wody.

To był... nurek. W masce, owinięty węzami i z butlą na plecach. Serce mu zamarło. Albo raczej podskoczyło z przerażenia. Od tego momentu wszystko działo się błyskawicznie.

Poczuł, że czarna ręka trzyma żółty dziób kajaka. Druga czarna ręka uniosła się w górę. Dostrzegł jakiś przedmiot w dłoni nurka, usłyszał głośny świst i zdążył tylko się odwrócić, by zobaczyć, jak grot harpuna wbija się w odsłoniętą szyję Madsena.

Wtedy stracił równowagę i wpadł do wody.

W ciele i głowie zapanował chaos. Usta miał pełne wody, przed oczami chmurę bąbelków. Poczuł silny uścisk na szyi, a przed twarzą mignęło mu ostrze noża przebijającego się przez wodę ku górze.

To koniec.

Mężczyzna trzymał go od tyłu w żelaznym uścisku. Uzmysłowił sobie jeszcze tylko to, że jego głos i akcent

brzmiały tak samo jak w telefonie, który odebrał niedawno. Nie docenili swojego tajemniczego wroga.

Już za moment wszystko się skończy.

Rzucane ostrym tonem pytania szumiały mu w uszach. Przy pierwszym zawahaniu poczuł ostrze noża. Zaraz potem, krztusząc się, próbował wycisnąć odpowiedzi przez zeszywniałe z przerażenia usta.

Nie miał innego wyboru — był zdany na łaskę napastnika. Powiedział wszystko, na tyle, na ile był w stanie, i nawet się nie zastanawiał, czy mężczyzna go oszczędzi, czy nie. Na rozkaz nurka słabym głosem wyjęczał wszystkie odpowiedzi.

Ale wszystkiego nie wiedział. Nie znał między innymi odpowiedzi na pytanie, które nurek w kółko syczał mu do ucha. Po prostu tego nie wiedział.

I znów wszystko przesłonił chaos miliarda bąbelków.

Nurek długo trzymał głowę adwokata Bergsøe pod wodą. Najpierw ciało starszego pana wierzgało chaotycznie w bezradnych spazmach. Potem jego opór słabł. Na koniec ciało uniosło się bezwładnie na wodzie.

Nurek odepchnął je od siebie i odpłynął w stronę szuwarów, gdzie ukrył swoją łódkę.

Nie dostał *tej* odpowiedzi — ale dowiedział się wystarczająco, by kontynuować. Na razie tyle musi mu wystarczyć. Wyjął swój sprzęt z wody, włożył go do łodzi i wciągnął się na pokład. Potem uruchomił silnik.

Następny krok musi rozważyć bardzo dokładnie. Im bliżej byli celu, tym robiło się niebezpieczniej.

Kątem oka widział, jak ciało adwokata dryfuje przy samym skraju pasma szuwarów otaczających wysepkę. Żółta kamizelka sprawiała, że ciało świeciło. Twarzą w dół, z rozrzuconymi na boki ramionami.

Rozdział 10.

Czołgał się w wilgotnej trawie, trzymając sztylet w zębach. Przez chwilę leżał nieruchomo i nasłuchiwał. Potem znów powoli ruszył naprzód. Co jakiś czas podnosił się na łokciach, ale tej nocy ciemność była nieprzenikniona.

Dostrzegł przed sobą niewyraźny zarys małej kępki drzew i ruszył ku niej pośpiesznie. Czy to nie stamtąd dobiegał dźwięk? Nietypowy, metaliczny dźwięk, brzęący obco pośród lasu. Tak, to brzęk metalu o metal. Magazynek, który wskoczył na miejsce przy ładowaniu? Rozkładany trójnog do broni maszynowej?

Długo leżał całkiem nieruchomo. Odwrócił się na plecy i patrzył w czarne jak smoła niebo, z którego jutro niechybnie znowu lunie deszcz.

Niczego tu nie było. Niczego poza piskami myszy, pohukiwaniem puszczyków albo odległym porykiwaniem rogaczy.

To był — jak zwykle — fałszywy alarm.

Podobnie jak wtedy, kiedy w środku nocy zorientował się, że przeczołguje się po ciemnym podwórku u siebie w Nordvest w Kopenhadze, uzbrojony w sztylet, który stale trzymał pod poduszką.

Wstał i po cichu wrócił do obozu. Zrzucił sztormiak i wsunął się do śpiwora. Mr. White pochrapywał jakby nigdy nic na swoim legowisku z gałązek. Przeczynał, że zbliża się jeden z tych niespokojnych okresów. Przychodziły falami.

Dochodziła piąta. To była ciężka noc. Kolejny raz odwiedził go jeden z Siódemki. Kto wie, czy nie najbardziej

przerażający z nich wszystkich: Krowiarz.

Pomarszczony staruszek wyłaniał się zawsze z przybrzeżnej mgły znad rzeki. Z początku widać było tylko nieznaczne poruszenie. Potem, w miarę jak się zbliżał, jego postać była coraz wyraźniejsza. Na powrozie prowadził krowę, wąską uliczką biegnącą przez środek wioski. Po obu stronach same ruiny. Gruz i zgliszcza, jedno przy drugim.

W całej wiosce ostał się tylko jeden dom, jakby go chronił wysoki, niewidzialny mur, którego żadna wojna nie mogła sforsować.

Niewielka posesja leżała po drugiej stronie ulicy, po przekątnej. Dom był pomalowany na jasnożółto. Pod oknami rosły nawet kwiatki. Na podwórko wchodziło się przez zieloną furtkę w murowanym ogrodzeniu.

Siedział na dachu opancerzonego transportera i stamtąd obserwował staruszka wynurzającego się z mgły. Kierował się w stronę żółtego domu.

— Oxe, patrz na tego starego... Jak u licha mu się to udało?

Jeden z pozostałych wgramolił się na górę i zapalił papierosa, kręcąc głową z niedowierzaniem. Palcem wskazał żółty mur. Przy drzwiach wejściowych ktoś czerwoną farbą namalował jakiś znak. Krzyż i wpisane w niego cztery litery „c”. Dwie litery po lewej były lustrzanym odbiciem.

W cyrylicy „c” to „s”. Litery oznaczały *Samo sloga Srbina spasava*.

— To już wiemy, jak mu się udało — usłyszał własne słowa powtarzane w kółko. Staruszek był teraz całkiem blisko. — *Samo sloga Srbina spasava* to znaczy „tylko jedność ocali Serbów”. Ich mantra.

Gdy Krowiarz znajdował się dokładnie przed nim, pokazał w wilczym uśmiechu spróchniałe kikuty zębów.

W tym momencie zawsze się budził. Tym razem z uczuciem, jakby wydawał z siebie rozdzierający krzyk, którego mimo wszystko nie potrafił wypchnąć na zewnątrz. Często tak miał. Krzyki i ostrzeżenia, które stawały mu w gardle i budziły go na przedpolu czyścica.

Dobrze być silnym. Trzeba być silnym. Bezsilność to najgorszy syf. Byli świadkami czystki etnicznej, a nie zrobili nic poza wysyłaniem do bazy papierowych raportów, które nikomu nie mogły wyrządzić żadnej szkody.

Krowiarz i pozostała szóstka, która go nawiedzała, byli niemal jak rodzina. Doskonale znał każdego z nich. Byli tacy, jacy byli. Nigdy nie robili niczego nieprzewidzianego — choć on również nie był w stanie pokonać ich ani podporządkować sobie podstępem.

To była ciężka noc — a teraz również ciężki świt z fałszywym alarmem pośród nocy.

Znowu usiadł, włączył latarkę i znalazł worek z bletkami i trawą. Zwinnymi palcami skręcił jointa, zapalił i zaciągnął się mocno, trzymając dym w płucach najdłużej, jak potrafił.

Światło... ostre światło. I słabe uczucie ciepła. Zmysły budziły się bardzo powoli, jak bańki wznoszące się z błotnistej dna jeziora w długą drogę ku powierzchni.

Zmusił się, by podnieść ołowiane powieki. Z góry, przez szparę między ścianą z pnia drzewa a krawędzią plandeki, na jego twarz padał życiodajny pasek słońca. Odwrócił głowę i wyjrzał na zewnątrz. Krajobraz lśnił oślepiająco. Zerknął na zegarek — była jedenasta. Spał bardzo długo i bardzo spokojnie.

Pustym snem. Ciało było ciężkie i bezwładne. Czasem tak bywało, gdy udawało mu się zrekompensować skumulowany deficyt snu — za pomocą whisky albo marihuany, które umieszczały odważnik na tej szalce wagi, która za długo była zbyt lekka.

Z powrotem przewrócił się na plecy i zwrócił twarz ku promieniowi. Leżał po prostu nieruchomo, pozwalając, by światło i ciepło otulało mu twarz.

Wreszcie. Słońce wyszło — teraz naprawdę będzie wiosna.

Rozdział 11.

Dla Hansa-Ottona Corfitzena doba licząca nędzne dwadzieścia cztery godziny zawsze była za krótka. Tak było, kiedy był młodym chłopakiem, i przez wszystkie lata jego błyskotliwej kariery w dyplomacji — dziedzinie, w której w Danii nie miał sobie równych. Nie inaczej było teraz, gdy od dawna już dodawał do swoich licznych tytułów określenie „były”, tęsknie nawiązujące do jego dawnej wielkości.

Były ambasador Corfitzen przesunął dłonią po zmierzwionej, białej czuprynie, okulary do czytania odłożył na gazetę i wyjrzał przez okno. Wreszcie... słońce wyszło. Teraz naprawdę będzie wiosna.

Biurko w jego gabinecie stało tak, że mógł zza niego patrzeć na park. W czarnej wodzie fosy odbijało się słońce. Wkrótce cały park zamkowy wybuchnie przeróżnymi odcieniami zieleni, a potem pojawią się kolejne kolory. Zaczynał się najlepszy czas w roku.

Dzień zaczął jak zwykle o szóstej rano. Musiał wstawać tak wcześnie, skoro dwadzieścia cztery godziny miały mu wystarczyć. Budził się o szóstej, kładł między jedenastą a północą, co dawało sześć - siedem godzin snu, w jego wieku to było aż nadto.

Rezydencją emerytowanego ambasadora był zamek Nørlund Slot na południowo-zachodnim krańcu Rold Skov. A dokładniej od skraju lasu zamek oddzielała łąka i polna droga. Sam zamek był otoczony drzewami i krzewami i stanowił oddzielną, zamkniętą enklawę tuż obok drogi łączącej Arden i Aars.

Majątek był w posiadaniu rodu Corfitzenów od zaledwie

trzech pokoleń. Pradziadek Hansa-Ottona kupił go za bezcen w okresie, gdy poprzedni właściciel pilnie potrzebował gotówki.

Obecnie posiadłość liczyła dwa tysiące dwieście osiemdziesiąt jeden hektarów i była przede wszystkim dochodowym przedsiębiorstwem za sprawą tartaku oraz gospodarstwa rolnego Torstedlund. Tartak zaopatrywały głównie duże gospodarstwa leśne, w tym Ersted Skov, Torstedlund Skov i Nørlund Skov.

Hans-Otto Corfitzen był więc właścicielem maleńkiego fragmentu dramatycznej historii Danii wrytego głęboko w stare legendy o Rold Skov. I kiedy tak siedział i patrzył na fosę i park rozgrzany młodym, majowym słońcem, czuł przyjemny spokój na myśl, że umrze właśnie tutaj i spocznie w miejscu, które dawno już dla siebie wybrał, na końcu parku. Nikt nigdy nie podważy dokonań człowieka, któremu wolno było spocząć wśród rododendronów i lilii.

Nim to jednak miało nastąpić, starzejący się dyplomata czuł się znakomicie w swoim nieco ponurym zamku z duchami wielmożnych dziedziców i rabusiów i zdecydowanie nie wybierał się jeszcze na tamten świat. Miał zbyt dużo pracy w tym świecie.

Na dole, w parku widział teraz jednego z ochroniarzy robiącego obchód. Był rozgoryczony, że do tego doszło. A błąd popełnił on sam.

Bez względu na wszystko Nørlund Slot przetrwa. Solidny budynek sprawił rodzinie pradziad. Razem z Sæbygaard stanowiły bodaj jedyne majątki w całej północnej Jutlandii, które przypominały jeszcze prawdziwe grody.

W czternastym wieku zamek był tylko wieżą i nazywano go pospolitą jaskinią złodziei, przez co Waldemar Atterdag kazał ją zburzyć. Lecz Nørlund się podniósł i nadal był ruchliwą bazą zbójników czyhających na podróżujących

pomiędzy Randers a Aalborgiem. Królowa Małgorzata I straciła cierpliwość i kazała zburzyć budowlę raz jeszcze.

W czasie wojny hrabskiej w Nørlund rezydował królewski doradca Peder Lykke. Jako pan lenny rządził również w Aalborgus, ale podobno uciekł z powrotem do Rold Skov, gdy szyper Clement najechał na zamek w Aalborgu. Potem Clement udał się na południe i spalił także Nørlund, więc doradca znowu musiał brać nogi za pas.

Ludvig Munk, który wcześniej grabił Norwegów jako tamtejszy namiestnik, w 1581 roku zaczął budowę nowego zamku Nørlund.

Długą listę dziedziców zamyka on, Corfitzen. Przemierzył już większość wytyczonej mu przez Boga drogi i mógł jedynie mieć nadzieję, że córka będzie kontynuować dumną historię rodu i strzec ich nazwiska, bo syna się nie doczekał.

Ochroniarz zniknął z pola widzenia. Było ich pięciu, plus zatrudniony na stałe dozorca i szofer, Arvidsen. Kiedy późnym popołudniem jechał na spotkanie, towarzyszyło mu trzech ochroniarzy.

Ponownie założył okulary, zamknął gazetę i odłożył ją na bok. O tym, skąd się wokół domu wzięła ochrona, pisano w dzisiejszym wydaniu. A on z wszystkich najlepiej znał powód. Mimo to oczywiście przeczytał artykuł.

Nagłówek brzmiał: „Szef wywiadu zginął w tajemniczym wypadku”. Prasa wciąż emocjonowała się historią sprzed wielu dni, ale policja pewnie nie odsłoniła wszystkich kart ze względu na delikatną naturę śledztwa.

Chodziło o śmierć adwokata Mogensa Bergsøe na jeziorze Borre Sø niedaleko Silkeborga. Był prezesem tak zwanej komisji z Wambergu, specjalnego organu kontrolnego rządu nadzorującego pracę policji i wywiadu wojskowego w zakresie przetwarzania danych osobowych. Stąd zwrot „szef wywiadu” w nagłówku. Co się zaś tyczyło określenia

„tajemniczy wypadek”, to było ono próbą ukrycia faktu, że adwokat rzekomo utonął podczas przeprawy kajakiem, mimo że kiedy go znaleziono, miał na sobie kamizelkę ratunkową. Do tego naoczny świadek zeznał, że widział, jak za Bergsøe płynie jeszcze jeden kajak, choć nie zostawił po sobie najmniejszego śladu.

Dalej stało, że policja „przeprowadziła rutynowe dochodzenie”, ale skłania się ku teorii, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Obdukcja wykazała, że adwokat utonął. Możliwe, że źle się poczuł i wpadł do wody. Takie rzeczy się zdarzały. Co więcej, zdarzały się mniej więcej każdego roku. Zwłaszcza mężczyznom w średnim wieku i z grupy ryzyka. Szef policji uważał — w każdym razie oficjalnie — wypadek za wyjaśniony, a sprawę za zamkniętą.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Czyżby już było wpół do jedenastej? Jego wieloletnia sekretarka, pani Larsen, zawsze punktualnie stawiała się na odprawę.

— Proszę wejść i usiąść.

Skinęła tylko głową. Już rano się przywitali, gdy drobna, chuda i energiczna pani Larsen przyjechała rowerem z Haverslev.

— No, dziś ma pani sporo papierów — zauważył.

— To prawda, nazbierało się tego trochę. Wszystko panu przygotowałam. Jest parę rzeczy dla fundacji dziecięcej. Trochę spraw z Consilium i dwie dotyczące tartaku. Możemy zaczynać?

Pani Larsen usiadła wygodnie na krześle naprzeciw niego. Była kompetentna i rzutka i choć miała sześćdziesiąt jeden lat, wyglądała na pięćdziesiąt dwa.

Fundacja pomocy dzieciom była jego oczkiem w głowie. The H.O. Corfitzen Foundation for Children in Need założył piętnaście lat temu, pomysł zrodził się pod wpływem jego

wieloletniego pobytu na placówce w bloku wschodnim, gdzie razem ze swoją zmarłą żoną widzieli mnóstwo dziecięcego cierpienia.

Consilium natomiast stanowiło oś, wokół której obracały się jego życie i cała jego działalność. Był to „liberalno-humanistyczny” ośrodek badawczy, pod który osobiście położył podwaliny. Swoisty plac zabaw, gdzie najprężniejsze umysły mogły w przyjaznych warunkach i z dala od codziennego zgiełku stymulować swoje intelekty zarówno duchowo, jak i w praktyce.

W przeciwieństwie do CEPOS i innych tego typu ośrodków Consilium, podobnie jak jego założyciel, nie afiszowało się swoimi dokonaniem. Kto żyje po cichu, ten żyje dostatnio.

I wreszcie tartak. W połączeniu z szeroko zakrojonymi inwestycjami w papiery wartościowe przynosił wystarczający dochód, by ani Corfitzenowi, ani jego współpracownikom niczego nie zabrakło.

Krótko po dwunastej Hans-Otto Corfitzen wyszedł na dziedziniec otoczony z trzech stron murem z czerwonej cegły.

Przez ponad godzinę przeglądał papiery z panią Larsen, zapragnął przejść się i zaczerpnąć świeżego powietrza przed obowiązkową drzemką regeneracyjną między trzynastą piętnaście a trzynastą trzydzieści. Odwrócił się i zagwizdał.

Chwilę później z drzwi wybiegł rudy wyżeł niemiecki szorstkowłosa i machając ogonem, krążył wokół nóg swojego pana.

Rozdział 12.

Pnie sosen stały w równych rzędach, jak żołnierze na baczność, po obu stronach szerokiej zwirowej drogi dojazdowej przecinającej las.

Sosny go fascynowały. Tak nonszalancko i bez wysiłku się zmieniały — w ostatnich promieniach słońca wyglądały jak lśniące miedziane pręty, teraz zdają się podtrzymywać sklepienie lasu niczym kolumny posrebrzone blaskiem księżyca.

Wyszli na długi wieczorny spacer, który stanie się spacerem nocnym, zanim dotrą z powrotem do obozu przy Lindenberg Å. Liczył, że do tego czasu będzie tak wykończony, że zaśnie snem kamiennym i nie zbudzi się przed ranem. Bez whisky i bez trawy.

Próbował nucić fragment piosenki z Champs-Élysées w refrenie, bo leśna droga była szeroka i równa niczym aleja, i dlatego, że najzwyczajniej w świecie wyjątkowo humor mu dopisywał. Oto jego Paryż: sosny, świerki, dęby, buki, wierzby, brzozy, mchy, paprocie, jeżyny i pokrzywy.

Zmierzali do południowo-zachodniej „arrondissement” Rold Skov — tej części kompleksu, która nazywała się Torstedlund Skov. Wiedział, że gdzieś tam jest Nørlund Slot — siedziba rządu, na którego ziemi samowolnie osiedlili się z Mr. White'em. Nigdy jednak nie widział zamku i był ciekaw, jak wygląda. Jeśli to będzie możliwe, zamierzał go obejrzeć w świetle księżyca.

Łagodna, słoneczna aura, jaka zapanowała w ostatnich dniach, sprawiła, że przyroda eksplodowała w radosnej afirmacji życia. I w nim zrodziła się nowa siła. Wszystko

wokół rodziło się na nowo. I wszystko stało się prostsze.

Może powinien zostawić kartkę panu tych włości z podziękowaniem za obiad. Dziś danie główne stanowiły dwa dorodne pstrągi z rzeki, która teraz była przejrzysta jak szyba. Jemu pozwalało to rozmieścić haczyki w najbardziej dogodnych miejscach, a rybom znaleźć zawieszony na nich pokarm.

Mieli za sobą cudowny, długi dzień i wiele kilometrów w nogach. Zanim na horyzoncie zamajaczyło nieśmiało światło budzącego się dnia, ruszyli do Gravlev — osady złożonej z kilku domów przycupniętych na brzegu jeziora Gravlev Sø. Ostrożnie zakradli się do szerokiego strumienia, który wpływał do wielkiego kotła na zboczu. Był tutaj przed laty. Pamiętał, że nad samym strumieniem stoją dwa domy, i zależało mu, aby dotarli tam i wycofali się, zanim obudzą się ich mieszkańcy.

Mr. White posłusznie położył się, kiedy jego pan zdjął ubranie i bezdźwięcznie zanurzył się w lodowatej, krystalicznie czystej wodzie, choć był pewien, że kąpiel jest w tym miejscu surowo zabroniona. To było szybkie, nielegalne zanurzenie, ale najlepsze w jego życiu. Możliwe, że właśnie ta kąpiel sprawiła, że poczuł się jak nowo narodzony.

Przez resztę dnia zbierał drewno na opał, założył kilka sideł, kopał robaki, ćwiczył strzelanie z łuku — i spał. Sprawdził kompas i porównał z mapą. Trzymali się kursu.

Piętnaście minut później stanęli na skraju lasu, gdzie droga zmieniła się w ślad opon przecinający łąkę. Zbliżało się wpół do dwunastej. Na otwartej, rozświetlonej księżycem przestrzeni dostrzegł kontur gęstych zarośli. I dwie latarnie. To tam musiał stać zamek. Zatrzymał się i przez chwilę głęboko się zastanawiał, kiedy kilkaset metrów dalej, połąną drogą biegnącą tuż przy zabudowaniach, przejechał

samochód. Ostatecznie ciekawość zwyciężyła.

— No dalej, Mr. White, jeśli byłbyś tak miły! Zwiedzimy sobie zamek, zrobimy tylko małą rundkę. Żeby zobaczyć, jak też może wyglądać takie чудо. Będzie fajnie, nie sądzisz? A potem wrócimy do domu i pójdziemy spać. W drogę, staruszk.

Akurat kiedy przechodzili przez jezdnię, stało się to, co nie powinno było się stać — jakiś samochód śmignął tuż za nimi, zdecydowanie przekraczając dozwoloną prędkość. I choć obaj z Mr. White'em zdążyli wskoczyć do rowu, kierowca musiał w blasku świateł mijania zauważyć ciemną postać ludzką i białego psa. Zdenerwował się, bo naprawdę wolał pozostać niewidzialny.

Do zamku prowadziła krótka alejka, budynek był ukryty za wysokimi drzewami i zaroślami. Dwie mocne lampy rozświetlały podjazd. Na słupie przyczepiono trzy tablice. Na największej widniało ostrzeżenie: „Teren prywatny — nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Poniżej, na mniejszej tablicy, napisano: „Zamek nie jest dostępny do zwiedzania”. A jeszcze niżej znajdował się mały, żółty znak z wypisaną dużymi czarnymi literami informacją: „Teren monitorowany”.

Wyżej, na końcu alejki, dostrzegł wysoki słup, a na nim małe, czarne pudełko. W ciemności świeciła czerwona kropka — zapewne czujnik ruchu zamontowany na kamerze. Pomyślał, że chyba go nie uruchomili. Byli za daleko. Wycofali się w mrok poza zasięg lamp i wspięli się kawałek wyżej, gdzie dostrzegł przerwę w gęstych zaroślach. Chciał obejrzeć zamek od frontu.

Kilka minut później kucał za jednym z najwyższych drzew, trzymając Mr. White'a blisko siebie. Stąd widzieli obszar przed zamkiem. Działziniec był otwarty i wysypany kamkami. Po prawej stał biały budynek.

Nørlund Slot leżał skąpany w miękkim świetle reflektorów

rozmieszczonych na wąskim pasku trawy oddzielającym fosę od murów zamku. Sam zamek był mniejszy i bardziej przytulny, niż się spodziewał. Cały z czerwonej cegły i na wysokiej granitowej podmurówce. Nad dużymi, białymi oknami szprosowymi z niezliczoną liczbą małych szybek widniały łuki.

Dzięki dwóm skrzydłom przed budynkiem powstał niewielki plac, z którego na drugą stronę fosy prowadził stały most. W każdym skrzydle była oddzielna klatka schodowa, a wejście do głównego budynku, na którym granicę między piętrami zaznaczono białym zdobieniem, znajdowało się w wysokiej wieży zwieńczonej kopułą. Wszystko idealnie symetryczne. Drzwi do wieży były wejściem głównym. Właśnie powoli się otwierały.

Przycisnął Mr. White'a do ziemi i przyciągnął bliżej siebie, po czym schowali się głębiej za grubym pniem. Na plac przed zamkiem wyszedł jakiś mężczyzna. Miał na sobie ciemny garnitur i jasną koszulę. Zapalił papierosa i stał, wpatrując się w ciemność. Może to jest pan tego zamku — chciał się zaciągnąć, nim pójdzie w pielesze? Nad drzwiami dostrzegł jeszcze jedno małe, czarne urządzenie. Wokół zamku zamontowano pewnie mnóstwo kamer.

Wkrótce schodami w lewym skrzydle zszedł jeszcze jeden mężczyzna. On też był w ciemnym garniturze. Nieśpiesznym krokiem ruszył ku pierwszemu. Zamienili kilka zdań. Pomyślał, że przypominają ludzi, których kiedyś widywał nad wyraz często. A gdy jeden z nich się odwrócił, okazało się, że przecucie go nie myliło. W uchu mężczyzny dostrzegł wąski, biały spiralny kabel. Mężczyźni byli ochroniarzami.

Widok dwóch ochroniarzy o północy na dziedzińcu Nørlund Slot wywołał w nim dwie, sprzeczne reakcje: zjeżdżaj stąd i to szybko. Oraz: to dziwne, musisz to zbadać...

Pierwszy z mężczyzn zgasił papierosa i obaj weszli do

środką głównym wejściem. Zastanowił się chwilę, po czym wycofał się z powrotem przez pas drzew i zarośli na polną drogę. Kawałek dalej odchodziła wąska droga asfaltowa i biegła wzdłuż prawej strony zamku. Zachowując czujność, szli z Mr. White'em poboczem wzdłuż niskiego murka otaczającego teren zamku.

Między drzewami wciąż widać było łagodne światło latarni przy skrzydle, ale z tego, co widział, wszystkie okna były ciemne. Dopiero na końcu otoczonego murkiem terenu, który musiał być przyzamkowym parkiem, obaj przeskoczyli przez ogrodzenie i ruszyli przez zarośla ku zabudowaniom.

Skradać się z białym psem w świetle księżyca było karkołomnym zadaniem. Jeśli wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, przekonał się o tym dotkliwie, kiedy spomiędzy kwiatowych rabat wyszli nagle na otwarty teren porośnięty trawą. W budynku głównym, na samej górze, w jednym oknie paliło się światło. Z najbliższego klombu wystawał słup z kamerą. Na szczęście zwróconą w przeciwną stronę, ale i tak...

Głupotą byłoby podchodzić bliżej z fluorescencyjnym Mr. White'em. A czy miało sens zostawiać psa za murkiem i samemu skradać się przez zamkowy park jak pospolity złodziej albo podglądacz? Co właściwie spodziewał się tu odkryć? Dlaczego uznał, że wolno mu przekroczyć tę granicę? Bo zobaczył dwóch ochroniarzy? Nie, powinni wracać. I to szybko.

Zamierzał iść w prostej linii przez park i wyjść na pola po przeciwnej stronie. Stamtąd mogli przejść kawałek, trzymając się z dala od polnej drogi, i wrócić na nią dopiero, gdy zamek będzie daleko za nimi. Popędzając Mr. White'a, wskoczył pomiędzy rabaty i zanurzył się w ciemności między drzewami.

Nagle, kiedy pośpiesznie się wycofywali, coś musnęło jego

policzek. Coś dziwnego... obcego. Stał gwałtownie. I spojrzał w górę. Nad jego głową wisiało coś dużego i nieokreślonego. Sięgnął ku temu ręką.

W jednej chwili poczuł to, co jego wzrok teraz potrafił rozszyfrować. Między palcami trzymał psią łapę. Przesunął dłoń w górę, najwyżej jak był w stanie. Ciało zwierzęcia było jeszcze ciepłe i miękkie.

Odsunął się na kilka kroków. Trafił na przeszkodę i upadł. Gdy tylko dotknął poszycia, zobaczył białą twarz i fragment białego kołnierzyka świecące w świetle księżyca. Potknął się o martwego człowieka. Mężczyzna w ciemnym garniturze i z kablem przy uchu. Kolejny ochroniarz.

Natychmiast podniósł się na kolana. Odruchowo przyłożył dwa palce do szyi mężczyzny. Wyczuwał puls. Bardzo wyraźnie.

Wstał i razem z Mr. White'em rzucił się pędem, najszybciej jak potrafił.

Rozdział 13.

Ciało byłego ambasadora Hansa-Ottona Corfitzena znaleziono w pozycji siedzącej, nieco przekrzywione w antycznym fotelu, który służył mu jako krzesło biurowe. Nieliczni, którzy widzieli zmarłego pana zamku Nørlund, mogli zaobserwować jeszcze szereg innych podejrzanych okoliczności.

Komisarz Rasmus Grube z Wydziału do Walki z Przestępczością przeciwko Życiu i Zdrowiu okręgu Jutlandii Północnej siedział na schodach kilka metrów od drzwi przypuszczalnego miejsca zbrodni.

Sam jeszcze nie zaglądał do środka. Kręcił się po zamku niespokojnie jak mucha złapana w butelkę. Zdawał sobie sprawę, że był wyjątkowo szorstki, dyrygując sporym zespołem, który rozpierzchł się właśnie po budynku z przykazaniem, by stawiać kroki z najwyższą ostrożnością. Zdawał sobie bowiem sprawę również z tego, że rozpęta się burza.

Siedząc na schodach, roztrząsał fakty, które już znał. Informacje pochodziły od dzielnicowego z Arden, który był pierwszym przedstawicielem organów ścigania na miejscu i zdążył przesłuchać dwie osoby. Pierwszą z nich była sekretarka Corfitzena, starsza mieszkanka Haverslev. Drugą — człowiek zajmujący się na zamku drobnymi naprawami. To on znalazł Corfitzena, po czym natychmiast wezwał sekretarkę.

Według komendy gminnej nestor duńskiej dyplomacji siedział w fotelu z wyrazem niedowierzania w zgaszonych, szeroko otwartych oczach. Białe włosy miał potargane. Jeden

policzek był spuchnięty od ciosu, a nad brwią było niewielkie rozcięcie zaklejone cienką warstwą strupa. Najwyraźniej dość oczywiste ślady po zwykłym akcie agresji.

Bardziej tajemnicze były obserwacje poczynione przy bliższym zbadaniu ciała: oba nadgarstki ofiary były posiniaczone, jakby sprawca przytroczył Corfitzenowi ręce do oparcia krzesła ciasno zawiązanym sznurem.

Pierwsze wnioski komendanta głównego nieuchronnie zmierzały ku prostej konstatacji, że były ambasador został przywiązany do krzesła i pobity. Lecz czy na śmierć? To mogą rozstrzygnąć tylko specjaliści i w napięciu czekał na ich wstępną ocenę. Dwoje pracowników zakładu medycyny sądowej ze szpitala Skejby w Aarhus pracowało już od dłuższego czasu. Przeczuwał, że zanim zdejmą byłego ambasadora z fotela i odwiozą go do siebie, będą w stanie podać wstępny status.

Dzielnicowy z Arden błyskawicznie ściągnął na miejsce swojego kolegę ze Skørping i wspólnie przeprowadzili czynności w sposób logiczny i poprawny, mimo że w ich małych społecznościach zabójstwa pewnie zdarzały się sporadycznie.

Zaczęli od powiadomienia Wydziału Śledczego w Aalborgu. Dalej postępowali ściśle według procedury: zamknęli miejsce zdarzenia, wkładając klucz do zamka i przekręcając go, a następnie plastikową taśmą odgradzili podjazd do zamkowej alejki.

Hans-Otto Corfitzen dożył siedemdziesięciu trzech lat. Jego żona zmarła na raka przed wieloma laty, gdy jeszcze mieszkali za granicą. Mieli jedno dziecko — córkę mieszkającą w Londynie i pracującą dla jednego z dużych banków.

Sekretarka Corfitzena Hanne Larsen wyjaśniła, że od lutego Corfitzena pilnował ktoś w rodzaju ochroniarza.

Według starego ambasadora powodem były groźby ze strony dawnego partnera w interesach. Nie żeby specjalnie się nimi przejmował, ale „na wszelki wypadek”.

Niedawno w obejściu pojawiło się jeszcze czterech „w tym typie”, jak to ujęła starsza pani. Czterech małomównych i profesjonalnie poprawnych młodych ludzi. Corfitzen nazywał ich swoimi „finansistami”. Oficjalnie bowiem mieli pełnić funkcję doradców finansowych i pilnować jego spółek i budżetu. I choć sekretarka nie wiedziała nic o prywatnych inwestycjach swojego szefa — pomagała mu jedynie w codziennym prowadzeniu interesów — mimo wszystko wydało jej się to dziwne. A zresztą kończyła pracę o czternastej, więc z tajemniczymi mężczyznami miała niewiele do czynienia.

Po tym, jak znaleziono Corfitzena martwego, nikt nie widział żadnego z owych „ochroniarzy”. Komisarz oczywiście od razu polecił swoim ludziom, by odnalezienie tajemniczych mężczyzn traktowali priorytetowo. Sam jednak nie mógł się wyzbycь przeczucia, że niełatwo będzie ich znaleźć.

Jako drugiego przesłuchano złotą rączkę Poula Arvidsena. Był milczkiem i ponurakiem. Zeznał, że pełnił głównie funkcję szofera byłego ambasadora, a przez resztę czasu — ogrodnika. Do gabinetu szefa poszedł właśnie po to, by zapytać o podróż do Kopenhagi, którą mieli odbyć następnego dnia, i wtedy znalazł go martwego.

Sekretarkę zapytali jeszcze, czy poza pojawieniem się czterech tajemniczych mężczyzn zauważyła coś innego, co odbiegało od normalnego rytmu życia na zamku. Wspomniała o jednym zdarzeniu. Pies Corfitzena, wyżeł szorstkowłosy o imieniu Rufus, zaginął przed kilkoma dniami. Corfitzen uważał, że zwierzę uciekło.

Mniejsza o kundla. Najważniejsze to trzymać język za zębami i nie popełnić jakiegoś głupstwa w pierwszej,

najważniejszej fazie dochodzenia. Bo teraz docierają do punktu zapalnego.

Osobiście wiedział całkiem sporo o byłym ambasadorze Hansie-Otonie Corfitzenie. Pełnił w regionie rolę mecenasa, choć się z tym nie afiszował. Zdążył jeszcze pomyśleć, jaki piekielny zgiełk wywoła w mediach tajemnicze morderstwo hojnego posiadacza ziemskiego i dawnego czołowego dyplomaty kraju, który zarządzał między innymi organizacją dobroczynną pomagającą dzieciom, kiedy ktoś zawołał:

— Grube, zapraszamy!

Nałożył kombinezon i ochraniacze na buty. Kiedy koronerzy się wycofali, na miejsce weszli technicy kryminalistyki. Ich zadaniem było przeczesać gabinet milimetr po milimetrze, znaleźć każdy włos, każde włókno, każdy odcisk palca i każdą kroplę płynów ustrojowych. Mieli rozbić to pomieszczenie na atomy.

Stanął w drzwiach, a gdy pomachali mu, że może wejść, zrobił kilka kroków. Przyglądał się bacznie zwłokom byłego ambasadora Corfitzena. Wyglądały dokładnie tak, jak je opisał dzielnicowy z Arden. W sztywnych oczach pana na zamku malowało się niedowierzanie.

— I jak to waszym zdaniem wygląda?

Spojrzał na patolożkę — kobietę w średnim wieku, z którą zawodowo zetknął się już kilka razy. Nazywała się Dalby, polubił ją od pierwszego spotkania. Młodego mężczyznę, który jej asystował, widział po raz pierwszy.

— Wiesz, że dopiero po sekcji będziemy mogli powiedzieć coś konkretnego, ale Corfitzen nie był przecież zwykłym szarakiem, więc pewnie chciałbyś...

Przerwała, gdy zadzwonił mu telefon.

— Przepraszam cię.

Dalby skinęła przyzwalająco.

Głos w słuchawce nie musiał się przedstawiać i najwyraźniej nie miał takiego zamiaru.

— Jadę do was, Grube — usłyszał.

Jechał do nich sam inspektor Torsten Vester, szef dochodzeniówki. Po chwili milczenia dorzucił jeszcze większą bombę:

— I jest ze mną Bøjlesen. Za dwadzieścia minut jesteśmy na miejscu.

Grube rozłączył się i jęknął. Nigdy jeszcze nie widział szefa komendy regionu w pobliżu czegoś, co choć przypominałoby miejsce zbrodni. A teraz proszę — przełożony całego korpusu w Jutlandii Północnej zapragnął zwiedzić zamek. Bo przecież na uściśnięcie dłoni byłego dyplomaty i wymianę uprzejmości było odrobinę za późno.

— Przepraszam cię, na czym stanęliśmy?

— Powiedziałam tylko, że Corfitzen nie był postacią anonimową, dlatego...

— No, zdecydowanie nie był.

— Dlatego dam ci radę, Grube. Oczywiście nieoficjalnie.

— Zamieniam się w słuch — odparł szybko.

Patolożka przymknęła oczy, by lepiej się skupić, i po chwili zaczęła swoje wstępne sprawozdanie.

— Ślady przemocy: dwa widoczne skaleczenia na twarzy, oba stosunkowo niegroźne, najwyraźniej od uderzenia. Jedno skaleczenie z tyłu głowy o wyraźnych krawędziach. Brak obrażeń obronnych na przedramionach, nieliczne sińce, ślady ucisku, jak po brutalnym szarpaniu. Sińce na obu nadgarstkach. Ich rozmiar i umiejscowienie nasuwają uzasadnione podejrzenie, że Corfitzen był przywiązany — powiedziałabym, że jest to fakt. Zgon nastąpił między

dwudziestą pierwszą a trzecią nad ranem dziś w nocy. Przyczyna śmierci: żadne z powyższych. Jako że obecnie nie znamy stanu zdrowia Corfitzena ani jego historii medycznej, wszelkie spekulacje są bezcelowe. Będziesz musiał poczekać...

— A strach, szok, silne emocje... one mogą zabić człowieka, prawda?

Patolożka przytaknęła, nim zakończyła swój raport.

— Miejsce zdarzenia: gdy go rozbierzemy, będziemy mogli zlokalizować plamy opadowe. Nic jednak nie wskazuje, że do zabójstwa nie doszło tutaj, ewentualnie, że tu nastąpił zgon.

— Czyli teoretycznie mógł paść ofiarą brutalnej napaści, a potem, już po zniknięciu sprawcy, spokojnie umarł, siedząc na krześle. Być może z przyczyn naturalnych — z powodu wylewu czy czegoś podobnego.

— Teoretycznie, tak. Chociaż z tego, co pamiętam, raczej nie lubisz snuć przypuszczeń.

— Mój szef tu jedzie i jest z nim komendant regionu. Będę musiał im coś powiedzieć. Niech to szlag, szykuje się prawdziwy nalot.

Kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Bøjlesen? No to masz przechlapane... W takim razie dam ci wersję poszerzoną — znaj moje dobre serce. Pierwszy cios był w twarz. Po nim Corfitzen przewrócił się i stąd uraz z tyłu głowy. Drugi uraz twarzy sprawca zadał z rozmysłem — aby nastraszyć Corfitzena albo wzmocnić swoją argumentację. Corfitzen bowiem siedział przywiązany do krzesła. Krzesło stoi nietypowo, mniej więcej na środku gabinetu. Zatem raczej nie usiadł spokojnie za biurkiem i nie umarł po pobiciu. Sądzę, że umarł wskutek zawału.

Komisarz Grube zdążył jeszcze zrobić szybki obchód zamku. Wszyscy uwijali się jak mogli. Wyglądało na to, że

każdy robił to, co do niego należało.

Wrócił do mostu nad fosą w samą porę, by zobaczyć, jak były ambasador Hans-Otto Corfitzen opuszcza swoje ziemskie dobra zakryty białym prześcieradłem na noszach wsuwanych właśnie do karetki.

Cholernie przykro odchodzić w taki sposób. Takie długie życie w służbie kraju, tyle lat spędzonych pod obcym niebem — najwięcej chyba w Europie Wschodniej — i wszystko to znalazło swój nagły, brutalny koniec akurat tu, w Nørlund, dopisując kolejny tragiczny rozdział do dramatycznej historii kilkusetletniego grodu.

Komisarz pomachał sanitariuszom z karetki, którzy właśnie wyjeżdżali alejką. Chwilę później z przeciwnego kierunku nadjechał rozpędzony passat, strzelając spod kół zwirem. Przyjechała sama góra. Prywatnym wozem szefa dochodzeniówki.

Komendant regionu zerwał się z fotela pasażera, jakby swoimi szybkimi ruchami i błyskawiczną reakcją mógł cofnąć czas i zapobiec temu, co już się stało.

Przywitali się, po czym obaj szefowie odwrócili się i rozejrzeli po okolicy. Kiedy z powrotem spojrzeli na komisarza, zaczęło się:

— Jak go zabito? — zapytał komendant Bøjlesen prosto z mostu, jakby już dawno ustalono, że doszło do zabójstwa.

Grube zaczął wyjaśniać wszystkie niuanse, ale nim nakreślił całą złożoność sytuacji, Bøjlesen mu przerwał:

— Jacyś podejrzani?

Grube wziął głęboki oddech. O komendancie wiedział tylko tyle, że zajmował kiedyś kierownicze stanowisko w Kopenhadze, ale pochodził z północnej Jutlandii i teraz wrócił do *domu* — przywożąc ze sobą pośpiech i cięty język, typowe dla ludzi ze stolicy. Najbardziej wkurzające było to,

że gość wpada jak burza, bo zabójstwo arystokraty-celebryty, niegdysiejszej gwiazdy dyplomacji, niewątpliwie odbije się echem w mediach. Nigdy się nie zdarzyło, by jakiś szef śpieszył na miejsce zdarzenia, kiedy znajdowali martwego narkomana z nożem do chleba w gardle.

— Jak mówiłem, zanim mi przerwano: tak naprawdę nie wiemy jeszcze, czy doszło do zabójstwa. W związku z tym za wcześnie, by mówić o podejrzanych.

Komendant odburknął coś zniecierpliwiony i wyraźnie niepokieszony. Vester wyglądał, jakby zamierzał załagodzić sytuację, kiedy szybkim krokiem podszedł do nich jeden z pracujących na miejscu ludzi.

— Grube, na końcu ogrodu znaleźliśmy coś ciekawego — zaczął jeden z bardziej doświadczonych policjantów w wydziale. — Grób...

— Grób?

— Tak. Pochowano w nim psa, dlatego pomyślałem...

— Otóż to! Zawsze gdzieś leży pies pogrzebany — wtrącił komendant i wydał z siebie dziwaczny ryk.

— Czy to może być zaginiony pies Corfitzena? — zapytał Grube.

— Tak. Ogrodnik to potwierdził. Znaleźliśmy też wyraźne ślady między klombami. Ciężkie, wysokie buty, męski rozmiar — i ślady psich łap. Nie tego, który zdechł — innego psa.

— Macie odciski?

— Właśnie się do nich zabieramy.

— Dobrze, idę z tobą. Prowadź.

Grube wykorzystał pretekst, by się oddalić za swoim współpracownikiem, ale jeszcze się odwrócił i rzucił pośpiesznie:

— Możecie zresztą sami wejść na górę i obejrzeć domniemane miejsce zbrodni. Gabinet na pierwszym piętrze, w budynku głównym. Są tam technicy.

Sprytnie to rozegrał. Był pewien, że żaden z szefów nie oprze się pokusie, by się zagłębić w zamkowych komnatach i pooddychać chłodnym powietrzem sali rycerskiej.

— Co to za odciski? — zapytał Grube, kiedy obchodzili ogród naokoło.

— Porządnych podszew, jak traperów albo czegoś w tym stylu. Zaczynają się przy murku biegnącym wzdłuż drogi i pojawiają się ponownie po drugiej stronie trawnika. Przez całą drogę towarzyszą im ślady psich łap. Obok albo kilka kroków w tyle. Najprawdopodobniej białego psa — znaleźliśmy kłak sierści w jeżynach... Od pewnego miejsca, między drzewami, mężczyzna nagle rzucił się biegiem w stronę pól, jakby coś go goniło. Widać to po odległości pomiędzy odciskami butów.

— A grób z psem?

— Znaleźliśmy go na końcu parku, w krzakach.

Rozdział 14.

Właśnie wzeszło słońce, ale on od dawna był na nogach. Wstał jeszcze w środku nocy. Teraz siedział na pieńku w swojej kryjówce i bacznie przyglądał się tropowi znikającemu między wierzbami. Wsparł łuk jedną ręką, na udach miał przygotowaną 35-gramową strzałę myśliwską.

Ledwie zapadł w płytki, niespokojny sen, kiedy pojawiła się ona: Dziewczynka z lalką. Stała jak zawsze w ruinach. Milcząca, brudna i ściskająca w małej rączce lalkę Barbie. Lalka nie miała nóg i jednej ręki. Głowa i włosy stopiły się w czarną, bezkształtną masę. Sukienka była czerwona. Dziewczynka miała oczy dziewięćdziesięcioletniej staruszki. I nie odwróciła ich ani o milimetr.

Gdy w końcu się obudził i zorientował, gdzie jest, wiedział, że nie ma już szans, by ponownie zasnąć tej nocy.

Poprzednim razem przyszedł Krowiarz. Nie było reguły. Pewne było jedno: po spotkaniu z kimkolwiek z Siódemki napięcie w ciele i głowie utrzymywało się godzinami.

Dziewczynka z lalką nawiedziła go w momencie, w którym i tak wyczuwał zbliżające się nieszczęście. Minął tydzień od jego nocnej wizyty w Nørlund Slot. Tydzień po tym, jak widział mężczyzn w czerni, psa z pętlą na szyi i nieprzytomnego mężczyznę na ziemi tuż obok — i od karkołomnej ucieczki przez las i chaszczę.

Mełł w głowie kolejne obrazy, wracając pośpiesznie do obozu z Mr. White'em przy boku. Tak intensywnie je roztrząsał, że chwilami wierzył, że uroił sobie to wszystko w swojej chorej głowie. Bajkę o nic nieznaczącym człowieczku, który ze swoim psem postanowił odwiedzić zamek w środku

lasu. Egzaltowaną, dramatyczną opowieść, zrodzoną wśród tajemniczych, posrebrzonych księżycem kolumn sosen, i dlatego...

Pokazał się, samiec. Ostrożnie stąpał przez moczary.

Po pierwszej, nieudanej próbie nie porwał się już na żadne zwierzę, lecz codziennie ćwiczył strzelanie w obozowisku. Wciąż daleko mu było do dawnej skuteczności, ale czuł się wystarczająco pewnie, by zaryzykować strzał z dwudziestu metrów.

Kozioł stanął, węszył czujnie. Ostatecznie uznał, że nic mu nie zagraża, i w dwóch skokach znalazł się w swoim stałym miejscu przy strumieniu. Zaczął pić.

Wsunął strzałę, napiął łuk i czekał, aż zwierzę uniesie głowę, wtedy będzie mógł oddać idealny strzał. Strzała w setną sekundę przyspieszała od zera do trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Siła odrzutu zwolni mechaniczny grot z trzema ostrzami, które wbiją się w ciało zwierzęcia jak nóż w zostawione na stole masło. Najważniejsze to trafić zwierzę w odpowiednie miejsce — i by w ogóle w nie trafić.

Wreszcie, gdy zwierzę na moment przestało pić i niepewnie podniosło głowę, odrobinę poprawił pozycję, dopasował ostrze i strzelił. Kozioł pokręcił głową, wykonał kilka lekkich, spokojnych skoków w przód, jakby chciał po prostu kontynuować swoją wędrówkę w górę strumienia. Po jakichś dziesięciu, piętnastu metrach obrócił się wokół własnej osi, jak pies, który zamierza się położyć. A potem umarł z takim spokojem, jakby tylko się zdrzemnął.

Polowanie z łukiem nie ma w sobie nic brutalnego, nie ma żadnego efektu przerażenia, a strzała nie rozrywa zwierzęcia jak kula strzelby. Jeśli się dobrze wymierzy, powstaje jedynie chirurgiczna rana o średnicy dwudziestu ośmiu - trzydziestu milimetrów, przebijająca ciało zwierzęcia na wylot. Wyszedł

z kryjówki i ruszył wzdłuż strumienia.

Strzała przebiła idealnie oba płuca kozła, który zdechł z braku powietrza w ciągu kilku sekund. Wieczorem czeka ich niebiańska uczta z pysznego udźca.

Ogarnęło go przyjemne ciepło. Wiele lat minęło, odkąd mógł przykleknąć przy tak pięknej zdobyczy.

Charakterystyczny warkot dobiegł go, kiedy był jeszcze całkiem daleko. Stopniowo się nasilał, w miarę jak helikopter zbliżał się nad dolinę.

Przedarł się przez gąszcz porastający brzeg Lindenborg Å, kiedy go usłyszał. Instynktownie wszystkie zmysły przeszły w stan gotowości. Rzucił kozła w trawę i kucnął. Helikopter był całkiem blisko. Gęste zarośla wzdłuż rzeki były najlepszą kryjówką.

Nie był w stanie dostrzec helikoptera, ale miał wrażenie, że przez moment wisiał w miejscu, jakby jego załoga chciała uważniej się czemuś przyjrzeć. Wiedział, że dobrze zamaskował ich obóz, ale Mr. White mógł zerwać się z uwięzi, żeby się przyjrzeć gościom z powietrza.

Po chwili helikopter ruszył, szatkując powietrze śmigłem. Dźwięk był coraz głośniejszy. Rzucił się plackiem na ziemię.

► „Tango 21, tu Tango 24. Taksówka do domu. Kontakt wzrokowy spodziewany wkrótce. Utrzymaj pozycję i oczekuj na nowy rozkaz.

Tango 21. Zrozumiałem. Bez odbioru”.◀

Za kilka sekund Chinook przeleci nad przełęczą i gładko wsunie się w dolinę Szah-i-Kot, by trzymając się blisko ziemi, dotrzeć do strefy. Wystarczy poczekać, a za moment w chmurze pyłu stanie ich taksówka. Wystarczy wytrzymać jeszcze kilka minut.

► „Tango 24, tu Tango 26. Pozycja talibów za

nawisem, północny zachód, sto metrów. Widać wyrzutnię. Kurwa, namierzyli Chinooka. Czekam na rozkaz, odbiór.

Tango 24, zdjęć ich. Natychmiast! Trzymaj kurs. I czekaj na sygnał. Jak zrozumiałeś? Odbiór”.◀

Kra, kra... gdzieś do lotu zerwała się wrona. Zerknął w stronę smugi światła przecinającej rzekę. Tuż nad piaszczystym dnem prześlizgiwały się trzy małe pstrągi.

Znów spojrzał w górę. Nadleciał. W przerwie między liśćmi mignął helikopter. Buczał jak wielka osa nad niecką doliny, przeszukiwał zbocza, by ponownie wznieść się wyżej i po skosie odlecieć w górę rzeki, w stronę drugiego brzegu. Zygzakiem przemieszczał się w górę doliny. Mógł się poruszać w ten sposób tylko w jednym celu: by przeczesać teren.

Ostatecznie jego dźwięk zniknął w oddali. Pozostał w ukryciu jeszcze jakiś czas, a potem wstał i zarzucił sobie zwierzę na szyję. Niepokój, jaki w nim zasiała wizyta w Nørlund, teraz uderzył w niego z całą mocą.

Rozdział 15.

Była to kłótnia z gatunku tych, które potrafią się jątrzyć całymi dniami. Stłumione wyrzuty. Powietrze gęstniało od tego, co niewypowiedziane, a oni mogli jedynie syczeć na siebie i warczeć, bo okoliczności nie pozwalały na wszczęcie awantury z prawdziwego zdarzenia, która niewątpliwie szybko i skutecznie oczyściłaby atmosferę.

To była ich piąta doba w miejscu, które Duńczycy nazywali „hotelem we dworku”. Hotel nazywał się Bramslevgaard i leżał niedaleko Hobro, wśród pagórków północnego krańca fiordu Mariager, którego błękitna tafla migotała zachęcająco zaledwie kilkaset metrów dalej. Urocze miejsce. Mogliby tu znakomicie odpocząć, gdyby powaga sytuacji nie przytłoczyła ich obojga tak, że kłótnie były nieuniknione.

W recepcji zameldowali się jako Helena i Konrad Sikorski z Barsinghausen na południowy zachód od Hanoweru — dokładnie tak, jak stało w ich paszportach. Lecz język, w którym się kłócili, był inny, niż by wynikało z ich dokumentów — rosyjski z litewskimi naleciałościami. Kłótnia w egzotycznym języku w miejscu na wskroś duńskim byłaby równoznaczna z obwieszczeniem swojej obecności przez megafon. Dlatego zza drzwi pokoju numer siedemnaście dochodziły jedynie ściszone, kąśliwe pyskówki.

— To przez ciebie i twój cholerny temperament znaleźliśmy się w takim położeniu — rzuciła Helena, kobieta po trzydziestce, o łagodnych, regularnych rysach twarzy, brązowych oczach i kruczoczarnych włosach zebranych na karku w ciasny kucyk, który teraz podrygiwał energicznie.

— Mówisz to po raz setny. Najłatwiej być mądrym po czasie. Nie sądziłem, że stary będzie taki zawzięty. Ile razy mam ci to mówić, żebyś zakumała? I skąd miałem wiedzieć, że jest taki schorowany, co?

Konrad, mówiąc, wymachiwał rękami. Wolałby porządnie wrzasnąć, aż sufit by się zawalił. Twarz miał czerwoną od kipiącej w nim złości. Wokół oczu i przy ustach miał głębokie zmarszczki, za to zakola były mało widoczne, bo rudawe włosy zostały ogolone niemal przy samej skórze. Mimo wszystko wyglądał na sporo starszego od niej — mógł mieć jakieś czterdzieści parę lat.

Każdy, kto by ich zobaczył, uznałby, że jest absolutnym szczęściarzem, mając przy boku taką piękną panią Sikorski.

— To chyba oczywiste, że ze starszymi ludźmi należy się obchodzić delikatnie. Przecież to logiczne. Twój ojciec też ma problemy z sercem, prawda? I co teraz zrobimy, ha? Powiedz, co u licha zrobimy?

Przez cały dzień myślała, jak w tej sytuacji wywiążą się z zadania, ale niczego nie wymyśliła.

Nie odpowiedział, tylko chodził w tę i z powrotem po pokoju jak dzikie zwierzę w klatce. Na moment ponownie zatrzymał się przy oknie. Wydawało się, że kręcą się w miejscu. Mnóstwo oskarżeń i potencjalnych powodów, dla których ich plan się nie powiódł, ale wciąż nic konstruktywnego.

— Muszę wyjść na powietrze. Wtedy będzie mi się lepiej myślało. I kto wie, być może mam pewien pomysł... Ale muszę jeszcze przemyśleć parę rzeczy. Przejdziesz się ze mną? Będziemy mogli normalnie wszystko obgadać.

Wśród pagórków znaleźli ławkę, usiedli na niej. Poniżej było dość stromo, w dole lśnił fiord, otoczony zielenią.

— Ładnie tu, prawda? Duńczycy mają szczęście, że żyją w

takim ładnym miejscu. Wszędzie tak czysto i schludnie, żadnych żebraków, żadnych problemów. To chyba najwięksi szczęściarze na świecie, nie sądzisz?

Jej naiwną egzaltację skomentował tylko niezrozumiałym mruknięciem. Chociaż miała rację: tu było ładnie.

— Gdyby zimna wojna przeszła w prawdziwą wojnę, to możliwe, że siedzielibyśmy teraz na terenie Rosji — powiedział za to.

— Głupi jesteś. Wtedy niczego by nie było. Ale przecież ciebie wychowali do innego myślenia.

— Nie wychowali mnie do żadnego myślenia. Wychowali mnie, żebym sobie radził. Słuchaj... Ostateczna decyzja należy do ciebie, ale mam pomysł, który moim zdaniem się sprawdzi.

— Mów.

— To jest tak, jakbyśmy po śladach w śniegu weszli do gęstego lasu, a teraz przyszła odwilż i ślad zniknął.

— Jak poetycko.

— Co wobec tego powinniśmy zrobić? Poczekać, aż na szlaku pojawi się ktoś, kto zna drogę.

— Wolałabym, żebyś wyrażał się precyzyjniej.

— I kiedy się pojawi, to ukradkiem pójdziemy za nim.

— A jeśli się nie pojawi?

— Pojawi się. To pewne. Zrobiło się bardzo nerwowo, a tacy jak oni nie lubią tego rodzaju sytuacji. Nie są do nich przyzwyczajeni. Przywykli mieć wszystko pod kontrolą. W obliczu strachu ludziom zawsze spadają maski. Bez względu na to, kto będzie naszym przewodnikiem, musimy być w gotowości, by w każdej chwili ruszyć jego śladem.

Siedziała i kiwała głową, powoli przesuwając wzrokiem po

fiordzie i krajobrazie rozciągającym się za jego niebieskim pasem. W jego ustach brzmiało to tak prosto. Nigdy się nie bał. A jeśli już, to potrafił okiełznać swój strach tak, że żadne, najmniejsze nawet drgnięcie twarzy go nie zdradzało. Prawdziwy zawodowiec.

— Ale... — zaczęła powoli, z rozmysłem — to czekanie może być niebezpieczne. Sporo ryzykujemy, poruszając się tuż za ich plecami.

— To zostaw mnie.

Jego wzrok przykuła żaglówka w oddali. Znakomity dzień na postawienie żagli. Słońce i lekki wiatr.

— Możemy też powiedzieć „pas” i zawrócić — podsunął.

Długo trwało, nim odpowiedziała. Żaglówka do tego czasu schowała się za drzewami porastającymi zbocze.

— Zaszliśmy za daleko, by się teraz wycofać. Zrobimy, jak mówisz.

Rozdział 16.

Mały oddział złożony z pięciu ciężko uzbrojonych mężczyzn szybko przedzierał się przez ciemne poszycie leśne.

Musieli być już naprawdę blisko, bo dowodzący oddziałem komisarz Grube przed chwilą dał im do zrozumienia przez krótkofalówkę, że odtąd muszą zachować najwyższą ostrożność.

Gęste korony drzew iglastych prawie nie przepuszczały światła, ale po prawej udało mu się dostrzec jakiś cień. Słyszał też od czasu do czasu trzask łamanych gałęzi. Ich oddział nie był może sprawnie działającą maszyną do zadań specjalnych, ale wszyscy byli porządnymi, doświadczonymi gliniarzami. A to wystarczyło. Musiało wystarczyć. Bez wahania odmówił wezwania jednostki specjalnej policji, AKS^[1]. Na Boga, przecież to antyterrorysty. A zadanie, które mieli do wykonania tego ranka, nie miało z terroryzmem nic wspólnego.

Zeszli kawałek w dół zbocza. Tu nie było już iglaków, ale wciąż niewiele było widać, bo nadal było za ciemno.

— Zaczekamy tu, na skraju, aż się przejaśni — zakomenderował szeptem komisarz przez swój nadajnik.

Każdy z nich miał oczywiście swoją normalną służbową broń, do tego wszyscy, poza Grubem, dostali specjalnie na tę akcję pistolety maszynowe Heckler & Koch MP5 z dalmierzem i celownikiem laserowym.

Komisarz nie przepadał za noszeniem broni, dlatego zrezygnował z pistoletu maszynowego. Ciężkie uzbrojenie

nie było zresztą jego pomysłem, tylko szefa.

W ostatnich dniach ziściło się to, co przewidział w ciągu tamtych kilku minut, kiedy pogrążony we własnych myślach siedział na schodach przed gabinetem zamordowanego dziedzica: śmierć Hansa-Ottona Corfitzena postawiła na nogi cały kraj. Stąd interwencje samej góry i stąd polecenie dozbrotzenia oddziału, skoro tak kategorycznie odrzucił pomysł wezwania AKS. Komendant regionu odwiedzał ich teraz codziennie, żeby odebrać ustny raport — i bez zbędnych ceregieli wywierać presję na pracę wydziału.

A fakt był taki, że w swojej pracy nie posunęli się ani o krok. Kolejnym faktem było to, że jeśli zbyt długo będą tkwili w impasie, to on, Grube, zostanie odsunięty od kierowania dochodzeniem. Lecz choć wciąż czekali na przełom w śledztwie, dzisiejsza poranna akcja była marnotrawstwem zasobów. Bo konkretnie cel operacji był następujący: znaleźć mężczyznę z białym psem.

W którymś momencie od zakończenia majowych ulew człowiek ten znalazł się w parku zamkowym. I już. To wszystko. Cały teatr i pistolety maszynowe były wyłącznie pod publikę.

A publika kochała dramaty, mimo że w krzykliwych nagłówkach i dziwacznych relacjach telewizyjnych z ostatnich dni nie było ani krztyny prawdy. Odkąd zwrócili się do mediów z prośbą o pomoc w odszukaniu mężczyzny z białym psem, rozpętało się piekło.

Osobiście dołożył wszelkich starań, by w komunikatach podkreślano, że policja chciałaby jedynie *porozmawiać* z tym człowiekiem. Na próżno — ten mało ciekawy drobiazg utonął w morzu makabrycznych spekulacji.

„Obłąkany pustelnik może stać za zabójstwem ambasadora” — tak brzmiał nagłówek, który zapamiętał najlepiej. Dziennikarze wypytywali przypadkowe osoby na

ulicach Rebild. A gdy gazety albo lokalna telewizja zaczynają starą śpiewkę, że „przecież ludzie, którzy mieszkają w lesie, często są chorzy psychicznie”, poczciwi mieszkańcy miasteczka ochoczo przytakują, tworząc malownicze tło kreowanego dramatu.

Mężczyzna z psem był więc opisywany na przemian jako psychicznie chory, szaleniec albo psychopata. To ostatnie było najgorsze. Bo przecież tacy bywają uzbrojeni... Przecież musi coś jeść. Czyżby na domiar wszystkiego był kłusownikiem?

I dlatego komisarz Rasmus Grube i jego ludzie muszą teraz leżeć w trawie na zboczu doliny rzeki Lindenberg Å, w kamizelkach kuloodpornych i z bronią maszynową. Mimo że nie mają nawet dokonać *zatrzymania podejrzanego*, a jedynie odnaleźć potencjalnego świadka.

Rozejrzał się w otaczającym ich mroku i zerknął na zegarek. Wkrótce zacznie świtać.

Komunikat w mediach przyniósł choć jeden pożytek — udało się ustalić, że mężczyzna z białym psem nie jest zjawą, lecz istnieje naprawdę. Jakiś dzieciak z Haverslev widział go, jak przechodził przez drogę przy Nørlund Slot późnym wieczorem. Wcześniej na policję zadzwoniła młoda kobieta, która pracowała jako pomoc kuchenna w Rold Storkro. Nakryła go, gdy szukał resztek w ich śmietniku. Zrobiło jej się go żal i dała jemu i psu sporą porcję jedzenia. Kobieta określiła go jako „trochę dziwnego”.

Komisarz natomiast nie miał pojęcia, kto czeka na niego w ciemności. Wiedział tylko, że śmigłowiec poszukiwawczy znalazł w dolinie białego psa i ślad czegoś, co mogło być obozowiskiem. Dostał współrzędne i miał GPS-a. Potrzebował jedynie odrobiny światła.

Mimo wszystko, jeśli miał być szczerzy, trochę się denerwował. Ponieważ nie poczynili żadnych postępów w

sprawie czterech tajemniczych mężczyzn, którzy najprawdopodobniej byli ochroniarzami Corfitzena, a obecnie rozplynęli się w powietrzu, mężczyzna z psem był jedynym konkretnym tropem, za którym mogli pójść.

I prawdą jest, że gdy politycy bez najmniejszych skrupułów i wbrew elementarnej przyzwoitości wprowadzają kolejne cięcia w służbie zdrowia, to często uderzają one w opiekę psychiatryczną. Liczba łóżek w szpitalach stale się zmniejsza i pacjentów wypuszcza się możliwie jak najszybciej — na ulicę albo do domu, gdzie mogą się gapić w smutne cztery ściany. Potwierdzają to również policyjne statystyki, do których osoby psychicznie chore trafiają niestety nad wyraz często.

Zatem... Możliwe, że przyjdzie im się skonfrontować z nieszczęsnym dziwakiem i jego białym czworonogiem. Nieszczęśnikiem, któremu społeczeństwo powinno podać pomocną dłoń, zamiast wymachiwać mu przed nosem pięścią w postaci ciężko uzbrojonego oddziału zrywającego go z łóżka o świcie.

— Dobra, powoli możemy ruszać w dół.

Cichy rozkaz komisarza wprowadził w ruch ich małą grupkę. Schodzili w dół zbocza i dalej, przez pas porośnięty wierzbami. Przeszli w bród lodowaty strumień, którego rwąca woda przy okazji zmyła część błota z ich śmierdzących spodni i butów, ale po drugiej stronie i tak ciągnęły się mokradła, więc w sumie nic to nie dało. Dopiero pięćdziesiąt metrów od celu poczuli pod stopami pewny grunt.

Komisarz uznał, że w końcu udało mu się zlokalizować obóz. Kazał swoim ludziom podczołgać się w wysokiej trawie na tym ostatnim odcinku.

Gdy byli jakieś dwadzieścia metrów od zwałonego dębu, rozdzielili się i otoczyli teren. Ledwie jednak zdążyli zająć swoje pozycje, kiedy pies zaczął szczekać jak szalony, ukryty

pod zieloną plandeką, którą teraz mogli dostrzec pod kamuflażem. Niech to szlag, kundel był czujny jak jasna cholera. Ale czego niby się spodziewali? Szczekał, jakby go obdzierali ze skóry.

Był środek nocy, a on wciąż nie mógł zasnąć. Spróchniałe kikuty zębów Krowiarza wżerały się w jego serce i duszę. Upiorny Serb któregoś dnia pożre go całkiem, wyszarpując mięso kęs po kęsie. A jeśli nie da rady, to jest jeszcze szóstka innych upiorów, gotowych mu w tym pomóc. Męka nigdy się nie skończy. Może właśnie ta refleksja skłoniła go do kapitulacji — wziął kilka głębszych oddechów i skręcił jointa.

I dlatego spał tak twardo, kiedy Mr. White zaczął ujadać. I nawet kiedy już usłyszał jego alarmujące szczekanie, długo trwało, zanim obudziła się świadomość. Niezliczone sekundy później dotarło do niego, gdzie się znajduje i że alarm podniesiony przez jego towarzysza powinien potraktować z najwyższą powagą.

Prawą ręką całkiem już przytomnie sięgnął pod poduszkę, po sztylet Bowie. Rzucił się z posłania na ziemię i wyczołgał spod plandeki. W pierwszej chwili nic nie widział. Zaraz jednak dostrzegł kształt, który podniósł się na kolanach w wysokiej trawie jakieś dwadzieścia metrów od niego.

— Halo! Jesteśmy z policji. Chcemy z panem porozmawiać. Proszę wstać!

Policja? Jednak nie czuł się jeszcze w pełni obudzony, myśli wciąż miał ciężkie od głębokiego snu. Policja? Czego mogli chcieć? W jego obozowisku?

Aż nagle zrozumiał. I tak naprawdę dopiero teraz niepokój, który czuł podskórnym, wyłonił się na powierzchnię w całej krasie. Mogło im chodzić tylko o jedno, Nørlund Slot, powieszony pies, nieprzytomna postać pod drzewem — i mężczyźni w ciemnych garniturach. Załoga helikoptera wytropiła ich obóz.

Powoli się podniósł. Teraz wyraźnie już widział dookoła ciemne kształty wystające z trawy. Kiedy całkiem się wyprostował, rozłożył ręce i wypuścił z dłoni nóż.

Teraz kształty się podniosły. W sumie cztery – pięć osób z pistoletami maszynowymi i w kamizelkach kuloodpornych. Boże drogi, co tu się dzieje?

Mr. White znów zaczął szczebrać, głośno i z bezgraniczną wściekłością. Jak zakłęcie powtarzał sobie w głowie: niech White nie zrobi niczego głupiego. Niech nie waży się wykonać choćby jednego podejrzanego ruchu, który może sprawić, że nerwowo spoczywający na spuście palec się zaciśnie.

Przywołał psa do siebie, poklepał go po grzbiecie i pogłaskał. I na jego komendę zwierzę posłusznie położyło się obok niego.

Widząc, jak jego uzbrojeni po zęby koledzy w skupieniu przedzierają się do przodu, by zakończyć manewr, komisarz Rasmus Grube mimowolnie pomyślał, że wysoki, szczupły mężczyzna, który właśnie został przez nich otoczony, zapewne nie posiada się ze zdziwienia.

Ich wyposażenie i to, że go budzą w taki sposób, musi być dla niego sporym zaskoczeniem, bez względu na to, czy jest psychicznie chory, czy nie. Ale przynajmniej go znaleźli, a dokładnie tego wszyscy od nich oczekiwali.

— Proszę się nie ruszać, proszę stać spokojnie... I niech pan będzie uprzejmy przypilnować psa. Nie chcemy zrobić panu krzywdy. Chcemy tylko spokojnie porozmawiać. Dobrze?

Byli zupełnie blisko mężczyzny z białym psem. Wyglądał na zaniedbanego. Brodę miał długą i skołtunioną, a tłuste ciemne włosy związane w niski kucyk.

Mężczyzna stał tylko i mamrotał coś do psa, żeby go

uspokoić. Potem wolno skinął głową. Była to pierwsza oznaka jakiegokolwiek aktywności intelektualnej w jego nieruchomej postaci.

— Nazywam się Rasmus Grube. Jestem komisarzem policji. Proszę wybaczyć, że nachodzimy pana w ten sposób, ale w naszej pracy mamy do czynienia z tak różnymi sprawami i sytuacjami, że jesteśmy zmuszeni zachować pewne środki ostrożności — wyjaśnił, wskazując głową na kolegów, wyraźnie już odprężonych. Dalej mówił ściszym, uprzejmym głosem:

— Tak naprawdę chcielibyśmy pana zabrać na komisariat w Aalborgu celem... wyjaśniającej rozmowy. Co pan na to?

Mężczyzna znów nieznacznie się uśmiechnął. Do czego tu się uśmiechać? Może mimo wszystko nie rozumiał powagi sytuacji, może nie rozumiał, że gdy zakradają się do niego uzbrojeni policjanci, to nie są żarty.

— Zatem... chcielibyśmy z panem porozmawiać o paru rzeczach. I chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami na komisariat w Aalborgu. Zgadza się pan?

— Jestem o coś podejrzany? Jeśli tak, to o co? — zapytał mężczyzna.

— Podejrzany? Nie, chcemy tylko porozmawiać.

— Wobec tego możemy chyba porozmawiać tutaj?

Grube pokręcił przecząco głową.

— Wolelibyśmy, żeby pan pojechał z nami na komisariat.

— O czym miałyby być ta rozmowa?

— Chcielibyśmy porozmawiać o... pewnych wydarzeniach, które miały miejsce w Nørlund Slot przed kilkoma dniami. Czy był pan na zamku?

Mężczyzna przytaknął.

— W porządku. Niech mi pan powie, jak się pan nazywa.

— Niels.

— Niels... a jak dalej?

— Oxen... Niels Oxen.

Komisarz z trudem się opanował i stał tylko, bacznie przyglądając się mężczyźnie. Ostatecznie nie był jednak w stanie dłużej hamować zaskoczenia.

— Niels Oxen... a niech mnie... co ty tu robisz?

— Znasz go, Grube? — Kolega stojący najbliżej nie umiał powstrzymać ciekawości.

— Znam jak znam. Wiem, kto to jest. To jest...

Szukał odpowiedniego słowa. Musi uważać na to, co teraz powie. Chciał, aby zabrzmiało to zdecydowanie, ale życzliwie. Bez spoufalania się, ale i bez przesadnej skromności.

Wreszcie dokończył:

— Niels Oxen przez jakiś czas był ze mną na roku w szkole policyjnej. To weteran, należał do Jægerkorpset^[2]. Żołnierz, który posiada najwyższe odznaczenie w kraju.

[1] Politiets Aktionsstyrke — *przyp. tłum.*

[2] Elitarna jednostka wojsk specjalnych duńskiej armii, odpowiednik polskiego GROM-u — *przyp. tłum.*

Rozdział 17.

Kiedy komendant Bøjlesen dowiedział się, że znaleziono i doprowadzono na komisariat mężczyznę z białym psem, w pierwszej chwili uśmiechnął się z zadowoleniem. Ale kiedy usłyszał, jak się nazywa człowiek, którego tak intensywnie szukali, przez jego twarz przemknął cień. Choć tak nieznaczny, że komisarz Grube go nie dostrzegł.

— Niels Oxen... — Komendant w zamyśleniu złapał się za podbródek. — Weteran i były komandos.

— Zgadza się.

— Najwyżej odznaczony duński żołnierz w historii.

— Odznaczony Medalem Armii za Odwagę — i to trzykrotnie. Ze złotym liściem dębu — tak to się chyba nazywa, kiedy się go dostaje po raz trzeci.

— Trzy razy? Niech mnie, całkiem sporo — mruknął Bøjlesen.

— To nie koniec: Niels Oxen jest pierwszym, który otrzymał Krzyż Waleczności — było to wówczas zupełnie nowe wyróżnienie honorowe. Najwyższe, jakie mamy. Nadal tylko on może się nim poszczycić. Żeby je otrzymać, trzeba dokonać czegoś naprawdę nadzwyczajnego.

— Czyli facet z białym kundlem to nasz największy bohater wojenny? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć? — Komendant zmarszczył czoło z niedowierzaniem.

— W rzeczy samej. Można powiedzieć, że dosłownie nikt w kraju nie dorasta mu do pięt. Wygugłowałem go, kiedy wróciliśmy z lasu. Zdaniem samego szefa obrony prawdopodobnie nie ma człowieka zdolnego zrobić więcej,

niż zrobił Oxen. Dokonań Oxena po prostu nie da się prześcignąć — tak stwierdził w wywiadzie szef obrony narodowej.

— A wiemy chociaż, jakież to bohaterskie czyny owego Oxena doprowadziły do jego kanonizacji?

— Nie starczyło mi czasu, by się w to zagłębić...

— Czyli mamy łachmaniarza bez środków do życia, który w rzeczywistości jest taki odważny i bohaterski, że bez wątpienia przejdzie do historii. Niech to szlag, Grube, to delikatna sprawa. Media dostaną amoku. Uwielbiają takie historie. Sentymentalne bzdury. A przecież przy wszystkich swoich wyczynach człowiek może być zarówno winny, jak i psychiczny. Nie byłby to bynajmniej pierwszy weteran ze zwichrowaną psychiką. Wciąż mógł zabić Hansa-Ottona Corfitzena, nawet jeśli go hołubią narody stąd do bieguna południowego.

Komisarz pomyślał, że nie był to również pierwszy raz, kiedy komendant pomijał coś tak nieznaczącego jak twarde dowody. Corfitzen nie został zabity. W każdym razie nie w potocznym rozumieniu tego słowa. Zespół z instytutu medycyny sądowej szybko odkrył szczegóły zgonu. Jeszcze tego samego dnia, gdy znaleziono starego ambasadora, dostali wiadomość od koronera.

Hans-Otto Corfitzen umarł w fotelu z powodu ostrego zawału serca, całkiem bezbronny. W dokumentach nazwano to AMI albo *infarctus myocardii*. Wywołały go najprawdopodobniej stres i agresja, której padł ofiarą.

— Kiedy zaczynamy przesłuchanie? — zapytał na koniec komendant.

— To nie jest przesłuchanie, lecz *rozmowa*. W której Oxen uczestniczy dobrowolnie. Za pół godziny.

— A gdzie on jest teraz?

— W moim gabinecie.

— Dobra, obejrzę go sobie po drodze. W końcu chyba wolno człowiekowi być odrobinę ciekawskim, prawda. Skoro to taki bohater...

Komendant Max Bøjlesen spojrział przeciągle zza otwartych drzwi, przechodząc korytarzem. „Przybij go do ściany”, szepnął komisarzowi do ucha, nim ten wszedł do środka.

I teraz Niels Oxen siedział naprzeciwko niego ze swoim białym psem przy nodze. Ponieważ okazja była wyjątkowa, rozmowie miał się przysłuchiwać jego szef, inspektor Torsten Vester. Komisarz Grube natychmiast poczuł, że Oxen śmierdzi jak gnu.

— Nie zaszkodzi wpuścić tu trochę świeżego wiosennego powietrza — mruknął, otwierając szeroko okno.

Kiedy podniósł wzrok na Oxena po drugiej stronie małego, owalnego stolika, nie był w stanie oderwać oczu od jego twarzy i przestać sobie wyobrazać, jakie dokonania mogły wynieść tego człowieka tak wysoko ponad średnią, którą stanowili zwykli ludzie, tacy jak on sam. Tak czy inaczej, Oxen bardzo się zmienił. Rysy twarzy się wyostrzyły i wyglądał na znacznie starszego. Zresztą minęło też sporo lat.

W szkole policyjnej Niels Oxen był znaną postacią, bo już wtedy został odznaczony za odwagę. Był tak odważny jak żaden student przed nim. Odważny? Co właściwie sprawiało, że człowiek się taki stawał? Czy to cecha wrodzona nielicznych wybrańców? Czy raczej każdy ma wbudowaną funkcję odwagi, którą może w sytuacji ekstremalnej uruchomić, wciskając guzik?

— Powiedz mi, Oxen, dlaczego nie skończyłeś szkoły policyjnej?

Komisarz najprawdopodobniej próbował przełamać lody,

nawiązując do ich wspólnej przeszłości — kierowała nim też zwykła ciekawość.

Wzruszył tylko ramionami. Już i tak dużo się nagadał, odkąd wysiadł z pociągu w Skørping tamtego idiotycznego dnia pierwszego maja. Najpierw z dziewczyną od gulaszu, a teraz z policją. Nie przywykł tyle mówić. Męczyło go to. Ponownie wzruszył ramionami.

— Czasem po prostu człowiek czuje, że pora ruszyć dalej.

— Więc zostałeś komandosem w Korpusie Łowców?

Skinął głową.

— Czytałem, że Łowcy uczestniczyli w niektórych naszych międzynarodowych misjach w ostatnich latach. W Iraku, Afganistanie. Zastanawiam się... czy ty też byłeś za granicą? Uczestniczyłeś w działaniach wojennych?

Głupie pytanie. Nikt by mu tego nie powiedział. Odparł w jedyny rozsądny sposób: — Być może.

Komisarz Grube westchnął. Jego szef, inspektor Vester, siedział tylko, nic nie mówiąc, z nogą założoną na nogę. Oxen spokojnie drapał Mr. White'a za uchem.

— Przejdźmy do sprawy. Nie będzie ci przeszkadzało, że będę nagrywał?

Skinął ponownie.

— Dobrze. Na początek kilka kwestii formalnych. Wielu żołnierzy po powrocie z misji rozmawia z psychologami. Czy ty również?

— Dlaczego pytasz?

— Chcemy tylko uściślić.

— Tak, odpowiedź brzmi: tak.

— Czy pozwolisz nam później zapoznać się z powstałą wówczas dokumentacją?

— Nie widzę związku ze sprawą. Odpowiedź brzmi: nie. Proszę przejść do sedna.

— Rozumiem. Jak ci pokrótce wyjaśniłem dziś rano, sprawa dotyczy śmierci byłego ambasadora i właściciela ziemskiego Hansa-Ottona Corfitzena. Na miejscu zabezpieczyliśmy odciski butów pasujące do twoich podeszew, możemy więc chyba zgodnie potwierdzić, że byłeś na miejscu zdarzenia?

— Tak.

— Kiedy?

— Osiem dni temu.

Grube porównał odpowiedź Oxena z pisemnym wyjaśnieniem młodego kierowcy, który widział mężczyznę z białym psem. Data się zgadzała.

— Czy byłeś już wcześniej na zamku Nørlund? Wiem, że Rold Skov jest popularnym miejscem wśród myśliwych.

— Nigdy.

— Znałeś Hansa-Ottona Corfitzena?

— Nie.

— I nigdy o nim nie słyszałeś?

— Nie.

— Po co więc poszedłeś tamtej nocy do zamku?

— Chciałem go obejrzeć.

— Czy zamierzałeś...

Zadzwoniła komórka Torstena Vestera. Vester odebrał i nim wybiegł z gabinetu, przeprosił ich i poprosił, by na moment przerwali. Po krótkiej chwili wsunął głowę do środka.

— Grube, mogę cię prosić na momencik?

Grube i Vester naradzali się na korytarzu. Dzwonił Bøjlesen, mocno niezadowolony. Przedstawiciele Policyjnej Służby Wywiadowczej, PET, zapowiedzieli swoje przybycie do Aalborga w ciągu półtorej godziny.

I to nie jacyś przypadkowi współpracownicy z Aarhus, ale z kwatery głównej w Søborgu. Delegację stanowili sam szef i jego prawa ręka — szef operacyjny. Nieskrywane zdenerwowanie komendanta brało się stąd, że obecność PET przeważnie oznaczała problemy, dodatkową pracę i naciski zarówno na wewnętrzną hierarchię wydziału, jak i na tego, kto w tej hierarchii zajmował miejsce najwyższe — czyli na niego samego.

— Już tu lecą. Najwyraźniej kazali się zawieźć na lotnisko w tej samej sekundzie, kiedy dowiedzieli się, kim jest mężczyzna z psem. Grzecznie poprosili, żeby wstrzymać się z rozmową z Nielsem Oxenem do ich przyjazdu. Chcą przy niej być — wyjaśnił Vester.

— Nie pojmuję tego. — Grube pokręcił głową z niedowierzaniem. — Przecież ci dwaj nigdy nie włączają się do działań operacyjnych, od tego mają ludzi. Nie powiedzieli nic więcej?

— Nie. Poprosili tylko Bøjlesena, żeby poczekał z rozmową, aż będą na miejscu. Tylko tyle. Na pewno nie wysłałeś im *czegoś*, co mogłoby ich aż tak zaciekawić?

— Cholera, nic mi o tym nie wiadomo. Zwykle dokumenty, jak przy rutynowym postępowaniu, Sam je zresztą widziałeś — odparł Grube.

Komisarz informował PET na bieżąco, o co go prosił inny komisarz z Søborga. To, że służby wywiadowcze interesuje śmierć Hansa-Otona Corfitzena, rozumiało się samo przez się. Przez pewien czas był bodajże najbardziej wpływowym duńskim dyplomatą wszech czasów i miał kontakty na salonach całego świata. Uczestniczył również kilkukrotnie w

charakterze eksperta i doradcy PET w rozwiązywaniu problemów z udziałem ambasad.

Albo, jak to podsumował kolega komisarza z Søborga: Corfitzen w ciągu swojego długiego życia zbierał doświadczenia zarówno w dyplomacji, jak i w działalności odbywającej się w jej cieniu — szpiegostwie. I to z tej wiedzy w głównej mierze czerpało PET.

— Obawiam się, że wyjaśnianie śmierci Corfitzena będzie jak wędkowanie we wzburzonej wodzie — westchnął inspektor.

— Masz na myśli coś konkretnego? — dociekał Grube.

— Sam zobacz: z jednej strony mamy martwego arystokratę, tuza dyplomacji, mecenasa, prezesa think tanku, obywatela świata — i zarządcę tartaku. Z drugiej strony mamy najodważniejszego człowieka w królestwie, który w moim przekonaniu jest psychicznie chorym biedakiem — w takim czy innym sensie. A tu z linii bocznej nadciąga sama góra służby wywiadowczej, Mossman i Rytter, i to w te pędy, samolotem. Nie wiem, jak dla ciebie, ale dla mnie to oznacza spory zamęt.

— Kiedy tylko go zobaczyłem martwego w tym fotelu, wiedziałem, że pakujemy się w prawdziwe błoto — zgodził się Grube. — Do tego Bøjlesen, który najchętniej widziałby gotowe rozwiązanie wczoraj. Zapytał mnie, czy mam na Oxena wystarczająco dużo, żeby go aresztować i postawić przed sądem.

— Najwyraźniej on też ma nie po kolei w głowie.

Torsten Vester zmusił się do uśmiechu i ruszył do swojego gabinetu. Grube wrócił do siebie i usiadł na wprost Nielsa Oxena, który siedział nieruchomo z dłonią na głowie psa.

— Oxen, czy możemy odłożyć naszą krótką rozmowę na jakieś dwie godziny?

— Powiedziano mi, że jeśli z wami przyjadę, to szybko się z tym uwiniecie. Mój pies nie najlepiej czuje się w tym miejscu.

— Chodzi o PET... Leci do nas najwyższe kierownictwo. Poprosili, żebyśmy na nich poczekali, nim zaczniemy z tobą rozmawiać. Chcieliby uczestniczyć w rozmowie. Dlatego...

— PET? Czego chcą?

Komisarz rozłożył bezradnie ręce.

— Nie mam pojęcia.

— Mam w nosie PET. Możesz im dać taśmę z nagraniem. Kontynuujmy — nalegał weteran.

— Zatem odmawiasz?

Oxen przytaknął.

— Jeśli nie zechcesz współpracować, będę zmuszony cię aresztować.

— Aresztować? Za co?

— Ten kozioł, którego masz w obozowisku... Mogę cię aresztować za kłusownictwo na terenie gospodarstwa leśnego Nørlund. Chyba że go znalazłeś w dziale mięsnym w Brugsenie w Skørping. *Au naturel* — z rogami i całą resztą.

Rozdział 18.

Komisarz Grube nie dysponował wystarczająco dużym gabinetem, żeby się w nim zmieścił tłum, jaki przyciągnęła tak zwana rozmowa z postacią historyczną i bohaterem narodowym Nielsem Oxenem. Przenieśli się więc do sali konferencyjnej, gdzie główni uczestnicy wydarzenia oraz cały garnitur wizytatorów rozsiedli się przy dużym stole.

Rasmus Grube czuł lekką treść, wiedząc, że jego rozmowie z Oxenem przysłuchiwać się będą zarówno Bøjlesen, jak i najwyższe kierownictwo PET. Bardzo szybko może wyjść na głupka, bo w rzeczywistości nie było zbyt wielu konkretów, na których mógłby się oprzeć.

Komendant Jutlandii Północnej Max Bøjlesen wszedł pierwszy i naturalnie zajął miejsce honorowe na końcu stołu. Uraczywszy przybyłych stosownie uprzejmym grymasem, chciał oczywiście pokazać, że on jest tu gospodarzem. Tak dostojnych gości należy ostatecznie przyjąć z odpowiednim szacunkiem, choć to trudne, kiedy chętniej niż ich twarze widziałoby się ich plecy.

Grube usiadł naprzeciwko Oxena. Po jednej stronie komisarza usiadł Torsten Vester, a po drugiej szef operacyjny PET Martin Rytter. Byli mniej więcej w tym samym wieku — mogli mieć po czterdzieści kilka lat, tak jak Oxen.

Rytter stosunkowo szybko wspiął się na jedno z najwyższych stanowisk służby wywiadowczej. W policji mówiło się, że ma tak ostry umysł, że można się skaleczyć, jeśli się nie uważa. Grube zauważył, że gdy Rytter skinął Oxenowi na powitanie, na jego opalonej twarzy zamajaczył

lekki uśmiech.

Obok Ryttera usiadła kobieta. Jej się nie spodziewali. Kiedy tercet z PET pojawił się na komendzie, powiedziała tylko „dzień dobry”. Nazywała się Margrethe Franck i była asystentką, jak to określono. W jednym uchu miała jakąś dziwną srebrną ozdobę. Jasne włosy obcięte krótko, prawie jak maszynką. Możliwe, że jej ponury nastrój wynikał z tego, że coś ją bolało. Grube zauważył, że powłóczy nogą.

Ostatnią osobą, która weszła do sali, był sam szef Policyjnej Służby Wywiadowczej, najznamienitszy Axel Mossman we własnej osobie. Był tak postawny, że gdyby stanął w futrynie drzwi, którymi wszedł, same drzwi byłyby zbędne.

Mossman dobił sześćdziesiątki w znakomitej formie i w zasadzie całe życie był w PET. To on przeprowadził w organizacji trudne, lecz konieczne zmiany po 9/11 i do dziś dbał o jej rozwój, by pozostała nowoczesną służbą wywiadowczą na miarę czasów, jakie nastały.

Axel Mossman zdjął kaszkiet, ale zanim usiadł, obszedł stół, stanął przy Oxenie i wyciągnął do niego swoją wielką jak bochen prawicę.

— Oxen, dzień dobry... Axel Mossman. Czuję się zaszczycony, że mogę pana poznać. Dokonał pan rzeczy imponujących. Ze wszech miar imponujących. Żałuję, że w takich okolicznościach, ale być może będziemy mieli możliwość porozmawiać później.

Sceptycznie podszedł do wylewnej serdeczności szefa PET, ale uściśnął jego dłoń i skinął krótko głową. Nic nie powiedział. Bo nie wiedział, co miałyby powiedzieć.

Potem z powrotem położył dłoń na głowie Mr. White'a. Załatwił coś do jedzenia i picia swojemu wiernemu towarzyszowi, ale czuł, że samojed bardzo chciałby już wyjść na świeże powietrze. On sam czuł podobnie.

Odchylił się na krześle i przyjrzał się Mossmanowi, który niczym współczesny Goliat przeciskał się bokiem, by zająć miejsce jako ostatni po prawej. Wiedział bardzo dużo o Axelu Mossmanie. Znane w całym kraju nazwisko miał po angielskich przodkach ojca i był szefem służby wywiadowczej jeszcze w czasach, kiedy on sam zaczynał naukę w szkole policyjnej.

Równie dobrze można by go nazywać *sir* Axel albo *lord* Mossman. Wszystko w tym olbrzymie było arcybrytyjskie. Nosił zgniłozieloną tweedową marynarkę w wielką kratę, zgniłozielone płócienne spodnie, kaszkiet, który trzymał w ręce, oczywiście również był tweedowy i w kolorze mchu. Najbardziej przypominał angielskiego dżentelmena, który wybiera się na polowanie na głuszce w górach Szkocji albo zapragnął porzucić wędka muchową przy River Tay.

Mossman w końcu zasiadł i przesunął dłonią po cienkich, siwych włosach. Niektórzy uważali, że utrzymuje bliskie kontakty z samą górą w MI5 i MI6. Osobiście nie zdziwiłby się, gdyby tak było. Mossman to człowiek instytucja.

Tam i z powrotem przesunął wzrokiem po wizytacji, która zebrała się po drugiej stronie stołu. Miał przed sobą cały garnitur najznakomitszych mężów w kraju — i jedną kobietę, która przed chwilą spojrzała mu twardo w oczy, bez najmniejszego mrugnięcia ani śladu uśmiechu. Miała charakterystyczny srebrny kolczyk w kształcie węża wijącego się w górę wzdłuż krawędzi lewego ucha. Przed sobą miała iPada.

Na końcu stołu siedział Max Bøjlesen. Już wcześniej wielokrotnie przyglądał mu się ukradkiem. Wyglądał tak jak dawniej, choć trochę przytył, a przez to twarz mu się zaokrągliła. To sprawiało, że wydawał się sympatyczniejszy, niż go zapamiętał. Ale nie wolno dać się zwieść pozorom. Ten człowiek to wilk w owczej skórze.

Choć komendant regionu zrobił minę, jakby spotykali się po raz pierwszy, niespecjalnie udało mu się go nabrać. Kątem oka dostrzegł, że Bøjlesen również bacznie mu się przygląda.

Komisarz Grube grzebał w swoich papierach. Będzie musiał zaczynać od początku.

On z kolei będzie musiał uzbroić się w cierpliwość. Nie wyobrażał sobie, że ma teraz udzielać długich i wyczerpujących odpowiedzi. W tym momencie absolutnie nie czuł się niewidzialny. Czuł się jak zając, który dał się złapać we własne sidła.

Komisarz odkaszlnął i zaczął od nowa, zadając te same pytania, na które on udzielił takich samych odpowiedzi dwie godziny wcześniej. Siedzący naprzeciwko delegaci z PET przyglądali się wszystkiemu z kamiennymi twarzami.

Zbliżali się do momentu, w którym skończyli poprzednim razem.

— Czy znałeś Hansa-Ottona Corfitzena? — ponownie zapytał Grube.

— Nie — odpowiedział tak jak poprzednio.

— I nigdy o nim nie słyszałeś?

— Nie.

W tej samej chwili dostrzegł nieznaczne poruszenie w spokojnym dotąd spojrzeniu asystentki. Równocześnie usta Axela Mossmana lekko się zacisnęły.

Nigdy wcześniej nie słyszał o zmarłym posiadaczu ziemskim, dlatego nie mógł odpowiedzieć inaczej. Grube kontynuował:

— Dlaczego poszedłeś na zamek?

— Chciałem go obejrzeć.

I teraz byli w miejscu, w którym przerwali.

Komisarz wydawał się bardziej spięty niż przy poprzedniej rundzie.

— Mówisz, że chciałeś tylko obejrzeć zamek. Czy mógłbyś rozwinąć swoją nieco... lapidarną odpowiedź? W jakim sensie obejrzeć? Przyjrzeć się architekturze? Obejrzeć fosę, konstrukcję dachu, klomby w ogrodzie, w jakim sensie *obejrzeć*, Oxen?

— Wiele razy bywałem w Rold Skov. Komandosi często mają tam ćwiczenia. Ale nigdy wcześniej nie widziałem zamku, tylko o nim słyszałem. Byłem... ciekawy.

— I dlatego udałeś się tam ze swoim psem o wpół do jedenastej wieczorem, czy tak?

Przytaknął.

— Zatem, jeśli byłbyś tak uprzejmy, powiedz nam, co było dalej. I poprosimy o szczegóły.

Czuł się, jakby stał przed trybunałem. Tyle że tym razem zgłosił się dobrowolnie. A teraz, choć najchętniej zwinąłby się stąd czym prędzej, było już za późno.

Przywołał w pamięci cały swój uśpiony arsenał słów i zaczął opowiadać, jak z ukrycia obserwował dwóch mężczyzn na dziedzińcu zamkowym. Wyjaśnił też, że ich obecność w tym miejscu i ich wygląd tylko dodatkowo rozbudziły jego ciekawość.

— Pomyślałeś, że to pracownicy ochrony, jakiegoś rodzaju stróże?

— Tak.

— Ale Corfitzena nigdzie nie widziałeś, czy tak?

— Zgadza się, nie widziałem.

— Dobrze, mów dalej.

— Ruszyliśmy z psem boczną dróżką biegnącą na prawo od zamku, wzdłuż murku. Chcieliśmy wejść do ogrodu. I tak zrobiliśmy — na końcu przeskoczyliśmy przez murek, przedarliśmy się między drzewami i krzakami i wyszliśmy na otwartą przestrzeń ogrodu.

— Dlaczego chciałeś się znaleźć w ogrodzie?

— Żeby sprawdzić, czy tam również są ochroniarze. Czy nie dzieje się tam nic podejrzanego. Ale teren był zbyt odsłonięty... i jeszcze biały pies... Dlatego przeszliśmy przez trawnik i przedarliśmy się przez krzaki, żeby wyjść na pola po drugiej stronie... i wrócić do domu.

Przerwał na chwilę.

Zakręciło mu się w głowie od tego całego gadania. A właśnie dotarł do momentu, od którego musi uważać. W swojej opowieści już pominął jedną ważną informację, teraz zamierzał pominąć kolejną. Jakiś głos w tyle głowy powtarzał mu, że korzystnie i rozważnie będzie nie dawać trybunałowi wszystkiego od razu.

— Kiedy skradaliśmy się między drzewami, oddalając się od ogrodu, coś musnęło mnie po twarzy. To było coś dziwnego. Wyciągnąłem rękę i okazało się, że między palcami trzymam łapę. Psią. I wtedy nad głową zobaczyłem psa powieszzonego za szyję. Zacząłem biec najszybciej jak umiałem, przez krzaki, w stronę pola.

— Chcesz powiedzieć, że wpadłeś w panikę?

Wzruszył ramionami i wolno skinął głową.

— Ty, najodważniejszy ze wszystkich ludzi na ziemi, wpadłeś w panikę? — Komisarz Grube zmarszczył nos.

— Tamto to było bardzo dawno temu... Teraz wolę mieć święty spokój.

— A w ogrodzie nie widziałeś nikogo? Żadnych

ochroniarzy, niczego niezwykłego?

— Nie.

— Czy to wszystko, Oxen?

— Tak.

Siedzący przed nim obserwatorzy zaczęli się wiercić niespokojnie na swoich krzesłach. Czy pozwolą mu wreszcie stąd iść? Podrapał Mr. White'a za uchem, żeby mu dodać otuchy.

Grube spojrział pytająco w jedną i drugą stronę. Mossman dał znak głową, że chce o coś zapytać.

— Proszę mi powiedzieć... — zaczął szef PET. — Z Kopenhagi do Rold Skov jest spory kawałek drogi. Po co pan tu przyjechał?

— Żeby gdzieś wyjechać, mieć spokój.

— Tak po prostu?

— Dawno temu znalazłem w gazecie artykuł, który wyrwałem i zachowałem. Opisował historię weterana, który zrobił to samo, tyle że w innym lesie. Powiedział, że to była najlepsza decyzja w jego życiu. Pomyślałem, że może to będzie coś dla mnie.

— Artykuł w gazecie, mówi pan... rozumiem. — Mossman ponownie pokiwał głową. I więcej się nie odezwał.

Teraz Rytter dał znak, że chce coś powiedzieć, i wyjął z teczki milczącej asystentki z węzem w uchu jakąś kartkę.

— Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci, dziewięćdziesiąty piąty i dziewięćdziesiąty szósty — Bośnia. Dalej, w Korpusie Łowców: tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty — Kosowo, dwa tysiące drugi — Afganistan, dwa tysiące piąty — Kosowo, dwa tysiące siódmy — Irak, dwa tysiące dziewiąty ponownie Afganistan. Lista pańskich misji jest imponująco długa, panie Oxen. Dlaczego

tyle razy wyjeżdżał pan za granicę?

— To była moja praca. Byłem żołnierzem.

— Ale wiele z tych misji to misje międzynarodowe.

Wzruszył ramionami. Czy oni nie zamierzają nigdy skończyć?

— Pozostali mają ich tyle samo.

Rytter najwyraźniej planował mu zadawać kolejne pytania szczegółowe, ale ostatecznie rozłożył tylko ręce i skinął głową w stronę komisarza, oddając mu głos.

— Skoro nikt nie ma dalszych pytań, na razie dziękujemy za współpracę, Oxen — zakończył Grube.

W tym, że na terenie Nørlund Slot były kamery przemysłowe, nie było nic dziwnego — montowano je w każdej szanującej się duńskiej szkole publicznej dotkniętej plagą wandalizmu. A jednak nie wspomniał ani słowem, że je widział.

Nie powiedział też o nieprzytomnym mężczyźnie, o którego się potknął, kiedy znalazł wiszącego psa. Obie informacje były istotne dla śledztwa. Zakładał, że nagrania z monitoringu zostały już dawno zabezpieczone przez policję. I że ani jego, ani Mr. White'a nie widać na żadnym z nich, bo w przeciwnym razie cały ten teatr byłby zbędny.

Szef PET został jeszcze chwilę z komisarzem Grubem, podczas gdy pozostali powoli opuszczali salę konferencyjną. W końcu pomieszczenie opuścił również Grube. Na coś się zanosilo i wcale mu się to nie podobało.

— Oxen, czy możemy chwilę porozmawiać? — zapytał Axel Mossman i nie czekając na odpowiedź, zamknął drzwi, jakby nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby się spotkać z odmową.

Skinął głową.

— Dobrze. — Mossman przeszedł bokiem na drugą stronę stołu i usiadł na najbliższym krześle. — To samojed?

Skinął ponownie.

— Cudowne psy, samojedy. — Mossman pogłaskał Mr. White'a po plecach. — Też mam psa. Goldeną. Nazywa się Bonnie.

Stracił najwyraźniej umiejętność mówienia o niczym, bo ostatnimi czasy mówił tak mało. Nie potrafił w żaden sposób skomentować tego, co mówił szef PET, i było mu kompletnie obojętne, czy ma psa, czy nie, podobnie jak miał w nosie, czy pies nazywa się Bonnie, czy Clyde.

Czekał więc tylko, aż Mossman przejdzie od usypiającego czujność wątku „między nami, psiarzami” do sedna sprawy. Stało się to sekundę później — i w istocie zaskoczył go:

— Pan kłamie — szepnął Axel Mossman, wciąż głaszcząc miękkie futro Mr. White'a. — Kłamie pan, panie Oxen.

Trudno powiedzieć, czy szef PET liczył, że przez zaskoczenie zdradzi się jakimś nerwowym ruchem na krześle. W każdym razie Goliat, patrząc mu prosto w oczy, powtórzył:

— Wiem, że pan kłamie... A jeśli kłamie pan w jednej ważnej sprawie, to przecucie mi podpowiada, że kłamie pan również w innych sprawach. Albo o czymś nie mówi. Mam rację?

— Nie kłamie.

Wytrzymał wzrok Mossmana.

— Znam fakty, które potwierdzają moje twierdzenie — ostrzegł Mossman.

Głównodowodzący służby wywiadowczej zaatakował frontalnie, po czym odchylił się na krześle. Wyglądał na zafrasowanego, kiedy splótł przed twarzą ogromne dłonie.

Oxen wciąż się nie odzywał. Jeszcze chwila i dowie się więcej. Ludzie pokroju Mossmana nie strzelają ostrą amunicją, jeśli nie mają zapasowego magazynku.

— *Well...* Zastanawiam się, czy nie chciałby pan pracować bezpośrednio dla mnie przy tej tak zwanej sprawie Corfitzena. Posiada pan wyjątkowe umiejętności. Do tego ma doświadczenie w policji. Nasza współpraca byłaby oczywiście całkowicie nieoficjalna. Za to dobrze płatna. Bardzo dobrze płatna.

Okej, teraz naprawdę go zaskoczył. Że niby proponuje mu pracę? Być tajnym wężycielem Mossmana? Goliat-anglofil rzucił w niego kamieniem i trafił prosto w czoło.

— Nie, dziękuję — wydukał.

— Nie chce pan poznać szczegółów mojej propozycji?

— To zbędne.

— Skąd tak jednoznaczna odmowa, jeśli wolno zapytać?

— Nie chcę się w nic mieszać. Jestem obecnie... zajęty. Mam inne sprawy na głowie.

— W porządku, Oxen. Uważałem, że warto spróbować. Jeśli zmieni pan zdanie, proszę, oto moja wizytówka.

Przyjął biały kartonik, wiedząc, że go wyrzuci do najbliższego śmietnika.

— A tak na marginesie, Oxen — jak *an oxe*, ma pan brytyjskie korzenie?

— To staroduńska pisownia „okse”.

— Identyczna jak angielska. To ciekawe... No cóż, na mnie już czas. A pan pewnie wraca do Rold Skov, czy tak? Na dziś dziękuję.

Uścisnął dłoń szefa PET. Nie zamierzał go pytać o kłamstwo, o które go oskarżył. Nie da mu tej satysfakcji.

Zresztą może Mossman zarzucił wędkę w ciemno, nie spodziewając się niczego konkretnego. W końcu jest zapalonym wędkarzem.

W drzwiach szef służby wywiadowczej odwrócił się jeszcze, jakby nagle coś mu się przypomniało.

— Co się zaś tyczy mojego stwierdzenia, że pan kłamie, Oxen przez x, to miejscowa policja zapewne wkrótce również to odkryje, czyż nie? Do zobaczenia.

Rozdział 19.

Po szybkim, kurtuazyjnym lunchu z komendantem Maxem Bøjlesenem i dwiema osobami z najwyższego kierownictwa policji Jutlandii Północnej szef służby wywiadowczej Axel Mossman szybkim krokiem przemierzał długi korytarz wraz ze swoją asystentką Margrethe Franck i szefem operacyjnym Martinem Rytterem. Komisarz Grube czekał na nich w swoim biurze, by przed wyjazdem odbyć jeszcze krótką odprawę na temat sprawy Corfitzena.

Grube czekał na nich ze świeżą kawą i z czterema kubkami, przygotowany, by im przedstawić mało imponujące wyniki pierwszych dni śledztwa w sprawie dramatycznych okoliczności śmierci Corfitzena. Na jego biurku niebezpiecznie rosła sterta dokumentów.

Grube ściśle trzymał się swoich notatek i omawiał wydarzenia i wyniki w kolejności chronologicznej, by dać swoim gościom najlepszy ogląd sytuacji. Na wiele informacji wciąż jeszcze czekali. Trzeba było dokładnie przejrzeć dane zarówno z komputera stacjonarnego w gabinecie Corfitzena, jak i z jego laptopa. Jego działalność jako założyciela i prezesa think tanku Consilium generowała tony dokumentów, do tego dochodziła masa papierów związanych z prowadzeniem zamku i przynależącego do niego konglomeratu. Ale dobrzy śledczy to tacy, którzy przywykli do żmudnej rutyny, dlatego bez obaw, w końcu uda im się przez to wszystko przebrnąć.

Szef operacyjny PET Martin Rytter bezlitośnie uderzył w najślabszy jak dotąd punkt ich dochodzenia:

— Innymi słowy, macie potwierdzone zeznania, że na

terenie obiektu przebywało pięciu ochroniarzy, ale żadnego z nich nie znaleźliście?

— Szukaliśmy ich wszędzie: w rozliczeniach wynagrodzeń, wyciągach z rachunków bankowych, billingach telefonicznych i internetowych, przepytывaliśmy ludzi w supermarketach, sklepach nocnych, na stacjach benzynowych, przejrzelismy nagrania z kamer przemysłowych w miasteczku — ani śladu.

— A co z monitoringiem na terenie posiadłości? Bo chyba tam również są kamery? — Rytter nie dawał za wygraną, a asystentka zawzięcie wszystko notowała na iPadzie.

— Nie ma. Nigdzie ani jednej kamery. Kiedyś były, ale według Arvidsena, który pracuje tam jako złota rączka, w zeszłym roku je zdjęto, bo ciągle się psuły.

— A Oxen? Co pan o nim sądzi? — wtrącił Mossman.

— Cóż, dziś to chyba po prostu... nieszczęśliwy człowiek, prawda? I na pewno nie pierwszy weteran wojenny, który zaszył się głęboko w lesie. Ale ja mu wierzę. Myślę, że naprawdę po prostu był ciekaw. Jego wieczorna wizyta na zamku miała przecież miejsce wiele dni przed śmiercią Corfitzena.

— Ale mógł tam wrócić. Za pierwszym razem mógł po prostu przyjść na rekonesans — podsunął Rytter.

— Pańska teoria jest równie prawdopodobna jak moja — odparł krótko Grube. Nie podobało mu się, że zdawanie raportu stopniowo zmienia się w przesłuchanie przez inkwizycję z Søborga. A tymczasem nikt z tego tercetu nie skalał się pracą w terenie. Nigdy tego nie robili.

— A co pan sądzi o sprawie powieszzonego psa Corfitzena? Czy ten wątek stanowi element pańskiego dochodzenia? — Szef operacyjny nie dał się zbić z tropu i sprytnie przeskakiwał od pytań zamkniętych do otwartych i z

powrotem.

Grube wzruszył ramionami. Pytanie dotyczyło kolejnego elementu, którego wciąż nie umiał dopasować do reszty tej przeklętej układanki.

— Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, co myśleć o cholernym psie. Ambasador go uwielbiał i zabierał ze sobą niemal wszędzie. Pisałem o tym w jednym z raportów... Zatem jeśli ktoś powiesił psa Corfitzena, zrobił to, by mu zadać ból. Zemsta — albo groźba — albo ostrzeżenie. Coś w ten deseń, nie sądzi pan? Tak czy inaczej, kilka dni później Corfitzen nie żył.

Martin Rytter rozsiadł się wygodniej, tym razem z zadowoloną miną. Co do powieszzonego psa, interpretacja komisarza pokrywała się idealnie z jego własną.

W dalszej części rozmowy omówili pozostałe wątki i tropy w sprawie. Ogromna sieć kontaktów Corfitzena i jego szeroka i różnorodna aktywność zawodowa sprawiały, że liczba osób, które mogły mieć związek ze sprawą, wydawała się niemożliwa do zweryfikowania. I właśnie w tym Grube dostrzegł swoją szansę na odparowanie ataku:

— Hans-Otto Corfitzen był waszym doradcą w sprawach związanych z dyplomacją i ambasadami. Jeśli rozpatrujecie jakiś konkretny trop, to zakładam, że jako prowadzący śledztwo zostaną o tym poinformowani.

— Naturalnie — potwierdził trochę za szybko Rytter.

— Pozwólcie więc, że zapytam, bez dalszego kluczenia: dlaczego u licha przylecieliście bezzwłocznie tylko dlatego, że ktoś taki jak Niels Oxen został doprowadzony celem złożenia wyjaśnień? Mogliście przecież poczekać na wydruk rozmowy.

Żaden z trójki gości najwyraźniej nie zamierzał odpowiedzieć na to pytanie. W końcu Mossman westchnął

głęboko i wyjaśnił:

— Sądziłem, że uda się z niego wyciągnąć coś więcej. Wyobrażam sobie, że przez szczególny status sprawy Corfitzena jest pan zmuszony działać pod sporą presją, komisarzu Grube?

Grube mógł jedynie przytaknąć.

— Otóż zapewniam pana, że u nas jest podobnie. Wieloletnia aktywność Corfitzena... cóż, powiem tylko, że to nazwisko odbija się echem na wielu korytarzach włącznie z tymi w Christiansborgu^[3]. Jego autorytet sprawia, że i my, w Søborgu, odczuwamy znaczną presję. Ludzie zadają pytania i oczekują szybkich odpowiedzi. Stąd nasze nadzwyczajne zainteresowanie sprawą, komisarzu Grube.

Szef PET podniósł się z krzesła i stanął w całym majestacie swojej potężnej sylwetki. Spojrzał na zegarek i powiedział:

— Powinniśmy się już zbierać. Mamy jeszcze parę spraw do załatwienia, skoro już tu jesteśmy. — Po czym zdjął z oparcia krzesła tweedową marynarkę. Jego świta bezbłędnie odczytała sygnał do odwrotu. Margrethe Franck, która dotąd nie odezwała się ani słowem i tylko przysłuchiwała się wszystkiemu w skupieniu, zakładając skórzaną kurtkę, stanęła przy biurku komisarza.

— Ejże! — wyrwało jej się, gdy podniosła plastikową koszulkę leżącą na szczycie sterty papierów. — Pan interesuje się sprawą Bergsøe?

Pokazała koszulkę pozostałym, żeby mogli zobaczyć znajdujący się w niej artykuł z wielkim nagłówkiem: „Szef wywiadu zginął w tajemniczym wypadku”.

Artykuł dotyczył śmierci adwokata Mogensa Bergsøe na jeziorze Borre Sø. Był przewodniczącym komisji z Wambergu, która nadzorowała działania obu duńskich służb

wywiadowczych — wojskowej i policyjnej.

Powody, dla których artykuł na biurku komisarza zwrócił uwagę Margrethe Franck, były dwa: PET, bez względu na informacje podawane przez miejscową policję, było wciąż bardzo daleko od zamknięcia sprawy śmierci Bergsøe, którą ze względu na wyjątkową pozycję ofiary należało zbadać z najwyższą wnikliwością. Drugi powód był taki, że ten artykuł nie powinien się znajdować tu, w Aalborgu, lecz w Holstebro, u kolegów komisarza z regionu Jutlandii Środkowej i Zachodniej, w którego jurysdykcji leży Silkeborg.

— To nie moje — wyjaśnił Grube. — To jeden z wielu wycinków, które znaleźliśmy w biurze Corfitzena.

— Artykuł ma jakieś znaczenie? — Axel Mossman zmrużył oczy.

— Corfitzen trzymał go w szufladzie swojego biurka wraz z innymi, które musiał wyrywać podczas lektury. Według sekretarki prenumerował cztery tytuły. Z „Børsen” na przykład wyrywał portrety ważnych postaci ze świata biznesu, teksty o inwestowaniu, gospodarce, stosunkach społecznych, doniesienia z zagranicy, o sytuacji dzieci, aż po artykuły z lokalnego dziennika. Bardzo eklektyczna kolekcja.

— Rozumiem — mruknął Mossman i w końcu wsunął drugą rękę w rękaw marynarki. — No dobrze, komisarzu Grube. Będziemy wdzięczni, jeśli będzie pan nas informował o swoich postępach równie skrupulatnie jak dotąd. A tymczasem dziękujemy i do widzenia.

Zeszli dwa stopnie w dół szerokich schodów wiodących do głównego wejścia lśniącego budynku z ciemnych kafli, betonu i szkła, mieszczącego główną komendę regionu Jutlandii Północnej, gdy Rytter zatrzymał się gwałtownie.

— Więc jak, Margrethe, da się to wyjaśnić? Najchętniej w ułamek sekundy? — zapytał.

— Oczywiście, że się da — wyręczył ją Mossman. — Tylko najpierw wróćmy do samochodu.

Margrethe Franck nie zważała na żadne schody ani krawężniki i nadal skoncentrowana pracowała na iPadzie.

— Właśnie otwieram pliki z całym materiałem pisemnym, jaki mamy ze sprawy Bergsøe, i wyszukuję powiązania z Corfitzenem.

Kiedy chwilę później znaleźli na parkingu swój wynajęty samochód i wsiedli do niego, wciąż panowała między nimi pełna wyczekiwania cisza. W końcu Franck ogłosiła wyniki:

— Nic... W materiałach na temat Bergsøe nie ma żadnej wzmianki o Corfitzenie.

— Więc może Grube ma rację. Może to czysty przypadek, że wyrwał z gazety akurat ten artykuł — zastanawiał się Rytter.

— Zadzwoń do nas i upewnij się, czy nie natknęli się na niego w którymś momencie — zaproponowała Franck.

Minęły góra dwie minuty, nim dostali odpowiedź — negatywną.

W samochodzie zapanowało milczenie. Wszyscy troje czuli tę samą irytację. Czasem pojawia się jakaś wspólna myśl, która choć zrodziła się jako strzał w ciemno, nagle zaczyna nabierać kształtów podejrzenia realnych. Tymczasem Corfitzen najwyraźniej targał gazety na strzępy i przechowywał artykuły jak szalony archiwista.

Axel Mossman odwrócił swój wielki korpus na miejscu pasażera, żeby oboje jego towarzysze mogli go widzieć.

— Zatem ciekaw jestem, co proponujecie teraz — westchnął.

Margrethe Franck wciąż miała na kolanach iPada, ale wzrok wbijała w sufit samochodu. W końcu powiedziała

stanowczym tonem:

— Mam przecucie, że niepotrzebnie wszystko komplikujemy, a odpowiedź dosłownie *wisi* nam przed nosem. Zacznijmy od całkiem innej strony. Czy Mogens Bergsøe miał psa?

[3] Siedziba duńskiego parlamentu, Folketingetu, oraz rządu — *przyp. tłum.*

Rozdział 20.

Jytte Bergsøe cofnęła się o kilka kroków, żeby ocenić postępy, jakie poczyniła przez ostatnią godzinę. Mozaika przedstawiała ukrzyżowanego Chrystusa i była to praca na zamówienie Funder Kirke.

Tak intensywne obcowanie z motywem religijnym głęboko ją poruszało i nadawało jej pracy nowego znaczenia. Odkąd umarł Mogens, prawie nie opuszczała pracowni na zapleczu artystycznego kolektynu w Silkeborgu. Pracowała bez wytchnienia, aż przyjaciółki artystki posyłały jej zatroskane spojrzenia znad kubków herbaty.

Serce jej pękało z tęsknoty. Kochany Mogens. Stało się dokładnie to, czego się obawiała od samego początku, odkąd tylko strzelił mu do głowy ten durny pomysł, żeby sprawić sobie kajak: że zasłabnie na środku jeziora, wpadnie do wody i utonie. A pomoc będzie za daleko. Mężczyźni w średnim wieku — i w ogóle wszyscy mężczyźni — zawsze przeceniają własne możliwości. Nie inaczej było z Mogensem Bergsøe.

Teraz najbardziej bolało ją, że stało się to w czasie, gdy żyli osobno. Że nie było jej przy nim, kiedy umarł, bo akurat zapragnęła się spełniać. A przecież chciała, aby mimo wszystko pozostali sobie bliscy. Był jej mężem i najlepszym przyjacielem. Poza tym prędzej czy później z powrotem wprowadziłaby się do domu nad jeziorem. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. I on też nie miał.

Teraz na to wszystko było już za późno.

Odsunęła się jeszcze trochę. Twarz Jezusa wyrażała bezgraniczne cierpienie. Może aureola powinna być trochę wyżej, gdzieś w... — Rozmyślenia przerwał jej telefon.

— Jytte Bergsøe.

— Margrethe Franck, Policyjna Służba Wywiadowcza.

Nie dziwiło jej, że PET bezpardonowo grzebało w ich życiu. To zrozumiałe — Mogens przez ponad siedem lat przewodził komisji z Wambergu. Komisja licząca tylko cztery osoby kontrolowała sposób rejestrowania i przesyłania informacji przez służby wywiadowcze policji i wojska. Tyle akurat wiedziała. I właściwie nic ponad to. Mogens nigdy nie opowiadał o swojej działalności w komisji.

Ludzie z PET dzwonili niezliczenie wiele razy, choć po dwóch tygodniach od pogrzebu przycichli. Kobięcy głos w słuchawce mówił dalej:

— Chciałabym zadać pani pytanie, które może się wydać nieco dziwne i trochę niestosowne, zważywszy na wielką stratę, jaką pani poniosła, i powagę sprawy. Ale...

— Proszę pytać, nie jestem nadwrażliwa.

— W porządku. Zatem czy pani mąż miał psa?

— Psa?

— Tak, mamy...

— Oczywiście, że miał psa — przerwała jej Jytte nieco poirytowanym tonem. — A raczej mieliśmy. Pies mieszkał u Mogensa, ale był nasz wspólny. Przecież już o tym mówiłam. Wabi się Hermann, to owczarek niemiecki. Pytałam o niego wielokrotnie, ale wciąż nie dostałam odpowiedzi, ciągle mówią mi tylko „zajmiemy się tym”.

— Przepraszam, nie bardzo rozumiem. Mówiąc „oni”, ma pani na myśli miejscową policję, czy tak?

— Naturalnie.

— Więc o co chodzi z państwa psem?

— Sądziłam, że wymieniacie się informacjami... Hermann

zniknął. Musiał zaginąć tego dnia, w którym znaleziono męża. Nie od razu mogłam się zjawić na miejscu, ale... W obejściu panowało spore zamieszanie, mnóstwo ludzi się tam kręciło. Ktoś musiał zostawić otwartą bramkę. Już kiedyś nam uciekł, ale był wtedy młody. Nie rozumiem, co mogło się stać tym razem.

— Zatem zgłosiła pani na policji zaginięcie psa?

— Tak, ale ostatecznie wszyscy o nim zapomnieli. Mąż był w końcu ważną osobistością, więc w tym całym poruszeniu nikt nie przejmował się zaginionym psem. Doskonale to rozumiem. To oczywiste, że policja musi się kierować odpowiednią hierarchią ważności, rozporządzając swoimi zasobami. Ale od tamtej pory dzwoniłam jeszcze wielokrotnie.

Przez chwilę w telefonie panowała cisza. Przerwała ją sama Jytte Bergsøe:

— Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego PET interesuje się naszym psem?

Gdy Margrethe Franck streszczała swoim szefom rozmowę z wdową po Mogensie Bergsøe, na ich twarzach nie widać było satysfakcji, a jedynie nieznaczne uśmiechy.

— Założę się o moją miesięczną pensję, że owczarek państwa Bergsøe leży zakopany gdzieś w ogrodzie. Proszę, już nas łączą — dodała, przekazując telefon Mossmanowi. Wykonała jego polecenie niezwłocznie i zadzwoniła na komendę Jutlandii Środkowej i Zachodniej, prosząc o szefa wydziału śledczego w regionie.

— Dobra robota, Franckie, cholernie dobra robota — powiedział z uznaniem Martin Rytter.

— Axel Mossman, PET. Chodzi o sprawę Bergsøe... Chciałbym, żebyście przekopali jego ogród. Szukamy należącego do niego owczarka niemieckiego.

Szef PET pokiwał głową dwa razy, a potem uprzejmym tonem udzielił miejscowej komendzie stosownych wyjaśnień, by prowadzący sprawę miał poczucie, że jest informowany na bieżąco. Na koniec podziękował, rozłączył się i oddał telefon Margrethe.

— Moi drodzy, wydaje mi się rozsądne, abyśmy poszukali sobie jakiegoś hotelu w Silkeborgu, w którym będziemy mogli zaczekać na wyniki prac, co wy na to? To dość istotne. Do ogrodu wejdą najszybciej jak się da i będą kopać do zmroku. Proponuję hotel Hvide Hus.

Margrethe Franck wystarczyło dwa razy przesunąć ręcznikiem po jasnych, obciętych na jeża włosach, by były zupełnie suche. „Dwadzieścia dwa milimetry — *exactement*, skarbie”, zawyrokował fryzjer Alain, kiedy zwinnymi palcami zmierzył dzieło swoich nożyczek. W rzeczywistości nosił nudne imię Allan i pochodził z Jyderup. Kiedyś, w czasach szalonej młodości, mieszkał przez jakiś czas w Paryżu, a teraz troszczył się o nią jak matka.

Wytarła zaparowane lustro. Alain zostawił jej w grzywce parę długich kosmyków, tworzących „seksowną asymetrię”, jak wyjaśnił. Nosiła już wcześniej ultrakrótkie włosy — ale nigdy z długimi kosmykami. — Wow, Margrethe! Wyglądasz szalowo, *you little wild thing!* — stwierdził z zachwytem.

Pociągnęła usta delikatnym, czerwonym błyszczkiem i narysowała eyelinerem cienkie kreski. Nie miała wiele czasu na spakowanie się, ale żadne z ich trójki go nie miało.

Na koniec owinęła się ręcznikiem i skacząc na jednej nodze, przeszła do pokoju, gdzie usiadła przy biurku z kikutem uda wystającym spod ręcznika.

Nie dostała odpowiedzi na żaden ze swoich maili, kiedy się kąpała. To ją irytowało, choć była świadoma, że jej cierpliwość jest krótsza niż jej włosy. Kiedy zadawała pytanie, spodziewała się natychmiastowej odpowiedzi. Był to

wymóg niekoniecznie uwzględniany przez resztę świata.

Zacząła grzebać w przeszłości bohatera wojennego Nielsa Oxena — na polecenie Mossmana. Szef chciał wiedzieć o nim wszystko — od kołyski do dziś.

W tak krótkim czasie — poza powszechnie znanymi szczegółami jego kariery — udało jej się znaleźć tylko jedną ciekawą informację, ale za to była to prawdziwa bomba. I odkryła ją, zanim jeszcze wylecieli z Kopenhagi.

Oxen był żołnierzem, zatem logiczne było zacząć w siłach zbrojnych. Poprosiła swojego dobrego przyjaciela i informatora w sztabie głównym w Holmen, żeby zrobił dla niej szybkie wyszukiwanie krzyżowe.

Wyszukiwarka wyrzuciła tylko jeden wynik dla frazy „Oxen/Corfitzen” — otóż w 1993 roku doszło do incydentu, w którym Oxen, według dowództwa operacyjnego sił zbrojnych, o mały włos nie zaatakował fizycznie ówczesnego ambasadora Unii Europejskiej Hansa-Ottona Corfitzena podczas wizyty jego oraz innych unijnych dyplomatów w sztabie duńskiej kompanii w bośniackim mieście Kiseljak. Zatem ci dwaj przynajmniej raz skrzyżowali miecze. A Niels Oxen kłamał im w żywe oczy.

Przeszukanie jego życiorysu będzie wymagało sporo czasu. Nie pytała, dlaczego szef nalegał, by tak ostro się do tego zabrać. A gdyby nawet zapytała, Axel Mossman i tak by nie odpowiedział. On rządził, ona wykonywała polecenia. Z drugiej strony musiała przyznać, że w ich trwającej już osiem lat „relacji” dominowały przyjacielskie tony i spora dawka wzajemnego szacunku, ona zaś była mu wdzięczna za to, że dał jej szansę.

Z bardziej szczegółową wersją kariery Oxena w armii będzie musiała poczekać, aż wypróbuje dwie swoje potencjalne możliwości dotarcia do utajnionych informacji. Na razie nawet jej przyjaciel w sztabie generalnym milczał —

głos automatycznej sekretarki informował, że dziś już nie będzie go w biurze.

Będzie więc musiała zacząć od samego początku — czyli u nich. Zalogowała się do wewnętrznych rejestrów policyjnych POLMAPE, który w przeciwieństwie do POLSAS-u pozwalał na przeszukiwanie wszystkich wydziałów policyjnych jednocześnie.

Kiedy znalazła się w rejestrze, wpisała w wyszukiwarkę „Oxen” — całe szczęście, że nie nazywał się Jensen. Oxen było pamiątką po dawnej pisowni, jak skrzętnie wyjaśnił jej Mossman, kiedy wchodzili do holu hotelowego. Zwykły duński wół, tylko pisany przez x.

Zdążyła rozpocząć pierwsze wyszukiwanie, kiedy zadzwonił jej telefon. Był to szef dochodzeniówki z Jutlandii Środkowej i Zachodniej, niejaki Nielsen.

— Przepraszam, oddzwaniam po prostu na numer, z którego dzwoniłście — wytłumaczył się. — Chciałem rozmawiać z Axelem Mossmanem.

— Nie ma go tu w tej chwili, ale mogę mu przekazać wiadomość. Chodzi o owczarka Bergsøe, prawda?

— Zgadza się. Nie było to trudne. Już go znaleźliśmy. Był zakopany wśród brzoź rosnących w jednym miejscu dużego ogrodu. Miejsce nie było nawet szczególnie ukryte — rzucono na nie tylko trochę trawy i liści. Rzecz w tym, że nikt z nas nie pomyślał, że w ogrodzie może coś być. A zgłoszenia żony w sprawie psa... Jak widać, nikt nie potraktował ich z należytą powagą. Nawet mi o nich nie powiedziano. Przepraszam...

Nielsen kajał się bardziej, niż było to konieczne. W normalnych okolicznościach przy tego typu sprawie nikt nawet przez sekundę nie zajmowałby się zaginionym psem. I słusznie.

— To zupełnie zrozumiałe. My również nie mieliśmy pojęcia, że należy poszukać tego psa. Przekażę Mossmanowi, że pan dzwonił, komendancie.

— Jest coś jeszcze, drobny szczegół. Ten, kto zakopał psa, wrzucił do dołu również sznur. Długi na kilka metrów i z pętlą na końcu. Oczywiście wysłaliśmy go do zbadania.

— Dziękuję, natychmiast przekażę wszystko dalej. Jeśli będą dalsze pytania, Mossman sam do pana oddzwoni. Do widzenia.

Jasna cholera... zatem mamy potwierdzone powiązanie pomiędzy oboma dygnitarzami: błyskotliwym adwokatem i gwiazdą dyplomacji, Mogensem Bergsøe i Hansem-Ottonem Corfitzenem. Tym powiązaniem są ich psy. A konkretnie ich powieszane psy.

Wybrała numer Mossmana i przekazała mu najświeższe informacje. Potem wstała i ruszyła w stronę łóżka. Rzuciła ubranie i protezę, kiedy przypomniało jej się, że zaczęła wyszukiwanie Oxena. POLMAPE pokazało jeden wynik.

Rany...

Z powrotem opadła na krzesło i zagłębiła się w lekturze. Niels Oxen, który w szkole policyjnej spędził zaledwie dwa lata, okazał się być służbom doskonale znany — z wielu powodów. Lista jego grzechów była długa i różnorodna.

Przesuwała kursor w górę i w dół i na razie tylko pobieżnie czytała tekst, aż jej wzrok przykuły dwa słowa.

Najwyżej odznaczony żołnierz w królestwie ma na koncie podejrzenia między innymi o napaść, zakłócanie porządku publicznego, groźby, próbę wyłudzenia odszkodowania oraz... przemoc domową.

Rozdział 21.

Ubrań zostawionych na klifie pilnował Mr. White, siedzący spokojnie na własnym ogonie i bacznie obserwujący każdy ruch swojego pana. Nie żeby to było konieczne. Na mapie kraju miejsce, w którym leżała odzież, było prawdopodobnie tym punktem, w którym szanse na spotkanie żywej duszy były najmniejsze.

Pierwotny las najszczelniej otaczał w tym miejscu rwący nurt Lindenborg Å, ale on miał swoje sposoby, by się przedrzeć przez tę gęstwinę. Szedł tropami zwierząt albo odnajdował którąś z nielicznych ścieżek, jakie sam wydeptał podczas swojego niemal miesięcznego już pobytu w Ersted Skov.

Mył się, klęcząc na środku rzeki. Kolana zagłębiały się w delikatny piach na dnie. Przejrzysta woda płynęła w tym miejscu szeroko, za to płytko, na nie więcej niż dwadzieścia centymetrów głębokości.

Zanurzaniu głowy i polewaniu ciała zaczerpniętą w dłonie lodowatą wodą towarzyszyło cudowne uczucie rzeźkości. Czynność ta tak bardzo oddalała go od niedawnej konfrontacji i była tak pełna pierwotnej siły. A jednak. Minęło zaledwie kilka godzin, odkąd siedział w cywilizowanych pomieszczeniach komendy w Aalborgu pod czujnym okiem równie cywilizowanej komisji.

Doskonale wiedział, na co się gapili. Próbowali zobaczyć w nim te wszystkie medale, których jednak nie było po nim widać. A jemu nie mogło być to bardziej obojętne. Jedna tylko rzecz nie dawała mu spokoju od momentu zakończenia godzinnej „rozmowy”. I dlatego teraz wyjątkowo długo

klęczał w zimnym strumieniu, licząc, że choć na chwilę to z siebie zmyje. Nadal miał w brzuchu to dziwne uczucie. Teraz bardziej wyraźne niż kiedykolwiek — uczucie, że to dopiero początek. Że nie zostawią go w spokoju. Że będą go nachodzić. Mimo że zaszył się w samym sercu Rold Skov.

„Pan kłamie, Oxen...”

Wciąż pamiętał przyjemny tembr głosu szefa PET. I choć przeczesywał pamięć bez ustanku, odkąd opuścił budynek komendy, nadal nie rozumiał, dlaczego Mossman rzucił mu w twarz takim oskarżeniem. Podobnie jak nie pojmował, dlaczego najwyższe dowództwo służby wywiadowczej pojawiło się na miejscu śledztwa i dlaczego tak im zależało na nadzorowaniu prostych, rutynowych czynności. To przecież nie do pomyślenia.

Skłamał wszak tylko w sprawie monitoringu i nieprzytomnego ochroniarza. Żadna z tych spraw nie mogła być owym fundamentalnym kłamstwem, o które go posądzał Mossman.

I na koniec oferta pracy. To jakiś absurd. Sam fakt, że szef PET z nią wystąpił, budziło najwyższy niepokój.

Miał właśnie po raz ostatni zanurzyć rozpaloną od gorączkowych myśli głowę w strumieniu, kiedy wydało mu się, że coś usłyszał. Daleki i cichy krzyk albo zwykły hałas.

Klęczał nieruchomo pośrodku rzeki i nasłuchiwał w skupieniu. Dźwięk dobiegał z oddali i przypominał krzyki albo głośną rozmowę. Jednym susem znalazł się na brzegu i błyskawicznie wytarł się postrzępionym ręcznikiem. Potem naciągnął ubranie, zasznurował buty, wziął lornetkę i nóż i ruszył pośpiesznie brzegiem w dół rzeki. Kilkaset metrów dalej było wzniesienie, prawie jak wał strzegący zbocza Vesterskov. Tam, na twardej ziemi stały jedna obok drugiej jodły olbrzymie, jak ustawiona na skraju forteca — dokładnie to, czego potrzebował.

Zaczął się wspinać na pierwsze drzewo. Tylko stamtąd korony wierzb porastających dolinę rzeki nie będą mu przesłaniały widoku. Kiedy uznał, że jest już dość wysoko, wśród kłujących gałęzi znalazł sobie miejsce do siedzenia. Uniósł lornetkę i zaczął systematycznie przeszukiwać północny fragment doliny.

Niedługo mu zajęło wypatrzenie dwóch postaci, które przedzierały się przez polanę od strony lasu Ersted. Mężczyzna i kobieta. Wystarczy, że będą mniej więcej trzymali się kursu i uda im się znaleźć drogę przez przesmyk zarośnięty szuwarami, kępkami mchu i otoczony bagnem, a wyjdą na twardy grunt i wzniesienie, gdzie stoi jego obóz.

Pominąwszy dramatyczne wejście miejscowych policjantów, był to pierwszy raz, kiedy widział w tej okolicy jakichkolwiek ludzi.

Około dwudziestu minut zajęła mu droga z powrotem do obozu. Zbliżał się do niego ostrożnie, szukając śladów. Niczego nie znalazł. Postanowił ukryć się w trawie niedaleko zwalonego pnia i zaczekać, przyciskając mocno do boku Mr. White'a.

Po kilku minutach znów usłyszał okrzyk. Brzmiał, jakby ktoś krzychał jego imię. I zbliżał się. W końcu dostrzegł mężczyznę i kobietę, jak wyłaniają się z bagnistego terenu i wdrapują na ubitą ziemię, skąd ruszyli prosto do obozowiska. Leżał tak długo, aż był w stanie wyraźnie przyjrzeć się ich twarzom. Nie znał tych ludzi, Ostatecznie wypuścił psa, podniósł się i ruszył im na spotkanie.

— Oxen? Pan Niels Oxen?

Kobieta miała na głowie ciemnobrązowego stetsona z szerokim rondem. Przyglądała mu się, jakby był Livingstone'em, ona zaś czarne błoto na kaloszach i nogawkach przyniosła z jeziora Tanganika.

Nasunął daszek kaszkietu na czoło i skinął głową.

Wyciągnęła rękę.

— Karin Corfitzen. A to mój pomocnik, Poul Arvidsen.

Miała wyjątkowo pewny uścisk dłoni. Czyli tak wygląda córka starego ambasadora, o której rozmawiali dwaj policjanci podsłuchani przez niego na komendzie. Pracowała w finansach, mieszkała w Londynie i była jedyną dziedziczką Nørlund Slot. A mężczyzna stojący za nią musiał być tym Arvidsenem, o którym wielokrotnie słyszał, jak go nazywano szoferem i ogrodnikiem ambasadora.

Arvidsen skinął głową. Wzrok miał czujny, w żaden sposób niekojarzący się z różnymi rabatami czy bylinami.

— Jestem... pod wrażeniem. — Kobieta spojrzała mu w oczy, ale nie potrafił rozstrzygnąć, czy szuka słów, czy jedynie chce podkreślić coś, co zaraz powie.

— Czego? — zapytał.

— Tego, co pan zrobił. Pańskich dokonań — bo tak to się chyba nazywa.

— Hm...

— Owszem, rozmawiałam z prowadzącym śledztwo, komisarzem Grubem. To od niego dostałam namiary na pański obóz. Mieszka pan na ziemi mojego ojca, to znaczy na *mojej* ziemi. Słyszałam też, że poluje pan tu i łowi ryby.

Przytaknęła.

— Dawniej komandos, dziś kłusownik. *A hero and a trespasser.*

Uśmiechnęła się do swojej refleksji. Możliwe zresztą, że jednak szukała słów — wnosząc po jej karierze, od wielu lat musiała mieszkać w Anglii.

Karin Corfitzen była szczupła i średniego wzrostu. Zdjęła kapelusz, by otrzeć pot z czoła. Ciemne włosy miała ciasno związane na karku. Pod podbródkiem i na pełnych policzkach

jej skóra przypominała miękką poduszkę. W tym momencie na zadbanej twarzy nie było śladu maskary ani szminki, ale cała jej postać nie pozostawiała wątpliwości, że gdy trzeba, potrafi, dokładnie tak jak ojciec, doskonale odnaleźć się na lakierowanych parkietach salonów.

Mierzyła go wzrokiem. Czyżby i ona szukała błysku medali?

Nie wiedział, jak skomentować sposób, w jaki go podsumowała i który jej najwyraźniej wydał się zabawny: *A hero and a trespasser*. Bohater i intruz — jedno w żadnym razie nie wykluczało drugiego.

Oczy miała zielone. Wieki minęły, odkąd miał przed sobą piękną kobietę. W dodatku spotyka ją tu, w samym środku Rold Skov. Ponownie poczuł pustkę w głowie, zapomniał wszystkich słów i jak się rozmawia z ludźmi. Tylko jedno przyszło mu do głowy, dlatego zapytał po prostu:

— Czego pani chce?

— *Sorry*, ktoś taki jak pan naturalnie nie będzie się bawił w *smalltalk*. Chciałam pana poprosić, żeby pan powiedział policji wszystko, co pan wie. Komisarz podejrzewa, że wie pan więcej, niż pan im mówi. Czy to prawda?

— Nie.

— O co więc może mu chodzić?

— Nie wiem, proszę spytać jego.

— Zależy mi tylko na tym, aby ten albo ci, którzy są winni śmierci mojego ojca, odpowiedzieli za to. Chyba pan to rozumie? Tak trzeba. *Justice...* I on na to zasługuje. Stąd moja prośba do pana. Proszę się nad tym zastanowić. Powiedzieć policji, co pan wie. Nawet jeśli może się panu wydawać, że pańska wiedza nie ma większego znaczenia. *Please*.

Ponownie wyciągnęła do niego rękę. Gestem ostrożnym, lecz pewnym — tym razem bez cienia uśmiechu.

— Do widzenia. Pan i pański pies możecie tu zostać tak długo, jak chcecie.

Po czym odwróciła się na obcasie kalosza i ruszyła w drogę powrotną. Arvidsen skinął głową na pożegnanie i pośpiesznie ruszył za swoją nową pracodawczynią.

Księżyc świecił nad doliną rzeki jak lampka nocna. Był niemal całkiem okrągły, a promień jego światła był tak mocny, że widać było każdy kontur. Czołgał się w trawie ze sztyletem w zębach.

Tym razem to nie było coś, co sobie wmawiał. Tym razem była to bezlitosna, najprawdziwsza prawda. Ktoś czaił się w zaroślach. Ktoś, kto podkradał się do jego obozu. Ktoś, kto trochę przy tym nahałasował.

Śpiącego go nie zaskoczą.

Podczołgał się kawałek dalej i ukrył za zwalonym pniem. Tam przykucnął i przeczesywał wzrokiem obszar, gdzie wysoka trawa porastała ubitą już ziemię. To stąd nadejdzie wróg.

Spokojnie przesuwiał wzrokiem z jednej strony na drugą, do miejsca, gdzie sterczały szuwary i pojedyncze kępki ziemi, przez zagajnik wierzb i głogu, z powrotem do wysokiej trawy. Co jakiś czas odwracał się, żeby sprawdzić, czy się nie pomylił i czy wróg nie wyskoczy nagle zza jego pleców.

Długo trwał w bezruchu. Pięć minut, dziesięć, kwadrans. Krajobraz przed nim również był całkowicie nieruchomy. Sowy, nietoperze, zwierzyna łowna — wszystko było tej nocy nad wyraz spokojne.

W miarę jak mijały kolejne minuty, stopniowo nabierał coraz większej pewności, że nie tylko jest w pełni obudzony i w stanie najwyższej gotowości, ale również racjonalnie myśli.

Położył się w trawie na plecach i spojrzał na księżyc.

Przysypiał, gdy usłyszał w ciemności trzask gałęzi. Może nawet już drzemał. To nie był zwykły dzień. Nie mógł się porządnie wyspać w bezpiecznych godzinach przedpołudniowych, bo przyszła policja i go zabrała.

Zastanawiał się nad tym. Poznał wielu nowych ludzi i miał wrażenie, jakby mówił bez końca, godzinami. Dlatego był taki zmęczony. I dlatego wsunął się w śpiwór z niezmaconym przekonaniem, że akurat tej nocy uda mu się wypocząć. Tej nocy Siódemka zrobi sobie przerwę, a on ze zmęczenia będzie mógł choć kilka godzin przespać głęboko i spokojnie. Gdyby nie ten cholerny trzask...

Czy przyjdzie kiedyś taka noc, gdy jego snu nie przerwie trzask żadnej gałęzi? Żadne szuranie żwiru? Żadne skrzypnięcie desek podłogi?

Gwałtowna zamiana północno-zachodniej dzielnicy Kopenhagi na Rold Skov nie była początkiem nowej ery, jak na to liczył. Wyrwanie się stamtąd rzeczywiście przyniosło mu coś innego, coś nowego i lepszego, ale zasadniczo nic się nie zmieniło, odkąd pierwszego maja wysiadł z pociągu w Skørping i ruszył przed siebie w strugach niekończącej się ulewy.

Wcześniej wymykał się ze swojego pokoju w suterenie, żeby skonfrontować się z wrogiem na podwórku albo w jakimś garażu. Teraz czołgał się ku niemu w wysokiej trawie.

Zresztą czy naprawdę tak się palił, aby rozpocząć nowy rozdział? A może po prostu chciał zaznać spokoju w tym, który trwał i był mu znany? I co się stanie, o ile w ogóle przyjdzie taki dzień, kiedy nie trzaśnie żadna gałąź? Czy to przyniesie mu zbawienie? A może śmierć? Czy to będzie ta noc, kiedy w końcu, po latach go dorwą?

Zagwizdał cicho i od razu usłyszał, jak Mr. White przedziera się przez trawę. Chwilę potem poczuł na twarzy

jego oddech i mokry język.

Rozdział 22.

E-mail migał alarmująco na ekranie iPada, który na próżno starała się utrzymać w czystości. Dopiero co wytarła go hotelową poszewką, gdy odezwał się jej znajomy ze sztabu głównego armii.

„Jeszcze chwila cierpliwości, Franckie. Chyba znalazłem coś, co może cię zainteresować. Daj mi jeszcze pół godziny”.

Margrethe Franck opadła na wielkie, miękkie poduchy, które ułożyła na wezglowiu łóżka. Było wpół do jedenastej. Skoro już musieli na dłużej zostać w Aalborgu, to łóżko nie było najgorszym miejscem pracy.

Andreas był na tyle dobrym znajomym, że pozwalał sobie na nazywanie jej Franckie. Tak zwracali się do niej tylko nieliczni — oraz szef operacyjny Martin Rytter, który mówił tak głównie dlatego, że jego zdaniem dobrze to brzmiało. Franckie, skoro już nie mógł mówić Franckie-boy.

Andreas zalogował się do systemów w swojej pracy i pracował na najwyższych obrotach. Oddzwonił, zanim poszła do baru na dachu hotelu, gdzie Mossman zaprosił ich na drinka.

Dość mocno go przycisnęła. Powiedziała, że *musi* mieć na Oxena wszystko. Chociaż niezupełnie. Andreas nie ujawniał informacji poufnych — wszystko, co im powiedział, dostaliby również oficjalną drogą, gdyby poprosili w Holmen. Andreas zresztą nie miał najwyższego poświadczenia bezpieczeństwa, dlatego polecenie, by przesłał jej materiały do łóżka hotelowego w Aalborgu, było stosunkowo niewinne. Korzystając z jego pomocy, jedynie znacznie przyspieszyła procedurę.

Proteza leżała na środku podłogi, tam gdzie ją rzuciła. Sztywna, świeżo uprana pościel przyjemnie ocierała się o jej nogi — również o tę, której miała tylko pół.

Podudzie Andreasa wyleciało w powietrze w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu w prowincji Helmand. Poznała go na rehabilitacji w kopenhaskim „Królestwie”. Potem często stawali w szranki w zawodach paraolimpijskich. Mieli też przelotny epizod miłosny, ale ostatecznie najlepiej funkcjonowali jako przyjaciele. Dziś Andreas był statecznym mężem z pięcio-albo sześćioletnim stażem i wszystkim, co idzie w pakiecie: dwójką dzieci, willą, małym, „rodzinnym” pieskiem i techniczną niewypłacalnością.

Już wcześniej przysłał jej sporo materiałów o Oxenie, na które tylko rzuciła okiem. Większość czasu poświęciła na grzebanie w jego kartotece policyjnej.

Spis grzechów byłego żołnierza był po części klasykiem — jego wykroczenia były bowiem typowe dla weterana, który musiał cierpieć na zespół napięcia pourazowego w większym lub mniejszym stopniu. W przeciwnym razie raczej nie zdecydowałby się zaszyć w lesie ze swoim psem.

Zakłócanie porządku publicznego i bójki. Wielokrotnie. Wiedziała akurat bardzo dużo o PTSD, *posttraumatic stress disorder*. I jednym z najbardziej oczywistych objawów tego stanu była wybuchowość. Ta zaś prowadziła do agresji. Tak mówiły statystyki policyjne. I logika.

Mimo to Oxen był również nietypowy. Zanim jeszcze usiadła naprzeciw niego w sali na komendzie, udało jej się dowiedzieć, że tego człowieka po prostu nie ma. Że całkowicie wycofał się ze społeczeństwa. Jego ostatnim oficjalnym adresem był jakiś klub na Amager. Opuścił to miejsce dwa i pół roku temu i od tamtej pory najróżniejsze organy i komórki systemu państwowego próbowały go

dosięgnąć ze wszystkich stron, lecz ich wezwania konsekwentnie pozostawały bez odzewu.

Żadna instytucja publiczna, organizacja branżowa czy wojskowa nie wiedziała, gdzie przebywa Niels Oxen. I czy w ogóle jeszcze gdzieś przebywa.

Oxen w związku z tym nie dostał od nikogo ani grosza. Żadnego zasiłku z funduszu pracy, żadnych świadczeń społecznych: zasiłku rehabilitacyjnego, pomocy finansowej, renty, stypendium. Nawet gdyby ktoś litościwie zechciał go poratować jakimś groszem, to za cholere nie wiedziałby, gdzie ten grosz wysłać.

Poza tym, że Oxena najprawdopodobniej dotknęła choroba zawodowa powracających żołnierzy, PTSD, a także nie ominęły niezliczone kule i odłamki granatów, nie uniknął również stresu związanego z rozwodem, podobnie jak czterdzieści procent innych Duńczyków, którzy w najlepszej wierze zdecydowali się na ślub. Przynajmniej ten ostatni fakt stawiał tego nieco zaniedbanego, milczącego mężczyznę o bystrym spojrzeniu na równi z innymi przeciętnymi obywatelami.

Owocem nieudanego małżeństwa był syn, obecnie dwunastoletni. O byłej żonie na razie nie miała żadnych informacji.

Łącznie miał w aktach piętnaście wykroczeń. Sześć razy napaść, dwukrotnie przemoc domowa, jednokrotne zakłócenie porządku publicznego, jeden akt wandalizmu, trzykrotnie groźby i dwa oskarżenia o próbę wyłudzenia ubezpieczenia. Zwieńczeniem tej całkiem długiej listy było jedynie pięć wyroków:

w zawieszeniu za napaść i trzydzieści dni więzienia za napaść na kolegę żołnierza. Wyrok w zawieszeniu za groźby pod adresem funkcjonariusza na służbie. Wyrok dotyczył incydentu, gdy Oxen groził kierowcy radiowozu po tym, jak

został zatrzymany w stanie nietrzeźwości. Do tego dwie grzywny — za zakłócanie porządku i wandalizm. Zakłócanie porządku polegało na tym, że Oxen w stanie nietrzeźwości — i z nagim torsem — odsądzał od czci i wiary przechodniów, stojąc przy fontannie z bocianami na kopenhaskim deptaku. Wandalizm zaś polegał na tym, że — znów w stanie nietrzeźwości — wybił małą betonową donicą szybę w sklepie z futrami.

Tylko w nielicznych pozostałych sprawach wniesiono oskarżenie, ale sąd uznał Oxena za niewinnego. W pozostałych zarzuty wycofano albo — o dziwo — cofnięto zgłoszenie. Tak było również w sprawie przemocy domowej, choć w tym akurat nie było nic szczególnie niezwykłego. Męskie łzy i wyrazy skruchy w połączeniu z żarliwymi obietnicami poprawy potrafiły niestety obudzić litość w najbardziej nawet skatowanym kobiecym ciele.

Ogólnie jednak musiała przyznać, że była to niezwykła kartoteka. Przy tak dużej liczbie wycofanych oskarżeń nie sposób nie pomyśleć, że policja w jego przypadku postępowała nad wyraz pośpiesznie.

Sięgnęła do minibaru po butelkę weissena i po raz ostatni napełniła szklanę. Cieszyła się, że sprawa zapowiadała się na złożoną. W swoim fachu nauczyła się jednego: wszelkie stereotypy i pozory są nic niewarte. Nawet najbardziej poważani mężczyźni na wysokich stanowiskach biją swoje żony. Nawet najświętsi zdradzają i znęcają się nad dziećmi, a teraz to... nawet najbardziej złoty medal za odwagę ma plugawą drugą stronę. Na papierze bowiem Niels Oxen wyglądał na wyjątkowe bydlę.

Zadzwoił Anders.

— Cześć, Franckie, za moment wyślę ci kolejną porcję. Ale pomyślałem, że zamiast opisywać ci wszystko w mailu, szybciej będzie, jak zadzwonię.

— Jasne, dawaj.

— Oxen po raz pierwszy wyjechał na międzynarodową misję jeszcze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, w czasie wojny domowej na Bałkanach. W dziewięćdziesiątym piątym ponownie trafił na półwysep. On i pięciu innych żołnierzy znaleźli się nagle w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia podczas warty w punkcie kontrolnym w regionie Krajiny. Ich posterunek stał w miejscu, które znalazło się w polu zaciekłych walk podczas wielkiej kontrofensywy Chorwatów o nazwie *Operacija Oluja*. Serbscy bojownicy pojmali Duńczyków i posłużyli się nimi jako tarczą podczas swojego odwrotu. Dlatego...

— Podłe świnie.

— Zgadza się, zresztą nie był to pierwszy tego typu przypadek. Potem zostawili Duńczyków przed serbskim bunkrem wśród szalejącego ragnaröku i pod ostrzałem Chorwatów, którzy brali ich za Serbów. W grupie był bliski przyjaciel Oxena i jego towarzysz broni z pierwszej misji, Bo „Bosse” Hansen. Rzucił się biegiem na linię frontu, wymachując niebieskim hełmem ONZ, żeby powstrzymać chorwacki ogień. Jeden z czołgów zdążył jednak wystrzelić granat, który rozerwał Bo „Bossego” Hansena. Niels Oxen złożył wewnętrzną skargę na decyzję swojego szefa o tym, aby *nie* ewakuować ich małej grupy od razu. Oxen uznał więc najwyższe dowództwo za odpowiedzialne za śmierć Bossego.

— Nietypowe posunięcie.

— Delikatnie mówiąc. Tyle że i tak nic z tym nie zrobili. Ponad rok później Oxen publicznie domagał się powołania komisji do zbadania tamtych wydarzeń. Tymczasem wysyłał listy kierowane osobiście do głównodowodzącego armii oraz do dowództwa operacyjnego sił zbrojnych, a także do rzeczników bezpieczeństwa i obrony narodowej wszystkich klubów parlamentarnych.

— Czyli długa kruczata, by pociągnąć kogoś do odpowiedzialności?

— Dokładnie. Co ciekawe, udało mu się doprowadzić do powołania komisji, niewykluczone, że głównie pod wpływem nacisków politycznych. Komisja przez dwa lata badała sprawę, by dojść do wniosku, że w postępowaniu głównodowodzących nie było żadnych, ale to żadnych uchybień. Raport komisji liczy trzysta stron i w sposób jednoznaczny i bardzo dobitny uwalnia dowódcę batalionu od wszelkich zarzutów.

— I po co mi to wszystko mówisz?

— Cierpliwości, Franckie, do licha. Właśnie miałem przejść do sedna! Bo zgadnij, kto przewodził komisji specjalnej?

— Nie mam pojęcia. Skąd do diabła miałabym...

— Mogens Bergsøe.

Zamarła.

— Bergsøe? Chyba żartujesz!

— Nie. Ten sam człowiek, który był przewodniczącym komisji z Wambergu i który utopił się niedawno, pływając kajakiem po jednym z jezior niedaleko Silkeborga. Niektórzy uważali jego śmierć za tajemniczą. Ja natomiast myślę... Pierwsze, co dla ciebie znalazłem, dotyczyło Oxena i jego napaści na ambasadora Corfitzena — również na Bałkanach, przed wieloma laty. A teraz to. Okazuje się, że jest coś, co go łączy z Bergsøe. Franckie, czy twoim zdaniem Oxen...

Margrethe Franck usiadła na brzegu łóżka, założyła protezę i zaczęła się ubierać. Zamierzała iść do pokoju Mossmana i natychmiast przekazać mu nowe informacje. Nawet jeśli będzie musiała go obudzić.

Od rozmowy z Andreasem minęło już trochę czasu, ale

nadal meła w głowie to, co od niego usłyszała. Niels Oxen rzucił się na duńskiego ambasadora UE w 1993 roku, oskarżając go o odwracanie głowy i bierne przyzwolenie na trwające na Bałkanach masakry. Potem, w 1995 roku, Oxen stracił najlepszego przyjaciela z powodu tego, co jego zdaniem było skrajnie niewłaściwym sposobem dowodzenia.

Po wieloletnich staraniach Oxen mógł uznać, że powołanie komisji było stratą czasu i energii, skoro wynikiem jej pracy był raport stwierdzający, że nikogo nie można pociągnąć do odpowiedzialności za śmierć jego kolegi.

Był Corfitzen. Był Bergsøe. Były dwa powieszono psy. I dwaj martwi mężczyźni.

Na razie wciąż nie dało się połączyć Nielsa Oxena z oboma miejscami zbrodni, ale jedno jest pewne: weteran z pierśią ciężką od odznaczeń miał motyw, i to taki, który aż razi w oczy.

Rozdział 23.

O świcie niedaleko jego obozu wylądował helikopter. Kilka minut wcześniej wrócił znad rzeki, gdzie rozstawił nowe haczyki.

Po tym, jak w środku nocy położył się w trawie i rozkoszował widokiem księżyca, przespał spokojnie kilka godzin. Czuł się wypoczęty jak nigdy. Trzy piękne pstrągi zwiastowały udany dzień. Wszystkie dobre wróżby w jednej chwili rozproszyło śmigło helikoptera.

Poza pilotem w kabinie małego Robinsona siedziała tylko jedna osoba — komisarz Grube. Starając się przekrzyczeć hałas helikoptera, wrzasnął mu prosto w twarz:

— Oxen! Mamy nowe informacje. Odtąd jesteś podejrzany o zabójstwo. Czy pojedziesz ze mną na komendę?

— Aresztujesz mnie? — krzyknął w odpowiedzi.

Grube pokręcił głową i wytłumaczył — wciąż krzykiem — że nie może go zmusić do złożenia wyjaśnień. Ale radziłby mu pojechać na komendę. Tak też zrobił, po raz drugi w ciągu dwóch dni. Liczył, że uda mu się skończyć z tym raz na zawsze i wreszcie zostawią go w spokoju. W helikopterze było za mało miejsca dla wszystkich, dlatego tym razem Mr. White musiał zostać w obozowisku, przywiązany długim sznurkiem i z zapasem jedzenia i wody na cały dzień.

Siedział teraz w pokoju przesłuchań i czekał. Czuł, jak narasta w nim złość. Tym razem był jeszcze bardziej skołowany niż poprzednio, Grube ani słowem nie zająknął się, o co chodzi. Domyślił się, że najwyraźniej podejrzewają go o zabicie Corfitzena, ale nie mają solidnych podstaw,

które by uzasadniały areszt. O odciskach jego butów w ogrodzie już rozmawiali, więc musi chodzić o coś innego.

Tym razem nie zamierzali go przepytować w sali konferencyjnej. Zatem sytuacja musiała być poważna. W pomieszczeniu była nawet zamontowana kamera, skierowana na niego.

Rasmus Grube wszedł i usiadł przy stole, naprzeciw niego. Po chwili do pokoju wszedł również szef wydziału śledczego, inspektor Torsten Vester.

— Będziemy nagrywać — oznajmił Grube i zaczął od formalnego podania daty, godziny i osób uczestniczących w przesłuchaniu. Uprzejmość, o ile kiedykolwiek takowa istniała w ich relacji, najwyraźniej się wyczerpała.

Komisarz położył przed sobą stertę dokumentów i zaczął:

— Pierwszą międzynarodową misję odbyłeś w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku w duńskiej kompanii sztabowej w miejscowości Kiseljak w Bośni. Czy możesz nam powiedzieć, jakie wrażenie zrobiła na tobie tamta misja?

— Wrażenie?

— Tak. Co tam przeżyłeś, co się wówczas działo w tamtym regionie i do jakich refleksji cię to skłoniło?

— Czy byłeś kiedykolwiek na wojnie? Nie, oczywiście, że nie. W przeciwnym razie nie zadawałbyś tak idiotycznych pytań.

Odchylił się na krześle i wytrzymał spojrzenie komisarza. Natychmiast pożałował, że stracił nad sobą panowanie, ale... Coś w głosie śledczego, i w całej tej sytuacji, budziło jego najwyższy niepokój. Oni zaś postanowili zacząć od ogólników i pytali, czy wojna zrobiła na nim wrażenie. Cholerni idioci.

— Wybacz mi brak doświadczenia wojennego i skup się na

odpowiedzi na moje pytanie, okej?

Sarkazm komisarza był sygnałem, że nie będą się z nim patyczkować, ale nie potrafił na tak zadane pytanie odpowiedzieć od razu. Nie był nawet pewien, czy w jego nieużywanym od trzech lat słownictwie znajdują się wystarczająco wyszukane słowa. Czy wojna zrobiła wrażenie? To pytanie było niedorzeczne.

— W porządku... Chcesz wiedzieć, czy miałem jakieś przemyślenia? Refleksje? No tak, oczywiście, że tak. Że wojna to bagno. Że przypalane ludzkie mięso śmierdzi. Tego dowiedziałem się w ciągu trzech dni. Jako młody chłopak. Śmierdzi również, kiedy leży tylko i gnije. I że ciała puchną w upale. To śmierdzi wyjątkowo paskudnie. To jest przecież jakaś myśl... Byłem tam zaledwie czternaście dni, kiedy przejeżdżaliśmy przez jakąś zapadłą dziurę, gdzie na poboczu stał rząd głów nadzianych na pale. Czy taki widok może *nie* zrobić wrażenia?

— Silne przeżycia, brutalność, ofiary... Czy od tego wszystkiego nie zrodził się w tobie gniew? Wyobrażam sobie, że musiałeś się czuć bezsilny wobec tego wszystkiego?

Spojrzał pytająco na szefa Grubego, jakby liczył na jego zrozumienie, że przecież nie miał innego wyjścia, jak tylko wpaść w skrajną wściekłość. Vester jednak siedział niewzruszony. Wziął zatem głęboki oddech i odpowiedział:

— Posłuchaj. Nie znam ani jednego żołnierza, który nie jest „zły” na wojnę. Czego byś się spodziewał? Zachwytu?

— Być może uczucia te mogą jednak występować w różnym stopniu nasilenia — podsunął Grube.

— Pracą piekarza jest wypiekać chleb. Policjant ma walczyć z przestępczością. A żołnierz ma chodzić na wojnę. To jest przede wszystkim fach. Żołnierz na misji ma wykonać jasno określone zadanie. Duże albo małe. Czy jesteś „zły” na przestępców? Czy czujesz się „bezsilny”? Czy raczej

wykonujesz swoją robotę zgodnie z wyuczonym fachem? Do ciężkiej cholery, do czego ty zmierzasz, Grube?

To była jego najdłuższa wypowiedź od bardzo, bardzo dawna. Ale tym razem słowa same mu się nasuwały — jedne bardziej, inne mniej odpowiednie.

— Rozumiem zatem, że pierwsza misja poruszyła cię i dała ci do myślenia. Ale praca to praca, dla każdego zawodowca.

— Zgadza się. Bystrzak z ciebie.

— Lecz jeśli nie bezsilność czy złość wywołana wojną, to co w takim razie sprowokowało cię, Oxen, do zaatakowania ambasadora Unii Europejskiej Hansa-Ottona Corfitzena, kiedy razem z innymi przedstawicielami Unii odwiedzał bazę w Kiseljak? Pańscy koledzy musieli pana powstrzymać przed rzuceniem się na Corfitzena.

Grube i Vester wbili w niego badawcze spojrzenia. Zatem tego postanowili się ucześcić, oni i cała reszta. I dlatego szef PET oskarżył go o kłamstwo.

Zamyślił się na chwilę i próbował sobie wszystko przypomnieć. To było tak dawno temu. Był jeszcze młodym chłopakiem. Nigdy zresztą tak naprawdę nie zainteresował się nazwiskiem tego człowieka, a jedynie jego funkcją: ambasador Unii Europejskiej.

Że jest kolejnym cholernym błaznem wysłanym przez Unię Europejską, żeby sobie obejrzał prawdziwe życie — i prawdziwą wojnę na Bałkanach, która w rzeczywistości kompletnie Unii nie interesowała. W dodatku był wtedy wstawiony. Oczywiście nie miał warty, ale po prostu, jako człowiek ciekawski, w wolnym czasie chciał sobie obejrzyć watahę dyplomatów i innych dystyngowanych gości zmierzających na jakieś spotkanie. Nie wiedział nawet, że to *duńskiego* dyplomatę obrzucił obelgami, kiedy staranował stojących w pierwszym szeregu i chciał się precyzyjnie, by

możliwie najdosadniej przedstawić swoje pijackie stanowisko idiotom z Unii.

Doszło do rękoczyn, z którego pozostało mu jedynie mgliste wspomnienie. Sprawę zatuszowano, a on dostał tylko łagodną karę dyscyplinarną.

Właśnie przejazd obok szpaleru głów nabitych na pal sprawił, że wypił tamtego dnia więcej niż jedno piwo. Kiedy ich konwój mijał to miasteczko w drodze powrotnej, widział, jak jakaś starowinka zdejmowała jedną z głów.

Powoli jechali obok, a kobieta, trzymając w rękach odrąbaną głowę, spojrzała na niego z wyrazem całkowitej rezygnacji na pomarszczonej twarzy. Głowa należała do mężczyzny w średnim wieku i miała szeroko otwarte oczy. Potem nabrał przekonania, że mężczyzna musiał być jej synem.

Staruszka spojrzała na głowę, brudną od zaschniętej brązowej krwi, a potem na niego — obcego żołnierza, który przesuwiał się wolno w kordonie pojazdów wojskowych. Odwrócił się i wpatrywał w staruszkę, dopóki nie znikła mu z oczu. Ostatnim, co zobaczył, było, jak ostrożnie wkłada głowę do torby na zakupy. Dwa dni później przejeżdżała tamtędy również parada dyplomatów.

Corfitzen? Hans-Otto Corfitzen, ambasador Unii Europejskiej. Rzeczywiście, teraz, kiedy dowiedział się, że to był on, zaczęło mu majaczyć w głowie, że słyszał wcześniej to nazwisko.

Starowinka z głową stała się potem jedną z Siódemki. A o Corfitzenie zapomniał.

Musiał chyba siedzieć przez dłuższą chwilę pogrążony we własnych myślach. W każdym razie Grube powiedział lekko zniecierpliwiony:

— Mam tu napisane czarno na białym. Krzyknąłeś do

Corfitzena między innymi „morderca”. A także: „Unia Europejska jest winna ludobójstwa, wy świnie”. Wczoraj wielokrotnie zaprzeczyłeś, że kiedykolwiek słyszałeś o Corfitzenie. Jak nam to wytłumaczysz, Oxen?

Starowinka z głową, chronologicznie patrząc, była pierwszą z Siódemki. Krowiarz jako drugi pojawił się w tym wąskim, ekskluzywnym gronie, które udało mu się zebrać podczas długiej kariery w wojsku i które najwyraźniej miało mu towarzyszyć do śmierci.

— Szlag mnie trafi... Czyli waszym zdaniem skłamałem o Corfitzenie, tak? Świadomie skłamałem? Otóż nie. To było wiele lat temu. Nie skojarzyłem jego nazwiska wyrwanego z kontekstu. Wtedy nic dla mnie nie znaczyło. Zresztą byłem pijany. Nie macie zapisane, że byłem pod wpływem alkoholu? Dla mnie to był tylko dyplomata z Unii. A całe zajście pamiętam jak przez mgłę. Nie, nie pamiętałem *nazwiska* Corfitzen.

— Czy to nie zdumiewające, że po tak wielkiej kompromitacji, za którą w dodatku został pan ukarany dyscyplinarnie, chce pan nam wmówić, że nie zapamiętał nazwiska Corfitzena? — po raz pierwszy głos zabrał inspektor Torsten Vester.

— Właśnie wyjaśniłem dlaczego. Możecie mi wierzyć albo nie.

— Oczernić wysłannika Unii Europejskiej i zwyzywać go jako odpowiedzialnego za masakry musiało być wyrazem twojej złości albo bezradności. Do tego właśnie zmierzałem — powiedział Grube.

— Głowy nabite na pale zrobiły na mnie wrażenie. Widziałem je dwa dni wcześniej. Stąd moja reakcja. Powinieneś stawiać bardziej precyzyjne pytania.

Komisarz nie skomentował zarzutu, tylko zaczął kartkować swoje dokumenty. Nagle dotarło do niego, że to

wszystko jest idiotyczną stratą czasu. I że jego przełożeni ogromnie się mylą, sądząc, że mają sprawcę.

— Okej, czyli teraz jesteście ogromnie z siebie zadowoleni, bo wam się wydaje, że przyłapaliście mnie na kłamstwie. No i dobrze, ale nawet gdybyście mieli rację, to fakt, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim na Bałkanach w pijackim szale niemalże napadłem na Corfitzena, nie jest jeszcze pieprzonym motywem, którego szukacie. Chyba nie poszaleliście do reszty?

Vester skinął tylko na komisarza, który ciągnął dalej niewzruszony:

— Spokojnie. Chciałbym teraz przejść do twojej drugiej międzynarodowej misji. Tej z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, również na Bałkanach. I do dnia czwartego sierpnia. Co się wtedy wydarzyło?

— Najwyraźniej już to wiesz, więc po co pytasz?

— Chciałbym poznać twoją wersję — wyjaśnił Grube.

— To strata czasu.

— Sam o tym zdecyduję.

— Powtarzam: tracicie czas.

— Czwartego sierpnia Chorwaci przypuścili wielką kontrofensywę przeciwko Serbom w Krajinie, operację pod kryptonimem *Burza*, po chorwacku *Oluja*. Gdzie byłeś tamtego dnia?

— To nie ma najmniejszego związku ze sprawą! Zresztą odmawiam dalszej współpracy. Możecie mnie aresztować i przejść do przesłuchania wstępnego albo odwieźć mnie z powrotem.

Torsten Vester przesunął ręką po twarzy i westchnął.

— Pomijając wszystko inne, byłoby naprawdę dużo prościej, gdyby pan był bardziej chętny do współpracy z

nami, panie Oxen — powiedział.

— Jestem tutaj po raz drugi, dobrowolnie. Jak by pan to nazwał?

— Ale nie chce pan odpowiedzieć na nasze pytania.

— *Litości*. Pytacie o głupoty w rodzaju tego, czy wojna zrobiła na mnie wrażenie. Już dawno dostaliście od psychologa moją teczkę. A teraz jeszcze chcecie, żebym wam opowiadał o operacji *Oluja*. Posrało was? To długa historia, trwająca wiele lat. W dodatku już ją znacie. I wiecie, że nie ma nic, co by łączyło dzień czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku z Corfitzenem czy zamkiem Nørlund. Moja cierpliwość się wyczerpała. Mam w dupie Corfitzena. I was też mam w dupie. Koniec!

Komisarz Grube pokiwał głową zafrasowany i zerknął na swojego szefa. Wreszcie powoli wstał.

— Przepraszamy cię na moment.

Odchylił się na krześle. Był wściekły jak osa. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak wkurzony, bo cały czas starał się tłumić w sobie gniew. Ale teraz wyszarpali go na zewnątrz, wyciągnęli z niego wszystko, co najgorsze.

Gdyby tylko ci durnie wiedzieli, ile naprawdę znaczył dla niego czwarty sierpnia 1995 roku.

Tysiące, dziesiątki tysięcy razy wracał pamięcią do tamtego dnia. Do tamtego ranka na posterunku w Sisak niedaleko miasta Karlovac. Kiedy potem, na przestrzeni lat, zastanawiał się, dlaczego jego życie się rozpadło, wszystkie tropy wiodły go niezmiennie do tamtego ranka, czwartego sierpnia.

Drzwi się otwały i śledczy wrócili na swoje miejsca.

— Jeśli pozwolisz, chcielibyśmy jednak kontynuować. Zaraz wyjaśnię, dlaczego zatrzymujemy się akurat na tej

dacie, czwartym sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Zgadzasz się?

Rasmus Grube spojrział na niego pytająco. Zawahał się, ale ostatecznie skinął krótko.

Komisarz ciągnął dalej:

— Dziękuję. Oto wyjaśnienie: gdzie byłeś dwunastego maja? To znaczy w tym miesiącu.

Zaskoczył go tym pytaniem. W ciągu kilku minut zostawili rok 1995 i wskoczyli do teraźniejszości. I właściwie nie potrafił dokładnie odpowiedzieć.

— Ja i mój pies przyjechaliśmy do Skørping pierwszego maja. I od tamtej pory właściwie wszystkie dni były jednakowe. Łowiłem ryby, polowałem. Zatem... Dwunasty? Mogę powiedzieć tylko tyle, że byłem nad rzeką, bo gdzie niby miałbym być. Dlaczego o to pytasz?

— Wyjątkowo długo zajęło ci przypomnienie sobie nazwiska Corfitzen. A co powiesz o nazwisku Bergsøe? Mówi ci ono coś? Adwokat Mogens Bergsøe.

— Jasne, że wiem, kim jest. To oczywiste.

— Rozwiń, proszę.

Poczuł, że od tego przeskakiwania w tył i w przód osi czasu znowu traci cierpliwość. Dopiero co opuścili centralny rozdział jego życia, a teraz ponownie do niego wracali. A on nadal nie wie, o co im chodzi.

— Jakie to ma znaczenie?

— Zaraz się dowiesz, tymczasem odpowiedz.

— Nie ma sprawy: Mogens Bergsøe był przewodniczącym komisji specjalnej, powołanej do zbadania okoliczności, które doprowadziły do śmierci mojego kolegi Bo Hansena czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Do diabła, przecież to wszystko wiecie... Wiem

również, że jest przewodniczącym komitetu z Wambergu.

— Nazwał pan Hansena swoim kolegą. To chyba niedopowiedzenie. Bosse był pańskim najlepszym przyjacielem, prawda?

Nie odpowiedział. Przełknął ślinę i skinął głową.

— Znamy również ostateczny raport komisji specjalnej. Wydaje mi się, że potrafię sobie wyobrazić, jakie jest twoje zdanie na temat Mogensa Bergsøe. Ale chciałbym je usłyszeć od ciebie, Oxen.

— To chyba zbędne, czytasz przecież w myślach.

Komisarz pokręcił głową.

— Dobrze, możliwe, że trochę blefowałem. Mam tu kopie listów, które osobiście napisałeś do Mogensa Bergsøe, podobnie jak do ministra obrony i kilku innych osób z dowództwa armii, a także sporej grupy polityków. W listach przekonujesz ich o konieczności powołania komisji, potem komentujesz jej prace, a na koniec skarżysz się na jej ostateczny raport. Nieprzerwany ciąg listów pisanych twoją ręką, Oxen. Bergsøe listy, które od ciebie dostał, przesłał dalej, do dowódcy operacyjnego armii.

Komisarz Grube wyjął ze sterty kilka kartek i mówił dalej:

— Tu oskarżasz go o to, że się sprzedał, i bezpośrednio mu grozisz. Zgadza się?

— Być może można to tak odebrać. Byłem rozżalony i wściekły. Tyle lat starań poszło na marne... Ale musisz mi do licha...

Grube uniósł rękę, by mu przerwać:

— Dwunastego maja Mogens Bergsøe umarł. Utonął w jednym z jezior niedaleko Silkeborga. PET podejrzewa, że został zamordowany.

— Nie wiedziałem o tym. Nie miałem pojęcia, że mu się

zmarło. Ale do czego zmierzasz, Grube, cholerny frajerze? Myślisz może, że Bergsøe też zabiłem? Tak samo jak Corfitzena? Bo ich nie lubiłem? To chcesz powiedzieć? Na litość boską, zajmijcie się czymś innym i pozwólcie mi...

— Pies Bergsøe został powieszony. Wisiał na sznurze na drzewie w jego ogrodzie. Czy teraz rozumiesz, Oxen?

Ostatnie słowa komisarz niemal wykrzyczał, twarz miał czerwoną ze złości.

Powieszony? Kurwa mać... Owszem, teraz zrozumiał. Całą drogę od wojny na Bałkanach aż do chwili obecnej. Poczował dziwny spokój. Pochylił się do przodu i przenosił wzrok z komisarza na jego szefa i z powrotem.

— No tak. Dwie ofiary, z którymi miałem styczność i wobec których wyraziłem swoją antypatię. Do tego powieszony psy... Teraz rozumiem twój tok myślenia. Sporo ci zajęło jego zaprezentowanie. Ale nie macie wystarczających dowodów. W przeciwnym razie już byście je przekazali prokuraturze. Wiecie, że macie za mało. Macie moje DNA i moje odciski palców. Ale nie da się mnie powiązać z gabinetem Corfitzena ani z domem Bergsøe czy jego ogrodem. Dwunastego maja byłem w Rold Skov. Wbijcie to sobie do głów.

Pokręcił nieznacznie głową, patrząc na obu śledczych, i wyjaśnił:

— Corfitzena kompletnie nie znałem. Bergsøe owszem, ale aż tak, żeby go zabić? Z całą pewnością nie. Bez względu na to, jak bardzo chcecie widzieć we mnie nieobliczalnego wojaka po misjach, który cierpi na ostry PTSD, ma nie po kolei w głowie i w ogóle jest psychicznym wrakiem, to mogę wam powiedzieć tylko jedno: to wszystko są wasze pobożne życzenia. A teraz uprzejmie proszę, abyście mnie odwieźli do domu.

Czuł się skrajnie wyczerpany własnym słowotokiem i

swoją złością. Po kilku minutach, gdy został sam w pokoju przesłuchań, w drzwiach pojawiła się głowa szefa PET Axela Mossmana. Olbrzym dyskretnym ruchem głowy wskazał na kamerę na suficie i pokazał mu ręką, że chce z nim porozmawiać na korytarzu.

Seans się skończył, kiedy jednoznacznie poprosił o zaprowadzenie do celi albo odwiezienie do lasu. Bez dalszych komentarzy Grube i Vester wyszli z pomieszczenia, obiecawszy, że załatwią mu transport. Helikoptera już nie zdobędą, ale odwiozą go samochodem najbliższej obozowiska, jak tylko będzie można.

Mossman rozejrzał się na boki. Najwyraźniej nie podobał mu się ruch na długim korytarzu, bo zaprosił go do dużej sali konferencyjnej. Tam usiedli i Mossman od razu przeszedł do rzeczy:

— Czy przemyślałeś pan moją propozycję, Oxen?

— Nic się nie zmieniło. Chcę tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju.

— Myli się pan. Sytuacja się zmieniła, i to bardzo. Teraz ma pan kłopoty.

— Gdyby tak było, mogliby mnie po prostu aresztować. Widział pan zapewne, albo słyszał przesłuchanie. Nie mają na mnie nic prócz dawnej urazy i dwóch wiszących kundli. To zdecydowanie za mało

— Ale gdy tylko będą mieli więcej, przygwożdżą pana do ściany.

— Nie będą mieli więcej, bo nie ma nic więcej. A teraz proszę wybaczyć, chciałbym już wrócić. Obiecałem, że poczekam na kierowcę w pokoju przesłuchań.

— Niech pan posłucha, Oxen. Oczywiście, że pan tego nie zrobił. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Człowiek o pańskich kompetencjach? Wykluczone. Ale

komisarz Grube zdołał wykazać, że przestaje pan nad sobą panować, gdy rozmowa dotyczy wydarzeń z czasu chorwackiej ofensywy. Do tego wszyscy mamy w głowie pewien wizerunek „człowieka walczącego o słuszną sprawę”. Wiemy też, że słuszną sprawą może się zmienić w obsesję i zawładnąć człowiekiem. Zgodzi się pan?

— Dowództwo batalionu wiedziało, że zbliżają się Chorwaci. Walczyłem o sprawiedliwość. Tylko tyle. Jeśli się w coś wierzy, trzeba o to walczyć.

— Ależ tak, naturalnie. W idealnym świecie, Oxen. A my w takim nie żyjemy. Tutejsza policja pracuje pod ogromną presją i nadal istnieje ryzyko, że przy okazji to pan zostanie zgnieciony. Dlatego namawiam, by pan raz jeszcze rozważył moją propozycję. A jeśli będzie pan miał jakieś pytania, to jeszcze przez jedną dobę będę w hotelu Hvide Hus. Przydałby mi się ktoś taki jak pan.

Krzaki jeżyn wyrosły przed nim niczym mur i musiał się przedrzeć spory kawałek na północ, zanim znalazł naturalne przejście w kłującym gąszczu.

Przystanął na niewielkim pagórku, w miejscu, gdzie teren zaczynał gwałtownie opadać w dół. Widać stąd było duży fragment doliny i zielony pas brzoź, który wił się równolegle do rzeki Lindenborg Å.

Nie był w domu. Nie wiedział już, gdzie jest jego dom. Ale cieszył go znajomy widok. I cieszył się na powitanie, jakie bez wątpienia zgotuje mu Mr. White.

Do lasu przywiózł go jakiś sierżant. Milczeli obaj przez całą drogę. Wysadził go możliwie najbliżej doliny rzeki, tam gdzie kończyły się wąskie, szutrowe drogi w Vesterskov. Resztę drogi musiał pokonać pieszo.

Kiedy jakiś czas później przeszedł na drugą stronę rzeki i wdrapał się na brzeg, pomyślał, że być może mógłby tu zostać aż do października, jeśli tylko pogoda dopisze.

Nie widział jeszcze swojego zamaskowanego obozu, ale wkrótce, gdy po jego prawej pojawią się stare, pogieęte dęby, będzie „u siebie”. Szedł wąską ścieżką, którą sam wydeptał. Dziesięć metrów, dziewięć, osiem, siedem, sześć — widział szczyt dębu — pięć metrów, cztery metry i jeszcze kilka ostatnich kroków na wzniesienie. Za moment będzie...

Zamarł w połowie długiego kroku.

Stał skamieniały i tylko energicznie potrząsał głową, jakby próbował wyostrzyć sobie wzrok. Na jednej z najniższych, mocnych gałęzi dębu wisiało coś białego. Coś dużego i białego...

Paraliż ustąpił i ruszył pędem przed siebie. Biegł przez wysoką trawę i padał na kolana. Co chwila chował twarz w dłoniach, a potem z niedowierzaniem znów patrzył w górę. W końcu opadł bezwładnie w przód i został tak, leżąc na brzuchu, z twarzą zakopaną w ziemi.

Powyżej, jakieś trzy, może cztery metry nad nim, wisiał Mr. White. Nie żył. Wokół szyi miał zaciśniętą pętlę.

Rozdział 24.

Sowa zahuczała na krótko przed tym, jak krzyknął.

Potem ucichła. Wszystko milczało w gęstej ciemności nad doliną. On sam krzyknął tylko ten jeden raz. Przeciągle i rozdzierająco boleśnie, jak zranione zwierzę odłączone od stada. Potem padł bezwładnie przy przewróconym pniu.

Kiedy znacznie później udało mu się podnieść, oparł się plecami o pień i spojrzał w górę na czarny firmament. Dwoma solidnymi łykami opróżnił butelkę whisky. I choć była pusta, wciąż ścisnął ją kurczowo w dłoni, kiedy na czworakach i z nagim torsem przedarł się z powrotem przez trawę i wsunął pod plandekę.

Próbował się podnieść, żeby dołożyć do niewielkiego ogniska w otwartej części obozowiska, ale stracił równowagę i pacnął ciężko na ziemię obok legowiska.

Na śpiworze wciąż leżały w rzędzie trzy gotowe skręty. Ze swoich mocno już okrojonych zapasów zioła skręcił pięć. Sięgnął po jednego. Miał wrażenie, że wszystko, co robi i co widzi, dzieje się na końcu długiej rurki, przez którą stara się popatrzeć. Czuł się, jakby znajdował się poza własnym ciałem, i otumaniony próbował rozszyfrować, co ono robi i dlaczego porusza się tak, a nie inaczej.

Z trudem zapalił trzeciego skręta. Trzymając go niechlujnie wiszącego w kąciku ust, na czworakach zbliżył się do ogniska i dołożył do niego drew. Zaciągnął się głęboko i trzymał dym w płucach jak najdłużej, dla wzmocnienia efektu. Wszystko wokół zaczęło wirować i tylko na ułamki sekund zwalniało, pozwalając mu się zorientować, gdzie jest i co robi.

Płomienie wnikały w jego duszę. Chociaż możliwe, że było na odwrót. Albo że wzajemnie się przenikały. Po drugiej stronie płomieni widział swoich przodków. I tych, którzy byli przed nimi i jeszcze przed tamtymi... Widział długie cienie na ścianach groty i postacie ubrane w zwierzęce skóry. Widział gliniane ściany wokół podłogi z ubitej ziemi, ludzi, którzy stawiali coraz wyższe i piękniejsze budowle, słyszał tętent kopyt i widział falujące grzywy koni, i patrzył, jak ci sami ludzie zrównują te budowle z ziemią i je podpalają.

Wtedy powoli z płomieni ogniska wyłoniła się Siódemka.

Wyrzucił końcówkę skręta i spojrzał im kolejno w oczy.

Pierwsza była Starowinka z głową. Potem Krowiarz w mroźnej mgle. Kikuty zębów świeciły w blasku ognia. Po nim predefilowała kolejna piątka, jedno za drugim. Od lewej do prawej. A potem zniknęli.

Zniknęli równie bezdźwięcznie, jak się wyłonili z ogniska. I nie zrobili mu nic złego. Odnotował tylko ich obecność. Gdzieś tam, na końcu długiej rurki. Tej, przez którą obserwował również samego siebie. Z daleka. Na koniec zostały same płomienie.

Bezwiednie wyciągnął prawą rękę, żeby przesunąć nią po miękkiej sierści Mr. White'a. Pielęgnował ją na tyle, na ile był w stanie. Jego wierny towarzyszyś leżał obok i grzał się przy ognisku. Zbierał siły przed ostatnią drogą.

Mr. White lubił, kiedy się go drapało za uszami. Zwłaszcza za prawym. Podrapał go więc ostrożnie. I Mr. White lubił też, kiedy się go głaskało po grzbiecie, więc głaskał go i głaskał bez końca.

Długo tak siedział. A potem wziął swój sztylet i potrzymał go nad ogniem. Przycisnął mocno rozgrzane ostrze do lewego ramienia. Tuż poniżej pozostałych blizn.

Przesunął nim bardzo wolno do siebie. Na skórze została

długa, prosta linia. Krew powoli podchodziła ku powierzchni. Potem zaczęła wypływać. Na ręce pojawiły się nieregularne smugi zostawione przez krople, które zrobiły się za duże, by utrzymać się w miejscu.

Na szczęście poczuł ból, kiedy ostrze zagłębiło się w ciało. W tym bólu znajdował ukojenie. Mimo alkoholu i wypalonych skrętów ból zaskakująco jasno i prosto wychodził na pierwszy plan, na tle scenografii z płomieni. Być może dlatego, że był z bólem tak mocno zżyty.

Siedział nieruchomo. Przyglądał się spływającym kroplom. Z każdą zrodzoną w bólu kroplą obniżało się ciśnienie w jego głowie.

Potem znów podniósł sztylet i znowu przycisnął go do skóry. Nacięcie było równoległe do pierwszego.

Jakiś czas siedział tylko i patrzył na swoje ramię z zaciekawieniem i z daleka, i z uczuciem ulgi. A potem powtórzył swój rytuał po raz trzeci i ostatni.

Ramię krwawiło. Krew z wszystkich trzech nacięć już od dłuższej chwili płynęła jedną rzeką i skapywała z łokcia. Przedramię było brudne od krwi.

Ból zewnętrzny otworzył bramę, którą ten wewnętrzny mógł wyjść na zewnątrz i rozpuścić się w nocy.

Zamknął oczy.

Czuł się lekki. I spokojny.

Przysunął się bliżej swojego towarzysza, pochylił się, objął zakrwawionym ramieniem jego szyję i zanurzył twarz w jego pięknej, białej sierści.

I zasnął głęboko.

Rozdział 25.

Późnym rankiem kierowcy jadący na północ, w stronę Støvring albo Aalborga, nie zwracali najmniejszej uwagi na postać idącą poboczem z uniesionym kciukiem.

Autostopowicze nie mieli w Danii łatwego życia, a już na pewno nie, jeśli wyglądali tak niechlujnie jak mężczyzna na drodze krajowej numer sto osiemdziesiąt biegnącej przez Rold Skov.

Po dwudziestu minutach wędrowki miłosiernym samarytaninem okazała się młoda kobieta pracująca jako pomoc biurowa z Ravnkilde. Pracowała na pół etatu i swoją pracę w Aalborgu zaczynała trochę później. Mężczyzna z kucykiem uśmiechnął się, kiedy się przy nim zatrzymała i zapytała, dokąd jedzie. „Aalborg”, powiedział cicho.

Nie należy oceniać ludzi po wyglądzie ani ubraniach. Nawet ci najporządniejsi mogą czasem niespodziewanie zboczyć z właściwej drogi. Nawet najsilniejszych może zmieść z kursu. Tak w każdym razie teraz myślała. I choć przez ostatnie trzydzieści kilometrów, które zostały do Aalborga, będzie musiała znosić ostry zapach, jakim wypełnił samochód jej pasażer, nie widziała powodu, by zmieniać to przekonanie.

Milczący mężczyzna, który pewnie miał powody, by się nie odzywać, podziękował uprzejmie i uśmiechnął się, kiedy go wysadziła w centrum, niedaleko dworca.

Znał miasto jak własną kieszeń. Spędził kilka lat w tutejszej bazie lotniczej. Żeby dojść do hotelu, wystarczyło przejść przez tunel i ruszyć w górę przez Kildeparken.

To była łatwa decyzja. Właściwie podjęła się sama po tym, jak wstał i wlał w siebie półtora litra wody, zjadł łyżeczkę soli i wypił trzy kawy, starając się wytrzeźwieć.

Pierwsze, co zrobił, kiedy znów był w stanie myśleć racjonalnie, to pochował Mr. White'a. Zdecydował, że spocznie u stóp zbocza niedaleko obozowiska. Wychodziło na południe, więc przez większość dnia świeciło tam słońce. Dobre miejsce do wylegiwania się.

Nad grobem usypał niewielki kopczyk. A niech się zdziwi ten, kto będzie tędy przechodzić. On za to, jeśli któregoś pięknego dnia zechce tu wrócić i spotkać się z Mr. White'em, będzie wiedział, gdzie go znaleźć.

W tej chwili nie był w stanie w najmniejszym choćby stopniu przewidzieć, co przyniesie najbliższy czas. Nie zlikwidował obozowiska, a swoje rzeczy po prostu w nim zostawił.

Wszedł do holu hotelu Hvide Hus i zapytał o numer pokoju Axela Mossmana. Kobieta za marmurową, półkolistą ladą recepcji spojrzała na niego krytycznym wzrokiem, ale wykręciła odpowiedni numer. Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, usłyszał od niej „proszę bardzo”.

Tylko raz zdążył zapukać do drzwi pokoju 418, kiedy stanął w nich szef PET. Najwyraźniej właśnie szykował się do wyjazdu. Mossman uśmiechnął się szeroko.

— Proszę, proszę, Oxen. A więc ostatecznie się pan zdecydował. Zapraszam, niech pan wejdzie.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Martin Rytter z pokoju obok. Mossman pewnie powiadomił swojego podwładnego, że będą mieli gościa.

— Witaj, Oxen — powiedział Rytter i wyciągnął rękę.

Weszli do pokoju, gdzie Axel Mossman kazał im obu usiąść przy małym stoliku. On jednak wolał postać, na

środku pokoju.

— Powiesili mi psa — powiedział.

Mossman spojrzał na niego pytająco, więc powtórzył:

— Powiesili mojego psa. Na drzewie tuż obok mojego obozowiska. Wisiał tam, kiedy wróciłem wczoraj z komendy.

Mossman nie zdążył nawet usiąść, lecz od razu wypalił:

— Oxen, nie mów mi, że powiesiłeś samojeda tylko po to, żeby odwrócić od siebie podejrzenia. Do licha, to nie może być prawda.

To był impuls. W jednej chwili odwrócił się i wymierzył mocny cios z pięści w szczękę Mossmana. Olbrzym zachwiał się, odchylił, po czym zahaczył o stojącą lampę i z hukiem zwał się na podłogę.

Sekundę później rzucił się na niego Rytter — zwinnie i pewnie. Teraz lewym przedramieniem mocno i precyzyjnie kontrował ciosy Ryttera, nie przestając jednocześnie obracać się wokół własnej osi. Jego ruchy były instynktowne. Powtarzane w nieskończoność przez wiele lat treningów kata, by osiągnąć wymarzony dziesiąty dan i czarny pas w shōtōkan. Gdy dokończył obrót, wbił mocno łokieć w nerki Ryttera, który zachwiał się od ciosu.

Kiedy szef operacyjny skulił się z bólu, wbił mu dwa palce w szyję i mocno chwycił jeden z mięśni szyjnych. W ten sposób nie pozwolił Rytterowi upaść, lecz trzymał go wrzeszczącego na odległość wyciągniętej ręki.

— Już wystarczy, Oxen. Puść go. I nie ruszaj się, stój nieruchomo!

Powoli odwrócił głowę i spojrzał w lufę pistoletu. Asystentka Margrethe Franck przyszła z odsieczą swoim szefom. Wyglądała na zdecydowaną. Wąż w jej lewym uchu w każdej chwili mógł ukąsić.

Puścił Ryttera, który padł na kolana, krztusząc się i masując bok szyi.

Goliat dopiero teraz zdołał się pozbierać z podłogi i wyprostować po tym, jak z wściekłością rzucił lampą na drugi koniec pokoju.

— Oxen, kurwa, pożałujesz tego! — Mossman pomachał groźnie wielkimi pięściami.

— Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy wziąć głęboki oddech — zarządziła Margrethe Franck i opuściła broń.

— Beze mnie.

Odwrócił się na pięcie i odepchnął Franck, żeby wyjść z pokoju.

— Zaraz, nie tak prędko, Oxen. Poczekaj chwilę, człowieku.

Mossman zaskakująco szybko się przy nim znalazł i złapał go za ramię. Już miał wykręcić rękę starucha ze stawu, kiedy ten zawołał:

— Przepraszam, okej? Wybacz mi. To, co powiedziałem, było mocno nie na miejscu. Poniosło mnie. Przyjmij moje przeprosiny.

Mossman wyciągnął do niego rękę. Nie uścisnął jej, ale też nie ruszył się z miejsca. Mossman rozłożył ramiona i westchnął:

— Może zaczniemy jeszcze raz? Usiądźmy.

Martin Rytter stanął na nogach, ale wciąż masował szyję. Przysunął sobie krzesło i usiadł, ale widać było, że bardzo trudno jest mu nadać twarzy stosowny wyraz. Margrethe Franck położyła pistolet na biurku i usiadła na małej kanapie obok Mossmana.

Raz jeszcze przemyślał swoje położenie — i postanowił jednak usiąść na fotelu obok Ryttera.

— Dobrze — parsknął Mossman — po tym małym... wstępie... jesteście chyba gotowi spokojnie porozmawiać. Oxen, zakładam, że poważnie zastanawiasz się nad moją propozycją, skoro tu przyszedłeś.

Przytaknął.

— To przez to, co się stało z psem? — zapytał Mossman.

Wzruszył ramionami.

— Właściwie nie wiem, co powinienem zrobić. Ani dokąd się udać.

— Nie masz stałego adresu? — zapytał Rytter.

Pokręcił głową. Margrethe Franck popatrzyła na niego i zapytała:

— Twoim ostatnim adresem była sala klubowa na Amager. Gdzie tak naprawdę ostatnio mieszkałeś?

— W piwnicy w Nordvest. Przy Rentemestervej.

— Nie dostajesz żadnego zasiłku, nie jesteś nawet zarejestrowany. Cała korespondencja wraca bez odpowiedzi. Dlaczego?

Zdaje się, że Margrethe Franck pogrzebała trochę w jego życiu.

— O nic nie proszę, chcę tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju.

Mossman mruknął coś niezrozumiale i przejął pałeczkę:

— *Down to business...* PET może cię potrzebować. Pozwól, że nakreślę ci sytuację w wielkim skrócie. Potem będziesz mógł podjąć ostateczną decyzję.

Skinął głową, a Mossman spojrzał mu w oczy.

— Zanim przyszedłeś dziś do hotelu, wydawało mi się, że możesz być dla naszego śledztwa czymś w rodzaju jokera.

Teraz jestem tego pewien. Pomyślałeś o tym, że powieszony pies to ostrzeżenie? I że w pozostałych dwóch przypadkach właściciele psów zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach? Przyszło ci to do głowy?

— Oczywiście, że tak. Ale to kompletnie bez sensu. Nie mam żadnego związku z tamtymi sprawami. Przyjechałem pociągiem do Skørping i po prostu poszedłem do lasu.

Mossman pokiwał głową zamyślony i mówił dalej:

— Wszelkie spekulacje odkładamy na bok. Zmierzam jedynie do tego, że obecnie jesteś najwyraźniej czynnie zaangażowany w sprawę Corfitzena oraz — nawet jeśli zupełnie o tym nie wiedziałeś — w sprawę Bergsøe. Dlatego dziś jesteś mi potrzebny jeszcze bardziej, niż byłeś wczoraj.

Zauważył, że szef operacyjny najwyraźniej nie podziela tego przekonania. Asystentka Franck również wydawała się nastawiona sceptycznie.

Mossman wyjaśniał dalej:

— Będziesz naszymi oczami i uszami w terenie, Oxen. Będziesz robił to, czego nasze służby oficjalnie nie mogą robić. Damy ci pełną swobodę działania, będziesz mógł wykorzystać wszystkie środki, jakie cię zbliżą do celu: znalezienia sprawcy, albo sprawców. Musisz bowiem wiedzieć, że nie tylko miejscowa policja jest pod znaczną presją. Właśnie dlatego sięgam po takie... niekonwencjonalne rozwiązanie, równoległe z naszym dochodzeniem.

Teraz doskonale rozumiał, czego od niego chce szef PET. Bez względu na obowiązujące prawo ma zniszczyć wszystko, co będzie przeszkadzało w wyjaśnieniu sprawy.

— A jeśli przy tym napytam sobie biedy?

— PET stanowczo zaprzeczy, że dla nas pracujesz. Nieoficjalnie zrobię oczywiście wszystko, co będzie w mojej

mocy, jeśli zaczęłoby ci się tlić pod ogonem — zapewnił Mossman bez chwili wahania.

To było dokładnie to samo, co w przebraniu iść na rekonesans na terytorium wroga. Najbardziej niebezpieczna, gówniana robota z możliwych. Bo jeśli cię złapią, to żadna kawaleria po ciebie nie przyjedzie i nie sprowadzi cię do domu. I Mossman, i Rytter też tego nie zrobią.

— Rozumiem. Komu więc będę składać raporty?

Mossman spojrzał najpierw na Ryttera, a potem na Franck, która powoli skinęła głową.

— Będiesz raportował Margrethe. Ona też będzie twoim wsparciem. Pomoże ci zdobyć każdą potrzebną wiedzę. Zajmie się kwestiami praktycznymi. *Nie będzie* natomiast pomagać ci w terenie. Zrozumiano?

To go zdziwiło. Kobieta o intensywnym spojrzeniu i jasnych, sterczących włosach z długimi pasmami opadającymi na czoło była przecież asystentką. Chociaż może właśnie dlatego. PET chce się od niego trzymać na odległość kija, a ten kij ma trzymać Margrethe Franck.

— W porządku. — Skinął głową w jej stronę. — A jeśli Franck będzie niedostępna, to komu?

— Rytterowi albo mnie — odparł Mossman. — Proponuję, żebyś założył bazę możliwie najbliżej zamku Nørlund. Nie ma wielkiego wyboru, jest tylko Rold Storkro. Franck też się tam przeniesie. Zaczynamy dziś po południu. Zgadzasz się, Margrethe?

Przytaknęła, ale wyglądała, jakby tłumiała głębokie westchnienie.

— A wynagrodzenie?

— Pomyślałem, że wypłacimy ci honorarium jak doradcy. Hojne, ma się rozumieć — odparł Mossman.

— Ile?

— Sto tysięcy koron za miesiąc. Umowę będziemy mogli przedłużyć.

Kątem oka dostrzegł uniesione brwi szefa operacyjnego. Rytter sądził być może, że kwota jest zaskakująco wysoka.

Kiedy tylko zdecydował się odwiedzić szefa PET w hotelu, przemyślał swoje stanowisko. Postanowił zażądać zapłaty stosownej do ryzyka. Nie miał przecież grosza przy duszy.

Bergsøe był przewodniczącym komisji z Wambergu, Corfitzen — nestorem duńskiej dyplomacji. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wchodzi na pole minowe. To zadanie jest obarczone najwyższym stopniem ryzyka.

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron, w gotówce — powiedział.

Rytter poruszył się niespokojnie. Franck skrzyżowała ręce na piersiach. Mossman odchrząknął.

— Znaczna sumka — powiedział szef PET.

— Ryzyko również jest niemałe, moim zdaniem. Wynagrodzenie powinno odpowiadać zagrożeniu. I nigdzie ani śladu, żadnych dokumentów, żadnych pokwitowań.

— Jesteś bardzo pewny siebie, Oxen. Cenię to i chyba mogłem się tego spodziewać po człowieku twojego kalibru. Okej, umowa stoi. Pięćdziesiąt teraz, reszta za miesiąc — powiedział Mossman.

Pokręcił głową.

— *Z góry.*

— To akurat byłoby odrobinę nierozważne. Miałbym zapłacić naprawdę wysoką cenę za coś, czego jakości nie znam — argumentował Mossman.

— To nie był mój pomysł. Zapomnijmy o sprawie i już.

Poruszył się, jakby zbierał się do wyjścia. Widząc to, Mossman uniósł potężną dłoń.

— Okej, niech będzie. Dostaniesz dwieście pięćdziesiąt tysięcy za dwa dni. Takiej sumy nie dam rady zorganizować ot tak. Tymczasem dam ci pięć tysięcy zaliczki na fryzjera, ubrania i drobne wydatki. Bo w tym stroju raczej nie zdołasz się wtopić w otoczenie. A te dwieście pięćdziesiąt tysięcy dostaniesz pod warunkiem, że będę mógł przedłużyć naszą umowę o dwa tygodnie bez dodatkowego wynagrodzenia. Zgoda?

Przytaknął.

— Dobrze. A teraz bądź tak dobry i zejź na dół. Zamów sobie coś do jedzenia i kawę. Każ to dopisać do mojego rachunku, a potem zaczekaj na mnie w holu — przekażę ci ostatnie praktyczne instrukcje.

Axel Mossman wygramolił się z miękkiej kanapy na znak, że spotkanie uważa za zakończone. Pozostali również wstali i uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

— Zatem do zobaczenia później, Oxen — powiedziała Margrethe Franck bez szczególnej radości w głosie.

Ponownie skinął głową.

— Twoim zdaniem Oxen zażądał zbyt wiele — powiedział Mossman Rytterowi kilka długich chwil po tym, jak Niels Oxen zamknął za sobą drzwi do pokoju.

Stali wszyscy troje przy dużym oknie i patrzyli na park w dole. Szef operacyjny jako pierwszy skomentował rozmowę z weteranem.

— Uważam tylko — zaczął — że ćwierć miliona to sporo za usługę, o której nie wiemy nawet, na czym będzie polegać. W dodatku pod stołem. Podtrzymuję to, co już mówiłem — moim zdaniem to skrajnie ryzykowne wchodzić w jakikolwiek układ z kimś tak nieobliczalnym jak nasz strauumatyzowany

bohater wojenny.

— Całkiem porządnie dorwał ci się do gardła, co Martin?
— warknął Mossman. — Może stąd twój sceptycyzm?

Rytter pokręcił głową zniecierpliwiony.

— A ty, Margrethe, jeśli cię dobrze znam, dałabyś mu kulkę — dodał.

— Tylko w udo — odparła i spojrzała na zielone drzewa w parku.

— Pogrzeb jeszcze w przeszłości Oxena. Chcę wiedzieć o tym człowieku wszystko. Wszystko, do cholery. I musimy jak najszybciej zdobyć całą dokumentację psychologiczną tego gościa, bo jakaś musi być.

— To niemożliwe.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Grube już go o to prosił, ale Oxen odmówił. Nie chce, żebyśmy zaglądali w jego papiery. A nakazu ujawnienia informacji nie dostaniesz na podstawie tak słabych poszlak. Tak naprawdę nie mamy poszlak nawet na najbardziej lipny areszt.

Mossman wahał się przez chwilę.

— Wobec tego będziesz musiała dotrzeć do tych informacji własnymi kanałami,

— Okej, zajmę się tym. Jest zresztą jeszcze coś, czego nie bardzo rozumiem.

— Mów.

— Niels Oxen nie ma absolutnie żadnych kompetencji śledczych. W szkole policyjnej był tylko dwa lata. Jasne, ma swoje medale i krzyże zasługi, ale zebranie dowodów w tak złożonym dochodzeniu to jednak całkiem inna bajka. I jeszcze te ćwierć miliona koron...

Axel Mossman milczał przez chwilę. Czyli jego asystentka trzyma stronę Ryttera, którego zresztą już wcześniej wtajemniczył w swój plan. Do tego oboje są stosunkowo młodzi. I o wiele bardziej praworządni, niż on był w ich wieku. Tak zresztą wygląda dziś całe to cholerne społeczeństwo. Młodzi nie powinni przestrzegać reguł. Powinni je kontestować. Praworządność powinna być wprost proporcjonalna do wieku, ot co.

— Posłuchaj... — Po raz pierwszy miał problem ze znalezieniem odpowiednich słów. — Mam silne przeczucie, że Niels Oxen może się okazać pożyteczny teraz, kiedy zrobiliśmy postęp w śledztwie i połączyliśmy obie sprawy.

Mossman ograniczył się do tego lapidarnego wyjaśnienia. Margrethe Franck przez chwilę się namyślała, aż powiedziała cicho:

— Pożyteczny w sensie pożyteczny idiota, tak? Czy tak zamierzasz go wykorzystać?

— Zobaczymy.

Axel Mossman wzruszył ramionami i zaczął zbierać swoje rzeczy. Wkrótce musieli zwolnić pokoje. On i Rytter wracali do Kopenhagi najbliższym samolotem. A ona oczywiście miała tu zostać.

Otwarte zaproszenie szefa służb wywiadowczych spożytkował na dwa ogromne tosty z indykiem, bekonem, pomidorem, sałatą i majonezem, dwie cole i cztery filiżanki kawy. Obsługa przyglądała mu się z najwyższą dezaprobatą, zadzwonili nawet do Mossmana, by potwierdził, że „jakiś obcy” może jeść na jego rachunek. A teraz zgodnie z umową siedział na ławce w Kildeparken i czekał na hojnego gospodarza.

Początkowo czekał na niego w holu, gdzie miłośnik tweedowych marynarek przysiadł obok i rozłożył gazetę.

— Oxen, do parku. Ruszaj teraz, ja dołączę za pięć minut — mruknął cicho zza gazety. Jak powiedział, tak zrobił. Z kanapy w holu do ławki w parku było góra dwieście metrów. Wkrótce zjawił się i usiadł obok niego.

— Tu jest znacznie lepiej... Niedługo musimy jechać na lotnisko, dlatego będę się streszczał.

Skinął. On również wolałby nie przeciągać niepotrzebnie czasu, który musi spędzić w towarzystwie kogokolwiek z PET.

Mossman rozejrzał się czujnie wokoło. Wszystko wyglądało jak zwyczajne popołudnie w środku tygodnia — czyli tak, jak sobie można wyobrazić park w kraju, którego mieszkańcy trochę za długo musieli czekać na wiosnę.

— Franck przekaże ci pieniądze w ciągu dwóch dni.

— Dziękuję.

— A tu masz pięć tysięcy zaliczki. — Mossman wręczył mu plik pieniędzy. — I mam jeszcze jedną zmianę w naszym układzie. Wszystko ma być poufne.

Zmrużył oczy i czekał.

— A przez poufne rozumiem, że zostanie między tobą a mną.

Skinął ponownie.

— Wszystkie ważne informacje, wszystko, co może być szczególnie ciekawe, przekazujesz bezpośrednio mnie. Nie Rytterowi ani Franck, ani nikomu innemu z wywiadu. Tylko mnie, zrozumiano?

— Tak.

— Załatw sobie komórkę i kontaktuj się ze mną pod tym numerem.

Mossman zapisał numer na odwrocie swojej wizytówki.

— Masz. Zapamiętaj numer i pozbądź się wizytówki. To jedyny numer, którego wolno ci używać.

Skinął głową. Czyli Mossman realizuje własny plan. Bo tak właśnie postępują szefowie — i generałowie.

— Powiedzmy, że okno komunikacyjne będzie otwarte dwa razy na dobę. Od piątej do szóstej rano i od dziesiątej do jedenastej wieczorem.

— A w sytuacji awaryjnej?

— Takie nie istnieją.

— Rozumiem.

— I żadnych imion. Przedstawiasz się jako Łowca.

— Zgoda.

— Zwykle, rutynowe raporty będziesz zdawał Franck i reszta tak, jak ustaliliśmy. Masz jakieś pytania?

— Nie.

— Znakomicie. Intuicja mi podpowiada, że wciąż masz jakieś informacje, którymi nie chcesz się podzielić. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu. W każdym razie wykorzystaj tę wiedzę. Złam prawo, jeśli to będzie konieczne. Znajdź luki w poszczególnych sprawach. Za to dostajesz swoje cholernie wysokie honorarium, Oxen.

Rozdział 26.

Późnym wieczorem zapukał do drzwi Margrethe Franck, która zajmowała pokój sąsiadujący z jego pokojem. To ona zaproponowała, żeby się spotkali, by „podsumować sprawy i zaplanować dalsze kroki”.

Nie miał nic do podsumowania, ale miał coś na kształt planu. Jeszcze nie zdecydował, na ile chce ją w niego wtajemniczyć.

Sporo czasu spędził dziś w salonie fryzjerskim *Anjas Hårcafe* w Skørping. Rozkaz wyszedł od Mossmana, ale to Margrethe Franck zajęła się jego wypełnieniem. Wcześniej przez godzinę wylegiwał się w wannie w swoim pokoju — z własnej inicjatywy.

Przez wiele lat dbał o higienę osobistą z wojskową dyscypliną — tak mu podpowiadał nawet zdrowy rozsądek. To, że doprowadził się do takiego, a nie innego stanu, wynikało z faktu, że z czasem wszystko mu całkowicie zobojętniało.

Wszedł do pokoju. Margrethe siedziała przy biurku z nosem w jakichś papierach i dopiero po dłuższej chwili na niego spojrzała. Srebrny wąż zniknął z jej ucha. Siedziała z wąskimi okularami do czytania zsuniętymi na czubek nosa. Czarne grube oprawki mocno się odznaczały na tle bladej twarzy i jasnych włosów. Z drugiej strony to samo można było powiedzieć o czarnej motocyklowej kurtce wiszącej na oparciu krzesła. *Ebony and ivory...* Próbował w niej zobaczyć harmonijną całość, ale na próżno — Margrethe Franck wyglądała na zniecierpliwioną, jakby przyszedł nie w porę.

Po chwili zmierzyła go wzrokiem znad okularów.

— Nowy, lepszy człowiek?

Miał na sobie rzeczy ze skromnej kolekcji, którą rzucił na ladę w sklepie z odzieżą męską w Støvring: džinsy, białą koszulkę, na wierzchu rozpiętą flanelową koszulkę w czerwono-czarną kratę. Był boso, ale kupił sobie też na szybko parę sportowych butów. Nadal miał włosy do ramion, ale przycięte według zamysłu Anji. Krótkie włosy nosił w innym życiu.

— Czy dobry, to nie wiem. Chcesz odwołać zebranie?

— Nie, dlaczego?

— Wyglądasz, jakbyś była bardzo zajęta.

— Nie, jestem gotowa — zapewniła go i odłożyła dokumenty. Przysunął sobie taboret pod ścianę i usiadł.

— Dobra, to co chcesz wiedzieć? — zapytał.

— Mossman poprosił, żebym ci pomagała, więc od czegoś muszę zacząć. Jaki masz plan? Masz w ogóle jakiś?

— Nie zdążyłem jeszcze głębiej się nad tym zastanowić.

— Czyli nie wiesz, czego chcesz? — mówiła głosem zupełnie pozbawionym emocji.

Dopiero teraz zauważył, że jedna nogawka jej spranych džinsów zwisa luźno z krawędzi krzesła poniżej kolana. A to, co przykuło jego wzrok kilka sekund wcześniej, było protezą opartą o łóżko.

— Powiedzmy, że zastanawiam się nad tym, co chcę zrobić. Twoja noga... Byłaś na misji?

Pokręciła głową.

— Moja noga nigdy nie stanęła w wojskowym szeregu, nawet w czasach, kiedy miałam je dwie.

— Ajdiki, to znaczy miny pułapki... widziałem sporo podobnych obrażeń.

— Nie wątpię. Czyli nie masz dla mnie żadnego zadania?

— Owszem, coś przyszło mi do głowy — zaczął. Być może Franck mogłaby sprawdzić to, o czym rozmyślał w wannie.

Patrzyła na niego pytająco.

— Modus operandi — wyjaśnił.

— Modus operandi — co? — Jej wzrok przeszywał go przez szkła okularów.

— Powieszony pies. Mamy trzy powieszono psy — Bergsøe, Corfitzena i mój. I dwóch martwych właścicieli psów: Bergsøe i Corfitzena. Wydaje mi się...

— Jak dotąd dwóch martwych właścicieli — przerwała mu.

— Tak, jak dotąd. Wiesz, naprawdę sporo przeżyłem i wydaje mi się, że tu chodzi o zastraszenie. To jest metoda: zastraszyć ludzi, zagrozić im.

— Zagrozić po co?

— To jest pytanie za milion.

— Oxen, dostajesz ćwierć za znalezienie odpowiedzi. Skończmy z tą komedią. Moim zdaniem to skandal, że dostajesz dwieście pięćdziesiąt tysięcy tylko za to, że jesteś podejrzany albo że jesteś potencjalną kolejną ofiarą.

— Nie obchodzi mnie twoje zdanie, ale rozumiem cię.

— Skończyłam szkołę policyjną, jestem komisarzem detektywem, jak to się kiedyś nazywało. Ja potrafię prowadzić śledztwo. Ty — nie.

Margrethe Franck w końcu zdjęła okulary. Od razu poczuł się lepiej.

— Nie potrzeba szkoły policyjnej, żeby zobaczyć, że coś tu nie gra. A jeśli się dostaje dwieście pięćdziesiąt kaflów z *góry* i prosto do ręki, to znaczy, że nie gra na całej linii. Biorę tyle, ile mogę dostać, i najwyraźniej podejmuję ogromne ryzyko —

wyjaśnił.

Słuchała go zamyślona i kiwała tylko głową. W końcu zarzuciła swoją jedyną nogę na biurko.

— Brałam raz udział w zatrzymaniu domniemanego zabójcy. Ukrył się w swoim samochodzie na tyłach domu w Sydhavnen. Próbując uciec, wjechał prosto we mnie i przygwoździł mnie do muru. To było dziesięć lat temu. Musieli ją odjąć powyżej kolana — powiedziała, wskazując głową nogę. — Właściwie wcale mi jej nie brakuje. Mówiliśmy o *modus operandi*, prawda?

Margrethe Franck dmuchnięciem odsunęła z czoła długą grzywkę.

— Chodzi o zastraszenie. O to, by wysłać sygnał przyszłej ofierze, że wkrótce wykonany zostanie wyrok śmierci. W przeciwnym razie Corfitzen nie umarłby spokojnie w swoim fotelu, z powodu zatoru. Wówczas zostałby zabity w sposób, który byłby komunikatem dla innych. To moja teoria. Co na to komisarz detektyw?

— Detektyw powie „okej” i zapyta, czego ma dotyczyć groźba wobec ciebie, Oxen.

Wzruszył ramionami.

— Wobec mnie — nie mam pojęcia. Najzwyczajniej w świecie nie mam pojęcia. Ale jakiś związek musi istnieć, albo nagle zaistniał. Ostatecznie byłem w pobliżu miejsca zdarzenia. Nie w samym gabinecie, ale w ogrodzie.

— Z całą pewnością natomiast musi być jakiś związek między Bergsøe a Corfitzenem, skoro ich pupile musiały zawisnąć. Tylko jaki?

— Ta sama odpowiedź — nie mam pojęcia.

— Ale skoro powieszony pies stanowi element metody, to każda kolejna „ofiara gróźb” musi być właścicielem albo

właścicielką psa, prawda? Porachunków w duńskim związku kynologicznym chyba nie bierzemy pod uwagę.

Jej ton wciąż był całkowicie pozbawiony emocji. Jeśli usta Margrethe Franck były zdolne do uśmiechu, to po mistrzowsku tę umiejętność ukrywała. Obstawiał jednak, że nie były.

— Zakładam, że właściciele psów jest w Danii tylu, że równie dobrze możemy mówić o ślepej statystyce. Czyli że ofiara numer cztery, która ma być zastraszona po mnie, być może wcale nie ma psa. Albo że w ogóle nie ma czwartej ofiary. Wymieniamy się jedynie koncepcjami — wyjaśnił.

— Otóż nie, Oxen. Omawiamy metodę. A to ważne.

— Zapytałaś, czy możesz coś zrobić. Zatem możesz. Moim zdaniem metoda jest na tyle szczególna, że powinniśmy rozejrzeć się wokół. Czy inni zetknęli się z czymś podobnym?

— Zgadzam się z tobą, że trzeba to sprawdzić, chociażby po to, żeby zamknąć ten wątek — powiedziała, kiwając głową. — Nie wydaje mi się zresztą, aby komisarz Grube i jego ludzie myśleli podobnie. Ale podpytam go. Jesteśmy zobowiązani... w każdym razie do pewnego stopnia, informować o naszych wynikach Aalborg. Tak uważa Mossman.

— To nie moja sprawa, zostawiam to tobie.

— Wyślę zapytanie za pośrednictwem Interpolu. Póki co ograniczymy się do Europy. Coś jeszcze? — Jej spojrzenie wydawało się łagodniejsze bez hebanowej ramy.

— Nic wielkiego. Jutro rano zamierzam sprawdzić jeszcze parę drobiazgów.

— Drobiazgów?

— Pojadę do Nørlund Slot. Trochę tam powęszę.

— Jak uważasz.

Margrethe Franck najwyraźniej nie przeszkadzało, że nie mówi jej o wszystkim.

— A teraz chcę się wcześniej położyć. Na razie.

Wstał i podniósł rękę na pożegnanie. Już miał zamknąć za sobą drzwi, kiedy Margrethe go zatrzymała: — Twój pies...

— Co z nim?

— Jak się wabił?

— Mr. White.

— Jak długo go miałeś?

— Czy to ma jakiś związek ze sprawą?

— Nie.

— Trzy lata i cztery miesiące. Dlaczego pytasz?

— Nieważne. Na razie...

Rozdział 27.

Prowadząc samochód po ponad trzyletniej przerwie, czuł się, jakby kapsuła czasu przeniosła go z powrotem do epoki, w której miał zwyczajne życie rodzinne z wolno stojącym domem i dwoma samochodami na podjeździe. Jeden taty, a drugi mamy.

Skręcając w krótką drogę dojazdową wiodącą do zamku, skręcił w swój własny podjazd.

Za moment wniesie do domu zakupy, a Magnus wybiegnie mu na spotkanie, o ile usłyszał samochód. Birgitte bez większego entuzjazmu rzuci mu tylko „cześć”, a on od razu zacznie skanować jej postać, aby rozpoznać jej aktualny nastrój i przygotować się na pierwszy negatywny komentarz, dotyczący czegoś, co ją spotkało w pracy, jakości ziemniaków, które kupił, albo — co jest zdecydowanie bardziej prawdopodobne — czegoś, co miał zrobić, ale zapomniał, albo co miał zrobić inaczej, albo co zrobił, chociaż miał nie robić.

Przyjemnie było znowu prowadzić samochód, ale nie tęsknił za tym. Podobnie jak nie tęsknił za kontaktami z ludźmi. Miał wrażenie, że ostatnie dni wypełniał jeden niekończący się potok słów, i to słów ciężkich jak ołów. Jechał powoli alejką i od razu dostrzegł brak słupa z kamerą. Zaparkował obok dwóch samochodów na świeżo rozjeżdżonym fragmencie podwórza przysypanego kamykami i opuścił japoński wehikuł czasu.

Majątek Nørlund w świetle dnia prezentował się inaczej. Szczerze mówiąc, wydawał się jeszcze mniejszy, niż go zapamiętał. Ale również bardziej przytulny bez tajemniczych

świateł, cieni i mężczyzn w czerni.

Biały budynek po prawej, na kawałku ziemi przed zamkiem, wydawał się za to większy. Mógł w nim mieszkać zarządca majątku w czasach dawnej świetności.

Nigdzie nie było widać żywej duszy. Ruszył więc przez niewielki most nad fosą i dalej, brukowaną drogą, na plac otoczony trzema skrzydłami zamku, kierując się wprost do drzwi głównych. Nad wejściem wyraźnie widać było dziury po kołkach, na których wisiała kamera. Zapukał trzykrotnie ciężką kołatką i czekał. Nic się nie działo.

Już miał się odwrócić, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła przed nim córka Corfitzena — w spranych dżinsach, czarnej koszuli i sandałach na bosych stopach. Wyglądała na zaskoczoną.

— To pan? Witam.

Podali sobie ręce, a on od razu przedstawił jej powód swojej wizyty — najlepszy, jaki zdołał sklecić naprędce podczas jazdy.

— Chciałem zapytać, czy zgodzi się pani, żebym trochę się tu rozejrzał. Jak pani wie, jestem podejrzany w sprawie śmierci pani ojca, ale tymczasem mój pies został powieszony, dokładnie tak jak pies pani ojca. To oznacza, że jestem w tę sprawę zamieszany na więcej niż jednej płaszczyźnie. Nie mam pojęcia, dlaczego i w jaki sposób. Być może tamtego wieczoru natknąłem się na coś, na co nie powinienem był się natknąć... Może ktoś sądzi, że widziałem coś albo słyszałem. Nie mam pojęcia.

— Komisarz Grube powiedział mi o pańskim psie. To bardzo smutne. Jak długo go pan miał?

— Trzy lata i cztery miesiące.

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

— No tak, zatem w czym mogę panu pomóc?

— Jeśli pani pozwoli, chciałbym móc trochę się tu rozejrzeć — i w środku, i na zewnątrz.

— Oczywiście. W tej chwili jestem trochę zajęta, więc proszę zacząć na zewnątrz, a potem chętnie oprowadzę pana w środku domu.

— Dziękuję.

— Wygląda pan... inaczej. — Karin Corfitzen szeroko się uśmiechnęła. — Nowy, lepszy człowiek?

— Lepszy raczej nie.

Po raz drugi w ciągu niespełna doby zdarzyło się, że kobieta uległa temu złudzeniu. I on po raz drugi musiał sprostować.

Roześmiała się:

— Poprzestanę więc na czystszy człowieku. Do twarzy panu z tym. Proszę się rozejrzeć i wrócić za pół godziny.

— Jedno małe pytanie, bo to mnie intryguje. Czy na terenie posiadłości nie ma monitoringu?

— Kiedyś był. Minął niemal rok, odkąd byłam tu ostatnim razem. I wtedy rzeczywiście wokół domu były kamery, a także tu, nad drzwiami — wskazała miejsce nad głową — ale najlepiej, jeśli pan o to spyta Arvidsena, o ile go pan spotka. On powinien wiedzieć, co się z nimi stało.

O ile zamek w dzień wydawał się mniejszy, o tyle ogród za nim wydawał się znacznie większy niż tamtego wieczora, gdy ukradkiem przemykał po nim z Mr. White'em. Kwadratowy trawnik był starannie przycięty, a z każdej strony otaczały go zadbane rabaty sięgające pasma zarośli i drzew, przez które przedzierał się pędem z jedną tylko myślą w głowie: uciec stąd jak najdalej.

Idąc, bacznie przyglądał się dokładnie nakreślonej

krawędzi trawnika, ale nie było tu już ani jednej kamery. Poniżej, na końcu parku, dostrzegł Arvidsen za jednym z rozłożystych rododendronów.

Zadzwoiła mu komórka. Wyjął ją z kieszeni — dzwoniła Margrethe Franck, której nie widział przy śniadaniu.

— Rozmawiałam z policją z Aalborga. Grube mówi, że ten Arvidsen, ogrodnik, czy kim on tam jest, pracował dawniej w policji.

— To ciekawe. Właśnie patrzę na czubek jego głowy.

— Jesteś w Nørlund?

— Tak.

— Co tam robisz?

— Rozmawiałem z córką Corfitzena. A teraz się rozglądam. Był policjantem?

— Owszem, ale nie takim zwykłym. Był w AKS, jednostce do zadań specjalnych, kiedy pracował w Odense. Jego teczka prezentuje się zresztą całkiem ładnie.

— A teraz plewi klomby.

— Coś tu naprawdę brzydko pachnie, Oxen. Może wieczorem zrobimy sobie burzę mózgów?

— Jasne. Tylko wcześniej porozmawiam chwilę z naszym szturmowcem. Wiesz, ile ma lat?

— Pięćdziesiąt dwa.

— A od jak dawna pracował u Corfitzena?

— Od pięciu lat. Jest jeszcze coś... on ma pozwolenie na broń.

— No tak. Do wieczora.

Rozłączył się. Pięćdziesiąt dwa lata to żaden wiek. Oznaczałoby to, że Arvidsen odszedł z policji w wieku

zaledwie czterdziestu siedmiu lat. Po czym stał się dla ambasadora Corfitzena ogrodnikiem przeszkolonym do zadań specjalnych w policyjnym oddziale antyterrorystycznym. Do zwykłych zadań tej grupy należała ochrona ważnych osobistości, zatem Arvidsen musiał zaliczyć również specjalne szkolenie w zakresie ochrony osób. Co u licha mogło skłonić sędziwego dyplomatę do zatrudnienia ogrodnika o tak wysokich kwalifikacjach?

— Dzień dobry! — zawołał do Arvidsena, kiedy zszedł do niego, na koniec parku. Ogrodnik spojrzał i odklonił się.

— Karin Corfitzen pozwoliła mi trochę się rozejrzeć — wyjaśnił. — Imponujący ogród, wszystko doskonale zadbane.

Arvidsen przyglądał mu się podejrzliwie.

— I te olbrzymie rododendrony. Fantastycznie musi tu wyglądać, kiedy kwitną. Pewnie cały czas poświęca pan na ten ogród?

— Większość czasu.

— A co jeszcze robił pan dla Corfitzena?

— O ile mi wiadomo, jest pan kłusownikiem, a nie policjantem — wycedził Arvidsen.

— To prawda. Ale pańska nowa szefowa pozwoliła mi zadać panu kilka pytań. Dlaczego pan się tak złości?

— Zmęczyło mnie to niekończące odpowiadanie na wiecznie te same pytania, tyle że zadawane przez różnych idiotów. Byłem kierowcą i złotą rączką. Robiłem drobne naprawy, biegałem załatwiać różne rzeczy w miasteczku, doglądałem ogrodu i tak dalej. Corfitzen wolał doglądać swoich interesów z tylnego fotela, zamiast samemu siadać za kierownicą, więc w ciągu dwóch lat przejechałem z nim sporo kilometrów.

— Dla kogoś, kto ma wyrównywać rabaty i wyrywać

chwasty, ma pan aż nadto... potencjału. Niewielu dawnych funkcjonariuszy AKS kończy jako ogrodnicy.

— Wszyscy jesteśmy ogrodnikami Najwyższego.

— Dlaczego od razu nie powiedział pan policji o swojej przeszłości?

Rozmowa gwałtownie zmieniła obrót, co bynajmniej nie poprawiło Arvidsenowi nastroju.

— Nikt o to nie pytał... Ale miejscowi policjanci byli tu wczoraj i o wszystkim się dowiedzieli. Sam pan był przecież kiedyś cholernie dzielnym żołnierzem, prawda? Zna pan więc szczodrość administracji państwowej. Corfitzen natomiast potrafił docenić solidnego kierowcę.

— I ochroniarza?

— Corfitzen nie potrzebował ochroniarza. Był człowiekiem hojnym i lubianym.

— Mogę zapytać, ile pan zarabiał?

— To nie pański biznes.

— Mogę poprosić o wgląd w policyjne raporty.

— Proszę zatem to zrobić. Odmówią panu.

Coś mu przyszło do głowy. Odszedł kawałek dalej, w róg parku, i zadzwonił do Margrethe Franck. Po kilku minutach dostał odpowiedź i wrócił do Arvidsena, który zaczął przekopywać rabatę.

— Sześćdziesiąt siedem tysięcy pięćset miesięcznie. Czyli osiemset dziesięć tysięcy na rok. Bezkonkurencyjnie jest pan najlepiej opłacanym ogrodnikiem w kraju.

— Jeśli nawet, to co z tego? — Arvidsen wyglądał na poirytowanego.

Spojrzał na byłego szturmowca.

— Czego tak nagle przestraszył się Corfitzen? Co tu robiło pięciu ochroniarzy?

— O ile mi wiadomo, byli doradcami, z którymi konsultował swoje finanse. Tak w każdym razie wyjaśnił mi ambasador.

— Kłamie pan, panie ogrodniku. Ma pan pozwolenie na broń. Po co, żeby strzelać do mszyc?

— Zna pan moją przeszłość. Przywykłem do broni. Dla własnego bezpieczeństwa.

— Dla bezpieczeństwa Corfitzena. Był pan jego gorylem przez pięć lat. Co się stało z monitoringiem?

Arvidsen wyglądał teraz, jakby już go to znudziło. Oparł się na łopacie.

— Jakim monitoringiem?

— Była o nim informacja przy wjeździe.

— Zdjąłem instalację dawno temu. Zeszłego lata. Była do niczego. Spora część kamer była zepsuta, podobnie jak twardy dysk.

Złapał Arvidsena za kołnierz i przyciągnął dobrze zbudowanego ogrodnika do siebie.

— Kłamiesz, zasrańcu! Wiesz doskonale, że ja wiem, że tamtego wieczora, kiedy tu byłem, monitoring był włączony. Kiedy znalazłeś martwego Corfitzena, dałeś sobie pół godziny, zanim zwołałeś sekretarkę i zadzwoniłeś na policję. To mogło wystarczyć na demontaż kamer, prawda? Tylko po co?

— To najbardziej idiotyczne stwierdzenie, jakie...

— Igrasz z ogniem!

Puścił Arvidsena, popychając go jednocześnie z całej siły. Dawny funkcjonariusz potknął się o szpadel i upadł na tyłek

w sam środek rabaty. On sam pogratulował sobie w duchu, że udało mu się nad sobą zapanować i wierny żołnierz Corfitzena wywinął się tylko tym drobnym upokorzeniem.

Jego wściekłość nie osłabła, ale zmobilizował wszystkie siły, by choć trochę ochłonać, zanim zapukał do ciężkich drzwi i je otworzył. Zawołał „halo” i usłyszał pośpieszne kroki. Po chwili w holu stanęła uśmiechnięta Karin Corfitzen.

— Witam ponownie, panie Oxen. Przepraszam, zapomniałam, jak panu na imię.

— Niels.

— Niels, bardzo po duńsku... Moja mama była Szwedką, dlatego znajomi nazywają mnie Kajsa. Kajsa to u nich zdrobnienie od Karin. Proszę więc mówić do mnie Kajsa. Znalazłeś Arvidsena?

Skinął głową.

— Zabawny gość, prawda?

— Wiedziałaś, że był w jednostce specjalnej duńskiej policji?

— Co takiego? Boże drogi, nie, nie wiedziałam.

— Ojciec nie mówił ci, dlaczego zatrudnił Arvidsena?

Zastanawiała się przez chwilę, nim odparła:

— Tato uważał, że traci tylko czas, kiedy sam prowadzi. Zawsze powtarzał, że to dobry kierowca i lojalny pracownik i że ma rękę do roślin. Chodźmy, zaczniemy od części głównej.

Ruszył za nią długimi korytarzami i zakrętami, a ona objaśniała mu przeznaczenie i historię poszczególnych pomieszczeń i opowiadała o rodzie Corfitzenów, który wszedł w posiadanie majątku Nørlund za bezcen.

Słuchał, ale był nieobecny myślami. Nie miał wątpliwości, że Arvidsen jest kluczem w głąb śledztwa. Dawny członek

AKS coś wie.

Weszli po schodach i ruszyli dalej, stukając butami o kamienną posadzkę. Kajsza Corfitzen zatrzymała się w połowie korytarza i otworzyła podwójne drzwi.

— Sala rycerska — obwieściła. — Możesz wejść.

Poza niewielkim kredensem obok okna jedyne umeblowanie stanowił ogromny okrągły stół na samym środku z sześcioma krzesłami z wysokimi oparciami, do kompletu. W oknach wisiały długie do ziemi, ciężkie zasłony z ciemnozielonego materiału ze złotymi haftami.

— Lita dębina. Solidne rzemiosło, dziś już takich nie robią — powiedziała Kajsza i przesunęła dłonią po blacie grubym na trzy centymetry.

— Czyli to tutaj wydawano uroczyste kolacje?

Jego wzrok przykuł gobelin na ścianie czołowej. Jedyne element dekoracyjny w pomieszczeniu przedstawiał krwawą scenę bitwy z uniesionymi mieczami i końmi stojącymi dęba.

— Corfitzenowie nigdy nie byli *party animals*, bardziej cenili sobie gospodarność, dlatego za naszych czasów w Nørlund nie urządzano hucznych balang. Pamiętam, że byliśmy w domu, kiedy dziadek urządził w tej sali jedną z nielicznych kolacji. Byliśmy akurat wszyscy na miejscu. Rodzice natomiast nigdy razem tu nie zamieszkali. Żyli tam, gdzie ich rzuciła praca ojca. Mama zmarła, gdy miała czterdzieści jeden lat, na raka. To się stało w Bukareszcie. Miała na imię Anna Lisa. Ojciec poznał ją jako młody attaché w Sztokholmie. Na stałe przeniósł się tutaj dopiero na emeryturze, jakieś dziesięć czy jedenaście lat temu. Wydaje mi się, że mógł tu z rzadka urządzić spotkania w wąskim gronie, z ludźmi z think tanku, kompanami od polowań albo dawnymi znajomymi z dyplomacji.

— Byliście ze sobą blisko, ty i ojciec?

Westchnęła i pokręciła nieznacznie głową.

— Nie, niestety. A teraz oczywiście już nie da się tego naprawić.

Kajsa Corfitzen podeszła do jednego z dużych okien i stanęła w nim, by popatrzeć na park. Po chwili mówiła dalej, z pewnym ociąganiem: — Zresztą te rzeczy chyba zawsze uświadamiamy sobie za późno, prawda? Lubiliśmy się, ale jego bez reszty pochłaniały własne projekty, a ja byłam zajęta moimi sprawami w Londynie. Nigdy nie żyliśmy jak tradycyjna rodzina. Kiedy rodzice wyjeżdżali, ja mieszkałam w internacie najpierw w Danii, potem w Szwajcarii. A później zaczęłam studia w Anglii.

Odwróciła się i stała przez chwilę w świetle wpadającym przez okno i rozświetlającym ją od tyłu. Po krótkiej przerwie cichym głosem dokończyła streszczenie historii swojej rodziny: — Tak naprawdę nie byliśmy sobie szczególnie *bliscy*. Nie mogliśmy być, żyjąc tak, jak żyliśmy. I chyba mało realne byłoby nadrobienie tego czasu, nawet gdybyśmy tego chcieli. Ojciec i jego praca to było jedno, jeśli mogę się tak wyrazić. A potem również stał się jednym z całą resztą — Consilium, fundacją i prowadzeniem majątku. Do tego uwielbiał polować i łowić ryby. No dobrze, rozgadałam się. Wszystko to mówiłam już komisarzowi, ale skoro miałyby cokolwiek pomóc, to...

— Wszystko może nam pomóc. Staram się tylko stworzyć sobie pewien obraz.

— Jak to możliwe, że człowiek zachowuje się tak, jak ty się zachowałeś, Niels? W dodatku wielokrotnie. Tak się zastanawiam... Czy w takich sytuacjach działa się instynktownie, czy pod wpływem racjonalnej analizy? A może w tym szczególnym ułamku sekundy dzieje się coś jeszcze innego? I gdzie wtedy jest strach?

— Szczerze mówiąc, sam nie wiem... — Wzruszył

ramionami.

— To, co zrobiłeś, było *outstanding*. Nie jesteś dumny?

Jego ramiona ponownie się uniosły.

— A wątek dzieci, fundacja twojego ojca, jak doszło do jej powstania? — pośpiesznie zmienił temat.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Okej, może innym razem zechcesz mi trochę o tym opowiedzieć? A co do dzieci — wydaje mi się, że ten pomysł podsunęła ojcu moja mama przed wieloma laty. Pracowała charytatywnie we wszystkich tych krajach. Mieszkali w Europie Wschodniej, więc obszarów wymagających wsparcia nie brakowało. A cierpienie dzieci zawsze ciążyło jej najbardziej. Znacznie później, już po jej śmierci, powstała fundacja o nazwie The H. O. Corfitzen Foundation for Children in Need. Ojciec dopiero na emeryturze zdecydowanie zwiększył swoją działalność w ramach fundacji, a także wydatki na nią. Kto wie, być może faktycznie możemy spekulować, czy jego zaangażowanie nie było choć w części próbą zagłuszenia poczucia winy w związku z tym, że nigdy nie zdołał być prawdziwym ojcem dla własnego, jedyne dziecko? *Who knows?* Nie chciałabym jednak, żebyś pomyślał, że mam mu to za złe. Trzeba było znać mojego ojca, żeby to w pełni zrozumieć. On w niczym nie uznawał półśrodków. Uwielbiał służbę zagraniczną i poświęcił się jej bez reszty. Przejdziemy dalej?

Skinął głową i dodał:

— A gabinet gdzie jest?

— Kawalek dalej.

Chwilę później zatrzymała się przed drzwiami, których klamkę owinięto czerwono-białą taśmą policyjną. Zza stojącej na kamiennej podłodze doniczki wyjęła staroświecki klucz i wsunęła go do zamka.

— Wydaje mi się, że już skończyli, ale prosili, żeby mimo wszystko nie otwierać drzwi — powiedziała, nim je otworzyła.
— Możesz jednak zajrzeć z progu.

Gabinet był taki, jak go sobie wyobrażał. Ciężkie, majestatyczne meble, mahoniowe biurko i regały, fotel Chesterfield, kanapa obita ciemnobrązową skórą. Na regałach w nierównych odstępach widniały duże, ziejące dziury, skąd policja wyjęła segregatory i inne materiały do dokładnego przejrzenia u siebie na komendzie. Na biurku wciąż stał monitor, ale jego kable wisały luzem, bo komputer oczywiście również zabrano do analizy.

Stał w drzwiach i uważał na każdy swój ruch. Spełnieniem marzeń byłoby dla policjantów znalezienie jego DNA na miejscu zdarzenia, pomimo jego zapewnień, że nigdy tu nie był.

— Dziękuję, miło, że zgodziłaś się mnie oprowadzić i opowiedzieć o swojej rodzinie. Mimo że jestem podejrzanym.

— O nie, nie zrozum mnie źle, nie jestem aż tak naiwna — pośpieszyła z wyjaśnieniem Kajsa. — I między nami mówiąc, komisarz Grube wcale nie wierzy, że masz z tym cokolwiek wspólnego. Uważa natomiast, że jest coś, czego im nie mówisz. I chciałabym powtórzyć moją niedawną prośbę: jeśli to prawda, powiedz im to.

Pokręcił głową.

— Wszyscy tak myślą. A ja naprawdę nic nie wiem. Czy nazwisko Bergsøe coś ci mówi? Mogens Bergsøe?

— Nie. A powinno?

— Pomyślałem, że być może był znajomym twojego ojca.

— Mógł nim być, co nie znaczy, że musiałam o nim słyszeć. Kto to taki?

— Zwyczajny adwokat.

— Chcesz iść dalej? Wiele pomieszczeń w skrzydłach stoi nieużywanych. Ogrzewanie zimą sporo kosztuje, a ojciec i tak nie potrzebował tyle miejsca. Ale może wolisz od razu pójść do biblioteki i saloniku — dwóch ulubionych pokoiów ojca? Zejdźmy, to na dole.

Począł, aż znaleźli się na parterze, i dopiero wtedy spróbował w ciemno: — A Bøjlesen, Max Bøjlesen?

— Szef policji w Aalborgu?

— Tak, on.

— Grube o nim wspomniał. Ale nie, o ile mi wiadomo, ojciec nigdy nie miał z nim nic wspólnego.

— A Axel Mossman?

— Nie, z nim też nie. A ten kim jest?

— Jedna z wielu osób, które twój ojciec mógł znać albo nie.

Szedł tuż za Kajsą długim korytarzem. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w powietrzu czuć było delikatny, cierpki zapach.

Opowiadała dalej o poszczególnych pomieszczeniach i o tym, jak wielkim miłośnikiem literatury był jej ojciec, lecz już jej nie słuchał. W myślach układał kolejne kroki, bo oto błyskawicznie w jego głowie uformował się bardzo prosty plan.

Wieczorem, pod osłoną nocy, będzie musiał ponownie odwiedzić stary zamek.

Rozdział 28.

Faktograficzny opis życia i przeszłości dawnego komandosa Nielsa Oxena był niemal gotowy.

Kazała sobie przysłać kurierem swojego osobistego laptopa z siedziby głównej w Søborgu do zajazdu Rold Storkro. Nie widziała innej możliwości, nienawidziła pisać na iPadzie, a pisania miała mnóstwo. Najpierw przez cały ranek i przedpołudnie wisiała na telefonie, gromadząc informacje i kontynuując napoczęte wątki. A potem, po południu, w pełnej koncentracji wszystko spisywała.

Teraz ponownie włożyła okulary i przesuwiała dokument w górę i w dół na ekranie. O bohaterskich wyczynach Oxena dowiedziała się całkiem sporo.

ODZNACZENIA

1993: Medal Duńskich Sił Zbrojnych za Odwagę.

Misja: UNPROFOR, Bośnia.

Uzasadnienie: N.O. wykazał się nadzwyczajną odwagą osobistą i z narażeniem życia wyniósł ранnego kolegę (P. Jensena) z linii ognia, gdy duński patrol znalazł się pod ostrzałem.

1995: Medal Duńskich Sił Zbrojnych za Odwagę drugiego stopnia, ze srebrnym liściem dębu.

Misja: UNPROFOR, Krajina, Chorwacja.

Uzasadnienie: N.O. wykazał się wzorową odwagą i skutecznością w działaniu, kiedy jego kolega z kompanii Bravo został trafiony kulą serbskiego snajpera podczas patrolowania okolicy mostu nad rzeką Una przy

Kostajnicy. N.O. wskoczył do rzeki i wyciągnął kolegę na ląd. Uratowany żołnierz (L.T. Fritsen) przeżył.

2002: Medal Duńskich Sił Zbrojnych za Odwagę trzeciego stopnia, ze złotym liściem dębu.

Misja: Task Group Ferret, uczestnictwo Korpusu Łowców w dowodzonej przez Amerykanów Operation Enduring Freedom w Afganistanie.

Uzasadnienie: Wraz z kolegą N.O. znaleźli się pod silnym ostrzałem talibskich wojowników podczas działań w dolinie Szah-i-Kot. Gdy w obszarze walk awaryjnie lądował helikopter Chinook, obaj przyszli z odsieczą załodze helikoptera. Bez ich bohaterskiego wsparcia załoga jednostki byłaby zdana na łaskę talibów.

(Za swój wkład otrzymali również amerykańskie wyróżnienie).

2010: Krzyż Waleczności.

(Niels Oxen jest pierwszym i jak dotąd jedynym Duńczykiem udekorowanym nowym odznaczeniem Duńskich Sił Zbrojnych przyznawanym za nadzwyczajny wkład w trakcie działań wojskowych. Niels Oxen odszedł z armii 1 stycznia 2010 roku).

Misja: 2009, Korpus Łowców, prowincja Helmand, Afganistan.

Uzasadnienie: N.O. wykazał się najwyższą odwagą osobistą, kiedy wraz z kolegami, patrolując okolicę na północny wschód od Gereszku, wpadli w zasadzkę po tym, jak ich samochód został uszkodzony przez IED. Wróg był ciężko uzbrojony i należało natychmiast przejść do kontrataku. N.O. na ochotnika zakradł się na tyły wroga i zaatakował. W pojedynkę unieszkodliwił wrogi posterunek obsługiwany przez ośmiu talibów. Dwóch z nich pokonał w walce wręcz.

Zapukał i od razu wszedł, nie czekając na zaproszenie. Podobnie jak poprzedniego wieczora, zastał Margrethe Franck zagłębioną w pracy przy małym hotelowym biurku. Tym razem jej skupiony wzrok nie śledził dokumentów ani ekranu iPada, ale ekran laptopa. Bez słowa przysunął sobie taboret do ściany i usiadł. Rutyna szybko wchodzi w krew.

— Czołem, Oxen, daj mi chwilę...

Rzuciła mu pośpieszne spojrzenie znad hebanowych oprawek. Chwilę potem zdjęła okulary i podniosła głowę.

— Musiałam tylko coś wysłać. Więc jak, dowiedziałeś się czegoś w ciągu dnia? Co z Arvidsenem, naszym znajomym z AKS?

Uznał, że jeszcze za wcześnie, by cokolwiek przekazywać Margrethe Franck.

— Jest w starym draniu coś podejrzanego, ale może chodzi tylko o jego milczącą zawzięcie gębę. Bo trudno go nazwać rozmownym.

— O, to jest was dwóch — rzuciła oschle.

— Arvidsen twierdzi, że był przede wszystkim zaufanym szoferem Corfitzena. Dla pensji, jaką mu zaproponował, bez żalu rzucił etat.

— A pytałeś o pozwolenie na broń?

— Całe życie pod bronią, obrona własna, wielka ściema. Upiera się, że miał tamtych pięciu ochroniarzy za doradców finansowych. Wybitnie wkurzający typ.

— Grube powiedział, że jutro zamierza go wziąć w obroty.

— Przydałoby się.

Odchyliła się na krześle, założyła dłonie za kark, lewą nogę położyła na biurku.

— Zadbaj, aby nasze poszukiwania objęły bazę

Interpolu. Ale to nie wszystko, sama też pogrzebałam trochę w „powieszonych psach”.

— Tak? I co? — Bezwiednie zmienił pozycję na taborecie.

— Hiszpania — powiedziała i w zamyśleniu podrapała się po sterzczących blond włosach. — To w Hiszpanii wiesz się psy, kiedy...

— A w Chinach się je zjada. Co z tą Hiszpanią?

— W Hiszpanii praktykuje się okrutny zwyczaj wieszania psów. Wiele się o tym mówi w środowisku obrońców praw zwierząt. Dotyczy chartów. WSPA, to znaczy World Society for the Protection of Animals, w moim przekonaniu organizacja wiarygodna i rzetelna, szacuje, że niemal pięćdziesiąt tysięcy chartów rocznie jest brutalnie mordowanych przez swoich właścicieli, przeważnie przez powieszenie. Pięćdziesiąt tysięcy psów — każdego roku!

— No tak, to całkiem sporo. A dlaczego?

— Chartów używa się do dwóch celów: ogromna większość jest używana do polowań na zające, a niektóre do wyścigów. Wszystko odbywa się na głębokiej prowincji, na terenach wiejskich, które zajmują ogromne połacie kraju i gdzie ludzie najwyraźniej nie są wrażliwi na cierpienie zwierząt. Psy są trzymane w fatalnych warunkach i niedożywione. Bardzo szybko uważa się je za niezdatne do dalszej pracy. Myśliwi najczęściej pozbywają się już dwuletnich zwierząt. I uśmiercają je przeważnie przez powieszenie — bo nic nie kosztuje... Psy, które się nie sprawdziły i których właściciele musieli się wstydzić przed innymi swoich marnych łowów, myśliwi zabijają ze szczególnym okrucieństwem. Wieszają takie zwierzęta na tyle nisko, by tylnymi łapami ledwie co dotykały ziemi. Wówczas psy podejmują długą, beznadziejną walkę, by uniknąć uduszenia. Nazywa się to metodą na pianistę, *the piano player*. Najprawdopodobniej przez skojarzenie psich

łap drepczących w miejscu z palcami pianisty stukającymi w klawisze.

— Jak poetycko. Hiszpanie mają wynaturzony stosunek do zwierząt. Nigdy na przykład nie rozumiałem ich fascynacji walkami byków.

— Psy, które dobrze służyły swoim panom, wiesz się wysoko, by śmierć przyszła szybko. *Galgos* — tak nazywają się po hiszpańsku psy gończe. Wiele organizacji walczy z tym procederem, na Facebooku działa spora grupa ludzi sprzeciwiających się dręczeniu i zabijaniu *galgos*.

Margrethe Franck przerwała i spojrzała na niego. Lecz akurat kiedy zamierzał coś powiedzieć, podniosła palec i przerwała mu:

— Pewnie chcesz zapytać, co to u licha ma wspólnego z nami.

Przytaknął.

— Nic, poza tym, że to, co wczoraj nazwałeś modus operandi, przypadkiem wywodzi się z Hiszpanii. Tyle że tam wiesz się charty, a nie owczarki, wyżyły niemieckie szorstkowłose i samojedy. Czy faktycznie przypadkiem? A może przy całej nieprzeniknionej złożoności w sprawie Bergsøe i sprawie Corfitzena jest jakiś wątek *hiszpański*, łączący obu dżentelmenów? Przyznaję, że to mocno naciągnięta teoria, ale jednak.

Skinął głową z uznaniem. Niewątpliwie miał przed sobą niezależnego, bystrego i skutecznego detektywa, dokładnie takiego, jakiego wytrawny gracz pokroju Axela Mossmana chciałby mieć w swoim zespole.

— Wysłałam specjalne zapytanie nie tylko do hiszpańskiej *Policia Nacional*, ichniego odpowiednika naszej policji, ale również do *Guardia Civil*, która choć jest podmiotem wojskowym, to de facto prowadzi również śledztwa

kryminalne i w wielu sprawach uważana jest za bardziej kompetentny organ z tych dwóch.

— I kiedy dostali twoją prośbę, żeby poszukać u siebie zgłoszeń o powieszonych psach, to umarli ze śmiechu.

— Poprosiłam ich oczywiście, żeby poszukali u siebie połączenia powieszzonego psa i zamordowanego właściciela lub właściciela zmarłego w podejrzanych okolicznościach. Zatem poczekamy, zobaczymy. A ty, masz coś dla mnie?

Ton jej głosu wciąż był ostry. Szybko uznał, że najlepiej, jeśli wszystko sobie wyjaśni.

— Muszę pracować sam. Nie mogę inaczej w tej sytuacji. Muszę iść własnymi tropami i sprawdzić, dokąd mnie one zaprowadzą. I dzielić się wiedzą tylko, jeśli uznam, że jest to celowe. I absolutnie nie zamierzam prowadzić żadnego wspólnego śledztwa ani wtrącać się do twojej pracy, więc możesz być spokojna...

— Jasne, rozumiem — przerwała mu i pochyliła się ku niemu. — Zrobię oczywiście to, o co mnie poprosił Mossman: będę ci pomagać, jeśli tego zechcesz. Możesz się ze mną dzielić wynikami swojej pracy albo nie. Wiedz jednak, że dobre śledztwo w znacznej mierze składa się z potyczek dwóch albo więcej osób. Jeśli będziesz chciał się dowiedzieć, czym się zajmuję albo co odkryli w kwaterze głównej, po prostu pytaj.

Skinął głową.

Jej twarz nie wyrażała ani cienia emocji. Niebieskie oczy nadal spokojnie spoczywały na jego oczach. W niczym nie zdradzały, co się musiało dziać w jej głowie. Poza tym, że była dość zdolna, by stać się pupilką samego szefa PET, mogła być po prostu zupełnie zimną osobą, która uważała, że traci tylko czas na kogoś takiego jak on.

— Zawsze tylko kiwasz głową, Oxen. Potakujesz, ale się

nie odzywasz. Powiedz po prostu, czy się zgadzasz.

— Tak.

— To dobrze. Oxen... Mossman mówił coś o dawnej pisowni?

Z powrotem odchyliła się na krzesło, a on znów nie był pewien, czy w kącikach jej ust nie majaczy uśmiech.

— Zgadza się, oxe to ponoć staroduńska pisownia okse. Tyle że w formie określonej.

— Masz rodzeństwo?

— Starszą siostrę.

— Widujecie się?

Pokręcił głową.

— A rodzice?

— Ojciec nie żyje, mama jest w domu opieki, ma demencję.

— Więc ją odwiedzasz.

— Czasem...

— Dzieci?

— Syn. Dwanaście lat.

— Widujesz go? Tak, wiem, że jesteś rozwiedziony.

— Oczywiście, że go widuję.

W tym momencie zerwał się z miejsca i zamierzał podziękować za wieczór i sobie iść. Margrethe Franck natychmiast więc zmieniła temat.

— Dostałam z Aalborga pewne dokumenty, które możesz sobie poczytać do snu, jeśli masz ochotę. Najciekawsza jest niedokończona przemowa odzyskana z komputera Corfitzena. Pracował nad nią tego dnia, w którym umarł.

Miał ją wygłosić podczas kolejnego spotkania w Consilium. Naprawdę wciągająca lektura. Gość miał dość radykalne poglądy jak na starego dyplomatę. O think tanku w ogóle jest sporo materiałów. Consilium zajmuje się również organizowaniem sympozjów na najwyższym poziomie, z prelegentami pokroju Billa Clintona, Ala Gore'a, Alana Greenspana, Richarda Bransona, Warrena Buffetta, Bono i tym podobnych. Tuż przy okazji, czołowi politycy i rozmaite gwiazdy są gotowi wydać majątek, żeby wziąć w nich udział, a wszystko odbywa się zawsze w hotelu D'Angleterre w Kopenhadze.

Wręczyła mu plik kartek.

— Proszę. Masz tu również trochę informacji o córce Corfitzena, którą już poznałeś. Dowiedz się więcej o samym Corfitzenie i jego działalności na rzecz dzieci. Jeśli ci się chce. A jeśli nie — to smacznych snów...

Chciał coś powiedzieć, wytłumaczyć się jakoś z tego, że jest taki wycofany i tak kategorycznie odmówił współpracy, przeprosić, że jest taki cholernie podejrzliwy wobec każdej napotkanej osoby. Ale ona musi zrozumieć, że inaczej być nie może. To nic osobistego. To tylko... czuje po prostu, że coś tu śmierdzi. I że to nie jest jej wina.

Chciał jej powiedzieć to wszystko, ale słowa po prostu nie chciały się uformować w jego ustach. Kiedy już miał je wypuścić między wargami, stężały i jak skrzepy utknęły mu w gardle.

Wciąż nie odrywała od niego wzroku. I teraz całkiem jawnie się uśmiechnęła. Pierwszy raz.

— Tak dziwnie patrzysz, coś się stało? — zapytała.

Miał wrażenie, że mimo wszystko jasny podział zadań w jakiś sposób poprawił atmosferę między nimi.

— Nie, nic. A zresztą tak. Co się stało z tamtym

podejrzanym o zabójstwo, tym, który cię potrafił. Wymknął się wam?

— Nie, nie mógł.

— To dobrze.

— Strzeliłam mu między oczy. Nie zdążyłam tylko odskoczyć.

Margrethe Franck siedziała, wpatrując się w sufit jeszcze przez pewien czas po tym, jak Oxen poszedł do swojego pokoju. Do wyrobienia sobie prawdziwego obrazu pokiereszowanego bohatera wciąż brakowało jej tego, co najważniejsze — dokumentacji od psychologa.

Na razie chciała poprawić część faktograficzną i odesłać ją, by zyskać u Mossmana jeszcze jedną dobę. Zjechała do punktu „relacje rodzinne” i dopisała w rozdziale o siostrze: „N.O. potwierdza, że się nie widują”.

W rozdziale na temat cierpiącej na demencję matki napisała: „N.O. twierdzi, że odwiedza ją »czasem«, co jest niezgodne z prawdą. Nie widział jej od dwóch i pół roku”.

W rozdziale o synu Nielsa Oxena, Magnusie, dopisała szybko: „Według własnego oświadczenia N.O. widuje syna. Stwierdzenie to jest sprzeczne ze stanem faktycznym. N.O. nie odwiedził ani nie widział syna od trzech lat, a dokładnie od trzydziestu ośmiu miesięcy. Mimo że sąd przyznał mu prawo do kontaktów z dzieckiem w co drugi weekend”.

Rozdział 29.

Dopiero za godzinę zrobi się ciemno. Będzie musiał poczekać. Do zamku Nørlund może wrócić dopiero, gdy całkiem się ściemni. Uchylił zasłonę i wyjrzał przez okno. Niebo nadal było zachmurzone, przez cały dzień ani na chwilę nie wyszło słońce. Przynajmniej mógł mieć pewność, że księżyc nie będzie przeszkodą.

Minęło zaledwie kilka dni, odkąd w środku nocy czołgał się w wysokiej trawie z nożem w zębach, nad rzeką Lindenberg Å. A teraz leży tu i jest mu cholernie miękko, jest zbyt najedzony, w tle durny telewizor leci na pustym biegu. Wystarczy obrócić się na drugi bok, a życie zmienia swój tor.

Zaczął przeglądać kartki od Franck. Faktycznie ciekawa lektura. Pierwsza część dotyczyła arystokratycznego nestora duńskiej dyplomacji — niegdysiejszego ambasadora, pana na włościach, założyciela think tanku, biznesmena, przyjaciela dzieci i mecenasa — Hansa-Ottona Corfitzena.

Do tej pory musiał sam zbierać w całość drobne skrawki informacji o życiu zawodowym męża stanu, teraz miał wszystko podane na tacy. Wybiegał w przód i się cofał. Na piśmie życie i działalność Corfitzena robiły wrażenie. Skąd brał na to wszystko siły? Musiał przyznać, że policjanci z regionu naprawdę się przyłożyli. Miał przed sobą mnóstwo kartek szczegółowo opisujących działalność Corfitzena, wypowiedzi najróżniejszych osób z Ministerstwa Spraw Zagranicznych chwalaących go za wybitny wkład i nienaganną służbę. Do tego przegląd małego imperium zamkowego, którym władał zmarły ambasador. Jego wzrok zatrzymał się na imponującym, skomponowanym chronologicznie CV Corfitzena z okresu jego służby w Ministerstwie Spraw

Zagranicznych:

Po pierwszej misji dyplomatycznej, w czasie której pełnił funkcję sekretarza ambasadora w Sztokholmie, od 1965 roku zajmował podobne stanowisko najpierw w Londynie, potem w Madrycie, a następnie w Warszawie. Później był chargé d'affaires w Lizbonie, a od 1976 roku — wysłannikiem w Belgradzie. Od 1979 roku był radcą w Bukareszcie, a od 1982 roku — radcą w Moskwie, do 1985 roku, kiedy awansował na najwyższy stopień dyplomatyczny i został w Moskwie ambasadorem. Później przez kilka lat przebywał na placówce w Bonn, a od 1992 roku był duńskim ambasadorem UE w Brukseli. W 1995 roku został szefem misji dyplomatycznej w Sofii, w 1997 roku w Warszawie, a w 2000 roku w Wilnie na Litwie. Trzy lata później przeszedł na emeryturę.

O Consilium, think tanku założonym przez Corfitzena jeszcze podczas pobytu na placówce w Związku Radzieckim, z oficjalnej prezentacji wartości, na których opiera się organizacja, dowiedział się, że jest to:

„swobodna platforma obywatelsko-liberalna, niezależna od wpływów politycznych i pielęgnująca określone podstawowe zasady socjalliberalizmu”.

Przypis podsumowuje ową misję znacznie prościej: „Consilium opiera się na podstawach klasycznego liberalizmu z pojedynczymi elementami umiarkowanego socjalizmu”.

Ze statusu wyznawanych wartości można wyczytać również, że „Consilium spotyka się na centralnej platformie, której podporządkowane są pojedyncze fora tworzone doraźnie”. Tu z kolei w przypisie napisano, że obecnie działają trzy fora sekundarne omawiające:

1) zmianę duńskiego systemu podatkowego, 2) handel przygraniczny między Danią a Niemcami, 3) reformę

państwowego systemu wspierania kultury.

Zaprezentowano szereg przykładów projektów wykonanych przez Consilium i wkładu organizacji w debatę publiczną. Chodziło między innymi o duńską zasadę dwudziestu czterech lat, która miała powstrzymać małżeństwa z przymusu, specjalne prawo dotyczące posiadania noży czy zaostrenie przepisów dotyczących deportacji w związku z działalnością przestępczą i ogólnych zasad kontrolowania granic państwa. W ostatnich latach think tank zaznaczał swoją obecność w praktycznie każdej kwestii, którą poruszano w debacie publicznej.

Consilium posiada kilka niewielkich biur przy Gl. Strand w Kopenhadze, gdzie urzęduje jednak tylko trójka stałych pracowników administracyjnych. Spotkania organizuje się w różnych hotelach i przylegających do nich lokalach konferencyjnych, a wydarzenia najbardziej medialne odbywają się zawsze w D'Angleterre, o czym przed chwilą dowiedział się od Margrethe Franck.

Zarząd stanowi spora reprezentacja najwybitniejszych postaci świata biznesu, kilku dawnych polityków, jeden malarz, jeden pisarz i spora grupa uczonych.

Z całej listy znane mu były nazwiska dwóch dyrektorów firm i byłych polityków, nazwiska pozostałych członków nic mu nie mówiły. Przewodniczącym zarządu był Corfitzen.

Consilium podlegała fundacji o tej samej nazwie. Pieniądze na działalność think tanku pochodziły od założyciela, Corfitzena, a wpływały na konto organizacji z rozmaitych, w pełni legalnych źródeł. Sama organizacja również generowała dochód dzięki prężnym inwestycjom i sporym darowiznom.

Sposób działania Consilium określono jako bardziej dyskretny w porównaniu z CEPOS, jego odpowiednikiem z kręgów liberalnych. Działalność forum została określona jako

„w pełni skoncentrowana na uczestnictwie w procesach politycznych, lecz bez świadomego szukania jakiegokolwiek platformy medialnej dla swojej aktywności”.

Materiałów na temat ideologicznego dzieła życia Corfitzena było jeszcze mnóstwo, ale chwilowo miał dość. Wstał i odrobinę odchylił zasłonę. Nadal było zbyt jasno. Rzucił się więc z powrotem na łóżko i zaczął czytać fragment poświęcony jednemu dziecku starego ambasadora, córce Karin „Kajsie” Corfitzen.

Byli rówieśnikami. Miała czterdzieści trzy lata, urodziła się w Londynie i mieszkała tam od dwudziestu lat. Była mężatką i rozwódką — dwukrotną. Pierwszym mężem był konserwatywny polityk i członek Izby Gmin Alex Clayton, a drugim niejaki Duncan McGowan, współwłaściciel i dyrektor spółki finansowej McGowan, Hasselbaink & Grady Finance.

Według własnych zeznań złożonych przed północnojutlandzką policją Kajsia od czterech lat była niezamężna i mieszkała w Chelsea. Z żadnego z dwóch małżeństw nie miała dzieci.

Okres szkolny spędziła w Szwajcarii i Danii — zgodnie z tym, co sama mu powiedziała. Najpierw uczyła się w angielskiej szkole z internatem dla dziewcząt Le Châtelard w Montreux, a potem w Herlufsholm.

Lista szkół, które ukończyła, była długa, otwierały ją studia ekonomiczne na uniwersytecie w Cambridge. Potem była profesura w Henley Business School przy uniwersytecie w Reading, a po niej długa lista stanowisk w najróżniejszych organizacjach prywatnego sektora finansowego. Karin Corfitzen była obecnie głównym analitykiem w Morgan Stanley International Inc. London — oddziale amerykańskiego banku inwestycyjnego Morgan Stanley, lecz zajmującego się wyłącznie kapitałem w ramach sektora prywatnego.

Innymi słowy, jeśli ktoś miał kasę i chciał ją pomnożyć, nie kiwnąwszy palcem, mógł się zwrócić do Kajsy — chyba że właśnie postanowiła rzucić to wszystko i zostać królową Nørlund.

Wówczas będzie rządziła założoną przez swojego zmarłego ojca fundacją pomocy dzieciom w potrzebie.

Następne dwie strony opisywały The H.O. Corfitzen Foundation for Children in Need. Według policyjnego raportu koszty bieżącej działalności pięciu domów dziecka w Europie Wschodniej pokrywały zyski z inwestycji, pozwalające również na pomoc dzieciom na innych frontach.

Fundacja sprawowała pieczę nad dwoma domami dziecka w Rumunii i po jednym w Bułgarii, Albanii i Bośni. Według raportu placówki są sprawnie zarządzane, a policjanci skontaktowali się z każdą z nich. We wszystkich pięciu miejscach spotkali się z podobną reakcją: rozpaczą z powodu śmierci ambasadora oraz obawą i strachem o przyszłość.

Zerknął na zegarek. Wyjedzie za pół godziny. Do tego czasu powinno się ściemnić. Wyjął z pliku ostatnią kartkę — jeśli wierzyć Margrethe Franck, najciekawszą. Była to niedokończona przemowa Corfitzena, którą policjanci znaleźli w jego komputerze.

Z pierwszego, wstępnego akapitu wynikało, że zamierzał ją wygłosić na najbliższym dużym, otwartym seminarium Consilium, którego hasłem było „polityka i moralność”.

Tytuł, który Corfitzen nadał swojej mowie powitalnej, był krótki i mocny: „Rządy kuglarzy”. Zaczął czytać:

„Joseph de Maistre, obdarzony wielką inteligencją prawnik, dyplomata, pisarz i filozof z Sabaudii w 1811 roku napisał zdanie, które na przestrzeni dziejów cytowano niezliczenie wiele razy. Pojawia się w różnych, mniej lub bardziej współczesnych wersjach, a brzmi tak: »Każdy kraj ma taki rząd, na jaki zasługuje«.

Moglibyśmy również powiedzieć: »każdy naród«.

Panie i panowie, pozwólcie, że odniosę się do współczesnej Danii, formułując następujące pytanie:

Czy Duńczycy naprawdę nie zasłużyli na więcej?

Niech słowa de Maistre'a i moje własne posłużą za powitanie, wstęp do debaty, podczas której w ramach Consilium skupimy się na »polityce i moralności« — albo braku tej ostatniej.

Wiemy, że polityka od zawsze była rzemiosłem krwawym i brutalnym, czy ma więc sens domaganie się wierności jakimkolwiek zasadom moralnym na tym polu walki? Moim zdaniem ma. W polityce — podobnie jak w każdej dziedzinie życia — niezbędna jest na przykład wiarygodność.

Nie interesują mnie barwy przybierane przez poszczególne partie czy stronnictwa, pozwolę sobie jedynie na prostą konstatację, że gdy z własnej perspektywy obserwuję nasz krajobraz polityczny, dochodzę do wniosku, że warunki dla moralnego rozwoju są obecnie u nas skrajnie niekorzystne. Żadna — podkreślę to z całą mocą — żadna z partii zasiadających w Christiansborgu nie jest tu bez winy, od skrajnej lewicy aż po skrajną prawicę.

Duńczycy żyją pod rządami *kuglarzy*, i to w dzisiejszych, świątłych czasach. (...) To, co jest ważne do ostatnich minut przed zamknięciem lokali wyborczych, przestaje się liczyć, kiedy postawione zostały wszystkie krzyżyki, a nowo wybrany rząd staje przed tymi, którzy go wybrali.

Polityczni kuglarze mizdrzą się i kokietują publiczność na medialnym bazarze, obiecując zabawę i wielkie nagrody. Wydaje się, że nie mają za grosz wstydu i nie cofną się przed niczym, by zaskarbić sobie

przychylność tłumów. Ceną za udział w obiecywanych dobrodziejstwach jest krzyżyk postawiony w odpowiedniej kratce.

Lecz nie ma żadnych nagród, drodzy przyjaciele, i nie ma najmniejszych powodów do śmiechu. Złamane obietnice są wyrazem bezwstydnego lekceważenia obywateli Danii. Przez swoje zachowanie politycy stają się główną siłą w procesie ośmieszania duńskiej demokracji, zamiast strzec jej jako tego, co posiadamy najcenniejszego”.

Przerwał lekturę. Stary ambasador zamierzał powiedzieć kilka gorzkich słów prawdy. Ale umarł i nikt nie dowie się, co myślał o politykach i ich moralności. A działalność Consilium pewnie zostanie teraz zepchnięta w cień, gdy charyzmatyczny założyciel jest w niebie — albo piekle. Chociaż sądząc po wszystkich peanach na cześć jego osoby i dokonaniach, raczej należy sądzić, że dostał bilet na górę.

Przejrzał resztę liczącą trzy strony przemowy Corfitzena do uczestników seminarium. Wszędzie, jak mantra, pojawiają się słowa „etyka” i „moralność”, a całość okraszają cytaty z Søren Kierkegaard i jego szwajcarsko-francuskiego kolegi po fachu Jeana-Jacques’a Rousseau.

W jednym akapicie Corfitzen pisze nie o moralności, lecz o podwójnej moralności:

„Pytam zatem: gdzie jest poczucie przyzwoitości człowieka, który jako polityk żarliwie postuluje likwidację prywatnej służby zdrowia i wzmocnienie opieki państwowej, a jako pacjent zgłasza się na operację w prywatnej klinice, bo tam nie musi czekać na zabieg?

Pytam ponownie: gdzie jest poczucie przyzwoitości tego, kto jako polityk rzekomo walczy o zachowanie duńskich szkół państwowych i zwiększenie wydatków z

budżetu na szkolnictwo, a jako rodzic wysyła swoje dzieci do szkół prywatnych?

Mógłbym zapytać jeszcze i o to, co się stało z poczuciem przyzwoitości ministra, który przyjął od szejka z Bliskiego Wschodu zegarek Rolexa za siedemdziesiąt tysięcy koron, a zwraca go dopiero, gdy rzecznik praw obywatelskich wyraża zainteresowanie sprawą? Gdy jednocześnie od nas wszystkich wymaga się przestrzegania zawiłych regulacji, kiedy chcemy wesprzeć finansowo własne dziecko albo jako pracodawcy chcemy nagrodzić pracowników skromnym podarunkiem, nie skazując ich przez to na płacenie niedorzecznie wysokiego podatku od darowizny.

Przykłady można mnożyć w nieskończoność, ale zasadnicze pytanie brzmi: czy dzieje się tak dlatego, że politycy są odzwierciedleniem narodu, który reprezentują? Czy dzieje się tak dlatego, że wszyscy staramy się iść po linii najmniejszego oporu i korzystać z każdej nadarzającej się okazji? Nie. Politycy mają dawać przykład ludziom, którym zawdzięczają swoją pozycję. Mamy pełne prawo oczekiwać więcej”.

Właśnie miał odłożyć papiery, kiedy usłyszał pukanie i do jego pokoju weszła Margrethe Franck. A ściślej mówiąc, wskoczyła na jednej nodze i usiadła na krześle.

— Przeszkadzam? — zapytała.

— Nie, prawie skończyłem czytać mowę Corfitzena.

— Przez tyle lat służby mogło mu się uzbierać sporo zółci. Ale przecież ostatecznie ma rację.

— Tak uważasz?

— Jasne, że tak. No, sam powiedz, gdzie w tym moralność?

— Najbardziej święci zwykle okazują się największymi

diabłami. Tak mawiał mój dziadek, a był niegłupi.

— Bywają wyjątki potwierdzające regułę. Hans-Otto Corfitzen wygląda na jeden z rzadkich przypadków człowieka bez skazy. Ale do rzeczy, mam nowe informacje — całkiem ciekawe. Pomyślałam, że mogą ci się przydać. W każdym razie powinieneś je usłyszeć. Żeby nie było, że nie obrabiam swojej działki.

— Mów.

— Nie wiem, czy czytałeś materiały o Consilium — zaczęła.

— Większość.

— Członkowie think tanku spotykają się co roku na cyklu wykładów, na które zapraszanych jest trzech, czterech prelegentów z zewnątrz. Właśnie dostałam listę prelegentów z ostatnich dziesięciu lat — łącznie czterdzieści sześć nazwisk. Zgadnij, kto na niej widnieje?

Krótką chwilę się namyślał, nim podsunął:

— Czyżby Mogens Bergsøe?

— Brawo. Musimy się jednak cofnąć o jakieś pięć lat. Już wtedy był szefem komisji z Wambergu. Działalność komisji była zresztą przedmiotem jego wykładu. Naturalnie w bardzo ogólnym zarysie — tytuł wykładu brzmiał: „Rejestracja osób w służbie społeczeństwa”.

— Brzmi rzeczywiście arcyciekawie.

— Jest coś znacznie ciekawszego... — Margrethe Franck odchyliła się na krześle i uśmiechnęła się. — Ale może wolisz pracować sam?

— Wiem, do czego pijesz. Nie to miałem na myśli. To tylko tak zabrzmiało. Zamierzałem zresztą... ale...

Franck skinęła głową i machnęła ręką, żeby się nie przejmował.

— Nic się nie stało — powiedziała tylko i przeszła do rzeczy. — Na liście są w zasadzie same oczywiste nazwiska, znane z gazet, ludzie biznesu i politycy. Ale jest wśród nich nazwisko człowieka, którego znamy osobiście. W dodatku całkiem dobrze — Axel Mossman.

— Mossman?

— Dokładnie, mój wysoko postawiony szef. W dwa tysiące trzecim roku mówił o fundamentalizmie jako najnowszym wyzwaniu dla służb wywiadu.

Rzeczywiście dało mu to do myślenia. Czy powinien być bardziej zaskoczony? Czy ta nowa informacja jest szokująca, czy tylko ciekawa? Nie wiedział, na jakim etapie śledztwa jest policja. Zapytał więc:

— To o Bergsøe to chyba dość istotny nowy ślad, czy nie?

— Niekoniecznie oznacza przełom, ale rzeczywiście pozwala nam określić punkt, w którym przecięły się losy Corfitzena i Bergsøe oraz ich powieszonych psów, czego do tej pory nie wiedzieliśmy. Co do Mossmana... pojawienie się jego nazwiska w tym kontekście jest dość kuriozalne.

— Rozmawiałaś z nim?

— Pięć minut temu. Sam był bardzo zaskoczony. Nie pamiętał, że wygłaszał wykład w ramach Consilium. Każdego roku ma mnóstwo wykładów, a krótko po zamachach na WTC było ich szczególnie dużo. Zresztą on osobiście ich nie przygotowuje — wszystkim zajmuje się jego sekretarka.

— Z drugiej strony chyba nieuniknione jest, że rozmaite ważne osobistości prędzej czy później się ze sobą spotykają. Politycy, przedsiębiorcy i inne grube ryby chodzą na wykłady, seminaria albo uczestniczą w działaniach Consilium w większym czy mniejszym stopniu. Prędzej czy później ich drogi muszą się przeciąć.

Pokiwała głową.

— Jasne. Ale mimo wszystko jest to jakiś konkretny ślad, po którym można pójść. A co z tobą, Oxen? Czyżbyś nigdy nie opowiadał o swoich zasługach na forum Consilium?

— Wolne żarty — uśmiechnął się krzywo. Albo spróbował się uśmiechnąć.

— Czemu nie. „Moje życie jako bohatera”.

— Hm...

— Dobra, żartuję. I nie zrozum mnie źle. Uważam, że jesteś w porządku. Dobranoc. Śpij dobrze!

Wciąż chichocząc, poderwała się gwałtownie. W imponującym tempie wyskoczyła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Z powrotem opadł na poduszki. W porządku? Teraz miał już pewność. Margrethe Franck się ożywiła.

Spojrzał na zegarek. Zrobiło się późno. Pora ruszać. Wstał i wziął swoje najnowsze zakupy ze sklepu w Skørping — małą latarkę i taśmę klejącą. Poza tym kupił też butelkę whisky, dla celów medycznych. Ze skrytki pod materacem wyjął nowy nóż. Był to Seal 2000. Mniejszy i bardziej poręczny niż wielki Bowie, który tym razem zostanie pod materacem. Usiadł na brzegu łóżka, podciągnął nogawkę i przykleił sztylet taśmą po zewnętrznej stronie prawej łydki. Włożył nową skórzaną kurtkę, a do kieszeni schował latarkę i taśmę. Teraz był gotowy.

Najważniejsze było wymknąć się tak, by Margrethe Franck nie usłyszała, jak zatraskuje się zamek. Delikatnie zamknął drzwi i ruszył na palcach długim korytarzem do wyjścia.

Margrethe Franck nie musiała bynajmniej godzinami warować przy oknie. Kilka minut minęło, odkąd wróciła do

siebie, kiedy go zobaczyła w szparze pomiędzy zasłonami. Nie widziała twarzy, a jedynie czarną postać idącą od wejścia do hotelu w stronę parkingu. Twarzy zresztą nie potrzebowała widzieć — rozpoznała jego charakterystyczny krok, lekki i sprężysty.

Wzięła komórkę i zadzwoniła:

— Mówi Franck. Miałam rację. Oxen wyszedł.

— Dzięki. Mam kontakt wizualny.

— A jak nadajnik?

— Widzę wóz na ekranie. Tylko spokojnie, Franck, mam go. Odtąd zostaw go mnie. Bez odbioru — odparł męski głos w słuchawce.

Rozdział 30.

Gąszcz zamknął się ciasno wokół niego, a ciemność spowiła go całkowicie, kiedy zakradł się w pobliże zamku od strony alejki. Nacisnął podświetlenie zegarka. Była dwudziesta trzecia sześć. Księżyc prawie nie było. Znakomicie. A monitoringiem też nie musiał się przejmować, bo już go nie było.

Gdzieś tam, przez nikogo niepilnowany, stał zamek Nørlund. A w nim, gdzieś wśród krętych korytarzy i ukrytych komnat, Kajsa Corfitzen chodzi być może niespokojnie tam i z powrotem i rozmyśla o swoim zmarłym ojcu. Albo leży w którymś z niezliczonych pokoi i smacznie śpi.

W każdym razie gmach wydawał się pogrążony we śnie. Ciemność rozjaśniało jedynie miękkie światło latarni. I tylko w dwóch oknach paliło się światło, choć nie było widać, aby ktokolwiek się w nich poruszał. Kobieta z elitarnych kręgów finansowej elity Londynu znajdowała się bardzo daleko od tętniącej życiem, modnej Chelsea. Gdyby nie blask pojedynczych gwiazd przebijający się tu i ówdzie przez chmury, dawna forteca rabusiów byłaby pogrążona w mroku czarnym niczym dziura w górach Tora Bora.

Również w pobielonym budynku w rogu otwartego dziedzińca panowały ciemności. Tam musiało się znajdować służbowe mieszkanie dawnego członka elitarnego oddziału specjalnego Arvidsena. W obejściu stały dwa samochody. Przed pomieszczeniem dla służby parkował czarny volkswagen passat coupé. Przyzwoity samochód dla ogrodnika. Po lewej stronie alejki stał ciemnozielony mercedes G 350, klasyczny wóz terenowy, którego cena i jakość pozwalały panu zamku przemieszczać się z klasą.

Musiał należeć do starego Corfitzena, czyli teraz do Kajsy.

Zakradł się do białego budynku i obszedł go od tyłu. Nagle zamarł. Usłyszał dźwięk — bardzo charakterystyczny. Znał go z dzieciństwa, z wakacji u jego ulubionego wujka, brata matki Lauridsa, który był leśniczym w zachodniej Jutlandii. Przyjemne gruchanie, którego nie da się usłyszeć nigdzie poza jednym, jedynym miejscem — w gołębniku. Podszedł kawałek bliżej i kucnął na rogu budynku.

Pobyty u wujka Lauridsa w rzeczywistości wcale nie były wakacjami. Dopiero po latach uświadomił sobie, że to była deportacja. Jego wysyłali do Oksbøl, a siostrę do ciotki w Vordingborgu. Każdego lata, przez osiem lat z rzędu. Na rozkaz tyrana i bezwzględnego władcy rodu — jego ojca, który chciał mieć spokój.

Daleko przy ścianie dostrzegł słabe światło docierające z dołu. Przesunął się bliżej, wzdłuż fasady, i zobaczył, że światło wydobywa się z zagłębionego w gruncie okna piwnicznego zabezpieczonego kratownicą. Suche liście niemal całkowicie je zasłaniały.

Samochód stał pod domem, w budynku było ciemno, a w piwnicy paliło się światło. Arvidsen musiał zapomnieć je zgasić.

Odgarnął liście, ostrożnie uniósł kratę i włożył głowę do studzienki, by zajrzeć do środka. Z początku nie widział nic. Szybę pokrywała licząca wiele lat warstwa kurzu i brudu, jego twarz i głowę oblepiły równie stare pajęczyny. Zerwał je i śliną przetarł w oknie niewielkie kółko, przez które mniej więcej widział, co się znajduje w piwnicy.

Komórka, a w niej typowe piwniczne graty. W komórcie było przejście, przez które mógł zerknąć do drugiego pomieszczenia. To w nim paliło się światło. Dostrzegł zarys szerokiego karku i krótko obciętych włosów. To był Arvidsen.

Pole widzenia miał mocno ograniczone przez drzwi

wiodące do pomieszczenia. Widział tylko połowę Arvidsena, siedzącego na krześle przy stole zawalonym papierami. Po lewej od drzwi dostrzegł fragment pieca na olej i buchające z niego kłęby dymu.

Poul Arvidsen, najprawdopodobniej jedyny w kraju ogrodnik będący emerytowanym antyterrorystą, siedział w kotłowni zajęty nie wiadomo czym.

On za to po kilku minutach musiał zrobić sobie małą przerwę, bo kark mu zeszywniał od klęczenia ze spuszczoną i skręconą do boku głową. Kiedy ponownie podjął obserwację, Arvidsen nadal siedział nieruchomo.

Dopiero po jakichś trzydziestu minutach nastąpiło pewne poruszenie. Udało mu się tylko zobaczyć, jak Arvidsen powoli wstaje i przez chwilę pochyła się nad stołem. Potem idzie kilka kroków w lewo i znów staje plecami do niego. Papiery ze stołu zniknęły. Arvidsen się odwrócił, wyszedł z pomieszczenia i zgasił za sobą światło. Teraz do piwnicy docierało tylko bardzo słabe światło, pewnie z jakichś schodów.

Nagrodą za stanie na głowie w pełnej pajaków studziencie była drobna obserwacja o ogromnym znaczeniu: Arvidsen, wychodząc z piwnicy, nie miał w ręku ani jednej kartki.

Chwilę później gdzieś jakieś drzwi się otwały i natychmiast zamknęły. Potem ruszył silnik passata, zachrobotał żwir i wkrótce dźwięk silnika zniknął w głębi alejki. Arvidsen dokądś pojechał — o godzinie, o której inni kładli się spać.

Pochylił się i poświecił do środka latarką. Spod nogawki wyjął nóż i wsunął go w na wpółprzegniętą ramę okna. Szybko wyciął w niej szparę pozwalającą na wsunięcie ostrza, podważenie zawiasów i otwarcie okna. Było małe, ale powinien się precyzyjnie przeliczyć. Dodatkowym wyzwaniem akrobatycznym były rozmiary studzienki, w której

znajdowało się okno.

Trzymając latarkę w ustach, położył się na plecach i odpychał się nogami. Gdy udało mu się przecisnąć tułów do środka, czubkami butów zaparł się o ścianę budynku i wsunął do środka, głową w dół.

Betonowa krawędź parapetu w środku podrapała mu plecy, ale udało mu się palcami odnaleźć rurę centralnego ogrzewania poprowadzoną pod sufitem. Podciągnął się na niej obiema rękami, wciągnął nogi i wylądował na podłodze. Przedarł się przez graty i w końcu stanął na pewnym gruncie, na podłodze w korytarzu piwnicy.

W głowie odtwarzał kolejne ruchy Arvidsena w ciągu kilku minut po tym, jak wstał z krzesła. Potem zakradł się do kotłowni, gdzie stał stary piec, i zapukał. W pomieszczeniu nie było okien, więc mógł swobodnie oświetlać wszystko latarką.

Pod jedną ścianą stał stół roboczy, nad nim wisiała duża płyta wiórowa z mnóstwem narzędzi. Przy ścianie czołowej stał stary stół stolarski. Jego uwagę przykuł jednak niewielki stolik, przy którym Arvidsen siedział na krześle ogrodowym i czytał. To tu, w wąskim polu od stolika do pieca, powinien szukać.

Zatrzymał promień latarki na blacie stołu. Był uprzątnięty. Tylko cztery stare odważniki stały po jednej stronie. Staął obok pieca i rozejrzał się, by sprawdzić, w jakiej pozycji się znajduje w stosunku do otwartego okna w drugim pomieszczeniu. Był dokładnie tu, gdzie przed chwilą stał Arvidsen, zwrócony do niego plecami.

Z tego miejsca w zasięgu ręki miał tylko splątane rury — centralnego ogrzewania i wody. Te doprowadzające ciepło były owinięte szarą gąbką izolacyjną. Znów przed oczami stanął mu Arvidsen. Nie pochylał się ani nie podnosił rąk. Ani ptak, ani ryba — raczej coś pomiędzy.

Mocno chwycił dwie najbliższe rury, zerwał też izolację — nic. Zaczął więc od początku, spokojnie i metodycznie. Sięgnął w stronę rury pokrytej izolacją, która zakręcała i chowała się za piecem. Gdy ją szarpnął, niemal się przewrócił, bo długi kawałek izolacji został mu w dłoni. Miał jakieś pięćdziesiąt centymetrów długości i był wstawiony pomiędzy dwa ślepe końce rur. W środku było kilka rulonów papieru.

Zewnętrzny rulon był wyjątkowo długi. Wyjaśniło się, do czego służyły odważniki — ustawiał je w rogach, kiedy rozwijał kolejne rulony.

Arkusze pokrywały miriady kresek, pomiarów i obliczeń. W sumie arkuszy było dziewięć. Wszystkie były bardzo starymi planami zamku Nørlund. Oto rozrywka, jaką sobie wynalazł na długie wieczory były komandos — siedzi w ciemnej piwnicy i studiuje plany zamku. Przyjrzał się wszystkim dziewięciu rysunkom. Każdy przedstawiał po jednym poziomie z każdej części gmachu — piwnica, parter i pierwsze piętro.

Drugi rulon stanowiły zwykłe kartki A4 spięte zszywkami. Przejrzał je pośpiesznie. Wyglądało to na chronologiczną listę odwiedzin albo obserwacji. Każdy wpis miał datę i godzinę, w trzeciej kolumnie widniały jedynie kombinacje liter — ani jednego nazwiska.

Trzecia, ostatnia rolka była formatu A3. Znowu dziewięć arkuszy, każdy musiał odpowiadać jednemu projektowi z pierwszej rolki, bo u góry znajdowało się odniesienie do numeru strony, skrzydła i kondygnacji. Niektóre arkusze były niemal puste, inne pełne obliczeń i uwag dopisanych ręką Arvidsena.

Lojalny strażnik i obrońca ambasadora Hansa-Ottona Corfitzena fascynował się architekturą albo uległ całkiem przyziemnej fascynacji czymś zupełnie innym, co miało

związek z zamkiem.

Musiał się pośpieszyć. Rozkładał arkusze jeden po drugim na cementowej podłodze, przytrzymywał ciężarkami i fotografował telefonem w słabym górnym świetle. Mimo że pracował w pełnym skupieniu, trwało to dłużej, niż by sobie tego życzył.

Jeśli Arvidsen chciał na przykład tylko coś zjeść, to zapewne pojechał do McDonalda albo na stację Shella przy zjeździe na autostradę, a to całkiem blisko. A jeśli nie, to dokąd u licha można jechać o północy? Zaczął pracować szybciej.

Chwilę później zwinął ostatni rulon i zajął się tajemniczą listą obserwacji Arvidsena. Dopiero kiedy był na ostatniej stronie, zwrócił uwagę na drobny szczegół:

Na odwrocie kartki było przyklejone coś twardego. Odwrócił ją i zobaczył, że na dole przyklejono wizytówkę.

Rozpoznał ją natychmiast. Miał już w ręku identyczną. Na białym tle opatrzonym dyskretnym logo napisano: „Axel Mossman, szef Policyjnej Służby Wywiadowczej”.

Ręcznie dopisano numer komórkowy. Ten sam, który dostał on.

Oniemiał. W tym momencie naprawdę nie wiedział, co myśleć. Ani *komu* wierzyć.

Wielki szef PET sunie niczym spowita tweedem zjawia drogami, które zdają się być nieodgadnione. Najwyraźniej potrafił być i tu, i tam, wszędzie... albo nigdzie.

Pośpiesznie sfotografował ostatnią stronę, ostrożnie wsunął rulony w izolację i zamontował atrapę z powrotem w przerwie rury. Najwyższa pora się stąd zwijać.

Rozdział 31.

Każdy miesiąc miał napięty jak cięciwę łuku. Czterdzieści minut wiercił się w łóżku, aż kopniakiem zrzucił kołdrę i wstał. Siedział teraz przy oknie i wpatrywał się w noc.

Miał jeszcze trochę trawy, ale wkrótce się skończy. Miał też butelkę szkockiej ze sklepu w Skørping. Jej akurat miał dużo.

Okno było otwarte na oścież, żeby w pokoju nie było czuć ostrego zapachu marihuany. Noc była przyjemna i otulała jego rozpaloną głowę jak chłodny kompres.

Wziął głęboki wdech i zatrzymał dym w płucach.

Tak bardzo chciałby umieć to wszystko uporządkować. Ułożyć w całość jak na odprawie strategicznej — przejrzycie, z jasnymi wytycznymi, tu przyjaciele — tam wrogowie, rozpoczęcie, cel i powietrzna taksówka do domu, gdzie czeka świeżo zaparzona kawa. Ale nie, nie był w stanie. Wciąż nie potrafił odsunąć choć rąbka zasłony skrywającej wszystkie działania i motywy.

Na kolanach trzymał kartkę pokreśloną liniami, kółkami i strzałkami. Rysował na odwrocie plakatu zerwanego z tablicy ogłoszeń na korytarzu. Próbował usystematyzować fakty. Mniej więcej chronologicznie.

Najpierw powieszono psa adwokata Mogensa Bergsøe. Potem on sam padł ofiarą domniemanego zabójstwa podczas wycieczki kajakiem. Później to samo spotkało psa ambasadora Hansa-Ottona Corfitzena. Kilka dni później zmarł również Corfitzen — dostał zawału, gdy ktoś brutalnie go zaatakował. A potem zabito Mr. White'a.

Mr. White... Natychmiast poczuł jego sznupe w zagłębieniu dłoni. Jak ból fantomowy.

I do tego jego ślady w parku zamkowym. Jego „napaść” na Corfitzena, ambasadora Unii Europejskiej w Bośni. Jego „listy z pogrózkami” do Bergsøe jako przewodniczącego komisji śledczej badającej śmierć Bossego. Axel Mossman pośrednio zmusił go do zaangażowania się w tę sprawę — w zamian za dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron.

A sam Mossman? Szef PET, który rozdaje swoje wizytówki i tajny numer telefonu byłym członkom AKS i weteranom. Czego u licha mógł chcieć Mossman od Arvidsen?

Może Arvidsen był kimś w rodzaju kreta zatrudnionego przez Mossmana? Jeśli tak, to dlaczego szefa PET interesowała lista odwiedzających zamek Nørlund w północnej Jutlandii? A może Arvidsen był tym, kim jest — ogrodnikiem, który trafił na coś cennego i zaoferował to szefowi wywiadu?

I jeszcze ten weteran, to znaczy on sam...

Kolejny raz westchnął ciężko. Joint szybko się dopalał i po chwili między kciukiem i palcem wskazującym trzymał strzępek, który za moment mu wypadnie.

Kim w całej sprawie był on sam? Czy Mossman naprawdę wierzył, że jest winien jak jasna cholera? Że zrobił to wszystko z zemsty za bezsensowną śmierć Bossego w Bośni w 1995 roku?

Tak czy inaczej, teraz Mossman, Rytter i jego „kuratorka” Margrethe Franck z pokoju obok tylko czekali, aż z czymś się zdradzi. Wtedy będą mogli go przymknąć i zabiorą mu kasę.

A może... Może chcą go wykorzystać jako nieobliczalnego słonia w składzie porcelany?

Jaki wtedy miałyby być ten zaplanowany przez nich koniec? Czy całą powierzchnię jeziora Borre i Rold Skov mają pokryć

skorupy roztrzaskanej przez niego zastawy? I czy po prostu je zostawią, czy też wszystko jest elementem jeszcze większego planu, w którym ktoś inny będzie je sklejał?

Gdy skręt miał zaledwie kilka milimetrów, uznał, że nic z niego nie będzie, i pstryknięciem rzucił go w ciemność. Odkręcił zakrętkę butelki i wziął pierwszego łyka whisky. Zaraz po trawie smakowała jak szczyny lisa. Zresztą może to nie była wina trawy.

A mógł w tej chwili być zupełnie gdzie indziej. Z głową wolną od tych wszystkich pytań, które tłukły mu się w czaszce jak zamknięty rój os i nie dawały spokoju. Ale to niemożliwe. Nie mógł wziąć plecaka i ruszyć przed siebie. Musiał dotrzeć do sedna całej sprawy.

Był to winien Mr. White'owi. I sobie samemu. Bo jeśli nie dowie się prawdy, zaprowadzą go wprost pod nóż rzeźnicki.

Ponownie pociągnął z butelki. Ciało się odprężyło. Wiatrak w jego głowie zwolnił. Znał już ten stan. Wiedział, że to potrwa tylko przez chwilę — krótka przerwa. Odchylił się na krześle i spojrzał w niebo. Chmury rozproszyły się na tyle, że pokazały się pojedyncze gwiazdy. Czuł, że to będzie koszmarna noc.

Jego wzrok spokojnie wrócił do notatek, które sporządził. Wciąż nie wyłaniała się z nich żadna odpowiedź, ale sama chronologia potwierdzała to, do czego doszedł już wcześniej: Arvidsen był centralną postacią i kluczem do rozwiązania całej tej zagmatwanej sprawy.

Kim byli strażnicy? Kto zagrażał Corfitzenowi? Dlaczego zdemontowano monitoring? I wreszcie pytanie najświeższe: dlaczego Arvidsena interesowały plany budynku i dla kogo prowadził swoje obserwacje?

Pytań było wiele, a ten cwaniak na pewno nie będzie szczególnie pomocny w odpowiedzi na nie.

Ale na to również była rada. Miał dość ciuciubabki. W jego głowie powstał właśnie plan A — bardzo prosty, oparty na brutalnym ataku. I zamierzał ten plan wykonać następnego dnia.

Poczuł ulgę, że nabrał choć trochę jasności i postawił właściwe pytania. Co więcej — wytyczył sobie cel i głównego wroga, a był nim Poul Arvidsen.

Wziął trzeciego łyka. Whisky smakowała coraz lepiej. Nigdy nie był smakoszem. Pił ze względów praktycznych. Postawił butelkę za zasłoną i zamknął okno. Musiał się choć trochę przespać.

Przekonał się już, że miękkie łóżko mu w tym nie pomoże, więc rozłożył pościel na podłodze, rozebrał się i położył. Zamknął oczy i zaczął sobie wyobrażać coraz to nowsze i bardziej wymyślne sposoby, by rozwiązać Arvidsenowi język. A ponieważ Arvidsen najprawdopodobniej okaże się upartym sukinsynem, skupił się na tych skrajnie bolesnych.

► „Oskar 21, tu Brawo 44. Serbscy bojówkarze w dwóch samochodach jadących na północ. Czerwony minibus i czarne BMW. To ta świnia, Milorad... Za chwilę będą was mijać. Odbiór”.

„Oskar 21. Przyjąłem. Odbiór”.

„Brawo 44. Jednak nie, zatrzymują się przed szkołą. Czekaj... o kurwa... autobus jest pełen niepełnosprawnych. Serbowie są narżnięci, aż się zataczają. Poganiają ich do szkoły. Biją. Co robimy? Odbiór”.

„Oskar 21. Nie brzmi to dobrze, brzmi bardzo źle. Idę do nich. Czekam na potwierdzenie. Odbiór”.

„Dziewięć zero. Tu kilo 05. To zbyt niebezpieczne. Zostań na posterunku. Wolno nam tylko obserwować. Powtarzam: zostań na posterunku. Potwierdź. Odbiór”.

„Oskar 21, zrozumiałem, bez odbioru”.

„Brawo 44, zrozumiałem, bez odbioru”.◀

— *Oxe, kurwa, co oni zrobili. Boże, wszędzie...*

— *Spokój, Bosse, tylko spokojnie...*

— *Wiem, kurwa, ale to jest chore.*

— *To prawda.*

— *Powinniśmy byli...*

— *Słyszałeś Klause. Nie mogliśmy. Zresztą gdybyśmy ich zaskoczyli w trakcie tego tutaj, zmieliby nas na proch.*

— *Patrz, namalowali linię startu, a tam napisali „meta”. Kurwa, ja pierdolę, stary. To psychole, ich trzeba wieszać. Urządzili sobie z nimi, kurwa, jebane wyścigi. Niedobrze mi, Oxe. Chyba będę...*

— *W porządku, Bosse. Tylko spokojnie. Wyjdź na zewnątrz, na powietrze.*

— *Oxe, chodź tutaj.*

— *Co znalazłeś, Sune?*

— *Ten tutaj się rusza. To jest, kurwa, naprawdę chore. Wyścigi z niepełnosprawnymi. W sali gimnastycznej. On nie ma... on nie ma nóg.*

— *Ma krwotok. Dostał w brzuch, więcej niż raz. I w głowę.*

— *Oxe, on otwiera oczy. Patrzy na ciebie. Co robimy? Oxe, co, kurwa, robimy?*

— *On za chwilę umrze. A pozostali, wszyscy nie żyją? Sprawdź, dobra?*

— *Oszalałeś?! Nie widzisz tego, on na ciebie patrzy, zobacz!*

— *Sune, sprawdź, co z pozostałymi.*

— *Dobra, dobra... Ten nie żyje. Tamten też. I ona. Boże, to dziecko, dziewczynka... na wózku. Nie wiem, czy dam radę...*

— *I już... już go nie ma.*

— *Umarł? Jesteś pewien, Oxe?*

— *Tak.*

— *Pomogłeś mu?*

— *On nie żyje. W końcu zaznał spokoju.*

Obudził się roztrzęsiony. Był mokry od potu i zdyszany. Dobrą chwilę trwało, nim zorientował się, gdzie jest: na podłodze w swoim pokoju w hotelu. Usiadł.

Słyszał krzyk. To on go obudził. Nie wiedział jednak, czy krzyk był naprawdę, czy we śnie. Może to on krzyczał? Mógłby? Czy raczej nie? W głowie czuł pustkę, powoli klęknął. Mógłby...

Ktoś pukał do jego drzwi. Bardzo mocno.

Nie miał pojęcia, co miałby powiedzieć. Wciąż dudniło mu w głowie. Wstał i otworzył jak robot, nie zastanawiając się, że być może postępuje nierozważnie.

Na korytarzu stała Margrethe Franck. Na jednej nodze, w białym podkoszulku i czarnych majtkach. Trzymała oburącz pistolet i opierała się o futrynę.

— Co się dzieje, Oxen, wszystko okej?

— O co ci chodzi?

— Krzyczałeś.

— Tak? Nie wiem, nie wydaje mi się. Spałem.

— I nikogo u ciebie nie ma?

— Nie, a kto miałby być?

— Mogę zajrzeć?

Skinął głową i Margrethe wskoczyła do pokoju. Czy tak została przeszkolona? Była w nieustannej gotowości przez to, co się stało z Mr. White'em? Chciała sprawdzić, czy nic mu nie grozi? Tak jak jego przeszkolili w tym, jak przeszukać budynek?

— Śpisz na podłodze?

— Tylko dziś. Bolą mnie plecy.

Franck się uśmiechnęła, ale nie skomentowała. Zajrzała pod łóżko i otworzyła szafę w przedpokoju. Wzięła dwa głębokie wdechy.

— Zioło?

Przytaknęła.

Franck rozejrzała się bacznie. Lufą pistoletu odsunęła zasłonę. Na parapecie stała butelka.

— I łycha?

Znów skinął głową. Równocześnie poczuł się zupełnie obudzony i dotarło do niego, że jest strofowany, więc wybuchnął:

— A co ty sobie właściwie wyobrażasz, że kim ty jesteś, co? Larą Croft na jednej nodze? Won z mojego pokoju! Ale już!

— Dobra, dobra, przepraszam. Chciałam tylko sprawdzić, czy nic ci...

— Wynocha!

Skinęła głową i wychodząc, trzasnęła drzwiami. Poszedł do łazienki i włożył głowę pod kran. Potem się powycierał, położył na podłodze i przykrył kołdrą.

Cholera, trochę go poniosło. W sumie wcale na to nie zasłużyła. Chciała tylko pomóc.

Tak naprawdę Margrethe Franck była całkiem do rzeczy

jednonogą laską. Niebanalna fryzura. Kość słoniowa i heban. Słodki, jędrny tyłeczek w czarnych koronkowych majtkach, niezłe piersi, które podrygiwały pod koszulką, kiedy skakała mu po pokoju.

Podniósł kołdrę i zaklął głośno i żałośnie. Wszystko po staremu. Nawet myśl o tym, że mogłaby siedzieć na nim okrakiem, jęcząc i wijąc się, nie wywołała żadnej reakcji.

Jest kompletnie do niczego. Martwy. Martwy jak kamień frajer.

Rozdział 32.

Psycholożka Ella Munk już po chwili rozmowy zdjęła zielone okulary. Być może po to, by podkreślić wagę tego, co zamierzała powiedzieć. Spojrzała Margrethe Franck głęboko w oczy i oświadczyła:

— Bez nakazu ujawnienia informacji nie mogę nic dla pani zrobić, rozumie pani, prawda?

— Nie będę pytać o szczegóły i niewykluczone, że w późniejszym terminie dostarczę pani nakaz. Zobaczymy.

— Nawet jeśli pani zdoła... — nim dokończyła, psycholożka zawiesiła teatralnie głos i podrapała się po nosie zausznikiem okularów — może mi pani zadać całą masę pytań, a większość z nich i tak pozostanie bez odpowiedzi. Widzi pani... Niels Oxen nie miał najmniejszej ochoty na współpracę. Moja praca polega na budowaniu wzajemnej relacji opartej na zaufaniu. To podstawa. A to nigdy nam się nie udało. Nawet więc jeśli pani przyniesie nakaz, nie dostanie pani grubej kartoteki tego pacjenta, bo takiej nie mam. Chciałabym, abyście zarówno pani, jak i PET mieli świadomość, na czym stoimy.

— Rozumiem. A diagnoza? Najbardziej ogólna? Udało się pani jakkolwiek postawić?

Ella Munk była zadbaną kobietą w średnim wieku, w jej ciemnych włosach pobłyskiwały srebrne pasma. Spojrzała na monitor, ponownie włożyła okulary i kilkakrotnie kliknęła myszką.

— Oxen był u mnie tylko pięć razy. Ale tak... mam diagnozę.

— Jak brzmi?

Psycholożka przez chwilę kręciła głową, wreszcie jej twarz złagodniała w mimowolnym uśmiechu.

— Tego oczywiście nie mogę pani powiedzieć. Ta informacja jest objęta klauzulą poufności, do której zobowiązuję się wobec moich klientów. Przecież pani o tym wie.

— Zatem porozmawiamy ogólnie. Czy ma pani doświadczenie z PTSD?

— Pracowałam dawniej dla wojska, zatem tak, specjalizuję się w terapii *Post Traumatic Stress Disorder*. Dlaczego pani pyta?

Wciąż nie do końca potrafiła ją rozgryźć. Czy Ella Munk chciała jej pomóc, czy raczej przemawiał przez nią nieco chłodny profesjonalizm.

— Co pani wie o PTSD? — zapytała psycholożka.

— Niewiele.

Jej odpowiedź była całkowicie sprzeczna z prawdą, ale chciała wprowadzić do ich rozmowy trochę cieplejszych tonów. Sama przesiedziała u psychologa mnóstwo godzin, wymagał tego regulamin pracy w policji, zwykłe rutynowe badania.

Psycholog był starszym panem, wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie. Niewykluczone zresztą, że była prostym przypadkiem: nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, że zastrzeliła bydlaka, który sam był mordercą. I którego ostatnim złem dokonanym na ziemi było zmiżdżenie jej nogi w tej samej sekundzie, w której kula jej pistoletu wysłała go prosto w ogień piekielny.

Dziś żałowała tylko, że nie strzeliła sekundę albo dwie wcześniej. Ale myślała o tym bez goryczy. Jasne, miewa

czasem gorsze dni. Tyle że gdyby nie ta noga, nigdy by nie dostała wymarzonej pracy przy boku wielkiego Mossmana w Søborgu.

— Mam trochę informacji, które mogę pani przesłać. Są przystępne, skierowane do rodzin i bliskich. Najprościej będzie, jeśli od razu da mi pani swój adres mailowy.

— Chętnie — wygrzebała swoją wizytówkę i położyła na biurku.

— Gdy jednak zacznie pani porównywać Nielsa Oxena z listą symptomów, proszę pamiętać, że w każdym przypadku mamy do czynienia z jednostkami. Nie istnieją gotowe wzory.

— Będę pamiętać. Jeśli więc pozostajemy przy stwierdzeniach ogólnych: czy możliwe jest, aby komandos cierpiał na PTSD?

— Oczywiście, że tak, choć zdarza się to wyjątkowo rzadko. Możemy chyba bezpiecznie założyć, że członkowie Korpusu Łowców są poddawani tak ostrej selekcji i szczegółowym badaniom, że tylko osoby o odpowiedniej konstrukcji psychicznej są w stanie je przejść. Jeśli więc ktoś zostaje komandosem, to na ogół nie jest podatny na PTSD.

— Są wystarczająco silni?

— Komandosi zasadniczo są ludźmi zdrowymi i psychicznie stabilnymi. Posiadają wewnętrzną harmonię i są w stanie odsunąć na bok własne potrzeby, by realizować wspólny cel. Mówię o tym wyłącznie po to, by obalić mit o nadludziach.

— Ci, którzy byli na Bałkanach, wrócili jednak wyjątkowo poturbowani, prawda?

Ella Munk przytaknęła.

— To prawda. Bardzo wielu Duńczyków z pierwszej międzynarodowej misji, tej na Bałkanach, cierpi na PTSD.

Czują się gorsi od tych, którzy byli w Iraku czy Afganistanie, bo tamci uczestniczyli w faktycznych działaniach wojennych. Na Bałkanach było inaczej. Nie mieli pozwolenia na udział w walce. Duńscy żołnierze mieli pozostać bierni. Wielu z nich cierpi na silne traumy związane właśnie z tamtą bezsilnością. Przyglądanie się atakom bez możliwości powstrzymania ich czy podjęcia jakichkolwiek działań może człowieka złamać.

— Niels Oxen był na Bałkanach dwukrotnie. Raz podczas wojny i raz już po niej.

— Te informacje są powszechnie dostępne.

Psycholożka najwyraźniej nie zamierzała komentować tego dalej. Zatem pierwsza próba ocieplenia atmosfery się nie powiodła. Ella Munk nie chciała zdradzić żadnego, najdrobniejszego nawet skrawka wiedzy o Nielsie Oxenie.

Wobec tego będzie musiała sięgnąć po inne metody, zgodnie zresztą z niemal oficjalnym poleceniem Mossmana. Wstała i wyciągnęła rękę:

— Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas. I proszę przesłać mi te materiały.

Psycholożka skinęła głową.

— Nie ma za co. Za moment wyślę pani maila.

Dochodziło południe, kiedy wróciła z Aalborga do Rold Storkro. Po drodze udało jej się uruchomić jedną ze swoich alternatywnych możliwości uzyskania pomocy w śledztwie.

Alternatywą był starszy, siwy pan, który absolutnie wtapiał się w otoczenie. A jednak ten niepozorny człowiek potrafił nie mniej niż jego młodszy koledzy, których w świecie kochającym stereotypy najczęściej można rozpoznać po skaterskich bluzach, czapkach odwróconych daszkiem do tyłu, nadmiernym spożyciu coca-coli i lekko anarchizującym podejściu do wszystkiego i wszystkich w cyberprzestrzeni.

Asger Hansen — nawet jego nazwisko było anonimowe — był kiedyś informatykiem w międzynarodowej firmie, zwolnionym w ramach oszczędności, gdy jego akt urodzenia zaczął żółknąć. Działał w najwyższej dyskrecji, miał sześćdziesiąt jeden lat, był kawalerem i mieszkał w samym centrum Kopenhagi, przy Studiestræde, obok Vor Frue Kirke. I stamtąd, z zacisza pogrążonego w półmroku domowego biura, udostępniał swoje wyjątkowe umiejętności bardzo wąskiemu kręgowi odbiorców.

Asger Hansen był tak ostrożny, że rozmawiało się z nim możliwie najkrócej. Takich rzeczy nie załatwia się przez telefon. Zapytała tylko, czy „ma czas na pilne zlecenie”. Odpowiedział „tak”. Reszta komunikacji jak zwykle była kodowana. Pierwszym krokiem był przesłanie mu maila, który dostała od Elli Munk.

— Cześć, Franckie!

Zaskoczona podniosła wzrok. Martin Rytter siedział przy jednym z kawiarnianych stolików ustawionych przed wejściem do hotelu i wygrzewał się w wiosennym słońcu, okulary słoneczne miał odsunięte na głowę.

— Co do cholery?

Szef operacyjny służb był ostatnią osobą, którą spodziewała się tu spotkać. Przepracowała w PET już całkiem sporo lat i nigdy wcześniej nie zauważyła, aby szef czy szef operacyjny aż tak się angażował w pojedynczą sprawę. Ludzie z najwyższego kierownictwa zajmowali się administracją, podejmowali decyzje i wyznaczali tych, którzy mieli te decyzje wprowadzać w życie. To, co działo się obecnie, było tylko kolejnym dowodem, że sprawa jest najwyższej wagi. Bo jeśli zabójstwo przewodniczącego komisji z Wambergu i ojca duńskiej dyplomacji nie zmusiłoby do wyjścia z za biurka ludzi na najwyższych stołkach, to chyba nic by ich do tego nie zmusiło. Łamigłówa Bergsøe -

Corfitzen nie pozwalała im spać spokojnie, taką przynajmniej miała nadzieję.

— Martin? Co tu robisz? — Klapnęła na krześle obok.

— Akurat tędy przejeżdżałem... i pomyślałem, że zaproszę cię na lunch.

— Do rzeczy.

— Spokojnie, Franckie, stresujesz się?

— Właśnie wracam od psychologa. To stresujące.

— Chodzi o tamto, z twoim strzałem i... — Rytter głową wskazał jej prawą nogę. — Myślałem, że już dawno...

— Nie bądź idiotą. Od psychologa Oxena!

— A, jasne, przepraszam. To jak, zjesz coś?

— Dobra, zaskocz mnie.

Rytter uśmiechnął się i pokręcił głową. Jeśli to prawda, co ćwierkają ptaszki, za parę lat, kiedy Axel Mossman odejdzie ze służby, to on zostanie nowym szefem PET. Ważne i silne głosy mówią raczej o konieczności „ustabilizowania” reform Mossmana z ostatnich lat, a nie odnowie struktur. To przemawia na korzyść Ryttera. Ponadto powszechnie ceni się jego bystry umysł. Jeśli więc Martin rzeczywiście dostanie nominację, to raczej może być spokojna o swoją posadę na wiele kolejnych lat. Rytter lubił ją i cenił, z wzajemnością.

— A poza lunchem po co przyjechałeś?

— Mam spotkanie w Aarhus i obiecałem Mossmanowi, że przy okazji przywiozę ci to.

Rytter poklepał metalową walizkę, którą trzymał między nogami. Zagwizdała z uznaniem.

— No, no, szef operacyjny kurierem.

— Mossman chciał, żeby o sprawie nie wiedział nikt prócz

ciebie, mnie i Oxena. I jego samego — wyjaśnił Rytter.

— Jak wcześniej mówiłam: nie pojmuję, dlaczego Mossmanowi tak zależy na Oxenie. I to za takie pieniądze. A ty? Dowiedziałeś się czegoś?

— Więcej o tym nie rozmawialiśmy, ale mogę się z tobą założyć, Franckie, że to tylko pożyczka. — Ponownie poklepał walizkę i wyjaśnił: — Mossman nigdy nie szastał pieniędzmi. À propos, jak ci idzie z Oxenem? Czym się aktualnie zajmujecie?

— Bóg raczy wiedzieć. Nadal kompletnie mi nie ufa. Chociaż wydaje mi się, że zmierzamy w dobrym kierunku.

— I wszystko działa bez zarzutu? Willy i Bent mają go na celowniku?

Martin Rytter pytał o jej dwóch kolegów, Willy'ego Sørenseną i Benta Fensmarka, którzy na zmianę śledzili Nielsa Oxena, przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Obaj mieszkali w tym samym hotelu. Przywitała się z nimi, kiedy Oxen wyszedł.

— Wszystko pod kontrolą. Chociaż Oxen nie robił niczego spektakularnego. Poza krótką wyprawą do Nørlund wczoraj późnym wieczorem, kiedy włamał się do starego pomieszczenia służbowego.

— Wiadomo po co?

— Jeszcze nie, ale mam przeczucie, że wszystko gruchnie, kiedy najmniej będziemy się spodziewali.

— A on sam? Też może wybuchnąć? — zapytał Rytter.

— Psycholożka zażądała nakazu. Dlatego rozmawialiśmy tylko ogólnikami. Ogólnie można powiedzieć, że członkowie Korpusu Łowców nigdy nie bywają dotknięci stresem pourazowym. Za to weterani wojny bałkańskiej bywają nim dotknięci wyjątkowo często. Oxen podpada pod obie

kategorie — był komandosem i weteranem z Bałkanów. Na tym poprzestałyśmy.

Rozdział 33.

Terenówki Karin „Kajsy” Corfitzen na parkingu nie było. Był za to passat Arvidsena. Ta prosta obserwacja sprawiła, że pozbył się ostatnich zahamowań. Mógł z miejsca przystąpić do realizacji prostego i brutalnego planu A.

Niegdysiejszego członka elitarnego oddziału policji trzeba przestraszyć tak, aż zacznie mówić. Jeśli to nie pomoże — a podejrzewał, że może nie pomóc — trzeba sięgnąć po drastyczne środki i zadbać, aby Arvidsen cierpiał. Bardzo cierpiał.

Możliwe, że była to strategia na poziomie ameby, ale miał to gdzieś. Najwyraźniej tylko prymitywna agresja i surowa siła mogą rozbić niewidzialny mur będący przeszkodą w wyjaśnieniu śmierci starego ambasadora.

Wizytówka i numer komórki Mossmana, które znalazł w rzeczach Arvidsena, nie pozostawiały mu innej opcji. Nie zamierzał brnąć w labirynt, w którym się znalazł. A w większym lub mniejszym stopniu labirynt ten skonstruowała siła wyższa — szef PET Axel Mossman, choć na razie nie miał pojęcia, jak i dlaczego.

Zaparkował i zamknął za sobą drzwi samochodu. Przesłuchując Arvidsena, musi pamiętać, by nie wspominać o jednym: o dokumentach znalezionych w piwnicy. I żeby nie dać się sprowokować.

Rysunki i lista odwiedzin Arvidsena to asy, które chwilowo powinny pozostać ukryte głęboko w jego rękawie. Wracał prosto ze sklepu fotograficznego w Aalborgu, gdzie na zaawansowanym sprzęcie wykonano obróbkę zdjęć z jego telefonu. Wszystkie plany zamku zamówił w formacie A3. W

zamian za podwójną stawkę fotograf zgodził się potraktować zlecenie priorytetowo. Odbitki miały być gotowe po południu.

Ruszył wzdłuż fosy w stronę parku, skąd dobiegał odgłos silnika. Co jakiś czas pomiędzy wysokich krzaków wystawała głowa Arvidsena. Wszedł między drzewa i zarośla i ostrożnie zakradł się bliżej.

Chciał zaskoczyć Arvidsena. Staął i z nogawki wyjął nóż.

Gdy był całkiem blisko, kucnął za rozłożystym rododendronem i w ukryciu czekał na odpowiedni moment. Arvidsen ścinał trawę żółtym traktorem ogrodowym i wyglądało na to, że wkrótce skończy. Będzie musiał zaatakować błyskawicznie.

Okazja nadarzyła się kilka sekund później, gdy Arvidsen wyłączył silnik i z kieszeni na piersi wyjął papierosy.

Zaczął się na swoją zdobycz od tyłu, ukryty za krzakami. Ostatnie metry otwartej przestrzeni pokonał kilkoma długimi susami. Na koniec odbił się, wskoczył na traktor i wylądował tuż za plecami Arvidsena. Jednocześnie założył ogrodnikowi na szyję lewe ramię, a nóż trzymany w prawej ręce przysunął mu do twarzy. Arvidsen wydał z siebie stłumiony okrzyk i wypuścił z ręki papierosy i zapalniczkę.

— A teraz siedź cicho i posłuchaj. Zrozumiałeś? — Ostrzegawczo docisnął jeszcze ramieniem gardło Arvidsena, by podkreślić, że nie żartuje. — Zrozumiałeś?

Arvidsen skinął głową na tyle, na ile był w stanie. Wtedy odrobinę rozluźnił uścisk.

— Dla kogo pracujesz?

Arvidsen wykrztusił:

— Dla Corfitzena... a teraz... dla jego córki...

— Kłamiesz. Odpowiadaj! — Rozluźnił nieco ucisk, za to docisnął nóż do gardła Arvidsena.

— Zrób to, żołnierzu, no dalej, na co czekasz. Nie odważysz się, frajerze. Za cienki jesteś na to. Bohater wojenny? Pocałuj mnie w dupę!

Szybko ponownie zacisnął uchwyt.

— Kto chciał załatwić Corfitzena?

— Nie mam pojęcia — wychrypiał Arvidsen.

— Co tu robili ochroniarze?

— Mówiłem przecież. Nie mam pojęcia. Ty świnió, atakujesz od tyłu. Jak taki leszcz mógł dostać medal za cokolwiek?

Błyskawicznie zmienił uchwyt i lewą ręką mocno złapał Arvidsena za włosy. Odchylił mu głowę do tyłu i mocno docisnął ostrze do odsłoniętego gardła.

— Masz ostatnią szansę, Arvidsen. Ostatnią. Skorzystaj z niej. W przeciwnym razie będzie bolało, bardzo bolało. Posłuchaj mnie teraz uważnie: po śmierci Corfitzena usunąłeś kamery. Dlaczego?

Wydawało się, że barczysty ogrodnik chwilę się namyślał, zanim syknął:

— Kurwa, wiem, że tego nie zrobisz, gówniarzu. Sam byłem w Kosowie z misją policji. Wojna jest dla prawdziwych mężczyzn, a nie dla ciot. Odbiło ci, cieniasie. A teraz...

Z całej siły wbił nóż w prawe udo Arvidsena, zakładając mu jednocześnie ponownie lewe ramię na szyję. Z nogi wystawał tylko trzon.

Arvidsen wrzasnął i poruszył się tak gwałtownie, że przypadkiem wrzucił bieg w traktorze. Ruszyli do przodu po ogromnym, otwartym trawniku.

— Będzie znacznie gorzej! Zacznesz mówić? Dlaczego zdjąłeś kamery?

Jadąc w stronę głównego budynku, traktor wycinał równy pas trawy.

Zaczął poruszać na boki nożem tkwiącym w udzie Arvidsena, aż ten wrzasnął rozpaczliwie:

— Dość! Przestań! Przestań, kurwa! Zdjąłem je, bo musiałem...

W jednej chwili usłyszał znajomy świst i odruchowo schował się za szerokimi plecami Arvidsena. Ułamek sekundy później twarz ogrodnika z jednej strony była cała we krwi. Brakowało fragmentu policzka, a zamiast ucha wisiały krwawe strzępy mięsa.

Wydawało się, że Arvidsen chce krzyknąć, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Był całkiem sztywny.

— Mów! Kamery! Dlaczego?!

Musiał rozluźnić uścisk na szyi Arvidsena, żeby lepiej się za nim ukryć.

— Chata myśliwska... podłoga... pomóż mi...

Arvidsen nie zdążył wydukać więcej. Kolejna kula trafiła go w czoło, przebijając głowę na wylot.

Na twarz bryznęła mu ciepła kaskada tkanki i masy mózgowej ogrodnika. Jego jedyną szansą było pozostać za dającymi ochronę plecami Arvidsena. Jeśli teraz zeskoczyłby z traktora, stałby się łatwym celem dla strzelca kryjącego się w którymś z niezliczonych okien zamku.

Traktor dalej sunął naprzód we własnym, równym tempie.

Trzecia kula o milimetry minęła jego prawe ucho. Sięgnął w górę i mocno złapał kołnierz Arvidsena, ustawiając jego ciężkie, bezwładne ciało w pozycji pionowej na siedzeniu.

Do fosy zostało im już tylko piętnaście metrów. Dziesięć...

Czwarta kula trafiła w bark Arvidsena i przebiwszy go,

rozdarła jego własną kurtkę.

Pięć metrów, cztery metry, trzy, dwa...

Kiedy tylko traktor przechylił się i stoczył tych kilka metrów w czarną wodę fosy, on rzucił się w bok, przetoczył i z pluskiem uderzył w powierzchnię wody. Na chwilę przed skokiem dostrzegł, jak bezwładne ciało Arvidsena pochyła się w przód, nad kierownicą traktora.

Ciemność zamknęła się nad jego głową. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje pod wodą, ale miał poczucie kierunku, więc popłynął tak, jak mu podpowiadało. Jeśli dopłynie za najbliższy róg, będzie mógł wyjść i ukryć się przed strzelcem z zamku. Jeśli tylko uda mu się uniknąć kuli na najbliższych dwudziestu metrach, to jest szansa, że z tego wyjdzie.

Chwilę później poczuł coś miękkiego pod rękami — błoto. Dotarł do płycizny, ale kiedy się wynurzył, zrozumiał, że nie jest jeszcze całkowicie osłonięty rogiem budynku. Szybko więc podczołgał się ostatnie kilka metrów, wspiął na brzeg i zygzakiem zaczął biec, osłonięty przez drzewa i krzaki.

Przykucnął za drzewem, żeby bacznie przypatrzeć się jednemu skrzydłu zamku. Żadne okno nie było otwarte, nie poruszał się żaden cień. Ruszył dalej biegiem w stronę parkingu i po chwili ponownie się odwrócił. Wynik obserwacji był identyczny — nigdzie nie było widać strzelca. Nic się nie poruszało. A Kajsa Corfitzen wciąż nie wróciła do domu.

Początkowo myślał, że wskoczy do samochodu, ruszy z piskiem opon i odjedzie jak najdalej stąd. Teraz zmienił zdanie. Musi przeszukać zamek, nawet jeśli jego ukochany nóż myśliwski został w udzie Arvidsena. A Arvidsena już nie było. Gdyby udało mu się dorwać snajpera, poczyniłby w swoim śledztwie ogromny postęp.

Miał właśnie zawrócić i biegiem ruszyć przez most nad fosą, kiedy kula z hukiem rozbiła tylną szybę jego wozu.

Błyskawicznie otworzył przednie drzwi i rzucił się na siedzenie. Chwilę później z ryczącym silnikiem jechał alejką, wzniesając kaskady żwiru i kamyków.

Druga kula przeszła na wylot i wyszła przednią szybą. Chwilę później był bezpieczny i z szaloną prędkością wjechał na drogę główną.

Wycierał twarz z glonów i błota, wciąż dociskając pedał gazu. Przez całą drogę do Rold nie był w stanie jasno myśleć. Już kiedyś mu się to zdarzyło. Znikał gdzieś jego chłodny spokój. Nie potrafił błyskawicznie uporządkować chaosu w swojej głowie.

Był kompletnie przemoczony i cały w śmierdzącym, czarnym błocie. W lusterku wstecznym nie widział nikogo. Nie znał też odpowiedzi na żadne z pytań. Nic, tylko chaos. Chociaż może nie tylko. Było coś ważnego, co musiał znaleźć i wyłowić z zamętu panującego w jego głowie. Coś tam było!

— Do diabła, skup się, stary, no! — krzyknął na siebie i splunął błotem na podłogę samochodu. Zebrała się na niej spora kałuża wody z jego ubrania.

Arvidsen coś powiedział. Tuż przed strzałem w czoło coś mu powiedział. Dwie rzeczy, wyrwane z kontekstu. Minęło kilka sekund, nim sobie przypomniał. Chata myśliwska i podłoga. O co mogło chodzić?

Kiedy marznąc, zastanawiał się nad znaczeniem tych słów, uspokoił się na tyle, by w jego głowie pojawiło się nowe, niepokojące pytanie:

Kto właściwie był głównym celem snajpera? Arvidsen czy on?

Po dwóch strzałach oddanych w jego samochód nie było wątpliwości, że teraz w każdym razie jego nazwisko widnieje na liście osób do likwidacji. I pytanie kolejne:

Kto strzelał?

Kto mógł wejść na zamek Nørlund z bronią pod pachą i zająć pozycję w oknie wychodzącym na park? I jaki mógł mieć motyw?

I znów myśli w jego głowie kotłowały się bezładnie. Musi wrócić do pokoju, całkiem się uspokoić i zadać sobie odpowiednie pytania w odpowiedniej kolejności. I musi się wykąpać, przebrać i pojechać do fotolabu w Aalborgu, i to szybko.

Chata myśliwska?

Skręcił w prawo i wkrótce dotarł do Rold Storkro.

Podłoga?

W zasadzie można było te słowa zrozumieć tylko w jeden sposób, jeśli miały mieć ze sobą jakikolwiek związek.

Rozdział 34.

Lista symptomów PTSD, czyli *posttraumatic stress disorder*, była długa. Dzięki swojej wiedzy i własnemu doświadczeniu sporo z nich już знаła.

Ella Munk dotrzymała słowa i niezwłocznie przysłała obiecane materiały. Margrethe przesłała maila od niej dalej, do Hansena siedzącego w swoim królestwie przy Studiestræde, a zaraz potem wiadomość za pośrednictwem programu do szyfrowania, który czekał na nią w jej skrzynce mailowej. O tym, co następnie Hansen zrobi z mailem psycholożki, wolała nie wiedzieć. Byle tylko znalazł to, czego szukała. Z doświadczenia wiedziała, że jest w stanie zrobić to bardzo szybko.

Zjechała w dół broszury, która miała uświadomić rodzinie i bliskim, z jakiego rodzaju symptomami mogą się spotkać. Wymieniono te, które występują najczęściej:

- Flashbacki — przebłyski wspomnień traumatycznych przeżyć lub wydarzeń.
- Koszmary senne i zaburzenia snu: zwykle wyjątkowo brutalne koszmary senne — często połączone z potami.
- Zaburzenia pamięci i koncentracji.
- Izolacja: osoba odsuwa się od przyjaciół i rodziny, unika udziału w wydarzeniach towarzyskich.
- Nadwrażliwość na hałas: niska tolerancja na głośne dźwięki.
- Nieufność: poczucie odosobnienia i alienacji. Osoba staje się wyjątkowo nieufna wobec ludzi w ogóle.
- Osłabione życie uczuciowe: znika lub zostaje stłumiona zdolność do odczuwania empatii, czułości i miłości.

- Problemy z używkami: nadużywanie alkoholu, leków lub narkotyków.
- Ogólne problemy w pożyciu intymnym i impotencja.

Ile z tych objawów występowało u Nielsa Oxena? Na razie nie mogła tego stwierdzić. Zbyt słabo go znała. Ale jeden z symptomów PTSD występował z natężeniem dziewięciu i pół stopnia w jego osobistej skali Richtera — facet był niewątpliwie cholernie nieufny.

Miała właśnie dokończyć wstęp do raportu z kondycji psychicznej Oxena, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się głos Willy'ego Sørensen. To on jeździł samochodem połączonym nadajnikiem z wynajętym wozem Oxena.

— Ktoś zastrzelił Arvidsena! Próbowali też zabić Oxena! W ogrodzie zamkowym. Oxen wskoczył do fosy. A potem uciekł, kule świszczały mu koło głowy! Niezła zadyma, mówię ci. Teraz wraca do hotelu. Wydaje mi się...

— Czekaj, po kolei. Myślałam, że Oxen jest w Aalborgu.

— To się stało przed sekundą, dlatego dalej mną trzęsie. To było kompletnie nierealne. Jak w jakimś filmie. Był w Aalborgu, ale potem pojechał do Nørlund. Śledziłem go do samego ogrodu. Tam napadł na Arvidsena, kiedy ten kosił trawę traktorem. Oxen przyskoczył do niego od tyłu i obaj opadli w przód na traktorze. Oxen ścisnął go za gardło, w drugiej ręce miał nóż. Kłócili się. Potem widziałem tylko, jak Oxen podnosi nóż i wbija go w Arvidsena!

— Chcesz powiedzieć, że Oxen zabił Arvidsena?

— Nie! Wbił mu nóż w udo, a Arvidsen zawył jak zarzynana świnia. Nie słyszałem strzału, ale nagle Oxen schował się za plecami Arvidsena. I wtedy...

— Willy! Jakiego strzału? Uspokój się...

Rzeczowym tonem i cierpliwym napominaniem pomogła

koledze z Aarhus odzyskać oddech i przedstawić dramat tak, że była w stanie nadążyć. W jednym z okien zamku był strzelec. Trafił Arvidsena.

— W tej samej sekundzie, kiedy traktor staczał się do fosy, Oxen wyskoczył. Gość jest niemożliwy. Mówię ci, Franck. Ten człowiek to wojownik. Zimny jak lód.

Willy nadal był roztrzęsiony, kiedy w szczegółach opowiadał, co było dalej. O tym, jak w ostatniej chwili Oxen uciekł samochodem z napędem cztery na cztery, a wokół świszczały kule.

— A ty to wszystko widziałeś?

— Tak, z krzaków.

— Strzelca też widziałeś?

— Tylko sylwetkę.

— Oxen widział ciebie?

— Nie, na pewno nie.

Teraz w pełni rozumiała ekscytację Willy'ego Sørensen. Pracując w PET, rzadko dostawało się kopa adrenaliny. Możliwe, że Sørensen z oddziału w Aarhus od lat nawet z daleka nie widział prawdziwej strzelaniny. O ile w ogóle kiedykolwiek widział.

— Widzę na ekranie, że Oxen skręcił w stronę hotelu. Za chwilę będzie na miejscu.

— Dobra robota, Willy. Muszę kończyć!

Rozłączyła się i wybiegła z pokoju. Zdążyła akurat usiąść przy jednym z pierwszych stolików w kawiarni i przyjąć odprężoną postawę, kiedy z parkingu dobiegł ją głośny trzask drzwi samochodu. Chwilę potem zobaczyła, jak Oxen szybkim krokiem idzie w jej stronę.

Dopiero z bliska to zauważyła — weteran wyglądał,

jakby... wracał z frontu. Był kompletnie mokry i umazany czarnym błotem ze sporą domieszką zielonych glonów. Gdy ją zobaczył, zawahał się na moment, ale ostatecznie ruszył dalej, nie zwalniając kroku.

— Cześć, Oxen, jak ty u licha wyglądasz?

Uniósł tylko rękę na znak, że nie chce o tym mówić. Wyglądał na wściekłego. A raczej wkurzonego, dokładnie tak jak zeszłej nocy, kiedy ją zbluzgał — i nazwał jednonogą Larą Croft.

— Byłeś popływać?

Wyglądał, jakby kompletnie nie zwracał na nią uwagi, ale ostrzegawczo uniesiona dłoń wskazywała, że jest inaczej. Przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodach i już go nie było.

„Margrethe, kretynko”, zbeształa się za swoją nędną próbę, ale nie wstała od stolika. Od razu zrozumiała, że jeśli pójdzie za Oxenem do jego pokoju, nic to nie da. Jemu nie warto stale siedzieć na głowie. To Rytter powinien zdecydować, co robić dalej. Musi do niego zadzwonić, mimo że jest na spotkaniu w Aarhus.

PET najprawdopodobniej będzie musiało powiadomić o wszystkim komisarza Grubego i policję w Aalborgu. To do nich będzie należało wyjaśnienie kolejnego zabójstwa na zamku Nørlund. Najwyraźniej była to profesjonalna likwidacja. Nielsowi Oxenowi znów ziemia pali się pod stopami. Tym razem nie jako podejrzanemu, ale dlatego, że był na miejscu w czasie zdarzenia. To z kolei będzie oznaczało, że weterana i najemnika Mossmana czeka w Aalborgu poważne maglowanie.

Pomyślała o tym, kiedy słońce przyjemnie przypiekało jej twarz. Zaledwie kilka godzin minęło, odkąd siedziała w mniej więcej tym samym miejscu z Martinem Rytterem i mówiła, że ma przecucie, że wkrótce całe to gówno się rozleje.

Karin „Kajsa” Corfitzen przyglądała się z zaciekawieniem, jak nurkowie z trudem wydobywają z fosy ciało Poula Arvidsena.

Podeszła do niej Margrethe Franck, wyciągnęła rękę i się przedstawiła. Potem wymieniły kilka uwag. Corfitzenówna została bez ogrodnika.

Chwilę później podszedł do nich komisarz Rasmus Grube, który wydał właśnie ostatnie polecenia swoim ludziom.

— Witaj, Franck — powiedział. — Więc nadal tu jesteś?

Przytaknęła. Wielki korpus Arvidsena leżał już cały na trawie.

Zauważyła, że Willy Sørensen miał rację: brakowało sporej części głowy. Za to otwór wlotowy kuli był jedynie małą rdzawą plamką. Ale tak to działało. Kula zawsze największe spustoszenie sieje przy wyjściu.

Strzał zabił Arvidsena natychmiast — w trakcie zeznań, które Oxen próbował z niego wydusić za pomocą noża wbitego w udo.

— No, to daje do myślenia — mruknął Grube i pokręcił głową.

— Co takiego? — zapytała.

— To rozcięcie na spodniach, na wysokości uda. Krwawił. Został poważnie ranny w nogę, zanim umarł.

— Albo zahaczył nogą o traktor, kiedy z niego wypadł.

— Być może, być może... — przyznał Grube bez przekonania i zamyślił się głęboko.

Ciekawe, co zdążył wyznać przed śmiercią dawny specpolicjant. I o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi? Niels Oxen w błyskawicznie krótkim czasie tak namieszał w śledztwie, że nic już nie było wiadome — i może o to mu chodziło?

Pod jego nieobecność przeszuka jego pokój i być może znajdzie choć część odpowiedzi na swoje pytania. Nadal nie wiedziała na przykład, dlaczego włamał się do domu dla służby w Nørlund.

— To Rytter zadzwonił do nas i powiedział o Arvidsenie — powiedział wreszcie Grube. — Nie miałem pojęcia, że macie tu swoich ludzi — dodał, mając na myśli Willy'ego Sørensen.

Swoją wersję uzgodniła wcześniej z Rytterem. Miała powiedzieć coś takiego: — Tak, Sørensen przyjechał tu, żeby się rozejrzeć. I rozmówić się z Arvidsenem. Niestety, nie zdążył.

— Podobno widział wszystko ukryty w krzakach? — chciał się upewnić Grube.

Skinęła głową.

— Też tak słyszałam. Ale chyba powinniście sami z nim porozmawiać?

— Już z nim rozmawiałem przez telefon. Będzie tu lada chwila. To całe śledztwo zmienia się w prawdziwe bagno. Arvidsen wiedział znacznie więcej, niż nam powiedział. A teraz stał się jedynie — dosłownie — martwym tropem. Udało ci się coś znaleźć w tych materiałach o Consilium, które ci przysłałem?

— Nic, co byłoby istotne w tej chwili, ale jest tam sporo wiadomości niezbędnych do nakreślenia kontekstu. I całkiem nowy, niespodziewany fakt w postaci nazwiska Mossmana na liście mówców.

— Jestem pewien, że istnieje związek między Corfitzenem a Bergsøe — wypalił Grube.

Kajsa Corfitzen przez cały czas stała tylko z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki i ze zmarszczonym czołem,

pogrążona we własnych myślach. Odezwała się dopiero teraz: — Kim właściwie był ten cały Arvidsen? Wygląda na to, że był podstępna żmiją, prawda? To zupełnie nie w stylu mojego ojca... I kto, do cholery, włamał się do mojego domu, żeby do kogoś strzelać? Nie podoba mi się to, Grube, bardzo mi się to nie podoba...

Gdy wracała z Nørlund, zadzwoniła komórka. Dzwonił jej dawny dobry kolega Lars Clausen, obecnie na emeryturze. Zupełnie zapomniała, że poprzedniego dnia zostawiła mu wiadomość na sekretarce.

Clausen był w szkole policyjnej Station Bellahøj w tym samym czasie, kiedy Niels Oxen zaczął się tam uczyć. A w swoim raporcie na temat Oxena wciąż miała sporą dziurę w rozdziale poświęconym jego krótkiej karierze w policji. Zaczęła od obowiązkowych uprzejmości, pytając, jak mu się żyje na emeryturze i czy w domu wszyscy zdrowi, ale przerwał jej, wyraźnie rozbawiony: — Margrethe, bardzo miło, że pytasz, ale ty akurat raczej nie dzwonicz, żeby się dowiadywać, jak mi się żyje. Więc mów od razu, czego ci trzeba.

— Okej... Co ci mówi nazwisko Niels Oxen?

— Dzielny żołnierz — wypalił bez namysłu Clausen. — Najwyżej odznaczony wojak, jakiego kiedykolwiek mieliśmy w naszej małej Danii. A co?

— Swego czasu byliście razem w Bellahøj, prawda?

— Zgadza się.

— Dobrze go znałeś?

— Nie wiem, czy dobrze, ale tak, znałem. Sporo rozmawialiśmy. Już jako żółtodziób dostał dwa medale za odwagę. To wywołało spore poruszenie i wzbudziło niemałe oczekiwania. Od tamtej pory śledziłem jego karierę. Dostał trzeci medal, a na koniec wysokie, nowe odznaczenie

honorowe, o którym już dziś bezpiecznie można powiedzieć, że otrzymują je naprawdę nieliczni. Krzyż Waleczności, tak się nazywa. Gdy mu go wręczali, aż wyciąłem artykuł z gazety. Ale co ty masz z nim wspólnego?

— Badam jego przeszłość.

— Zrobił coś paskudnego?

— Chyba za wcześnie, by o tym rozstrzygać. Jaki był wtedy?

— Całkiem do rzeczy. Bardzo pewny siebie jak na uczniaka, o ile można to tak nazwać. A poza tym? Cichy i spokojny, a jednak miał temperament. W głębi duszy trochę zdystansowany. Ci, którzy znali Oxena najlepiej, wychwalali go pod niebiosa. Inni ironizowali na temat jego odznaczeń. Osobiście nie mogę o nim powiedzieć nic złego.

— Nagle, w połowie szkoły przerwał naukę. Pamiętasz, co się wtedy stało?

— Właściwie nigdy nie usłyszałem żadnego dokładnego uzasadnienia. Prócz tego, że wolał wojsko i dlatego chciał tam wrócić. To zresztą wystarczające wyjaśnienie. Możesz zapytać Maxa Bøjlesena. Był wtedy dyrektorem. Do historii przeszło, jak młody Oxen poszedł do samego szefa, żeby osobiście się z nim pożegnać.

— Czekaj, powiedziałaś: Max Bøjlesen?!

Niemal krzyknęła.

— Tak, tak, „Bøjlen”.

— Bøjlesen, ten, który jest komendantem regionu w Aalborgu, ten Bøjlesen?

— Ten sam. Wydajesz się zaskoczona.

— Nie wiedziałam, że był wtedy w Bellahøj.

— Margrethe, możesz jechać sobie na Jutlandię i sama go

zapytać.

— Akurat jestem na Jutlandii.

— Poważnie? Co u licha cię tu ściągnęło?

— Przecież mówię, że sprawdzam Nielsa Oxena.

— Ale z ciebie łajza. Wy wszyscy w Søborgu jesteście tacy sami. Nawet ci nie przyszło do głowy, żeby wpaść i nas odwiedzić, prawda? A staruszka pytała o ciebie parę tygodni temu.

— Wiem, przepraszam. Niedługo was odwiedzę.

— Koniecznie.

— Słowo harcerza. Powiedz mi jeszcze, komu bezpośrednio podlegał Oxen.

— Jørgenowi Middelbo.

— Gdzie go znajdę?

— Umarł. Na raka. W zeszłym roku, zdaje się.

— Niech to szlag! Dobra, muszę lecieć. Dzięki wielkie za pomoc!

Rozłączyła się. Max Bøjlesen... Ten człowiek siedział ze swoimi ludźmi, i Rytterem, i Mossmanem, podczas pierwszej rozmowy z Oxenem i udawał, jakby nigdy wcześniej nie słyszał o weteranie, którego wyciągnęli z lasu.

To niemożliwe. Bez względu na wszystko, każdy, kto był w Bellahøj, zapamiętałby, że miał do czynienia z uczniem o nietypowym nazwisku Oxen, odznaczonym za odwagę.

Max Bøjlesen, co za dupek. Komendant właśnie trafił na jej całkiem już długą listę zagadkowych postaci w ich śledztwie.

Rozdział 35.

No, no... uśmiechnął się do siebie, parkując pod szkołą w Ravnkilde, wiosce położonej na południe od Rold Skov. Choć gdy chodziło o anglofila Mossmana, być może bardziej na miejscu byłoby *well, well, well...*

Przekręcił kluczyk i zadał sobie trud ukrycia długich włosów pod czapką. Teraz był Mossmanem. Przez telefon przedstawił się jako sierżant Axel Mossman ze służby wywiadowczej policji. Miał nadzieję, że to przejdzie. W głosie woźnego nie usłyszał w każdym razie powątpiewania. Pomysł przyszedł mu do głowy pod prysznicem, kiedy zmywał z siebie błoto z fosy.

Woźny nazywał się Dan Troelsen. Był przewodniczącym związku łowieckiego z Arden i z tego też powodu parkował właśnie przed szkołą...

Zanim zdążył zamknąć drzwi, przy samochodzie już stał żylasty, chudy mężczyzna w drewniakach i niebieskim kombinezonie roboczym. Przywitali się i uścisnęli sobie dłonie. Gdyby woźny zażądał pokazania legitymacji, zamierzał użyć wizytówki, którą dostał od Mossmana i której wbrew poleceniu nie wyrzucił. Czubkiem noża zdrapał z niej napis „szef”. Efekt był mocno naciągany i gdyby Troelsen przyjrzał się jej nieco uważniej, błyskawicznie by go zdemaskował.

Okazało się jednak, że nie było to konieczne. Woźny nie należał do ludzi przesadnie podejrzliwych. Nie lubił też tracić czasu i od razu przeszedł do rzeczy:

— Chodziło o Corfitzena i jego las, prawda?

— Tak. Cieszę się, że udało mi się z panem skontaktować i że zgodził się pan poświęcić mi chwilę. Zatem jest pan woźnym w tej szkole?

— Pomocnikiem. Pracuję w niepełnym wymiarze godzin. Poza tym prowadzę gospodarstwo, ale z tych paru świń, które mamy, nie da się wyżyć w dzisiejszych czasach. A ziemię wydzierżawiłem. No, ale wracając do lasu...

— Jak panu pokrótce wspomniałem przez telefon, PET prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci Corfitzena. W związku z tym musimy zlokalizować wszystkie posiadłości należące do Nørlund. Tymczasem córka zmarłego dopiero co wróciła z Anglii i nie bardzo się w tym orientuje. Pomyślałem więc, że jeśli chodzi o las, to nie ma osoby lepiej poinformowanej niż przewodniczący miejscowego związku łowieckiego.

Pół woźny, pół rolnik skinął wolno głową.

— W tartaku na pewno by wam pomogli — podsunął.

— Człowiek, z którym tam rozmawiałem, w każdym razie niewiele wiedział — wytłumaczył się i rozłożył na masce swojego wozu dużą mapę, żeby Troelsenowi łatwiej było wskazać miejsce. Następnie wyjaśnił, o co dokładnie mu chodzi: — Widzi pan, słyszeliśmy, że gdzieś na ziemiach należących do Nørlund znajduje się chata myśliwska. Szczerze mówiąc, nie wiemy, czy jest stara, czy nowa, możliwe zresztą, że się mylimy, w każdym razie...

— Ależ nie, nie mylicie się — przerwał mu woźny spokojnym głosem.

— Ach tak — skinął głową i ucieszył się w myślach.

— To tu. — Troelsen zatrzymał żółty od nikotyny palec wskazujący na samej górze jednej z zielonych plam. — Chata stoi na północnym krańcu lasu Torstedlund. To oczywiście nie nasz teren, ale urodziłem się w tych okolicach. Las należy

do Nørlund.

— Tak, wydaje się, że to może być to. Czyli mówi pan, że chata jest stara?

Troelsen przytaknął.

— O tak, była tam, jak jeszcze byłem smarkaczem. Na terenach prywatnych jest więcej podobnych chat, niektóre wyglądają jak eleganckie rezydencje. Ta tutaj to stara chata z bali z czasów, kiedy w Nørlund urządzano duże polowania. Ma pan coś do pisania?

Podał życzliwemu woźnemu-rolnikowi swój długopis.

— O tu. Nie ma bata, żeby pan jej nie zauważył — zaśmiał się Troelsen dobrodusznie, stawiając mały krzyżyk na mapie po tym, jak raz jeszcze uważnie się jej przyjrzał.

— Ogromnie panu dziękuję. I to jest jedyna chata myśliwska należąca do Nørlund?

— No.

— Świetnie, raz jeszcze dziękuję.

Podali sobie ręce, po czym wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

Gdy wjechał na drogę wiodącą pomiędzy polami, wydał z siebie triumfalny okrzyk, aż cały samochód zadudnił. Udało się. Ponownie udało mu się jako tako uporządkować chaos w swojej głowie. Zadać właściwe pytania właściwym ludziom. *Zapanował* nad tym. Przy odrobinie cierpliwości potrafi być cholernie skuteczny.

Jutro rano pojedzie na północ Torstedlund Skov. Ruszy podjętym właśnie tropem. A niech mnie! Ryknął zwycięsko i mocno uderzył dłońmi w kierownicę. Z czystej, niepohamowanej radości. A potem się opanował, bo nie pamiętał już, kiedy ostatnio był tak podekscytowany.

Zjechał na najbliższą stację benzynową, wyłączył silnik i

rozsiadł się wygodnie w fotelu. Pełen niecierpliwego wyczekiwania otworzył kopertę od fotografa.

Za moment będzie mógł rzucić się na tajemnice Arvidsena. Świętej pamięci dupka Arvidsena, który sam jeden blokował wyjaśnianie zabójstwa. Powody miał nadzieję choć po części poznać w ciągu następnej godziny, kiedy spokojnie poczyta i obejrzy notatki ze skrytki, którą sukinsyn urządził sobie w piwnicy.

Zegarek mówił, że minęło nieco ponad godzinę, kiedy z powrotem włożył papiery do koperty, zmęczony potarł dłońmi twarz i zamarzył o lodowatej wodzie, która ostudziłaby mu głowę.

Tajne materiały Arvidsena niczego mu nie wyjaśniły. Ale — co było równie istotne — obudziły w nim mocne podejrzenie co do planu, jaki mógł realizować opryskliwy ogrodnik.

Z prawdziwym Axelem Mossmanem mógł się kontaktować między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Dziś był zmuszony to właśnie zrobić.

Rozdział 36.

Aluminiowa walizka stała między nimi. Podsunęła mu ją tak, jak zakochany kundel Tramp podsunął Lady ostatni klopsik, ale on się nie poruszył.

— Nie przeliczysz? — zapytała Margrethe Franck.

Zapukała do drzwi jego pokoju o siódmej wieczorem i chciała wiedzieć, czy nie ma ochoty na wieczorną odprawę. Odparł, że nie ma takiej potrzeby. Na pożegnanie rzuciła mu więc tylko, że jeśli chce swoje zasrane pieniądze, to niech przyjdzie po nie o ósmej. W przeciwnym razie może o nich zapomnieć. Dlatego siedział teraz u niej, na swoim stałym miejscu, na taborecie pod ścianą.

— Miałbym przeliczać? — Pokręcił głową zamyślony

— Nagle stałeś się ufny?

Była naprawdę wściekła. On z kolei miał pełną świadomość, że wcześniej tego dnia kompletnie ją olał, kiedy ociekający wodą i uwalany błotem wpadł do hotelu. Ale w tamtej sytuacji nie mógł postąpić inaczej.

— Przeliczę później — powiedział wreszcie.

— Ale pokwituj teraz.

Wręczyła mu nieoficjalny dokument. Były na nim jedynie data, miejsce i kwota. Dopisał na nim swoje nazwisko.

— To chyba wszystko... — Skierował na nią pytające spojrzenie.

Pochyliła się ku niemu i spojrzała mu głęboko w oczy. Pod znoszonymi dżinsami miała założoną protezę, co w jakiś sposób nadawało jej postawie charakter bardziej formalny i

zdystansowany niż przez ostatnich kilka dni, kiedy miał możliwość ją poznać.

— Powiedz mi, Oxen, czy ty mnie masz za kompletną idiotkę? — W jej niebieskich oczach błyskały pioruny.

— O co ci chodzi?

— Wracasz do hotelu w pośpiechu, mokry jak szczur i cały w błocie, i nie chce ci się nawet zadać na tyle trudu, by przystanąć na sekundę i powiedzieć, co się stało.

— Wybacz, ale...

— A potem Grube mi mówi, że wyłowili Arvidsena z fosy w Nørlund. Nawet Lara Croft bez nogi dałaby radę rozkminić, że dwa i dwa to cztery, nie sądzisz? Woda, błoto, fosa.... Czy ty aby odrobinę nie przeginasz, Nielsie Oxenie?

— Arvidsen nie żyje?

— Idioto! Jeżeli nie zaczniesz mówić wszystkiego, co wiesz, sam zginiesz, masz to jak w banku!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Dokładnie to, co powiedziałam. Ci, z którymi pogrywasz, to duzi chłopcy.

— Ja nigdy nie pogrywam.

— Co chciałeś wycisnąć z Arvidsena za pomocą asa ukrytego w rękawie i noża wbitego w jego udo, co? No, mów!

— Nóż? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Zrugał się w myślach, ale nie mógł powiedzieć nic innego. Ostatecznie Margrethe Franck pracowała przecież dla Mossmana.

Nie ruszyła się z miejsca i wciąż wbijała w niego wzrok, ale kręciła teraz głową z rezygnacją. Akurat gdy zamierzała coś powiedzieć, zadzwonił jej telefon.

Wyprostowała się na swoim krześle i wyglądała, jakby uważnie słuchała, powtarzając jedynie w kółko „si, si”. Potem odwróciła się do biurka, wzięła długopis i blok, a jemu dała znak, żeby poczekał.

— *Vamos...* — I zaczęła notować, zadając jednocześnie całą masę pytań — tak przynajmniej zakładał. Nie rozumiał hiszpańskiego. W ich aktualnej sytuacji ten telefon musiał mieć jakiś związek z zapytaniem, które wysłali do Interpolu.

Franck pisała w nieskończoność. Rozmowa trwała jakiś kwadrans. Potem odłożyła słuchawkę i ogromnie podekscytowana uniosła obie pięści w górę w geście zwycięstwa.

— Yes! — powiedziała głośno. — Widzisz, to jest właśnie jedna z wielu różnic między nami. Otóż ja się dzielę informacjami. Robię to, co do mnie należy — dzielę się. Dzwonili z Hiszpanii. Niejaki inspektor Ruben Montoya Negrete z *Policia Nacional* z Malagi.

— Ach tak. A ty znasz hiszpański.

— Oraz angielski, niemiecki i francuski. Na poziomie zaawansowanym. To się nazywa mieć kompetencje. Trzeba mieć wysokie kompetencje, kiedy się jest kuternogą.

— Ej, no, przepraszam...

— Przepraszam za co? — Spojrzała na niego, zdziwiona, znad okularów.

— Za tę Larę Croft, no. Przepraszam!

— Hm. Nie mamy na to czasu. Hiszpan ma nowe informacje. O tych powieszonych psach. Otóż znalazł powieszzonego psa i martwego człowieka.

— To może faktycznie coś w tym jest — wtrącił — w naszym modus operandi.

— W dodatku nie jakiegoś tam martwego człowieka.

Kurde, mają martwego Duńczyka.

Teraz naprawdę zrobiło się ciekawie.

— Poczekaj chwilę, muszę coś sprawdzić — powiedziała i jej palce roztańczyły się na klawiaturze.

— Yes! Wszystko się zgadza.

— Co się zgadza?

Margrethe Franck cofnęła się o kilka kartek w swoich hiszpańskich notatkach i pozbierała informacje w jeden trop.

— Czekaj, zacznijmy od początku. Według inspektora Montoyi Negrete pod koniec lutego duński dyrektor Hannibal Frederiksen, jadąc swoim samochodem, zjechał z górskiej drogi i wpadł w przepaść. Zginął na miejscu. Z pozoru nie ma w tym niczego dziwnego. Takie wypadki się zdarzają. Ale... później na komisariat w Maladze zadzwoniła żona Frederiksen, Henriette. Jej mąż pisał dziennik, do którego nigdy wcześniej nie zaglądała. Zmarły napisał w nim — cytuję tu w wolnym tłumaczeniu mniej więcej to, co przeczytał mi na głos inspektor: „Przeżyłem wstrząs, kiedy dziś rano znalazłem naszego ukochanego psa Señora wiszącego na kawałku sznura w migdałowym zagajniku. Już wczoraj wieczorem przeczuwałem, że stało się coś złego. Szukałem go, ale bez powodzenia. Gdy się położyłem, nie mogłem zmrużyć oka. Nie powinienem był tego lekceważyć. Zignorowałem ich, a oni mówili poważnie. Śmiertelnie poważnie. Boję się, co przyniosą kolejne dni. Uzgodniłem już z »X«, że przyśle samolotem wsparcie. Nie mam odwagi powiedzieć Henriette, co się stało z Señorem. Oszaleje z rozpaczy. Będę musiał jej powiedzieć, że uciekł. Zakopałem go nad jeziorem”.

Margrethe Franck odłożyła blok i spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Gdy czytała, cały czas w skupieniu kiwał głową. Nie miał żadnych wątpliwości: — To jakiś rodzaj reakcji łańcuchowej, którą uruchomiono w Hiszpanii.

Powiedz, co znalazłaś w komputerze.

Margrethe Franck uśmiechnęła się i odwróciła w stronę monitora.

— Mam wszystkie dokumenty z sekretariatu Consilium w formie elektronicznej. Voilà! Dyrektor Hannibal Frederiksen dwukrotnie figuruje w nich jako ekspert powołanej ad hoc komisji. Po raz pierwszy znalazł się w grupie roboczej związanej do przejrzenia „sytuacji podatkowej przedsiębiorstwa” i kolejny raz, trzy lata temu, jako członek podobnej grupy zajmującej się tematem „budownictwo — sposób na wyjście z kryzysu”. Nie jest członkiem podstawowego forum Consilium i nie pełni żadnej innej funkcji w organizacji, ale uczestniczył w wielu wykładach i imprezach. Ostatnio był na wykładzie byłego dyrektora amerykańskiego banku centralnego Alana Greenspana. To było trzy lata temu.

— Wszystkie drogi prowadzą do Consilium — mruknął.

— Na to wygląda.

— W kolejności chronologicznej: Hannibal Frederiksen, Mogens Bergsøe i sam założyciel, Hans-Otto Corfitzen.... trzy powieszony psy, trzech martwi ludzie.

— Cztery. Zapomniałeś o swoim.

— Ale ja żyję.

— Póki co. Bo chyba ktoś całkiem niedawno na ciebie polował, prawda?

Zrezygnowany pokręcił głową. Albo strzelała w ciemno, albo miała niepokojąco dużo informacji.

— Przyjrzyjmy się bliżej Hannibalowi. Wygugluję go — zaproponowała Franck.

— To nie powinno być trudne. Ile może być osób z takim imieniem?

— Prócz naszego jest jeszcze ten od słoni — mruknęła bardziej do siebie.

Dyskretnie przyjrzał się jej twarzy. Oba policzki miała wciąż lekko zarumienione. Ale najwyraźniej zapomniała już, że się gniewa.

— Okej, oto i on — oświadczyła. — Ma CV rozmiarów książki telefonicznej.

— W życiu o nim nie słyszałem — przyznał.

— Ani ja. Zobaczmy... Był właścicielem szeregu spółek budowlanych, trzech tutaj i jednej w Hiszpanii, Frederiksen Construcciones. Piszą też, że jest *deweloperem* kompleksów turystycznych o mocnej pozycji na hiszpańskim rynku nieruchomości. Jedna z duńskich gazet nazywa go nawet „cichym matadorem budownictwa”.

— Ile miał lat?

— Sześćdziesiąt dwa. Na przestrzeni lat zasiadał w zarządach najróżniejszych spółek. Ale jaja! Był nawet zarówno członkiem zarządu, jak i rady wykonawczej Duńskiego Stowarzyszenia Pracodawców. Dziesięć lat temu.

— Sprawdź kontakty, powiązania, wpływy... Chcę wiedzieć, kim jest „X” z dziennika.

— Też chętnie się dowiem — westchnęła.

— Mieszkał w Hiszpanii na stałe?

— Inspektor twierdzi, że tak. Od wielu lat.

— I co z tym zrobimy?

— Wyślemy oczywiście kogoś tam, na miejsce, żeby porozmawiał z wdową. Powiedz, dlaczego wtedy rzuciłeś szkołę policyjną?

Gwałtowna zmiana tematu zaskoczyła go niczym ukąszenie grzechotnika i niczym jad chwilowo obezwładniła.

Zwlekał z odpowiedzią o sekundę za długo. A już tak dobrze im szło. Rozmowa płynęła tak gładko. Odpowiedział, nie myśląc nawet o tym, że odpowiada.

— Brakowało mi wojska — usłyszał własny głos.

— To możliwe?

— Najwyraźniej.

— Jak to?

— Kiedy człowiek był tam wystarczająco długo, razem z innymi był w potrzasku, razem zwyciężał... Człowiek zaczyna się czuć z tym związany, trochę jak z rodziną. I kiedy nagle tego nie ma, zaczyna się tęsknić.

Franck patrzyła na niego, jakby czekała na więcej. Ale on nic już nie powiedział.

— Byłeś dobrym policjantem? — zapytała zamiast tego.

— Spytaj kogoś innego.

— Ale podobało ci się?

— Było w porządku, ale po prostu chciałem wrócić do tamtego. A kiedy w dodatku przyjęli mnie do komandosów, nie wahałem się ani chwili.

Margrethe Franck zamyśliła się, przygryzając długopis. Po chwili oświadczyła, unosząc brwi: — Moim zdaniem to niepojęte, że cię nie pamięta.

— Kto?

— Max Bøjlesen... Nie pisnął ani słowa o tym, że cię zna. Trzeba przyznać, że to akurat jest bardzo dziwne.

— Zna jak zna. Można powiedzieć, że się nie znamy. On kierował szkołą. A ja wmaszerowałem do jego gabinetu jakby nigdy nic i powiedziałem, że chcę odejść.

— Na jego podwórku zjawia się młokos z dwoma

medalami za odwagę, a on go nie pamięta? No błagam.

— Okej, Franck, w takim razie czemu sama go nie zapytasz?

— Taki mam zamiar. Nie zapomnij swoich pieniędzy. Nimi pewnie też nie zechcesz się *podzielić*.

Nie skomentował ostatniej uszczypliwości, ale po prostu wstał i wziął walizkę. Ich spotkanie zakończyło się więc równie niezręcznie, jak się zaczęło.

— Ejże! O czymś zapomniałeś.

Zatrzymał się z ręką na klamce. Margrethe Franck otworzyła górną szufladę biurka.

— Łap!

Po linii spłaszczonego, łagodnego łuku rzuciła w jego stronę jakiś przedmiot. Złapał go — to był jego nóż. Musiał utkwić w udzie Arvidsena.

— Pomyślałam, że pewnie chciałbyś go odzyskać. I zamknij, proszę, za sobą drzwi. Dzięki.

Rozdział 37.

Okno komunikacyjne do szefa służby wywiadu Axela Mossmana było otwarte już od trzydziestu minut, więc najwyższy czas zadzwonić. Było wpół do jedenastej. Nie chciał dzwonić wcześniej, żeby Mossman nie pomyślał, że wpadł w panikę. W tym czasie raz jeszcze przejrzał dokumenty z piwnicy Arvidsena. W końcu wziął telefon i wstukał numer z wizytówki.

— Słucham.

Głos był głęboki i łagodny.

— Łowca — powiedział zgodnie z ustaloną procedurą.

— Dobry wieczór. W czym ci mogę pomóc?

— Ogrodnik Corfitzena, Arvidsen, nie żyje. Zabił go snajper.

— Słyszałem.

— Ja też tam byłem, kiedy to się stało.

— Nie sądzę, abyś tam był. — Niski głos był zupełnie spokojny.

— Siedziałem za nim na traktorze, kiedy...

— Jak powiedziałem: nie wydaje mi się. Albo raczej: nie było cię tam. Po prostu. Dostałeś z powrotem swój nóż?

— Tak...

— Więc sam widzisz. Nie było cię tam. Masz coś jeszcze do zaraportowania?

Zaniemówił. Czuł się, jakby wszystkie pytania, które kołatały mu się w głowie, znikły na pstryknięcie palcami.

Zadzwoił właśnie po to, żeby omówić z Mossmanem całą sytuację, a teraz ten mu mówi, że sytuacja w ogóle nie miała miejsca. Że nie było go tam, gdzie był.

— Nie, na razie nie.

— Zdążyłeś z nim porozmawiać, zanim...?

— Nie.

— Nic a nic? — dociekał Mossman.

— Nie.

Mossman mimo wszystko musiał się upewnić, że Arvidsen się nie wygadał, kiedy w udzie tkwił mu nóż.

Przez ułamek sekundy kusiło go, żeby wykorzystać efekt szoku i prosto z mostu zapytać szefa PET, po co Arvidsenowi była jego wizytówka z tajnym numerem telefonu. Czy Arvidsen dla niego pracował albo czy Mossman w rzeczywistości był w jakiś sposób zamieszany w zabójstwa i próbował kontrolować dochodzenie? I czy dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron nie było dla niego mimo wszystko całkiem przystępną ceną, za którą zamierzał skonstruować solidny akt oskarżenia z niestabilnym psychicznie wojakiem i odludkiem o niepodważalnych motywach w roli sprawcy?

Ostatecznie się powstrzymał. Tu nie chodziło o to, aby podejść Mossmana. Ani żeby go przygwoździć. Zresztą Mossman pewnie i tak nie dałby się sprowokować w takiej konfrontacji.

— Aktualnie sprawdzam... różne powiązania. Dam znać, kiedy tylko będę coś miał — powiedział zamiast tego.

— *Well*, zatem do usłyszenia.

Rozłączył się pełen uznania dla pracy PET. Zarówno za jego plecami, jak i tuż przed jego nosem pociągano za niewidzialne sznurki. A Axel Mossman nadal sunął korytarzami swojego królestwa i pilnował, by wszystko szło

po jego myśli.

Spojrzał na leżący na stoliku nocnym nóż. Dobrze, że go odzyskał. Z całą pewnością był w stanie jedynie stwierdzić, że ktoś widział, co się stało, i to z całkiem bliska. W przeciwnym razie jego noża by tu nie było. Czyli ktoś go śledził również w drodze do fotografa i do szkoły w Ravnkilde? To ostatnie nie miało większego znaczenia, bo z drogi nikt nie mógł widzieć jego krótkiego spotkania z woźnym. Oczywiście był obserwowany także wtedy, kiedy się włamał do piwnicy Arvidsena. Pytanie brzmi: ile wie PET?

To naprawdę dziwne. Bo przecież cały czas miał się na baczności i stale sprawdzał, czy nikt za nim nie jedzie. Istniało tylko jedno możliwe rozwiązanie. Był zły na siebie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Może dlatego, że jest niezbyt byстрыm weteranem wojennym, który nigdy wcześniej nie bawił się z „dużymi chłopcami”.

Rano będzie musiał znaleźć nadajnik GPS, który Mossman, Rytter, Franck i reszta zainstalowali w jego wynajętym suzuki. Bo zdecydowanie nie ma ochoty, aby ktokolwiek mu towarzyszył w wycieczce do starej chaty myśliwskiej w Nørlund.

Usadowił się wygodnie i znowu wziął do ręki plik materiałów z piwnicy Arvidsena. Wyglądało na to, że Arvidsen zrobił całą masę pomiarów zarówno w piwnicy, jak i na parterze i pierwszym piętrze. Liczne kreski i wykresy wskazywały, że jego projekt był zaawansowany, lecz daleki od zakończenia.

Udało mu się wywnioskować, że Arvidsen szukał jakiegoś pomiaru, który nie był zgodny z rzeczywistością. Taka różnica oznaczałaby ukryte pomieszczenie. Nie byłby to pierwszy w historii przypadek, gdy stary dwór albo zamek skrywa jakąś tajemnicę. Tylko dlaczego Arvidsenowi tak bardzo zależało, by ją odkryć?

Sama lista natychmiast stała się bardziej zrozumiała. Tak jak przypuszczała, musiała to być lista odwiedzin. Pierwszego wpisu Arvidsen dokonał trzy tygodnie po tym, jak zaczął pracować na zamku, przed pięcioma laty.

W kolumnach wpisane były data, godzina przybycia, godzina odjazdu i wreszcie ostatnia kolumna zatytułowana po prostu „obiekt”. Widniały w niej wyłącznie przypisane osobom kombinacje liter. I tak w pierwszym wierszu wpisano P.J., w następnym S.H.M., w kolejnym A.A. i tak dalej, do samego końca, same akronimy z dwóch albo trzech liter.

Jeśli nie istnieje gdzieś jakiś klucz, nie ma szans na rozszyfrowanie listy Arvidsena. A.A. może oznaczać na przykład dawnego premiera Asbjørna Andersena, ale również znanego aktora Andersa Åberga. Zgadywanie byłoby stratą czasu.

Gdy cała machina PET rzuciła się obecnie na nowy, hiszpański trop w postaci zmarłego Hannibala Frederiksena, jemu tymczasem pozostał tylko jeden ślad do zbadania. Za to bardzo konkretny: podłoga w chacie myśliwskiej.

Dokument w załączniku był zatytułowany po prostu „Weteran N. Oxen”. Jego pojawienie się w skrzynce mailowej ogłosił brzęczący sygnał, kiedy siedziała w łóżku otulona kołdrą i z laptopem na kolanach.

Maila wysłał Asger Hansen. Czyli udało mu się wejść do bazy danych Elli Munk i przeszukać elektroniczne kartoteki jej klientów. Przed sekundą ziewnęła i postanowiła iść spać. Teraz znów była w pełni gotowości.

Otworzyła dokument i przeglądała go z wypiekami na twarzy, czytając pojedyncze fragmenty. W końcu opanowała się i zaczęła czytać od początku.

Niels Oxen był na sesji terapii kognitywnej u Elli Munk pięciokrotnie. Wszystkie pięć spotkań opisano w porządku chronologicznym, według szablonu kartoteki klienta.

Diagnoza, jaką postawiła Ella Munk, brzmiała: PTSD, *posttraumatic stress disorder*. Uzasadnienie i rozwinięcie diagnozy zajmowało ponad stronę. Pourazowe symptomy były u Nielsa Oxena wyjątkowo wyraziste i „zdecydowanie bardziej rozległe — oraz pogłębiające się z upływem czasu — niż w klasycznym przypadku PTSD”.

„Jednocześnie odnoszę wrażenie, że patologie obserwowane u N.O. są znacznie łagodniejsze, niż można by się spodziewać po wstrząsie, jakiego doznał”.

Był to jeden z wniosków postawionych przez psycholożkę. Jako możliwe uzasadnienie wskazała na dawną przynależność Nielsa Oxena do Korpusu Łowców, która wymagała posiadania przez niego określonych cech charakteru.

Kartoteka liczyła ponad dwadzieścia pięć stron i opisywała historię nieudanej terapii, w której Oxen najwyraźniej nie był skłonny do współpracy z terapeutką, choć sam się do niej zgłosił po tym, jak zarekomendowali mu ją psychologowie z Wojskowej Poradni Psychologicznej.

Munk odnotowała również pewną anomalię — otóż normalnie, aby można było zdiagnozować u klienta PTSD, symptomy powinny wystąpić mniej więcej po sześciu miesiącach od doświadczenia, które wywołało syndrom. Tymczasem w przypadku Oxena należało mówić raczej o skumulowanym, wieloletnim oddziaływaniu przeżytych traum, które ostatecznie doprowadziły do zachwiania równowagi psychicznej klienta. Stopniowo, lecz skutecznie.

Dopiero po trzecim spotkaniu Ella Munk mogła dokonać pewnych konkretnych obserwacji. Doszła do wniosku, że niektóre z traum pochodzą jeszcze z czasów wojny bałkańskiej.

„N.O. z własnej inicjatywy opisuje jedno konkretne zdarzenie, które miało miejsce podczas jego pierwszej

międzynarodowej misji na Bałkanach, w 1993 roku: zdarzenie dotyczyło dręczenia i rozstrzelania przez serbskie bojówki grupy niepełnosprawnych w sali gimnastycznej. Z całego zdarzenia N.O. wymienia tylko jeden szczegół: trzymał w ramionach młodego mężczyznę, swojego rówieśnika, gdy ten umierał”.

Psycholożka dodała własny komentarz: „Postęp jest bardzo wolny, jestem bowiem całkowicie pewna, że N.O. nie jest jeszcze gotów na skonfrontowanie się z własnymi traumami na tak wczesnym etapie. Nie dopytuję o dalsze szczegóły”.

Niels Oxen mówił też najwyraźniej sporo o wielkiej stracie, jaką była dla niego śmierć towarzysza broni, Bo „Bossego” Hansena, i swojej walce o powołanie komisji specjalnej do zbadania okoliczności jego śmierci.

Ella Munk cytuje Oxena: „Praktycznie nie ma dnia, bym nie pomyślał o Bossem”.

Czwarta sesja przyniosła znacznie więcej konkretnych obserwacji. Psycholożka zanotowała:

„Coraz wyraźniej widać, że obecna kondycja psychiczna N.O. jest wynikiem łącznego oddziaływania siedmiu epizodów z okresu służby wojskowej (co jest liczbą nadzwyczaj dużą, stąd wyjątkowość tego przypadku). N.O. wielokrotnie wspominał dziś o liczbie siedem i używał wspólnego dla wszystkich zdarzeń określenia »Siódemka«”.

Wyglądało na to, że psycholożka kolejny raz celowo nie zadawała dalszych pytań, ale najwyraźniej chodziło o siedem powracających i wyjątkowo brutalnych koszmarów. Czasem połączonych z flashbackami w najróżniejszych porach dnia i nocy. A czasem z przebłyskami wspomnień niemających żadnego związku z siedmioma koszmarami.

„Z dzisiejszej sesji wynika, że zdarzenie z zadrażnioną grupą niepełnosprawnych jest jednym z Siódemki.

N.O. z własnej inicjatywy wspomina o kolejnym: »Krowiarzu«, tak nazywa tę scenę. Zadaje konkretne pytania odnośnie do tego epizodu, ale N.O. wyłącza się nagle z rozmowy i traci ochotę na wyjaśnienia. Nie nalegam”.

Z dalszej lektury dowiedziała się, że jakieś trzy lata temu Niels Oxen uznał, że potrzebuje pomocy w „uporządkowaniu swojej sytuacji”. Lecz według Elli Munk nie potrafił uświadomić sobie zakresu ani powagi swojego problemu. Wierzył niezłomie, że na dalszym etapie będzie mógł sam przerobić swoje problemy i ostatecznie samodzielnie je rozwiązać.

W połowie piątej sesji Oxen wstał i wyszedł, a potem zostawił Elli Munk wiadomość, którą ta musiała spisać z nagrania. Wiadomość brzmiała:

„Gównie rozumiesz. W kółko powtarzasz swoje brednie o rodzinie. A to nie ma z nią nic wspólnego. Tu chodzi o wojnę. Nigdy nie byłeś na wojnie, nigdy nie byłeś tam, gdzie toczy się walka na śmierć i życie. Tam wszystko nieustannie balansuje na krawędzi przepaści, życie... Samo życie. Jeden mały krok, jedna zła decyzja i żegnaj. Ale tobie się to nie mieści w głowie. Jesteś do niczego. Nie znasz mojego świata”.

Pożegnalna tyrada była punktem kulminacyjnym w relacjach opisywanych przez psycholożkę jako coraz bardziej napięte. Eskalacja rozpoczęła się podczas trzeciej sesji, kiedy Ella Munk ostrożnie podjęła wątek obecnego życia Nielsa Oxena i jego sytuacji rodzinnej. Oxen z całą stanowczością odmówił omawiania tego tematu.

Kartotekę kończyła następująca uwaga:

„Po raz pierwszy spotkałam się z tak gwałtownym przerwaniem terapii. Mam o to żal do siebie i nie przestaję zadawać sobie pytania, co zrobiłam źle — jeśli w ogóle”.

Rozdział 38.

Suzuki zostawił na leśnej drodze, w połowie zbocza, żeby móc w razie czego wczłgać się pod samochód.

Mały czarny nadajnik GPS zlokalizował niemal od razu. Urządzenie bez ustanku wysyłało sygnał informujący jego „przyjaciół”, gdzie dokładnie się znajduje. Nadajnik był przymocowany plastikowym zaciskiem do tylnej ramy obudowy. Odciął go i pojechał do sklepu SuperBest w Skørping, otwieranego akurat w momencie, kiedy wjechał na parking.

Uśmiechnął się do siebie, ale pohamował szyderczy śmiech. Jechał teraz na południe przez las, w kierunku rozległego Torstedlund Skov położonego na północ od Nørlund Skov.

Uśmiech na jego twarzy brał się ze świadomości, że jego ogon śledził właśnie młodą matkę z dwójką małych dzieci w srebrnym peugeocie kombi jadącą Bóg wie dokąd. W niezamkniętym na klucz bagażniku wiozła nadajnik GPS.

Duzi chłopcy nigdy nie znajdą ani jego, ani celu jego dzisiejszej wyprawy, starej chaty łowieckiej Corfitzena. Po drodze mógł więc zboczyć kawałek z kursu i ukryć w bezpiecznym miejscu coś bardzo cennego.

Materiały z piwnicy Arvidsena również były bezpieczne. Jeśli Franck albo ktoś z pozostałych przeszukają jego pokój, niczego w nim nie znajdą. Wszystko jest ukryte pod płytą sufitową w piwnicy hotelu. Mimo to, dla bezpieczeństwa, musi się dowiedzieć, na ile dokładnie go śledzili.

Najpierw zadzwonił do woźnego i przewodniczącego koła

łowieckiego Troelsena. Ten go uspokoił, zapewniając, że nikt się z nim nie kontaktował, by o cokolwiek pytać. Za to od fotografa w Aalborgu dowiedział się, że po tym, jak odebrał odbitki, do zakładu przyszedł mężczyzna pracujący dla PET i się wylegitymował. Fotograf zapewnił, że wszystkie pliki są kasowane natychmiast po realizacji zlecenia. Przyznał jednak, że czuł się zobowiązany poinformować mężczyznę, że zlecenie dotyczyło szkiców zamku Nørlund Slot i jakiejś listy.

Ostatecznie nic wielkiego się nie stało. Jego tajemnice nadal były tylko jego.

Stały wiosenny wyż najwyraźniej uznał, że wystarczy tego dobrego, i ustąpił pola szarym chmurom, z których przez ostatnią godzinę kapało. Dochodziło południe i niebieskie śluzy otwarły się na dobre. W strugach deszczu odbił z asfaltowej drogi prowadzącej z tartaku w stronę Torstedlund i jechał teraz po śladach kół biegnących w głąb lasu.

Według mapy powinien jechać na północ, aż do miejsca, gdzie spotykały się cztery zaznaczone na mapie drogi robocze. Stamtąd droga biegnąca w lewo miała go zaprowadzić do skrzyżowania w kształcie litery Y, gdzie miał skręcić w prawo. I potem, prędzej czy później, natknie się na chatę.

Pierwszy odcinek leśnej drogi biegł przez stosunkowo otwarty teren, na którym przeważały wierzby, lecz stopniowo las wokół niego gęstniał.

Nie po raz pierwszy czuł się jak Czerwony Kapturek. I mimo wszystko wolał teraz jechać w głąb lasu, do odludnej chatki, obserwowany przez wilka albo nawet dwa wilki, niż gdyby miał się znaleźć na kamienistej ścieżce w prowincji Helmand, a za każdym wyłomem skalnym miał się cziąć uzbrojony talib.

Kiedy dotarł do miejsca, w którym ścieżki łączyły się na klepisku z rozjeżdżonego czarnego błota, przekręcił kluczyk i

wysiadł z samochodu. Musiał uważnie przyjrzeć się śladom kół zostawionym przez ciężki sprzęt. Było ich więcej, niż powinno być według jego mapy.

Wokół panowała cisza, absolutna cisza. Wielkie, ciężkie krople deszczu spadały na korę, igły, liście, mech i ziemię, których zapachy mieszały się, tworząc najpiękniejszą kompozycję na świecie. Zapach mokrego duńskiego lasu.

Zaprzagnął odwrócić się na pięcie i pojechać gdzieś daleko, by znaleźć sobie nowe schronienie w jakimś nowym lesie.

Tę myśl przegnało buczenie silnika, kiedy wrócił za kierownicę i go uruchomił. Musiał dokończyć to, co zaczął. A jeśli się nie uda — i wilki go rozszarpią — to i tak nikt nie będzie za nim tęsknił.

Okazało się, że wybrał właściwą drogę. Po chwili las na nowo się otworzył i droga zaprowadziła go na dużą polanę. Tam, wciskając się tyłem w wysokie zarośla, stała licząca wiele pokoleń chata łowiecka. Podjechał bliżej przez wybujałą trawę, aż pod wysoką, zadaszoną werandę, i wysiadł. Dawniej musiała to być całkiem okazała leśna rezydencja.

Zbudowana była z pomalowanych na czarno bali, okna miały białe szprosy. Od lat jednak nikt niczego tu nie odświeżał i wkrótce farba z ram okiennych całkiem odpadnie. Dach, obłożony trocinami, obrosłymi przez lata wielkimi płatami mchu, był przykładem solidnego rzemiosła. Komin sterczał jak kolumna z ułożonych jeden na drugim kamieni obrysowanych brudnymi fugami cementu. Rynny były obrośnięte wszystkim, od pnączy aż po małą brzoźkę.

Za chatą, która podupadała z ogromnym wdziękiem i klasą, stały mała przybudówka i wychodek.

Wszedł po stopniach na werandę i przez okno zajrzał do środka. W pomieszczeniu stał długi stół otoczony mnóstwem

krzesel. Nie trzeba było szczególnie bujnej wyobraźni, by się domyślić, jak musiało wyglądać to miejsce w czasach świetności, kiedy ściany dudniły od gwaru rozmów o łowach, łyżki i widelce dzwoniły o dna talerzy i co chwila stukano się pierśiówkami, aż dźwięk rogu zagłuszał ujadanie psów i całe wykwintne towarzystwo arystokratów i zamożnych mieszczan wylegało przed dom, by ruszyć na polowanie.

Teraz panowała tu taka cisza, że słychać było, jak rośnie trawa.

Wyjął łom pożyczony z narzędziowni w piwnicy hotelu i obszedł dom dookoła, by sprawdzić, jak najłatwiej dostać się do środka.

Ostatecznie zbił szybkę w oknie z tyłu domu i szarpiąc po omacku zasuwkę, otworzył okno. Wsunął się do środka. Pomieszczenie musiało być kiedyś kuchnią. W środku panował zaduch, nie wietrzono tu od lat.

Przez chwilę stał tam, gdzie postawił stopy. Podłoga... tylko na niej zamierzał się skupić. Choćby musiał oderwać wszystkie deski co do jednej, odkryje tajemnicę Arvidsena. O ile oczywiście podłoga, na której stoi, jest tą właściwą.

Wszystko pokrywała licząca dziesiątki lat warstwa brudu i kurzu i każdy, kto by tu wszedł w ostatnim czasie, musiałby zostawić ślady. Ich właśnie wypatrywał w tej chwili, ale kuchnia wydawała się nietknięta. Ostrożnie wszedł do dużego pokoju ze stołem, z krzesłami i dwoma przezartymi przez mole fotelami ustawionymi przed otwartym kominkiem.

W pomieszczeniu znalazł odciski dużych, ciężkich butów — i było ich sporo. Na środku, wzdłuż jednej ściany, znajdowały się schody prowadzące na górę. Wszedł po nich. Konstrukcję chaty nazywano kiedyś półtorapiętrową, bo miała niską nadbudówkę. Były w niej dwa puste pokoje, po obu stronach schodów. Nawet stojąc na samym środku, nie

mógł się wyprostować. Szybko sprawdził podłogę w obu pomieszczeniach. Nie było na nich żadnych odcisków butów. Wrócił na dół.

Na deskach podłogi w dużym pokoju nie było widać żadnych śladów. Każde szarpnięcie albo ostrożne podważenie ciężkiej deski musiałyby zostawić jakieś znaki.

Przemierzył pokój tam i z powrotem, bacznie przyglądając się podłodze. Była jednolita, bez jakichkolwiek śladów. Zdziwiło go jednak, że odciski butów znajdowały się również pod stołem. Zupełnie, jakby ktoś — być może Arvidsen — siedział przy nim i w skupieniu wsłuchiwał się w brzęk kielichów z dawnych czasów. Co było mało prawdopodobne.

Stół mógł mieć jakieś sześć metrów długości i, jak wszystko tutaj, był z litego drewna. Z najwyższym trudem udało mu się go przesunąć. Stał mocno na trzech koziółkach o szerokości równej rozmiarowi stołu. Pod jednym z nich, znajdującym się najbliższej odcisków buta, znalazł to, czego szukał.

Nogi koziółka zostały przybite gwoździami do deski, na której stały. Świadczyły o tym świeże odpryski i wgniecenia. Wszedł pod stół i wcisnął łom w wąską przestrzeń pomiędzy końcami desek podłogowych. Dłuższą chwilę szarpał się z pierwszą z nich, a gdy wreszcie ją oderwał, bez trudu zdjął pięć następnych.

W pierwszej chwili poczuł ukłucie zawodu, bo w czarnej dziurze w podłodze niczego nie zobaczył. Lecz kiedy położył się na brzuchu i wsunął pod podłogę rękę, jego palce szybko trafiły na foliowy worek i torbę z nylonu. Przysunął oba znaleziska bliżej otworu, który wyrwał, uklęknął i je wyjął.

W worku znajdowało się coś płaskiego, przypominającego odtwarzacz DVD, ale na obudowie było napisane „X-Treme Surveillance Center, HDD-3 TB”. Trzy terabajty musiały oznaczać twardy dysk systemu monitoringu na zamku

Nørlund. Otworzył suwak torby. W środku znalazł laptopa z naklejką „P. Arvidsen” na klapie. Przeszukał jeszcze kieszonki wewnątrz torby, ale były tam jedynie kable i pendrive, którego...

— Zostań tam, gdzie jesteś! Nie ruszaj się!

Ostry rozkaz zadudnił mu w głowie. Klęczał na czworakach pod stołem i nic nie widział. Był wściekły na samego siebie. Poczł się zbyt pewnie. W tej chwili nie miał innego wyjścia, jak tylko posłuchać rozkazu.

— Mam broń i celuję w ciebie. Wyjdiesz teraz bardzo powoli tyłem. Trzymaj głowę spuszczoną, nie oglądaj się za siebie. I dobrze ci radzę, żebyś nie próbował zgrywać bohatera. Bo jeśli to zrobisz, odstrzelę ci łeb, kolego. Zrozumiałeś, co powiedziałem?

— Tak — odparł.

— To dobrze. Zatem wyłaź, kudłaty menelu. Powoli!

Gdy zaczął się wycofywać spod stołu, szybko przesunął prawą dłoń po ustach. Był to impuls, który być może okaże się nic niewart.

— Stój! — Rozkaz padł dopiero, kiedy wciąż na czworakach znajdował się już na środku pokoju. — A teraz wstań. Powoli!

Z wszystkich sił starał się nie zdenerwować palca zagiętego na spuście.

— Teraz możesz się odwrócić. Ale spokojnie!

Klęczał i właśnie miał się podnieść, odwracając się jednocześnie bardzo wolno, by spojrzeć na stojącego z tyłu mężczyznę.

Lecz jedyne, co zdołał odnotować, to rękaw obleczony jasnym materiałem i dłoń w czarnej rękawiczce zbliżająca się z dużą prędkością do jego twarzy. Sam cios zadany w skroń

kolbę pistoletu był jedynie świetlistym wybuchem, który przesłonił mu wzrok.

Rozdział 39.

Naczelnik Max Bøjlesen nie próbował nawet ukryć niezadowolenia, kiedy zaprosił ją, by usiadła przy stole konferencyjnym w jego biurze chwilę po tym, jak sekretarka zapowiedziała „Margrethe Franck” głosem takim, jakby chciała go ostrzec.

Komendant policji Jutlandii Północnej dosunął wskazującym palcem okulary do nasady nosa i siadając naprzeciwko niej, westchnął głęboko na znak irytacji wobec marnowania jego cennego czasu.

— Przejdźmy od razu do rzeczy, Franck. Axel Mossman uparł się, że niesłychanie ważne jest, abyśmy porozmawiali osobiście, ale podtrzymuję to, co powiedziałem pani już wczoraj: z całą pewnością moglibyśmy to załatwić przez telefon.

— Są sprawy, które nie nadają się do omawiania przez telefon — wyjaśniła i wyjęła długopis.

— A tak w ogóle... Axel Mossman opowiedział mi, co się pani przytrafiło i jak bardzo ceni pani pracę. To jeden z powodów, dla których zgodziłem się na to spotkanie. Gratuluję, pomimo niepełnosprawności radzi sobie pani znakomicie. A PET należą się wyrazy uznania za... brak uprzedzeń.

Więc jednak Lara Croft. Przez moment zastanawiała się, co wybrać, by bolało najbardziej. W pierwszej chwili miała ochotę po prostu zmiażdżyć mu jaja na proch twardą stopą protezy, ale po głębszym zastanowieniu uznała, że nie jest tego wart.

— Na polecenie Mossmana badam przeszłość Nielsa Oxena. Dotarłam do momentu, w którym Oxen odchodzi z policji — co budzi zaskoczenie, bo wszyscy są z niego zadowoleni, a on zdaje się być oddany służbie. Pan był wtedy dyrektorem w Bellahøj.

— Dyrektorem — owszem, ale nie kierowałem tą placówką na co dzień. Mówiąc szczerze, zupełnie tego nie pamiętam. Bellahøj to ośrodek szkoleniowy. Uczy się tam ponad trzystu studentów.

— Oxen stawiał się u pana osobiście, aby złożyć rezygnację.

— Cóż, jeśli tak pani mówi... — Bøjlesen nieznacznie wyprostował plecy.

— Jak często spotyka pan ludzi odznaczonych medalem za męstwo?

— Skąd mam wiedzieć, u licha.

Naczelnik siedział teraz naprężony jak struna, jego twarz wyrażała na zmianę znudzenie i złość.

— A ile razy spotkał pan kogoś, kogo odznaczono za męstwo dwukrotnie?

Bøjlesen pokręcił tylko głową wyraźnie rozdrażniony.

— Kiedy Oxen zjawił się w Bellahøj, posiadał dwa medale. Można by się spodziewać, że kierownik ośrodka dostrzeże, jaki kwiat duńskiej młodzieży zdecydował się zasilić jego szeregi. Lecz pan nawet go nie pamięta.

— Pamiętać raczej pamiętam, słabo — wycedził w końcu Bøjlesen.

— Pamięta go pan, ale słabo. Albo się kogoś pamięta, albo nie. Zatem pamięta pan Nielsa Oxena?

Naczelnik policji skinął głową. Drażyła więc dalej, nie tracąc czasu:

— Czy nie była to dość istotna informacja, kiedy ściągnął go pan na komendę, abyśmy wszyscy mogli obejrzeć to, co zostało z bohatera wojennego?

— Czego pani chce, Franck?

— Dlaczego się pan nie przyznał, że macie wspólną przeszłość?

— Wspólna przeszłość... mówi to pani tak, jakbyśmy mieli ze sobą do czynienia. Byłem dyrektorem, a on zasranym uczniakiem. Niech pani oprzytomnieje. Jeśli to nazywa pani wspólną przeszłością, to wspólna przeszłość łączy mnie z całą masą ludzi.

— Ale wtedy nic pan nie powiedział.

— A co, miałem z nim przybić piątkę i zapytać, jak leci i czy przypadkiem nie zabił ambasadora Corfitzena? O to pani chodzi?

— Dlaczego Oxen odszedł z policji?

Max Bøjlesen zdjął okulary i przecierając jedno szkło końcówką krawata, westchnął głęboko, nim odparł:

— Stracił zapach. Wolał z powrotem zostać żołnierzem.

— Czyli to pan zapamiętał.

— Oczywiście. Nie podobało mi się to. Dawał dobry przykład pozostałym.

— Zrobił pan cokolwiek, aby go zatrzymać?

— Nie mogłem. On był już zdecydowany. Nie próbowała pani sama go o to zapytać?

— Z jego karierą w policji jest tak, jak ze wszystkim: nie mówi o tym.

— Więc o co ten hałas?

Odłożyła długopis na blok i spojrzała naczelnikowi w oczy.

— Dlatego — zaczęła bardzo wolno — że moim zdaniem ta sprawa śmierdzi. To wygodne wytłumaczenie: chciał wrócić do swoich kumpli, proste. Ale Oxen doświadczył na Bałkanach rzeczy skrajnie wstrząsających. Świadomie postanowił o nich zapomnieć, wstąpił do szkoły policyjnej, znakomicie sobie radził w Bellahøj i nagle trach — rezygnuje. Choć wcześniej nawet się nie zająknął, że nosi się z takim zamiarem. A gdy po wielu latach ponownie się spotykacie, zachowujecie się, jakbyście się wzajemnie nie pamiętali. Albo raczej nie chcecie pamiętać. Ale ja się dowiem, co się wtedy stało. Tego może pan być pewien.

— Szuka pani czegoś, co nie istnieje. Choć z drugiej strony w Søborgu chyba głównie tym się zajmujecie, prawda? Ma pani jeszcze jakieś pytania?

— Nie. Ale obiecuję panu, że do Oxena jeszcze wrócimy.

Skinęła głową na pożegnanie, wstała i wyszła z biura komendanta.

Zdecydowanie lepsza atmosfera panowała w biurze komisarza Rasmusa Grubego, kiedy do niego zajrzała. Wyglądał na zajętego, ale mimo to nalał jej kawy i poprosił, żeby na chwilę usiadła.

— Co cię tu sprowadza? — zagaił.

— Musiałam się rozmówić z komendantem. Chodzi o Oxena. Mossman chce wiedzieć o nim wszystko.

— Oxen... — Grube posłał jej zdziwione spojrzenie — Czy to nie strata czasu?

Rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie wiem. A ty uważasz, że tak?

— Nie znaleźliśmy nawet włosa ani u Bergsøe, ani u Corfitzena, który łączyłby go z miejscami, w których ich znaleźliśmy. A nawet gdyby był winien śmierci Corfitzena, to

raczej nie rozbijałby cholernego obozu w jego lesie. Do tego nowe fakty z Hiszpanii. Przy okazji: dzięki, że je nam przesłałaś. No, ale z tego, co mi wiadomo, drogi Hannibala Frederiksena i Nielsa Oxena nigdy się nie przecięły.

— Tego na razie nie możemy być pewni.

— Rytter obiecał dać mi ludzi, którzy zbadają wszystko, co mamy o Frederiksenie. Dzięki temu nie będziemy się dublować. Ale idę o zakład, że Oxen nigdy go nie poznał. Oxen jest po prostu jednym z tych dogodnych podejrzanych. Nieszczęśnik, któremu w życiu powinęła się noga — wyjaśnił Grube.

— A co z Bøjlesenem? Dał ci spokój?

Grube westchnął ciężko.

— Spokój? Chyba żartujesz. Jego zdaniem nasze dochodzenie „utknęło w martwym punkcie”.

— Utknęło? Teraz, kiedy ktoś zlikwidował Arvidsena i znalazło się powiązanie w Hiszpanii?

— Tak dokładnie się wyraził. Chociaż ja osobiście wiązę duże nadzieje z wątkiem Arvidsena. I mam nowe informacje z nim związane, które mogą cię zainteresować. Chodzi o córkę Corfitzena.

— Tak? Dawaj.

— Jest wyborowym strzelcem.

— Kim jest?

— Kajsza Corfitzen przez kilka lat z rzędu była mistrzynią w klasyfikacji kobiet w CURA, Cambridge University Rifle Association. Mówiąc dokładnie, trzy lata z rzędu. Do tego zgarnęła mnóstwo nagród na rozmaitych zawodach.

— Chcesz mi powiedzieć, że podejrzewasz ją o zabicie własnego ogrodnika?

Komisarz pokręcił głową i przez chwilę milczał. W końcu sprecyzował:

— Nie, tego nie twierdzę. Ale również nie wykluczam. W tym śledztwie wszystkie drzwi pozostają otwarte na oścież. A na bystry pomysł, by sprawdzić Kajsę w tym kontekście, wpadł jeden z moich ludzi, ona jedyna bowiem ma swobodny dostęp do zamku. Do tego celuje również w szermierce. Raz wygrała otwarte mistrzostwa Wielkiej Brytanii.

— A to na wypadek gdybyśmy trafili na kogoś ze szpadą wbity w serce?

Grube w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

— Cóż, najwyraźniej pomyliłam się co do niej. Sądziłam, że jej osoba w kontekście tej sprawy mieści się wyłącznie w kategorii suchych danych — przyznała, szykując się do wyjścia. — Zapytałeś ją o jej sukcesy w strzelectwie?

— Nie. Tę kartę na razie trzymamy przy sobie.

— Jeszcze jedna sprawa, zanim sobie pójdę: możesz mi dać nazwisko kogokolwiek z twojego roku, kto uczył się z Oxenem w Bellahøj?

Grube poszukał w pamięci, a po chwili uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Nawet dwa! Znam dwóch, którzy na pewno byli wtedy w Bellahøj.

Napisał coś pośpiesznie na małej karteczce, którą jej wręczył.

— Proszę. Hans-Erik Overgaard jest komisarzem policji w okręgu Jutlandii Południowej. A drugi, Uffe Grumstrup, urzęduje na komendzie głównej w Kopenhadze, ale nie wiem, czym dokładnie się zajmuje. Spróbuj z nimi.

— Dzięki, tak zrobię. Na razie.

Zanim wyjechała z parkingu przed komendą,

skontaktowała się z oboma mężczyznami, którzy w szkole policyjnej byli w jednej grupie z Nielsem Oxenem.

Komisarz Grube zapamiętał dobrze. Obaj uczyli się w Bellahøj. I obaj pamiętali Nielsa Oxena. W dodatku pamiętali go doskonale. Niestety, żaden z nich nie był w stanie jej pomóc. Oxen nie należał do ich paczki ze szkoły. Nie chodziło o to, że był odludkiem. Po prostu był raczej wycofany i niewiele mówił o sobie. A najmniej o swoich sukcesach w wojsku.

Zarówno Overgaard, jak i Grumstrup, choć ich o to nie pytała, sami z siebie powiedzieli, że decyzja Oxena o przerwaniu nauki wywołała wtedy w szkole spore zamieszanie i falę spekulacji. Każdy wiedział, że Oxen był stworzony do pracy w policji. Miał w sobie coś szczególnego, emanował wyjątkowym spokojem, „aurą”, jak to nazwał Grumstrup, która sprawiała, że z miejsca budził w ludziach respekt i autorytet, na który inni musieli pracować latami. Wielu doświadczonych policjantów mu tego zazdrościło.

Innymi słowy: Niels Oxen miał naturalny talent.

Tym większe więc było zdziwienie wszystkich, kiedy niespodziewanie postanowił się wypiąć na Bellahøj. I ona nabrała tym większej pewności, że w szafie Oxena ukrywa się cała armia szkieletów.

Na razie jednak nie mogła niestety poświęcić więcej czasu na rozwinięcie tej teorii. Teraz priorytetem było wyjaśnienie zabójstw prominentów, chyba że Mossman zarządzi inaczej.

Willy Sørensen został w hotelu i zamierzał wziąć nocną zmianę, więc od rana Oxena śledził Bent Fensmark. Dziwne, że od paru godzin się nie odzywał.

Dostała od niego tylko jeden meldunek — zadzwonił, żeby nie bez satysfakcji powiedzieć, że Oxen w końcu znalazł nadajnik. „Nasz menel”, jak często o nim mówił, myśli teraz, że wykonał niezwykle przebiegły manewr na parkingu przed

sklepem w Skørping i że dzięki temu PET śledzi teraz Peugeot'a kombi z młodą matką za kółkiem i dwójką dzieci w fotelikach.

A to nie była prawda. Sørensen i Fensmark zabezpieczyli się na taką ewentualność — i być może nieco przecenili intuicję Oxena — umieszczając w jego wozie dwa nadajniki. Jeden pod podwoziem, a drugi pod tylnym siedzeniem. Bo jak mówi przysłowie: gdy znajdziesz jeden, nie pomyślisz nawet, by poszukać drugiego.

Gdy dotarła do autostrady, rzuciła okiem na zegarek. Od rozmowy z Fensmarkiem minęły cztery godziny. Denerwowało ją, że jest taki niezorganizowany. Umawiali się, że będzie składał meldunek góra co dwie godziny, cokolwiek by się działo.

Postanowiła, że skręci w zjazd na Haverslev i zajrzy do zamku, żeby sprawdzić, czy coś się tam nie wydarzyło. I ewentualnie porozmawiać z Kajsą Corfitzen — albo spotkać się z Nielsem Oxenem.

I choć odkąd wyszła z komendy, wciąż wałkowała w myślach to, co usłyszała, i absolutnie nie podobało jej się, że nie uzyskała odpowiedzi na swoje pytania, to dopiero gdy minęła Støvring, krzyknęła w nagłym olśnieniu:

— Zaraz, zaraz, Margrethe Franck, czy z takich rzeczy mężowie nie zwierzają się swoim żonom? No jasne!

Po szybkim telefonie do emerytowanego Larsa Clausena wiedziała już, że zmarły szef służb porządku publicznego z Bellahøj Jørgen Middelbo przez wiele lat mieszkał w Holbæk, a w informacji telefonicznej dostała numer do Astrid Middelbo. Jedynej osoby o tym nazwisku mieszkającej w Holbæk.

Zadzwoiła, przedstawiła się i od razu uzyskała potwierdzenie, że rozmawia z właściwą panią Middelbo. Astrid, która przez telefon brzmiała odrobinę nieufnie,

straciła męża półtora roku temu. Zmarł na raka płuc.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale pracuję aktualnie nad pewną sprawą, w której, mam nadzieję, będzie pani mogła mi pomóc — zaczęła.

— Ja? — Jej zdumienie z łatwością pokonało odległość między Holbæk a północną Jutlandią.

— Tak. Bo widzi pani, prowadzę właśnie czynności związane z pewnym człowiekiem, który był uczniem w Bellahøj w czasach, kiedy pani mąż był tam dyrektorem.

— Jørgen i ja prawie nie rozmawialiśmy o pracy.

— Tu chodzi o człowieka o dość wyjątkowym nazwisku — i wyjątkowej przeszłości. Nazywa się Niels Oxen. Jest pani pewna, że mąż nigdy nie wspominał o nikim takim?

— Nie... raczej nie. Nie sądzę, abym kiedykolwiek wcześniej słyszała to nazwisko. A co zrobił ten mężczyzna?

— Możliwe, że nic. PET chce tylko dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości. W tamtych czasach wyróżniało go to, że wcześniej był żołnierzem. Gdy zaczął naukę w Bellahøj, był już dwukrotnie odznaczony za odwagę.

— Ach tak...

— A kilka la temu jako pierwszy i jak dotąd ostatni żołnierz otrzymał nowe, wysokie odznaczenie, Krzyż Waleczności. Dużo o nim było w telewizji i w gazetach przy tej okazji. O nim, to znaczy o *Nielsie Oxenie*.

Na kilka chwil w słuchawce zapanowała cisza, aż w końcu Astrid Middelbo powiedziała stanowczym głosem:

— Mieliśmy z Jørgenem zasadę, że jeśli już rozmawialiśmy o czymkolwiek, co miało związek z policją, to wszystko pozostawało między nami.

— Brzmi rozsądnie. Ale przypuszczam, że pani mąż był jedynym, który wiedział o czymś, w co Oxen był zamieszany

przed wieloma laty.

— Niestety, nie mogę pani pomóc. Proszę mi przypomnieć, jak się pani nazywa.

— Franck. Margrethe Franck. Pracuję w Søborgu.

— Rozumiem. No cóż, przykro mi.

— Trudno. Była pani po prostu moją ostatnią nadzieją i jestem przekonana, że gdyby pani mąż wiedział, jak poważna jest sprawa, nad którą pracujemy, pomógłby nam bez wahania.

Pożegnały się, po czym Margrethe ze złością walnęła kilkakrotnie dłońmi w kierownicę. Cóż, musiała przecież spróbować.

— Fuck, fuck, fuck...

Włączyła radio, a kiedy rozpoznała głos wokalisty, podkręciła na cały regulator. *Born in the USA* nadal dudniło w samochodzie, kiedy zjechała na stację benzynową przy zjeździe na Haverslev, żeby dokończyć śpiewanie ostatniej zwrotki: *I'm a cool rocking daddy in the USA...* Nie usłyszała dzwonka, ale poczuła wibracje telefonu. Gdy zobaczyła, kto dzwoni, szybko ściszyła Bruce'a.

— Tu ponownie Astrid Middelbo. Pani numer wyświetlił mi się w telefonie — wyjaśniła ostrożna wdowa. — Myślałam o tym, co pani powiedziała, i wydaje mi się, że ma pani rację. Jørgen oczywiście pomógłby PET.

— Czy to znaczy, że coś pani sobie przypomniła? — zapytała obojętnym tonem, choć w środku aż kipiała z niecierpliwości.

— Tak. Oxen to dość niezwykłe nazwisko. No i ta jego niewiarygodna historia. Chociaż Jørgen opowiedział mi o nim dopiero po tym ostatnim odznaczeniu. Wcześniej nigdy o nim nie wspominał. Siedzieliśmy przed telewizorem, gdy go

pokazywali. Królowa też tam była. To ona wręczyła mu odznaczenie. A potem był krótki reportaż o Oxenie.

Margrethe czuła, jak wali jej serce. Najchętniej wycisnęłaby słowa z gardła wdowy Middelbo, ale musiała być cierpliwa.

— Jørgen strasznie się tym zdenerwował. Siedział w fotelu i aż w nim kipiało. Nie chciał nawet dokończyć kawy. Pamiętam, jak powiedział, że to wszystko to żalosna komedia, i wyklinał tego żołnierza.

Astrid Middelbo przerwała na moment, próbując ustalić chronologię zdarzeń, zanim przedstawi szczegółową historię.

Margrethe tymczasem wtrąciła tylko:

— To brzmi naprawdę bardzo interesująco.

— Zapytałam Jørgena, co się u licha stało, że tak go zbulwersowały zaszczyty, jakie posypały się na żołnierza z telewizji. A on na to ryknął na cały pokój: „Cholerny narkoman!”. Proszę sobie wyobrazić, że ten Oxen uczył się w szkole policyjnej pod kierownictwem Jørgena. I w którymś momencie przyłapano go na gorącym uczynku. Obracał się wśród przestępców narkotykowych i podczas nalotu w jego domu znaleziono mnóstwo narkotyków.

— Narkotyki... przyznam, że tego bym się nie spodziewała.

— Dziwne, prawda? Aż trudno w to uwierzyć. Taki dobry żołnierz. Taki odważny. I tak przystojnie i elegancko się prezentował w telewizji, a gdy go poproszono o komentarz, tak skromnie o sobie mówił. Nikt by nie przypuszczał, że może mieć cokolwiek wspólnego z narkotykami.

— Mąż mówił, co się stało potem? Dlaczego Oxen uniknął więzienia?

— Zadałam dokładnie to samo pytanie. Najpierw wykręcał

się od odpowiedzi, ale w końcu... Tylko zabronił mi komukolwiek kiedykolwiek o tym mówić.

— No tak, ale dziś sytuacja wygląda inaczej, prawda?

— Mężowi kazano udawać, że o niczym nie wie.

— Kto kazał?

— Bøjlesen. Max Bøjlesen, który był wtedy jego przełożonym. To nazwisko dość trudno zapamiętać.

Margrethe wiedziała, że teraz niesłychanie istotne jest, aby tak poprowadzić rozmowę, by wdowa nie nabrała poczucia, że na pamięć o jej drogim małżonku pada jakikolwiek cień. Dobierała więc słowa z najwyższą rozwagą:

— To dość osobliwe polecenie ze strony własnego szefa. I co się potem stało?

— Nic. Mąż posłuchał polecenia. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nigdy więcej o tym nie mówiono.

— Dlaczego należało to przemilczeć? Wie pani?

— Ten Oxen już wtedy był ponoć przykładem do naśladowania dla innych młodych mężczyzn. Zanim przyszedł do szkoły policyjnej, był dwukrotnie odznaczony. Należało chronić jego dobry wizerunek.

— I Oxenowi puszczono to płazem?

— Zrezygnował z kariery w policji i wrócił do armii.

— Musieli jednak być jeszcze inni, którzy wiedzieli o sprawie. Ci, którzy znaleźli u Oxena narkotyki.

— Tak. Było ich dwóch. To jeden z nich opowiedział o wszystkim Jørgenowi.

— Teraz już rozumiem, dlaczego zapamiętała pani Oxena. Ładna mi uczciwość, prawdziwy bohater, nie ma co. Czyli mówi pani, że nic więcej w tej sprawie się nie działo?

— Widziałam, że mężowi nie daje to spokoju. Jego własne poczucie przyzwoitości bardzo na tym cierpiało. Bøjlesen pozbył się wszystkich dokumentów, więc nikt nie mógł niczego udowodnić, ale Jørgen...

Starsza pani wstrzymała na chwilę oddech. Czyżby zaczynała żałować? Ostatecznie zapytała niepewnym głosem:

— Dlaczego pani sprawdza tego żołnierza? Co zamierzacie zrobić?

— Jego wątek jest jednym z wielu w większej sprawie, którą prowadzimy. Jestem teraz na północy Jutlandii. Właśnie wracam z biura Bøjlesena w Aalborgu. Jest dziś komendantem regionu. Twierdzi, że nic nie wie o całej sprawie z Oxenem.

— Kłamie! — Głos Astrid Middelbo się załamał. — Mówię pani, on kłamie. Jørgen zawsze powtarzał, że ten Bøjlesen to śliski typ. Taki, co to nagina zasady i przepycha się łokciami. Ale coś pani powiem...

Starszej pani najwyraźniej puściły ostatnie hamulce, gdy poczuła, że mają podobne zdanie o Maksie Bøjlesenie.

— Ostatnim, co Jørgen powiedział o tej sprawie tamtego dnia, było, że zabezpieczył się na wypadek, gdyby zaszły nowe okoliczności. Że ma kopie raportu, zdjęcia i inne takie. W kopercie w swojej szafce.

— Szafce?

— No tak. Bo on ma, to znaczy miał, w garażu specjalną szafkę. Chował w niej różne drobiazgi.

— Szukała pani tam tych dokumentów?

— Nie... Jego ubrań też nie wyjęłam jeszcze z naszej garderoby. Wiszą i czekają, aż ja sama... — Pani Middelbo zamilkła.

— Rozumiem. Musi pani być ciężko.

— Spędziliśmy razem całe życie. Myśli pani, że Jørgen zrobił wtedy coś złego?

Ta kobieta zapewne nie po raz pierwszy zadawała sobie to pytanie. Margrethe ponownie poczuła, że jej odpowiedź musi być wyważona.

— Moim zdaniem żaden przestępca nie powinien unikać kary. Wiemy jednak, że bywają sytuacje bardziej skomplikowane. Bo co, jeśli robimy coś w imię wyższej sprawy? Pani mąż uznał zapewne, że nic tu nie może działać.

To, co na uspokojenie podsunęła wdowie, jedynie częściowo było prawdą. Jørgen Middelbo zapewne bardziej sobie cenił kierownicze stanowisko i idącą wraz z nim pensję niż zajmowanie się cuchnącą na kilometr sprawą młodego studenta akademii policyjnej, który był jednocześnie przestępcą i żołnierzem odznaczonym za odwagę w służbie kraju.

— Myślę, że chciałabym posprzątać trochę w tej szafce. Za parę dni może pani wpaść i odebrać tę kopertę. Wtedy będziemy też mogły trochę dłużej porozmawiać.

— Dziękuję. Bardzo bym tego chciała.

Jeszcze długo po tym, jak się rozłączyły, Margrethe siedziała nieruchomo.

Niels Oxen w szemranym towarzystwie. Niels Oxen handlarzem narkotykami. Niels Oxen główną postacią tajnego układu. Długa lista grzechów obejmujących wszystko, od przemocy domowej po wyłudzenie ubezpieczeń, została właśnie zwieńczona posiadaniem dużej partii narkotyków.

Ile medali, tyle ciemnych stron.

Rozdział 40.

Smak krwi był pierwszym doznaniem, które przedarło się przez jego obolałą świadomość. Drugie uderzyło go w nozdrza: zapach kurzu i stęchlizny.

Trzecim i ostatnim doznaniem był swego rodzaju sygnał, który wysłał sam do siebie:

„Hej, kolego, masz w ustach coś dziwnego, wypluj to”.

Powoli wysunął język i nagle w jamie ustnej zrobiło mu się przyjemnie przestronnie. Wciąż sucho jak na pustyni, ale stopniowo udało mu się zgromadzić trochę śliny.

Oczy dalej miał zamknięte, gdy poczuł, że coś się wydarzyło. Przez jakiś czas był oszołomiony i zdezorientowany, ale potem w jego głowie zrodziła się pierwsza myśl. Dziwnym przedmiotem, który wcisnął sobie między zęby, był pendrive...

Otworzył oczy. I od razu z powrotem je zamknął. Coś było z nimi nie tak. Chwilę później spróbował raz jeszcze — to samo. Jego oczy patrzyły wprost w inne oczy. Szeroko otwarte, duże i zamglone. Jak u dorsza. Wyłowionego z Øresundu i rzuconego na pokład.

Wzdrygnął się. To była twarz człowieka, oddalona od jego własnej na długość ręki. Leżała w kałuży czarnej, zakrzepłej krwi pokrywającej brudne deski podłogowe w...

W chacie, oczywiście. W starej chacie myśliwskiej Corfitzena, do której się włamał, żeby przeszukać podłogę, bo Arvidsen powiedział „podłoga”, zanim wyciągnął kopyta.

Tak się miały sprawy.

Ostrożnie podniósł głowę i teraz zobaczył wyrwane deski i czarną dziurę w podłodze. Znalazł kryjówkę Arvidsena. Były w niej twardy dysk, laptop i pendrive. Ten ostatni wsadził sobie do ust, kiedy męski głos za jego plecami powiedział coś o wymierzonym w niego pistolecie.

Znowu zerknął w lewo. Tuż obok niego leżał mężczyzna, wyglądał na czterdzieści kilka lata. Miał parkę z jasnego płótna i czarne rękawiczki. Jasny rękaw i czarną dłoń — to było ostatnie, co zapamiętał. Zatem człowiek z oczami dorsza uderzył go tak, że stracił przytomność.

Dopiero gdy o tym pomyślał, poczuł ból. Przesunął palcami po skroni. Sztywne, posklejane włosy oblepiały wielkiego guza, na policzku miał pas zaschniętej krwi. To draństwo bić ludzi do nieprzytomności, ale mimo wszystko nie było to przestępstwo, za które od razu można się było spodziewać kary śmierci, co niewątpliwie spotkało mężczyznę leżącego obok.

Ostrożnie podniósł się na kolana i odwrócił ciało na plecy. Strzał w okolice serca i co najmniej jeden w brzuch. Trudno było zobaczyć dokładnie, bo był ubłocony. Kawałek dalej, na lewo od ciała, leżał pistolet Heckler & Koch, USP Compact, można więc było bezpiecznie przyjąć, że ten człowiek miał powiązania z policją.

Pośpieszne przeszukanie wszystkich kieszeni dało efekty. W kieszonce na piersi koszuli znalazł włączony telefon komórkowy, a w wewnętrznej kieszeni kurtki — portfel. Wstał i chwiejnym krokiem dotarł do jednego z foteli stojących przed kominkiem. Kiedy opadł całym ciężarem na siedzisko, z tapicerki podniosła się chmura kurzu.

Mężczyzna nazywał się Bent Fensmark — tak stało na jego prawie jazdy, karcie płatniczej i karcie ubezpieczeniowej. Nie było natomiast legitymacji policyjnej. W portfelu miał również dwa banknoty stukoronowe, jeden

pięćdziesięciokoronowy i cztery kupony lotto. Dziś najwyraźniej maszyna losująca wyrzuciła jego nieszczęśliwą liczbę.

Pewnym pocieszeniem mogło być to, że Bent Fensmark nie będzie miał większych problemów z przepłynięciem Styksu. W bocznej przegródce portfela znajdowała się karta potwierdzająca, że posiadał certyfikat nurka.

Skończył z portfelem i zajął się telefonem. Z listy połączeń wynikało, że ostatniego dnia życia mężczyzna rozmawiał przez telefon tylko trzy razy. Zastanawiał się przez moment, czy to dobry pomysł, ale ostatecznie i tak to zrobił.

— Mówi Mossman — głębokiego głosu, który odezwał się pod ostatnim wybranym numerem, nie można było nie poznać. Do szefa PET dzwoniło półtorej godziny temu.

— Martin Rytter — odezwał się zagoniony głos, kiedy wybrał drugi numer. Dzwoniono pod niego dziesięć minut przed telefonem do Mossmana.

Zadzwoił pod trzeci i ostatni numer, ale tym razem musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim ktoś odebrał. Głos w słuchawce był mocno poirytowany:

— Czemu się do cholery nie odzywasz pół dnia, co? I gdzie jest Oxen?

Głos należał do Margrethe Franck. Zawahał się na moment i w tym czasie usłyszał jej zniecierpliwione „halo”. W końcu się zdecydował:

— Jestem tutaj, Franck... I lepiej, żebyś jak najszybciej tu przyjechała.

Nie minęło pół godziny, kiedy usłyszał na zewnątrz dźwięk silnika. Przez komórkę poprowadził Margrethe Franck przez labirynt leśnych dróg.

Nie powiedział jej, co zastanie na miejscu, podkreślił

tylko, żeby przyjechała niezwłocznie.

Czekając na nią, sprawdził ślady butów na zakurzonej podłodze i odciski opon na wilgotnej ściółce. Wokół domu znalazł tylko odciski opon własnego samochodu. Czyli zmarły Fensmark musiał zaparkować w głębi lasu, skąd zakradł się, by go zaskoczyć. Zgodnie z logiką to samo zrobił morderca.

Teraz wrócił na fotel i próbował się skupić na zaplanowaniu kolejnych kroków. Starał się raz jeszcze zadać odpowiednie pytania w odpowiedniej kolejności. Tym razem wydawało się to prostsze — być może dlatego, że miał od czego zacząć, czegoś bardzo konkretnego — pendrive'a w swojej kieszeni.

Usłyszał trzask drzwi samochodu, skrzypnięcie tylnych drzwi i kilka sekund później w drzwiach do salonu stanęła Margrethe Franck. I jeśli doznała wstrząsu, okazała to jedynie uniesieniem brwi.

— Fensmark... Czy ty...? — Spojrzała na niego pytająco.

— Nie, do diabła, to nie ja.

— Więc kto?

— Nie mam pojęcia. Znasz go?

— Tak, to jeden z naszych, z Aarhus. Bent Fensmark.

— I co, nasłaliście go na mnie?

— W jakim sensie?

— Najpierw miał mnie śledzić, a gdybym coś znalazł, miał mnie unieszkodliwić. Albo zabić, jeśli będzie trzeba. Tak to sobie wymyśliliście?

Margrethe Franck ostrożnie podeszła do ciała mężczyzny i przyklękła obok. Głęboko westchnęła i pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Zadałem ci pytanie! Więc mi, kurwa, odpowiedz! —

Poderwał się z miejsca i czuł, że gniew wzbiera w nim jak biały szkwał.

— Najpierw muszę zadzwonić do Mossmana. On powinien...

— Mossman to, Mossman tamto! Nie zadzwonisz do nikogo, zanim ze mną nie porozmawiasz. Kumasz? Najpierw pogadamy, a potem rób sobie, co chcesz. I kurwa, jesteś mi winna parę wyjaśnień, Franck!

Wstała i oskarżycielsko wycelowwała w niego wskazujący palec:

— I wzajemnie, Oxen!

— Siadaj!

Wskazał jej drugi fotel i sam z powrotem usiadł. Franck z ociąganiem usiadła obok i na moment znikła w tumanie kurzu.

— Zadałem ci pytanie — przypomniał.

— Tak, Fensmark miał cię śledzić. Przez całą dobę, na zmianę z drugim funkcjonariuszem z Aarhus. Zadowolony?

— To była twoja decyzja?

— O takich sprawach decydują Rytter i Mossman. I doskonale ich rozumiem. To oczywiste, że Mossman chce coś dostać w zamian za swoje ćwierć miliona. Byłby idiotą, gdyby nie chciał.

— Dziś znalazłem nadajnik i umieściłem go w innym samochodzie. — Głową wskazał leżące na podłodze zwłoki. — Skąd w takim razie ten tutaj wiedział, gdzie...?

Nim dokończył, pokazała mu dwa palce.

— Dwa? W samochodzie były dwa nadajniki?

Skinęła głową. Był na siebie zły. Stracił swoją przewagę i sabotował własny plan, bo okazał się być dziecinnie

przewidywalny. W dodatku znalezienie pierwszego nadajnika zajęło mu żenująco dużo czasu. Jest zwykłym frajerem.

— Więc przez cały czas mnie śledziliście. Co w takim razie wiesz?

— Wiem, że się włamałeś do piwnicy Arvidsena, a od fotografa z Aalborga wiem, że znalazłeś jakąś listę i szkice zamku. Szukaliśmy ich w twoim pokoju, ale nie znaleźliśmy. Wiem też, że rzuciłeś się na Arvidsena i wbiłeś mu w udo nóż, kiedy siedzieliście na kosiarce. I że ten, kto zastrzelił Arvidsena, chciał zdjąć również ciebie.

— Wiesz, kto strzelał?

— Nie, tego nie wiem — odparła — i nie wiem również, co tutaj robimy. Zatem: lista, rysunki i to miejsce — gdybyś był tak miły...

Margrethe Franck ze złością wskazała głową na ciało i uderzyła pięścią w poręcz fotela.

Pośpiesznie próbował przeanalizować swoje położenie. Najprawdopodobniej niewiele mu da kontynuowanie śledztwa w pojedynkę. Z drugiej strony nie potrafił się przekonać, by zaufać Margrethe Franck.

— A mój nóż? Ty to załatwiłaś? Bo wiem, że ten gość tutaj miał licencję nurka.

— Fensmark? Nurkiem? Nie wiedziałam. Niewykluczone, że to był on, chociaż ja nie miałam z tym nic wspólnego. Twój nóż przyszedł po prostu w wielkiej kopercie. Pewnie Rytter i Mossman to załatwili. Mimo że nie zabiłeś Arvidsena, przez twoje odciski palców na rękojeści noża mógłbyś trafić prosto za kratki, jakbyś dotąd nie narobił sobie wystarczających kłopotów.

Franck powoli się uspokajała. On również. Może za chwilę będą mogli wreszcie poważnie porozmawiać, nie wprowadzając się nawzajem z równowagi.

— Ufałaś mu? — Skinął ponownie na ciało.

— Nie miałam powodu, by mu nie ufać. Dlaczego pytasz?

— Zdaje się, że nie powiedział ci, gdzie jest i co robi. Zadzwoił za to do Ryttera, a krótko przed śmiercią do Mossmana. Tak wynika z jego telefonu. Sama sprawdź.

Rzucił jej telefon. Wciskając klawisze, kiwała tylko głową.

— Tak, wszystko się zgadza. Dzwonił do mnie dziś rano, po tym jak odkrył twój podstęp ze srebrnym peugeotem pod sklepem. Umowa była taka, że będzie raportował co dwie godziny. Też mnie zdziwiło, że się nie odzywa — wyjaśniła.

— To by wskazywało, że ktoś postanowił nie mówić ci o wszystkim.

Z wyrazu jej twarzy domyślił się, że ona również doszła do tego wniosku.

— Tak już jest... w mojej branży jasno się rozgranicza pomiędzy wiedzą a wiedzą konieczną. Kto wie? Na pewno jest cała masa informacji niebędących wiedzą konieczną dla szeregowców, takich jak ja. Jak się komuś nie podoba, to droga wolna. Mnie akurat warunki pracy w PET najzupełniej odpowiadają. A teraz chciałabym, żebyś mi wyjaśnił, jak się znalazłeś w samym środku tej janki. Najlepiej od samego początku. Proszę, twoja kolej.

Postanowił iść dalej tropem opartym na jego niesłabnącym przekonaniu, że ogrodnik i były członek służb specjalnych Arvidsen jest najprostszą i najbardziej bezpośrednią drogą do przełomu w śledztwie. Szczegółowo opisał dramatyczne wydarzenia, do których doszło na jadącym traktorze w Nørlund, i zdradził, że zanim wpadli do fosy, Arvidsen zdążył powiedzieć coś o chacie myśliwskiej i podłodze. Wyjaśnił, że spotkał się z woźnym miejscowej szkoły, który był jednocześnie przewodniczącym kółka łowieckiego i pomógł mu zlokalizować starą chatę myśliwską

Corfitzena.

Margrethe Frank siedziała tylko i kiwała głową w milczeniu, aż dotarł do momentu, gdy odkrył pod stołem poluzowane deski i w dziurze pod nimi znalazł twardy dysk i komputer. A po chwili usłyszał głos, który okazał się należeć do pracownika PET Benta Fensmarka. Który go śledził i niemal rozłupał mu czaszkę kolbą pistoletu.

— I wtedy zakradł się tu ogon twojego ogona i ostatecznie to on zgarnął całą pulę — domyśliła się, zerkając ponownie na leżące w kałuży krwi ciało kolegi. — Powiedz jeszcze, co znalazłeś w piwnicy Arvidsen — przypomniała.

Zawahał się. Margrethe Franck za chwilę wycisnie z niego wszystko, co wiedział.

— Co to za materiały?

— Jak już wiesz, jest to seria planów zamku, skrzydło po skrzydle i kondygnacja za kondygnacją. Naniesiono na nie mnóstwo pomiarów, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Wiele z nich wykonał prawdopodobnie sam Arvidsen.

— Zatem czegoś szukał? Ale czego, ukrytego pomieszczenia?

— Należałoby tak przyjąć.

— Mogę zobaczyć te rysunki?

Skinął głową.

— A co z listą. Co na niej jest?

Po raz ostatni spróbował rozważyć korzyści i niedogodności. Nie wiedział, co jest na pendrivie, wiedział za to, że dostęp do informacji, baz danych i systemów komputerowych był poza jego zasięgiem — nie był natomiast poza jej zasięgiem.

— To coś w rodzaju rejestru odwiedzin. Odkąd Arvidsen

zaczął pracować w zamku, zapisywał daty przyjazdu i wyjazdu gości.

— A nazwiska?

Pytanie, czy Margrethe Franck dostrzeże korzyść w tym, że zawrą umowę. A nawet jeśli się zgodzi, to nigdy nie będzie miała pewności, czy za jego plecami nie będzie informowała Mossmana. Gdyby Arvidsen żył, w życiu by nie rozważał współpracy z nią. Wszystkiego dowiedziałyby się od starego drania i byłoby po sprawie. Tymczasem został mu tylko mały kawałek elektroniki, na którym można przechowywać różne rzeczy.

— Nie ma nazwisk, są tylko kombinacje liter. Nic z nich nie wynika, można jedynie zgadywać.

— I gdzie to wszystko jest — lista i rysunki?

— W hotelu, w bezpiecznym miejscu.

— Podsumujmy więc: tutaj mamy tylko ślady stóp mordercy na zakurzonej podłodze, nic więcej. I w materiałach z piwnicy Arvidsena też niczego nie znajdziemy. Zgadza się?

— Tak.

— Czyli wracamy do punktu wyjścia: jedyna nadzieja w tym, że grzebiąc we wszystkim, co dotyczy Consilium, w końcu się na coś natkniemy. — Franck westchnęła z rezygnacją.

A on poczuł, że już wie, co ma zrobić. Postanowił, że zachowa w tajemnicy tylko to, że znalazł u Arvidsena wizytówkę Mossmana.

— Jest jeszcze jedna szansa na szybki przełom — zaczął.

— Mianowicie?

— To... Znalazłem to w skrytce Arvidsena pod podłogą i schowałem w ustach, zanim twój kolega Fensmark mnie

ogłuszył.

Między kciukiem a palcem wskazującym uniósł pendrive na wysokość jej wzroku.

— Musimy tylko najpierw ustalić warunki umowy — powiedział.

— Warunki? O czym ty mówisz?

— Mossman nie wyskoczył z dwustu pięćdziesięciu tysięcy koron dlatego, że mnie lubi, zrobił to, bo chce mnie wykorzystać. Jeszcze nie wiem, do czego. Dlatego musisz się pogodzić z tym, że odtąd pracujemy razem — tylko ty i ja. Pomagamy sobie, a ty nie będziesz biegać ze wszystkim do Mossmana, lecz będziesz go informować wyłącznie o tym, co ustalimy, że mu przekażesz. Jeśli się nie zgadzasz, możesz zerwać współpracę. Ale nie wolno ci robić nic za moimi plecami.

Przeniosła wzrok z pendrive'a na niego i z powrotem na pendrive'a. W końcu milcząco skinęła głową.

— Dobrze — powiedział — myślę więc, że powinniśmy to jak najszybciej włożyć do twojego komputera.

— Najpierw powinnam się zająć tym pobojobiskiem.

— Zostaw to na razie. On nie będzie przecież bardziej martwy, niż jest. Najpierw pendrive, a potem wrócimy do Fensmarka.

Zawahała się na moment.

— Dobra. I tak mamy przechlapane.

Rozdział 41.

Helena i Konrad Sikorski zameldowali się w kolejnym hotelu na długiej już liście ostatnio odwiedzanych przybytków tego rodzaju. Tym razem mieli zamieszkać w wyjątkowo skromnie urządzonej hotelu Syd w miasteczku Hadsund. Pokoje znajdowały się w prostym budynku z czerwonej cegły, klucz odebrali w dawnym zajeździe w przystani promowej.

Niemieckie małżeństwo opuściło Rold Storkro, kiedy tylko Konrad wrócił ze swoją zdobyczą: twardym dyskiem i laptopem. Nagle poczuli, że mieszkanie drzwi w drzwi ze swoim wrogiem jest jednak zbyt ryzykowne — albo raczej z wrogami, bo okazało się, że przedstawiciele władzy nie są ich jedynymi przeciwnikami w tym starciu.

Hadsund leżało tylko dwadzieścia pięć kilometrów dalej, ale mieli wrażenie, że to bezpieczna odległość od stróżów prawa. Zresztą według przewidywań spędzą tu tylko kilka dni. Potem muszą jechać dalej. Byli już naprawdę blisko celu.

Od razu podłączyli sprzęt i przejrzeni zawartość twardego dysku i komputera. Ich obawy się potwierdziły.

Po obejrzeniu materiałów płakała kilka godzin. Teraz poczuła, że zemsta jest w zasięgu ich ręki, i najwyraźniej ta myśl górowała obecnie nad wszystkim innym, bo na powrót była opanowana i rzeczowa. On zaś, stojąc w oknie, przeanalizował ich położenie.

— Właśnie teraz musimy się pilnować, żeby nie poczuć się zbyt pewnie. Wchodzimy na grząski grunt, rozumiesz? — zapytał.

— Rozumiem, rozumiem. Ale poza tymi, jak się wydaje, osobistymi ochroniarzami u tych trzech mężczyzn innych przeszkód nie ma. Policja przecież nadal nic nie wie. Jak myślisz, kiedy poznamy odpowiedź?

Wzruszył ramionami. Sam nie wiedział. Nie spodziewał się, że tak trudno będzie uzyskać niezbędne przecież informacje o numerach rejestracyjnych samochodów. Wiedział tylko, że skoro Andriej Rachimow powiedział, że potrafi rozwiązać zadanie w Danii, to znaczy, że już mają rozwiązanie. Cena wskazywała natomiast, że łatwo nie będzie — osiemset euro za każde nazwisko wraz z adresem.

— Musimy się uzbroić w cierpliwość. I nie śpieszyć się z identyfikacją właściwego człowieka. Działając pod wpływem emocji, łatwo popełnić banalny błąd, a my takich błędów nie popełniamy, prawda?

Posłała mu uśmiech i skinęła głową. Miał rację — znowu. Musiała ostudzić swój temperament. Nie ma przecież znaczenia, czy minie tydzień, czy miną dwa albo trzy tygodnie — ważne, żeby udało im się wykonać zadanie.

— Sporo się nauczyłeś, kolego — powiedziała. — Dzięki, bez ciebie nie zaszlibyśmy tak daleko.

— Nauczyłem? Co masz na myśli?

— Mogłeś zabić też tego z długimi włosami, a jednak tego nie zrobiłeś...

Niezupełnie rozumiał, do czego zmierza. Pamiętał tylko, że ostatnio zbesztła go za zbyt dużą brutalność, choć nie miała racji. Nie był brutalny — był skuteczny.

— Ten długowłosey orangutan jest nieszkodliwy. Po co miałbym go zabijać?

— Właśnie o tym mówię — uczysz się.

Było krótko po siódmej wieczorem. Zjedli burgery, które

przywiozła z jakiejś knajpy w okolicy. On był w ubikacji, a ona leżała na łóżku i oglądała telewizję. Często w ten sposób próbowała zabić czas w tych wszystkich hotelach, w których się zatrzymywali.

Aż podskoczył, gdy usłyszał jej krzyk:

— Chodź! Szybko! No chodź!

Wciągając spodnie, doskoczył do niej jak wrona z przestrzelonym skrzydłem.

— Co do cholery?

Rozhisteryzowana pokazała na ekran telewizora. Wciąż nie wiedział, o co jej chodzi. Wyglądało to na wiadomości telewizyjne — po duńsku.

— No tam! — wrzasnęła. — Zobacz, to przecież on...

Rozdział 42.

Spojrzenia mieli wbite w ekran jej komputera. Czekali, aż pokaże się to, co zapisano na pendrivie znalezionym w chacie. W końcu folder się otworzył. Były w nim dwa pliki. „Nędzne dwa pliki”, zdążył pomyśleć, nim Margrethe Franck pośpiesznie kliknęła dalej.

— To format MOV, czyli pliki wideo — wyjaśniła. Jej palce niecierpliwie stukały w blat stołu.

Jeśli to film, to może pochodzić tylko z jednego miejsca — z monitoringu. Kto wie, może jednak im się poszczęściło.

— Gotowe. A ty?

— Odpalaj — mruknął, wpatrując się w skupieniu w ekran.

Film nakręcono jesienią. Niektóre drzewa są już całkiem gołe, a na innych powiewają różnokolorowe liście. Wieje wiatr, bo co jakiś czas liście odrywają się i wirują w powietrzu. Miejsce wydaje się znajome...

— To podjazd przed Nørlund — szepnął.

Alejka jest skąpana w słońcu — ostrym i białym. W tle słyszać, jak drogą krajową przejechały dwa samochody.

Dopiero teraz zauważył datę w prawym górnym rogu — czternasty października. Film musiał być z zeszłego roku. Zegar wskazuje piętnastą trzydzieści sześć.

Alejka jest sobie po prostu, jak tunel ze światłem na końcu. Nic więcej się nie dzieje. Chociaż nie!

W alejkę skręca samochód i podjeżdża aż pod samą kamerę. Samochód to ciemnozielona terenówka Corfitzena. wtacza się niespiesznie na plac przed zamkiem. A kto jest

kierowcą? Arvidsen! Samochód wykonuje zwrot i światło przestaje się odbijać w przedniej szybie. Teraz wyraźnie widać, że to on. Parkuje samochód przodem do drzwi, nieco dalej od trzech innych samochodów ustawionych podobnie.

Powoli otwierają się tylne drzwi z lewej strony. Wysuwa się z nich obleczone czarną pończochą damska noga w bucie na obcasie i ostrożnie staje na żwirze. Arvidsen żwawo przyskakuje do drzwi i otwiera je do końca. Kobieta wysiada i rozgląda się wokół, jednocześnie podając Arvidsenowi ciemne okulary. Arvidsen obchodzi samochód, by otworzyć drzwi od strony pasażera i drugie tylne. Z samochodu wysiadają jeszcze dwie postacie — same kobiety. Wszystkie mrużą oczy w ostrym słońcu. One również oddają Arvidsenowi swoje okulary.

Teraz wszystkie trzy odwracają się w stronę zamku. Chwilę stoją, najwyraźniej ze sobą rozmawiając, a Arvidsen w tym czasie wyjmuje z bagażnika trzy walizki na kółkach i ustawia je w rzędzie na żwirze. Kobiety — z tej odległości nie widać ich twarzy — chwytają każda po jednej walizce i na sygnał Arvidsena ruszają przed siebie, żwirową drogą w stronę mostu nad fosą.

Idą w stronę kamery, z Arvidsenem na przodzie, jako przewodnikiem.

Pierwsza z kobiet to blondynka, jest niemal równego wzrostu z Arvidsenem. Bardzo atrakcyjna, o wyrazistych rysach twarzy. Ma jaskrawo czerwoną szminkę i białe zęby, które odsłania, śmiejąc się z czegoś. Jest nienagannie ubrana. Ma czerwoną kurtkę ze skóry. Może być tuż po trzydziestce.

Druga kobieta jest starsza, dojrzała — sądząc po rysach twarzy. Ma najprawdopodobniej czterdzieści kilka lat i bardziej dyskretny makijaż, odpowiedni dla kobiety w tym wieku. Jest ubrana w czarną, skórzaną kurtkę i czarny

kapelusz z futrzaną wstawką.

Trzecia kobieta wydaje się najmłodsza. Wygląda, jakby była przed trzydziestką. Choć niewykluczone, że strój trochę ją odmładza. Ma na sobie sprane džinsy z modnymi dziurami na jednej nogawce. Długie, czarne kozaki i tego samego koloru krótką, skórzaną kurtkę. Jest opalona, a obcięte na boba czarne włosy odgarnęła z twarzy, przytrzymując je okularami przeciwsłonecznymi nasuniętymi na głowę. Pełne usta układają się w szeroki uśmiech. Nagranie nie ma dźwięku, ale widać, że śmieje się z czegoś do rozpuku. Jest ładna, nawet bardzo ładna i wydaje się wesoła i pełna życia.

Kamera, z której pochodzi nagranie, musiała być zamontowana przed głównym wejściem. Teraz wszystkie trzy kobiety widać na zbliżeniu. Pokazują się nowe szczegóły. Jasnowłosa ma w lewej dziurce nosa małeńki kolczyk z kamykiem. Najstarsza ma lekko zaokrąglone policzki, choć sylwetkę ma szczupłą. Najmłodsza ma brązowe oczy, wyglądają jak ciemne perły i lśnią podobnie jak jej włosy.

Kolejno znikają z pola widzenia kamery, wchodząc po schodach.

Następuje powrót do sekwencji z początku nagrania. Pusta aleja i suche liście unoszone wiatrem.

A potem nagranie się kończy.

Przez cały czas jego trwania był maksymalnie skupiony. Teraz odchylił się i parsknął ciężko. Franck spojrzała na niego.

— Otwieramy drugi film. A potem wrócimy i zobaczymy jeszcze raz oba. Wtedy omówimy to, co na nich jest. Gotowy?

Nagranie numer dwa zaczynało się tam, gdzie skończyło się pierwsze. Ujęciem alei dojazdowej. Jediną różnicą było to, że teraz nie świeciło słońce i minęły dwa dni, bo w prawym górnym rogu widniała data szesnastego

października, godzina jedenasta czterdzieści.

Przez jakieś dwadzieścia, trzydzieści sekund nie dzieje się nic, potem pokazuje się najpierw kark Arvidsena, a następnie cała jego postać. Wychodzi głównymi drzwiami, przechodzi mały dziedziniec i idzie w stronę mostu nad fosą. Za nim wychodzi kobieta, po chwili kolejna. Obie ciągną walizki na kółkach, które podskakują na nierównym bruku. Sądząc po kapeluszu, jako pierwsza idzie ta najbardziej dojrzała, a za nią blondynka z kolczykiem w nosie. Ciemnowłosej piękności nie ma.

Docierają do mercedesa. Arvidsen wyjmuje coś z kieszeni... okulary przeciwsłoneczne. Każdej z kobiet podaje jedną parę. Potem wkłada ich walizki do bagażnika. A trzeciej kobiety wciąż nie ma. Całą trójką wsiadają do samochodu, trzaskają drzwi, samochód wycofuje i powoli rusza w głąb alejki.

— Zaraz, zaraz, brakuje tej małej z bobem — wyrwało się Franck.

Nie zareagował i jeszcze chwilę w skupieniu oglądali nagranie do samego końca.

— Teraz od nowa oglądamy oba — zarządziła.

Siedzieli blisko siebie przy małym biurku i oglądali raz jeszcze, jak wierny strażnik Hansa-Ottona Corfitzena, Poul Arvidsen, przyjeżdża z trzema kobietami, a odjeżdża z dwiema.

Wstał i od razu zajął swoje stałe miejsce na taborecie, plecami oparł się o ścianę. W należytej odległości od Margrethe Franck, która została przy komputerze. Wyglądała, jakby już sobie wszystko poukładała w głowie.

— Zaczynamy — powiedziała. — Ja notuję, a ty mówisz. Jak opiszesz to, co właśnie zobaczyłeś?

— Arvidsen przyjeżdża z trzema eleganckimi kobietami.

Masz kalendarz?

— Przed chwilą sprawdziłam. To piątek — jeśli założyć, że nagranie jest z zeszłego roku, a logicznie należy przyjąć, że tak jest — odparła.

— Mogę powiedzieć tyle, że kiedy byłem na zamku z psem, kamery nadal były na posesji. Zatem ktoś pośpiesznie je pozdejmował.

— Nie mówiłeś o tym.

— Nie?

— To mnie zresztą nie dziwi — pokręciła głową. — Ale idziemy dalej, co tam widzisz?

— No więc Arvidsen przywozi trzy kobiety w piątek po południu i widzę, jak wyjeżdża z dwiema z nich w niedzielę przed południem. Obstawiam... Europę Wschodnią. Wielokrotnie byłem na Bałkanach, byłem też w Rosji. Wszystkie mają słowiańską urodę — wysokie kości policzkowe, trochę za dużo maskary. Poza tym sama powiedz: czerwona skóra? Kolczyk w nosie? U nas to już trochę niemodne, nie sądzisz? I futro na kapeluszu... moim zdaniem spokojnie mogą być z Bałkanów albo Rosji. I oczywiście natychmiast pojawia się skojarzenie, że właśnie w Europie Wschodniej Corfitzen spędził najwięcej czasu w swojej karierze dyplomaty.

— Jakieś dalsze skojarzenia?

— Agencja towarzyska. Kategorii de luxe.

— Ekskluzywne dziwki? Dlaczego? Może po prostu przyjechały z wizytą.

— Przyjeżdżają do pracy, na zamówienie. Arvidsen je odbiera i odstawia. Stawiają się z kilkoma ciuchami na przebranie w małych weekendowych walizkach. Ale mogę się mylić. Wydaje mi się po prostu, że one nie wyglądają na

osoby z kręgów dyplomatycznych.

— To wszystko?

— Nie wiedzą, gdzie się znajdują.

— W jakim sensie?

— Ciemne okulary — każda oddaje swoją parę Arvidsenowi, kiedy przyjeżdżają do Nørlund, a gdy dwie z nich wyjeżdżają, Arvidsen ponownie im je wręcza. A ta mała czarna ma własne okulary na włosach, więc okulary od Arvidsena nie są okularami przeciwsłonecznymi. To okulary, którymi mają sobie zasłonić oczy podczas jazdy. Mało gościnne, nie sądzisz?

— Coś jeszcze?

— To, co już stwierdziliśmy: tej małej z krótkimi włosami nie ma podczas wyjazdu w niedzielę.

— Dlaczego?

— Nie wiemy. A ty co myślisz?

— Mniej więcej to samo co ty — odparła i odsunęła okulary do czytania na głowę. — Również myślę o Europie Wschodniej — gdzieś pomiędzy Polską, Ukrainą a Rumunią... Ich strój i silny makijaż nie pasuje do moich wyobrażeń o dress codzie obowiązującym w dyplomacji. I gotowa jestem zaryzykować hipotezę, że również wybór perfum był dość „krzykliwy”. Ale nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał. To wszystko jest dokładnie wyważone. One zdecydowanie nie wyglądają na tanie. Obstawiam luksusową agencję towarzyską z wysoką stawką godzinową. I raczej zostały sprowadzone na dość kameralne przyjęcie.

— Dlaczego tak myślisz?

— Z liczby zaparkowanych samochodów. Trzy, kiedy przyjeżdżają w piątek, i pięć w niedzielę, nie licząc prywatnego samochodu Arvidsena. Pięć samochodów to nie

może być wystawna ucztą w sali rycerskiej. Pytanie brzmi, do kogo należą.

— Masz rację, samochody...

Przez cały czas w pełni skupił się na kobietach, a samochody tylko mu mignęły. Za to Franck nic nie umknęło.

— Trzeba je sprawdzić. I to już! Obejrzę raz jeszcze oba nagrania i spiszę numery — powiedziała, z powrotem zsuwając hebanowe oprawki na nos.

Przyjrzał jej się ukradkiem. Właśnie ruszyło pierwsze nagranie i na powrót pogrążyła się w głębokim skupieniu. Dostrzegął w osobistej asystentce Mossmana, śledzącej z wypiekami na twarzy monitor komputera, kontrolowany, profesjonalny zachwyty i zapał.

Margrethe Franck była piekielnie zdolna i musiała być cennym nabytkiem dla zespołu. Znała swoje miejsce. Była jak kameleon — potrafiła udawać niewidzialną i milczącą, jak podczas ich pierwszego spotkania na komendzie w Aalborgu, ale umiała również w razie potrzeby wykazać się charakterem, zdolnościami przywódczymi i skutecznością. Bo wtedy, w czasie szamotaniny w hotelu między nim, Mossmanem i Rytterem, bez wahania wtargnęła do pokoju z pistoletem gotowym do strzału. I czy byłaby zdolna do niego strzelić? O tak, bez wątplenia. Skoro nawet widok martwego kolegi w kałuży krwi nie zdołał wyprowadzić jej z równowagi.

Potrafiła samodzielnie zająć się zarówno drobiazgami, jak i sprawami większego kalibru, bez uruchamiania całego długiego łańcucha decyzyjnego. Dzięki temu, pracując z nią, można było trzymać swoje karty przy ciele albo nawet w rękawie. Wyglądało to trochę tak, jakby Margrethe Franck była wielofunkcyjnym narzędziem, które Mossman stale miał pod ręką.

I choć ona sama twierdziła co innego, był przekonany, że przez jej ambicję i dumę potwornie trudno było jej przełknąć

fakt, że szefostwo najwyraźniej nie zamierzało jej wtajemniczać we wszystkie aspekty sprawy Bergsøe - Corfitzen.

Sytuacja była zupełnie jasna: Fensmarka dzieliło zaledwie kilka minut od pozyskania dla PET kluczowego być może materiału z komputera i twardego dysku. A Margrethe Franck miała o niczym nie wiedzieć.

Pytanie tylko, jak bardzo ją to ubodło. Jak daleko posunie się zazwyczaj bezwzględnie lojalna pracownica Mossmana?

Przesunęła palcami po klawiaturze i zupełnie nie zwracała na niego uwagi. Co jakiś czas przerywała i pośpiesznie coś notowała. Słyszał, że zadzwoniła do wypożyczalni samochodów i zadała jej pracownikowi kilka pytań — krótko, zwięźle, dziękuję i do widzenia.

Zaczął się zastanawiać, czy Fensmark śledził go również wtedy, gdy chował walizkę z pieniędzmi. Na pewno śledził go do miejsca, w którym zaparkował, ale w otwartym terenie chyba nie mógłby za nim chodzić, bo przecież by go zauważył.

— No nie wierzę...

Franck zamarła przed komputerem.

— Co jest?

— *Houston, we have a problem...* — westchnęła. — Sprawdziłam wszystkie pięć numerów rejestracyjnych. Trzy samochody na pierwszym nagraniu należą do Ejnara Uthajohansena, nowego szefa departamentu w Ministerstwie Obrony, Mogensa Bergsøe...

— Więc w końcu się pojawia, Bergsøe. Nareszcie.

Skinęła głową i przeszła dalej:

— Zatem Bergsøe, którego już znamy i o którym wiemy, że nie żyje. A trzeci samochód należy do Kristoffera Nyberga.

Dyrektora administracyjnego, czy CEO, jak to nazywają, w Fortuna Pharmaceutical Industries w Kopenhadze. To wielki międzynarodowy koncern produkujący leki — antydepresanty i tym podobne.

— A ostatnie dwa samochody w drugim filmie? — zapytał.

— Czwarty samochód należy do wypożyczalni Hertz i wypożyczono go z oddziału firmy na lotnisku w Aalborgu. I zgadnij, kto go wypożyczył na cały weekend ... — Franck z triumfalnym uśmiechem zawiesiła głos. — Nie kto inny, tylko Hannibal Frederiksen, nasz martwy Hiszpan.

— O cholera. On też. A ten ostatni?

— Obawiam się, Oxen, że w tym miejscu właśnie napotykały mur. Możliwe, że nie do przebicia... Bo właścicielem piątego i ostatniego wozu jest minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg.

— Minister sprawiedliwości?

— W rzeczy samej. Rządowy następca tronu, przyszły premier Danii — jeśli wierzyć mądrym głowom.

Nie skomentował tej rewelacji. Za bardzo już odpłynął we własnych myślach. Na miejscu było pięciu duńskich gości — wpływowych mężczyzn na wysokich stanowiskach, do tego sam gospodarz, stary, emerytowany ambasador. Trzech z nich nie żyje. To daje pięćdziesięcioprocentową śmiertelność po październikowym weekendzie na zamku Nørlund.

Do tego mamy trzy nieznanome, które również były gośćmi — trzy kobiety przywiezione przez Arvidsena. I jeśli wliczyć do towarzystwa i tego bydlaka, to mamy cztery trupy z siedmiu uczestników przyjęcia w tamten weekend. Jaką rolę w tej układance odgrywają kobiety?

— Szef wywiadu policyjnego podlega bezpośrednio ministrowi sprawiedliwości. Ulrik Rosborg jest szefem Axela Mossmana. Bezpośrednim, z pominięciem komendanta

głównego policji i innych szkodników. Oxen, tego faktu nie mogę zignorować, po prostu nie mogę. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Powiedz coś?

— Słucham cię, słucham... Dlaczego nie możesz?

— Hannibal Frederiksen nie żyje. Mogens Bergsøe nie żyje. Hans-Otto Corfitzen nie żyje. Do tego zarówno szef departamentu, jak i dyrektor korporacji oraz minister sprawiedliwości mogą być w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie mogę tego po prostu zignorować.

— Żaden duński polityk nie jest niezastąpiony.

— Nie wyjeżdżaj mi tu ze swoimi pretensjami do świata. To moja praca! Mój obowiązek!

— Jest coś, co powinno cię zainteresować znacznie bardziej niż minister sprawiedliwości w niebezpieczeństwie — powiedział.

— Co takiego?

— To, *dlatego* jest w niebezpieczeństwie. Co dokładnie zaszło w weekend między piętnastym a szesnastym października, co spowodowało na uczestników tego przyjęcia śmiertelne niebezpieczeństwo?

— Muszę zadzwonić do Mossmana, wybaczyć, takie są zasady. Trzy osoby muszą natychmiast dostać policyjną ochronę.

Po raz pierwszy musiał stwierdzić, że Margrethe Franck wydawała się poruszona. Nadal działała zdecydowanie i pewnie — dowiodła tego, gdy odważnie postanowiła zawrzeć z nim układ. Ale jej obecny pośpiech zdawał się graniczyć z lekkomyślnością.

— Czekaj, dajmy sobie pięć minut na ochłonięcie. Jeśli nawet zapomniałaś na chwilę, że minister sprawiedliwości może być zamieszany w sprawę — a najwyraźniej przeraża

cię sama myśl o tym — to musisz przyznać, że wciąż nie znamy odpowiedzi na pytanie, dlaczego ci trzech mężczyźni musieli umrzeć. Albo czterech, jeśli wliczamy Arvidsena. Albo pięciu mężczyzn, licząc z twoim kolegą Fensmarkiem. Odpowiedź znajdziemy, gdy bliżej przyjrzymy się trzem kobietom. Czy będziesz ze mną współpracować, jeśli spróbuję stworzyć historię alternatywną? Taką, która będzie bliska prawdy?

Wzruszyła ramionami.

— Tak naprawdę w ogóle cię nie znam. Nie wiem, czy mogę na tobie polegać. Kiedy gra zaczyna się toczyć o naprawdę wysoką stawkę, dlaczego u licha miałabym ryzykować wszystkim, włącznie pracą, która jest dla mnie ważna, i stanąć po twojej stronie? Odpowiedz mi.

— Dlatego — spojrzał jej głęboko w oczy — że co rano musisz być w stanie spojrzeć sobie w twarz, Margrethe Frank. Tak po prostu *jesteś* skonstruowana. Uczciwość... Albo o nią walczysz, albo jesteś śmieciem.

Zawahała się, a po chwili wyparowała:

— Nie! Kurwa, nie! Nie przekonasz mnie do tego. Nie będę działać za plecami Mossmana. Nie ma mowy. On musi się dowiedzieć, mam obowiązek powiedzieć mu prawdę. Kropka!

Teraz on zaczął się zastanawiać. Czy powinien to zrobić? Czy powinien rzucić na stół ostatniego asa, żeby przekonać Margrethe Franck? Rozważał wszystkie argumenty za i przeciw. W zasadzie nie miał wyboru. Jeśli jego ostatnia karta nie wystarczy, to nic nie zdoła jej przekonać.

— Jest coś, czego ci nie powiedziałem — zaczął niepewnie.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— W piwnicy Arvidsena, tam gdzie znalazłem rysunki zamku i jego listę... znalazłem coś jeszcze. Wizytówkę

Mossmana z jego tajnym numerem kontaktowym. On sam musiał ją dać Arvidsenowi.

Franck zmrużyła oczy.

— Powiązanie między Mossmanem i Arvidsenem? Czy to próbujesz zasugerować? — Nawet nie próbowała ukryć niedowierzania. — I skąd niby wiesz, że Mossman ma tajny numer, co?

— On sam dał mi identyczną wizytówkę. Z tym samym numerem kontaktowym.

— Mossman dał *ci* swój tajny numer?

— Spotkaliśmy się w tajemnicy w parku po zawarciu umowy w hotelu Hvide Hus. Powiedział, że gdybym trafił na coś grubszego, to mam się kontaktować bezpośrednio z nim. Z pominięciem ciebie i Ryttera. A potem dał mi ten numer i wskazał godziny, w których mogę dzwonić.

— Blefujesz. To niemożliwe. Wymyśliłeś to sobie! — Franck podniosła głos.

Przeszukał swoje kieszenie i znalazł w nich obie wizytówki. Położył je na biurku.

— Proszę, ta jest moja. Zdrapałem stanowisko, kiedy zamierzałem się nią wylegitymować przewodniczącemu kółka łowieckiego. A ta jest Arvidsena. Numer kontaktowy jest ten sam. To wszystko prawda.

Margrethe Franck uważnie obejrzała obie wizytówki. Po czym wbiła wzrok w sufit, rozpaczliwie szukając na nim wiarygodnego wyjaśnienia. Nerwowo mierzwiła sobie włosy, coraz głębiej wzdychając.

— To prawda, Franck. I cała prawda — powtórzył.

Przez kilka minut milczeli oboje. W końcu jej spojrzenie się uspokoiło i niemal szeptem zapytała:

— Co zatem proponujesz, Oxen? Jaka jest twoja historia

„bliska prawdy”?

— Opowiemy wszystko, trzymając się jak najbliżej faktów. Czyli tak. Jeden, jestem w chacie. Dwa, znajduję pod podłogą twardy dysk i komputer. Trzy, włączam komputer i udaje mi się zobaczyć nagranie z monitoringu w Nørlund, na którym widać szereg stojących przed zamkiem aut. Cztery, udaje mi się spisać numery rejestracyjne, kiedy wpada funkcjonariusz PET i ogłusza mnie ciosem w głowę. Pięć, kiedy się budzę, on leży obok, martwy.

— A trzy kobiety?

— One są nasze. Zostawiamy je dla siebie. Zostawiamy sobie również listę odwiedzin Arvidsena i rysunki zamku.

— Dobra, to co zatem robimy teraz?

— Jeśli zgadzasz się na to, co proponuję, wracamy do chaty. Stamtąd zadzwonisz do Ryttera i Mossmana. Ostrzeżesz ich i powiesz im o ministrze sprawiedliwości, dyrektorze koncernu i szefie departamentu. Oni zapewnią tym ludziom ochronę, żebyś nie miała wyrzutów sumienia. Przy okazji możesz im powiedzieć, żeby przysłali kogoś, by posprzątał.

— Nie rozumiem, co zamierzasz. Po prostu tego nie kumam. — Franck pokręciła głową.

— Z Mossmanem? Sam nie wiem. Ale on ma własną, osobistą strategię. I niewykluczone, że jej elementem jest baczne obserwowanie ludzi poruszających się po Nørlund. Możliwe, że realizację tego planu rozpoczął już dawno temu.

— W dodatku angażując typa pokroju Arvidsena. Bez względu na to, jaką mieli umowę, stawia to Mossmana w złym świetle.

— Kto wie, może jednak nie musisz mówić Mossmanowi tego o ministrze sprawiedliwości? — zastanawiał się głośno.

— Co masz na myśli? Jak to nie muszę? Przecież nie ma innego wyjścia — bez względu na wszystko inne.

— Może Mossman już o tym wie. Może prowadzi własną, tajną operację, polegającą na pilnowaniu swojego szefa, ministra.

— Regularna inwigilacja?

— Jako element śledztwa, naturalnie. Śledztwa mniej lub bardziej utajnionego.

Franck zmrużyła oczy.

— Albo z nieznanых nam powodów chroni swojego szefa — zaproponowała.

— Możliwe też, że chodzi o coś zupełnie innego — podsunął i próbował ułożyć swoje przemyślenia w spójną całość w trakcie mówienia. — Może powinniśmy wrócić tam, gdzie zaczęliśmy. Pamiętasz, jak powiedziałaś, że Mossman miał wykład w Consilium? Czyli kontaktował się z tą organizacją. I może to nie jest kuriozalne, jak nam się wówczas wydawało — może to jest podejrzane jak cholera. Być może Mossman należy do wąskiego kręgu wtajemniczonych i współpracując z Arvidsenem, chronił Corfitzena — a nie ministra.

Margrethe Franck pokiwała głową z uznaniem.

— Możliwych wersji jest sporo. Arvidsen nie żyje. Nie dowiemy się, czy na przykład on sam nie skontaktował się z Mossmanem z propozycją jakiegoś układu. Chcę tylko powiedzieć... Co tak naprawdę oznacza wizytówka i tajny numer telefonu?

Wzruszył ramionami.

— Na to może odpowiedzieć tylko Mossman. Ale nie możemy go zapytać. Musimy grać według jego reguł. I zachować wobec niego najwyższą ostrożność. Taka jest moja

propozycja. Co ty na to, Franck?

Skinęła głową, ale widać było, że nadal ma wątpliwości.

— Wchodząc w to, stawiasz się w identycznej pozycji jak Arvidsen. On miał, a ty masz nadal, umowę z Mossmanem. Naprawdę nie dajesz ci to do myślenia?

Owszem, myślał o tym bardzo dużo. Od samego początku, odkąd powiedział Franck, że coś tu śmierdzi.

— Wciąż nie wiem, czego on chce. Wiem tylko, że chce mnie jakoś wykorzystać. A to, co się stało z Arvidsenem, każe mi jedynie zachować najdalej idącą ostrożność.

— Tamtego dnia w hotelu Hvide Hus... Nie rozumieliśmy z Rytterem, dlaczego dał ci te ćwierć miliona koron. Wyjaśnił nam tylko, że możesz się przydać w śledztwie. Kiedy zapytałam, czy jako *pożyteczny idiota*, on odparł: „Zobaczmy...”. Nie żałujesz, że się zgodziłeś?

— A jaki miałem wybór? Mógłbym pojechać gdzieś daleko. A i tak któregoś dnia mogliby mnie obudzić w środku nocy i aresztować za morderstwo, którego nie popełniłem. Teraz przynajmniej uczestniczę w śledztwie. Wciąż jeszcze mogę pilnować swoich pleców i w razie czego zareagować.

— Czyli sądzisz, że chcą cię zabić?

Rozłożył ręce bezradnie.

— Naprawdę nie wiem. Ale spójrzmy, co za swoje pieniądze dostaje Mossman: najprawdopodobniej niezrównoważonego psychicznie, straumatyzowanego weterana z motywem w obu zabójstwach. Oraz wątpliwym poczuciem moralności — wystarczy zajrzeć do mojej kartoteki policyjnej. Zatem możliwe, że jednak zrobił dobry interes. Kontroluje sytuację.

— Tak naprawdę lubię Mossmana, starego, samotnego wilka. Uważam go za człowieka do cna szczerego. Dlatego to

wszystko tak bardzo mnie martwi.

Margrethe Franck rzeczywiście wyglądała, jakby na myśl, że jej szef mógłby się okazać pospolitym draniem, robiło jej się przykro.

— Co więc robimy? — zapytała po chwili.

— Idziemy dalej. Przekonamy się, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Mam wrażenie, że wciąż poruszamy się na peryferiach czegoś naprawdę dużego. Trzy kobiety są kluczem do następnych drzwi. Musimy się dowiedzieć, skąd przywiózł je Arvidsen i skąd pochodzą.

— Dowiem się tego. Tu, na północy, chyba jedynym logicznym strzałem jest lotnisko w Aalborgu — podsunęła.

— Tyle że jeśli oficjalnie wystąpimy o udostępnienie listy pasażerów, Mossman natychmiast się dowie, czym się zajmujemy, i nie będziemy już mogli działać samodzielnie.

— Znam kogoś. Mogę zapytać nieoficjalnie, czy rzeczywiście przyleciały do Aalborga.

— Świetnie. A teraz wracamy do chaty.

Rozdział 43.

Ciało Fensmarka wciąż leżało w czarnej kałuży skrzepłej krwi na zakurzonej podłodze myśliwskiej chaty. Siedzieli wśród zieleni na zadaszanej werandzie i niespecjalnie im się spieszyło. Świeże powietrze tak bardzo kontrastowało z duchotą panującą w zapomnianej chacie.

Margrethe Franck zadzwoniła do swojego szefa i przekazała mu wersję prawdy, którą uzgodnili. Mossman bez wahania uruchomił swój sztab ludzi. Z Aarhus na miejsce wysłano dwa samochody.

Zabójstwo Fensmarka i jego okoliczności natychmiast utajniono, więc całe śledztwo będzie prowadzone w tajemnicy. Komisarz Grube i jego koledzy z Aalborga najprawdopodobniej o niczym się nie dowiedzą.

Zamordowano przewodniczącego komisji z Wambergu, a politycznemu zwierzchnikowi PET, ministrowi sprawiedliwości, groziło niebezpieczeństwo. Oba fakty stanowiły część jednej, złożonej sprawy. Policyjna Służba Wywiadowcza zamykała się od środka.

— Przypomnij mi: jak ma na imię twój syn? — zapytała Franck po długim milczeniu.

— Magnus — odparł.

— I co robicie, jak jesteście razem, ty i Magnus?

— Normalnie, to, co wszyscy. Gramy w piłkę, idziemy do kina albo do zoo, latem jeździmy nad morze, normalnie, jak wszyscy.

— A potem, gdy przeniosłeś się na północ, do lasu?

— Rozmawialiśmy o tym. Wyjaśniłem mu, że muszę się przeprowadzić na jakiś czas... Cholera jasna, sporo im zajmuje ta droga z Aarhus, nie?

— Mieszkałeś w Nordvest. A twoja była żona gdzie mieszka?

— W Charlottenlund. A ty? Masz męża?

Franck pokręciła głową.

— Dlaczego nie?

— Praca za bardzo mnie pochłania. Byłeś dobrym policjantem?

Czubkiem buta grzebał w ziemi.

— Już kiedyś mnie o to pytałaś.

— No więc byłeś?

— Myślę, że wystarczająco dobrym.

— To się stało z dnia na dzień, prawda? To, że postanowiłeś zrezygnować.

— Nieprawda. Długo się nad tym zastanawiałem. O tym też już ci mówiłem.

— A rozmawiałeś o tym z innymi, zanim się zdecydowałeś?

— Nie, raczej nie...

— Może nie zdążyłeś się na dobre z nikim zakolegować, albo zaprzyjaźnić, wtedy, w Bellahøj?

— No nie, niespecjalnie...

— Oxen, czy ty jesteś osobą zamkniętą?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Nie złagodziła go żadnym uśmiechem ani prychnięciem, które mogłyby mu nadać żartobliwy ton. Patrzyła tylko na niego swoimi poważnymi

oczami.

— Dziwne pytanie. Zamknięty? Tak mnie postrzegasz?

— Zastanawiam się po prostu. Te wojny, piekło, które widziałeś i przeżyłeś... Człowiekowi może być ciężko nosić to w sobie. Ciężko wieść zwyczajne życie z jego zwykłymi, małymi problemami, którymi podniecają się wszyscy wokół. Człowiek może się wtedy poczuć trochę — samotny. To właśnie miałam na myśli.

Były dwie, może trzy możliwości, jeśli chodzi o Margrethe Franck, kiedy od czasu do czasu go wypytywała i starała się zbudować między nimi poczucie bliskości: albo kierowały nią względy czysto zawodowe, albo autentycznie ją interesowały jego uczucia, albo i jedno, i drugie.

— To oczywiste, że pewne sprawy po powrocie do kraju wydają się bez znaczenia. Ale nie można z tego powodu...

Usłyszał odgłos silnika. Coraz głośniejszy.

— Są wreszcie — odetchnął z ulgą.

Chwilę później na końcu leśnej drogi ukazał się van, a tuż za nim następny. Dwa białe volkswageny transportery powoli wtoczyły się na polanę i zatrzymały przed chatą.

— W jednym technicy, w drugim czyściciele, *the cleaners* — mruknęła Margrethe.

Chwilę później z samochodów wysiedli ludzie, wszyscy się przywitali i podali sobie ręce. Bez zbędnego gadania zaczęli wkładać kombinezony, a Margrethe Franck zaprowadziła ich na scenę dramatu, gdzie od razu przejęli dowodzenie.

Technicy musieli oczywiście pobrać próbki i zabezpieczyć ślady na miejscu zdarzenia, poszukać odcisków palców, sfotografować i zrobić odlewy odcisków opon, które najprawdopodobniej znajdą się gdzieś dalej przy drodze. Dwaj czyściciele czekali na swoją kolej. Kiedy tylko dostaną

zielone światło, włożą ciało do worka i wrzucą je do samochodu. Potem wkroczą do środka uzbrojeni w środki czystości i szmaty.

Z czasem wszystkie ciemne sprawki pokryje kurz.

Było po dziewiątej. Znowu siedzieli obok siebie przy biurku Margrethe w jej pokoju. Zjedli razem kolację — to ona wyszła z propozycją.

I choć wolał jeść sam, czuł, że tym razem musi się zgodzić, że będzie to gest symboliczny i swoiste przypieczętowanie ich paktu.

Przed chwilą wrócił z piwnicy, skąd ze schowka za płytami sufitowymi przyniósł materiały Arvidsena. Studiowali teraz jego rejestr gości.

— W zasadzie wszystko się zgadza z tym, co już wiemy — powiedziała Margrethe Franck. — To w istocie lista odwiedzających. Sprawdźmy od razu czternasty i szesnasty października.

Podążył wzrokiem za jej palcem wskazującym. Pod hasłem „przyjazd” czternastego października widniało pięć wpisów i pięć skrótów: H.F., jak Hannibal Frederiksen, E.U.J., jak Ejnar Uth-Johansen, szef departamentu w Ministerstwie Obrony, M.B., jak Mogens Bergsøe, adwokat i przewodniczący komisji z Wambergu, K.N., jak dyrektor koncernu farmaceutycznego Kristoffer Nyberg, i wreszcie jako ostatni tamtego dnia przybył U.R., minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg.

Wszystkie skróty pojawiły się ponownie w niedzielę w kolumnie „wyjazd”.

— Zostaje też cała masa inicjałów, o których nic nie wiemy — zauważyła. — Kim może być na przykład A.A. albo L.J.?

— Zgadywanie nie ma sensu.

— Mogę obejrzyć rysunki?

Przytaknął i rozłożył na biurku pierwszy z nich. Franck w milczeniu przesuwiała wzrokiem tam i z powrotem po planie parteru budynku głównego i licznych pomiarach, i obliczeniach.

— Podobnie wyglądają rysunki skrzydeł i pozostałych kondygnacji — wyjaśnił.

Franck zamierzała coś powiedzieć, kiedy zadzwonił jej telefon. Wydawała się podekscytowana, gdy notując, literowała kolejne nazwiska, i raz po raz wylewnie dziękowała swojemu rozmówcy. Po kilku minutach zakończyła rozmowę, mówiąc po raz ostatni „wielkie dzięki”, i się rozłączyła.

Zagwizdała wyraźnie podekscytowana.

— Mam je, mam nazwiska — oświadczyła.

Musiał mieć pytający wzrok, bo po chwili dodała:

— Nazwiska tych trzech kobiet. Tak jak obiecałam. Przyleciały na lotnisko w Aalborgu, jakżeby inaczej? Nazywają się Danuté Romancikiene, Virginija Zakalskyte i Jolita Turai Baronaité. Pochodzą z Litwy, do Kopenhagi przyleciały w piątek czternastego października SAS-em, lot numer SK745 z Wilna. Stamtąd poleciały dalej do Aalborga. W niedzielę szesnastego wróciły tą samą trasą, lotem numer SK744 do Wilna. Ale tylko Danuté i Jolita.

— Czyli ta ładna z bobem i brązowymi oczami to Virginija.

— Tak.

— Może wróciła innym lotem innego dnia?

— Pytałam, odpowiedź brzmi: nie. Jeśli Virginija Zakalskyte wróciła do Wilna, to nie samolotem. Mój informator wspomniał, że zarówno z Kilonii, jak i Karlshamn kursują promy do Kłajpedy. Na upartego można się tam

również dostać drogą lądową. Zaraz sprawdzę porty.

— Jutro lecę do Wilna.

Jego postanowienie wywołało na czole Margrethe Franck głęboką zmarszczkę. Być może zastanawiała się, czy nie powinna pojechać z nim. Szybko więc dodał: — Bo rozumiem, że jutro wracasz do siebie, żeby rozmówić się z szefem koncernu, szefem departamentu i ministrem sprawiedliwości, prawda? Ja mogę w tym czasie szybko obrócić tam i z powrotem. Poza tym mówię po rosyjsku, co pewnie nadal pozwala się sprawnie porozumieć w tamtych stronach. Potrzebujemy jednak adresów.

Pokiwała głową potakująco i zaczęła się głośno zastanawiać: — To zdecydowanie dobra myśl, żeby od razu wyruszyć. Tyle że jeśli mamy zdobyć dla ciebie te adresy, to zostawimy za sobą bardzo wyraźne ślady. Kontrola przylotów nie ma ich u siebie. Jest oczywiście Europol... Duński łącznik w Hadze mógłby się skontaktować ze swoim litewskim kolegą, który z kolei musiałby je dla nas wygrzebać z rejestru krajowego. Ale każdy z tych kroków pozostawi ślad. Ostatnia możliwość to skontaktowanie się z oficerem łącznikowym rezydującym w krajach bałtyckich w ramach współpracy między nordyckimi służbami policyjnymi. Wydaje mi się, że obecnie tę funkcję pełni Szwed, i o ile dobrze pamiętam, jego główna siedziba mieści się w Estonii. To nieco okreźna droga do uzyskania adresów w Wilnie. I ona również pozostawi ślad. Mossman natychmiast się zorientuje.

Margrethe Franck rozdrażnionym gestem dmuchnęła w długą grzywkę odsuwając ją z oczu. Wszystkimi palcami prawej ręki stukała w blat biurka, rozpaczliwie szukając wyjścia, a jej spojrzenie coraz bardziej się oddalało.

— A może... — zaczęła — może jednak jest pewien sposób.

— Jaki?

— Właśnie sobie przypomniałam, że jak miałam szkolenie

w Helsinkach jakieś dwa lata temu, to był tam jeden gość, i jestem prawie pewna, że mieszkał w Wilnie. Miał na imię Zigmantas. Zigmantas jakiś tam. Wydawał się w porządku, może trochę napastliwy. Potem napisał do mnie maila. Myślę, że jeśli go poproszę, to nam pomoże. I zrobi to dyskretnie. Tego jestem pewna. Zajmę się tym jutro rano.

Ponownie zagłębili się w rysunkach. Po godzinie wstał i zamierzał iść spać. Zanim jednak dotknął klamki, powiedziała: — Wiesz co... mam czasem flashbacki. Z tamtego wypadku, z nogą... i cholernie przerażające koszmary. Teraz już nie tak często, ale wciąż się zdarzają. Cztery, pięć, może sześć razy w roku.

Pokiwał głową i uśmiechnął się, a jednocześnie zrobił się lekko spięty.

— Oxen, wyjechałeś do lasu, żeby sobie wszystko poukładać?

Wzruszył ramionami.

— Żeby znaleźć... spokój. Z Mr. White'em chcieliśmy tylko mieć spokój.

— A teraz Mr. White'a nie ma. — Najwyraźniej nie chciała go wypuścić.

Znów pokiwał głową i otworzył drzwi. Miał je właśnie za sobą zamknąć, kiedy rzuciła jeszcze: — Ty nie robisz tego dla pieniędzy.

— Dobranoc. Śpij dobrze — pożegnał się i szybko zamknął drzwi.

Jutro musi wcześniej wstać. Musi polecieć do Wilna i znaleźć Virginiję Zakalskyte, Jolitę Turai Baronaité i Danuté Romancikiene.

Rozdział 44.

Młoda kobieta w recepcji hotelu Tilito w centrum Wilna szczególnie uważnie mu się przyjrzała, kiedy położył na blacie potwierdzenie rezerwacji.

— *Niels Oxen, Dania? Wobec tego mam coś dla pana.* — Otworzyła szufladę i wyjęła z niej dużą kopertę.

Zatem Margrethe Franck załatwiła sprawę tak, jak powiedziała, że załatwi. Naprawdę potrafiła zorganizować wszystko.

Szybko wypełnił formularz meldunku, wziął jeden z darmowych planów miasta leżących na blacie i wjechał windą na trzecie piętro. Po kilku chwilach rzucił się na łóżko w swoim pokoju i otworzył kopertę. Wewnątrz była zapisana odręcznie kartka A4 — po angielsku i z załączoną kopią zdjęcia, niezbyt wyraźną.

„Do Nielsa Oxena. Poniżej lista adresów, które obiecałem Margrethe. W Wilnie i okolicy mieszka oczywiście więcej osób o tych samych imionach i nazwiskach, ale część z nich wykluczyłem na podstawie przybliżonego wieku, który podała mi Margrethe. Poniżej te, które zostały. Co do Virginii, zgłoszono u nas zaginięcie osoby o tym nazwisku (załączam kopię zdjęcia). Powodzenia. Proszę dzwonić w razie problemów”.

Wiadomość podpisano „Ramunas Zigmantas”. Życzliwy mężczyzna, któremu wpadła w oko Margrethe Franck i który najprawdopodobniej pracował w wileńskiej komendzie albo w służbie wywiadowczej, zostawił również numer swojej komórki. Zaczął czytać listę.

Virginija Zakalskyte: na liście były trzy osoby o tym nazwisku, ale szukanie tej właściwej było zbyteczne. Ksero zdjęcia nie było aż tak kiepskie, by nie dało się na nim od razu rozpoznać młodej, atrakcyjnej kobiety z nagrania. Ona była właściwą Virginiją. I najwyraźniej nigdy nie wróciła na Litwę. Miała dwadzieścia siedem lat.

Zigmantas pisał, że jej zaginięcie zgłoszono cztery miesiące temu, ale rodzina twierdziła, że nie mieli od niej wieści od mniej więcej ośmiu miesięcy, co by oznaczało, że nikt jej nie widział, odkąd poleciała do Danii w październiku. Na liście widniały adresy zarówno jej, jak i jej rodziny.

Jolita Turai Baronaitė: w Wilnie mieszkała tylko jedna osoba o tym nazwisku. Pozostawało mieć nadzieję, że ta, której szukali. Miała trzydzieści cztery lata i mieszkała w dzielnicy Żyrmuny.

Danutė Romancikiene: najstarsza z trójki kobiet sprowadzonych do zamku Nørlund dla rozrywki. Tu możliwości były trzy — trzy adresy kobiet w wieku od czterdziestu czterech do pięćdziesięciu lat. Będzie musiał odwiedzić każdą po kolei.

Miał do dyspozycji całe popołudnie, a że akurat była sobota, pewnie ma większe szanse powodzenia, niż miałby w dzień roboczy. Plan miasta zawierał indeks ulic. Został przeszkolony, by szybko i skutecznie czytać i zapamiętywać mapy. Niecały kwadrans zajęło mu odnalezienie ulic na planie, zaznaczenie ich kółkiem i zapamiętanie, jak są rozmieszczone względem siebie.

Potem wstał gotów do działania, wziął z łóżka swój mały plecak, do wewnętrznej kieszeni włożył listę adresów i zatrzasnął za sobą drzwi pokoju.

Skoro zidentyfikował już Virginiją Zakalskyte i miał całkowitą pewność, że zaginęła, postanowił zacząć od zadania najprostszego: wizyty u Jolity Turai Baronaitė.

Przeszedł krótki kawałek w dół szerokiej T. Vrublevskio gatvé biegnącej obok monumentalnej katedry wileńskiej i wiodącej na południe, w stronę serca starego miasta albo przez most do części północnej.

Pomimo soboty panował spory ruch. Rozgrzane opony piszczały na bruku. W końcu udało mu się zatrzymać taksówkę. Kierowca zjechał do krawężnika i gwałtownie zahamował.

Podał adres po rosyjsku, co nie wywołało żadnej negatywnej reakcji. Na Litwie nigdy nie było aż tylu Rosjan, co w dwóch pozostałych siostrzanych republikach bałtyckich, i tu również odzyskanie niepodległości nie wiązało się z podobnymi jak tam problemami. Kierowca skinął głową i poczekał na przerwę w ruchu, by bezceremonialnie wykonać niedozwolony nawrót, i już zmierzali do celu.

Oddalali się od centrum, zmierzając do położonej kilka kilometrów na północ dzielnicy Żyrmuny, gdzie mieszkała Jolita. Kierowca wrzucił trzeci bieg i posłużył się mostem Króla Mindaugasa jako wyrzutnią, by tempem błyskawicy przedrzeć się na północ miasta. Most nie wyglądał na królewski. Wsparty na wielkich żelaznych łukach przypominał prymitywną konstrukcję, jaką wojska inżynieryjne potrafiły postawić w jeden dzień.

Poniżej leniwie płynęła rzeka Neris. Jej brzegi stanowiły wysokie, pochyłe stoki, które umocniono — lekceważąc względy estetyczne — uzbrojonymi betonowymi płytami wypełnionymi ziemią. W niektórych miejscach porastała je trawa, w innych wyglądały jak poznaczone bliznami plamy surowego betonu i gołej ziemi, niczym stara rama okalająca srebrzyste zwierciadło wody.

Więcej nie zdołał zobaczyć. Na pierwszym większym skrzyżowaniu kierowca ostro skręcił w prawo i jadąc równoległe do zakola rzeki, kierował się na północ.

Po obu stronach drogi stały budynki mieszkalne. Dopiero gdy ujechali spory kawałek na wschód, jednostajny horyzont przełamało zalesione wzniesienie.

Kiedy mijali szereg zaniedbanych betonowych bloków przy samym korycie rzeki, znajomy widok wywołał w nim ukłucie radości. Charakterystyczne, postsowieckie slumsy.

Każde z mieszkań miało mały, zadaszony balkon, z którego mieszkańcy mogli cieszyć się własnym skrawkiem widoku. Tych kilka dodatkowych metrów kwadratowych wykorzystywano z niesłabnącą pomysłowością. Najczęściej wypełniały je sznury prania, a ubytki w balustradzie uzupełniano przypadkowymi kawałkami drewna albo kawałkami blachy falistej. Czasem balkony wyglądały jak prawdziwe szklarnie zarośnięte bujnymi palmami, a czasem jak dzieła sztuki wyczarowane mozaikami z kolorowych szkiełek.

Swojski krajobraz rozczył go, bo w niewielkim stopniu przypominał mu o tkwiącej w każdym człowieku potrzebie pielęgnowania własnej indywidualności i niezłomnej walce o swoje marzenia. I o tym, że wszędzie odradza się życie, bez względu na okoliczności.

Chwilę później kierowca skręcił w lewo, skinął krótko i przerwał ciszę:

— Jesteśmy prawie na miejscu. To te bloki zaraz za Senukaiem.

Nie miał pojęcia, co to Senukai, ale po chwili wjechali na rozległy obszar z nowoczesnym centrum handlowym i przylegającymi do niego budynkami roboczymi. Ludzie wokół taszczyli wypchane reklamówki z zakupami z supermarketów, które według szyldów właściwie nigdy nie były zamknięte.

Kierowca musiał mieć na myśli szereg nowoczesnych bloków mieszkalnych, które wznosiły się w tle, pomalowane

na stonowane kolory tworzące harmonijną całość. Kierowca ponownie skręcił, podjechał na tyły osiedla i zwolnił.

— Może się pan tu zatrzymać, sam znajdę numer — powiedział, dając kierowcy sygnał, by się zatrzymał.

„K. Ladygos gatvé”, głosiła tabliczka na rogu najbliższego bloku. Zapłacił i wysiadł. Zerknął na zegarek. Nie najgorzej. Półtorej godziny temu opuścił lotnisko, a teraz był już tutaj.

Jolita Turai Baronaitė mieszkała pod numerem ósmym przy K. Ladygos gatvé, na trzecim piętrze, drzwi po prawej.

Dopiero teraz dotarło do niego, czym było Senukai, bo na całej długości tylnej ściany budynku, przy rampach załadunkowych stały ciężarówki. I wszędzie stały bele Rockwoola, stopy cegieł, drewna i pustaków. Co jakiś czas z budynku wyłaniali się klienci, wlokąc za sobą wszystko, od futryn drzwi aż po skrzynki z kwiatami. Senukai dostarczał materiały, za pomocą których każdy wilnianin mógł zrealizować marzenie — małe i duże.

Zatrzymał się pod numerem ósmym. Na parterze mieścił się damski salon fryzjerski, a on spojrzął w górę i zadumał się, jakie marzenie mogła spełniać Jolita z trzeciego piętra.

Czytał listę mieszkańców na domofonie, ale nie znalazł na niej Jolity Turai Baronaitė — ani na piętrze trzecim, ani na żadnym innym. W ogóle nie było tu żadnej Jolity. Może Zigmantas miał stare informacje?

Z budynku wyszedł mężczyzna. Z trudem przeciskał się przez drzwi, niosąc małą dziewczynkę, a drugą trzymając za rękę. Postanowił go zapytać:

— Szukam Jolity Turai Baronaitė. Powiedziano mi, że mieszka w tej klatce, ale jej nazwiska nie ma na domofonie.

— Tu nie mieszka żadna Jolita. Ale mieszkamy tu dopiero od pół roku, lepiej ją zapytaj, ona wie wszystko — wskazał głową salon fryzjerski. W oknie od frontu zamaszystą złotą

czcionką stało: „Chez Svetlana”. Podziękował i wszedł porozmawiać z rosyjską fryzjerką. Nie wiedział, czy jej uwagę przykuły jego długie włosy, czy po prostu mężczyzna w jej salonie był rzadkim widokiem. W każdym razie bez najmniejszego zażenowania mierzyła go wzrokiem.

— Chciałem się zobaczyć z Jolitą z tej klatki. Jolitą Turai Barnaité. Ale jej nazwiska nie ma na domofonie. Nie bardzo wiem, jak to rozumieć...

Svetlana spuściła wzrok i na powrót skupiła się na siwej koafiurze siedzącej na fotelu starszej pani.

— Ach — westchnęła i pokręciła głową — biedna Jolita...

— Dlaczego? Czy coś jej się stało?

— Więc pan o niczym nie wie. Ona nie żyje. Minęło zresztą sporo czasu. To się stało w październiku zeszłego roku. To była kochana dziewczyna. Jedna z moich stałych klientek. Czasem wpadała do mnie tak po prostu, napić się herbaty.

— Jak to nie żyje?

— Odebrała sobie życie... połknęła tabletki. Sądząc z tego, co mówią, zostawiła list. Podobno nieszczęśliwa miłość. Ale ja w to nie wierzę. Nie ona. Leży tam, na Antokolu.

Svetlana machnęła głową w bok.

— Nie rozumiem?

— No, na cmentarzu, oczywiście. Na cmentarzu w dzielnicy Antokol, to po drugiej stronie rzeki. Jej matka pracuje tam jako grabarz. Czy to nie ironia losu?

— Nie wiedziałem.

— Wiem, że pan nie wiedział. Nie wygląda pan też, jakby ją znał szczególnie dobrze. Pan nie jest stąd, prawda?

— Nie, rzeczywiście, dawno się nie widzieliśmy. Kiedyś

blisko się przyjaźniliśmy. I dobrze pani zgaduje, nie mieszkam tu.

— W takim razie niech pan tam pojedzie i uczci jej pamięć. Dziś sobota. Svetlana spojrzała na wiszący nad lustrem zegar. I nie jest zbyt późno. Ma pan spore szanse, że jej matka będzie jeszcze w pracy. Zwłaszcza jeśli niedawno był pogrzeb albo jakiś pogrzeb się szykuje. Proszę ją ode mnie pozdrowić, od fryzjerki Svetlany.

— Tak zrobię. Może mi pani jeszcze tylko powiedzieć, czym właściwie w ostatnim czasie zajmowała się Jolita?

— Była sekretarką w ambasadzie Norwegii.

— Dziękuję.

Skinął głową na pożegnanie i zamknął za sobą drzwi. Właściwie mógł się domyślić, że tak będzie. Za łatwo to wszystko poszło. A teraz nagle dotarło do niego, że najprawdopodobniej dalej będzie jeszcze trudniej.

Cmentarz antokolski był jak z innego świata. Martwi spoczywali w lesie u stóp wzgórza wśród grubych pni dorosłych drzew iglastych, tui, cisów, jałowców i innych roślin zimozielonych.

Między drzewami panował błogi spokój i cisza, mimo że miejsce znajdowało się całkiem niedaleko ruchliwych ulic biegnących równoległe do rzeki. Najszersza aleja była wysypana żwirem i dokładnie wyplewiona. Mniejsze ścieżki pokrywała gruba warstwa brązowych igieł, po których stąpało się bezdźwięcznie jak po miękkim kobiercu. Nawet ptaki zdawały się wyczuwać, że powinny w tym miejscu odpowiednio ściszyć swoje trele.

Szybko wypatrzył jedyną kobietę, która najwyraźniej tu pracowała. Była zajęta plewieniem.

Była w średnim wieku i potwierdziła, że Jolita była jej córką, kiedy się przedstawił jako jej kolega z ambasady i

wyjaśnił, że niedawno wrócił po długim urlopie i dopiero teraz usłyszał smutną wiadomość.

— Grzebiąc własne dziecko, ma się poczucie, że tak nie powinno być. Że to jest złe, i nieskończenie niesprawiedliwe. Nawet kiedy ktoś tak jak ja przepracował na cmentarzu dziesięć lat i wie przecież, że to się zdarza, bo życie bywa niesprawiedliwe — powiedziała cicho.

— Jest mi niezmiernie przykro — powiedział i czuł napięcie w całym ciele. — Czy może mi pani pokazać jej grób?

— Oczywiście, proszę tędy.

W milczeniu cofnęli się do wyjścia, skręcili w wąską ścieżkę okalającą wzniesienie z trzema dużymi sosnami. Nagrobek znajdował się na jego szczycie. Wokół pachniało wilgocią i wszystko pokryte było warstwą mchu, który wpełzał również na nagrobki położone w wiecznie zacienionym miejscu. Nagrobek Jolity był od niego wolny, ponieważ nie stał tu jeszcze dość długo.

Z daty na płycie nagrobnej wynikało, że zmarła zaledwie trzy dni po powrocie z Danii. Tylko trzy dni.

— Svetlana, fryzjerka z bloku Jolity, kazała panią pozdrowić — powiedział.

Kobieta podziękowała skinieniem.

— To ona powiedziała mi, co się stało. I muszę przyznać, że nie mogłem w to uwierzyć. Jolita była taką pogodną osobą.

— My również tego nie pojmujemy — kobieta przyznała mu rację. — Ale czy nie tak to zwykle wygląda? Wydaje nam się, że wiemy wszystko, a gdy przyjdzie co do czego, to nie wiemy nic. W swoim liście wyjaśniła nam, dlaczego to zrobiła. Wiedzieliśmy oczywiście, że przez jej życie przewijali się różni mężczyźni. Ale żeby aż tak się zakochać? I to

nieszczęśliwie? Co to, to nie. Myślę, że nikt z nas nigdy tego nie zrozumie.

Wymienili jeszcze kilka spostrzeżeń na temat Jolity i życia w ogóle, i tego, jak ciężko to wszystko znieść. Na koniec położył dłoń na jej ramieniu, podziękował i się pożegnał.

Czuł niesmak, że przyszedł na cmentarz, udając kogoś innego. Odetchnął z ulgą, kiedy zamknął za sobą bramę. Obecnie widział dwie możliwości.

Albo Jolita przeżyła w Nørlund coś tak wstrząsającego, że nie była w stanie z tym żyć, albo przeżyła coś, co oznaczało, że musi umrzeć, i ktoś jej w tym dopomógł. To drugie wydawało mu się bardziej prawdopodobne.

Teraz naprawdę miał złe przeczucia co do Danuté Romancikiene. Musi ją jak najszybciej odnaleźć.

Odnalezienie właściwej Danuté kosztowało go ponad dwie godziny i trzy długie kursy taksówką. Dopiero przy trzeciej, ostatniej próbie znalazł ją w dużym domu w centrum miasta, po tym jak zwiedził dzielnice Leszczyniaki na południowym zachodzie i Tarande na północy.

Drzwi otworzyła nastolatka. Po krótkim wstępie potwierdziła jego najgorsze podejrzenia, kiedy ze szklistymi oczami i z zaciśniętym gardłem odparła:

— Mama... nie żyje.

Przedstawił się jako dawny kolega z pracy jej matki i by podać jakiś powód wizyty, powiedział, że będąc przejazdem w mieście, chciał się z nią spotkać po latach. Mówiąc to, pokazał jej zdjęcie w komórce, miał więc pewność, że mówili o tej samej Danuté.

Dziewczynka dzielnie wytarła łzy. I choć nienawidził się za to, musiał dalej odgrywać swoją rolę.

— Bardzo mi przykro. Nie wiedziałem. Kiedy to się stało?

Za dziewczynką stanął nastoletni chłopiec. Brat przyszedł siostrze z odsieczą.

— Kolega? Z ministerstwa?

Potwierdził skinieniem głowy.

— Tak, z ministerstwa. Ale to było dawno temu. Tak dawno, że mówiąc szczerze, nie wiem nawet, gdzie wasza mama pracowała ostatnio.

— Była sekretarką szefa w Ministerstwie Gospodarki — wyjaśnił chłopak.

— A to... kiedy to się stało?

— Zginęła w wypadku samochodowym dwudziestego października zeszłego roku. Straciła panowanie nad samochodem i zjechała z drogi podczas podróży do Połagi.

— W październiku? Nasza wspólna znajoma mówiła, że wasza mama była zeszłej jesieni w Danii. Może jej towarzyszyliście?

Rodzeństwo wymieniło zdziwione spojrzenia.

— Nic nie wiemy o wyjeździe do Danii. Tamta koleżanka musiała coś pomieszać. Mieszkaliśmy w mieście, w internacie. Teraz mieszkamy razem tutaj, do czasu aż się dowiemy, co dalej robić. Mama była właścicielką tego mieszkania.

— Rozumiem. Bardzo mi przykro... nie będę wam więcej przeszkadzał.

Pożegnał się i szybkim krokiem wyszedł na powietrze. Ogromna posesja na Pylimo gatvé w starej części miasta była świetnie utrzymana, fasadę zdobiły sztukaterie elewacyjne w kształcie wieńców laurowych i winorośli. Nawet najbardziej pracowita sekretarka w jakimkolwiek litewskim ministerstwie mogłaby co najwyżej pomarzyć o zakupie takiej nieruchomości. Ale dystygowana Danuté

Romancikiene miała najwyraźniej dodatkowe źródło dochodu.

Pozwolono jej żyć o jeden dzień dłużej niż jej młodszej koleżance Jolicie. Wypadek? Czemu nie? Sposób skuteczny i mniej kłopotliwy niż pozorowane samobójstwo. Sprawcom mogło zależeć, by oba zgony skrajnie się od siebie różniły.

Gdziekolwiek Zigmantas znalazł adresy tych kobiet, litewskie bazy danych są ze sobą połączone wadliwie albo nie są połączone wcale, skoro można umrzeć, a mimo to żyć. Wyjął z kieszeni listę i sprawdził adres rodziców Virginii Zakalskyte.

W tej chwili nie potrafił sobie wyobrazić, czego mógłby się od nich dowiedzieć, co posunęłoby jego śledztwo choćby o krok na przód. Ale to była jego ostatnia szansa. Znalazł się w punkcie wyjścia — wiedział tylko tyle, że wszystkie trzy uczestniczki weekendowego przyjęcia na zamku Nørlund najwyraźniej zmarły śmiercią nagłą. Chyba że Virginija zniknęła z własnej woli, czego teoretycznie nie mógł wykluczyć.

Część miasta o nazwie Zwierzyniec leżała na zachód od centrum i była wciśnięta w kieszeń powstałą w zakolu rzeki Neris. Okolica wyraźnie różniła się od miejsc, które dotąd odwiedził w czasie swojego ekspresowego poznawania miasta. Sporo domów wolno stojących — widać było, że mieszkający tu ludzie dbają o obejścia.

Wcześniej przejechał obok miejsca, gdzie znajdowało się mieszkanie Virginii. Elegancka kamienica na ulicy odchodzącej od deptaka z modnymi sklepami, prospektu Giedymina. Zastanawiająco atrakcyjna lokalizacja dla dwudziestosiedmioletniej dziewczyny.

Zapłacił kierowcy i wysiadł. Rodzice Virginii mieszkali w małej willi na D. Poškos gatvé. Podmurówka była z pomalowanych na żółto pustaków, piętro zostało obłożone

drewnem. Trawnik przed domem był krótko przystrzyżony, a posesję otaczał biały płot.

Z tyłu znajdował się budynek przypominający garaż, skąd dobiegał hałas. Ruszył więc podjazdem w tamtą stronę. Postanowił zmienić taktykę, aby nie dać się złapać we własną sieć kłamstw. Zamierzał powiedzieć prawdę: że prowadzi w Danii nieoficjalne śledztwo, które obejmuje między innymi zaginięcie Virginii.

Kilka minut później siedział na ławie w małej kuchni, a matka Virginii nalewała mu kawy. Mężczyzna, którego zagadnął po rosyjsku w garażu i któremu wyjaśnił cel swojej wizyty, również usiadł przy stole. Dopiero kiedy wszyscy troje wzięli po pierwszym łyku kawy, przerwał milczenie:

— Czy wiedzieli państwo, że córka była w Danii w październiku?

Oboje skinęli głowami. A ojciec wyjaśnił:

— Dowiedzieliśmy się o tym na policji, kiedy zgłaszaliśmy jej zaginięcie. Mieli to w swoich rejestrach... że wyleciała, ale nie wróciła żadnym samolotem.

Na pytanie, dlaczego więc, do cholery, miejscowa policja nie szukała jej w Danii — czy w ogóle w Europie — pozostawało tylko żałośnie rozłożyć ręce.

— Zgłosili państwo jej zaginięcie cztery miesiące temu. Dlaczego tak późno?

Rodzice najwyraźniej już dawno temu przetrawili sprawę. Matka odpowiedziała bez wahania:

— Widzi pan, Virginija już wcześniej znikła. Albo wyjeżdżała, jak zwał, tak zwał. Zawsze była w naszej rodzinie czarną owcą. Mamy trzy córki. I ona jest z nich wszystkich najbardziej... niezależna. Krnąbrna, można by powiedzieć. Chcieliśmy...

W tym momencie w drzwiach ukazała się głowa jasnowłosej dziewczyny. Mogła mieć dwadzieścia parę lat. Virginija była atrakcyjna, ale dziewczyna w drzwiach była jeszcze piękniejsza. Spoglądała to na matkę, to na ojca. Tak, urodę niewątpliwie obie miały po rodzicach.

— *Hello* — przywitała się i skinęła głową. Potem powiedziała coś po litewsku do rodziców i już jej nie było.

— To Ieva, nasza najmłodsza. Studiuje na uniwersytecie — wyjaśnił z dumą ojciec. Córka miała jego jasne włosy.

— Następna jest Virginija, a najstarsza to Simona. Jest bizneswoman. Prowadzi trzy piekarnie — dodała matka.

Postanowił podsumować informacje.

— Skoro przy tym jesteśmy, czym właściwie zajmowała się Virginija?

Matka pokręciła głową i uśmiechnęła się.

— Ta dziewczyna chwyciła się najróżniejszych zajęć. Przez jakiś czas prowadziła z przyjaciółką bar i organizowała koncerty rockowe w całym kraju, a potem wykonała zwrot, po którym wszyscy zaczęliśmy wierzyć, że może się ustatkować. Dostała pracę w Swedbanku, gdzie pracowała od pięciu lat. Uczy się — albo uczyła — na doradcę inwestycyjnego.

— Mieszka w dobrej lokalizacji. Mieszkanie sąsiaduje z parkiem i jest w bocznej ulicy od prospektu Giedymina. Musi sporo kosztować.

— Cokolwiek by mówić, zawsze bardzo ciężko pracowała i umiała gospodarować pieniędzmi — przyznała matka.

Nie dostrzegali w rodzicach ani śladu zwątpienia. Z całego serca wierzyli, że ich córka dorobiła się majątku, harując w dużym nordycko-bałtyckim banku. Spróbował więc inaczej:

— Ile razy wcześniej zdarzyło jej się zniknąć?

— Trzy razy nie mieliśmy z nią kontaktu przez dłuższy czas — powiedział ojciec — od miesiąca do trzech miesięcy. Ale to było na długo przed Swedbankiem.

— I co w tym czasie robiła? Gdzie przebywała?

— A co robią dziewczyny, kiedy przepadają bez wieści? — spytała matka retorycznie i wzruszyła ramionami, nim pociągnęła dalej. — Wiadomo, że człowiek obawia się najgorszego. O ile nam wiadomo, zawsze chodziło o mężczyznę, czy tam faceta, jak się ich nazywa. Virginija zawsze była... popularna. Mogłaby już dawno temu znaleźć sobie dobrego, porządnego męża, gdyby tylko chciała.

Ojciec kiwał głową potakująco.

— Przez to, że już wcześniej znikła i nie kontaktowała się z nami, policja oczywiście dość sceptycznie podeszła do naszego zgłoszenia. Mówiąc wprost, trudno nam było zmusić ich, żeby nas potraktowali poważnie — dodał.

— Zatem wcześniej nie wiedzieli państwo, że wybierała się do Danii?

— Nie, nie mieliśmy o tym pojęcia — odparł ojciec.

— Mąż wspomniał, że chodzi o jakieś wielowątkowe śledztwo prowadzone w Danii. Może nam pan powiedzieć coś więcej o sprawie, w którą być może wmieszana jest nasza córka? — Matka próbowała wyczytać cokolwiek w jego twarzy.

— Niestety, nie mogę ujawniać szczegółów. Nie zostałem do tego upoważniony. Mogę jedynie powiedzieć, że sprawa jest złożona i w istocie obejmuje wiele wątków. Część z nich sięga kręgów związanych z biznesem. Przypadkiem trafiliśmy na nazwisko państwa córki i odkryliśmy, że jej bilet powrotny nie został wykorzystany. Dlatego chcemy to wyjaśnić. Co to według państwa może znaczyć? Osiem miesięcy to długo, prawda?

— Oboje sądzimy, że coś jej się stało — odparł z przekonaniem w głosie ojciec.

— Osiem miesięcy to rzeczywiście bardzo długo. Virginija przynajmniej by zadzwoniła. Poza tym już wyrosła z takich wybryków. Pogodziliśmy się z tym, że raczej do nas nie wróci... nigdy.

Matka spuściła wzrok i otarła serwetką pojedynczą łzę.

— Nie wolno tracić nadziei. A najstarsza córka? Czy mógłbym z nią porozmawiać?

— Simona jest w delegacji. Mówiąc szczerze, nie wiem, czy już wróciła. Zawsze jest taka zagoniona.

Mimo wszystko nalegał, więc matka skwapliwie zapisała mu adres i trzy różne numery telefonu.

— Czy bylibyście tak mili i powiadomili nas, jeśli dowiecie się czegoś tam u was, w Danii? — spytała matka, podając mu karteczkę.

— Oczywiście, to się rozumie samo przez się. Dziękuję za kawę.

Zamierzał jeszcze przed wyjściem z zaskoczenia wypytać ich o mieszkanie Virginii, jak wysoki był czynsz i dlaczego jej nazwisko wciąż widnieje na domofonie. Ale intuicja podpowiedziała mu, że zdecydowanie lepiej będzie spytać o to starszą siostrę Simoneę. Żeby tylko udało mu się ją zastać. Teraz ona była jego ostatnią szansą w Wilnie.

Postanowił do hotelu wrócić pieszo. Chciał pomyśleć i potrzebował świeżego powietrza. Zdążył akurat uścisnąć dłonie rodziców Virginii i się z nimi pożegnać, kiedy zza rogu, od strony ogrodu na tyłach domu, podeszła do niego jej młodsza siostra. Blondynka o długich włosach zebranych w koński ogon zaskoczyła go, wyciągając do niego rękę.

— Proszę wziąć kartkę, którą trzymam w ręce — szepnęła

po angielsku.

Poczuł, że zostawiła mu w dłoni kawałek papieru.

— *Goodbye* — powiedziała głośno Ieva, ściskając mu rękę.

— *Goodbye* — odparł, ściskając w odpowiedzi jej szczupłą dłoń.

Dopiero trzy domy dalej stanął, rozwinął kartkę i odczytał tajemniczą wiadomość zapisaną odręcznie po angielsku:

„Jutro, godzina piętnasta. Ostra Brama — spotkajmy się w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Z poważaniem, Ieva”.

Rozdział 45.

Praktycznie przez całą drogę w samochodzie panowała cisza. Kolejny raz była szoferem Axela Mossmana.

Szef PET nienawidził prowadzić, bo był wówczas zmuszony poświęcać część swojej cennej uwagi na idiotów na drodze. „Marnotrawstwo zasobów”, jak to prześmiewczo określił, kiedy po raz pierwszy poprosił ją, żeby usiadła za kółkiem. I choć śmiał się, kiedy to mówił, nie miała wątpliwości, że naprawdę tak uważał.

Odebrała go z jego mieszkania w Kokkedal. Również nie po raz pierwszy, choć musiała przyznać, że po części miało to sens, skoro ona mieszkała w Østerbro, a jechali do Gilleleje.

— No więc, Margrethe, będziemy musieli to jakoś załatwić — powiedział Mossman, głęboko wzdychając, kiedy wszedł do samochodu i zamknął drzwi. Od tamtej pory nie odezwał się ani słowem. To było do niego niepodobne, ale też sytuacja była szczególna.

Przez całą drogę zastanawiała się, kim naprawdę jest Axel Mossman. Od czasu do czasu zerknęła na niego dyskretnie. Tak naprawdę myślała o tym bez ustanku, odkąd Niels Oxen ujawnił jej swoją tajemnicę.

W co też pogrywał jej szef? I co knuli razem z dawnym członkiem jednostki specjalnej Poulem Arvidsenem?

Jakieś dziesięć kilometrów zostało im do Gilleleje, gdzie minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg miał letni dom. Poprosił o spotkanie właśnie w tym miejscu, bo „tam będziemy mieli najlepsze warunki”. Minister nie miał daleko. Mieszkał w wiejskiej posiadłości nieopodal Nødebo, ale jego

żona, architektka, pomimo soboty musiała pracować w znajdującej się w domu pracowni i potrzebowała spokoju, a poza tym nie chciał jej niepokoić wizytą samego szefa PET. Dlatego właśnie jechali na spotkanie do Gilleleje, zgodnie z życzeniem ministra.

Dochodziło południe. Miała nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo. Przez resztę dnia miała asystować Martinowi Rytterowi w rozmowach z odpowiednio szefem departamentu Ejnarem Uthem-Johansenem i dyrektorem koncernu Fortuna Pharmaceutical Industries Kristofferem Nybergiem.

Wszystkim trzem wyjaśnili oczywiście pokrótce, dlaczego nagle przydzielono im ochroniarzy, ale na rozmowę o powodach tej decyzji nie było jak dotąd czasu. Bez wdawania się w konwenanse można by również powiedzieć, że chodziło o przesłuchanie całej trójki. Wydarzenia, które miały miejsce na zamku w Nørlund, były bowiem dla PET kluczowe.

Ona sama niespecjalnie się zastanawiała, dlaczego włączano ją w działania na wpół tajne. Już w podobnych uczestniczyła. Docierały do niej natomiast informacje, że część jej kolegów dziwi się, dlaczego angażuje się ją w działania na tak wysokim szczeblu. Miała to gdzieś. Potrafiła zdobyć każdą informację i była dumna z zaufania, jakim ją darzono. Choć ono najwyraźniej miało pewne granice... bo gdyby Fensmarkowi udało się zająć twardy dysk i komputer, to tak jak powiedział Oxen: ona nie miała się o tym dowiedzieć. A szyjka butelki wskazywała — również tym razem — na Axela Mossmana.

Poza sprawami praktycznymi, jak robienie notatek, pamiętanie o wszystkim i prowadzenie samochodu, wyznaczył jej dodatkową, specjalną misję na okoliczność rozmowy z ministrem. Miała zadbać, by ich rozmowa została nagrana. Nie do końca *zgodnie z procedurą*, bo minister miał o tym nie wiedzieć. Mossman był już na tyle stary, że starał

się zabezpieczać — jeśli tylko mógł i tam, gdzie mógł.

Wielokrotnie wałkowała w głowie argumentację Oxena. I musiała przyznać, że Mossman mógł rzeczywiście w jakimś stopniu inwigilować swojego szefa, ministra, albo go ochraniać. Aby zostać szefem PET, potrzeba sporej dawki cynizmu.

Ona sama przecież z powodu podwójnej gry Mossmana zawarła sojusz z bohaterem wojennym o wątpliwej sławie. Wątpliwej, jeśli dosłownie potraktować kartotekę policyjną Oxena. Margrethe natomiast zwykle miała w tego typu sprawach wyjątkowo dobrą intuicję. I ona podpowiadała jej, że może zaufać Oxenowi. Z drugiej strony intuicja nie była stuprocentowo niezawodna. Zmusiła się, by o tym nie myśleć.

Zakładała, że jeśli wszystko pójdzie gładko, to po południu będzie wolna. W mieszkaniu czekała na nią duża, brązowa koperta, którą zdążyła tylko pośpiesznie wrzucić do przedpokoju i już musiała gnać do Kokkedal. Nie mogła się doczekać, aż ją otworzy. Jej zawartość mogła rzucić więcej światła na ciemne strony Oxena.

Rano, wracając z północnej Jutlandii, zgodnie z umową zatrzymała się w Holbæk u pani Middelbo. Wdowa po dawnym szefie służb porządkowych w Bellahøj zaraz po ich rozmowie telefonicznej przejrzała zawartość szafki w narzędziowni męża i znalazła materiał dotyczący sprawy odważnego żołnierza, którego lśniący zbroja oślepiła tak wielu.

Astrid Middelbo przeprosiła, że nie może jej niczym poczęstować, bo wiosenne przeziębienie przykuło ją do łóżka. Ale to nic, i tak chodziło jej wyłącznie o kopertę z dokumentami.

— No, chyba dojeżdżamy. Co mówi to cacko? — mruknął Mossman i popatrzył morderczym wzrokiem na przyczepioną

do przedniej szyby nawigację.

— Jeszcze chwila i będziemy na miejscu — potwierdziła.
— A tak właściwie ilu mamy tam ludzi?

— Czterech.

— Czterech? — Sądziła, że do ochrony wystarczy trzech. Najwyraźniej uznał jej zdziwienie za prowokację.

— Tak, czterech. Gość jest jednak odrobinę cenniejszy niż minister Kościoła, nie sądzisz?

Najwyraźniej dziś był jeden z nielicznych dni w roku, kiedy głównodowodzący PET był w złym nastroju.

— A u Utha-Johansena i Nyberga?

— Dwóch.

Po paru chwilach skręcili w prawo w Nakkehoved Strandvej i zaraz potem pojechali w dół w Stubbevej, gdzie nagle ukazała im się tablica informująca, że w tym miejscu zaczyna się Gilleleje. Jechali dalej, do samego końca, skąd wąską asfaltową drogą dotarli do Grøntofte. To tu mieścił się nowoczesny drewniany dom rodziny Rosborgów, pośród brzoź, otoczony wysokim żywopłotem.

Kiedy wjechali na podjazd w ogrodzie, na spotkanie wyszedł im pierwszy z ochroniarzy. Nie pamiętała jego imienia, ale kiedy zobaczył, kto siedzi obok niej, spokojnie pokazał im, że mogą jechać dalej.

Następny stał obok garażu. Jego znała. Miał na imię Karsten. Podeszedł i otworzył Mossmanowi drzwi, a ten rzucił mu tylko:

— Dziękuję, nieznany człowieku. Gdzie jest i co robi?

— Z tyłu na tarasie. Przycina krzewy.

— No proszę, Rosborg przycina krzewy. Chodźmy, Margrethe.

Mossman ponaglił ją gestem, najwyraźniej rozbawiony wizją ministra z sekatorem.

Znaleźli go w bujnym ogrodzie za domem, rzeczywiście przycinał bukszpan.

Ulrik Rosborg był jednym z nielicznych duńskich polityków, a może jedynym, który stał się niemal celebrytą przez propagowany przez siebie zdrowy tryb życia. Był sportowiec — coś z biegami, o ile dobrze pamiętała — uczestniczył w cyklu programów telewizyjnych na temat zdrowego odżywiania, ruchu i programów treningowych. Miał czterdzieści kilka lat, dwójkę albo trójkę dzieci z architektką i cała rodzina Rosborgów zdawała się tryskać zdrowiem.

Zapamiętała jeden z odcinków tamtego cyklu, w którym rodzina Rosborgów jadła śniadanie. Czysta sielanka przy stole uginającym się od owoców. Jakże inna od zupełnie nieministerialnej porannej apokalipsy, którą mogłaby zaprezentować jej starsza siostra z trójką swoich dzieci.

Minister sprawiedliwości oderwał wzrok od bukszpanu i uśmiechnął się na ich widok. Miał sandały na bosych stopach, krótkie spodenki i dopasowaną koszulkę udowadniającą, że w tym, co mówiono o jego zdrowiu i sportowym stylu życia, nie było przesady. Podali sobie ręce. Rosborg nawet uścisk miał zdrowy.

— Może usiądziemy na tarasie, żeby spokojnie porozmawiać? Napijecie się kawy? Mam świeżą w termosie — zaproponował Rosborg.

Chwilę później ona i Mossman siedzieli na ławie przy stole ogrodowym, każde z filiżanką kawy. Minister zadowolił się szklanką wody z kranu.

— No dobrze, Axel, zamieniam się w słuch.

Mossman nieznacznie zmarszczył nos, prawdopodobnie

na dźwięk przyjacielskiego „Axel”. Minister znał już oczywiście w najdrobniejszych szczegółach okoliczności śmierci Bergsøe na jeziorze Borre. Wiedział naturalnie również o śledztwie w sprawie Corfitzena. Mossman zaczął więc od momentu, w którym w sprawie pojawia się wątek Hannibala Frederiksena — niegdyś jednego z tuzów duńskiego życia gospodarczego. Jego postać wkracza na scenę za sprawą psa, który został powieszony, i późniejszego wypadku samego Frederiksena podczas samotnej jazdy samochodem górską drogą niedaleko Malagi. Musiał również poinformować ministra o zabójstwie Arvidsena, dramatycznych wydarzeniach w chacie myśliwskiej i nagraniach z numerami rejestracyjnymi.

Margrethe przez cały czas bacznie obserwowała Rosborga, a mały dyktafon ukryty w jej kieszeni nagrywał wszystko na kartę pamięci. W miarę jak Mossman odsłaniał kolejne akty sprawy, twarz ministra po drugiej stronie ogrodowego stołu z egzotycznego drewna pozostawała niewzruszona. Chociaż możliwe, że kiedy Mossman zakończył informacją o tablicach rejestracyjnych, jeden kącik ust nieznacznie się poruszył.

— Muszę zatem oczywiście zapytać, co robiliście w tamten weekend na zamku Nørlund, ty, Bergsøe Frederiksen, Nyberg i Uth-Johansen.

— Polowaliśmy... Zostaliśmy zaproszeni na polowanie. I trochę łowiliśmy.

— Nie wiedziałem, że znałeś starego ambasadora.

— Corfitzena? Nie ma chyba człowieka, który by go nie znał, a w każdym razie znała go większość polityków mojego szczebla. Był jednym z najskuteczniejszych dyplomatów, jakich kiedykolwiek mieliśmy.

— Chodziło mi dosłownie o to, że go *znałeś* — Mossman znowu warknął zniecierpliwiony.

— Znałem jak znałem. To może za dużo powiedziane. Nie znaliśmy się prywatnie. Odbyliśmy ze dwa nieformalne spotkania w związku z naprawdę dużymi imprezami organizowanymi przez Consilium, jedną z nich była wizyta Clintona.

— Billa, jak rozumiem.

Rosborg zakrztusił się lekko kranówką i skinął głową.

— Zatem Corfitzen was zaprosił?

— Tak. Jak mówiłem, mieliśmy zapolować na sarny i powędkować, jeśli ktoś chciał. W Lindenberg Å trafiają się dorodne sztuki pstrąga potokowego.

— Ach tak. No i co, poszcęściło wam się?

— Kristoffer Nyberg ustrzelił sarnę. A ja złowiłem niemal czterokilowego pstrąga. Corfitzen złapał trzykilowego.

— Znasz pozostałych, którzy tam byli?

— Znałem oczywiście Bergsøe. Pozostałych nie znałem.

— A szefa departamentu?

Rosborg pokręcił głową.

— Nie. Jasne, spotkaliśmy się wcześniej, ale to jednak inne ministerstwo, inna siedziba.

Margrethe zamierzała choć ten jeden raz się wtrącić, ale wtedy Mossman wyskoczył z pytaniem, po które tu przyjechali:

— Kiedy Rytter powiedział ci, że Hans-Otto Corfitzen nie żyje, nie wspomniałeś ani słowem, że go znałeś.

— Axel, przecież już ci mówiłem. „Znałeś” to naprawdę dużo powiedziane. Byłem w Nørlund jeden jedyny raz, kawał czasu temu, jeszcze w październiku. To, że zdarzyło mi się kiedyś postawić nogę w tym miejscu, uznałem za nieistotny detal wobec kalibru sprawy. Przyznaję, być może

powinienem był o tym wspomnieć. Jeśli tak, to wybacz.

Mossman pokiwał zamyślony głową i wziął mały łyk kawy, odwracając się na krzesło.

— Ładny dom, naprawdę urocze miejsce. Uwielbiam Gilleleje — powiedział, zmieniając temat.

— Tak, nam też się tu podoba. Jeśli pogoda dopisuje, spędzamy tu większość lata. Dzieci mogłyby nigdy nie wychodzić z wody, a Mette, moja żona, kocha wylegiwać się na plaży z książką.

Rosborg przesunął się na krzesło i siedział teraz zwrócony do nich półprofilem. Założył nogę na nogę i nie zareagował, gdy jeden niezapięty sandał zsunął się na trawę. Margrethe zauważyła go natychmiast — na zewnętrznej stronie prawej kostki ministra widniał mały tatuaż: „HI 2006”.

Mossman, wiecznie czujny, oczywiście również go zobaczył, ale nie spodziewała się, że to skomentuje. W końcu to prywatna sprawa. Tymczasem jej szef wyparował bez ogródek:

— Tatuaże robią się coraz bardziej nowoczesne — mruknął, wskazując głową na stopę ministra.

— A, to tylko taka pamiątka. Z odległej przeszłości — z czasów, kiedy byłem przede wszystkim sportowcem — zaśmiał się. — HI to Hawaii Ironman. A rok mówi sam za siebie. Takie moje marzenie, które musiałem zrealizować. I udało mi się, w dodatku z całkiem niezłym czasem.

— Rozumiem — powiedział Mossman, po czym mało subtelnie wrócił do tematu. — I co jeszcze robiliście w Nørlund w tamten weekend?

— Nic szczególnego... — Rosborg wyglądał na zaskoczonego. — Chociaż nie, jedzenie było wyborne, naprawdę znakomite. Do tego wypiliśmy butelkę całkiem przyzwoitego wina, albo dwie butelki. Ale nie więcej, bo i w

sobotę, i w niedzielę musieliśmy wcześniej wstawać.

— Zatem nie przychodzi ci do głowy żadne wytłumaczenie, dlaczego dziś trzej z sześciu uczestników przyjęcia nie żyją, zostali zamordowani?

— Nie, zupełnie nie. — Minister pokręcił głową. — Ale przecież nietrudno chyba sobie wyobrazić, że motywem tych zbrodni mogło być coś niezwiązanego z tamtym weekendem na zamku, prawda?

— Jasne. Znasz jednak podstawy naszego fachu, musimy zajrzeć pod każdy kamień — szybko wyjaśnił Mossman.

— Czyli powinienem uważać, że coś mi grozi, bo ja również tam byłem. Jak zatem będzie wyglądało dalsze postępowanie? — zapytał Rosborg i wszedł w rolę ministra i zwierzchnika.

— Będę cię informował na bieżąco, a kiedy tylko będzie to możliwe, zabiorę stąd moich ludzi. Ale dopiero, kiedy uznamy, że nie ma zagrożenia.

— Rozumiem. I dziękuję, że pofatygowaliście się aż tutaj. Macie jeszcze coś na koniec?

Margrethe zwróciła uwagę na zwrot „na koniec”. Niezwykle pomocny, kiedy się chciało kogoś spławić.

Wstali i podali sobie ręce na pożegnanie. Rosborg już chwycił sekator, kiedy Mossman uniósł jedną brew.

— A właściwie tak, jedno, ostatnie pytanie.

— Słucham.

— Macie psa?

— Tak, labradora, wabi się Rosie. Myślisz, że...?

— Ja nic nie myślę. Ale lepiej na niego uważaj. Odezwę się.

Późnym popołudniem schodziła po schodach z dyrektorem

operacyjnym PET Martinem Rytterem. Nietypowa pora, by w sobotę opuszczać gmach Ministerstwa Obrony.

Choć zbliżał się wieczór, gdy wyszli na ulicę, oślepiło ich wciąż ostre słońce. Na wprost, na ławce przy kościele Holmens, siedziała para staruszków. Jedli lody w wafelkach. Kanałem w stronę gmachu giełdy sunęła łódka wioząca młodzież nastawioną na weekendowe szaleństwa.

— Żeby tak znów mieć te dwadzieścia parę lat, co? Sobota i lato za rogiem — powiedział Rytter i wyjął drogie okulary słoneczne.

Szef departamentu Ejnar Uth-Johansen był wyraźnie wstrząśnięty i zgodził się z nimi spotkać w swoim gabinecie, pomimo soboty. Był jedynie urzędnikiem państwowym i nie przywykł do otrzymywania gróźb — inaczej niż niektórzy czołowi politycy.

Był ostatnim z trzech żyjących uczestników imprezy na zamku Nørlund, którego odwiedzili tego dnia. Wcześniej z Rytterem spotkali się w Vedbæk z dyrektorem koncernu Fortuna Pharmaceutical Industries Kristofferem Nybergiem.

Nyberg przyjął ich szorstko. Jego żona, wygadana kobieta wyglądająca na nieco młodszą od swojego czterdziestosześcioletniego męża, siedziała razem z nimi przy nieskazitelnie czystym kuchennym stole i dorzuciła do rozmowy szereg własnych, krytycznych pytań.

Ani dyrektor, ani szef departamentu nie byli zachwyceni ochroną, którą im przydzielono, choć przyznali, że obecność ochroniarzy nie przeszkadza im w sposób znaczący. Poza tym, słusznie, traktowali sprawę z najwyższą powagą.

Ich wyjaśnienia były podobne i zgodne z tymi, których udzielił minister sprawiedliwości: dostali zaproszenie na polowanie i wędkowanie na zamku Nørlund.

Dyrektor Nyberg poznał Corfitzena przez swoją żonę,

która pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jej ojciec również był ambasadorem.

Szef departamentu natomiast spotykał Corfitzena podczas rozmaitych wydarzeń organizowanych przez Consilium. Panowie znali się tylko powierzchownie, ale przy którejś okazji okazało się, że mają wspólną pasję — polowanie. Na koniec rozmowy emerytowany ambasador obiecał Uthowi-Johansenowi, że któregoś dnia zaprosi go na polowanie do siebie do Nørlund. I obietnicy dotrzymał.

Obaj mężczyźni przeszukali najgłębsze warstwy kory mózgowej, starając się znaleźć wyjaśnienie, dlaczego obecność na zamku w tamten weekend najwyraźniej stanowiła śmiertelne niebezpieczeństwo, i obaj odkryli to samo: że nie mają pojęcia.

Tak należałoby podsumować obie rozmowy. Z jednym zastrzeżeniem — szef koncernu miał psa, a szef departamentu nie.

— Wracasz w poniedziałek na Jutlandię? — zapytał Rytter.

— Jeszcze nie wiem. Mossman ma mi dać znać.

— Przenoszę tam dziesięciu ludzi, plus paru z Aarhus. Pomyślałem, że sam tam pojedę na kilka dni — powiedział Rytter.

— Wszyscy zatrzymają się w Rold Storkro?

— Tak. Chcę też umieścić pięciu dodatkowych ludzi w Silkeborgu do wyjaśniania wątku Bergsøe. Stary świruje.

— Wiem, też to zauważyłam.

— Chodzi o ministra sprawiedliwości. To mu nie daje spokoju. Naprawdę przydałby się wkrótce jakiś przełom w sprawie. A jak idzie naszemu drogiemu weteranowi? Okazał się wart swojej ceny? — Rytter się uśmiechnął.

— Nie wiem, jak na to odpowiedzieć... — Rozłożyła

bezradnie ręce. — Chyba czytałeś mój ostatni *raport* na jego temat?

— Włamanie do Arvidsena, Arvidsen załatwiony na kosiarce, Fensmark załatwiony w chacie w środku lasu, dziękuję, na dziś wystarczy. Wszędzie przewija się Oxen.

— Niewątpliwie ma dar wdeptywania tam, gdzie nie powinien — skomentowała.

— Tak, to wyjątkowa umiejętność. Nie wymyślono przypadkiem odznaczenia za pojawianie się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie? Akurat wczoraj rozmawiałem o tym z Mossmanem. Jego najnowszy komentarz na ten temat to „Rytter, cierpliwości, dajmy mu czas”. A tobie coś mówił?

Pokręciła głową.

— No dobra, Franckie, muszę lecieć i posiedzieć trochę z rodziną. W sumie już niewiele zostało z tej soboty. Jeśli nie zobaczymy się w poniedziałek, to pewnie zobaczymy się któregoś dnia w Rold Storkro.

— Jasne, miłego weekendu.

Jeśli Mossmanowi ciążyło, że śledztwo coraz bardziej się komplikuje, to niewątpliwie dotykało to również Martina Ryttera. Zawsze kierował wszystkim pewną ręką. Tym razem wydawał się stąpać po omacku. Dyrektor operacyjny skręcił za rogiem i zniknął w Admiralgade, gdzie zostawił samochód. Margrethe przeszła przez ulicę w kierunku kościoła. Swojego czarno-białego mini coopera bezczelnie zostawiła za bramą gmachu.

Kolejny weekend z szawarmą — konstatacja tyleż smutna, co swojska. Nalała sobie wina z trzylitrowego kartonu i zasiadła na kanapie przed stolikiem kawowym w małym salonie.

Obok talerza na stole leżała duża, brązowa koperta od

wdowy Middelbo w Holbæk. Odwlekała chwilę, kiedy ją otworzy, by przedłużyć dziecięcą radość wyczekiwania — koperta była gruba i ciężka.

Poddała się dopiero mniej więcej w połowie szawarmy, kiedy zaspokoila pierwszy głód. Wzięła duży łyk wina, oparła się wygodnie i rzuciła się na prezent.

Gdy po niemal godzinie pełnej koncentracji zebrała kartki i z powrotem włożyła do koperty, mięso było zimne, a wino w kieliszku nietknięte. Lektura mocno ją zaniepokoiła.

Przez chwilę rozmyślała nad tym, czego właśnie się dowiedziała. A potem wstała, podgrzała orientalne resztki w mikrofalówce, włączyła telewizor, dołała sobie wina, zdjęła protezę i rozsiadła się na kanapie z talerzem na brzuchu.

W tej chwili chętnie obejrzałaby nawet najgorszy film świata, byle tylko zasnąć bez poczucia, że coś przeoczyła.

Po północy obudziła się na kanapie, przykryta kocem z polaru. Telewizor ryczał salwą z broni maszynowej. Za spust pociągał Chuck Norris w przepasce na czole.

Szawarma i kino klasy B. Czy istnieje doskonalsza koncepcja szczęścia? Wyłączyła Norrisa i sięgnęła po brązową kopertę.

Może Niels Oxen był bezwzględnym brutalem, może katował swoją żonę, może próbował wyłudzić ubezpieczenie, może okłamywał wszystkich — włącznie z sobą samym, ale... najzwyczajniej w świecie nie potrafiła uwierzyć, że sprzedawał narkotyki, czerpiąc zyski z nieszczęścia chorych biedaków.

Raporty sporządzone przez jej kolegów i dołączone do nich zdjęcia nie dawały niestety szerokiego pola do interpretacji. Wyjęła dokumenty i zaczęła od początku.

Kiedy pół godziny później odłożyła je po raz drugi tego wieczora, było dla niej jasne, że niedzielę musi poświęcić na

własne śledztwo.

Rozdział 46.

Pilies gatvé i Didžioji gatvé stanowiły swoje przedłużenie i były główną arterią przecinającą historyczną dzielnicę Wilna. Najwyraźniej była to również ulica najtłumniej odwiedzana przez turystów, a wnosząc z tego, czym chwaliły się niezliczone sklepiki z pamiątkami, z Wilna należało przywieźć bursztyn.

Skamieniała żywica kapiała zewsząd a wiele sklepów na tej ulicy miało w nazwie słowo „amber”. Czyżby połowa mieszkańców Litwy spędzała życie, grzebiąc z wypiętymi tyłkami w Bałtyku w poszukiwaniu bursztynu?

Od zawsze z całego serca nienawidził bursztynu. A konkretnie odkąd w czwartej i piątej klasie pani Lindemann w wielkich bursztynowych koralach założonych na golf siała w ich młodych sercach postrach na każdej lekcji duńskiego.

Spojrzał na zegarek. Nie jest źle — zostało dziesięć minut do spotkania z Ievą w Aušros Vartū — Ostrej Bramie.

Zaspał — wstał tak późno, że na śniadanie zdążył tylko wypić kawę w hotelu.

Od północy do piątej rano siedział w oknie swojego pokoju hotelowego — tyle mu zajęło wypicie nieco ponad połowy butelki whisky. Czuł, że tej nocy nie skrada się ku niemu nikt z Siódemki. Dręczyły go natomiast domysły o losie Virginii, Jolity i Danuté. Trzech Litwinek rozkładających nogi przed tymi, którzy należeli do społecznej elity, co z jakiegoś powodu tragicznie się dla tych kobiet skończyło.

Nie doczekał wschodu słońca nad Wilnem, ale długo siedział wpatrzony w roziskrzane światłami miasto — i

rozmyślał. O sobie, o swoim synu, o przeszłości. I przyszłości. A potem znów o przeszłości... Wszystko takie chaotyczne i pozbawione perspektyw.

Oczywiście intensywnie rozmyślał również o tym, dlaczego Ieva poprosiła go o spotkanie.

Na końcu wąskiej, brukowanej uliczki zobaczył nad ulicą błękitny łuk. To musiała być Ostra Brama. Na jej górze mieściła się kapliczka z tym, co dla wileńskich katolików najświętsze — obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Do kapliczki wchodziło się zwykłymi drzwiami w fasadzie kamienicy po lewej stronie ulicy. Przeszedł długim korytarzem, a na koniec wspiał się po stromych schodkach. Od kaplicy oddzielał go przedsionek i już stąd widział, że przed dużą, pozłacaną ikoną Matki Boskiej klęczą dwie kobiety i staruszek. Mężczyzna był prawie przewieszony przez drewnianą balustradę odgradzającą sanktuarium. Wszyscy troje trzymali w dłoniach różańce i w modlitwie przesuwali koraliki. Kobietą modlącą się najdalej od niego była Ieva. Długie włosy miała spięte klamrą na karku.

Starając się nie przeszkadzać, usiadł na jednym z kilku krzeseł i czekał. Ze swojego miejsca mógł przez duże okno spojrzeć w dół na ulicę, którą szedł przed chwilą. Jak na miejsce kultu pomieszczenie było dość ciasne, mogło się tu modlić dziesięć, góra dwanaście osób jednocześnie, a krzeseł było osiem. Rozejrzał się. Pod obrazem Madonny była półka z elektrycznymi świeczkami. Ściany były obwieszane ramkami, wisiały w nich najróżniejsze ozdoby i figurki wyglądające na srebrne.

Spojrzał na zegarek. Była trzecia trzy. Ieva, która jeszcze nie odwróciła głowy, odkąd wszedł do kaplicy, wkrótce powinna skończyć.

Chwilę potem wstała, przeżegnała się, przewiesiła torebkę przez ramię i skinieniem głowy kazała mu za sobą

pójść. W przedsionku otworzyła małe drzwiczki i weszli do niewielkiego, surowego pomieszczenia z oknem wychodzącym na ogród z drzewami owocowymi.

— Dziękuję, że pan przyszedł. Tu nikt nam nie będzie przeszkadzał — wyjaśniła Ieva.

Skinął głową. Dziewczyna była nie tylko piękna. Prócz urody miała w sobie niezwykłą harmonię. Zarówno w wyprostowanej sylwetce i pewnych ruchach, jak i sposobie mówienia — łagodnym i skupionym.

— Słyszałam pana rozmowę z rodzicami — przelotnie. Wiem, czego pan szuka. Odkąd zniknęła Virginija, przychodzę tu codziennie prosto z uczelni. Modłę się do Matki Boskiej Miłosierdzia o wsparcie dla mojej rodziny. I nagle zjawia się pan...

— Obawiam się, że raczej nie jestem tym, na kogo czekałaś.

— Zwrócił pan uwagę na ozdoby na ścianach?

Skinął głową.

— To dary od ludzi wdzięcznych za pomoc, jaką otrzymali od Matki Boskiej Miłosierdzia. Z tego, co zrozumiałam, pan nie jest z policji, prawda?

— Nie. Współpracuję z nimi nieoficjalnie i tylko przy tej konkretnej sprawie.

— Możliwe, że właśnie dlatego mam przecucie, że mogę panu zaufać — bo pan *nie jest* z policji. Zatem kim pan jest?

— Jestem, albo raczej byłem, żołnierzem. Pod koniec służby byłem w jednostce specjalnej — Korpusie Łowców.

Ieva przyjrzała mu się bez skrupowania. Przesunęła wzrokiem po całym jego ciele i na powrót spojrzała mu w twarz.

— Zakładam, że ma pan komórkę — powiedziała.

— Mam.

Wyjęła z kieszeni kurtki swój telefon i ciągnęła dalej.

— Przyślę panu krótki film. Może go pan obejrzyć później. Został nagrany w Danii. Przedstawia moją siostrę Virginiję z jakimś mężczyzną. Ona nigdy nie traktowała swojego imienia dosłownie... Eleganckie mieszkanie, drogie ciuchy, kosztowne nawyki. Wiem, skąd brała na to pieniądze. Moja starsza siostra Simona również to wie. Rodzice natomiast wierzą, że Virginija po prostu ciężko pracowała w banku. I nadal powinni w to wierzyć, bez względu na wszystko. Rozumie pan?

— Nic nie powiem. Sam się tego domyślałem — tego o pani starszej siostrze. Skąd ma pani to nagranie?

— Simona skądś je dostała. Przesłałam je z jej telefonu do mojego. Widzi pan, czasem nocuję u niej. Tak jak wtedy, w październiku. Simona myślała, że śpię, ale ja nie spałam. Dlatego widziałam i słyszałam, jak przyszła do niej jakaś kobieta. Widziałam ją wcześniej — czasem wychodziły z Virginiją do miasta. Miała na imię Jolita.

Możliwe, że Ieva dostrzegła uniesione brwi i wyraz zaskoczenia na jego twarzy. Uniosła tylko rękę, żeby powstrzymać jego komentarz.

— Tak, wiem. Była jedną z tych kobiet, z którymi Virginija poleciała do Danii. Jeden policjant powiedział o tym rodzicom. Wiem również, że nie żyje. Popełniła samobójstwo następnego dnia po tamtej wizycie u Simony. Dziwne, prawda?

— W tej sprawie nie zgadza się mnóstwo rzeczy. To samobójstwo jest jedną z nich. Wczoraj rozmawiałem z matką Jolity. Czyli dzień przed śmiercią odwiedziła pani drugą siostrę. Co się wtedy stało?

— Usłyszałam, jak Jolita opowiada Simonie, że były na

jakimś zamku albo dworku gdzieś w Danii. Jolita martwiła się o Virginiję, bo z tego, co mówiła, obeszli się tam z nimi dość brutalnie. Postanowiła to nagrać. Wsunęła do pokoju rękę przez uchylone drzwi — dlatego nie widać twarzy mężczyzny. Ale widać wyraźnie, że to Virginija. To naprawdę... odrażające.

Położył jej dłoń na ramieniu.

— Rozumiem. Nie musi pani...

— Jolita powiedziała, że następnego dnia Virginija nie zeszła do sali, w której jedli śniadanie. Jeden z mężczyzn wyjaśnił, że w nocy źle się poczuła i wróci do domu innym samolotem, kiedy tylko wyzdrowieje. Jolita powiedziała, że jej zdaniem mojej siostrze coś się stało. I że ma wyrzuty sumienia. Ona i trzecia kobieta dostały wyjątkowo hojny napiwek. Po śmierci Jolity próbowałam znaleźć tamtą trzecią kobietę, Danuté. Okazało się, że ona również nie żyje. Miała wypadek samochodowy. Opowiedziałam o wszystkim policji, ale nikt na poważnie się tym nie zainteresował. Jak mi powiedział jeden funkcjonariusz: „Przecież ludzie codziennie odbierają sobie życie i codziennie giną w wypadkach”. Nie zamierzali również szukać Virginii, bo już wcześniej zgłaszano jej zaginięcie, a potem sama się odnajdywała.

Ieva podeszła do okna i spojrzała na mały sad. Gdy światło rozjaśniło jej młodą, gładką twarz, uderzyła go malująca się na niej powaga.

— Jest pan wierzący?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Wzruszył ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Hm... czy ja wiem? Chyba za dużo w życiu widziałem, żeby wierzyć.

— Dlatego wciąż bezskutecznie szuka pan... spokoju. Mam rację? Widzę to po panu. Dlaczego? To przez pracę?

Ieva otwierała go z chirurgiczną precyzją. Jak ona to robi?

— Nie wiem. Byłem na wielu międzynarodowych misjach, w wielu strefach konfliktu. Jest naprawdę tak wiele...

— Powinien pan zawrzeć pokój z własnymi demonami, przyjacielu. Zmierzyć się z nimi i je zaakceptować. Dopiero kiedy pana dusza zazna spokoju, będzie pan w stanie przyjmować i dawać. Człowiek, który tego nie potrafi, nie żyje naprawdę. Jutro się za pana pomodłę. A Virginija... ona nie żyje, prawda?

Ieva odwróciła się do niego. Wydawała się zupełnie spokojna.

— Sądzę, że nie żyję, ale mogę się mylić. W każdym razie dziękuję za nagranie, i za pomoc.

— Jest coś jeszcze — powiedziała Ieva i spokojnie patrzyła mu prosto w oczy. — Coś znacznie większego. Chodzi o Simonę, moją najstarszą siostrę. Obawiam się najgorszego i potrzebuję pańskiej pomocy. Muszę panu coś pokazać na moim komputerze.

Poklepała swoją torbę.

— Ale tutaj to raczej niemożliwe. Proponuję, żebyśmy poszli do mieszkania Simony. Niestety, mam tylko pół godziny, potem muszę iść do pracy. Pracuję popołudniami w sklepie z bursztynem.

Przestronne mieszkanie Simony Zakalskyte mieściło się na rogu kamienicy przy samej rzece. Rzut kamieniem od mostu Króla Mindaugasa. Szybko przeszli starówkę i siedzieli teraz przy stole jadalnym, gdzie Ieva właśnie otwierała laptopa.

— Niech pan siada, a ja postaram się wszystko wyjaśnić — obiecała. Sama stała obok niego i uruchamiała komputer.

Spojrzał na ekran — po chwili ukazała się na nim

skrzynka mailowa.

— No więc... — Ieva odchrząknęła — zrobiłam kopię twardego dysku laptopa Simony. Ona pewnie zabrała go ze sobą.

Spojrzał na nią zaskoczony. Więc ten anioł ma jednak ukryte rogi. To krzepiące.

— Zrobiłam to po tym, jak nabrałam podejrzeń, że coś jest nie tak. I że Simona chce to przede mną ukryć. Po zniknięciu Virginii zaczęła się często spotykać z moim kuzynem Siergiejem Pronką. Siostra mojej mamy wyszła za Rosjanina... Siergiej jest byłym komandosem, tak jak pan. Służył w *specnazie*, rosyjskiej elitarnej formacji wojskowej o nazwie Wympieł. I nie należy do najposłuszniejszych dzieci Bożych, jeśli by mnie pan zapytał. Gdy spytałam Simone, dlaczego nagle tak często się z nim widuje, zbyła mnie, mówiąc, że wszystko będzie dobrze i żebym nic nie mówiła rodzicom. No więc skopiowałam jej dysk. Proszę zobaczyć — wymienili ze sobą mnóstwo maili. Pogrupowałam je chronologicznie i zapisałam w oddzielnych folderach. Pan zna przecież rosyjski?

Pokiwał głową. Ieva zjechała w dół listy i wróciła do góry.

— Tu jest wszystko. Wkrótce muszę lecieć, ale pan może tu zostać i spokojnie wszystko przeczytać. Mówiąc w największym skrócie, Simony nie ma od niemal czterech tygodni. I mimo że wielokrotnie się do mnie odzywała w tym czasie, i tak się o nią martwię. Wiem, że jest w Danii razem z kuzynem, szukają Virginii. Przyślę panu esemesem ich zdjęcia. To wszystko jest zbyt niebezpieczne. Musi pan ją jak najprędzej znaleźć i namówić, żeby wróciła do domu. Czy może pan to dla mnie zrobić?

Ieva złapała go za ręce i mocno ścisnęła. Jej intensywne spojrzenie przewiercało go na wylot. Powtórzyła:

— Niels, czy zrobisz to dla mnie?

Skinął głową.

— Zrobię, co w mojej mocy. Obiecuję.

— Niech pana Bóg błogosławi... Muszę już iść. Drzwi zatrzasną się same, kiedy pan będzie wychodził.

Ieva pomachała mu na pożegnanie i wyszła z mieszkania. Chwilę później słyszał, jak zbiega po schodach.

Został sam, głęboko poruszony. Zastanawiał się, jakim sposobem wzbudził w niej takie zaufanie. Potem zajął się mailami. Przeczytał je raz, a później drugi.

Siergiej i Simona wymienili między sobą trzydzieści dwa maile. Sporo z nich dotyczyło spraw praktycznych, jak wymienianie pieniędzy i tym podobne. Te go nie interesowały. Szybko zresztą udało mu się zorientować w tym, jak przebiegała ich komunikacja.

W pierwszych mailach w ogóle nie mówili o Danii, tylko o planowanej podróży do Hiszpanii, gdzie chcieli znaleźć człowieka o nazwisku Hannibal Frederiksen, mieszkającego niedaleko Malagi. Tę podróż odbyli w lutym.

Kolejny wyjazd, który omawiali, dotyczył już Danii. Tam mieli tylko jedno nazwisko: Mogens Bergsøe.

Podobnie jak podczas podróży do Hiszpanii, również tym razem ustalili, że posłużą się fałszywymi dokumentami i będą podróżowali jako państwo Sikorski z Niemiec. To mu wystarczyło. W folderze poczty nie było zresztą więcej istotnych dla niego informacji.

Nie było też sensu zwlekać z obejrzeniem filmu, który dostał od Ievy. Przeczywał, że wie dokładnie, co zobaczy. Wcisnął przycisk na swoim telefonie i na ekranie ruszył film — obraz był nieostry i rozedrgany, i niemal żółty z powodu niedostatecznego oświetlenia.

Osobiście nie był w stanie jej rozpoznać, ale zdaniem jej

siostry to była Virginija. Dziewczyna jest na łóżku, w klęku podpartym. Za nią klęczy jakiś mężczyzna. Obraz urywa się na wysokości ramion, ale jeden, jedyny raz ręka trzymająca kamerę musiała się podnieść i widać skrawek karku z ciemnymi włosami. Seks jest brutalny, ale najwyraźniej dobrowolny. Film trwa dziesięć, może piętnaście sekund.

Jolita przesłała nagranie do swojej przyjaciółki w kraju, a następnie skasowała je ze swojego telefonu, gdy jeszcze była w Nørlund. Co niewątpliwie było rozsądne. Po powrocie do Wilna odzyskała nagranie.

Odtworzył je raz jeszcze. Na ścianie za łóżkiem wisi krzyż. Odtworzył po raz trzeci. I tym razem pewien szczegół przykuł jego uwagę.

Mężczyzna ma na prawej kostce jakiś ciemny kształt... zapewne tatuaż. Na nieostrym i zbyt ciemnym nagraniu nie widać, co przedstawia.

Schował telefon do kieszeni. Postanowił, że prześle film Margrethe później, kiedy na spokojnie obejrzy go dokładnie w swoim pokoju w hotelu.

Wstał i po cichu zajrzał do kolejnych pokoi w dużym mieszkaniu. Najstarsza z sióstr najwyraźniej całkiem dobrze sobie radziła jako kobieta interesu i właścicielka sieci piekarni. Lokalizacja nie była może specjalnie atrakcyjna, z wiecznie zakorkowanym mostem i główną arterią biegnącą na północ przez całe miasto, to niewątpliwie za taką powierzchnię musiała zapłacić niemało.

Z tyłu, zza nowoczesnych zabudowań, wystawał dach dawnej hali koncertowo-sportowej. Ogromna konstrukcja dachu przypominała otwartą dłoń, a cały betonowy moloch wyglądał jak smarki Breżniewa.

Tak przynajmniej uważał taksówkarz, który go wiozł dzień wcześniej. Budynek był odgradzony. Nikt nie miał pomysłu, do czego mógłby się nadać, ale część wileńskich aktywistów

sprzeciwiała się jego zburzeniu. Nawet tak niemiłosiernie archetypiczną sowiecką konstrukcję można było przecież potraktować jako wartą zachowania część wspólnego dziedzictwa.

Z okien salonu Simony widać było Neris z zielonymi brzegami upstrzonymi kropkami ziemi i betonu, jak policzki pokryte trądzikiem. Po lewej, na drugim brzegu ku błękitnemu niebu wznosiła się niewielka wieża strażnicza będąca częścią dawnych umocnień, a jeszcze dalej można było dostrzec trzy duże, białe krzyże na wzgórzu otoczonym drzewami.

Kiedy szli przez starówkę, Ieva powiedziała, że według legendy krzyże postawiono, by uczcić pamięć siedmiu franciszkanów ukrzyżowanych kiedyś na tym wzgórzu. Stalin kazał je zdjąć, ale po odzyskaniu niepodległości Litwini zrekonstruowali je i ustawili w dawnym miejscu.

Ich biel świeciła w słońcu pośród zieleni. Mogły również upamiętniać Virginiję, Jolitę i Danuté.

Wrócił do kuchni i zamknął komputer Ievy. Potem wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Rozdział 47.

Szare, ciężkie chmury wisiały nisko nad Karrebæksminde, zraszając wszystko drobnym deszczem. Przed chwilą widziała, jak podnosi się zwodzony most na Enø. Odchylił się jak głowa do borowania górnej szóstki. Żaglówka, która towarzyszyła jej aż tutaj, miała wolną drogę i zniknęła jej z oczu, zanim zaparkowała na poboczu przy marinie.

Bez trudu znalazła emerytowanego policjanta, który przez wiele lat pracował w policji kryminalnej, jak się to wtedy nazywało. Benny Overholm był jedynym, który w tę czerwcową niedzielę pracował przy swojej łodzi — większość żaglówek była już zwodowana.

— Benny?

Mężczyzna odwrócił się i opuścił wiertarkę. Miał błękitną czapkę z daszkiem, a posrebrzone baki jakimś sposobem doskonale harmonizowały z grubym, złotym łańcuchem na szyi. Ukłonił się, wbijając w nią czujne spojrzenie.

— Słucham — potwierdził.

Przedstawiła się i podała mu rękę.

Benny Overholm mieszkał w Næstved, ale zdaniem żony większość czasu spędzał w Karrebæksminde i z zasady telefon komórkowy zostawiał wtedy w domu.

— Czytałam akta pewnej dawnej sprawy i natknęłam się na nazwisko Nielsa Oxena. Czy ono coś panu mówi? — zaczęła.

— A powinno?

— Był kiedyś w Bellahøj, razem z panem.

Benny Overholm wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

— Uczył się tam.

— A, to pewnie dlatego. Sporo się ich przewinęło.

— Tak, ale w jego sprawie prowadził pan dochodzenie. Razem z kolegą, Stigiem Ellehøjem.

— Naprawdę? A o co tam chodziło?

— Narkotyki.

— Wie pani, przepracowałem w policji całe życie i prowadziłem wiele spraw... — Overholm rozłożył bezradnie ręce.

— Niels Oxen był szczególnym przypadkiem. Począwszy od tego, że przyszedł do policji z armii i był dwukrotnie odznaczony za odwagę. Już to jest niezwykle.

Overholm zdjął rękawice robocze i w skupieniu przeczesywał pamięć. W końcu przyznał, kiwając wolno głową: — Faktycznie. Była taka sprawa, wieki temu.

Wręczyła mu dwa raporty i pomogła odświeżyć pamięć, pokrótce opisując sprawę, kiedy on kartkował raporty.

— Tak, teraz pamiętam. To była dziwna sprawa.

— W jakim sensie dziwna?

— Została zamknięta w środku postępowania. Szef wezwał nas do siebie, żeby...

— Max Bøjlesen?

— Tak, „Bøjlen”. Powiedział, że cała sprawa okazała się żenującym nieporozumieniem, i kazał nam o wszystkim zapomnieć. Wcześniej osobiście postanowił interweniować i poprosił, żebyśmy składali raporty wyłącznie jemu — z pominięciem naszego bezpośredniego zwierzchnika. Coś takiego było nie do pomyślenia. A „Bøjlen” w dodatku płacił

nam za pracę w nadgodzinach. Moim zdaniem nasz bezpośredni szef już na samym początku dowiedział się, że cała sprawa to strata czasu. I teraz, kiedy pani o tym wspomniała, pamiętam, że ten żołnierz rzucił szkołę jakiś czas później — wyjaśnił Overholm.

— Kto jeszcze wiedział o sprawie?

— Stig, mój partner, wygadał się szefowi służb porządkowych Middelbo. Obaj polowali i czasem spotykali się na polowaniach. Stig uważał, że Middelbo powinien o wszystkim wiedzieć i podjąć odpowiednie kroki, bo podejrzany był jego uczniem. Ale nikt nic nie zrobił. Dziś Middelbo jest na emeryturze, podobnie jak ja.

— Middelbo nie żyje. Miał raka.

Benny Overholm zmarszczył czoło i mruknął:

— Cholerny rak.

— Kto jeszcze wiedział?

— Tylko „Bøjlen” i my — ja i Stig Ellehøj. Nasz bezpośredni szef sądził, że sprawę zduszono w zarodku.

Wyjaśnienia Benny’ego Overholma wydawały się szczerze. Choć, podobnie jak pozostałym, którzy zajmowali się wtedy sprawą Oxena, wyjątkowo długo zajmowało mu przypomnienie sobie czegokolwiek — zważywszy na powagę sprawy i ciężar podejrzeń.

— A o co właściwie chodzi PET? — Overholm nie potrafił się powstrzymać.

— Jak pan wie, nie mogę...

— Wiem, wiem, rozumiem — pośpiesznie uspokoił ją emerytowany komisarz.

— Jak zaczęła się tamta sprawa? Kto jako pierwszy nabrał podejrzeń?

— Ja — powiedział bez wahania. — To ode mnie wyszło podejrzenie, ponieważ dostałem cynk z wiarygodnego źródła i uważałem, że trzeba to sprawdzić.

— Cynk? Od kogo?

— Od informatora, którego miałem wtedy na ulicy.

— Ale kim on był?

— Nigdy nie ujawniłem żadnego z moich źródeł. I nie zamierzam teraz tego zmieniać.

Musiała się zastanowić. Wprost raczej nic z niego nie wyciągnie. Spróbowała inaczej: — Rozumiem. Proszę mi zatem powiedzieć, co powiedział pana informator.

— Że ten żołnierz — i uczeń szkoły policyjnej — diluje. Krótka piłka.

— I jak przebiegało wasze śledztwo? — Już miała powiedzieć „wasze małe dochodzenie po godzinach”, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

— Śledziliśmy go i inwigilowaliśmy. Byliśmy w stanie udokumentować, że obraca się w kręgach narkotykowych. Kręciło się wokół niego sporo brzydkich typów — jeśli zważyć, że jednocześnie szkolił się na policjanta.

— Takich jak ten tutaj?

Wręczyła mu zdjęcie, na którym znacznie młodsza wersja Nielsa Oxena wsuwa małą kopertę albo kartkę w dłoń chudemu, zapuszczonemu mężczyźnie w wełnianej czapce.

— Dokładnie, tego rodzaju... podejrzanych osób.

— Kim jest gość ze zdjęcia?

— Nie pamiętam. Pewnie ktoś ze środowiska. Inaczej nie fotografowalibyśmy z nim Oxena.

— I co było potem?

— Po tym, jak przez jakiś czas śledziliśmy go wieczorami i w weekendy, „Bøjlen” kazał nam wkroczyć do akcji i przeszukać dom żołnierza.

Overholm musiał zauważyć jej uniesione brwi, bo wyjaśnił: — No tak, bez pozwolenia i tak dalej... Wiedzieliśmy, że to niezgodne z procedurą, ale czego się nie robi dla kogoś z samej góry?

— I co znaleźliście?

Benny Overholm zmrużył oczy i spojrzał w zachmurzone niebo, jakby tam szukał odpowiedzi.

— Powiem pani — powiedział w końcu, ciężko wzdychając — że dokładnie nie pamiętam. W każdym razie twarde narkotyki, trochę tabletek i jakąś gotówkę. Powinna to pani mieć w raporcie, skoro ma pani resztę sprawy.

— Mam tylko jej część — odparła.

To nie była prawda. W kopercie znajdował się raport. Znalezione dokładnie osiemset pięćdziesiąt gramów heroiny i trzysta pięćdziesiąt gramów amfetaminy plus pięć listków zawierających łącznie pięćdziesiąt tabletek diazepamu. Wartość rynkową oszacowano wówczas na pół miliona koron.

— Gdzie je znaleźliście?

— W garażu. W ścianie była dziura zasłonięta tablicą, taką jak te, na których wieszają narzędzia. Pamiętam, bo wydało mi się to całkiem sprytne.

Overholm zapamiętał dobrze — w dokumentacji są zdjęcia z garażu.

— Co zrobiliście z łupem?

— Przekazaliśmy go „Bøjlenowi”.

— I co dalej?

— I dalej nic...

— Żadnego składania wyjaśnień, nic zupełnie?

— Jak mówiłem, szef powiedział, że zaszło nieporozumienie. Żołnierz podpadł jakimś typom spod ciemnej gwiazdy i ci zastawili na niego pułapkę, żeby go wpędzić w kłopoty. Mieliśmy o wszystkim zapomnieć i trzymać gęby na kłódkę. Głupio by to wyglądało, że policja dała się nabrać.

— A *daliście* się nabrać?

— Proszę posłuchać. Lubię swoje obecne życie. Lubię swoją łajbę i z radością witam każdy dzień, czy to lato, czy zima. Nie chcę się w nic mieszać, policja i wasze śledztwa to dla mnie zamknięty rozdział.

To był właściwie koniec rozmowy z Bennym Overholmem. Z uprzejmości porozmawiała z nim chwilę o żeglowaniu, po czym pożegnała się i podziękowała za pomoc.

Kiedy usiadła za kierownicą, zwróciła uwagę, że nie wrócił do pracy, lecz stał, jakby coś zaprzętało mu myśli.

Basen w ośrodku rekreacji w Glostrup dudnił od pisków dzieci.

Drugie i ostatnie zadanie, jakie sobie wyznaczyła na tę niedzielę w ramach swojego prywatnego śledztwa, wchodziło właśnie w najciekawszy etap. Przed nią, na krześle w małej kafejce przy basenie siedział sierżant Stig Ellehøj. Jego dzieci, chłopiec i dziewczynka w wieku około dziesięciu i dwunastu lat, co i rusz przerywali im rozmowę, stukając niecierpliwie w szybę i poganiając ojca, żeby już wrócił do wody i się z nimi bawił.

Partner Overholma z Bellahøj mógł mieć czterdzieści kilka lat. Wystający brzuch malujący się pod koszulką wskazywał, że zadomowił się za biurkiem w wydziale dochodzeniowo-śledczym w Albertslund podlegającym komendzie regionu stołecznego — Københavns Vestegns Politi.

Chętnie zgodził się z nią porozmawiać o „sprawie tego żołnierza”, jak to ujął przez telefon. Pod warunkiem że spotkają się na basenie, bo obiecał dzieciom popołudnie w wodzie.

W przeciwieństwie do emeryta Overholma Ellehøj wszystko doskonale pamiętał. Sprawdziła jego wyjaśnienia, wypytyując go dokładnie o przebieg całego postępowania. Jego wersja zgadzała się z wersją Overholma, ale Ellehøj zapamiętał całą masę szczegółów, jak ten, że przecierał oczy ze zdumienia, kiedy z mediów dowiedział się o przyznaniu Oxenowi krzyża za męstwo.

Widać było, że Ellehøj się denerwuje.

— Wie pani, to, że zrobiliśmy przeszukanie bez pozwolenia i że cały czas działaliśmy za plecami naszego szefa, raportując bezpośrednio Bøjlesenowi, i w ogóle cała ta sprawa może mi poważnie zaszkodzić.

— Tę kwestię PET traktuje oczywiście bardzo poważnie — ostrzegła, gnębiąc go jeszcze bardziej.

— Mogę nawet stracić pracę.

— O tym zdecydują inni, ja wykonuję jedynie swoją pracę.

— Zgodziłem się dobrowolnie i powiedziałem pani wszystko. Zresztą wtedy to ja powiadomiłem Middelbo — bronił się Ellehøj.

— Middelbo nie żyje.

— Wykonywaliśmy polecenie służbowe. Z samej góry — od Maxa Bøjlesena. Czy naprawdę tak trudno zrozumieć, dlaczego to zrobiliśmy?

— Pewnie tak... zobaczymy. A na razie mam dwa ostatnie pytania, jeśli mi wolno zająć panu jeszcze chwilę.

— Oczywiście — zgodził się misiowaty Ellehøj.

— Kto znalazł skrytkę Oxena za tablicą na narzędzia?

— Benny — odparł bez cienia wahania.

— Ale zajęło wam to sporo czasu. Chodzi mi o to, że najpierw przetrząsnęliście cały dom, włącznie z piwnicą, i dopiero na koniec poszliście do garażu.

— Wcale nie, właśnie w garażu zaczęliśmy.

— Ach tak. A dlaczego?

— Benny stwierdził, że to rozsądne miejsce. Tam Oxen mógł trzymać swoje rzeczy w tajemnicy przed żoną i mógł się w nich babrać bez ryzyka, że mu przeszkodzi.

— Proszę, aby się pan teraz porządnie zastanowił, zanim pan odpowie... Ile wam zajęło znalezienie skrytki?

Ellehøj na chwilę się zawahał:

— Śpieszyliśmy się. Nie wiem, może z pół godziny. Sądzi pani, że...?

— Ja nic nie sędzę, próbuję tylko jakoś to wszystko uporządkować. Utrzymuje pan jeszcze kontakty z Overholmem?

— O nie!

— Kategorieczne stwierdzenie.

— Nie lubiłem go. Byłem wtedy młody i całkiem zielony. Jak teraz o tym myślę, dociera do mnie, że to wykorzystał. Zresztą nie tylko przy tej sprawie. Tak naprawdę to przez niego postarałem się o przeniesienie. I szczęśliwie udało mi się o wszystkim zapomnieć — aż do dzisiejszego ranka, kiedy pani zadzwoniła.

— Wie pan, kto doniósł Benny'emu na Oxena?

— Nie powiedział. A ja nie pytałem.

Wyjęła z małego plecaka kopertę. Uznała, że ich rozmowa dojrzała do ostatecznej konfrontacji. Stig Ellehøj sprawiał

wrażenie człowieka, którego naprawdę dręczy sumienie. Był kruchy i bezbronny.

— Wie pan, kim jest ten człowiek?

Pokazała mu stare zdjęcie Nielsa Oxena i biedaka w wełnianej czapce. Ellehøj spojrzał i chwilę się zastanawiał.

— Tak, myślę, że wiem. To „Balboa”. Weteran z Bałkanów, który zszedł na psy.

— Balboa?

— Nie zna pani? Rocky Balboa, Sylvester Stallone w tym filmie o bokserze.

— Ach ten. A dlaczego właśnie Balboa?

— Tę historię znam od Benny’ego. Prawdziwe nazwisko gościa to Ballebo. Był pięściarzem amatorem wagi lekkiej. Bardzo słabym, nawiasem mówiąc — w ringu zachowywał się jak ciepłe kluchy. Rocky Balboa był jego idolem, więc ksywa rozumie się sama przez się. Jak to możliwe, że w ogóle przyjęli go do wojska — Bóg raczy wiedzieć. Sądzę, że wtedy, kiedy tam, na Bałkanach rozpętało się piekło, wymogi nie były przesadnie wysokie. Potem w każdym razie „Balboa” zupełnie przestał sobie radzić. Całkowicie się załamał, wpłatał się w narkotyki i drobną przestępczość.

— Czyli Benny go zna?

— Owszem. Ale nie zna, tylko *znał*. „Balboa” umarł dawno temu — prawdopodobnie przedawkował, kiedy jeszcze byłem w Bellahøj.

Więc jednak były pewne nieścisłości w wyjaśnieniach Benny’ego Overholma. Nie zdziwiło jej to.

— Jak dobrze Benny Overholm znał „Balboę”?

— Myślę, że dość dobrze. Któregoś razu w grill barze przyuważyłem, jak tajniacko wsunął mu do ręki pół patyka. Wydaje mi się, że miałem tego nie widzieć.

— Zapytał pan go o to? Co odpowiedział?

— Coś w stylu, że to hańba, że państwo ma w dupie chorych weteranów.

Oddał jej zdjęcie, a ona włożyła je z powrotem do koperty i wstała. Nagle otoczyła ją zgraja dzieci, które wpadły do kafejki. Pożegnali się — była najwyższa pora, bo dzieci Ellehøja znów zastukały w szybę.

W drodze na parking rozmyślała o tym, jakim bagnem było życie Nielsa Oxena. Że było nim przez lata. I chyba naprawdę potrzeba sporej odwagi, żeby być nim.

Było po dziewiątej. Siedziała na kanapie i oglądała telewizję, gdy usłyszała krótki sygnał z telefonu leżącego na stoliku obok. Nim zdążyła po niego sięgnąć, usłyszała kolejny.

Oba esemesy były od Nielsa Oxena z Wilna. Do pierwszej wiadomości dołączył dwa zdjęcia. Kobieta — całkiem ładna — i mężczyzna, włosy rudoblond, piegowaty. Tekst wiadomości brzmiał: „Simona Zakalskyte i Siergiej Pronko”. Drugim esemesem przyszedł plik wideo. Oxen napisał tylko: „Virginija w Nørlund. Zwróć uwagę na prawą kostkę mężczyzny. Zadzwoń za pięć minut”.

Wyłączyła telewizor i odtworzyła film w telefonie. Jakość była fatalna, ale nie trzeba się było domyślać, co robią dwa niewyraźne ciała. Natychmiast dostrzegła cień na prawej kostce mężczyzny.

Nie mogła poprosić nikogo z Centrum Kryminalistyki w Vanløse, żeby poddał film obróbce. To był materiał wrażliwy — i to bardzo. Nikt nie może wiedzieć tego, co wiedzą oni. Zresztą tak naprawdę techniczna edycja pliku jest zbędna.

Na kostce mężczyzny widnieje napis: „HI 2006”. Z kobietą na filmie obchodzi się zresztą tak, jakby faktycznie był z żelaza.

Chwilę później zadzwonił Oxen. Odebrała i od razu powiedziała: — Wiem, który to.

Rozdział 48.

Nie zamierzali już wieszać więcej psów. Tym razem odbiorca ich wiadomości nie był jedynie przystankiem na drodze do celu, lecz samym celem. Ostrzeżenie było zbędne. To dobra wiadomość dla psa, ale również dla nich — pozwalało im to wyeliminować jeden z wielu ryzykownych kroków w przygotowaniu wielkiego finału.

Robiło się późno. Państwo Sikorski już dawno temu wrócili do swojego nowego hotelu, po kolejnym uważnym rozpoznaniu terenu i kolacji w lokalnej pizzerii. Podróżowanie jako małżeństwo zwiedzające Danię okazało się strzałem w dziesiątkę. Kamuflaż działał bez zarzutu — w okolicy były zamki Fredensborg i Frederiksborg, i przylegające do nich parki, które przemierzali wszerz i wzdłuż. I jeszcze jezioro Esrum. W tym małym kraju najwyraźniej nie było brzydkich miejsc. Brzydcy byli tylko niektórzy jego mieszkańcy.

Działali błyskawicznie. Dzień po tym, jak w wiadomościach telewizyjnych dostali swojego wroga na srebrnej tacy, z samego rana przenieśli się z Hadsund do Hillerød.

A wróg był nie byle jaki. W najśmielszych wyobrażeniach nie sądzili, że tak się to skończy. Duński minister sprawiedliwości.

Zbadali jego miejsce zamieszkania — daczę na odludziu, niedaleko miasta Nødebo, tak dokładnie, jak byli w stanie — i w naturze, i na zdjęciach satelitarnych z Google Maps, na których dało się niemal policzyć dachówki.

Gruntownie przyjrzeni się również przeszłości tego

człowieka. Część materiałów była dostępna w sieci po angielsku i niemiecku, więc czytali sami. Większość wymagała jednak pomocy kogoś dyskretnego.

Po raz kolejny zwrócili się do Andrieja Rachimowa, który skontaktował ich z godnym zaufania tłumaczem z Kopenhagi. W ramach nieodpłatnej przysługi. Za numery rejestracyjne samochodów musieli jednak zapłacić. Zawarli umowę, a Rachimow zdążył uruchomić swoje rozliczne kontakty. Było więc za późno, żeby wszystko odwołać, mimo że już nie potrzebowali tych informacji.

— Zostawiamy tak, jak jest? — zapytała, włączając mały ekspres do kawy, który stał w pokoju.

— Moim zdaniem jest idealnie — potwierdził.

— Przeczytaj mi jeszcze raz, ostatni, obiecuję.

Włożył gumowe rękawiczki i wziął kartkę, do której przykleili wycinki z gazet. Użyli nagłówek z „USA Today” — pocięli je i ułożyli z nich treść wiadomości. Zaczął czytać:

Do ministra sprawiedliwości

Obejrzyj załączoną płytę. Twardy dysk z oryginalnym nagraniem z zamku kosztuje 1,5 miliona euro. Gotówką.

Wejdź na adres URL.

Zaloguj się na czacie w środę, o godzinie 12.

Hasło: hanged dogs.

Użytkownik: zarejestrowany jako „justice”.

Poza wyciętymi słowami na końcu listu przyklejono pasek z adresem URL. Był to adres prywatnego czata, który założyli specjalnie po to. Stąd udzielą ministrowi dalszych instrukcji.

— To ostatnia szansa, żeby cokolwiek zmienić.

— Nie, jest okej — potwierdziła.

Kłócili się o kwotę. Jej zdaniem bydlak wywinie się tanim kosztem. On wytrwale ją urabiał. Pytał, czy naprawdę to taka wielka różnica, czy uda im się wyciągnąć od niego kolejne trzy, cztery albo pięć milionów. I przekonywał, że muszą zachować umiar — to powinna być kwota, którą minister będzie w stanie zebrać bez wiedzy żony — czy kogokolwiek innego. A przede wszystkim powinien być w stanie zebrać ją w miarę szybko.

Odrobili lekcję — gość najprawdopodobniej ma kasę. Mnóstwo kasy. On sam jest uczonym, w dodatku prawnikiem, ale ma również niewielki udział w ogromnym imperium przemysłowym rodziny Rosborgów, S.E. Rosborg International, stworzonym przez jego dziadka. W artykule prasowym w internecie można przeczytać, że:

„Majątek ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga jest w każdym razie na tyle duży, że trudno go podejrzewać, by czuł się zmuszony przyjąć nie najlepiej opłacane stanowisko przedstawiciela narodu w Christiansborgu. To, że zdecydował się pełnić tę funkcję, jest więc świadectwem jego pełnego zaangażowania politycznego”.

Aż człowieka mdli, kiedy czyta coś takiego. Do tego natknęli się też na jego nazwisko w artykułach i programach telewizyjnych o tym, jak Duńczycy dbają o zdrowie. Minister najwyraźniej świecił przykładem zdrowego ducha w zdrowym ciele.

A w rzeczywistości był małą, pospolitą, zboczoną świnią. Tym był minister.

Tylko ten jeden raz miał dostać instrukcje za pośrednictwem internetu, w ich prywatnym czatroomie. Potem mieli się już nie kontaktować.

A jeśli by spróbował zrobić ich w konia — co było mało prawdopodobne, bo wówczas zrujnowałby sobie życie i karierę — to owszem, zabezpieczyli się i na taką ewentualność. Otrzymali wsparcie techniczne od jednego z przyjaciół „pani Sikorski”, pracującego w branży informatycznej. Wsparcie polegało na zainstalowaniu na ich komputerze programu, który w kilku prostych krokach sprawi, że urządzenie zacznie się zachowywać tak, jakby znajdowało się w hotelu w Wilnie.

Ale to tylko tak na wszelki wypadek. Mogli się czuć bezpiecznie, bo nadal nikt nie wiedział, kim są. Ani po co naprawdę tu przyjechali. Dowody były na twardym dysku i w komputerze zabranym z chaty pod lasem. Należało jedynie bezpiecznie je przechować do ostatniej, rozstrzygającej fazy ich operacji. Za cenę półtora miliona euro ministerialna świnia może je kupić i ocalić skórę.

W czatroomie minister dostanie również bardzo czytelne ostrzeżenie: jeśli będzie próbował sztuczek podczas przekazania pieniędzy, wystarczy jedno kliknięcie w klawiaturę laptopa, a nagranie natychmiast trafi na YouTube’a. I jak wtedy będzie wyglądał świat pana ministra?

— Tylko w jaki sposób przekazemy mu kopertę, żeby nie dostał jej nikt inny? Wiesz już, mój drogi?

Siedziała na brzegu łóżka z filiżanką kawy w dłoniach, jakby było jej zimno i chciała się rozgrzać. Denerwowała się na myśl o tym, co ich czeka w kolejnych dniach. Czuł to i słyszał. Jednym robiło się w takich chwilach gorąco — innych ogarniało lodowate zimno.

On sam czuł się znakomicie. Na Litwie albo w Rosji siedemset pięćdziesiąt tysięcy euro to majątek. Można spełnić wiele swoich marzeń. Można na takiej sumie zbudować resztę życia, jeśli się ją rozsądnie zagospodaruje.

— Nie ma sensu nawet zbliżyć się do jego domu. Jutro

poniedziałek — pojedziemy za nim do Kopenhagi. Bo chyba w tym kraju minister też ma samochód i kierowcą? Będziemy trzymali bezpieczny dystans i przyjrzymy się dokładnie, jak wygląda jego przyjazd pod budynek parlamentu. Gdzie zatrzymuje się samochód, jakimi drzwiami wchodzi i tak dalej. A potem będziemy trzymać kciuki, żeby we wtorek wszystko było tak samo. Wtedy będziemy na miejscu z wyprzedzeniem i będziemy gotowi. Jeśli coś nawali, to zostaje jeszcze środa. A w najgorszym wypadku zmienimy treść wiadomości. Tak czy inaczej, doręczymy mu to. Nie musimy się śpieszyć.

Siedziała, wciąż trzymając oburącz filiżankę.

— Dobrze, tak zrobimy. Ale powiedz mi, tylko szczerze... myślisz, że nam się uda?

Skinął głową i uśmiechnął się uspokajająco:

— Oczywiście, że się uda. Jestem tego pewien. Teraz musimy tylko znaleźć odpowiednie miejsce, żeby dokonać wymiany. To ostatnia rzecz, jaką mamy do zrobienia.

Rozdział 49.

W srebrnym oplu corsie z Europcar siedziała tylko jedna osoba. Helena Sikorski — a raczej Simona Zakalskyte. Spokojnie sunęła w długiej kolumnie aut zmierzających we wtorkowy ranek do centrum Kopenhagi. Trzy samochody przed nią jechał ministerialny samochód z ministrem Ulrikem Rosborgiem na tylnym siedzeniu. Zarówno przed nim, jak i za nim samochodami należącymi do PET jechali ochroniarze.

Corsa miała wmontowany lokalizator GPS. Mimo to Margrethe Franck była maksymalnie skoncentrowana na swojej części zadania. Przed chwilą dzwonił Niels Oxen, który obserwował kuzyna, Siergieja Pronkę. Dawny komandos z jednostki specjalnej Wypieł wczesnym rankiem zamówił taksówkę. Oxen jechał za nim całą drogę i teraz obaj byli pod Christiansborgiem, zaraz przy wjeździe na Rigsdagsgården.

Cokolwiek miało się stać, należało się spodziewać, że stanie się lada chwila. Czterech ochroniarzy gwarantowało, że nikt nie zarzuci ani jej, ani Oxenowi, że narazili ministra na niebezpieczeństwo.

Państwa Sikorski zlokalizowała w poniedziałek przed południem. Znalezienie dwójki domniemanych sprawców co najmniej trzech zabójstw — Hannibala Frederiksen, Mogensa Bergsøe i Hansa-Ottona Corfitzena — okazało się dziecinnie proste.

W niedzielę późnym wieczorem sporządziła listę potencjalnych miejsc noclegowych, biorąc za punkt wyjścia adres ministra w Nødebo i sprawdzając noclegi w promieniu

dziesięciu, piętnastu kilometrów, co obejmowało Fredensborg, Hillerød i Helsingør.

Logika podpowiadała jej, że poszukiwana para zatrzymała się w pobliżu swojego celu. I logika jej nie zawiodła. Na liście gości hotelu Hillerød, który obstawiała na trzecim miejscu, w istocie znalazło się małżeństwo Helena i Konrad Sikorski z Barsinghausen w Niemczech.

Zdjęcia z kamery przemysłowej w recepcji hotelu ostatecznie potwierdziły, że Simona Zakalskyte i jej kuzyn Siergiej Pronko mieszkają w pokoju numer czternaście.

Kiedy dotarła na miejsce, nie było ich w pokoju, ale wrócili w porze lunchu. Potem spędzili popołudnie, jeżdżąc po okolicy — przejechali między innymi dwukrotnie obok posiadłości ministra i pojeździli po samym Nødebo. W Hillerød zjedli pizzę i późnym wieczorem wrócili do hotelu. Potem wartę przejął Oxen, a ona przespalała się w tym samym hotelu.

Minęła Kongens Nytorv. Za chwilę przejadą przez Holmens Bro i będą pod Christiansborgiem. Nie miała pojęcia, gdzie wysiądzie minister. Może zresztą wcale nie jedzie do parlamentu, tylko do ministerstwa przy Slotholmsgade. Jeśli tak, to miną gmach parlamentu i pojedą dalej. Okaze się za moment.

Kiedy zobaczył, jak przez most przejeżdża granatowe audi A8 quattro wiozące ministra, zadzwonił do Margrethe Franck.

— Nie rozłączaj się. Musimy zobaczyć, dokąd jedzie. Pronko czeka w gotowości z jakimś dzieciakiem zaczepionym na ulicy — chyba ma być jego posłańcem.

— Okej, jestem w kontakcie.

Skromna kolumna złożona z dwóch samochodów PET i samochodu ministra skręciła w prawo i wjechała na

Rigsdagsgården. Minister Ulrik Rosborg zamierzał więc złożyć wizytę w Borgen i chciał wejść głównym wejściem.

— Wchodzę za nim — powiedziała Franck.

Minister wysiadł i powiedział coś ochroniarzom. Chwilę później samochody PET odjechały, a Rosborg ruszył w stronę szerokich schodów.

— Franck! Patrz na dzieciaka w jasnoniebieskiej bluzie! To posłaniec. Ten na rowerze... w ręku trzyma kopertę.

W stronę ministra jechał nastolatek na rowerze górskim, minister stał na dole schodów pochłonięty rozmową z jakimś starszym mężczyzną.

— Ten, z którym rozmawia Rosborg, to przewodniczący parlamentu Hans Panduro — usłyszała Margrethe w słuchawce.

Chłopiec zatrzymał rower przed ministrem, coś powiedział i wręczył mu białą kopertę. Potem wskoczył na rower, nacisnął pedały i oddalił się w stronę pasażu do Tøjhusgade.

Minister sprawiedliwości wymacał kopertę, roześmiał się i z uśmiechem pożegnał przewodniczącego parlamentu, który rozmawiał teraz z kimś trzecim.

Minister wszedł na schody, ale po dwóch stopniach przystanął. Raz jeszcze pomacał kopertę, otworzył ją i zajrzał do środka. Widać było, jak wyjmuje z niej jakąś kartkę. Chwilę później dostrzegł, że minister zeszywniał, stojąc w połowie schodów. Potem kilkakrotnie nerwowo spojrzął za siebie, jakby szukał na Rigsdagsgården ciekawskich spojrzeń. Następnie w kilku susach przemierzył schody i zniknął wewnątrz budynku.

— Pronko biegnie z powrotem. Wsiada do jej samochodu. Franck, podjedź do wjazdu i mnie zgarnij.

— Okej.

Chwilę potem siedział obok niej. Wciąż widzieli tył corsy jadącej w dół Slotholmsgade.

— Co tam się właściwie stało? Przekazali mu żądania? — zapytała, nie odrywając wzroku od samochodu przed nimi.

— Tak myślę. Bo co innego?

— Zatem chcą go oskubać z kilku milionów.

— Zapewne. Mają wystarczająco, żeby go zniszczyć. Okej, skręcają!

Corsa skręciła w prawo, w Christians Brygge, przejechała dalej przez Frederiksholms Kanal i zmierzała w stronę Kalvebod Brygge.

— Ale może nie mają wystarczająco, by udowodnić, że ją zabił?

— Nie wiemy, czy to zrobił. Wiemy jedynie, że Virginija znikła. Cholera, gdzie oni jadą?

Corsa wjechała teraz w Berntorffsgade, a oni cały czas utrzymywali bezpieczny dystans. Na wysokości dworca głównego wjechała w zatoczkę i stanęła przed głównym wejściem.

Siergiej Pronko wyskoczył z auta i z dużą torbą sportową z pomarańczowego ortalionu w kilku długich krokach zniknął w hali dworca. Margrethe Franck zatrzymała się przy krawężniku, a on wyskoczył w ślad za Rosjaninem.

W środku kotłowało się morze spieszących dokądś ludzi, większość odwrócona do niego plecami. Ostre światło na zewnątrz sprawiało, że w hali zdawał się panować półmrok. Ruszył w ślad za pozostałymi w prawo i w kotle sylwetek dostrzegł pomarańczową torbę. Siergiej Pronko zdecydowanym krokiem zmierzał na drugi koniec hali.

Ruszył za nim, zachowując odstęp. Nie wiedział tego, ale

musiał uwzględnić, że Rosjanin może znać jego twarz. Rosjanin zaczął schodzić po schodach, zmierzając do wyjścia od strony Istedgade. Szybko przedarł się przez tłum i zdążył dostrzec go, jak skręca w lewo i idzie dalej, do części korytarza oznaczonej jako Bagagecenter. Tam kolejnymi schodami schodzi jeszcze niżej.

Zachowując najwyższą czujność, poszedł za nim długim korytarzem, którego obie ściany od podłogi po sufit były zabudowane skrytkami bagażowymi. Przez cały czas bacznie obserwował otoczenie — tak miał zakodowane.

Nie było tłumu, ale na szczęście trochę ludzi się kręciło. Kawalek dalej starsza para szarpała się z dwiema walizkami, przy automacie do płacenia stała kobieta i trzymała za rękę małego chłopca. Jeszcze dalej, przy okienku obsługi mniej więcej w połowie korytarza, stała młoda para z dużymi plecakami. Niemal na samym końcu młoda ciemnoskóra dziewczyna zamykała właśnie skrytkę.

Siergiej Pronko ustawił się przy okienku, które przypominało stanowisko do odprawy na lotnisku z platformą ze stali nierdzewnej, na której należało położyć bagaż.

On sam stanął przy automacie za kobietą z dzieckiem, która próbowała się zorientować, jak działa system. Kątem oka zobaczył, że para z plecakami sobie poszła i Rosjanin stanął przed młodą kobietą, która obsługiwała stanowisko. Pronko postawił na platformie pomarańczową torbę i wyjął z niej mały plecak turystyczny — ciemnozielony i całkowicie anonimowy. Kiedy kobieta w okienku pochyliła się, żeby przykleić na jego bagażu numerek, nieznacznie go odwróciła. Natychmiast go zobaczył — do zamka bocznej kieszeni był przyczepiony breloczek z maskotką — niedźwiedziem polarnym. Więcej nie potrzebował. Ostrożnie się wycofał, wszedł po schodach i zajął pozycję do obserwacji w tłumie.

Siergiej Pronko wyłonił się po kilku minutach. Na

ramieniu nadal miał pomarańczową torbę sportową. Szedł teraz bez pośpiechu. I najwyraźniej zgłodniał, bo po drodze kupił kanapkę, mleko i dwie duże cole. Spakował je do torby i wyszedł z hali dworca.

Spokojnie wsiadł do corsy, a czekająca w niej Simona zawróciła i odjechała w stronę Berntorffsgade. Po chwili wahania wykonała niedozwolony skręt w lewo i ruszyła w stronę skrzyżowania z Vesterbrogade, które przejechała na wprost.

— Co robił? — zapytała Franck, kiedy stojąc na poboczu, czekali na przerwę w ruchu, by móc zawrócić.

— Kupował bilety... Tak przynajmniej sędzę. W każdym razie został obsłużony w kasie. A potem kupił jakieś kanapki i cole.

— Bilety? To by znaczyło, że odwrót planują wykonać pociągiem. Dobrze wiedzieć. Właściwie jest tylko jedna możliwość: Gedser - Warnemünde i dalej z Rostocku, przez Berlin i Warszawę, na Litwę.

— Pewnie dacie radę to sprawdzić.

— Wątpię, czy zapłacił kartą. To oznacza, że możemy sprawdzić tylko bilety wystawione przez firmę promową. Ale to powinno wystarczyć.

Przez resztę długiej drogi powrotnej milczeli. Franck cały czas jechała w rozsądnym odstępnie za samochodem Rosjanina i Litwinki. Dopiero na Borups Allé powiedziała to, co jemu samemu chodziło właśnie po głowie:

— Ciekawe, jak długo to teraz potrwa. Minister otrzymał ich żądania. Musi zebrać kwotę, nawet jeśli nie musi jej *zbierać* dosłownie. Chyba gdzieś słyszałam, że Rosborg jest bogaty z urodzenia. Pewnie ma coś wspólnego z koncernem S.E. Rosborg International, jak myślisz?

— Jasne, to przecież rodzinna firma. Nie sędzę, by

Rosborgowi kiedykolwiek czegokolwiek brakowało.

Ulrik Rosborg był jednym z polityków, do których się zwrócił w czasie, gdy zależało mu na powołaniu komisji specjalnej do zbadania śmierci Bossego. Wtedy wiązał z komisją duże nadzieje. U władzy były wówczas inne kluby partyjne, a Rosborg był charyzmatycznym i pełnym zapału gwiazdorem opozycji. Choć tego zapału nie starczyło mu, by odpisać na jego prośbę.

— Pronko i Zakalskyte chcieliby pewnie jak najszybciej zakończyć polowanie i bezpiecznie wrócić do Wilna, ale i tak będą musieli mu dać co najmniej dwie, trzy doby, zależnie od wysokości sumy.

— Tak naprawdę nie wiemy nic. *Sądzimy*, że chcą go zaszantażować, ale tego nie wiemy — przypomniał.

Dojechali już do Utterslev Mose i autostrady na Hillerød. Obiekt najwyraźniej wracał do kryjówki.

— Pewnie cię tu znają, skoro mieszkałeś w Nordvest — zagadnęła.

— Niezbyt — odburknął. Chociaż obszedł tę okolice milion razy, szukając butelek. Wydawało się, że minął szmat czasu. W epoce poprzedzającej ten moment, kiedy razem z Mr. White'em pierwszego maja stanęli w strugach deszczu na peronie w Skørping.

Teraz siedział w samochodzie obok funkcjonariuszki PET i jechali autostradą do Hillerød, ścigając mężczyznę i kobietę, którzy z zimną krwią zamordowali pięć osób w czasie trwającej od kilku miesięcy pogoni za swoim największym trofeum.

Siedział w samochodzie obok Margrethe Franck, bo pewnej księżycowej nocy popełnił niewybaczalną głupotę i postawił swoje stopy na rabacie kwiatowej przy zamku Nørlund.

Dwadzieścia pustych minut później wjechali na parking przed hotelem Hillerød i zaparkowali na samym końcu, w rogu, skąd widzieli, jak Simona Zakalskyte i Siergiej Pronko wchodzą do hotelu głównym wejściem.

Teraz kwestią godzin było, kiedy wkroczą do akcji. Musieli improwizować i nie było miejsca na pomyłkę. Każdy błąd mógł się skończyć fatalnie.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę wejścia. Kiedy tylko Franck zostawi go samego, musi zadzwonić i przygotować sobie własną polisę ubezpieczeniową. A późnym wieczorem uda się na małą, tajną misję, by owa polisa niezwłocznie nabrała mocy.

Zegar na kopenhaskim dworcu głównym pokazywał, że do północy zostały dwie minuty. Szedł spokojnie z reklamówką w ręce w stronę umówionego miejsca spotkania.

W hotelu Hillerød Margrethe Franck pilnowała państwa Sikorski i była przekonana, że on głęboko śpi. Tym razem był mądrzejszy. Nie ciągnął za sobą żadnego „ogona ogona” i nie namierzy go żaden lokalizator, bo opuścił hotel pieszo i dopiero po kilkuset metrach z ulicy zabrała go żona Fritsena.

L.T. Fritsen czekał, tak jak się umawiali, na dworcu, przy schodach wychodzących na Istedgade, opierał się o poręcz. Jego dobry przyjaciel z drugiej misji na Bałkanach całkiem dobrze się urządził dzięki niezliczonej liczbie nielegalnych — i rozsądnej liczbie legalnych — napraw w swoim małym warsztacie samochodowym na Amager.

Rzadko się widywali, ale solidny mechanik zawsze był gotów mu pomóc, jeśli była taka potrzeba. Fritsen pomagał mu, odkąd on wiele lat temu wskoczył do rzeki Uny, żeby wyłowić Fritsena trafionego kulą serbskiego snajpera.

Mijając go, dał sygnał — pociągnął się za prawe ucho. L.T. Fritsen poprawił na ramieniu torbę z komputerem i całą resztą i powoli ruszył w dół schodów.

Sam odczekał minutę, zanim poszedł za nim. Spotkali się na stromych schodach do przechowalni bagażu. Nie mówiąc ani słowa, wyjęli ubranie na zmianę, wciągnęli bluzy z kapturem, włożyli czapki z daszkiem, a na nie nasunęli kaptury. Potem zeszli niżej.

Długi korytarz ze skrytkami bagażowymi był zupełnie pusty. Stoisko do depozytu osobistego obsługiwał chudy dzieciak z logo DSB i 7-Eleven na bluzie.

Fritsen postawił torbę na platformie obok jego lady i kiedy chłopak zrobił krok w przód, psiknął mu w twarz gazem pieprzowym. Zaraz potem on sam wskoczył za ladę, złapał chłopaka od tyłu i powalił na podłogę, a Fritsen zakleił mu usta taśmą. Potem odsunęli chłopaka w kąt pomieszczenia. Fritsen stanął za ladą, a on sam błyskawicznie zlokalizował trzy małe kamery przemysłowe i je zakleił. Potem pobiegł w stronę bagaży zdeponowanych na odkrytych półkach. Ich rozmieszczenie było logiczne i przejrzyste. Zielony plecak z niedźwiedziem polarnym znalazł w niecałą minutę — leżał na półce dokładnie na wysokości jego wzroku na samym końcu pomieszczenia.

Zawołał Fritsena i zamienili się miejscami.

W długim korytarzu wciąż nie było żywej duszy. Do zamknięcia przechowalni została jeszcze godzina, ale pewnie niewielu ludzi korzysta z niej o tej porze. Zerknął na zegarek. Minęło sześć minut.

Nie miał pojęcia, kto i gdzie siedzi przed monitorem i obserwuje ten obszar dworca. Najwyraźniej przechowalnię bagażu prowadzili wspólnie DSB i sieć 7-Eleven. To by wskazywało, że raczej nie narzeka się tu na nadmiar zasobów ludzkich.

Minęło dokładnie osiem minut i dwadzieścia pięć sekund, kiedy Fritsen przeskoczył przez platformę obok lady ze swoim plecakiem w ręce. Potem spokojnie ruszyli w górę i

wyszli z dworca od strony Istedgade.

Na rogu z Colbjørnsensgade czekała na nich żona L.T. Fritsena.

Rozdział 50.

Za każdym razem, gdy fałszywi państwo Sikorski wsiadali do samochodu, mogło to oznaczać początek ostatecznej rozgrywki, więc oboje byli w nieustannej gotowości. Ale za każdym razem okazywało się, że niepotrzebnie. Małżonkowie jeździli sobie po prostu po okolicy — jedna albo dwie wycieczki dziennie.

Oni z kolei mieli w hotelu Hillerød oddzielne pokoje. Margrethe Franck mieszkała dwa pokoje dalej i martwiła się, bo jej pokrętne wymówki zaczęły budzić podejrzliwość przełożonych.

Martin Rytter, dyrektor operacyjny, nadal mieszkający w Rold Storkro i kierujący poszerzonym oddziałem śledczym, dzwonił już wielokrotnie. Zbyła go, mówiąc, że ma mnóstwo pracy, bo dostała od Mossmana zlecenie sprawdzenia wszystkiego, co tylko istnieje w systemie na temat trzech żyjących uczestników weekendu na zamku. Dlatego właśnie prześwietla życie ministra Rosborga, szefa departamentu Utha-Johansena i prezesa Nyberga.

Co oczywiście było kluczowe dla sprawy — tyle że nie było prawdą. A kiedy Rytter zapytał ją o „naszego drogiego weterana”, odparła tylko, że nie ma pojęcia, gdzie jest ani co robi.

On zresztą również nie mógł się doczekać zakończenia. Był gotów — i był kryty. Teraz chciałby już mieć to za sobą.

Tym razem nocna warta przypadła jemu. O czwartej nad ranem w sobotę przesunął wzrok z okna na ekran telefonu. Błyskawicznie wybrał numer Margrethe Franck.

— Teraz!

Simona Zakalskyte i Siergiej Pronko szli spokojnie oświetlonym parkingiem w kierunku swojego opla. Inaczej niż do tej pory, nieśli swoje bagaże. Wymeldowali się. Czyli się zaczęło. Oni także wkroczyli do akcji.

Spod materaca wyjął swój nóż i świeży zakup z nocnej wycieczki do Kopenhagi — dziewięćmilimetrowy SIG Sauer P210. Pieszczotliwie nazywany Neuhausenem. Pistolet należał do rezerwowej broni ręcznej używanej przez komandosów, był znany z niezawodności i nieźrównanej precyzji. Kosztował go dwadzieścia jeden tysięcy koron netto na czarnym rynku. Zarówno SIG-a, jak i parę innych zabezpieczeń załatwił mu L.T. Fritsen.

Włożył do pistoletu magazynek z ośmioma kulami, a do kieszeni schował zapasowy magazynek. Pośpiesznie przykleił nóż do prawej łydki, złapał w locie kurtkę i zatrzasnął za sobą drzwi.

Margrethe Franck zerwała się z łóżka w sekundę. Schowała broń do kabury i włożyła kurtkę.

— Monitor?

— Jest — podniosła w ręce swój mały plecak.

— Lornetka?

— Też.

Pobiegli do końca korytarza i gwałtownie się zatrzymali, by spokojnie minąć recepcję. Z przedsionka zobaczyli, że corsa wyjeżdża z parkingu. Postali chwilę, aż zniknie na opustoszałej o tej porze Milnersvej.

Potem pędem rzucili się do mini coopera Margrethe. Wskoczyła za kierownicę i uruchomiła silnik, on w tym czasie wyjął z plecaka monitor i usiadł obok niej.

— Spokojnie, mamy ich — powiedział, gdy gwałtownie

przyśpieszyła, jadąc w stronę wyjazdu.

Czerwona kropka na małym ekranie sunęła wolno Østergade, Helsingørgade i dalej w górę Holmegårdsvej, mijając ogród zamkowy Frederiksborg i jadąc dalej wzdłuż Fredensborgvej. Przez cały czas trzymali się daleko za nimi. Na razie nie było konieczności kontaktu wizualnego.

— Jadą na autostradę? — zapytała.

Zaczekał chwilę. Czerwona kropka znów się przesunęła.

— Nie. Jadą dołem i wyjeżdżają na Hillerødvejen.

Krótko potem corsa skręciła w lewo i wjechała w Nødebovej.

— Jadą do domu ministra — wypaliła Franck. — Co oni zamierzają?

— Zaraz się przekonamy. Nadal mają spory kawałek — odparł ze wzrokiem wbitym w czerwoną kropkę.

Najwyraźniej Pronko i Zakalskyte wcale nie zamierzali wjeżdżać corsą do jaskini lwa. Przejechali na przestrzał rozwlekłe Nødebo, miasto złożone najwyraźniej z samych ogrodzeń, i trzymając się cały czas Gillelejevej, wjechali do Gribskov, gdzie drzewa liściaste tworzyły nad drogą tunel. Chwilę później skręcili w dół, w długą drogę prowadzącą do jeziora Esrum.

— Czekaj, czy już ich tam nie widzieliśmy?

— Tak. Całą godzinę siedzieli i palili. Pamiętaj, by zanadto się nie zbliżać — przypomniał.

Corsa jechała teraz wolno drogą wiodącą aż na sam brzeg jeziora. Jakiś kilometr przed nimi czerwona kropka się zatrzymała.

— Stanęli. Tu nie możemy na nich czekać. Każdy, kto tędy przejedzie, nas zobaczy.

— Co robimy? — Głośno zabębniła palcami w kierownicę. Przyjrzał się mapie na ekranie GPS-a.

— Zawracamy. Pojedziemy tą samą drogą, ale zjedziemy tutaj. — Pokazał palcem na ekranie. — Tą drogą pojedziemy równolegle, aż znajdziemy się na tej samej wysokości co oni. Wtedy zostawimy samochód i przejdziemy lasem te jakieś dwieście metrów do jeziora, gdzie się zatrzymali. To tam musieli się umówić z ministrem.

— I dlatego tak długo czekali. Sobotni ranek, kiedy ma wolne i może się wymknąć, zresztą niezbyt daleko. Bardzo praktyczne — pochwaliła Margrethe.

— Tak, wręcz wspaniałomyślne — mruknął. — Dobra, jedziemy!

Dziesięć minut później przedzierali się przez gąszcz. Najpierw szybko i nie słysząc żadnych dźwięków. Potem, gdy spomiędzy krzaków zaczęła się wyłaniać migocząca w porannym słońcu tafla jeziora, zwolnili.

Ostatni kawałek skradali się już bardzo ostrożnie. Według monitora znajdowali się mniej niż sto metrów od corsy. Patrzyli pod nogi, żeby żadna gałąź nie trzasnęła pod ich stopami. Kiedy dotarli do wiatrołapu na niewielkim wzniesieniu, dał jej sygnał, żeby się zatrzymała. Podczołgał się ostatnich kilka metrów i pomachał, żeby do niego dołączyła.

Słońce było już wysoko. Większą część pola widzenia zasłaniały liście, ale niżej, przy samym jeziorze, było kilka małych prześwitów. W jednym z nich dostrzegli przednią szybę corsy. Kawałek dalej plecy Siergieja Pronki. Dawny żołnierz *specnazu* ćmił papierosa. Sprzed twarzy mężczyzny unosił się szary dym. Simone zasłaniały liście.

— Musimy podejść bliżej — powiedział, opuszczając lornetkę.

— A możemy? — Margrethe Franck leżała tuż obok jego ramienia.

— Chodźmy w dół, w tamte chaszczce. Tam zostaniemy, aż pokaże się minister albo usłyszymy jego samochód. To przykuje ich uwagę, a wtedy podbiegniemy ostatni kawałek i schowamy się za jakimś drzewem. I będziemy na miejscu.

Franck zacisnęła zęby i tylko pokiwała głową. Na jego znak wstała i zgięta w pół powoli ruszyła za nim w dół zbocza, w stronę gęstych krzewów jeżyn. Tam znów położyli się na brzuchu.

— Musimy czekać. Pamiętaj, tylko spokojnie — szepnął jej do ucha i spojrzął na zegarek. Było za cztery piąta.

Zakalskyte i Pronko zaparkowali na małym, otwartym placu z boku drogi. Ku swojemu zaskoczeniu na dachu samochodu zobaczył otwarty laptop.

Oboje palili jednego za drugim — może z nerwów, bo akcja się zagęszczała. Simona opierała się o okno od strony kierowcy, ale wciąż zmieniała pozycję. On stał nieruchomo, w lekkim rozkroku.

Siergiej Pronko zdusił papierosa i zajął się uważną obserwacją otoczenia przez lornetkę. Najpierw jezioro, potem łąd.

Oboje z Franck jeszcze mocniej wcisnęli się w poszycie. Widzieli, jak Pronko wyjmuje z kieszeni pistolet i rusza leśną dróżką najpierw kawałek w dół, a potem w górę. Był komandosem — zawsze czujny i ostrożny. Chciał mieć pewność, że nie spotka go niespodzianka. Przeszukiwał teraz zbocze i porastający je las.

Wyjął swój pistolet i ostrożnie go odbezpieczył, gdy Pronko był zaledwie dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów od nich. Margrethe Frank wyłuskała swoją broń służbową z kabury i zrobiła to samo.

Jakieś dziesięć metrów od nich Rosjanin pochylił się i zakończył patrolowanie terenu. Oboje odetchnęli z ulgą.

Była piąta czternaście. Tamci przy samochodzie znów zapalili po papierosie. Simona Zakalskyte na nowo zaczęła wiercić się w miejscu. Wyjęła broń z kieszeni kurtki i zapytała o coś kuzyna. Wysunął magazynek, sprawdził coś i włożył go z powrotem na miejsce. Pokiwał głową i najwyraźniej udzielał jej ostatnich instrukcji. Odbezpieczyła broń i wsunęła z powrotem do kieszeni.

O piątej dwadzieścia pięć Siergiej Pronko wydał krótki rozkaz. Litwinka stanęła przed komputerem rozłożonym na dachu corsy.

Pronko oddalił się kawałek i raz jeszcze przeszukał horyzont. Dopiero potem spokojnym krokiem wrócił do samochodu, otworzył przednie drzwi i rzucił lornetkę na tylne siedzenie.

O piątej trzydzieści usłyszeli dźwięk silnika. Chwilę później samochód mignął im po raz pierwszy. Mały i ciemny. Jechał powoli. Teraz widzieli wyraźnie — był to wóz architektki, żony ministra, mały citroën picasso. Franck oczywiście to sprawdziła.

Teraz wyraźniej widzieli również postać za kierownicą. Samochód podjechał jeszcze kilka metrów w stronę Siergieja Pronki, który schował się za corsą. Rosjanin w wyciągniętej ręce trzymał pistolet wycelowany w ministra.

Rozdział 51.

Siergiej Pronko, machając pistoletem, kazał ministrowi ustawić samochód na małym placyku. Potem dał znak, żeby wysiadł z samochodu.

Oxen i Franck zakradli się jeszcze kawałek bliżej, każde z nich znalazło sobie gruby pień dębu i się za nim ukryło. Franck była jakieś trzy metry po jego prawej. Oboje byli o jakieś dwadzieścia metrów od sceny, na której rozgrywała się akcja.

Ulrik Rosborg powoli wysiadł z samochodu z rękami w górze. Był blady i wydawał się niemal sparaliżowany ze strachu.

— *Remember... Just one touch...*

Siergiej Pronko wskazał laptop na dachu corsy i podniósł ostrzegawczo wskazujący palec.

Potem Rosjanin kazał Rosborgowi oprzeć się o samochód i rozstawić nogi, żeby mógł go przeszukać. Wciąż z pistoletem w wyciągniętej ręce kazał ministrowi obejść samochód i stanąć przy bagażniku. Usłyszeli rozkaz „*open!*” i Rosborg jak robot otworzył bagażnik, a potem Rosjanin pchnął go do przodu, przed oba samochody. Minister trzymał teraz w ręce dużą, pomarańczową sportową torbę.

Dopiero teraz Rosborg stanął twarzą w twarz z Simoną. Przez cały czas pozostawała schowana na swojej pozycji za corsą. Teraz zbliżyła się powoli i stanęła przed nim w odległości dwóch metrów. Torba wypadła mu z ręki. Simona stała nieruchomo przez chwilę, przyglądając się duńskiemu ministrowi, który spuścił głowę.

— *Look at me!*

Simona Zakalskyte huknęła gniewnie i z taką siłą, że Rosborg aż się wzdrygnął i natychmiast wypełnił jej rozkaz. Litwinka najwyraźniej milimetr po milimetrze badała zeszywniałą twarz ministra, jakby czegoś w niej szukała. Jej kuzyn zważył w dłoni sportową torbę i odsunął ją kawałek dalej, gdzie ukląkł, otworzył ją i sprawdził zawartość. Krótkim skinieniem dał znać partnerce, że wszystko się zgadza, po czym włożył torbę do bagażnika corsy.

Simona Zakalskyte wciąż stała nieruchomo, wpatrując się w twarz ministra, a jej kuzyn w napięciu obserwował dramatyczną konfrontację.

— *So... You think you can buy this?*

Simona wykrzyczała pytanie prosto w bezbronną twarz ministra, lewą ręką wyjęła z kieszeni kawałek papieru i podetknęła mu go pod nos.

Najprawdopodobniej był to kwit z przechowalni bagażu na dworcu głównym.

Potem puściły jej hamulce — jakby jej ciało dotarło do ostatecznej granicy i cała nagromadzona wściekłość uwolniła się z niego z ogromną siłą zogniskowaną w potężnym ciosie w twarz Rosborga kolbą pistoletu. Minister upadł na przedni błotnik citroëna. Trzymał się za twarz, spomiędzy palców płynęła krew. Ze swoich pozycji nie widzieli, czy krew płynie z nosa, czy z rozciętego łuku brwiowego.

Minister wykonał kilka chwiejnych kroków. Simona natychmiast do niego przyskoczyła i przystawiła mu pistolet do boku szyi.

— *She was my sister! You pig!*

Wrzeszczała w zakrwawioną twarz ministra. Widzieli, że Rosborg porusza ustami, i po chwili ponownie usłyszeli krzyk Zakalskyte:

— *Get down!*

Wciąż wciskając pistolet w szyję Rosborga, zmusiła go, by ukląkł. Teraz go słyszeli. Głos mu się łamał:

— *It was... an accident. I am... so sorry!*

Simona Zakalskyte stała chwilę nieruchomo przed klęczącym Rosborgiem. Potem powtórzyła głośno i wyraźnie:

— *She was my sister!*

Wolno przesunęła pistolet na czoło ministra.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Margrethe leżała z rękoma wyciągniętymi przed siebie i trzymała w nich pistolet. Musieli interweniować. Na migi podzielili się zadaniami. On trzymał na muszce rosyjskiego ekskomandosa. Ona zajęła się kobietą. Muszą celować w tułów. Dwa, trzy szybkie strzały.

Palec prawej ręki Margrethe wolno owinął się wokół spustu.

W tej samej chwili głowa Simony Zakalskyte odchyliła się gwałtownie. Ułamek sekundy później oboje zdążyli zarejestrować, jak kula, wychodząc z tyłu głowy, wyszarpuje z wnętrza czaszki brunatny wachlarz tkanki.

Strzał był bezgłośny. I oddany z chirurgiczną precyzją. To musiała być strzelba. Żadne z nich nie było w stanie zareagować, byli oszołomieni i niezdolni do działania. Myśleli tylko o tym, że leżą całkowicie odsłonięci. Kąt, pod jakim została trafiona Simona, wskazywał, że strzelec znajduje się powyżej, na lewo od nich.

Siergiej Pronko rzucił się na ziemię za corsą w tej samej sekundzie, w której jego kuzynka upadła na ziemię, w połowie przygniatając ministra.

Ekran komputera roztrzaskała kolejna kula. Następna zbiła szybę w samochodzie, a kolejne szatkowały karoserię.

Strzelców musiało być co najmniej dwóch. Ledwie o tym pomyślał, a pierwsza kula wymierzona w ich pozycje zdarła korę z drzewa tuż nad głową Margrethe Franck. Potem usłyszał charakterystyczny świst i ziemia zadudniła głucho, gdy następna kula wbiła się w miękkie poszycie kilka centymetrów od jego lewego ramienia.

— Teraz!

Chwycił ją za ramię i poderwał z ziemi.

— Biegiem! W górę!

Musieli wrócić wyżej na zbocze, gdzie las gęstniał i mogli się ukryć w krzakach. Nie zważał na niepełnosprawność Franck i ciągnął ją za sobą, biegnąc zygzakiem w górę.

— Dalej, w krzaki! — rozkazał, a sam rzucił się na ziemię, przekoziółkował i zajął pozycję strzelecką na jednym kolanie, ukryty za drzewem. Oddał pięć krótkich strzałów na oślep w stronę wroga, by zapewnić im osłonę ogniową. Potem błyskawicznie doskoczył wyżej, unikając przelatujących obok niego kul, by w końcu rzucić się w zagłębienie za krzakami jeżyny, skąd wcześniej obserwowali teren. Wtedy ostrzał ustał.

— O kurwa... — Margrethe Franck, która leżała na brzuchu z wszystkimi mięśniami napiętymi, odwróciła się na plecy i odetchnęła ciężko.

Wyjął z plecaka lornetkę i podczołgał się do przodu.

— Jest ich trzech — powiedział, w skupieniu obserwując akcję, która rozgrywała się poniżej.

Trzej mężczyźni w moro i z zasłoniętymi twarzami ostrożnie zbliżali się do skraju lasu, gdzie stały dwa samochody i gdzie czekał na nich Siergiej Pronko. Kiedy uciekali z linii ostrzału słyszeli, że oddał serię w stronę ukrywających się w lesie strzelców.

Wszyscy trzej mieli strzelby, przez piersi przewieszoną broń maszynową, a na paskach ręczną broń rezerwową. Wnosząc ze sposobu, w jaki poruszali się w terenie, jak go przeszukiwali i jak zabezpieczali sobie wzajemnie tyły, byli ludźmi z jego branży — zawodowcy.

Wokół panowała absolutna cisza.

Simona Zakalskyte leżała tam, gdzie upadła. W rękę ścisnęła niesłychanie cenny kawałek papieru. Minister sprawiedliwości gdzieś zniknął. Ze swojej pozycji nie widział również Siergieja Pronki.

Jeśli Rosjanin jeszcze nie uciekł, to teraz jego możliwości były mocno okrojone. Mógł się posłużyć ministrem jako tarczą, ale coś mu mówiło, że ktoś już pomógł ministrowi wymknąć się tylnymi drzwiami. Pronko miał więc tylko jedną możliwość — samochód.

— Nie jesteśmy ich głównym celem. Pobiegnij jak najszybciej do samochodu i wróć po mnie drogą dojazdową. Okej?

Margrethe skinęła głową, wstała i ruszyła biegiem tam, skąd przyszli. On zrobił to samo. Skacząc i biegnąc, przedzierał się przez krzaki i kolczaste pędy, które raniły mu twarz.

Czasu było naprawdę niewiele. W konfrontacji z trzema dobrze uzbrojonymi ludźmi Siergiej Pronko był bez szans. Jedyną możliwością, by przeżyć, było spróbować stamtąd wyjechać. Pewnie zdecyduje się na takie ryzyko, a wówczas największe szanse będzie miał, jeśli wybierze samochód ministra, który stał osłonięty przez corseę. Po tej błyskawicznej analizie wiedział, że musi na przełaj pobiec do drogi dojazdowej — i czekać w gotowości.

W ramię i udo z jednej strony wbijały mu się kolce jeżyn i szarpały skórę, ale w tej chwili tego nie czuł, pędząc dalej pomiędzy drzewami. Upadł i podniósł się natychmiast w

jednym płynnym ruchem, gnał dalej w stronę bardziej otwartego terenu z drzewami liściastymi, gdzie znów mógł przyspieszyć.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Rosjanin już dawno doszedł do takiego samego wniosku. Z wrogiem, który przed chwilą odstrzelił głowę Simonie Zakalskyte, się nie negocjuje. Pronko zresztą nie ma już z czym przystępować do negocjacji. Miał kilka sekund, by podjąć rozpaczliwą próbę ucieczki.

Las się przed nim otwierał. Mógł teraz biec prawie całkiem swobodnie. Kawałek dalej znów się zamykał kolejną barykadą chaszczy.

I wtedy powietrze ponownie przecięły strzały z broni maszynowej. Zatem Pronko zaryzykował.

Zdecydowanym ruchem wskoczył ponownie w pierwsze kolczaste zasieki. Zygzakiem przedzierał się dalej, potknął się i wytoczył na trawę. Tam upadł i potoczył się, aż poczuł asfalt. Wstał i się przygotował. Zmienił magazynek. Możliwe, że będzie potrzebował wszystkich ośmiu naboji. Za moment się dowie, czy Rosjaninowi się powiodło.

Odpowiedź dostał chwilę później, gdy od strony jeziora dobiegł go dźwięk rozpedzonego silnika. Stanął w lekkim rozkroku, ciężar ciała przeniósł na lewą nogę, obie ręce zacisnął na broni i wyprostował ręce. Miał wykonać precyzyjny strzał — po tylu latach przerwy...

Mały citroën przechylił się na bok, kiedy wzniósłszy tuman żwiru i kamyków, wjechał na asfalt i przyśpieszył, jadąc prosto na niego. Samochód był podziurawiony jak sito. Pronko kolbą pistoletu zrobił dziurę w strzaskanej przedniej szybie, otwierając sobie niewielkie pole widzenia. Po chwili Rosjanin oddał w jego stronę dwa strzały — najprawdopodobniej by go przestraszyć, bo raczej nie spodziewał się trafić z tej odległości.

Zmienił bieg. Citroën jechał teraz znacznie szybciej. A on stał nieruchomo i czekał, aż będzie bliżej. I jeszcze bliżej.

Wtedy strzelił. Dwa strzały w lewą przednią oponę. Kolejne dwa w prawą. Potem rzucił się na bok i przeturlał na pobocze w samą porę, by Rosjanin zdążył go minąć na przebitych oponach i by on sam zdążył klęknąć i oddać kolejne dwa strzały w lewe tylne koło i jeden w prawe.

Od strony drogi nadjeżdżał ku nim kolejny samochód — czarny z białym dachem i białymi lusterkami. Zahamował, stając w poprzek wąskiej drogi.

To, co wydarzyło się potem, zapamiętał jako pozrywane sekwencje trwające ułamki sekund. Takie miał wrażenie. Rosjanin w samochodzie toczącym się na trzech płaskich kołach wykonał nieudany manewr wymijania, słycać było trzask pękającego metalu i na koniec drzewa, które w zwolnionym tempie złamało się i zważyło na drogę.

Połowa samochodu była kompletnie zmiądzona. Gdy do niego podbiegł, Margrethe Franck wyciągała już nieprzytomnego Rosjanina przez drzwi od strony pasażera.

— Prędko! Musimy go zanieść na tylne siedzenie. Lada chwila tu będą.

Razem wepchnęli Siergieja Pronkę na tylne siedzenie mini coopera. Był nieprzytomny. I ciężko ranny.

Prawa górna część jego skórzanej kurtki była przesiąknięta krwią. Kula wyrwała wielką dziurę, wychodząc z tyłu na wysokości łopatki. Rosjanin dostał ze strzelby. Pocisk grzybujący, używany wyłącznie w myślistwie i zaprojektowany, by poczynić możliwie największe szkody po zetknięciu z tkanką. Do tego długie, głębokie rozcięcie na karku i twarz pokaleczona od odłamków szyby. Najprawdopodobniej od uderzenia w drzewo miał również obrażenia wewnętrzne.

Margrethe Franck zawróciła i przyspieszyła w górę, do drogi głównej.

— Jedziemy do szpitala w Hillerød! I musimy natychmiast dostać ochronę — krzyknęła.

Rozdział 52.

Szef policyjnego wywiadu Axel Mossman zakończył właśnie krótką rozmowę telefoniczną.

— Dzwonił Rytter. Z lasu. Tak. Samochód żony ministra, mały citroën, został ostrzelany i wjechał w drzewo. Nie, w środku nie znaleziono ciała kobiety.

— Nigdzie nie znaleziono ciała? — Margrethe Franck zerwała się z krzesła — Nawet na placu przy jeziorze? Absolutnie żadnego ciała?

— Nie. — Mossman pokręcił głową. — I żadnej corsy.

— A krew? Szkło? Łuski?

Na jego pytanie Mossman ponownie lekko pokręcił głową. Już wcześniej miał naprawdę nieprzyjemne przeczucie co do tego wszystkiego. Ktoś tutaj bawi się w teatr iluzji.

— Nie, Oxen. Po pierwszych oględzinach nie znaleziono niczego.

— Przecież sobie tego nie wymyśliliśmy, do cholery! — Adrenalina wciąż buzowała w żyłach Margrethe Franck.

— Margrethe, wcale tego nie mówię... Powtarzam tylko, o czym doniósł mi Rytter.

Siedzieli w pustym pokoju, który im udostępniono na potrzeby ich poufnej narady — czy nieformalnego sprawozdania. Później mieli to wszystko omówić co najmniej raz jeszcze w kwaterze głównej. I wtedy Mossman pewnie nie zostawi na Margrethe suchej nitki, żeby dać jej nauczkę. Szef PET wściekł się na wieść, że Franck i Oxen zawiązali sojusz.

Przekazali Mossmanowi niemal pełną wersję wydarzeń z ostatnich dni, ale znów przemilczeli listę odwiedzin Arvidsena i znalezione u niego plany budynku.

Po tym, jak wszczęli alarm, do szpitala w Hillerød błyskawicznie ściągnęli Axel Mossman, Martin Rytter i cała chmara funkcjonariuszy PET z Søborga.

Szef operacyjny Rytter, który wrócił po kilku dniach nadzorowania operacji na północy Jutlandii kierował teraz działaniami nad jeziorem Esrum, gdzie trzech ciężko uzbrojeni mężczyźni w maskujących strojach najwyraźniej bardzo dokładnie po sobie posprzątaali. Albo ktoś im w tym pomógł.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili mężczyzna w białym kitlu wsunął głowę do pokoju.

— Chciałem was tylko powiadomić, że operacja wciąż trwa. Jego bark nie wygląda dobrze.

— Dziękuję — odparł Mossman. — Możecie powiedzieć coś jeszcze?

— Tylko tyle, że z tego wyjdzie — odparł lekarz i zniknął, gdy telefon Mossmana zadzwonił ponownie.

Rozmowa była krótka i zakończyła się uprzejmym „zajrzę do ciebie w ciągu godziny”.

— To był Rosborg. Zostawiłem mu wiadomość, więc oddzwonił.

Więcej najwyraźniej nie zamierzał im mówić. Zamiast tego pograżył się we własnych myślach. Spojrzeli na siebie i na szefa PET. Przez chwilę czekali, czy jednak coś powie, ale w końcu Franck nie wytrzymała i rzuciła wyzywającym tonem:

— No i?

Mossman zeskoczył ze swojej samotnej chmury i z głośnym plaśnięciem wylądował na niezbyt czystej szpitalnej podłodze.

— O co ci chodzi? Nie ma żadnego „i”. Jadę porozmawiać z ministrem.

— Daj spokój. Jest coś więcej, prawda? W przeciwnym razie już dawno zostałby zatrzymany. Jest jakieś wyjaśnienie?

Axel Mossman pokiwał z namysłem głową i niewykluczone, że na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

— Taaa... o dziwo istnieje wyjaśnienie. Minister twierdzi, że ktoś musiał ukraść samochód jego żony. On przez cały czas był w domu, sam. Odpoczywał po ciężkim tygodniu. Potem zamierzał dołączyć do reszty rodziny, która już wczoraj pojechała do letniego domku.

— Czyli minister cały rano przespał, tak? To jakiś żart! Cholernie, kurwa, słaby żart! — Głos Margrethe Franck przeszedł w szept, gdy przewiercając spojrzeniem swojego szefa dodała: — Wierzysz *mnie* czy *jemu*?

Mossman zmrużył oczy i patrzył na nią przez dwie tajemnicze szparki znad krągłych policzków.

— Tylko spokojnie — odparł. — Niewykluczone, że sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. A teraz musicie mi wybaczyć. Mam coś do załatwienia.

Axel Mossman wstał i w pośpiechu opuścił pokój.

Zostali w szpitalu we dwoje. Zjedli lunch w szpitalnej stołówce w holu, ściszymi głosami podsumowując sytuację. Śledztwo utknęło w miejscu. Na skraju przepaści, jeśli minister utrzymuje, że spał w swoim łóżku, gdy w rzeczywistości sztywny ze strachu spotkał się w umówionym miejscu nad jeziorem Esrum, by zapłacić szantażystom.

Nie wolno przy tym zapomnieć, że minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg wciąż był człowiekiem, któremu w policyjnej hierarchii bezpośrednio podlegał Axel Mossman.

Sprawa przybrała dziwaczny obrót. A Mossman, na którego biurku wylądowała, znalazł się w naprawdę groźnym położeniu. W dodatku, mówiąc najprościej, nie chodziło tu wcale o kontrolę nad policyjnym wywiadem ani o niejasne relacje osób powiązanych z Consilium.

Chodziło o coś nieskończenie bardziej banalnego, co jednak od zawsze wpływało i będzie wpływało na losy świata: o seks.

Nie ma znaczenia, czy jest się królem, damą, chłystkiem, prezydentem, czy mistrzem golfa — seks w jednej chwili może zrujnować człowiekowi karierę.

— Tak w każdym razie nam się wydaje — uściśliła Margrethe Franck. — Ale nie wiemy tego z całą pewnością. Nie wiemy, co było na nagraniu z monitoringu.

— Ale wiemy, że sportowa torba była wypchana gotówką i że to była cena za coś, co mogło go zniszczyć. I raczej nie chodziło o lateks, skórę i obrożę nabijaną ćwiekami. On w jakiś sposób przyczynił się do śmierci Virginii.

Wyglądało na to, że Franck dała się przekonać. Starannie dobierał słowa. Chciał, żeby jego wyjaśnienie nie było zbyt czytelne, mimo że on wiedział już dokładnie, co się stało tamtej nocy na zamku Nørlund.

— Zostaje ciało... Póki co nie możemy przedstawić ciała na poparcie naszego stwierdzenia. Co się stało z ciałem Virginii?

Wzruszył ramionami.

— Nørlund rozciąga się na ponad dwóch tysiącach dwustu hektarach.

— Nie ma ciała, nie ma zbrodni — Margrethe przygryzła dolną wargę.

— Wygląda też na to, że obecnie brakuje nam ciał obu

sióstr Zakalskyte — przypomniał.

— Pewnie wyrzucą gdzieś ciało Simony, kimkolwiek są ci „oni”.

— Cóż, na pewno są dobrymi przyjaciółmi ministra.

— To jest chore. Na własne oczy widzimy coś, co się nie zdarzyło. Może ci „oni” są tuż obok. Może są tu, w szpitalu, albo...

— Albo pracują w wywiadzie. Jakże dogodnie, skoro sprawa ma po prostu „zniknąć”.

— Dogodnie dla Mossmana.

Widać było, że Margrethe nie spodobała się jej własna konkluzja. Skinął tylko głową i dodał:

— Jak powiedziałaś: nie ma ciała, nie ma zbrodni. Ciała Virginii i Simony nie znajdą się nigdy. Miejmy nadzieję, że PET naprawdę dobrze przypilnuje Siergieja Pronki.

— Dwaj strażnicy trzymają wartę pod drzwiami do jego sali.

— Ach to świetnie, możemy spać spokojnie.

— Ty, Oxen, jesteś genetycznie nieufny. Naprawdę sądzisz, że...?

Wzruszył tylko ramionami.

— Wiem tylko tyle, że każdy układ w obliczu zagrożenia zamyka się od wewnątrz.

W milczeniu dokończyli posiłek — kanapkę z serem i szynką i kawę. Pierwsza odezwała się Margrethe:

— Rosborg musiał wykiwać czterech ochroniarzy, żeby pojechać nad jezioro Esrum. Czterech! Albo jest w tym dobry i wymknął się tylnymi drzwiami przez las, albo...

Podniosła filiżankę do ust i wzięła łyk kawy. Reszta zdania

pozostała nieprzyjemnie otwarta dla interpretacji.

— Dokładnie o tym mówię — przyznał.

Siergiej Pronko leżał ospały i wyczerpany pod białą szpitalną kołdrą. Było późne popołudnie. Minęło kilka godzin, nim obudził się po skomplikowanej operacji barku.

Kula poważnie zniszczyła tkanki i nie powinien sobie robić nadziei, że ramię kiedykolwiek będzie w pełni sprawne.

Jego ogólny stan był ciężki. Według lekarzy doznał lekkiego wstrząsu mózgu, na karku założono mu siedemnaście szwów, a na czole — jedenaście. Wiele żeber było połamanych i już to było niesłychanie bolesne. Do tego miał strzaskane biodro. I na twarzy nieco więcej piegów — wyjęto z niej nieprzebraną liczbę odprysków szkła i teraz cała była w małych, krwawych kropkach.

Lekarz dał im dwadzieścia minut, usiedli więc na czterech krzesłach ustawionych po dwa po obu stronach łóżka.

Mossman początkowo nie chciał, żeby Oxen w tym uczestniczył, argumentując, że to sprawa policji, ale przekonał go niezaprzeczalny fakt, że on jako jedyny z ich czwórki zna rosyjski.

Axel Mossman wrócił do szpitala niespełna godzinę wcześniej. To, że osobiście chciał poprowadzić wstępne przesłuchanie Rosjanina, było czymś nadzwyczajnym. Jednocześnie ani słowem nie zająknął się o tym, jak wyglądała jego wizyta u ministra Ulrika Rosborga w Nødebo.

Mossman usadowił swoje potężne ciało na krześle, odchrząknął i zaczął bez ogródek.

— Dzień dobry. Nazywam się Axel Mossman. Kieruję duńską wewnętrzną służbą wywiadowczą, a to moi współpracownicy. Oxen, proszę mu to przetłumaczyć. I proszę zapytać, czy możemy dalej rozmawiać po angielsku.

Przetłumaczył pytanie i niewyraźną odpowiedź Rosjanina:

— Mówi, że może być po angielsku.

Szef PET zaczął od kwestii formalnych — potwierdzenia tożsamości podejrzanego, jego narodowości, czasu, w jakim przebywał na terenie Danii, i posługiwania się przez niego i jego współniczkę fałszywą tożsamością Konrada i Heleny Sikorski. Dopiero potem przeszedł do wydarzeń, które miały miejsce tego ranka:

— Dlaczego pan i pańska kuzynka chcieliście się dziś rano spotkać z ministrem nad jeziorem?

Siergiej Pronko przewrócił oczami, jakby dawno nie słyszał czegoś równie szalonego. Musiał dostać silne środki przeciwbólowe, bo odkasznął i najwyraźniej nie poczuł nawet złamanych żeber.

— Z jakim ministrem? Nie było żadnego ministra... Skąd to panu przyszło do głowy? Mieliśmy się spotkać z grupą Litwinów... z Kopenhagi. Zajmują się tym samym co my. Chcieliśmy z nimi ustalić kilka spraw.

Na krótką chwilę go zamurowało. Potem jednak uznał za logiczne, że Rosjanin wszystkiego się wypiera. „Oni” już wcześniej uzyskali dostęp do Siergieja Pronki albo przekazali mu instrukcje. Rosjanin działał pod dyktando.

Mossman i Rytter unieśli brwi ze zdumienia. Franck natomiast pomyślała najwyraźniej to samo co on.

— Czyli zaprzecza pan, że spotkał się z ministrem? — Mossman szybko się otrząsnął.

— Nie znam żadnego duńskiego ministra.

— A czy zaprzeczy pan również, że do pana strzelano?

Rosjanin pokręcił głową i lekko się uśmiechnął.

— Temu oczywiście nie mogę zaprzeczyć. Ktoś musiał zastawić zasadzkę. Jacyś kopenhascy wrogowie moich

litewskich przyjaciół.

— Kim więc są pańscy przyjaciele?

Siergiej Pronko podał szereg nazwisk. Mossman machnął tylko ręką.

— W porządku. Zostawmy to na razie. Porozmawiajmy zamiast tego o Hannibalu Frederiksenie.

Rosjanin nic nie powiedział. Wtrącił się Rytter:

— Wiemy, że pan i Simona byliście w Hiszpanii. O czym chcieliście rozmawiać z Hannibalem Frederiksenem?

— Nie znam żadnego Hannibala.

Najwyraźniej wszyscy czworo spodziewali się takiej właśnie odpowiedzi, ponieważ Mossman zadał po prostu kolejne pytanie:

— Dobrze, przejdźmy do Mogensa Bergsøe, adwokata z Sejs-Svejbæk. Czy śledził go pan, kiedy ten pływał kajakiem po jeziorze?

Wyraźnie znużony pytaniami Rosjanin pokręcił tylko głową i głośno wyraził swoje zdumienie:

— O co wam chodzi? W co wy mnie próbujecie zrobić? Przecież mówię prawdę.

Ten cały teatr najwyraźniej mocno irytował Mossmana. Mimo to postarał się stłumić złość i zapytał możliwie najbardziej neutralnym głosem:

— Jest jeszcze ambasador Hans-Otto Corfitzen z Nørlund. Może choć o nim uda nam się porozmawiać?

— Co chcecie, żebym powiedział? Nie znam tego człowieka. Lepiej wy mi powiedzcie, gdzie jest Simona.

Mossman uniósł potężną dłoń.

— To raczej *pan* zechce *nam* powiedzieć, gdzie ona jest.

— Nie mam pojęcia. Wszystko się działo tak szybko. Pewnie pojechała z tymi z Kopenhagi. Proszę pamiętać, że zostałem postrzelony — odparł Rosjanin i wskazał swój bark.

— A potem uciekł pan samochodem, który ukradliście spod pobliskiego domu.

— Dokładnie.

Dyrektor operacyjny Martin Rytter ponownie zaznaczył swoją obecność:

— Mamy więc rozumieć, że o ile panu wiadomo, pańska kuzynka Simona Zakalskyte jest cała i zdrowa i przebywa gdzieś w stolicy, tak? A co z mężczyzną w starej chacie myśliwskiej?

Tym razem Pronko już tylko przewrócił oczami i głęboko westchnął.

Rozdział 53.

Było późno. Dochodziło wpół do jedenastej, kiedy z Margrethe Franck wrócili do szpitala. Pokazała swoim kolegom z PET legitymację i ci bez dalszych pytań wpuścili ich do pokoju Siergieja Pronki.

Pacjent spał, ale był na to sposób.

— Pięć minut, dobrze?

Margrethe kiwnęła głową i wyszła.

Zasłonił Rosjaninowi usta dłonią. Efekt był natychmiastowy. Siergiej Pronko otworzył szeroko przerażone oczy i przesunął wokół zdezorientowanym spojrzeniem. Nie zdejmując dłoni z ust Rosjanina, szybko po rosyjsku wytłumaczył mu swoje najście powagą sytuacji i wyraził nadzieję, że Pronko również jest jej świadom: — Nazywam się Niels. Nie pracuję w służbie wywiadowczej. Zbieg okoliczności sprawił, że zostałem w tę sprawę wmieszany.

Zdjął koszulkę przez głowę i stanął przed Rosjaninem z nagim torse, potem zdjął buty i spodnie i stał w samych skarpetkach i bokserkach.

— Widzisz? Nie mam żadnego mikrofonu, żadnych kabli, żadnego dyktafonu — nic. Chcę tylko uzyskać od ciebie odpowiedź. Służyłem kiedyś w duńskiej jednostce specjalnej, w Korpusie Łowców. Siergiej, jesteśmy z tej samej branży. Obaj byliśmy w *specnazie*. Wiesz zatem, że zrobię co tylko będzie konieczne, żeby cię skłonić do mówienia. — Wyjął nóż i przycisnął ostrze do szyi Rosjanina. — Rozumiesz?

Rosjanin wolno pokiwał głową.

— Od kogo dostałeś instrukcje, jak masz odpowiadać

podczas składania wyjaśnień?

Siergiej Pronko się namyślał — odrobinę za długo. Już wcześniej postanowił, że na początek musi mu pokazać, że nie blefuje. Dlatego ponownie zamknął Rosjaninowi usta dłonią i prawą pięścią walnął go w pogruchotany bark. Żrenice Pronki lepiej niż słowa wyraziły ból. Odczekał jeszcze chwilę, zanim zdjął rękę z ust Rosjanina.

— Zapytam raz jeszcze: od kogo dostałeś instrukcje?

— Nie wiem. Dostałem tylko jakąś kartkę... połknąłem ją.

— Czy istnieją kopie nagrania, na którym minister zabija Virginiję?

— Czyli *wiesz*, że ją zabił? Skąd?

— Odpowiadaj!

— Sprzęt był w przechowalni w podziemiach dworca głównego. Simona miała kwit w zapinanej na zamek kieszeni swojej kurtki. Poza tym miała jeszcze jedną kopię na płycie CD. W torebce. Więcej kopii nie było...

— Czego zażądaliście?

— Półtora miliona euro.

— Zaczęliście od Hannibala Frederiksena. Dlaczego?

— Żadna z kobiet nie wiedziała, gdzie w Danii się znajdują. Kazali im zasłonić oczy na czas podróży. Dlatego postanowiliśmy zacząć od Hannibala Frederiksena. Tamtą noc spędził z Danuté. Sam jej powiedział, kim jest, i zdradził, że mieszka w Hiszpanii niedaleko Malagi. Był najstarszy. Z nim mogło pójść najłatwiej. Tak w każdym razie uznaliśmy.

— A potem był Mogens Bergsøe?

— On był z Jolitą. Mieliśmy jego adres, bo zajrzała mu do portfela, kiedy kompletnie pijany po prostu odpłynął.

— Trzeci był Corfitzen. Jak dotarliście do niego?

— Adwokat zdradził się z nazwą zamku, zanim utonął.

— A co z psami. Dlaczego zabiliście psy?

— To był pomysł Simony. Kiedyś w młodości pracowała przez jakiś czas w Hiszpanii. Tam usłyszała, że ludzie wieszają swoje psy — psy gończe, które się zestarzały albo nie dość dobrze spisywały się na polowaniach. Wieszają je tysiącami. Szalone, prawda? No więc kiedy się okazało, że Hannibal Frederiksen ma psa, pomyśleliśmy, że w ten sposób możemy mu pokazać, że nie żartujemy. Najpierw się z nim skontaktowaliśmy, ale nie chciał z nami rozmawiać.

— A potem wjechał w przepaść.

— Tak, biedak miał wypadek.

— A Mogens Bergsøe?

— Okazało się, że i on ma psa. Niebywałe szczęście, prawda? Słyszałem o duńskich Łowcach. Macie dobrą reputację.

— To samo mogę powiedzieć o żołnierzach Wympieła. Ale wracając do Bergsøe... Popłynąłeś za nim, tam na jeziorze?

Rosjanin przytaknął.

— Wtedy miał już ochronę. Zabiłem jego ochroniarza i wciągnąłem do jeziora. W wojsku przeszkolili mnie na nurka bojowego.

— Czyli ani Frederiksen, ani Bergsøe nie chcieli powiedzieć, kim jest mężczyzna z tatuażem na kostce? Ten, który zabił Virginiję? Tak się to potoczyło?

— Twierdzili, że nie wiedzą, z kim była tamtej nocy. Ale jak powiedziałem: adwokat naprowadził nas na zamek Nørlund. To było wszystko, co powiedział, zanim utonął. Potem okazało się, że i Corfitzen ma psa. Dlaczego więc nie wzmocnić efektu, dodając kolejne ogniwo do łańcucha? Stary okazał się całkiem silnym skurczybykiem. Nie dał się

zastraszyć, przeciwnie — odgrażał się do samego końca. Dopóki nie umarł na swoim fotelu — zanim z nim skończyłem.

— W obejściu było mnóstwo ochroniarzy. Jak wszedłeś do domu?

— Przez fosę, potem wspiałem się na mur i przez dach do środka. Prościzna.

— Stary umarł i co dalej?

— Byliśmy w dupie... Postanowiliśmy śledzić ludzi, którzy kręcili się za kulisami i zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi. To miała być ostatnia szansa. Jeśliby się nie powiodło, zamierzaliśmy przerwać operację i wrócić do kraju. Tak trafiliśmy do Rold Storkro, gdzie mieszkałeś ty i ta blond dupencja. Nie było to trudne — śledziłem po prostu tych, którzy śledzili ciebie. Również tamtego dnia, kiedy przyjechałeś do chaty myśliwskiej. Tym sposobem niespodziewanie znaleźliśmy skarb — ukryty pod podłogą. Dasz mi wody?

Podał Rosjaninowi szklankę. Po dwóch łykach Pronko mówił dalej: — Wtedy w nasze ręce trafił twardy dysk... Staruch z zamku najwyraźniej podglądał, jak jego goście posuwali sprowadzone przez niego dziwki. Wraz z oryginalnymi nagraniami dostaliśmy również twarz mordercy Virginii. Następny trop dostarczyły numery rejestracyjne zaparkowanych przed zamkiem samochodów. Musieliśmy się tylko dowiedzieć, kto jest kim, czyli poznać ich nazwiska i adresy. Ale okazało się, że to nie będzie konieczne. Simona zobaczyła bydlaka w wiadomościach w telewizji. To był wasz minister. W życiu nie przypuszczaliśmy, że to może być ktoś znany.

— Więc Simona postanowiła go zlikwidować?

— Zaskoczyła mnie, kiedy zrozumiałem, że zamierza wpakować draniowi kulkę między oczy, ale postanowiłem jej

w tym nie przeszkadzać.

Rosjanin dopił wodę. A potem powiedział z przekonaniem: — Ale pamiętaj — jutro znów wszystkiemu zaprzeczę. Wszystkiemu! Byłem ostrożny. Miałem kombinezon, rękawiczki, kominiarkę, nawet maskę na twarzy. Nie jestem amatorem. Nigdzie nie ma mojego DNA. Nikt nie powiąże mnie z ofiarami, rozumiesz?

— A Arvidsen, ogrodnik z zamku?

— Jak mówiłem, śledziłem twój ogon, dlatego wiem, co się stało. Ale to nie ja strzelałem.

— A widziałeś kto?

— Widziałem tylko strzelca w jednym z okien na piętrze.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Nie mam pojęcia.

— A ci trzej, którzy ostrzelali was nad jeziorem dziś rano?

— Nie mam pojęcia, kto to był. Na pewno żołnierze. Cała akcja śmierdziała wojskiem.

Odsunął nóż z gardła Rosjanina. Ubrał się, a sznurując buty, rzucił mimochodem: — Ostatnie pytanie, Siergiej. Dlaczego zabiliście *mojego* psa?

— *Twojego* psa? Nawet go nie tknęliśmy.

Rozdział 54.

Siergiej Pronko obudził się bardzo wcześnie. Był to jego trzeci ranek w szpitalu w Hillerød. Poranne słońce raziło w oczy. Ktoś zapomniał zasunąć zasłony. Gdyby nie to, pewnie pospałby dłużej.

Zanim zmusił się, by otworzyć oczy, jego mózg już zaczął mozolną pracę. Przypomniwał mu, dlaczego leży tu w czystej, białej pościeli, dlaczego tak kurewsko go boli, i bez cienia litości przypomniwał mu również, że znajduje się w głębokiej dupie.

Dopiero zdawszy sobie z tego wszystkiego sprawę, otworzył oczy. I zdumiał się... W pasku światła na kołdrze leżała koperta. Sięgnął po nią.

Z całą pewnością był obudzony na tyle, by umieć dodać dwa i dwa. Nadawca musiał być tym samym człowiekiem, który wcześniej przemycił mu instrukcje o tym, jak ma się zachować podczas składania wyjaśnień ludziom z duńskiej służby wywiadowczej. W domyśle — o ile oczywiście chce mieć jakiegokolwiek szanse na jak najszybszy wyjazd z Danii.

W kopercie znalazł litewski paszport. Na zdjęciu był on, ale jako jasny blondyn o pódługich włosach i w okularach. Nazwisko brzmiało: Aleksánder Ivánovitj Petrów. Profesjonalna robota. W kopercie było również tysiąc duńskich koron, kilkaset euro i bilet na pociąg relacji Kopenhaga - Kilonia oraz bilet na prom linią DFDS Lisco Kilonia - Kłajpeda. Dobrze dwadzieścia jeden godzin żeglugi, by z północnych Niemiec bezpiecznie dostać się do kraju.

Spojrzał na zegarek — wyjazd był dziś. Pociąg ruszał tuż przed południem, a prom wypływał o szesnastej.

Na dnie koperty był jeszcze jakiś twardy przedmiot — zapas tabletek przeciwbólowych, który pozwoli mu przetrzymać podróż do domu.

Ale zaraz, zaraz... czy oni go mają za durnia? Ci, którzy zza kulis pociągają za sznurki? Naprawdę sądzą, że on, Siergiej Pronko, da się na coś takiego złapać?

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i dotknął stopami podłogi. Ten manewr przypomniał mu, że musi przyjmować leki w regularnych odstępach.

Powłócząc nogami, powoli dotarł do szafy, gdzie miał nadzieję znaleźć swoje ubranie — nawet jeśli część garderoby jest zakrwawiona i podarta. Na półce znalazł jednak nowe ubrania, w jego rozmiarze. Wszystko — od skarpetek aż po kurtkę i buty. W reklamówce znalazł perukę. Długość i kolor mniej więcej odpowiadały fryzurze ze zdjęcia w jego fałszywym paszporcie. Było też etui na okulary. W środku znalazł oczywiście okulary w plastikowej grubej jasnobrązowej oprawie — dokładnie takiej jak w paszporcie.

Niewątpliwie byli zawodowcami, pomyśleli o wszystkim. A w każdym razie tak im się wydawało.

Pociąg wtoczył się na peron w Karlshamn w Szwecji około piętnastej. Ostatnią godzinę siedział i drzemał, przyjemnie odurzony silnymi lekami.

Oczywiście bez przeszkód opuścił swoją jednoosobową salę i niezaczepiany przez nikogo wyszedł ze szpitala w Hillerød głównym wejściem. Taksówkarza poprosił o kurs na dworzec główny w Kopenhadze.

To, że nikt go nie zatrzymał, było dla niego oczywiste z jednego prostego względu — cała operacja nie miałaby przecież najmniejszego sensu, gdyby w holu zatrzymał go ktoś z personelu szpitala. Nie znaczy to, że strażnicy sprzed jego drzwi zniknęli — o nie, wciąż tam byli, tyle że inni. Nie w cywilu, lecz umundurowani. Pomyślał, że zostali

przekupieni albo podstawieni przez jego tajemniczych przyjaciół. Żaden z dwóch strażników nawet nie drgnął, gdy ostrożnie otworzył drzwi i ruszył przed siebie.

Zrobił to, co najwyraźniej chcieli, aby zrobił: wsiadł w pociąg do Kilonii. Tyle że ujechał nim zaledwie cztery stacje, po czym wysiadł i wrócił do Kopenhagi. I mimo że niemal co sekundę oglądał się za siebie, nie zauważył nic podejrzanego — żadnego ogona. A jeśli nawet kogoś za nim wysłali, to liczył, że zmylił go, wysiadając z pociągu do Niemiec w ostatniej chwili.

Rozległ się pisk hamulców i pociąg znacznie zwolnił. W końcu drzwi się otworzyły, a on bardziej się wytoczył, niż wyszedł na peron w Karlshamn.

Gdzieś tam, wśród czarnej jak smoła ciemności, na końcu ciągnącego się od pięciu godzin kilwaterny zostało Karlshamn. W jego głowie miasto stało się symbolem tragicznego finału ich wspólnej misji.

Stał przy relingu na pokładzie Lisco Optima i patrzył za siebie. Czuł nieprzebrany smutek. Dochodziła jedenasta. Od Kłajpedy i wolności dzieliło go jeszcze całe dziewięć godzin.

Wyszedł na pokład, żeby zapalić kolejnego papierosa. Ostatniego na dziś. Potem zamierzał połknąć garść tabletek i zasnąć.

Przywykł do straty. Doświadczył strat najboleśniejszych. Czeczenia była bolesna. Ale strata Simony była bezgranicznym, czystym cierpieniem. Nie była tylko kuzynką, była jego ulubioną kuzynką. Zawsze taka kochana i taka dla niego miła, mimo że był Rosjaninem.

Wezbrało w nim poczucie winy. On, dawny komandos z Wypieła, nie potrafił ochronić Simony i dowieźć jej całej i zdrowej do Wilna.

I co? Ma teraz stanąć przed rodziną Zakalskyte, przed

siostrą swojej matki i powiedzieć jej, co się stało? Ma jej powiedzieć, że nigdy już nie zobaczy swoich dwóch córek?

Pstryknięciem posłał niedopałek do morza i zszedł pod pokład, żeby się położyć.

Ktoś ostrożnie podważył zamek i drzwi do pojedynczej kajuty Siergieja Pronki powoli się otwarły. Do środka wszedł mężczyzna w jasnej, letniej kurtce. Wycelował pistolet z tłumikiem w pogrążoną w głębokim śnie postać na koi.

Pociągnął za spust trzykrotnie. Potem wyszedł.

Rozdział 55.

Przez okno widział zamek Nørlund skąpany w ostrym słońcu, a gdy je otworzył, poczuł na twarzy ciepły dotyk. Był dopiero czerwiec, ale ostatnie dni były wyjątkowo ciepłe. Co wobec tego będzie w południe?

Wrócił na północ Jutlandii. Spędził tu już tyle czasu, że niedługo zacznie się tu czuć jak w domu. Wrócił również do zajazdu Rold Storkro — tu zamierzał zrobić sobie bazę na czas operacji, którą musieli przeprowadzić z Margrethe Franck.

Szef PET Axel Mossman nie zgłosił żadnych oczekiwań co do jego dalszego wkładu. Przeciwnie, dał mu do zrozumienia, że jego rola się zakończyła wraz z zatrzymaniem Siergieja Pronki. To, że Rosjanin uciekł ze szpitala, nie było już jego problemem.

Oparł się o ścianę przy oknie. Podłoga w salonie służbowego mieszkania Arvidsena była zastawiona kartonami i stosami książek, ubrań i sprzętów domowych. Komisarz Grube i jego ludzie używali tego pokoju jako przechowalni na rzeczy przyniesione ze strychu i z piwnicy w czasie śledztwa w sprawie śmierci ogrodnika. Ale choć dom formalnie nadal był zaplombowany policyjną taśmą, policja już dawno skończyła czynności w tym miejscu.

Grube i lokalna policja tkwili po uszy w bagnie, które im zostawił wywiad policyjny, i nie było widoków, by w najbliższym czasie mogli się z niego wydostać.

Policja regionu północnej Jutlandii nigdy nie zdoła wyjaśnić śmierci Corfitzena, Bergsøe czy Arvidsena, a o śmierci Fensmarka w chacie myśliwskiej nawet jej nie

powiadomiono.

To Margrethe Franck poszła porozmawiać z Kajsą Corfitzen.

Spadkobierczyni dyplomaty pozwoliła im raz jeszcze przejrzeć rzeczy Arvidsena, jeśli tylko powiadomią o tym właściwe organy policji. Franck zapewniła ją, że już to zrobili.

On w tym czasie dokładnie przeszukał piwnicę i strych. Niczego nie znalazł.

Arvidsen w ogóle nie zostawił po sobie zbyt wiele dóbr ziemskich. Jego osobiste dokumenty zajęły zaledwie pół kartonu. Swoich, ponoć zielonych, palców nie używał też zbyt często do przewracania kartek, bo jego kolekcja książek zapełniła tylko jedno małe pudełko, a stanowiło ją trochę wydań broszurowych, pojedyncze biografie oraz książki i pisma branżowe na temat pielęgnacji ogrodu.

Lecz choć wydawało się to bezcelowe, a miejscowa policja już raz przejrzała to wszystko, musiał to zrobić osobiście, by się upewnić, że inni nie przeoczyli jakiegoś śladu. Arvidsen bowiem coś ukrywał — coś szczególnego, w co mógł być wmieszany szef PET, albo wcale nie. Wydawało się niepojęte, że w jego mieszkaniu nie było najmniejszego nawet śladu czy wskazówki.

Umówili się z Margrethe Franck, że on przetrząśnie wszystkie szpargały, a ona po rozmowie z Kajsą zajmie się jakimś zadaniem, które dostała z Søborga. Kiedy tylko będzie mogła, weźmie kilka dni urlopu i wtedy zastanowią się, jak mogą potajemnie kontynuować rozpoczęte przez Arvidsena poszukiwania ukrytego pomieszczenia w zamku.

Przeszedł na drugą stronę pokoju i przykucnął obok stosów ubrań. Zaczął przetrząsać wszystko, co choć przypominało kieszeń. Trzymał w rękach spodnie robocze, kiedy zadzwoniła jego komórka. To była Margrethe.

— Znaleźli Pronkę? — zapytał.

— Nie. Zniknął, zapadł się pod ziemię. Chciałoby się powiedzieć, że dla niektórych sprawy przybierają niezmiennie szczęśliwy obrót.

— I wciąż nie ma ciała?

— Simony? Nie, nie było żadnych zgłoszeń.

— Ktoś nam sprząta sprzed nosa Litwinki i Rosjan.

— Najwyraźniej. Ale nie wszystko daje się sprzątnąć równie szybko — pocieszyła go. — Na miejscu znaleziono krew i tkanki. Wykopano sporo pocisków i pozbierano łuski. I przy okazji wyszła na jaw przynajmniej jedna ciekawa rzecz: wśród pocisków były tylko trzy typu grzybkowego.

— Z których jeden zabił ją. A drugi trafił Siergieja w bark.

— Dokładnie. Ten sam typ posłużył do likwidacji Arvidsena: Winchester Super X HP.

— Zatem jeśli ktokolwiek podejrzewał Kajkę Corfitzen przez jej biegłość w posługiwaniu się strzelbą, teraz to podejrzenie musiało znacznie osłabnąć. Bo wśród tych, którzy nas ostrzelali nad jeziorem, nie było kobiety.

— Nie tylko ona potrafi używać Winchestera Super X HP — zauważyła Franck.

Westchnął z rezygnacją. Franck była naprawdę uparta.

— A jak u ciebie? Znalazłeś coś ciekawego?

— Nic. Siedzę właśnie i przetrząsam kieszenie spodni. A co z powiązaniem z miejscami zbrodni? Jest jakaś zgodność? Chodzi mi o biuro Corfitzena i chatę myśliwską.

— Nie, na razie nie ma. Co jest trochę dziwne. A raczej bardzo dziwne — Margrethe klasnęła językiem i zamyśliła się.

— Może więc rzeczywiście był tak ostrożny, jak mówił.

— Możliwe. Z DNA bywa różnie. Zadzwoń, jak tylko coś znajdziesz, dobra?

— Ty też.

Rozłączył się i wrócił do kieszeni Arvidsena, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Znajdował się teraz w strefie zagrożenia, dokładnie tak jak przez całe swoje życie. Rzeczywistość została przewrócona na opak tyle razy, że nie można już było mieć pewności, czy zgodność DNA faktycznie oznacza zgodność DNA. Wymazywano zbrodnie, znikaly ciała, a teraz znikali również podejrzani. Więc zgodność też mogła zniknąć — albo nagle powstać.

Miał wrażenie, że wszystkim sterują jakieś potężne siły, i pytanie brzmiało, kogo zechcą na koniec wrzucić do kotła z wrzątkiem.

W kieszeniach Arvidsena nic nie było. Rozejrzał się po kamiennej podłodze. Nawet nieliczne obrazy na ścianach pozdejmowano i zbadano. Stały teraz przy kaloryferze obok pustych ram, z których je wyrwano. Grube i jego ludzie byli dokładni. Wyzwanie, jakie postawiono przed komisarzem, było nie do pozazdroszczenia.

Wstał i podszedł do biurka stojącego przy jednym z okien wychodzących na parking. Opadł ciężko na przetarty fotel. Na blacie stał mały stojak z trzema tackami do segregowania korespondencji i stary kubek, a w nim garść długopisów. Oraz dwie pożółkłe gazety. Nic nie wskazywało, by Arvidsen kiedykolwiek trzymał na biurku komputer.

W biurku były też trzy szuflady. Wysunął tę najwyższą i znalazł w niej rozrzucone spinacze, kalkulator i grubą warstwę kurzu. Szuflada numer dwa skrywała trzy czasopisma o ogrodzie. W najniższej były nóż do otwierania listów, tubka kleju, jeszcze trochę spinaczy i jeszcze trochę kurzu.

Zajął się papierami na tackach. Na górnej znalazł dwa

zapłacone rachunki. Niżej kolekcję gazetek z jakichś marketów budowlanych. W najniższej kilka kolorowych broszur. Na samej górze była broszura reklamująca park Randers Regnskov. Przejrzał ją — w Randers żyło najwyraźniej wszystko, od papug po żyrafy.

Od sieni doszło do niego czyjeś *hello*. Chwilę potem w drzwiach stanęła Kajsa Corfitzen. Zapukała w futrynę i uśmiechnęła się:

— Chciałam tylko zobaczyć, jak panu idzie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Wchodząc, wpuściła do mieszkania ciepłe powietrze i zapach bzu.

— Nie, oczywiście, że nie.

Miała na sobie szorty w kolorze khaki i sandały. Biała, męska koszula była rozpięta tak nisko, że widać było krawędź białego stanika. W ręce trzymała butelkę wody. Pochlapała się. Mokra plama na koszuli przykleiła się do ciała, zdradzając, że stanik jest obszyty koronką.

— Już teraz są dwadzieścia cztery stopnie — powiedziała — więc później będzie pewnie o wiele goręcej. I co? Znalazł pan coś?

Początkowo to, że musiał się odzywać, rozmawiać z prawdziwymi, żywymi ludźmi, wydawało mu się niezręczne. Teraz nawet się nad tym nie zastanawiał. Dużo rozmawiał z Margrethe. A jednak w tej chwili znowu to poczuł. Może chodziło o Kajsę? A może o zapach bzu?

— Nie, nic szczególnego — odparł i pomachał broszurą z lasu deszczowego.

Podeszła bliżej, wyjęła mu z dłoni broszurę i oparłszy się łokciami o biurko, zaczęła ją czytać. Koszula napięła się pod naporem jej pełnego biustu i ukazał się przedziałek między piersiami, połyskiwał w nim pot. Na szyi miała cienki złoty

łańcuszek z małym krzyżykiem. Teraz dyndał swobodnie przed miękkimi piersiami. Przypominał krzyżyk na celowniku.

— *Ciii, Bosse, słyszałeś? Ktoś krzyknął.*

— *To ze środka. Musimy wezwać posiłki.*

— *Nie! Idziemy, tylko po cichu.*

— *Zobacz tam! To wygląda na wóz partyzantów. Oxe, musimy się wycofać. Robi się gorąco.*

— *Nie gadaj, tylko chodź. Ja się zajmę oknem.*

— *Jezu, słyszysz? Boże, jak ona strasznie krzyczy. Myślisz, że oni...*

Niemal przy samej ścianie domu, wąskie pole widoczności, tylko na jedno oko.

Trzech mężczyzn... cierpienie...

Twarz przepełniona bólem, zawieszony na szyi medalik uderza w jej podbródek, usta wykrzywają się z każdym silnym pchnięciem, piersi obijają się o siebie.

Przerwa. Załedwie kilka sekund.

Od tyłu podchodzi następny. Śmieje się, ma brudną koszulkę, z przodu brak mu jednego zęba. Owija sobie jej włosy wokół pięści i mocno dociska jej twarz do blatu stołu. Biodrami uderza w nią bezlitośnie. Medalik leży na blacie.

Oczy są czarne. Krzyczą. Błagają.

— *Oxe, kurwa. Nie powinniśmy...*

— *Tak, Bosse! Właśnie że powinniśmy... zostań tu i mnie*

osłaniaj.

Kopniak, drzwi się otwierają, obie dłonie zaciśnięte na broni. Trzy pociągnięcia za spust. Trzej mężczyźni padają. Ten w czapce z daszkiem, ten bez przedniego zęba i ten z łzą wytatuowaną obok lewego oka. Kobieta osuwa się na podłogę, mdleje. Ten z łzą przy oku krzyczy:

— Don't kill me! My friend, don't kill me, please.

— I will make you cry for real, you bastard...

Czwarty, piąty, szósty i siódmy strzał w brzuch.

— Co to za broszura? Randers Regnskov, wow, las deszczowy na Jutlandii. Wygląda ciekawie. Nigdy tam nie byłam, a ty? Byłeś tam? Halo, Niels? Wszystko w porządku? Niels?

— Kurwa, Oxe, teraz możemy mieć na karku całą partyzantkę, wszystkich Serbów. I jeszcze naszych. To jest, kurwa, przestępstwo, to, co zrobiliśmy.

— Nie mieliśmy wyjścia i doskonale o tym wiesz. Bosse, ten bez zęba i ten ze łzą byli wtedy w sali gimnastycznej. Z niepełnosprawnymi.

— Jebane świnię. Słyszałeś? Cholera, strzał. Z domu. Myślisz, że...

— Myślę, że tak... Niestety, Bosse. Tak wybrała.

— Proszę coś powiedzieć, źle się pan poczuł?

— Eee... nie, nie. Po prostu coś mi przyszło do głowy.

Chodzi o Arvidsena. Nie, nigdy nie byłem w Randers Regnskov.

— Brzmi egzotycznie — dżungla pod dachem. Może warto się tam kiedyś wybrać.

Kajsa Corfitzen odłożyła ulotkę, odepchnęła się dłońmi od blatu biurka i wyprostowała się. Atmosfera odrobinę się przerzedziła. On również doszedł do siebie.

— Ale, ale, właściwie chciałam z tobą o czymś pomówić...
— zawiesiła głos.

— O czym?

— To znaczy o ile w ogóle coś takiego by cię interesowało. Bo przecież nic o tobie nie wiem. Możliwe, że gdzieś po drodze coś poszło nie tak. W każdym razie, jeśli potrzebujesz ciszy i spokoju — oraz pracy — to możesz pracować dla mnie. Oczywiście chodziłoby po części o pracę w ogrodzie, ale na pewno znaleźlibyśmy również coś bardziej... wymagającego. To znaczy wiesz, tylko jeśli... No, w każdym razie chciałam ci coś takiego zaproponować. Nie musisz odpowiadać od razu. Po prostu o tym pomyśl.

Nie odpowiedział. Odchrząknął tylko.

— A ty co właściwie zamierzasz zrobić? Z zamkiem i tym wszystkim — zapytał, by dać sobie czas na ochłonięcie.

Kajsa Corfitzen starła znad brwi kroplę potu i wzruszyła ramionami. — Jeszcze nie wiem. Jutro wracam do Londynu i zostanę tam kilka tygodni. Obowiązki wzywają. Nie mogę ot tak wszystkiego rzucić.

— A to tutaj?

— Sekretarka ojca, ta z Haverslev, będzie pilnować papierkowej roboty. Domem na razie zgodził się zająć jej brat, który ma dwóch synów. Tartak już dawno ma swojego kierownika, więc liczę, że przez jakiś czas będę mogła

kontrolować sprawy z Londynu, aż nie zdecyduję, co dalej.

— Brzmi rozsądnie. Nie wyznaczysz nikogo do pilnowania zamku?

— Chodzi ci o ochronę? Owszem, wynajęłam agencję, która będzie regularnie tu zaglądać i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Śledztwo w każdym razie utknęło w martwym punkcie, prawda?

Pokiwał głową:

— Na to wygląda.

— Przestałam już dzwonić do komisarza Grubego do Aalborga. A jakie jest twoje zdanie, Niels? Kto mógł zabić mojego ojca? *A penny for your thoughts.*

— Nie mnie powinnaś o to pytać. Są ludzie, którzy wiedzą o tej sprawie znacznie więcej niż ja. Ktoś wysoko postawiony w PET na przykład. Wydaje mi się jednak, że Arvidsen miał z tym wszystkim coś wspólnego. I z tym tropem wiązę ostatnie nadzieje.

— I został zastrzelony dlatego, że coś wiedział?

— Dokładnie.

— A potem co zamierzasz ze sobą zrobić? Wrócić do lasu?

Wzruszył ramionami.

— Możesz zostać w swoim obozowisku, jak długo zechcesz.

— Dzięki, ale sam jeszcze nie wiem...

— Zrobisz, jak zechcesz. No dobrze, to nie będę ci dłużej przeszkadzać. Muszę wracać i się spakować. Jeśli będziesz czegoś potrzebował — dzwoń. Tu jest moja komórka i numer służbowy.

Zostawiła na biurku swoją wizytówkę i znikła.

Próbował sobie wyobrazić siebie koszącego trawę. Łatwiej było sobie wyobrazić Spider-Mana z balkonikiem.

Na tacce leżały jeszcze dwie broszury. Jedna wydana przez muzea wschodniej Fionii o zamku Nyborg, a druga z rezerwatu zwierząt na wyspie Djursland. No i tamta z lasu deszczowego w Randers. Rozłożył wszystkie trzy jak wachlarz kart i uważnie się im przypatrzył.

Wydawało mu się, że widział kiedyś program telewizyjny, w którym widzowie i dwójka ekspertów od stylu życia zgadywali, kto może mieszkać w prezentowanym domostwie — skoro już nie mieli ciekawszych zajęć we własnych czterech ścianach. Intuicję Sherlocka pobudzał niesamowicie wyluzowany i fajny gospodarz programu, otwierając od czasu do czasu lodówkę tajemniczego lokatora i zadając sakramentalne pytanie: „Co tu nie pasuje, moi drodzy? Salami, rolada czy dupa?”.

Odpowiedź to oczywiście... zamek w Nyborg.

Zaczął uważnie czytać broszurę. Napisano w skrócie, że zamek jest „wyjątkowym pomnikiem duńskiego średniowiecza”. Zamek był siedzibą duńskich królów w czasach największej świetności królestwa, przez mniej więcej czterysta lat od czasów Waldemarów aż do połowy szesnastego wieku.

Na przestrzeni wieków zamek był również miejscem spotkań walnego zgromadzenia będącego czymś na kształt parlamentu — Danehoffet. Kiedy odbywał się Danehof, król spotykał się z możnymi świeckimi i duchownymi, by omawiać sprawy państwa.

Nyborg i ośrodek władzy w królestwie? Nic mu to nie mówiło. Nigdy wcześniej nie słyszał o tamtejszym zamku. Nyborg znał tylko jako miejsce, z którego dawniej można było promem dostać się do Korsør na Zelandii. Teraz ludzie jeździli mostem. W Nyborg mieściło się jeszcze więzienie o

zaostrzonym rygorze. To wszystko, co wiedział.

Jeszcze raz przejrzał broszurę — i coś go jednak zastanowiło. Podsunął jedną ze stron do okna, by lepiej widzieć. Na lśniącym papierze widać było odcisk. Ktoś coś napisał, używając broszury jako podkładki. Znalazł jeden z długopisów Arvidsena i przepisał to, co w słonecznym świetle widać było bardzo wyraźnie: „Malte Bulbjerg”.

Na pewno warto spróbować. Zresztą tak łatwo się tego dowiedzieć. Na ostatniej stronie broszury znalazł numer telefonu. Przełączono go tylko raz, nim dotarł do odpowiedniej osoby.

Piętnaście minut później rozłączył się i zamarł. Im bardziej próbował przekonać samego siebie, że to nie może być prawda, tym większy ogarniał go niepokój.

Jeśli to nawet tylko skrawek prawdy, wkrótce wkroczą w sferę władzy tak potężnej, że każdy intruz może zostać wyeliminowany bez mrugnięcia okiem.

Zadzwoił do Margrethe Franck. Nieważne, co teraz robi — to jest ważniejsze.

Rozdział 56.

Siedzieli przy małym stoliku w biurze, każde z filiżanką kawy w ręce. Biuro mieściło się w pomalowanym na żółto budynku administracyjnym w części kompleksu zamkowego tuż nad samym jeziorem, w miejscu, w którym przypominało ono bardziej sielską sadzawkę cieszącą oko mieszkańców domków przy Slotsgade i przechadzających się brukowanym traktem.

Kiedy się pochylił w przód, ze swojego miejsca widział kawałek zamku. Zamek Danehof, a raczej to, co z niego zostało, stał tuż obok, skąpany w słońcu.

Do dziś zachowały się tylko główna część i długie skrzydło zachodnie z czerwonej cegły. Nedorzecznie wielki moloch bardziej skłaniał do refleksji nad niezłomną trwałością prastarych murów niż rozważań nad wspaniałą przeszłością tego miejsca jako budzącej respekt twierdzy, zamku królewskiego i miejsca spotkań potężnego średniowiecznego parlamentu.

— Od naszej wczorajszej rozmowy miałem trochę czasu na rozmyślanie.

Kustosz Malte Bulbjerg spojrział na niego, otworzył kalendarz, chwilę go kartkował i w końcu powiedział:

— I znalazłem to, o czym mówiliśmy. Poul Arvidsen był tu ósmego stycznia, między trzynastą trzydzieści a piętnastą. Spotkaliśmy się właśnie w tym biurze.

— Z tego, co zrozumiałam, Poul Arvidsen twierdził, że pisze jakąś książkę — wtrąciła Margrethe.

— Powiedział, że jest pisarzem. Opowiadał, że pracuje nad

przewodnikiem po duńskich dworach, majątkach i zamkach. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale gdy wracam pamięcią do tamtej rozmowy, dotyczyła ona w całości jednego tematu: Danehof.

Malte Bulbjerg miał białe sportowe buty, żółte materiałowe spodnie i koszulkę FC Barcelona i daleko mu było do popularnego wizerunku muzealnika jako staruszka żyjącego w wiekach minionych. Bulbjerg nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat, miał kręcone włosy, a kiedy mówił „Danehof”, niemal widać było błysk w jego oczach.

Już wczoraj, kiedy rozmawiali przez telefon, wyjaśnił kustoszowi, że chodzi o śledztwo policyjne dotyczące poczynąń Poula Arvidsen.

Margrethe Franck siedziała jak na szpilkach.

— No właśnie Danehof... Chcielibyśmy się dowiedzieć wszystkiego o Danehof — wszystkiego, co chciał wiedzieć Arvidsen. Mam nadzieję, że nie zajmiemy panu zbyt dużo czasu. — Posłała mu rozbijający uśmiech.

— Ależ nie, wygospodarowałem sobie na nasze spotkanie cały ranek. A o Danehof akurat wiem naprawdę dużo. Jeśli ktoś będzie miał ochotę na dolewkę, to proszę się częstować — Malte Bulbjerg zachęcająco machnął ręką w stronę termosu.

Energiczny kustosz usadowił się wygodniej i niemal wyczuwało się, że w głowie ma już gotowy plan referatu.

— Jestem prawdopodobnie ciekawostką wśród duńskich muzealników — zażartował i lekko się zaśmiał. — Taki Lionel Messi z Danehof — wyjaśnił i wskazał na logo klubu na piersi. — Choć przyznaję, że w tej dziedzinie nietrudno stać się wyjątkowym. Duńczycy nie wiedzą zbyt wiele o samej instytucji Danehofu. Trudno w to uwierzyć, ale dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku historycy zaczęli systematycznie badać jej znaczenie i funkcjonowanie! To

wielka szkoda. Bo moim zdaniem czas, w którym tu, w Nyborg, obradował Danehof, jest jednym z najbardziej fascynujących okresów w historii Danii. Sam szykuję się do napisania nowej, dużej rozprawy na ten temat. Planuję zacząć w przyszłym roku.

Po tym wstępie Malte Bulbjerg był gotów przedryblować piłkę na własną połówę i zaczął właściwy wykład o historii Nyborga:

— Danehof jest dla Duńczyków tym, czym dla Anglików Magna Carta, i dlatego...

— Magna Carta? — przerwała mu Margrethe.

— Och, wybaczcie. — Uśmiechnął się zmieszany. Jak widać, nawet Messiemu czasem płaczą się nogi. — Magna Carta, po łacinie „wielki list”, bywa też nazywana Wielką Kartą Swobód. Jest to dokument z tysiąc dwieście piętnastego roku wymieniający szereg praw przysługujących poddanym angielskiego króla i ograniczający jego władzę. Mówiąc najprościej, w tym dokumencie król zgodził się, że jego wolę można ograniczyć prawem. Danehof to nasza Magna Carta. Jest to zgromadzenie narodowe z okresu średniowiecza. Podczas Danehofu król spotykał się z kwiatem królestwa — zarówno z kręgów świeckich, jak i kościelnych. Od biskupów i książąt, przez mężów stanu, aż po dużych właścicieli ziemskich. Zgromadzenie pełniło funkcje prawodawcze, sądownicze i polityczne. Ale jego głównym zadaniem było ograniczanie władzy królewskiej. Dokładnie tak jak Magna Carta.

Kustosz przesunął po nich pytającym spojrzeniem, a oni pokiwali głowami jak dwójka pilnych uczniów.

Osobiście zadumał się nad dystansem dzielącym aroganckiego, buńczucznego byłego glinę Arvidsena od ściśle akademickich badań średniowiecznego podziału władzy.

Najwyraźniej pokiwali głowami dość przekonująco, bo Bulbjerg kontynuował:

— Zanim powstał Danehof, mieliśmy po prostu Hof — co po niemiecku oznacza dwór. Tym terminem określano dwór królewski, ale również spotkania z królem. Oficjalnie instytucję powołano w tysiąc dwieście osiemdziesiątym drugim roku, a poświadczający to dokument podpisał Eryk Piąty Glipping. Zobowiązał się w nim do corocznego zwoływania „parlamentu zwanego »Hofem«”. Początkowo obradowano w Laetare, czwartą niedzielę Wielkiego Postu, potem datę przeniesiono na niedzielę po Zielonych Świątkach, a potem powrócono do daty pierwotnej. Tu, w Nyborgu, podczas Danehofu w tysiąc trzysta czterdziestym piątym roku Waldemar Atterdag ogłosił, że — cytuję — „nasz parlament, który zwie się Danehof, ma się odbywać co roku w dniu świętego Jana w Nyborgu, wedle dawnego panującego w królestwie zwyczaju”.

Malte Bulbjerg ponownie spojrział kolejno na niego i na Margrethe. A oni znów pokiwali głowami.

— I tak było aż do roku tysiąc czterysta trzynastego, kiedy Eryk Pomorski ostatecznie rozwiązał Danehof. Już wcześniej zdarzały się jednak lata, gdy się nie odbywał. Nie wiemy, jak długie były to przerwy ani ile ich było. Wiadomo natomiast, że w tysiąc czterysta trzynastym roku nastąpił ostateczny kres instytucji.

Kustosz wyraźnie się zasepił, wypowiadając te słowa, ale szybko wyjaśnił, że Rada Królewska, której władza tymczasem coraz bardziej się umacniała, przejęła funkcje Danehofu i ostatecznie go zastąpiła.

— Danehof stał się więc miejscem, w którym poszczególne siły rządzące krajem nawzajem trzymały się w ryzach. Realnie to tu podejmowano wszelkie decyzje. Włącznie z tą, kto ma być królem. Danehof miał kolosalny wpływ na losy

kraju. — Kustosz rozłożył ręce, jakby próbował objąć całą, tak przez siebie uwielbianą wielką przeszłość. — Wyobraźcie sobie, jak ściągali tu rozmaici możnowładcy. W tysiąc trzysta siedemdziesiątym siódmym roku w Danehof uczestniczyła królowa Małgorzata Pierwsza i jej syn, król Oluf, którego była regentką. Stawili się również arcybiskup, siedmiu biskupów, czterdziestu rycerzy i osiemdziesięciu pięciu giermków. Cała galeria elit kraju. I już stanowić prawo, już sądzić i wypiekać polityczne ciasteczka. Wyobraźcie to sobie! Wszystko tu, w Nyborgu... Kilka metrów od miejsca, w którym siedzimy. Spotkania odbywały się w sali rycerskiej, podobnie jak dziś. Jasne, w nieco bardziej starodawnej wersji, ale jednak. Czy to nie fantastyczna myśl?

Pokiwali głowami i oboje się uśmiechnęli. Entuzjazm Bulbjerga był zaraźliwy.

— Czy było coś, co szczególnie interesowało Arvidsena? Pamięta pan, czy zadawał jakieś dodatkowe pytania?

Patrząc na Margrethe, kustosz pokiwał głową.

— Jak wspomniałem, miałem trochę czasu, żeby sobie wszystko przypomnieć, i rzeczywiście. W pewnym momencie nieco się zdumiałem. Wasz człowiek zapytał o coś w stylu: czy Danehof nie odrodził się ponownie w późniejszych czasach? Mogłem jedynie powiedzieć, że nie. Gdy Danehof zlikwidowano, był to ostateczny koniec. Ale to dziwne pytanie, prawda?

— Było coś jeszcze? — dociekała Franck.

Umówili się, że to ona będzie zadawać pytania. Sam to zaproponował — znacznie lepiej się czuł, obserwując wszystko z boku.

Bulbjerg odparł:

— Nic, co by mnie zdziwiło. Ale teraz, kiedy tu siedzimy, pamiętam dokładnie, że miał sporo przemyśleń na temat

Danehofu i władzy — znacznie więcej, niż bym się spodziewał po autorze piszącym przewodnik turystyczny.

— Co pan przez to rozumie? — Franck wyraźnie się ożywiła.

— Interesowało go, w jaki sposób elity dzieliły między sobą władzę. Pytał o nepotyzm i tego typu zjawiska. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że epoka nie ma tu znaczenia. Tam, gdzie jest władza, zawsze znajdują się tacy, którzy zechcą ją wykorzystać dla własnych celów. I jeśli odnieśliście wrażenie, że Danehof był w jakiś sposób instytucją demokratyczną, zapowiedzią demokracji przedstawicielskiej, to w jakimś sensie macie rację, a jednocześnie bardzo się mylicie. Danehof służył bowiem przede wszystkim centralizacji władzy. Mogę to wyjaśnić bliżej, jeśli...

Oboje jednocześnie szybko skinęli głowami, uśmiechając się przepraszająco do sympatycznego historyka.

— Bardzo prosimy. Proszę się nie bać, że nas pan zmęczy — zapewniła go Franck.

Kustosz ze wznowionym zapalem oddał się więc drobiazgowej prezentacji średniowiecznego parlamentu.

Hof, a później Danehof, w którym zasiadał kwiat królestwa, był symbolem wyczerpania się roli rad regionów. Już nie chłopcy mieli wybierać króla, lecz arystokracja. I choć panowie i pozostali mogli przemawiać w imieniu ludu i w ten sposób realizować przedstawicielską funkcję Danehofu, to realnie władza znalazła się w rękach znacznie mniejszej grupy ludzi.

Działo się to w czasie, gdy dopiero tworzyła się administracja państwowa i próbowano zbudować właściwy system prawny z rozsianymi po kraju urzędnikami zatrudnionymi przez koronę do pełnienia funkcji panów lennych, dowódców wojsk i rzeczników ludu. I pomimo

sporów o władzę wewnątrz rodziny królewskiej i jej ograniczania przez Danehof, w rzeczywistości władza królewska się w tym czasie wzmocniła.

Danehof stał się więc platformą, na której zarówno monarchowie, jak i możnowładcy mogli promować własne interesy. I z dużym powodzeniem z tej platformy korzystali.

Dokument podpisany przez Krzysztofa II w 1320 roku dawał jednak elitom znaczną przewagę nad królem. Danehof stał się najwyższym organem władzy ustawodawczej i sądowniczej w królestwie. Stanął więc ponad Kongens Retterting, czyli ławą królewską, pełniącą wcześniej funkcję sądu najwyższego. Taki układ utrzymał się aż do likwidacji Danehofu, który nie podlegał żadnej innej instytucji. — To dlatego tak cholernie mnie fascynuje historia tego miejsca. — Malte Bulbjerg z zachwytu aż zacisnął pięść.

Rozentuzjasmowany historyk już sięgał ręką po termos, kiedy uświadomił sobie, że coś jednak przeoczył. Był bowiem jeden niesłychanie ciekawy moment w historii, kiedy ironia losu przypomniła o sobie i objawiła się w Danehofie i jego funkcji sądu.

Eryk Glipping był pierwszym królem, na którym wymuszono przywilej. Stało się to podczas obrad Danehofu w 1282 roku. Jedna z uchwał głosiła, że o „zbrodniach przeciwko majestatowi władzy” rozstrzyga właśnie Danehof.

I pierwszą sprawą była — a jakże — niesławna śmierć samego Glippinga. Ostatni królewski mord w historii Danii.

— Tu sprawy przybierają dramatyczny obrót — zapowiedział z młodzieńcym rumieńcem muzealnik. — Króla zamordowano w noc świętej Cecylii w stodole w Finderup w tysiąc dwieście osiemdziesiątym szóstym roku. Na ciele monarchy znaleziono aż pięćdziesiąt sześć ran kłutych. O „mordzie w stodole w Finderup” słyszeli chyba wszyscy, prawda? Wielu również pamięta słynny obraz Ottona

Bachego. Pamiętacie go?

Skinął głową. Pamiętał doskonale. Ponury, pozbawiony kolorów krajobraz z hulającym wiatrem, ptaki na tle pochmurnego nieba. A na pierwszym planie marszałek Stig i jego popiecznicy oddalają się konno z Finderup. Dramatyczna scena od podstawówki tkwiła w jego pamięci.

— W domu mam oczywiście jego reprodukcję. Żonie, o dziwo, nawet się podoba — zaśmiał się Bulbjerg i dodał: — Rok po zabójstwie Danehof wydał wyrok na dziewięciu możliwych, murgrabia Stig został skazany jako autor spisku. Wszystkich skazano na banicję i uciekli do Norwegii.

— A czy likwidacja Danehofu nie obudziła sprzeciwu arystokracji? — Od jakiegoś czasu chciał o to zapytać.

Kustosz pokiwał energicznie głową.

— Nie mogę niestety podać wam nazwisk poszczególnych oburzonych. Wiemy natomiast, że potwierdziła się powszechna prawda, że jeśli się dysponowało władzą i wpływami, trudno jest się pogodzić z ich utratą z dnia na dzień.

— Jak na pański wykład zareagował Arvidsen? — chciała z kolei wiedzieć Margrethe.

— Gdy skończyłem, pokazałem mu salę rycerską. Podziękował i powiedział, że wszystko to jest bardzo ciekawe. Powiecie mi, o co go podejrzewacie? Czy też jestem zbyt ciekawski? Jeśli tak, to oczywiście rozumiem.

Margrethe Franck po chwili wahania odparła:

— Mogę jedynie powiedzieć, że nie powinien pan liczyć na to, że zamek Nyborg zostanie omówiony w jakimkolwiek przewodniku turystycznym. Arvidsen niedawno został zamordowany.

Skończyli właśnie zwiedzanie dwóch kondygnacji zamku.

Przeszli przez duże pokoje o wysokim sklepieniu, salę rycerską i starą salę obrad Danehofu z czarno-białą szachownicą na ścianach. Sala nie wyglądała tak, jak w dawnych czasach, lecz była jej mniejszą i nowszą wersją. Zachodnie skrzydło wielokrotnie powiększono i przebudowywano.

Teraz znów byli we współczesności, a słońce przypiekało niemiłosiernie. Z Maltem Bulbjergiem pożegnali się już jakiś czas temu. Sympatyczny kustosz przeprosił, że nie ma czasu, by osobiście oprowadzić ich po zamku. Zapewnił jednak, że jeśli zechcą odwiedzić go innym razem, zrobi to z największą przyjemnością.

Zanim jeszcze spotkali się z Bulbjergiem w jego biurze, wspięli się na wysoką fosę i obeszlili wokół sadzawkę. Chcieli więc jak najszybciej wyruszyć, bo czekał ich długi powrót na północ Jutlandii.

Ruszyli kładką w stronę ładnego, starego budynku ratusza i parkingu. W połowie mostu Margrethe zatrzymała się i położyła mu rękę na ramieniu.

— Myślisz więc, że Arvidsen trafił na trop czegoś podobnego — współczesnej wersji Danehofu, który w jakiś sposób wyrósł na bazie think tanku Corfitzena? Elita władzy zdolna do wypaczania rzeczywistości. Do zabijania — i sprawiania, że ciała znikają.

— Tak.

— To szaleństwo.

— Tak.

— Poza wszelkimi granicami przyzwoitości.

— Tak.

— I cholernie niebezpiecznie będzie się do tego zbliżyć.

— Tak.

Odwrócił się i ostatni raz spojrzął na bryłę zamku. Mimo imponujących rozmiarów budynek emanował pokorą i bezradnością. Nie chełpił się zdobieniami ani nie odstraszał wrogów potężnymi umocnieniami.

Zachodnie skrzydło wydawało się niemal zbyt skromne, by właśnie w nim kumulować tak wielką władzę. A jednak — właśnie tu, za ich plecami, najpotężniejsze siły w królestwie przepychały się o władzę nad Danią.

Może usłyszał coś, czego nie powinien był słyszeć. Albo zobaczył coś, czego nie powinien widzieć. Nigdy się nie dowiedzą, co dokładnie naprowadziło Arvidsen na trop Danehofu. Cokolwiek to było, najwyraźniej kosztowało go życie.

— Co dalej? — zapytała.

— Brakuje nam jednej rzeczy: musimy dokończyć badania, które Arvidsen prowadził na zamku.

— A co spodziewamy się znaleźć w tym pomieszczeniu, o ile je znajdziemy?

— Odpowiedź. Mam nadzieję, że znajdziemy w nim odpowiedź.

— Co wobec tego zamierzasz?

— Kajsja Corfitzen wraca dziś do Londynu. Zaczniemy dziś w nocy.

Rozdział 57.

Włamać się do zamku Nørlund było dziecinnie prosto. Gmach stał w sennym, nocnym świetle opuszczony i zdecydowanie za duży dla swojej samotnej właścicielki przebywającej obecnie w tętniącym życiem Londynie.

Podświetlił tarczę zegarka. Było tuż po północy. Mieli przed sobą wiele godzin pracy.

Znajdowali się w piwnicy zachodniego skrzydła zamku. Przesuwał latarką po cementowej podłodze i nagich ścianach. Ani śladu typowych piwnicznych rupieci. Nawet kartonu — nic. Na końcu pomieszczenia były zamknięte na klucz drzwi. Gdzieś muszą być schody na górę.

Przed chwilą łokciem wybił szybkę w jednym z małych okien w podmurówce i podniósł haczyki. Bez pośpiechu wsunęli się do środka wprost z trawy przy fosie. Pamiętając o firmie ochroniarskiej, która miała tu co jakiś czas zaglądać, wstawił nową szybkę i z powrotem założył haczyki, by nikt nie nabrał podejrzeń, że w zamku są nocni goście.

Margrethe Franck załatwiła czujnik ruchu i ustawiła go na alejce, więc jeśli przyjedzie tu jakiś samochód, zdążą wyłączyć latarki.

Obawiała się alarmu przeciwwłamaniowego, ale ją uspokoił. Gdy Kajsa oprowadzała go po rezydencji, nie zauważył ani instalacji, ani czujników. Okien było tu zresztą tyle, że trudno byłoby wszystkie zabezpieczyć. Dom posiadał jedynie system monitoringu zewnętrznego — zdemontowany i ukradziony przez Arvidsena. Zresztą jeśli ktoś sądził, że zamek pęka od złota i kosztowności, to gorzko by się rozczarował. Do Corfitzena nie było się po co włamywać.

Zawiasy skrzypnęły, kiedy otwierał drzwi prowadzące do mniejszego pomieszczenia — również dokładnie posprzątanego. Stąd, jak przez służę, wchodziło się do jeszcze mniejszego pomieszczenia, na jego końcu zobaczyli zarys schodów.

Wchodzili po nich ostrożnie, stopnie były dziurawe, od lat ich nie remontowano. U szczytu schodów stały ciężkie drewniane wrota. Spojrzeli po sobie.

— Otworzysz?

Margrethe uśmiechnęła się niewinnie. Wydawała się wyjątkowo pobudzona. Zanim jeszcze wyjechali z Nyborga, ekscytowała się na myśl o nocnej wyprawie do wnętrza dawnej złodziejskiej dziupli.

— Jeśli w posesji jest alarm, to powinien być właśnie tutaj.

Ostrożnie nacisnął klamkę. Był przygotowany na konieczność użycia siły i wyważenie drzwi. Do plecaka włożył mały zestaw potrzebnych narzędzi — począwszy od młotka, a skończywszy na materiałach wybuchowych. Być może wynikało to z jego wewnętrznego przekonania, że człowiek pokroju Corfitzena zapewne okopał się szczególnie dobrze. Tymczasem drzwi ku jego wielkiemu zaskoczeniu po prostu się otwały.

— Żadnych zatrutych strzał, kopii, zapadni — mruknęła równie zdziwiona Margrethe, oświetlając wąski korytarz.

— Zawiedziona?

— Odrobinę. To jak, Indy, ruszamy?

— Jasne. Sądzę, że jesteśmy mniej więcej w połowie skrzydła. Gdzieś tutaj powinny być kolejne schody.

Kiedy na jej łóżku w hotelu oglądali plany zamku, opowiedział Margrethe, że gdy Kajsa Corfitzen oprowadzała go po domu, pokazała mu również pokoje gościnne w

zachodnim skrzydle. Na początek zamierzali bardzo uważnie je sobie obejrzeć. Zdaniem Margrethe to tam, w którymś miejscu, ambasador musiał zamontować sekretne kamery do podglądania łóżkowych poczyznań swoich gości.

Nie powiedział jej, że widział nagrania z ukrytej kamery samego Corfitzena i doskonale wiedział, w którym pokoju minister uprawiał brutalny seks z Virginiją Zakalskyte — i dopuścił się zbrodni ostatecznej.

Musieli oczywiście i tak sprawdzić wszystkie pokoje. Jeśli kamery były zamontowane za pomocą sieci kablowej, kable mogą im wskazać kierunek. Specjalnie w tym celu kupił detektor kabli. Składał się z dwóch elementów — nadajnika i odbiornika, oba wielkości dużego telefonu komórkowego. Pozwalał namierzać kable ukryte w ścianach i podłodze.

Gdzieś w tym ogromnym budynku Corfitzen musiał sobie urządzić centrum dowodzenia z monitorami i twardymi dyskami. Lecz gdyby rzeczywiście system był połączony za pomocą przewodów, Arvidsen już dawno znalazłby drogę do sekretnego pokoju.

— Tutaj!

Franck znalazła schody — kręte, kamienne stopnie prowadzące na pierwsze piętro. Weszli po nich i znaleźli się w długim korytarzu z drzwiami po obu stronach. Stąd łatwiej im było się zorientować, gdzie są. W Nørlund najwyraźniej żadnych drzwi nie zamykano na klucz. Zresztą po co? I przed kim, skoro przez tyle lat mieszkał tu tylko jeden człowiek. Każde z osobna zajęło się przeszukiwaniem kolejnych pokoi. Wszystkie były niemal puste.

— Spróbujmy od końca — zaproponowała Franck.

Zniknęła w jednym z pokoi, a on nie zdążył nawet nacisnąć klamki kolejnych drzwi, kiedy go zawołała. Ruszył w jej kierunku, oświetlając sobie drogę latarką. Franck stała w drzwiach.

— W łazience są ręczniki — stwierdziła.

Weszli do pokoju tak dużego, że zmieściły się tu podwójne łóżko, komplet wypoczynkowy z ławą, duży telewizor plazmowy, fotel i biurko z przystawionym do niego krzesłem. Wszystko eleganckie i wyraźnie nowsze niż reszta sprzętów w tym domu. Kolory jasne i dyskretne, ściany białe, a na nich kilka obrazów w złotych ramach, przedstawiających motywy historyczne.

— Nieźle — powiedział, kiedy stali na środku pokoju i świecili wokół.

— Dla kogoś, kto najchętniej sypia na kupie gałęzi, to wygląda pewnie jak królewska komnata. Gdzie kamera?

— Obstawiam, że tam.

Skierował światło latarki na kratkę otworu wentylacyjnego pod sufitem. Potem podstawił sobie pod ścianą krzesło biurowe i stanął na nim.

— Za wysoko. Chodź, wesprzesz się na mnie i zajrzysz.

Skinęła głową, więc podał jej rękę i pomógł stanąć obok siebie na krześle. Stali teraz blisko siebie jak w tańcu. Bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Jej bliskość nie pachniała bzem — raczej czymś ostrym i chłodnym. Z małymi trudnościami ustawili się w piramidę — jej zdrowa lewa noga w jego splecionych dłoniach. Już dawno zapomniał o jej niepełnosprawności.

Kiedy próbowała się wyprostować, jedną pierś przesunęła mu po policzku i czole.

— Poradzisz sobie? — mruknął z twarzą wbłą w jej nagi, napięty brzuch.

— Czemu bym miała sobie nie poradzić. Tylko się nie ruszaj.

Margrethe wyprostowała się, oparła o ścianę i poświeciła

w głąb kratki.

— Bingo — powiedziała.

— Widzisz jakieś kable?

Chwilę trwało, nim odparła:

— Ani jednego.

— Tak myślałem, że raczej będą bezprzewodowe. Dobra, schodź.

Ostatni raz się rozejrzeli i wyszli z pokoju. Następny, równie bogato umeblowany, był tej samej wielkości i urządzony w podobnym stylu i kolorystyce. Inne było tylko antyczne biurko. Omiótł światłem latarki ściany i nagle zatrzymał się w połowie ruchu.

To było tu. Dokładnie tu, w tym pokoju, ikona zdrowego stylu życia, wysportowany mąż, ojciec i minister w jednej osobie wpadł w obłąd. Na ścianie między zasłonami wisiał mały drewniany krzyżyk. Jezus oglądał z niego, jak tamtej nocy Ulrik Rosborg mordował piękną Virginiję Zakalskyte.

Łącznie znajdowały się tu cztery umeblowane pokoje gościnne, jeden obok drugiego, niemal identyczne i w każdym wywietrzniku były ambasador, kierowany niezdrową pasją szpiegowską, zamontował kamery.

— Ciekawe, ilu gości zwabił w pułapkę. — Franck stała w oknie ostatniego pokoju i patrzyła na słabo oświetloną fosę.

— Pewnie wielu, ale niewątpliwie na żadnego nie zdobył haka równie mocnego jak na ministra sprawiedliwości.

— Mocna karta przetargowa: zdrada małżeńska, perwersja i morderstwo. Miał Rosborga w garści — zgodziła się Franck.

— Ale nie na długo. Jedynie od października do teraz.

— Nie mamy też pewności, czy to wykorzystał. Być może

zależało mu tylko na tym, by pokazać, kto rządzi.

— Corfitzen był ambasadorem w bloku wschodnim podczas zimnej wojny — zauważył. — Warto o tym pamiętać. W dodatku w Związku Radzieckim. Rosjanie specjalizowali się w pozyskiwaniu tego rodzaju kompromitujących materiałów na swoich wrogów. Kiedy urządzali wielkie orgie w daczach, wystawnych letnich rezydencjach, do których zapraszali swoich reprezentantów w kraju i na Zachodzie, zawsze pamiętali, by nagrać bardziej pikantne szczegóły zabaw w alkwie.

— I nasz poważany nestor demokracji przeszczepił kilka z ich sztuczek na rodzimy grunt. To chcesz powiedzieć? Hans-Otto Corfitzen, przyjaciel dzieci...

— Franck, najgorszym pomiotem szatana są ci najświętsi. Jak mawiał mój dziadek. Zresztą takie sztuczki działają. Masz w garści ministra sprawiedliwości, to masz władzę. A takim ludziom chodzi wyłącznie o władzę i wpływy. Nieważne, czy mówisz o Consilium, czy o Danehofie, jeśli oczywiście wciąż istnieje. To jest...

Przerwało mu buczenie w kieszeni jej kurtki. Ktoś przejechał aleją.

Natychmiast wyłączyli latarki. Podbiegli do okna w ścianie szczytowej w samą porę, by zobaczyć, jak biała furgonetka robi skręt i zatrzymuje się na żwirowym parkingu. Wsiadł z niej jakiś mężczyzna, obszedł samochód i otworzył drzwi paki. Po chwili z samochodu wyskoczył owczarek niemiecki.

Mężczyzna włączył latarkę halogenową i ruszył z psem w obchód. Przeszedł przez most i znalazł się na pasie trawy pomiędzy fosą a murem zamku, dokładnie tam, gdzie jakiś czas temu byli oni. Z psem przy nodze spokojnie zniknął za murem i z ich pola widzenia.

Rutynowy obchód trwał piętnaście minut. Po tym czasie

zobaczyli, jak mężczyzna i pies podchodzą do samochodu od przeciwnej strony. Obeszli cały zamek, możliwe, że zajrzeli również do ogrodu. Nie mogli go obserwować przez cały czas, bo po ciemku słabo się orientowali w wielkim domu.

Kiedy pies z powrotem wskoczył na pakę, strażnik usiadł za kierownicą i spokojnie odjechał.

— Chodźmy. Zajmijmy się teraz pierwszym piętrem w głównym budynku. Pójdziemy razem — co dwie pary oczu to nie jedna. Mów, jeśli cokolwiek rzuci ci się w oczy — szafki, półki, panele.

Franck przytaknęła i ruszyli korytarzem w stronę dużych drzwi, które, jak pamiętał, oddzielały jedno skrzydło od głównej części zamku. Zaczęli od pokoju z oknem w ścianie szczytowej. Był to mały salon. Dokładnie go obejrzel i przeszli jeszcze dwa inne, na w pół puste pokoje, nim dotarli do biura Corfitzena położonego centralnie na korytarzu i z klamką nadal obklejoną czerwono-białą taśmą policyjną. Biuro pozwolił zbadać samej Franck. Wciąż wolał, żeby jego DNA w tym miejscu nie znaleziono.

Próbowali w świetle latarek krytycznie przyjrzeć się sprzętom i meblom wokoło. On od czasu do czasu mimo wszystko robił pomiary wykrywaczem kabli.

Margrethe Franck długo przetrząsała stary grat będący garderobą, a on na koniec musiał oderwać tylną ścianę z juty, by się upewnić, że Corfitzen nie miał w swoim pokoju przejścia do osobistej, ponurej wersji Narnii.

W końcu dotarli do sali rycerskiej, którą oglądał już podczas zwiedzania z Kajsą Corfitzen. Pokój był w zasadzie pusty, więc niespecjalnie było tu co sprawdzać. Zdziwiło go jednak, że przy ogromnym stole jest tylko sześć krzeseł. Świecąc sobie latarką, wysunął jedno z nich i usiadł.

— Wygląda na to, że sporo czasu minęło, nim wzniesiono w tym miejscu ostatni toast — zauważyła Franck ze swojego

miejsca pod oknem.

— Jeden starzec nie zdoła zapełnić sobą całego zamku... Gruntownie wszystko przeszukaliśmy. Może jednak na próżno. To czyste spekulacje.

Margrethe milczała. Podeszła do niego i oparła się o krawędź stołu tuż obok niego. Potem skierowała mu prosto w twarz ostre światło latarki.

— Nie ruszaj się, Oxen. Teraz ja chciałabym kilka odpowiedzi.

— Zabierz latarkę!

Przesunęła ją kawałek niżej.

— Wiem o Bennym Overholmie ze złotym łańcuchem i o jego partnerze Stigu Ellehøju. Wiem o heroinie, amfie i diazepamie, które znaleźli za twoją tablicą na narzędzia. I o twoim kumplu z Bałkanów, ćpunie, którego nazywaliście „Balboa”. Złapali cię, a potem puścili wolno, bo ze swoimi medalami świeciłeś przykładem? Powiedz, czy tak to się odbyło?

— O co ci chodzi? Przesłuchujesz mnie?

Zerwał się z krzesła, ale Franck błyskawicznie docisnęła stopą jego klatkę piersiową do oparcia.

— Nie ruszaj się. I się nie denerwuj. Najwyższa pora, żebyś mi odpowiedział, rozumiesz?

Wbity w krzesło wciąż milczał, ale czuł, że tętno mu się uspokaja. W końcu z namysłem pokiwał głową.

— W porządku... Długo się powstrzymywałaś, co Franck? W tym jesteś najlepsza, nie? Przyczań się i zakraść. Ale coś ci powiem: nigdy nie miałem nic wspólnego z żadnymi narkotykami. Nigdy! Zastawili na mnie pułapkę. A potem pozwolili zdecydować, czy dam się w niej zatrzasnąć. Czy raczej wolę się usnąć.

— Będziesz musiał mi to wyjaśnić bliżej.

— Biedak „Balboa” się staczał. Znałem go z operacji Bravo. Pojawił się w momencie, gdy moja żona dopiero co ponownie się wyprowadziła. Nasz związek był dość burzliwy... Zgodziłem się, żeby „Balboa” zamieszkał na jakiś czas w wolnym pokoju. Dałem mu nawet klucz do mieszkania. Nie powinienem był. To on musiał podłożyć towar. Ale tamtych drzwi nie da się już otworzyć. On nie żyje. Śmierć miał zresztą całkiem przyjemną, bo przedawkował.

— Widziałam zdjęcie, jak stoicie razem w bramie.

— Rany boskie, sam je widziałem. Nie pamiętam nawet, czy to ja coś mu dawałem, czy on mnie. Ani co to było. Może pięćdziesiąt koron. A może kupon totka. W każdym razie na pewno nie były to dragi.

— I czemu miała służyć ta prowokacja?

— To miało jakiś związek z moimi staraniami o powołanie komisji do zbadania śmierci Bossego. Nigdy otwarcie tego nie przyznano, ale dało się to wyczuć. Bøjlesen wezwał mnie do siebie. Zapytał, co chciałbym robić, gdybym nie mógł zostać w policji. Odparłem, że starałbym się dostać do Korpusu Łowców. Następnego dnia znowu mnie wezwał. Mieli przeciwko mnie twarde dowody. Nie do obalenia. Bøjlesen złożył mi propozycję — jeśli złożę wniosek o wyłączenie ze służby w policji, on zadba, aby nikt się nie dowiedział o narkotykach i żeby odpowiedni ludzie spojrzeli przez palce na moją kartotekę, i przyjęli mnie do korpusu. Jeśli oczywiście uznają, że się nadaję. Na koniec dodał, że rozsądnie będzie dla mnie, jeśli dam sobie spokój z tą komisją specjalną — o ile wiąże przyszłość z Łowcami. Albo w ogóle chcę mieć jakąkolwiek przyszłość gdziekolwiek. I tak... mówiąc wprost, się sprzedałem. Albo uległem presji. Sama zdecyduj.

— Dlaczego tak bardzo się wzbranieli przed powołaniem komisji?

— Każdy układ źle znosi krytykę. Przekonania o słuszności własnych działań nie może skalać żadna rysa. A już na pewno nie w oczach opinii publicznej. Pod tym względem armia jest dokładnie taka sama jak każda inna organizacja.

— Ty jednak ostatecznie dostałeś swoją komisję?

— Tak, ale znacznie później. Po jakimś czasie ponownie podjąłem wyzwanie. Nie mogłem tego po prostu zostawić.

— Biłeś żonę?

Margrethe Franck ponownie zaświeciła mu w oczy latarką. Pozwolił jej na to.

— Tak — odparł i zmrużył oczy. — Jeden, jedyny raz walnąłem ją tak, że upadła. Zabierz tę cholerną latarkę.

— Prawdziwy z ciebie bohater.

— Daj spokój. Znalazłaś skrawek papieru i już ci się wydaje, że wiesz wszystko. A nie wiesz nic.

— Czego nie wiem?

Wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze.

— No dobra. Była sobota wieczór, po drugiej misji na Bałkanach. Mieliśmy gości — dwóch kolegów z żonami. W tamtych czasach zdarzało nam się trochę popijać, często do późnej nocy. Tak wiele się w nas kotłowało po moim powrocie z misji. Nasz związek wisiał na włosku, żyliśmy na tykającej bombie. Przez zwyczajne kłótnie, ale przede wszystkim przez wszystko, co się wydarzyło w następstwie śmierci Bossego. Birgitte była pijana, ja też. W pewnym momencie wstaje i mówi, że gdyby mogła to zrobić na zawołanie, to poszłaby na grób Bossego i na niego nasrała. Wtedy dałem jej w twarz.

— Hm... Ale to nie był jedyny raz?

— Tak, wiem. Birgitte częściej miała siniaki na twarzy i raz rozciętą brew. Policji powiedziała, że ja to zrobiłem. Ale to nieprawda. Nie mam pojęcia, co jej się stało. Nigdy mi nie powiedziała. Do dziś nie wiem, kto ją bił.

— Wyłudzenie ubezpieczenia, przemoc, zakłócanie porządku. Lista jest długa. Kim ty właściwie jesteś, Nielsie Oxenie?

Włączył własną latarkę i wycelował w nią.

— Wierzysz w to wszystko, Franck? Naprawdę w to wierzysz?

— Musisz mi to wyjaśnić.

— To prawda, *wdałem* się w bójkę z kolegą, który po chamsku mnie sprowokował. I *zrobiłem* z siebie idiotę, pijany i półgoły przy fontannie z bocianami. I owszem, *groziłem* policjantowi. Ale to wszystko. Zwróć uwagę, że wszystkie zarzuty oddalono albo wycofano zgłoszenia. I jest w tym wszystkim pewien schemat. Jeśli w danym okresie podejmowałem jakieś działania w związku z powołaniem komisji specjalnej, natychmiast życie osobiste w tysiącu kawałków spadało mi na głowę. Nagle mieliśmy pożar w domu i już wisi nade mną podejrzenie o wyłudzenie odszkodowania, bo z pieniędzmi też było krucho. A w pracy Birgitte pojawia się kurier z wiadomością skierowaną do mnie: „Zostaw to, Oxen. A życie stanie się łatwiejsze”. I tak to trwało latami. Każda moja inicjatywa wywoływała odwet. Na koniec wmieszali w to nawet moją żonę, która oskarżyła mnie o przemoc. Potem był rozwód. Kolejne rozprawy. W końcu komisja specjalna, a potem składam zażalenie. I znów jestem oskarżony, i znów pojawiają się nowe, zaaranżowane represje.

— Mówisz, jakbyś padł ofiarą spisku.

— Tak, spisek to trafne określenie. Bystra jesteś.

Nadal opierała się o krawędź stołu. W słabym świetle jego latarki wycelowanej teraz w podłogę wyglądała, jakby właśnie umieściła swoje odważniki na szalach mentalnej wagi.

— Dlaczego więc nie zarzuciłeś całego pomysłu, zamiast narażać się na takie problemy?

— Bosse był nie tylko dobrym kumplem z wojska. W dzieciństwie nigdzie nie zdążyłem zagrzać miejsca. Stale się dokądś przenosiliśmy. Bosse był moim jedynym przyjacielem z tamtych czasów. I prawdziwym bohaterem. Byłem mu to winien, musiałem zadbać, by wskazano ludzi odpowiedzialnych za tamtą decyzję. Musisz wiedzieć, Franck, że jest ogromna różnica pomiędzy kumplem a kumplem z dzieciństwa.

— A twoje odznaczenia? One również były próbą przekupienia cię?

Wzruszył ramionami. I zawahał się, nim odparł:

— Możliwe.

— Więc to nieprawda, że w pojedynkę pokonałeś ośmiu talibów?

— Prawda.

— A wskoczyłeś do Uny?

— Wskoczyłem.

— I ruszyłeś na ratunek załodze helikoptera?

— Tak.

— A ten, który został ranny w ogniu walk. Wyniosłeś go?

— Tak, do cholery!

— Więc cię nie kupili. Zrobiłeś to wszystko.

— Mossman nie jest głupi. Sprawa wygląda dokładnie tak,

jak to przedstawił wtedy na komendzie: w moich oczach i moim zażaleniu widać „człowieka z misją”. Awanturnika. Gościa, który nie umie odpuścić niesprawiedliwości, jaką mu wyrządzono.

— Czy to nie ty mówiłeś mi o honorze?

— Problem w tym, że ja naprawdę *mam* rację. Wielu ludzi w dowództwie wiedziało o zamiarach Chorwatów. Wysłali nawet ostrzeżenia za pomocą kanałów dyplomatycznych. Komunikat brzmiał jasno — wycofajcie się. Ale nas nie wycofano. I od tego zginął Bosse. Takie są fakty, Franck. Czyste, gołe fakty. Co u licha robiło sześciu lekko uzbrojonych duńskich żołnierzy w błękitnych hełmach błaznów w samym środku wielkiej ofensywy w Krajinie? Przynajmniej dali Bossemu medal. Tyle że „pośmiertnie” brzmi cholernie żałośnie.

Margrethe Franck wstała.

— Dzięki — powiedziała. — Dzięki, że mi to wszystko powiedziałeś. Dochodzi czwarta. Lepiej się stąd zbierajmy.

Rozdział 58.

Wiercił się niespokojnie w łóżku. Przewracał z boku na bok. Bezlitosne przedpołudniowe słońce wdzierało się przez szparę między zasłonami i przez moment było jak ostrze przesuwające się po jego twarzy. Odnotował je z jakiegoś bardzo dalekiego miejsca. Znowu zmienił bok i wszystko z powrotem zalała ciemność.

Po błysku usłyszał grzmot. A potem spadł czerwony deszcz. Cały był brudny od tej czerwieni. Dziwne, że pada na czerwono... Gdy podniósł oczy, zobaczył plamy.

► „Foxtrot 18. Wyczuwam coś! Wybuch! Czekać. Bez odbioru”.◄

Jego głos był zachrypnięty i brzmiał jak z oddali. Policzki szczypały go od piasku. Poprawił okulary taktyczne, przeturlał się, podniósł i klęcząc na jednym kolanie, poczuł, że jego ciało wciąż działa. Wzrok instynktownie skanował najbliższy teren: chaos.

► „X-ray 26, tu Foxtrot 18, silny wybuch przed główną komendą policji. Atak samobójczy, tak mi się zdaje. Odbiór”.

X-ray 26, nic wam nie jest? Odbiór.

„Foxtrot 18, ze mną w porządku. Wielu zabitych. Odbiór”.◄

Kobieta... Młoda dziewczyna w czarnym nikabie. To ona? Miała nikab, a nie niebieską afgańską burkę. Żeby ich oszukać? Miała piękne oczy. Jak migdały — z czarnego onyksu. Czy w tych oczach kryła się śmierć?

► „X-ray 26, zostań na pozycji. Idziemy do was.

Potwierdź. Odbiór”.

„Foxtrot 18, zrozumiałem. Bez odbioru”.◀

Słyszał krótkie słowa komunikatów i własny głos komunikujący się z X-ray. I znowu się obracał z boku na bok. Najpierw szybko, potem wolniej. Ostrze słońca znów przesunęło się po jego twarzy. Leżał nieruchomo. Wreszcie otwarł oczy.

Nie było żadnych oderwanych części ciała, zabójczych oczu z czarnego onyksu w szparze nikabu, nie było syren alarmowych ani paniki. Spokój, cisza i ptak śpiewający za oknem.

Musiało dochodzić południe. Spędzili na cholernym zamku kolejną bezowocną noc. Trzecią z rzędu.

Leżał bez ruchu na plecach. Wrócili X-ray i czarne, śmiercionośne oczy. Z całej Siódemki jej nie widział najdłużej, choć może tak mu się tylko zdaje... „Staw czoła swoim demonom, kolego...” *Welcome home, asshole.*

Kiedy wczesnym rankiem w końcu się położył, był głęboko przekonany, że to się skończy źle. Nie musiał nawet patrzeć w tamtą stronę. Wiedział, że na nocnej szafce obok pełnej popielniczki stoi pusta butelka whisky.

Nie był w stanie się ruszyć, czuł się, jakby miał sto dziesięć lat, i był cholernie śpiący. Wtedy rozległo się silne pukanie do drzwi.

— Oxen, nie śpisz?

Margrethe Franck nie odpoczywała nigdy. Czy mu się zdaje, czy ona jest przy nim od lat? *Bam!* I już tu była. Jak granat. Dokładnie tak jak wtedy, kiedy został wyrwany ze swojego małego, leśnego świata, gdzie byli całkiem sami z Mr. White'em.

Margrethe Franck była teraz jego kumplem. Niezłomna i

zdecydowana w działaniu, i zimna jak pustynny wiatr nocą, kiedy...

— Oxen, do diabła, wstawaj już!

Wygramolił się z łóżka, poszedł otworzyć drzwi i z powrotem poczłapał pod kołdrę.

— Ale tu śmierdzi. Jakbyś tu spalił akr ziemi.

Zmarszczyła nos, zamasyście odsunęła zasłony, otworzyła szeroko okna i opróżniła popielniczkę za jedno z nich. Potem usiadła na krześle przy biurku i przyjrzała mu się jak lekarz na izbie przyjęć...

— Ciężka noc?

Pokiwał głową. Zawsze tylko kiwał głową przy Margrethe Franck. Więcej nie musiał robić. Najwyraźniej umiała go przejrzeć na wylot. Ale nie obnażała go, lecz go kryła. Delikatna Franck, granat rzucony z nieba.

— Nie możesz wiecznie żyć w ten sposób, rozumiesz to, prawda, żołnierzu?

— Dlaczego tak wpadasz w środku nocy?

Z uśmiechem pokręciła głową i odchyliła się na krześle.

— Inspekcja baraku — tak to się chyba nazywa? Muszę sprawdzić, czy porządnie poskładałeś ubranie i czy widać na nim ostre jak brzytwa kanty. I stwierdzam, że niezupełnie.

Omiotła wzrokiem podłogę, na którą w przypadkowej kolejności zrzucił z siebie ubranie.

— Jesteś upierdliwa, idź sobie — mruknął i odwrócił się do niej plecami.

— Mam ważną wiadomość. I lepiej posłuchaj uważnie: znaleźli Siergieja Pronkę.

Odwrócił się z powrotem i spojrzał na nią. Mówiła dalej:

— Martwego jak śledź. Na promie. Dzień po tym, jak uciekł ze szpitala.

Natychmiast usiadł. Oto ich ostatnia wiadoma.

— Na promie, jakim?

— Z Karlshamn do Kłajpedy — wyjaśniła. — Znalaziono go podczas sprzątania w porcie. Ktoś go zlikwidował w łóżku, kiedy leżał pod kołdrą. Trzy kule w okolicę serca. Czysta robota.

— Przecież był poszukiwany, dlaczego dopiero teraz...?

— Wezwani na miejsce policjanci znaleźli w kajucie paszport. Widniało w nim inne nazwisko. Na zdjęciu wyglądał inaczej. Ale w kajucie znaleźli też perukę i okulary. Dlatego minęło kilka dni, zanim połączyli fakty. Poza tym mówimy tu o Litwie... Możliwe, że list gończy nie od razu dotarł do Wilna. Kto to może wiedzieć? — wzruszyła ramionami.

— Od kogo się dowiedziałas?

— Od Ryttera, piętnaście minut temu.

— Widzisz, co tu się dzieje? Powoli i systematycznie zamiata się wszystko pod dywan, bardzo głęboko pod dywan. Teraz nie ma żadnych świadków.

— Ale jest Pronko — zauważyła Franck. — Jest więc przynajmniej jedno ciało.

— Tak, ale co nam po nim? Zwłoki nie przemówią.

— Ale może da się go powiązać z miejscami zbrodni — z biurem Corfitzena i chatą myśliwską.

Pokręcił głową, rozkładając ręce.

— Jeśli istnieje powiązanie, to je usunięto. Nie rozumiesz? A może nie chcesz zrozumieć, co, Franck? Siergiej Pronko nie nadaje się na sprawcę. Zbyt łatwo można dotrzeć do jego

motywów i odkryć historię jego zaginionej kuzynki. A to byłoby zdecydowanie *niepożądane*.

— Ale sprawa nie zniknie. I wciąż nie ma winnego...

— Znajdzie się innego winnego.

— Innego? — popatrzyła na niego pytająco.

— Takiego, który *będzie* się nadawał. Takiego, który ma motyw. I najchętniej działa w pojedynkę. To pozwoli uniknąć komplikacji. A jeszcze lepiej, jeśli będzie miał nie po kolei w głowie, a jego świat będzie tak pokręcony, że nikt tak naprawdę go nie rozumie. Mam mówić dalej?

— Nie, już rozumiem.

— Tak to niestety wygląda — mruknął i potarł sobie dłońmi twarz.

— Ale Rytter i Mossman wiedzą, jaka jest prawda. Blefują, udając, że nie wiedzą o zastrzeleniu Simony i ucieczce Siergieja.

— Niektóre wojny są zbyt wielkie, by do nich przystępować. Co niby mogliby zyskać, stawiając się najwyższej władzy?

— Swojemu szefowi, ministrowi sprawiedliwości?

— Tak, bezpośrednio jemu. Ale pośrednio jakiejś znacznie większej potędze. Czemuś takiemu jak Danehof. Tylko tego nie wiedzą. Danehof się nie zmaterializuje. On po prostu jest i działa. Jak powietrze.

— Słuchaj, to, co powiedziałam przed chwilą, było szczere. Naprawdę rozumiem twoje położenie. Ale być może to, że ciągle musisz walczyć i wciąż masz pod górę, jakoś cię zmieniło. Może zbyt pochopnie stawiasz spiskowe teorie. Może Arvidsen jest całkowicie chybionym strzałem. Może odpowiedź na pytanie, dlaczego trzy noce z rzędu szukamy czegoś na próżno, jest bardzo prosta: tam nic nie ma. Nie ma

żadnych cieni z dawnych czasów, żadnego centrum władzy, żadnego Danehofu. Jest tylko stary dziad z perwersyjnie skrzywionym poczuciem gościnności. Wojeryzm, tak to się chyba nazywa.

— Franck, do diabła, obudź się wreszcie! Do wykonania sztuczki takiego kalibru jak tamta nad jeziorem potrzeba środków, i to niemałych. Likwidacja Siergieja była kolejnym krokiem. A ostatnim będzie postawienie pod prężierzem nowego winnego. Władza zacieśnia kręgi. Wszyscy skupiają się wokół ministra — jego poświęcić nie można. Tacy jak on trafiają się zbyt rzadko i są zbyt cenni. Danehof wie, co oznacza władza. Od zawsze zajmował się wyłącznie nią. Rozumiesz?

— Tak, a ty ich przejrzałeś, bo na spokojnie sobie wszystko przeanalizowałeś. Leżąc w łóżku ze skrętem w jednej i whisky w drugiej ręce.

— Nie, *nie jestem* w stanie wszystkiego racjonalnie uzasadnić. I tak, *jestem* chory, *wiem* o tym. To, co mnie czasem nachodzi w nocy, to czysty obłąd. Najprawdziwsze szaleństwo!

Nie wiedział, jakim sposobem te słowa przeszły mu przez usta. Może dlatego, że prócz tego, że często wystarczało skinąć głową, z Margrethe Franck również wyjątkowo łatwo się rozmawiało, lekko i naturalnie. Nie trzeba było szukać słów, one same przychodziły i uwalniały się bez wysiłku.

— Przypomnę ci, że nie musisz mi tłumaczyć, czym jest PTSD. Tyle że ty wydajesz się taki... pewny swego. Mimo że wiesz, jak to się skończy.

Odrzucił w bok kołdrę i położył stopy na podłodze. Siedział przed nią w samych bokserkach.

— Posłuchaj... Przez cały czas staram się zachować własne środki ostrożności. Od samego początku wiedziałem, że szykuje się coś w tym stylu. Uznałem, że jeśli się zgodzę

uczestniczyć w tej grze, to będę na silniejszej pozycji.

— To nieprawda. Nie dlatego się zgodziłeś. Chodziło o twojego psa.

— Jasne, o niego też. I oni to przewidzieli.

— Oni to, oni tamto, jacy oni?

— Ci, którzy zabili mi psa.

— Myślałam, że to był Siergiej Pronko, który chciał cię nastraszyć.

— To nie był on. To był albo Rytter, albo Mossman. Albo obaj. Żeby wciągnąć mnie do gry i żebym mógł odegrać rolę, którą mi wyznaczyli.

— Jakiś czas temu nie uwierzyłabym w ani jedno słowo twojej teorii. Ale teraz nie mogę jej odrzucić. O jakich środkach ostrożności mówisz? — Margrethe Franck zsunęła się na skraj krzesła i odruchowo położyła ręce na jego gołych kolanach.

— Nie mogę powiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Rozdział 59.

Zgodnie uznali, że nic z tego. Minęło wpół do trzeciej. Postanowili obejrzyć jeszcze ostatnie dwa pokoje na końcu korytarza i zbadać każdą półkę z książkami z osobna w saloniku pana domu, a potem, po czterech nocach z rzędu, złożą broń.

Jeśli na zamku Nørlund istniał sekretny pokój, to Corfitzen ukrył go tak skrzętnie, że aby go odnaleźć, potrzebowali innych, bardziej odpowiednich środków. Może rentgena albo zaawansowanych urządzeń pomiarowych, o których istnieniu nie mieli pojęcia.

On miał się zająć salonikiem. Stał w drzwiach i skierował promień latarki na obraz wiszący w przejściu. Przedstawiał okręty wojenne, duże fregaty w trakcie bitwy morskiej. Pod obrazem była tylko wyjątkowo mocna kamienna ściana.

Usłyszał zdecydowane kroki Margrethe Franck. Skręciła za róg i szła w jego stronę długim korytarzem, który przechodził obok głównego wejścia. Idąc, przesuwała słabym już światłem latarki po ścianach.

On stał w miejscu. Był zmuszony przyznać, że tę bitwę przegrali. Zapał, który mu towarzyszył pierwszej i drugiej nocy, dawno wyparował. Margrethe za moment minie wejście główne. Słyszał głośnie stukanie twardych obcasów. Czy mu się wydaje, czy poprzednimi razy miała sportowe buty? Stukanie ucichło na chwilę, kiedy musiała przejść przez rozłożony w holu chodnik. Była teraz całkiem blisko.

Poświecił jej w twarz. Zmrużyła oczy.

— Przestań. Masz dodatkowe baterie? Moja latarka ledwie zipie. A ty co, stoisz tak i sobie patrzysz? Nie powinniśmy dokończyć i się stąd zwijać?

Przez chwilę próbował sobie ułożyć w głowie i ubrać w słowa to, o czym właśnie pomyślał. Wrażenie, że coś nie pasuje w tej krótkiej sekwencji, która właśnie nastąpiła: od momentu, gdy Franck skręciła w korytarz, do chwili, kiedy stanęła przed nim.

— Cofnij się — powiedział.

— Co?

— Cofnij się, wróć tam, skąd przyszedłeś i przyjdź tu jeszcze raz.

— Co się dzieje?

— Zrób to. Wróć za róg korytarza i wejdź do pokoju. A kiedy zawołam „chodź”, zaczniesz iść w moją stronę.

Franck pokręciła tylko głową wyraźnie zniecierpliwiona, ale karnie pomaszerowała z powrotem. Kiedy przestał słyszeć stukanie jej obcasów na parkiecie, krzyknął „chodź”. Kucnął i z najwyższym skupieniem badał posadzkę. Kiedy Franck stanęła tuż przed nim, podniósł się i poprosił, żeby powtórzyła wszystko od nowa.

— Nie! Dopiero jak mi powiesz, o co tu chodzi.

— Zaraz. Wróć jeszcze raz, no dalej. A gdy zawołam „stop”, to staniesz w miejscu, okej?

Franck ze złością odwróciła się na pięcie, być może urażona, że jej rozkazuje. Ale raz jeszcze bez słowa ruszyła w dół korytarza, a on nasłuchiwał jej kroków. Dziwne, ale nie słyszał tego, gdy się oddalała. Lecz gdy chwilę później zawołał „chodź”, wszystko się powtórzyło.

— Stop!

W milczeniu wykonała rozkaz, a on jeszcze uważniej

przyglądał się płytkom na podłodze. Podłoga korytarza biegnącego przez całą długość głównego budynku była utrzymana w tak doskonałym stanie, że odbijało się w niej światło latarki. Płytki były ułożone w jodełkę w ukośnych kwadratach o krawędzi około metra na metr. Drewno musiało być szlachetnego gatunku, niemal czarne, a ciężar i grubość wskazywały, że pokryto je wieloma warstwami lakieru.

Franck stała niemal na samym środku kwadratu. Z latarką przy samej podłodze znalazł przerwę pomiędzy kwadratem, na którym stała, a sąsiednim. Szpara miała zaledwie milimetr szerokości i niczym nie różniła się od szpar pomiędzy pozostałymi kwadratami.

— Zdejmij na chwilę jednego buta. I zejdz z tego pola.

Wziął jej but do ręki i dwa razy mocno uderzył obcasem w pole, na którym stała. Potem uderzył w kwadrat przed tym polem. Znowu w pole — i w kwadrat za nim.

— Okej, już słyszę — powiedziała Margrethe Frank. — Słabo, ale ewidentnie słysząc różnicę. Szacun.

— Jest ledwie słyszalna różnica. Tak właśnie mi się zdawało. Kto wie, może jednak nam się poszczęściło.

Wstał i poświecił na białe ściany po obu stronach korytarza. Znajdowali się pomiędzy dwoma oknami wychodzącymi na mały plac przed budynkiem. Na ścianie było duże lustro w grubej, złotej ramie. Po jego obu stronach wisiały mosiężne świeczniki. Ich tylna, przyczepiona do ściany część dekoracyjna była wykonana z giętego mosiądzu z motywami roślinnymi i wysadzana kolorowymi kamieniami. W świetle latarki połyskiwały jak kamienie szlachetne. Lecz musiały być sztuczne — w przeciwnym razie te świeczniki należałoby trzymać w sejfie. W każdym świeczniku umieszczona była duża, biała świeca.

Stanęli po obu stronach lustra i chwytając każde za jeden

bok, odsunęli je od ściany. Było zawieszone na grubej metalowej lince. Skrzętnie zbadał ramę, opuszkami palców przesunął po zdobieniach. Potem obejrzał tył. Niczego nie znalazł. Odwiesili lustro na miejsce i teraz zajął się świecznikami. Drobiazgowo studiował ich konstrukcję i mocowanie — każdy był przytwierdzony do grubej ściany za pomocą trzech śrub.

Zbliżył światło latarki do kamieni. Były wśród nich żółte, czerwone, zielone, fioletowe, niebieskie i czarne. Czarny onyks? Nie w kształcie migdałów, jak zabójcze oczy z nocnego koszmaru, lecz okrągłe. Na każdym świeczniku po trzy. Oświetlał, badał, porównywał i znów oświetlał. Górny kamień na świeczniku po prawej miał trochę inny odcień.

— Masz długopis?

Franck wyjęła go z wewnętrznej kieszeni kurtki. Czubkiem długopisu ostrożnie postukał w czarne kamienie. Raz, a potem jeszcze raz. Górny kamień w świeczniku po prawej również brzmiał inaczej.

— Chyba nam się udało. Kurwa, myślę, że jednak nam się udało — mruknął i wyjął z plecaka detektor kabli.

Powoli przesunął nadajnikiem po ścianie na odcinku tuż pod prawym świecznikiem, cały czas obserwując wyświetlacz odbiornika. Sygnał był wyraźny. Tuż pod świecznikiem znajdowały się kable pod napięciem. Nie było logicznego wyjaśnienia, dlaczego biegły właśnie tędy.

— Sądzę, że jest tak — zaczął i skierował latarkę na prawy świecznik — dokładnie tu, gdzie jest najwyższy kamień, znajduje się obsługiwany zdalnie włącznik, jak w telewizorze. Wciskasz guzik na pilocie, a kwadrat na podłodze obniża się jak winda.

— Robi wrażenie. O ile masz rację. Ale nie mamy pilota.

Poszperał w plecaku i wyjął śrubokręt.

— Nie, ale mam to. Potrzyj mi latarkę.

Odkręcenie trzech śrub zajęło mu chwilę. Kiedy wykręcił ostatnią śrubę, przytrzymał świecznik. Potem go puścił, ale świecznik nie spadł. Przy ścianie przytrzymywały go dwa przewody wystające z plastikowych rurek umieszczonych w ścianie.

— Podsuń latarkę jak najbliżej.

Wyjął szczypce boczne tnące i pracował dalej. Margrethe Franck była wyjątkowo milcząca, odkąd kazał jej maszerować tam i z powrotem po podłodze. Obciął odpowiednie kable i zdjął z nich izolację.

— Próbuujemy? Może masz ochotę zjechać sobie w dół?

— Zwariowałeś? — syknęła i odsunęła się o krok. — Poza tym w piwnicy w skrzydle zachodnim stoi drabina.

— Okej, zaczynamy!

Połączył ze sobą przewody i rozległo się niskie brzęczenie. Kwadrat ciemnego parkietu powoli zniknął, zostawiając w podłodze ziejącą mrokiem dziurę.

Poczuł ucisk w żołądku. Jakby stał przed wejściem do sekretnej komnaty grobu Tutenchamona w Dolinie Królów. A jednocześnie zupełnie inaczej — bo w katakumbach Corfitzena nie spodziewał się znaleźć worka miedziaków, lecz coś w rodzaju studia z monitorami i ze sprzętem do nagrywania.

Winda stanęła. Poświecili w dół szybu. Był głęboki na jakieś cztery metry. Otwór w betonowej ścianie prowadził najwyraźniej do wąskiego korytarza. Korytarz wychodził na zewnątrz budynku.

— Czyli w budynku faktycznie nie ma sekretnego pomieszczenia. Ono znajduje się na zewnątrz, pod dziedzińcem zamkowym.

— Dobra robota. Arvidsen mógł sobie szukać choćby do śmierci — stwierdziła Franck.

— Wskoczę tam — powiedział i zarzucił plecak na ramię. Potem uklęknął, przytrzymał się krawędzi szybu, przerzucił nogi do środka i zsunął je w dół. Potem puścił ręce i bezpiecznie wylądował na stopy.

— Ja nie dam rady... z tą nogą. Idę po drabinę. Musimy też się upewnić, że będziemy mogli wyjechać z powrotem w górę — powiedziała Margrethe i znikła.

Powiódł wokół światłem latarki. Ściany były betonowe i gołe. Na tej obok szybu były dwa włączniki. Jeden był zwykłym włącznikiem światła, a drugi okrągłym przyciskiem, zapewne do podjeżdżania windą w górę. Nacisnął pierwszy i w wąskim korytarzu zapaliła się jarzeniówka. Korytarz miał jakieś cztery metry długości.

Na jego końcu były metalowe drzwi. Wyglądały, jakby były grube na kilka centymetrów, ważyły tonę i zostały wykonane z najwyższą starannością. Było dokładnie tak, jak się obawiał: Corfitzen nie szczędził wydatków, by ochronić swoje tajemnice.

Na drzwiach, z prawej strony znajdowało się pokrętko wielkości talerza, były też trzy mniejsze. Na ścianie obok wmontowano elektroniczny mechanizm blokujący firmy J&C Lock Universe. Składał się z wąskiego wyświetlacza i miniaturowej klawiatury alfabetyczno-numerycznej. Napisano na niej „12 digi security code” — kod zawierał aż dwanaście znaków.

Gdyby to był film, wyjąłby jakieś sprytne urządzenie, które, podłączone do blokady, w kilka sekund złamałoby kod. Rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. Nawet komputery o dużej mocy obliczeniowej potrzebują sporo czasu na złamanie kodu złożonego z cyfr i liter, i to liczącego zwykle sześć, góra osiem znaków. Oni tymczasem nie mieli ani

takiego sprzętu, ani ludzi potrafiących go obsługiwać.

I prawdę mówiąc, przewidział, że jeśli już uda im się znaleźć tajny pokój Corfitzena, może się okazać zabezpieczony niemożliwym do złamania kodem. Dlatego przezornie uzupełnił arsenał w plecaku o coś, na czym znał się znacznie lepiej niż na najnowszych technologiach.

Prymitywną, brutalną siłę ukrytą w porcji C-4.

Miał w plecaku sztabkę standardowej wersji M112 Composition 4-bar ważącą pięćset siedemdziesiąt gramów. Niezawodny, plastyczny materiał wybuchowy, który doskonale poznał w wojsku, był teraz ich jedyną szansą. Sztabkę załatwił mu L.T. Fritsen, do tego szereg elektrycznych detonatorów — z tego samego źródła co pistolet.

Sprawdził, jak są zamontowane drzwi, i obejrzał dokładnie betonową ścianę wokół nich. Sztuka polegała na tym, by otworzyć przejście do pomieszczenia, nie obracając wszystkiego w gruz. Jako komandos przeszedł specjalne szkolenie z materiałów wybuchowych.

Najsłabszym punktem na pewno nie są stalowe drzwi — z takimi wymiarami, zawiasami i ryglami. Poza tym zbyt dużo energii z eksplozji wytraciłoby się po zderzeniu z ich powierzchnią. Lepiej wybić dziurę w ścianie obok.

Wyjął z plecaka przenośną wiertarkę udarową i wsunął w nią dwudziestopięciomilimetrowe wiertło. Zaczął wiercić pierwszy z czterech otworów. Dzięki wciśnięciu sztabki w otwór w ścianie można było uzyskać maksymalną siłę wybuchu, używając stosunkowo niewiele materiału.

W obliczeniach, które poczynił w głowie, istotna była dokładna grubość muru, a tej niestety nie znał. Założył jednak, że każdy z czterech ładunków powinien wyrwać otwór o średnicy jakichś trzydziestu centymetrów. Otwory rozmieścił po kwadracie w takiej odległości od siebie, by

przewidywane okręgi ledwie się ze sobą stykały. Po wycięciu metodą pirotechniczną czterech okrągłych otworów w ścianie powstanie kształt okna z cienkimi, przecinającymi się pozostałościami ściany, które bez trudu będzie można wyburzyć porządnym młotkiem i dobrymi nożycami do prętów, zdolnymi przeciąć zbrojenie.

Po oczyszczeniu z gruzu i zbrojenia otwór powinien być dość duży, by dało się przez niego przejść.

Właśnie skończył wiercić otwór numer dwa, kiedy na podłogę z brzękiem opadła aluminiowa drabina. Chwilę potem stanęła przy nim podekscytowana Margrethe Franck.

— Co robisz? — Przeniosła zaciekawiony wzrok z drzwi na ścianę i cały sprzęt.

— Jak widzisz, mamy tutaj drzwi, których miejsce jest w Fort Knox. Dlatego przejdziemy przez ścianę.

— Przejdziemy przez ścianę. Oczywiście. A jakim sposobem, jeśli mi wolno zapytać?

— Za pomocą C-4 — odparł i pokazał jej sztabkę. — Cztery dziury, po sto dwadzieścia pięć gramów w każdej.

— Czekaj, Oxen. Żebym dobrze zrozumiała: nosisz w plecaku materiał wybuchowy? Kompletnie ci odbiło?

— Spodziewałem się, że Corfitzen nie zostawił klucza pod wycieraczką, więc dlaczego nie? C-4 jest bezpieczny jak guma do życia. Możesz go ciąć, podpalić, możesz do niego strzelić z broni — i nic się z nim nie dzieje. To niewielkie ładunki, ale nam wystarczą. Chyba że potrafisz znaleźć dwunastocyfrowy kod Corfitzena?

Pokręciła z rezygnacją głową.

— Dobra, zakładam, że wiesz, co robisz.

— Spokojnie, nie pierwszy raz mam to w ręce. Wyjedziemy na górę, wysadzimy ładunki, zjedziemy z

powrotem, oczyścimy otwór i przez niego przejdziemy.
Prościzna.

Powietrze w wąskim korytarzu było gęste od szarego pyłu. Kilka minut temu zdetonował cztery ładunki. Otwór był przy samej podłodze i wyglądał dokładnie tak, jak powinien.

Młotkiem i nożycami wyciął przejście. Na czworakach zajrzał do środka. Nie było tam pokoju, tylko mały korytarz. Wszedł do środka i dał znak Franck, żeby weszła za nim. Po kilku metrach natknęli się na kolejne metalowe drzwi. Tym razem miały zwykłą klamkę. Były bez porównania lżejsze od poprzednich i bez trudu je otworzył. Pomachał Franck, żeby podeszła bliżej, i ostrożnie wszedł do środka.

Latarkami świecili po ścianach. W końcu zauważył kontakt i zapalił dwie mocne jarzeniówki na suficie.

Rozdział 60.

Tajny pokój Corfitzena mierzył jakieś cztery metry na cztery. Ściany, podłoga i sufit były z surowego betonu i całość wyglądała jak skrzynka zatopiona w dziurze wykopanej na dziedzińcu zamkowym i zasypanej.

— Wow... — szepnęła Margrethe i zatrzymała światło latarki na ścianie całej w płaskich ekranach.

Znaleźli się w najświętszym miejscu w Nørlund, będącym dziwnym połączeniem surowego betonu i ultranowoczesnego sprzętu w matowej czerni z chromowanym wykończeniem. Na jednej ścianie wisiało sześć czterdziestocalowych płaskich ekranów w dwóch rzędach po trzy ekrany każdy. Ekran były oznaczone jako pokój 1, pokój 2, pokój 3, pokój 4, sala rycerska i centrum.

Na blacie zajmującym całą szerokość ściany z monitorami stała wieża sprzętów, w tym urządzenie do nagrywania, odtwarzacz DVD i cyfrowy dyktafon. Oczywiście, że prócz kamer Corfitzen zainstalował w pokojach ukryte mikrofony. Po prostu ich nie szukali.

Od strony technicznej nie miał pojęcia, jak to wszystko działa. Wiedział jedynie, że twardy dysk, który dostał się w ręce Arvidsena, musiał się znajdować gdzieś w zamku. W przeciwnym razie Arvidsen nigdy by go nie odkrył. Wiedział też, że kamery w pokojach były włączone. A bezprzewodowy sygnał gdzieś po drodze został porządnie wzmocniony, by Corfitzen mógł oglądać filmy w czasie rzeczywistym ze swojego fotela pod ziemią.

— Zatem tutaj się relaksował. — Franck skrzywiła się na samą myśl.

— Albo podsłuchiwał interesujące rozmowy, być może te, które jego goście prowadzili, gdy byli sam na sam ze sobą. Albo te, które prowadzili w chwilach intymności... w łóżku — dodał.

Przy ścianie na wprost drzwi stały trzy dwudrzwiowe metalowe szafy sięgające aż do sufitu. Jedna ściana była zupełnie pusta, naprzeciw wisiała tylko półka. Pod półką stała mała lodówka, a na niej ekspres do kawy. Franck podeszła do ściany zastawionej szafami i otworzyła pierwszą z nich.

— To archiwum — stwierdziła i zaczęła przyglądać się materiałom zgromadzonym na półkach. — Taśmy dźwiękowe i stare kasety VHS. Opisane datami i ustawione w porządku chronologicznym.

Otworzyła drzwi środkowej szafy. W tej było sporo wolnego miejsca.

— Same płyty CD albo DVD — podsumowała.

W trzeciej szafie stały książki. Wszystkie w identycznej brązowej oprawie ze złotymi napisami. Błyskawicznie znalazł się przy szafie i przyklęknął. Na najniższej półce stała długa skrzynia z grubego szkła. Wieko było zabezpieczone licznymi blokadami. Skrzynia była wyposażona w stożkową tubkę z otworem wylotowym i wyglądała jak pojemnik chroniący zawartość przed rozkładem. Być może wypompowano z niej powietrze albo zastąpiono je specjalnym gazem.

Zbliżył do skrzyni latarkę. Z trudem odczytał napis na grzbiecie pierwszej książki po lewej. Większość napisu była zamazana. Mimo to nie miał wątpliwości, na co patrzy.

— A niech mnie... Pierwsza książka nosi tytuł *Danehof Nord — 1420. Założenie*. To niemożliwe. Czy Bulbjerg nie mówił, że Eryk Pomorski zlikwidował Danehof w tysiąc czterysta trzynastym? Z tego wynika, że siedem lat później Danehof się odrodził. W jakimś „północnym” wydaniu.

Seria kompromitujących sekstaśm z udziałem prominentów — zwłaszcza jeśli któraś z aktorek poniosła śmierć — to oczywiście duża sprawa. Ale mężczyźni u władzy lubili sobie poużywać, jak każdy — tak było i będzie. Natomiast to, co się właśnie ukazało jego oczom, było odkryciem zupełnie wyjątkowym.

— Kurwa, Franck, to jest historia. To historia Danii. To fantastyczne. Prawdziwa bomba.

Pokiwała głową. Była śmiertelnie poważna, ale najwyraźniej bardziej zajmowała ją szafa z filmami.

— Już późno. Powinniśmy się zbierać. Możemy wrócić w nocy — powiedziała.

Wciąż przyglądał się grzbietom książek za grubym szkłem. Pierwsza była cienka. Druga nieco grubsza. Na grzbiecie napisano: *Danehof Nord — 1420 - 1469*. Na kolejnej: *Danehof Nord — 1470 - 1519*. Czwarta obejmowała kolejne pięćdziesiąt lat. Potem, przez ponad siedemdziesiąt pięć lat, była przerwa. Dalej stały tomy obejmujące po dwadzieścia lat każdy i od 1783 roku była kolejna przerwa.

Teraz w skupieniu oglądał grzbiety książek na pozostałych półkach. Kolekcję kontynuowano dopiero od 1859 roku, ale za to do czasów obecnych nie było już żadnej przerwy. Tomy różniły się jednak liczbą opisywanych lat. Najnowszy tom pochodził sprzed zaledwie kilku lat i obejmował okres 1985 - 2009, czyli dwudziestu pięciu lat. Wyjął go — książka była gruba, ciężka i napisana ręcznie. Otworzył na ostatniej stronie.

„Ostatni rok stał pod znakiem kryzysu finansowego. Żegnamy rok wyjątkowo trudny.

Danehof większość uwagi musiał skupić na sytuacji finansowej i całym naszym ciężarem wpłynęliśmy na procesy polityczno-ekonomiczne.

Tę pracę będziemy musieli kontynuować w 2010

roku. Spodziewam się, że trudne kwestie, jakie pojawią się w tym roku, będą wynikały z niedostatecznych źródeł finansowania. Nadal będziemy debatować nad odpowiednimi legislacyjnymi środkami zaradczymi.

Wobec powagi sytuacji nasze pozostałe zobowiązania wobec Danii i narodu duńskiego muszą zejść na drugi plan.

Hans-Otto Corfitzen, Nørlund, 31 grudnia 2009”.

Zdążył jeszcze pomyśleć, że słowa starego ambasadora były godne premiera, gdy z zadumy wyrwała go Margrethe Franck. Stała z powrotem przy ścianie z ekranami i biurkiem.

— Tu na stole też coś leży. Stara skórzana aktówka z jakimiś luźnymi kartkami. Corfitzen musiał tu również pracować. Sądząc po dacie, ostatni dokument jest całkiem świeży. Sporządzono go zaledwie dwa dni przed jego śmiercią.

Nie skomentował jej odkrycia, wciąż klęczał, zgłębiając zawartość szafy z książkami. Wyjął inny tom i otworzył na przypadkowej stronie. Na górze strony napisano „Kwiecień 1978”.

„W końcu udało nam się w sposób zadowolający zamknąć wielką sprawę antymonopolową w branży stalowej i rurowej. Sukces jest ukoronowaniem czteroletniej pracy. Prokuratura zrezygnowała z apelacji. Cena była wysoka. Od czasu wielkiego przecieku w 1963 roku nie znajdowaliśmy się pod tak wielką presją. Dwukrotnie musieliśmy interweniować i uciec się do środków ostatecznych, nad czym ubolewamy”.

Sprawa antymonopolowa w 1978? Środki ostateczne? Brzmiało to, jakby Danehof bronił jakiegoś terytorium. I uciekł się przy tym do zabójstwa. Czyli nie tylko polityka, grożenie palcem i dobro obywateli. Danehof był

bezwzględny. Zarówno dziś, jak i w 1978 roku.

Odłożył książkę na miejsce i zaczął szukać tomu z rokiem 1963 i „wielkim przeciekiem”. Znalazł go i w skupieniu zaczął kartkować. Szybko znalazł rok 1963.

Margrethe Franck powciskała jakieś guziki i odsłuchiwała rozmowę dwóch mężczyzn. Słyszał ją, ale jej nie słuchał. Aż trafił na właściwy wątek — „Lipiec 1963”.

„Początek lata witamy z wielkim niepokojem. Otrzymaliśmy potwierdzenie naszych obaw: pełnomocnik Sądu Najwyższego Ove Gyldenborg-Sejr złamał obietnicę i zerwał przysięgę lojalności. Prowadzi potajemne rozmowy z prokuratorem generalnym Edwardem Pallesenem.

Przynosi to hańbę Danehofowi. Jest nam wstyd — i wszyscy w obrębie całej organizacji jesteście zgodni, że konieczne jest rozwiązanie całościowe”.

Wielka sprawa przecieku wyszła zatem w lipcu 1963. I już zapowiada się groźnie. Przerzucił kartki do sierpnia.

„Najwyższe kierownictwo Danehofu pierwszego dnia miesiąca spotkało się w trybie pilnym. Jedynym punktem porządku obrad była zdrada pełnomocnika Sądu Najwyższego Ove Gyldenborga-Sejra.

Ponieważ sprawa zagraża naszej dalszej egzystencji, w drodze wyjątku ustalono, że jej rozwiązaniem zajmie się nie Nord, lecz wszyscy wspólnie.

Jesteśmy gotowi wkroczyć do akcji, kiedy tylko poznamy ostateczny zasięg sprawy i liczbę uwikłanych w nią osób.

Zgodnie uznano, że niezbędne jest rozwiązanie ostateczne. Niezwłocznie. I wszelkimi dostępnymi środkami”.

Na jego oczach zapisany schludnym pismem rozgrywał się śmiertelnie groźny, choć cichy dramat. Kartkował dalej. Franck wyłączyła nagranie. W tle słyszał, że przewija dalej, ale zupełnie nie zwracał na nią uwagi.

— Spójrz na to! — zawołała, akurat kiedy miał przejść do września 1963.

— Nie teraz...

— No zobacz, do cholery! Oxen, obudź się! Mam ich — wszystkich!

Spojrzał na ścianę. Na ekranie w prawym dolnym rogu był obraz. Nagranie z sali rycerskiej.

Wokół okrągłego stołu na środku sali siedzi pięciu mężczyzn. Mężczyzną zwróconym do kamery plecami jest Corfitzen. Poznał go po białych włosach. Odłożył książkę na podłogę i podszedł bliżej.

— Tu, widzisz? To oni — wyszeptała Margrethe Franck i wskazała palcem na ekran. — To Frederiksen, to Bergsøe, tutaj Uth-Johansen, a tu Nyberg... A nasza gwiazda usiądzie...

Faktycznie, byli w komplecie. Siedzieli ramię w ramię. Hannibal Frederiksen, poważany starszy biznesmen, który runął w przepaść niedaleko Malagi. Obok niego adwokat i przewodniczący komisji z Wambergu Mogens Bergsøe, którego śmierć spotkała na jeziorze Borre, dalej szef departamentu w Ministerstwie Obrony Ejnar Uth-Johansen i dyrektor administracyjny koncernu Fortuna Pharmaceutical Industries Kristoffer Nyberg.

Ostatnie krzesło było puste.

Żaden z mężczyzn nie mówi ani słowa. Duży, siedmioramienny świecznik na środku stołu rozświetla ich twarze chybotliwymi płomieniami i migocze w dużej karafce z wodą stojącej na tacy i otoczonej sześcioma szklankami.

Czwórka gości siedzi w absolutnej ciszy.

Nagle otwierają się drzwi i do sali wchodzi jeszcze jeden mężczyzna. Wolno zbliża się do stołu.

Piąty i ostatni mężczyzna staje wyprostowany i w postawie szacunku za oparciem pustego krzesła. Dopiero gdy Corfitzen kiwa przyzwalająco głową, odsuwa je i siada.

Piątym gościem jest minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg.

Zdaje się, że Corfitzen przesuwając wzrokiem po zebranych i odchrząka. Potem słychać jego łagodny, przyjemny głos:

„Drodzy przyjaciele, witajcie na sto dwudziestym dziewiątym zebraniu Pierwszego Kręgu Nord, które dla tego wąskiego grona jest dopiero spotkaniem drugim. Minęły trzy lata, odkąd ostatni raz mieliśmy tę przyjemność. Dlatego na początek niech każdy pokrótce przedstawi pozostałym swój obecny status. Zaczniemy od pana, Frederiksen”.

„Nadal staram się ograniczyć swoją aktywność i wycofałem się z członkostwa trzech zarządów. Poza tym mój status się nie zmienił”.

Corfitzen skinął na Mogensa Bergsøe.

„Status bez zmian. Nadmienię jedynie, że mieszkamy teraz z żoną oddzielnie, wciąż jesteśmy małżeństwem”.

„A pan, Uth-Johansen?”

Szef departamentu wymienił kilka punktów w kolejności chronologicznej. Na koniec powiedział:

„Z dniem pierwszego kwietnia zostałem mianowany szefem departamentu w Ministerstwie Obrony. Chciałbym przy tej okazji podziękować za nominację”.

Stary ambasador machnął tylko ręką.

„Nic nie dzieje się samo. Niech pan dziękuje własnej

pracowitości”, powiedział. „A co u pana, Nyberg?”

„Status bez zmian”.

Ostatni w kolejności był minister. Na znak Corfitzena Ulrik Rosborg przedstawił zwięzły raport z najważniejszych wydarzeń ostatnich trzech lat.

„Siedemnaście miesięcy temu zostałem ministrem sprawiedliwości. Mam pełną świadomość, jakie wpływy zostały w tym celu uruchomione, dlatego również chciałbym skorzystać z okazji i podziękować”.

Corfitzen siedział sztywno i ponownie uniósł rękę.

„Może pan dziękować wyłącznie sobie. Nie sposób odmówić panu talentu. A jak wiadomo, talent zobowiązuje... Logiczne jest, że zaszedł pan wysoko, w pełni pan na to zasłużył”.

Corfitzen skinął Rosborgowi z uznaniem i nastąpiła krótka przerwa, podczas której pięciu mężczyzn patrzyło na niego w milczeniu. Następnie stary ambasador ciągnął dalej:

„Dziękuję, panowie. Zatem następnych parę dni spędzimy, ubogacając się wzajemnie swoim towarzystwem. Trzy lata minęły od ostatniego spotkania. I jak już mówiliśmy przy kawie, znajdziemy czas i na jelenie, i na pstrągi, mimo że pracy mamy niemało. Do naszych zadań będzie należało odbycie cyklu debat i wyciągnięcie wniosków z każdej z nich. Tym razem będziemy się zajmować następującymi zagadnieniami. Po pierwsze: Integracja poprzez rynek pracy — ukierunkowane tworzenie miejsc pracy jako narzędzie wspomagające integrację. Po drugie: Rola precedensu i ramy karne dla przestępstw ciężkiego naruszenia nietykalności osobistej. I tu odrębna dyskusja powinna się odbyć na temat zaistniałej w kraju sytuacji, która silnie narusza poczucie sprawiedliwości społecznej obywateli — mianowicie, że znacznie więcej środków publicznych przeznaczają się na opiekę nad sprawcą niż pomoc ofierze”.

Corfitzen mówił skupiony i cały czas przesuwał wzrokiem po swoich gościach. Ani razu nie zajrzał do notatek. Pozwolił, by wszyscy przetrawili porządek sympozjum, po czym podsumował:

„Mamy zatem do omówienia dwa zupełnie różne tematy. Moim zdaniem oba w równym stopniu skomplikowane. Wiem, że nasze spotkanie będzie owocne. Zostaliście panowie bardzo skrupulatnie wybrani, by pracować dla dobra Danii. Należycie do elity królestwa”.

— A podobno przyjechali tu odpocząć, zapolować i łowić ryby. Cholerne dupki. — Margrethe Franck spojrzała na zegarek, zatrzymała odtwarzacz i wyłączyła monitor. — Musimy kończyć, Oxen. Zrobiło się późno. Zabieram to ze sobą — powiedziała i wysunęła płytę z odtwarzacza. — Ale naprawdę cholernie mi zależy, żeby zobaczyć oryginalne nagranie ministra z Virginiją. Chcę się dowiedzieć, co się z nią stało. Tylko kto je teraz ma?

— Może w archiwum jest kopia? Albo jest zapisane gdzieś na twardym dysku? Widziałem jakiś na stole. Ale jeśli nagranie istnieje tylko na dysku z chaty, to obawiam się, że nigdy go nie obejrzysz. Trzech gości w moro zapewniło sobie do niego dostęp nad jeziorem. Teraz nagranie jest za siedmioma górami — albo już go nie ma.

Franck pokiwała głową...

— No cóż, mam nadzieję, że jeśli jest gdzieś tutaj, to je znajdę, gdy wrócimy. Ale teraz musimy się spieszyć.

Szumiało mu w głowie. Danehof Nord. Dlaczego Nord? Czy to znaczyło, że istnieją również wydziały: południowy, wschodni i zachodni? I co oznaczał pierwszy krąg, o którym mówił Corfitzen?

— Masz rację. Musimy stąd iść — przyznał, choć w środku wściekał się, że nie może od razu poszukać odpowiedzi.

Najchętniej zabrałby ze sobą całą szafę z książkami. Podniósł jednak z podłogi tylko tom z rokiem 1963. Za nic nie chciał przeoczyć zakończenia „sprawy wielkiego przecieku”. Włożył książkę do plecaka razem z narzędziami. Nim zgasił światło, pośpiesznie zabrał z biurka jeszcze starą teczkę i wsunął sobie pod bluzę.

Chwilę potem wyjechali na górę małą windą i ponownie stanęli na kwadracie parkietu w holu. Teraz pozostało jak najszybciej dostać się do piwnicy i wymknąć się przez okno.

Frank podniosła drabinę. On czekał w drzwiach do saloniku. Wtedy po obu stronach korytarza zapaliły się światła. Zostali nakryci.

Natychmiast pomyślał o broni, którą miał w plecaku. Zamiast po nią, błyskawicznie sięgnął pod bluzę i wsunął rękę za plecy. W ostatniej chwili udało mu się ukryć aktówkę między książkami na półce przy drzwiach.

— Nie ruszać się! I trzymajcie ręce w górze, żebyśmy je widzieli! Jeden fałszywy ruch i po was, rozumiano?

Surowy rozkaz dobiegł z końca korytarza po prawej od nich. Teraz z obu stron zbliżały się latarki.

Rozdział 61.

Siedzieli uwięzieni wśród piekielnego hałasu. Jego nozdrza atakował ostry zapach świeżych igieł sosnowych. Z odgłosów wokoło potrafił się domyślić ponad wszelką wątpliwość, co się wokół nich dzieje.

Całkowitą pewność zyskał, kiedy zdjęto mu opaskę z oczu. Siedzieli na poszyciu leśnym, każde z nich przywiązane za nadgarstki do innego drzewa plastikowymi paskami zaciskowymi. Znajdowali się na dużym, kwadratowym polu, na którym trwał właśnie wyręb sosen.

Niewiele metrów od nich ogromny kombajn zrębowy z potężnym kołem przedzierał się przez szeregi drzew z bezlitosną skutecznością. Niezaspokojona paszcza potwora była głowicą ścinkową zamontowaną na długim wysięgniku. Urządzenie było w stanie ściąć, obrać z gałęzi i porąbać pień na kawałki o zaprogramowanej długości w tempie, przy którym ciężka praca drwała wydawała się stratą czasu.

Spojrzał w bok na Margrethe Franck. Mrużyła oczy — poranne światło raziło ją, kiedy zdjęto jej opaskę. Teraz jednak zobaczył, że raptownie się poruszyła i zamarła wpatrzona w kombajn, który wywijał grubym pniem jak nitką spaghetti.

Tylko osiem drzew dzieliło maszynę od Margrethe Franck.

Jeden z sześciu mężczyzn przetrząsnął ich kieszenie, gdy byli jeszcze na zamku. Natychmiast znalazł płytę w kieszeni kurtki Franck. Znalazł również oczywiście również gruby tom o Danehofie w jego plecaku. Nie był natomiast — być może właśnie dlatego, że znalazł tak cenne łupy — na tyle dokładny, by odkryć nóż, jak zawsze przyklejony do jego

prawej łydki. A nóż jest ogromnie pomocny, kiedy się siedzi przywiązany za ręce do drzewa.

Mężczyźni, wszyscy w czarnych kominiarkach ciasno przylegających do twarzy i z otworami na oczy i usta, wpełchnęli ich na pakę samochodu dostawczego. Obstawiał, że jechali około piętnastu minut. Ostatni odcinek po nierównym terenie — zapewne już w lesie.

Rozejrzał się i spróbował określić ich pozycję. Na najbardziej oddalonym od nich boku kwadratowego pola, które wkrótce zostanie ścięte, wznosił się niski mur świerków. W dole, na końcu pola stał duży, srebrny samochód z napędem na cztery koła. Stał przodem do nich, w środku widać było dwie ciemne postacie.

Teren za samochodem był płaski i porośnięty lasem liściastym — z jednej strony gęste buki, dalej, w najbardziej odległym rogu, wznosiła się strzeliście kępka sosen olbrzymich z rozczochranymi koronami na tle jasnoniebieskiego nieba. Najwyższa miała ułamany czubek. A jedna z pozostałych pochylała się jak krzywa wieża w Pizie.

Kiedy ponownie spojrzął na Margrethe Franck, między nią a maszyną zostało siedem drzew.

Od przedniej szyby leśnej bestii odbijało się światło, dlatego nie był w stanie rozstrzygnąć, czy kierowca wygląda jak ktoś zdecydowany wjechać w asystentkę Mossmana i zrobić z niej metrowy kawałek człowieka ze skrawkiem, czy raczej nie.

Podniósł głowę i spojrzął w róg z sosnami olbrzymimi. Znał te drzewa. Wiedział, gdzie rosną. Zwłaszcza że był wśród nich król tej okolicy — król bez korony. Znajdowali się w jego niedawnym królestwie, w lesie Ersted. Kawałek na zachód od jego dawnego obozowiska nad rzeką Lindenberg Å. W linii prostej nie więcej niż kilometr.

Za chwilę pomiędzy potworem a Margrethe zostanie sześć

drzew.

W panice zawołała coś do niego, ale widział tylko jej poruszające się usta. Starał się wymyślić coś konstruktywnego, ale każda próba pierzchała w ogłuszającym hałasie.

Mężczyzna, który zdjął im opaski, musiał być gdzieś za ich plecami, bo go nie widział. Równie dobrze jednak za plecami mogła stać cała szóstka. Nawet gdyby krzyczeli chórem, i tak by ich nie usłyszał.

Maszyna zajęła się właśnie szóstym drzewem. Wkrótce przyjdzie kolej na Margrethe Franck. A on nadal nie był w stanie skonstruować w głowie choć jednej spójnej myśli dającej jakąkolwiek nadzieję. Nawet tego nie poczuje.

Ciach, ciach, ciach... ramię piły pracowało niestrudzenie. Metrowe kawałki spadały z upiorną precyzją.

W chwili gdy ostatni opadł na ziemię, w jego pole widzenia wszedł mężczyzna w czarnej kominiarce. Dał znak kierowcy maszyny, który zawrócił i oddalił się od nich.

Mężczyzna stanął przed nimi w lekkim rozkroku z rękoma założonymi na piersiach.

— Diabelska maszyna... Zrobiłaby tu zwykłą rzeźnię, a to nie w moim stylu. Nie robię tego dla przyjemności, wykonuję polecenia. Mam za zadanie was wyeliminować. I zamierzam to zadanie wypełnić, ale chcę to zrobić jak należy. Gdybyście tylko potrafili sobie odpuścić i w porę wyjechali z zamku, nie byłoby nas tutaj.

Mężczyzna dał znak jednemu ze swoich zamaskowanych pomocników, który wyszedł z za ich pleców z piłą łańcuchową w ręce. Może więc rzeczywiście za ich plecami stała cała szóstka?

Mężczyzna uruchomił piłę i odrąbał pień tuż nad głową Margrethe, która na chwilę znikła w tumanie wiórów. Potem

pomógł jej wstać. Ręce wciąż miała związane na plecach, wydawała się drobna i bezradna pośród rozległego zrębu. Po raz pierwszy wyglądała, jakby uleciała z niej cała energia i siła.

Potem przyszła kolej na niego. Wióry z dużą siłą uderzały w jego kark i uszy, jakby ktoś wbijał w skórę szydło. Chwilę potem drzewo się zważyło, a on mógł się podnieść i wysunąć dłonie z resztki pnia.

— Podejdźcie do tamtej koparki!

Pierwszy z mężczyzn wskazał jakieś miejsce za ich plecami i wyjął pistolet z kabury pod kurtką.

Odwrócili się. Stał za nimi jeszcze jeden mężczyzna w kominiarce. Przez pierś miał przewieszony pistolet maszynowy. Pozostałych trzech mężczyzn, którzy byli w zamku, nie było widać.

Koparka znajdowała się jakieś trzydzieści - czterdzieści metrów dalej. Obok leżał spory kopiec jasnobrązowej, piaszczystej ziemi. Za koparką stała ładowarka. Sprzęt czekał w gotowości, by sprawnie pogrzebać ciała. Widział już podobną scenografię. W innym miejscu. I w innym czasie.

Kazali im podejść do wykopanego dołu i stanąć na krawędzi. Otwór był głęboki i duży. Znacznie większy niż było potrzeba.

Kawał dobrej roboty wykonanej przez człowieka w dużej, żółtej maszynie. Ale wykopać dziurę w ziemi może każdy. Dopiero od tego, co się znajdzie w dole, zależy, czym ta dziura się stanie.

Obraz jest rozedrgany w gorącym powietrzu. Leżą warstwami, jak popadnie, niczym szmaciane lalki. Słodka woń wgryza się w nozdrza. Gardłem spływa w dół i zaciska się wokół żołądka, który z powrotem wpompowuje gorzki smak w usta.

Powietrze wokół brzęczy. I bzyczy. Muchy plujki, larwy... wlatują i wpełzają tam i z powrotem przy ustach, nosach, oczach.

— Do samej krawędzi! Jak powiedziałem, praca to praca... Powinniście się byli trzymać z daleka, żałośni frajerzy. Podobnie jak Arvidsen.

Padł na kolana w piachu. Margrethe Franck zrobiła to samo.

Wyglądają jak stos brudnej odzieży rzucony na podłogę. Wywalony z kosza przed posortowaniem i włożeniem do pralki. Wymieszane wszystkie kolory. Żadnych drogich kreacji — zwykłe ubrania, tanie, w nudnych kolorach i nieciekawym fasonie.

Ale w tych ubraniach są ludzie. Szarzy i wychudzeni. Niektórych wrzucono tu całkiem niedawno. Błede policzki, zmatowiałe białka oczu i powyginane palce na próżno wyciągnięte, by uchwycić się ostatniej deski ratunku.

Na samej górze nastolatek w koszulce Juventus.

— Jeśli wierzycie w Boga, to właśnie nadszedł wasz czas — usłyszeli zza pleców. Nie brzmiało to dramatycznie, bardziej jak stwierdzenie faktu.

Z mocno zaciśniętymi powiekami energicznie kilkukrotnie potrząsnął głową. Pomogło. Ocknął się — koszulka piłkarska znikła.

— Ejże, bez takich! Coś ci odwaliło? Masz się nie ruszać! — Mężczyzna za nim niemal krzyczał w nagłym gniewie.

Wstrzymał oddech i powoli otworzył oczy. Dziura była pusta. Klęczał na jej krawędzi. A dziura była pusta. Piach był czysty. Jasno-i ciemnobrązowy.

Obok klęczała Margrethe Franck. Patrzyła na niego

wielkimi ze strachu oczami.

Usłyszał, że mężczyzna dopiero teraz odbezpieczył broń. Nie zdążył wymyślić żadnego planu, jedynie jakieś skrawki. Musiał zyskać na czasie. Krzyknął:

— Czeka! Zaczekaj chwilę. Jeśli to zrobisz, twoi szefowie będą mieli spore nieprzyjemności. Rozumiesz?

— Stul pysk.

— Jeśli pociągniesz za spust, cały świat zobaczy, jak duński minister morduje kobietę przed kamerą. Myślisz, że twoim szefom to się spodoba?

Domyślał się, że mężczyzna za nim opuścił broń i przestąpił nerwowo na drugą nogę.

— O czym ty, kurwa, mówisz?

W pytaniu pobrzmiwała nutka wahania.

— O tym, o czym słyszałeś. Widziałem nagranie. Mam je. Jeśli nie zrobię czegoś w ciągu następných czterdziestu ośmiu godzin, nagranie zostanie automatycznie wysłane mailem do redakcji informacyjnych DR i TV. Dla dodatkowego zabezpieczenia również do BBC. Kumasz?

Margrethe Franck zerknęła na niego, ale jej twarz pozostała bez wyrazu.

Jednocześnie palcami podciągał nogawkę. Ostrożnie. Jeszcze wyżej. I jeszcze odrobinę wyżej.

Mężczyzna za jego plecami zadzwonił i przedstawiał komuś niespodziewany obrót wydarzeń. Możliwe, że jego szefem jest któraś z postaci w srebrnym samochodzie. Siedzi cały czas pod lasem i przygląda im się złowrogo.

— Masz — powiedział mężczyzna — porozmawiasz z nim. Masz opowiedzieć szefowi dokładnie, co jest na nagraniu, które ci się uroiło!

W pełni skupiony zaczął:

— Nazywam się Niels Oxen. Film pochodzi z tajnego monitoringu w rezydencji Hansa-Ottona Corfitzena. Został nagrany w nocy z soboty na niedzielę szesnastego października zeszłego roku. Widać na nim ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga, jak ostro posuwa Virginiję Zakalskyte. Od tyłu. Ona ma na sobie uprząż. I knebel. Na szyi ma obrozę. Jest brutalny, nawet bardzo. Początkowo wygląda, jakby jej się to podobało. Pewnie lubi podduszanie. Ale Rosborg nie potrafi się zatrzymać. Traci panowanie, jest jak opętany. Uderza ją bez wytchnienia i coraz mocniej zaciska obrozę. Nie przestaje nawet, gdy kobieta traci przytomność i pada na łóżko. Dopiero znacznie później budzi się z transu. W panice wybiega z pokoju — wraca po kilku minutach w towarzystwie Corfitzena. Ale jest za późno. Zamieszkała w Wilnie Virginija Zakalskyte, lat dwadzieścia siedem, nie żyje. Stacje telewizyjne zapewne docenią taki materiał, nie sądzi pan?

Mężczyzna odsunął telefon od jego ucha, odszedł kilka kroków i pograżył się w rozmowie z szefem.

On wrócił do swojej nogawki. Pozostali mężczyźni stali po przeciwnej stronie dziury. Nie mogli widzieć jego palców, które zawzięcie pracowały z tyłu. Nogawka była całkiem podwinięta. Przesunął palcami po pochwie noża, znalazł na niej wąski rzemyk, szarpnął go i wyjął nóż.

Odwrócił go pionowo i docisnął. Ostrze przecięło plastikowy zacisk niemal w jednym ruchu.

Słyszał głos mężczyzny za plecami, ale nie słyszał, co mówi. Chwilę potem mężczyzna stanął przy nim.

— Mamy komputer na miejscu... Szef kazał mi was wypuścić zaraz po tym, jak nam powiesz, gdzie jest zapisany ten e-mail i jak działa wasze zabezpieczenie. A mój szef ma reputację człowieka, który zawsze dotrzymuje słowa.

Parsknął mężczyźnie w twarz.

— Masz mnie za idiotę? W chwili kiedy wam to powiem, znajdziemy się tu, gdzie jesteśmy teraz.

Mężczyzna westchnął głęboko i powiedział:

— Dobrze. Zatem zrobimy inaczej. Najpierw przestrzelę ci rękę w jednym kolanie. Potem w drugim. Potem odstrzelę ci jaja. I tak będziemy się bawić, aż odpowiesz. Wstawaj!

Poderwał się w jednej sekundzie, jak sprężyna. Okręcił się wokół własnej osi, błyskawicznie rozpoznał teren i nie przerywając obrotu, prawą stopą wykopał mężczyźnie pistolet z dłoni, przekoziołkował głową w przód i w ułamku sekundy był znów na nogach. Za plecami osłupiałego mężczyzny.

— Za mną!

Krzyknął w stronę Franck, jednocześnie lewym przedramieniem odchylając do tyłu głowę mężczyzny i przyciskając nóż do odsłoniętej szyi.

— Franck, idź do ładowarki. Tylko spokojnie! Tej za nami!

Franck domyśliła się, co zamierza, i schroniła się w kabinie maszyny. Pozostali dwaj mężczyźni celowali do niego. Miał przed sobą lufy pistoletu i pistoletu maszynowego, ale trzymający broń mężczyźni byli wyraźnie skołowani.

Krok po kroku przesuwali się w stronę dużej ładowarki marki Case. Mężczyźni szli za nimi. Niepewnie i w oczekiwaniu na polecenia, których nie dostawali. Ich przywódca tylko charczał.

Franck dotarła do maszyny. Jego dzieliły od niej jakieś dwa metry. Odsunął nóż od gardła mężczyzny, dociskając jednocześnie lewe ramię do jego szyi. Wyciągnął w tył rękę z nożem.

— Ręce! Podsuń mi ręce!

Franck odwróciła się plecami i przeciął plastikowy zacisk wokół jej nadgarstków.

— Idź do szoferki i uruchom maszynę. Przekręć kluczykiem, jak w samochodzie. Potem odjedź kawałek tyłem. Drażek biegów musisz mieć na jałowym. Jest na wale kierownicy. Pamiętaj: jałowy!

Błyskawicznie zmienił układ rąk i ponownie docisnął nóż do szyi mężczyzny. Wydawało mu się, że minęły wieki, nim usłyszał głośnie warczenie silnika, a z rury wydechowej wyrosła śmierdząca, czarna chmura spalin.

Wszystko gotowe. Pozostał ostatni, najtrudniejszy manewr. Obie lufy wciąż były wycelowane w niego, ale stojący przed nim mężczyźni nie mogli, nie chcieli albo nie mieli odwagi pociągnąć za spust. Ponownie zmienił chwyt. Rękojeść noża wsunął w zęby, żeby mieć wolną prawą rękę. Po omacku jego palce znalazły mocny chwyt w połowie wysokości maszyny, jedną stopą pewnie stanął na najniższym stopniu. Podciągnął zarówno siebie, jak i mężczyznę, który też szybko znalazł oparcie dla jednej stopy. W przeciwnym razie zostałyby uduszone.

Zostały dwa stopnie. Mężczyźni w dole szukali odsłoniętego miejsca, by oddać strzał w głowę. Ale strzał musiał być pewny. On tymczasem cały czas się poruszał i chował za ich hersztem.

Z najwyższego stopnia mógł już wejść do szoferki. Ostrze noża ponownie znalazło się na szyi mężczyzny.

Zerknął na oprzyrządowanie w szoferce i po prawej stronie podłokietnika zobaczył drążek sterowniczy. Prowadził kiedyś case 721, używaną przez oddziały inżynieryjne, ale to było dawno temu. Odchylił drążek i podniósł łyżkę. Potem pchnął drążek w prawo i przechylił łyżkę tak, by możliwie najbardziej ich kryła. Mężczyzna się zachwiał i uniósł rękę,

by złapać równowagę.

Kolejny ruch nie był konsekwencją żadnego procesu myślowego, teraz działał instynktownie. Mocno dociskając, przesunął nóż po szyi mężczyzny od lewej do prawej i kopniakiem w plecy zrzucił go z ostatniego stopnia. Jednocześnie wrzucił wsteczny i docisnął pedał gazu do podłogi.

Przekręcił kierownicę i skorygował kąt, by nadal chroniła ich podniesiona łyżka, w którą teraz trafiał grad kul. Widząc, jak ich szef z poderżniętym gardłem spada na ziemię, mężczyźni się ocknęli.

Kule z brzękiem uderzały w łyżkę i odbijały się od niej jak od tarczy, świszczącym rykoszetem ulatując w powietrze. Kilka trafiło w przednią szybę maszyny, ale to nieważne. Cofał na pełnym gazie. Potężny silnik napędzał grube koła, bez trudu pokonując przeszkody i nierówności.

Już po chwili mężczyźni przerwali ostrzał. Usłyszał Franck krzyczącą, że wsiedli do koparki, ale nie zważał na to. Musiał się skoncentrować. Wcisnął hamulec, pchnął dźwignię biegów w przód, zwrócił maszynę czołem do kierunku jazdy i opuścił łyżkę, która zmieniła się w taran. Wrzucił czwarty, najwyższy bieg i z całą mocą ruszył do przodu.

— Trzymaj się! — Zdążył krzyknąć do Franck stojącej za jego fotelem w ostatniej chwili, nim maszyna wbiła się w ścianę świerków srebrnych i niepowstrzymana przedzierała się przez młody las. Z łatwością pokonywała opór gałęzi, zostawiając za sobą otwartą ranę, jakby przeszedł tędy huragan.

Jechali na pełnym gazie w dół doliny rzeki. Mniej więcej orientował się, gdzie się zatrzymają. I tym razem doskonale wiedział, co robi.

Szoferką porządnie zatrzęsło, kiedy storpedowali jedno z większych drzew, jakie przed nimi wyrosło, gdy wydostali się

z młodnika. Ładowarka zatoczyła się, ale sunęła dalej w dół zbocza, kosząc po drodze drzewa i krzewy. Chwilę później teren robił się płaski i przejechawszy jeszcze kawałek w wysokiej trawie, młóćąc wszystko po drodze, wypadli na szeroki pas buforowy brzozowych zarośli.

I to był koniec. Zgodnie z oczekiwaniami. Ciężka maszyna zapadła się w podmokły teren, a silnik się zadławił.

Wyskoczyli z szoferki. Musieli jeszcze kawałek przedzierać się przez bagna, nim staną na pewnym gruncie niedaleko jego dawnego obozu.

Obejrzał się za siebie. Na zboczu widać było ślad wyrwany w świerkach. W ich stronę mknęła żółta koparka, jak rozwścieczona żyrafa. Ich przewaga była mniejsza, niż sądził.

Rozdział 62.

Cali byli uwalani czarnym, cuchnącym błotem. Właściwie włókł za sobą Margrethe Franck. Normalnie proteza w niczym jej nie ograniczała, ale przy poruszaniu się w trudnym terenie, w dodatku szybkim tempem nastroczała problemów.

Gdy dotarli do obozu, widać było czubki głów ich prześladowców wystające znad szuwarów i kępek traw.

Franck padła na plecy, ciężko sapiąc, a on podbiegł do stosu gałęzi i go odsunął. Pod plandeką zasłoniętą liśćmi, trawą i kamieniami leżał łuk z kilkoma strzałami myśliwskimi, które mu zostały.

Gdyby był sam, wolałby uniknąć konfrontacji. Uciekłby w górę stromym wschodnim zboczem i wbiegł w las Vesterskov. Ale z Margrethe raczej nie da rady. Szybko ich dogonią i zastrzelą na miejscu.

— Franck, wstawaj! Musisz mi pomóc.

Złapał koc, którym osłonił łuk, i pobiegł z powrotem na piaszczysty teren, gdzie grzędawisko przechodziło w stały grunt. Padł na kolana w niewielkim zagłębieniu i obiema rękami zaczął zgarniać piasek. Ze swojej pozycji widział dokładnie obszar, w którym wyłonią się ich prześladowcy.

Franck była obok. Położył się plackiem na brzuchu z łukiem i ze strzałami w gotowości.

— Zakryj mnie kocem. Przysyp piaskiem, trawą i gałęziami. I nasyp trochę piachu na moją wolną rękę i łuk.

Poruszała się błyskawicznie i chwilę później z zadowoleniem przyjrzała się swojemu dziełu.

— Jeśli ma się udać, to muszę być z łukiem możliwie najbliżej celu — wyjaśnił.

— Rozumiem. Ale w najlepszym razie możesz załatwić tylko jednego. A co potem?

— Zobaczymy. Dobra, musisz się stąd zwijać. Jak przejdiesz przez rzekę, odszukaj duży dąb na skarpie i zacznij się na nią wspinać dokładnie w tym miejscu, mijając go. Na samej górze jest kawałek płaskiego terenu i duże, zwalone drzewo. Tam na mnie zaczekaj.

— Jedno pytanie: naprawdę masz to nagranie, o którym mówiłeś?

— Nie teraz. No, idź już!

Margrethe Franck pokiwała głową i znikła bez dalszych pytań. Odchylił odrobinę koc i w skupieniu obserwował teren przez wąską szparę. W tej chwili ich nie widział. Ale za moment wyjdą wprost na niego. Zdaży oddać tylko jeden strzał. Musi być celny. Potem będzie musiał się wycofać i ruszyć za Franck.

Mężczyźni wyłonili się dwie minuty później. Ten z bronią maszynową szedł przodem, jakieś dziesięć - piętnaście metrów przed swoim kompanem. To dobrze — nie będzie musiał się wycofywać pod ostrzałem serii. Obaj zdjęli kominiarki, pewnie przez upał.

Kiedy mężczyzna minie przewróconą brzozę, znajdzie się w idealnej odległości. On zaś, żeby dobrze wycelować, będzie musiał uklęknąć, a to oznaczało, że się ujawni. Zaczął odliczać w myślach.

Kiedy ten z pistoletem maszynowym dotarł do brzozy, odepchnął się łokciami i błyskawicznie wylądował na kolanach. Łuk był napięty, zanim jeszcze ustawił ramię równoległe do ziemi. Wycelował i bezgłośnie wypuścił strzałę.

Mężczyzna stał chwilę skonsternowany. Trochę jak zwierzę łowne. Jeszcze do niego nie dotarło, co się właśnie stało, lecz wiedział już, że stało się coś ostatecznego. Mężczyzna spojrział w dół na swój brzuch. Krew wypływała obficie.

Nie czekał, aż jego przeciwnik upadnie, lecz natychmiast rzucił się w piach i zaczął się czołgać. Dopiero kiedy dotarł do wysokiej trawy, podniósł się i ruszył biegiem. Od razu usłyszał za sobą serię wystrzałów.

Trójstrzowy grot myśliwski Innerloc wykonał swoje zadanie: wyrwał w brzuchu mężczyzny kanał przechodzący przez warstwę błony, mięśni, żołądek i jelita. I tym kanałem w ciągu kilku chwil wycieknie życie.

W chwili gdy wskakiwał na zbocze, usłyszał trzy nowe strzały w krótkich odstępach. Jeden z nich zerwał kawałek kory z drzewa tuż obok niego. Drugi złamał mu łuk — to śmiertelnie niebezpieczne.

Kiedy dotarł do przewróconego drzewa, Franck już biegła dalej. Obejrzał się, ale poniżej nikogo nie widział. Widział za to, jak trzeci uczestnik pościgu przedziera się przez bagna. Niech to szlag. Zostało więc jeszcze dwóch. Gdyby tylko był sam...

Uciekali dalej przez otwarty pas niskich świerków, by zniknąć w poszyciu lasu wznoszącego się przed nimi, zaciemnionego koronami wysokich sosen.

— Czeka! — zawołał.

Franck stanęła w miejscu.

— Mój łuk jest do niczego. Musimy coś wymyślić.

— Nie lepiej po prostu jak najszybciej stąd spieprzać?

— Dogoni nas. A za nim jest jeszcze trzeci.

Pomachał, żeby biegła za nim, patrząc jednocześnie w

górze. Wkrótce się zatrzymał.

— Musimy się go pozbyć od razu. Wejdę na górę — wskazał na potężną sosnę — a ty połów się tam, między tymi dwoma drzewami. Jak powiem, możesz zacząć jęczeć. Nie za głośno i nie za cicho.

— Dobra. Myślisz, że się uda?

— Jasne.

Wspiął się po pniu i dał jej sygnał.

Kilka minut później dostrzegł ciemny kształt skradający się w poszyciu. Postać zatrzymała się i podejrzliwie przyglądała kobiecie leżącej na ściółce, zwijającej się i jęczącej z bólu.

W jednej sekundzie skoczył i wylądował dokładnie za plecami ich nieznanego przeciwnika. Zarzucił mu na głowę oba ramiona, mocno szarpnął i złamał mężczyźnie kark.

Franck poturlała się na runie i przerażona patrzyła, jak bezwładne ciało pada na ziemię. Zabrał swojej ofierze pistolet — SIG-Sauer, taki sam jak jego. Wyjął magazynek, opróżnił go i z powrotem wcisnął naboje.

Miał pięć szans, aby powstrzymać trzeciego i ostatniego ścigającego, na którego nieuchronnie się natkną, kiedy zdecydowanie za wolno będą się wlekli te trzy, może cztery kilometry do drogi.

Margrethe Franck biegła tak szybko, jak była w stanie — i bez słowa skargi. Biegli skrajem lasu, aż trafili na dwie głębokie koleiny służące za drogę dojazdową dla maszyn leśnych. Posuwali się naprzód już dość długo, a wciąż nie widzieli trzeciego prześladowcy.

Na polanie koleiny łączyły się z innymi, kawałek dalej przechodziły w drogę szutrową. Droga skręcała w dół małej niecki, a potem znów stromo się wznosiła.

— Cholerna noga. Możemy stanąć na chwilę? — wysapała Margrethe.

— Nie! Biegniemy.

Kawałek dalej, w miejscu, gdzie droga szutrowa dochodziła do szosy, dostrzegł ciężarówkę, która śmignęła w prześwicie między drzewami.

— Już niedaleko. Jeszcze chwila — próbował ją pocieszyć.

Pierwszy strzał padł z ukosa, zza ich pleców, w momencie gdy weszli w ostatnią prostą i od asfaltu dzieliło ich nie więcej niż trzysta metrów. Obejrzał się przez ramię. Powyżej, z boczem, niczym zjawa biegła w ich stronę postać w kominiarce. Mężczyzna musiał ich wypatrzyć całkiem niedawno i próbował odciąć im drogę.

Następny strzał trafił w ziemię tuż przed nim. Żużel rozprysnął się na wszystkie strony. Potem padła seria czterech szybkich strzałów. Drugi trafił go w plecy, w lewą łopatkę. Nie zatrzymał się, pokierował Franck w chaszcze. Rzucił się w nie zaraz za nią, poturlał i oddał trzy strzały, jeden po drugim.

— Franck, biegnij przed siebie!

Drzewa dawały pewną osłonę, ale za to znacznie ich spowalniały.

Prześladowca wystrzelił kolejną serię, która trafiła na drugą stronę jezdni.

Stanął. Trzymając pistolet oburącz, wyprostował ramiona i oddał jeden strzał. Wydawało się, że musnął albo trafił zamaskowanego mężczyznę w prawe ramię. W każdym razie przeciwnik zatrzymał się i rzucił do rowu.

Jemu z kolei został tylko jeden strzał.

Ruszył przed siebie i po chwili dogonił Franck. Niedługo trwało, nim usłyszeli zza pleców kolejną serię, choć nie

dobiegł ich nawet świst kul. A potem w końcu dotarli na skraj lasu. Nie zważając na nic, przedarli się przez krzaki i nagle stanęli na poboczu drogi. Minął ich samochód osobowy jadący w dół, w stronę Rold. Przeszli na drugą stronę. Z daleka widzieli ciężarówkę jadącą na północ.

Stanął na środku jezdni i machał rękami. To była chłodnia. Potężny wóz zatoczył się lekko, gdy kierowca całym ciężarem ciała wcisnął hamulec. Kątem oka wśród drzew najbliżej drogi dostrzegł ich prześladowcę. Podbiegli do szoferki i wspięli się, nie pytając o zgodę zdumionego kierowcy.

— Jedź! — krzyknął i machnął pistoletem.

Potem usłyszał jeszcze dwa strzały, nim ciężarówka pośpiesznie ruszyła z miejsca, niczym ogromny duch ochronny.

Zdążył jeszcze ostatni raz zobaczyć ich przeciwnika, jak zdyszany opiera się o pień drzewa na poboczu drogi. Potem ciemna postać zniknęła im z pola widzenia, kiedy ciężarówka z rykiem silnika pomknęła do przodu.

Rozdział 63.

Otwarł oczy i zobaczył nad sobą ogromną uśmiechniętą twarz. Ponieważ jej właściciel był pochylony, z mięsistej twarzy zwisały girlandy luźnej skóry, nadając mu wygląd basseta.

— *Well...*

Po tym słowie właściwie nie musiał już budzić się dalej. Był tylko jeden człowiek, który mówił „well”.

— Wiem, że to nie była pierwsza kula, jaka cię trafiła, Oxen. Ale wciąż jeszcze może się okazać ostatnią.

Axel Mossman przysunął krzesło do stojącego w pojedynczej sali łóżka i usadowił na nim swój ogromny korpus.

— Zabrzmiało jak groźba.

— Wybacz, nie to miałem na myśli — poprawił się szef PET. — Co mówią lekarze o barku?

— Wszystko będzie w porządku. Obiecali. Co u Franck?

— A tak, miałem cię od niej pozdrowić i przekazać, że odwiedzi cię później. Wychwala cię pod niebiosa. Twierdzi, że to ty posunąłeś śledztwo do przodu, że ty znalazłeś w nim luki. Masz jej pełne poparcie.

— Poparcie? O czym ty mówisz?

— Margrethe zrobiła to, co do niej należało, dokładnie tak, jak się tego spodziewałem. Ale była przy tym bezgranicznie... lojalna... wobec ciebie, Oxen. Początkowo nie byłem zachwycony aż takim oddaniem. Poza tym znam ją wystarczająco dobrze, by dostrzec, że darzy cię pewną

sympatią.

— Czego ty chcesz? Przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, że w Nørlund nic nie znaleźliście? Że tajne archiwum i centrum dowodzenia Corfitzena okazały się pustą piwnicą? Czy nie to chcesz mi powiedzieć?

Axel Mossman pokiwał wolno głową. Wydawał się nieco zasmucony — chyba że jego twarz basseta oszukiwała.

— Pomieszczenie nie było puste. Wały się tam jakieś stare śmieci, stały jakieś półki, komoda, tego typu rzeczy.

— Czy to nie dziwne, że stary ambasador włożył tyle starań — ukryta winda w parkiecie, stalowe drzwi tylko po to, by ukryć rupieciarnię? Jeśli nie wierzy pan mnie, to chyba wierzy pan Franck?

— Najwyraźniej dziwnym trafem za każdym razem, kiedy w coś wdepniecie, dowody znikają. Znikają ciała, znikają sprawcy, a teraz również stare książki i nagrania. I sprzęt. Wszystko przepada jak kamfora...

— Co może budzić zupełnie inne podejrzenia.

— Tak? Jakie?

— Że ktoś na bieżąco dostaje najświeższe informacje, nieustannie śledzi rozwój wypadków.

— Nie mamy u siebie kreta. Jeśli to chcesz zasugerować.

— Skoro wszystko przebiega tak jak należy, to dlaczego nie zamkniecie ministra sprawiedliwości? — Usiadł na łóżku. Wściekły i w pełni skoncentrowany.

— Przeprowadźmy inny eksperyment myślowy. Taki, w którym ty jesteś głównym bohaterem. W końcu to ty ze wszystkich masz motyw.

— Ten scenariusz, jak mniemam, wyobrażałeś sobie od samego początku. Miałem być twoim kozłem ofiarnym, prawda?

— W mojej branży chodzi o to, by znaleźć winnego. Robimy to przy użyciu określonych narzędzi, czasem niekonwencjonalnych. Im więcej elementów ma układanka, tym więcej istnieje możliwych kombinacji. Ale wróćmy do mojego eksperymentu myślowego.

Mossman ciągnął dalej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie sposób rozstrzygnąć, czy zamierza mówić o teorii, czy praktyce.

— Nienawidzisz Hansa-Ottona Corfitzena i wszelkiej maści kurczowo od lat trzymających się swoich stołków aparatczyków dyplomacji, którzy wtedy na Bałkanach niespecjalnie się popisali. Przez ich niefrasobliwość widziałeś potworności, które na zawsze wryły ci się w pamięć, a twój kolega stracił życie. Nienawidzisz też adwokata Mogensa Bergsøe, bo razem ze swoją przekłętą komisją uwolnił twojego szefa od wszelkiej odpowiedzialności. Powiedzmy też, że zastrześliś ze strzelby Arvidsena, bo cię widział wtedy na zamku, a może nawet widział, jak napadłeś i pobiłeś bezbronnego Corfitzena i przywiązałeś go do fotela. O tym, że Arvidsen był kanalią, wiemy wszyscy. Nikogo nie dziwi, że potem cię szantażował.

— Zginał od strzału ze strzelby.

— Jestem pewien, że jeśli przeszukamy wykrywaczem metali okolicę twojego obozowiska, to znajdziemy strzelbę. Takie rzeczy zawsze się znajdują.

— A mój nóż w nodze Arvidsena? Po co mu go wbijałem, skoro chwilę później i tak go zastrzeliłem, i to z dużej odległości?

— Nóż? Jaki nóż?

— Hm... okej, rozumiem. Jest jeszcze Fensmark, twój człowiek zabity w chacie myśliwskiej.

Axel Mossman pokiwał z uznaniem głową i odparł:

— Fakt, to było naprawdę sprytnie pomyślane. Znalazłeś materiały, które Arvidsen ukrył, by cię nimi szantażować — być może nagrania z monitoringu z tamtej nocy, gdy byłeś na zamku? Kiedy Fensmark cię zaskoczył, zabiłeś go. Do tego jako zimny sukinsyn, którym jesteś, sam się pobiłeś i poraniłeś, aż połała się krew. Margrethe Franck w każdym razie dała się nabrać.

— Broń, z której go zabito, należała do Siergieja Pronki, więc jakim sposobem...

— Poczekaj chwilę, Oxen. — Mossman podniósł rękę. — Wiem jedynie, że broń, z której zastrzelono Fensmarka, prawdopodobnie zostanie znaleziona razem ze strzelbą, z której zabiłeś Arvidsena. Analiza balistyczna potwierdzi, że to ten sam pistolet.

To prawda, broń Rosjanina była obecnie w rękach policji — a to przynajmniej teoretycznie oznaczało, że ma ją również PET. I PET mogło ją podłożyć gdziekolwiek. Była jednak pewna luka.

— Ale strzelba... raczej nie masz strzelby, z której zabito Arvidsena.

Mossman zrobił zamyśloną minę.

— W tej chwili być może nie mam. Ale jestem przekonany, że jeśli gdzieś mimochodem napomknę, że mamy wszystko, żeby cię przyszpilić, i brakuje nam tylko tej choleralnej strzelby, to kto wie, może spadnie nam z nieba, jak sądzisz?

— Rzeczywiście, wiele na to wskazuje. A co z Virginiją Zakalskyte?

— Virginiją jak? Zasadniczo takiej postaci w tej układance nie ma. Nigdy nie była w Nørlund. Zresztą pozostałe dwie kobiety też nie.

— Jej siostra, Simona? Pojawia się na nagraniach z monitoringu poszczególnych hoteli.

— To prawda. Była w Danii w towarzystwie swojego kuzyna Siergieja. Najprawdopodobniej urządzili sobie złodziejską wyprawę. Wiadomo — Finowie wszędzie chodzą z nożami, a Litwini kradną na potęgę. Każdy to wie.

— Prowadziła interesy w swoim kraju, dobrze jej się wiodło. Miała sieć piekarni.

— Kradną wszyscy — i biedni, i bogaci. Chcę tylko powiedzieć, że nikt na świecie nie zdoła udowodnić, że mają cokolwiek wspólnego ze sprawą Bergsøe czy Corfitzena, albo zabójstwem Fensmarka czy tym bardziej Arvidsena. Simona dała nogę, kiedy zrobiło się gorąco. Na miejscu został tylko jej kuzyn i to on wpadł w tarapaty. Wplątał się w wewnętrzne porachunki złodziejskich gangów. Uratowali go jego rodacy mieszkający w Danii i pomogli uciec ze szpitala w Hillerød. Niestety, przeciwnicy i tak go dorwali — w kajucie promu.

— Mówimy wciąż o teorii czy już o praktyce?

Axel Mossman nie odpowiedział. Odwrócił nieznacznie głowę i ponad łóżkiem wyjrzał przez okno.

Długo milczał, jakby na szarym niebie nad Aalborgiem szukał odpowiedzi. Nie ma sprawy, może poczekać. Siedzi sobie wygodnie w czystym łóżku. A lewa ręka i tak chwilowo jest bezużyteczna.

— *Well* — zaczął nieśpiesznie Mossman — Daj mi jeden dobry powód, żeby cię nie przyskrzynić, mówiąc twoim językiem.

— Dobrym, choć pewnie bezużytecznym powodem mógłby być fakt, że jestem niewinny. Zapytam jeszcze raz: to teoria czy praktyka?

— A czy to musi być takie jednoznaczne? Odpowiedź może być na przykład uzależniona od tego, czy dobijemy targu. Margrethe mówi, że wywinęliście się tylko dlatego, że zagroziłeś upublicznieniem kopii jakiegoś kompromitującego

nagrania z udziałem ministra sprawiedliwości. Jeśli rzeczywiście jesteś w posiadaniu takiego nagrania, mógłbyś mi je dyskretnie odstąpić. I wtedy bylibyśmy kwita.

— I kto wtedy ni stąd, ni zowąd zostanie winnym?

— *Well*, nowa wersja mogłaby wyglądać tak: Bergsøe utonął, pływając kajakiem. Takie rzeczy się zdarzają. Nie był przecież już taki młody. *Case closed*. Siergiej Pronko włamał się do Corfitzena, żeby go okraść. A Corfitzen się przestraszył i dostał zawału. Oczywiście znajdziemy w jego domu DNA Rosjanina. *Case closed*. A ponieważ Arvidsen miał coś, czym szantażował parę litewskich złodziei, oczywiście i jego trzeba było sprzątnąć. Strzelby nie znajdziemy, ale to nieistotne. Dwójka złodziei, których należałoby skazać, już nie żyje. *Case closed*. To samo dotyczy Fensmarka, który zjawił się w chacie akurat w chwili, gdy Siergiej znalazł dowody Arvidsena. Siergiej był zmuszony go zabić. I tu dysponujemy nawet narzędziem zbrodni. *Case closed*. Kiedy kuzynostwo miało dobić targu w sprawie skradzionych łupów z jakimiś innymi bandytami nad jeziorem Esrum, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Simona znika, a Siergiej ląduje w szpitalu. Resztę już wiesz. *Case closed*. Pozostaje pytanie: masz to nagranie, żołnierzu, czy blefowałeś?

— W teorii możliwe są obie wersje. A w praktyce? Tu również oba scenariusze mogą się sprawdzić... Kto ośmieli się zaryzykować?

Sięgnął ręką po szklankę wody z szafki obok łóżka. Opróżnił ją kilkoma łykami. W gardle i ustach miał papier ścierny. Pewnie skutek narkozy. Mossman wziął pustą szklankę:

— Nalać ci jeszcze? — spytał.

Pokręcił głową.

— Pomiñałeś jedną osobę, Mossman. Dyrektora z

Hiszpanii, Hannibala Frederiksen.

— Jego nie znam. A gdybym znał, to bym powiedział, że nie ma związku ze sprawą, którą się zajmuję. Zginął w wypadku samochodowym. Z tego co wiem, w Hiszpanii dochodzi do nich nader często. Bądź tak miły i opowiedz mi w najdrobniejszych szczegółach, co za swoje dwadzieścia pięć øre będą mogli zobaczyć ci, którzy obejrzą nagrania z ministrem?

Dał sobie czas do namysłu. Nie zaszkodzi przez chwilę się zastanowić. Już raz ujawnił, co jest na nagraniu — na kilka sekund przed planowaną egzekucją.

— Pod jednym warunkiem.

Axel Mossman tylko skinął i uniósł brew.

— Dokładnie przekażesz ministrowi, co widziałem na nagraniu. I wyjaśnisz mu ponad wszelką wątpliwość, że nagranie automatycznie zostanie rozesłane do redakcji informacyjnych, jeśli co drugi dzień nie wykonam pewnej określonej czynności. I że w związku z tym zagrożenie ujawnieniem tych materiałów będzie stałe.

— Według Margrethe już raz to powiedziałeś — kiedy klęczeliście nad dziurą w lesie.

— A mimo to ruszyli za nami w pościg. I strzelali, żeby zabić.

— To było niemądre, zważywszy na okoliczności.

— Chciałbym powtórzyć moją groźbę. Przekażesz ją swojemu szefowi?

— *Well*, nie omieszkać o tym wspomnieć ministrowi. Pozostaje nadzieja, że po tym twoje ubezpieczenie na życie przybierze nieco bardziej trwałą... formę. Zatem: nagranie.

— Jest ostre. Minister najwyraźniej w chwilach wolnych od zdrowego trybu życia i wypełniania roli idealnego męża i

ojca lubi zabawy z lateksem i ze skórą.

Mossman mruknął. On ciągnął dalej:

— Zarówno minister, jak i Virginija są już w każdym razie dobrze rozgrzani, kiedy rozpoczyna się nagranie. Ona ma na sobie długie, lateksowe kozaki i gorset.

Opowiedział Mossmanowi, jak minister nakłada dziewczynie coś w rodzaju upręży, a do jej ust wpycha knebel. Potem szczegółowo opisuje, co następuje aż do chwili, w której Rosborg wraca do pokoju z byłym ambasadorem Corfitzenem, powtarzającym wielokrotnie: „Coś ty, kurwa, zrobił?”.

Gdy skończył, twarz Axela Mossmana pozostała bez wyrazu. Szef PET milczał przez chwilę, jakby zanurzył się w bezkresnej otchłani domysłów.

— Skąd masz to nagranie? — spytał Mossman, choć nadal wydawał się nieobecny.

— Dowiesz się, jeśli obiecasz, że w zamian powiesz mi o Arvidsenie.

— O Arvidsenie? Jasne, umowa stoi.

— Tego dnia, kiedy razem z Franck śledziliśmy Simoneę Zakalskyte i Siergieja Pronkę w drodze do Kopenhagi... Franck powiedziałem coś innego, ale w rzeczywistości Siergiej Pronko poszedł na dworzec główny zostawić w przechowalni plecak. Z pomocą dobrego znajomego udało mi się późnym wieczorem zakraść na dworzec i przetrząsnąć plecak.

— Oraz zrobić kopię... — Mossman pokiwał głową z uznaniem.

— Tak.

— Albo jest to dobrze pomyślana i skutecznie przeprowadzona akcja, albo jedynie bardzo dobra historia.

— Sam oceń. Teraz Arvidsen.

— Poul Arvidsen był częścią czegoś znacznie większego, o czym i tak zamierzałem ci powiedzieć. Widzisz, Oxen...

Axel Mossman przesunął wzrok z okna z powrotem na białą pościel i jego twarz. Szef PET wbił w niego skupiony wzrok i mówił dalej:

— Od lat szukałem Danehofu. Od bardzo wielu lat.

Najwyraźniej wyraz twarzy go zdradził, skoro Mossman zdecydował się skomentować:

— Nie bądź taki zaskoczony.... Szukałem, choć nie wiedziałem dokładnie, czego szukam. Wiedziałem, że istnieje jakiś krąg, loża, bractwo, albo nazwijmy to strefą wpływów.

— Ale po co szukałeś?

Szef wywiadu zastanawiał się dobrą chwilę, a jego wzrok stał się nieobecny.

— Mój Boże, minęło tyle lat. Wtedy byłem młody. Pracowałem w wydziale zabójstw komendy stołecznej. Trafiała do nas sprawa osiemdziesięciodziewięcioletniego mężczyzny, który został zastrzelony, rzekomo przez włamywacza. Przed śmiercią zdążył napisać na podłodze własną krwią „Danehof”. Sprawcy nigdy nie znaleźliśmy. Ofiara zaś nie była anonimowa. Nazywał się Karl-Erik Ryttinger. Był grubą rybą w duńskim przemyśle ciężkim, bo w tamtych czasach jeszcze coś takiego istniało. Swoją firmę zbudował od zera.

— Ryttinger Jernindustri.

— Dokładnie. Wyjątkowa historia przedsiębiorczości. I z jednoznacznie smutnym zakończeniem. Gdy umarł, miał już pierwsze objawy demencji. Włamywacz zostawił sporo kosztownej biżuterii rodzinnej i sreber. Dziwne, prawda? A kulę umieszczono dokładnie w okolicach serca, co również było dziwne. To było pierwsze zabójstwo, które miałem

wyjaśnić. Może to przez to.

— Więc wtedy zaczęliście sprawdzać przeszłość Ryttingera?

— Oczywiście. Ale niczego nie znaleźliśmy. Danehof zdawał się przynależeć do zamierzchłej przeszłości. Ale jedenaście lat temu to znowu się stało. Mówi ci coś nazwisko Gunnar Gregersen?

— To polityk, prawda? Chyba socjaldemokrata.

— Zgadza się. Zasiadał w parlamentarnej komisji kontroli, która zajmowała się również działalnością wywiadowczą. Gregersen był wschodzącą gwiazdą. Szybki, rzutki, dobrze się prezentował w telewizji. I nagle, wśród tych wszystkich zachwyków, popełnił samobójstwo. Był typem maniakalno-depresyjnym. Któregoś wieczora zadzwoniła do mnie jego żona. Znalazła kopertę zaadresowaną do mnie. Była pijana i bardzo nieszczęśliwa. Powiedziała, że zajrzała do koperty, i bełkotliwym od alkoholu głosem dodała, że chodzi o coś, co się nazywa Danehof, a raczej Danehof Øst. Zanim dotarłem do jej mieszkania, wyskoczyła z okna na piątym piętrze. A w mieszkaniu nie było ani śladu po kopercie.

— I przez te wszystkie lata niczego nie udało ci się znaleźć?

— Niczego konkretnego. Jedynie dyskretne ślady nieskończonej władzy. Nie było więcej zabójstw ani przemocy. Ale w swojej karierze przeżyłem wiele i często widziałem, jak się podejmuje decyzje. I powiedzmy, że nie zawsze rozumiałem ich egzekwowanie i podstawę. Zdarzało mi się dowiadywać rzeczy, których nie powinienem wiedzieć, słyszeć rzeczy, których nie powinienem słyszeć, i widzieć rzeczy, których nie powinienem widzieć. Nie zapominaj, że trochę się obracam w kręgach polityków. To, o czym mówię, to były jedynie *bits and pieces*, przypadkowe skrawki wiedzy napotkane po drodze na przestrzeni wielu lat. Ale

poskładane w całość tworzą efemeryczną mozaikę sfer władzy. Nigdy jednak nie udało mi się znaleźć drzwi prowadzących do środka. Znalazłem jedynie wskazówki, kto był tego częścią.

— Hans-Otto Corfitzen?

Mossman pokiwał wolno głową.

— Tak.

— Sam miałeś wykład w Consilium.

— To akurat był przypadek, zapewniam cię.

— Znalazłeś kolejnych?

— Adwokat Mogens Bergsøe, między innymi. Corfitzen był powodem, dla którego kiedyś, pokrętnymi sposobami, udało mi się zainstalować Arvidsena w charakterze ogrodnika i kierowcy w Nørlund. Jeszcze w AKS Arvidsen dał mi się poznać jako człowiek pracowity i skuteczny. Niestety, z czasem zrobił się wyjątkowo zachłanny. Żądał zapłaty za coś, za co moim zdaniem już otrzymał wynagrodzenie, i stopniowo przestało być jasne, który z nas jest pracodawcą. Czy on był moim kretem w Danehofie? Czy też z czasem stał się kretem Danehofu u mnie? A może lawirował gdzieś pomiędzy i dbał o własny interes: pieniądze? Mówiąc szczerze, nie wiem. Ostatni raz skontaktował się ze mną krótko po śmierci Corfitzena. Chciał mi sprzedać sensacyjne nagranie. Cena wynosiła pięć milionów koron. Kompletnie oszalał. Poprosiłem go o szczegóły, ale więcej mi nie powiedział. A potem nagle już nie żył.

— A może jednak powiedział ci, że to ma związek z ministrem?

— To aksjomat.

— Czyli nie wiedziałeś, że szukał tajemnego pomieszczenia i prowadził rejestr odwiedzin?

— Nie, choć oczywiście na początku coś mi dawał. Na tym polegało jego zadanie. Podsunął mi kilka nazwisk. Kto przychodził i kto wychodził. Ale nie wiem, czy te informacje były prawdziwe. O tym, że minister był w to zamieszany, nie miałem pojęcia. Ani o pozostałej trójce. Choć nie mam wątpliwości, że do kręgu należy jeszcze wielu bardziej lub mniej wpływowych ludzi. I wszyscy zajmują albo zajmowali centralną pozycję w środowisku, w którym funkcjonują na co dzień.

— Ale własnego szefa nie odważysz się podkopać.

— To pytanie czy konstatacja?

W oczach szefa PET dostrzegł błysk gniewu, choć głos nie ujawniał żadnych emocji.

— Raczej to drugie — odparł.

— *Well*, sprawy nie zawsze przedstawiają się tak, jak je widać. Jeśli się chce ścinać drzewa tak potężne, trzeba dysponować odpowiednim sprzętem. I być bardzo ostrożnym. Inaczej łatwo o fatalną pomyłkę. Zważywszy na skuteczność, z jaką Danehof działał do tej pory, zalecałbym najwyższą czujność. Konieczne są stuprocentowo pewne dowody. Jak ci przed chwilą zobrazowałem za pomocą różnych scenariuszy: w tej chwili nie mam nic. Chyba że...

— Grzecznie przekażę ci nagranie. Wtedy Danehof, minister — i ty — znów będziecie w pełni zadowoleni. Ale coś ci powiem: albo to wszystko jest piekielnie dobrze pomyślane i przeprowadzone, albo to tylko naprawdę dobra historia, którą sam wymyśliłeś. Słyszysz echo?

Axel Mossman rozłożył ręce z rezygnacją i prychnął głośno, jakby był o krok od porzucenia myśli, że kiedykolwiek zdoła uczynić swoje stanowisko zrozumiałym dla interlokutora.

— Oxen, jesteś sceptyczny, wiem. Ale... masz oczywiście

ku temu wszelkie powody. Mogę cię jedynie zapewnić, że jest dokładnie tak, jak mówię.

— A ty? Czy *ty* należysz do Danehofu, Mossman? Powiedz, *jesteś* jednym z nich?

Axel Mossman milcząco pokręcił głową.

— Nie.

Kolejny raz sięgnął po szklanekę i wziął łyk wody. Żaden z nich się nie odzywał. Szef PET siedział oparty na krześle z nogą założoną na nogę, jak człowiek, który rzucił na stół ostatnią kartę i teraz wóz albo przewóz. Albo, jako wytrawny gracz, szef PET rzucił tylko jeden z asów, które miał w rękawie. Był zbyt doświadczony, by cokolwiek zdradzało jego stan ducha.

— Jeśli nie jesteś z Danehofem, to z kim jesteś?

Mossman wzruszył ramionami.

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Mimo że mógłbym zniszczyć Rosborga, byłoby nieprzemyślane zrobić to w ten sposób. Wówczas pozbawiłbym się możliwości znalezienia pozostałych. Tu chodzi również o odpowiedni moment.

— Ale ktoś jednak przekazuje informacje. W przeciwnym razie Danehof nie zdołałby tak szybko po sobie posprzątać.

— Sam wielokrotnie informowałem ministra o przebiegu śledztwa. Zarówno w sprawie Bergsøe, jak i Corfitzena. Wyłącznie po to wzywał mnie do ministerstwa. On jest moim bezpośrednim przełożonym.

— Tak, wiem. Ale są jeszcze inne rzeczy. Cała masa istotnych detali. Dlaczego na przykład nasi koledzy w kominiarkach zjawili się w Nørlund akurat wtedy, kiedy znaleźliśmy pomieszczenie? Czy to Franck po nich zadzwoniła, kiedy poszła po drabinę?

— Nie opowiadaj bzdur. Franck jest czysta jak pierwszy śnieg. Bezwzględnie lojalna.

— Więc twoja prawa ręka, Rytter?

— Nie wiedział, że szukacie czegoś na zamku. Nikt o tym nie wiedział. Nie mam najmniejszych powodów, by podejrzewać Ryttera. I nigdy nie miałem.

— Zostajesz więc tylko ty...

— Oxen, kręcimy się w kółko. Ta rozmowa jest niesłychanie trudna.

Mossman nie był w stanie dłużej ukrywać niezadowolenia.

— Ten, który nas gonił do samej szosy... Jestem niemal pewien, że go trafiłem. Znasz kogoś, kto nagle zaniemógł i ma problem z prawym ramieniem albo barkiem?

— Nie. Ani z żadną inną kończyną. Masz to nagranie czy nie? I czy je dostanę, czy nie?

Najwyraźniej dotarli do kresu. Szef PET ponownie odchylił się na krześle i popatrzył mu w oczy. Ostatni apel rozbitka uwięzionego na archipelagu władzy? Czy wilka, któremu cieknie ślina?

— Chcę tylko jednego: spokoju. Spokoju od Danehofu, od PET i reszty świata. Chcę mieć święty spokój. A na razie chcę się zdrzemnąć, jeśli będziesz tak miły...

— *Well*, może innym razem...

Mossman wstał, wyciągnął ogromną łapę i z rezerwą uścisnął mu dłoń. Potem odwrócił się i nieśpiesznie ruszył w stronę drzwi.

— Jeszcze jedna, ostatnia rzecz... — Usiadł na łóżku w chwili, gdy Mossman otwierał drzwi.

— Słucham.

— Nie powinieneś był zabijać mi psa. Naprawdę nie

powinieneś.

— Szybkiego powrotu do zdrowia, Oxen.

Szef PET ukłonił się i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 64.

Pismo było bez skazy. Litery neurotycznie wręcz równe i okrągłe. Hans-Otto Corfitzen, rycerz broniący honoru Danii na wypolerowanych parkietach całego świata, znał się na kaligrafii. I niewątpliwie potrafił się wysłowić, nawet jeśli jego styl był nieco kwiecisty i patetyczny.

Na pierwszej stronie Corfitzen wita nowy rok:

„Niewątpliwie jest w tym pewna ironia losu. Żyjemy w nowoczesnych czasach bujnego rozwoju nowych technologii, a jednak istnienie instytucji rodem ze średniowiecza, jak nasz Danehof, nigdy nie było tak potrzebne jak obecnie. Pilnie potrzeba zarówno jej ducha, jak i działania. Obiecuję, że Danehof i jego zjednoczone siły z północy, południa, wschodu i zachodu będą w tym roku pracować niestrudzenie, aby przywrócić nasz kraj na właściwe tory polityki i moralności”.

Przejrzał arkusze obejmujące okres od Nowego Roku aż do maja. Dwukrotnie przeczytał materiały ze starej aktówki. Któregoś dnia ktoś — ci, którzy błyskawicznie sprzątnęli wszystko z tajnego pomieszczenia Corfitzena — zorientuje się, że czegoś brakuje. I wtedy rozpęta się piekło.

W notatkach z lutego opisano wypadek, o którym już wiedział:

„Dziś, osiemnastego lutego, otrzymałem smutną wiadomość, że Hannibal Frederiksen zginął w wypadku samochodowym w Hiszpanii. Uważamy, że wypadek został zainscenizowany. W chwili zgonu Frederiksen był w drodze na lotnisko, skąd miał odebrać naszego

przedstawiciela.

Mamy najwyraźniej do czynienia z problemem, który może być konsekwencją czynu, jakiego w szale dopuścił się Rosborg (opisanego w październiku zeszłego roku). Sytuację powinniśmy byli omówić z Frederiksenem.

Hannibal Frederiksen (aktywny) uczestniczył w naszych działaniach od trzydziestu jeden lat i był jedną z bardziej znaczących postaci w naszym gronie. Wdowa otrzyma naturalnie roczną pensję...

Cześć jego pamięci”.

Odzyskanie teczki okazało się bułką z masłem. Wystarczyło, że spotkał się z księgową, panią Larsen, w jej biurze na zamku i zapytał ją o kilka rzeczy, które nic go nie obchodziły. Na koniec podziękował i powiedział, że sam trafi do wyjścia. Wychodząc, wstąpił do saloniku z regałem. Z powrotem wsunął teczkę pod bluzę, przekroczył fosę i już — żegnaj, Nørlundzie. Kajsa, pachnąca bzem córka starego ambasadora, wciąż nie wracała z Londynu. Być może nigdy nie wróci.

Kiedy dotarł do marca, znalazł coś arcyciekawego. Omawiano kolejny zgon. Wielokrotnie przeczytał wpis, żeby mieć pewność, że dobrze rozumie. Corfitzen zachował najwyższą dyskrecję. Napisał:

„Dwunastego marca pożegnaliśmy wysoce cenionego członka (biernego) od pięćdziesięciu jeden lat. Dawny dyrektor banku Simon Skovgaard z Kopenhagi zmarł w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat i spoczął na cmentarzu przy Helligåndskirken. Skovgaard wykazywał objawy starczego niedołęstwa i stanowił duże zagrożenie dla bezpieczeństwa. Dlatego z żalem musieliśmy się pożegnać. Ponieważ małżonka Skovgaarda od dawna nie żyje, dalsze środki nie będą już wypłacane. Cześć jego pamięci”.

Nie da się tego zrozumieć inaczej: Danehof skrócił listę swoich biernych członków, ponieważ istniało ryzyko, że stary się wygada w swoim otępieniu.

Przypominało to historię Mossmana o Ryttingerze, starym dyrektorem, którego rzekomo zastrzelił włamywacz przed wieloma laty. Ryttinger według Mossmana też miał oznaki demencji. Zagrożenie dla bezpieczeństwa. Obie historie są do siebie bardzo podobne. Odpowiedź pewnie znajduje się w którymś z tomów zabranych z Nørlund.

W kwietniu zapisano całą masę punktów, głównie dotyczących polityki i związanych najwyraźniej z rozgrywkami wewnątrz rządu:

„Właśnie wygraliśmy batalię o to, by ułatwić wykwalifikowanemu personelowi z zagranicy podejmowanie pracy w Danii i aby ci, którzy zdecydują się wziąć na siebie to brzemie, mogli czerpać z niego znaczące korzyści finansowe. Trzeba zerwać z polityką podatkową, która odbiera obywatelom ochotę do działania. W najbliższych latach chcemy przeznaczyć wszystkie środki na wywołanie politycznego poruszenia w dziedzinie rekordowo wysokich obciążeń podatkowych”.

Przekartkował do maja. Znalazł tam wyczerpujące omówienie śmierci adwokata Mogensa Bergsøe oraz działań zapobiegających temu, co Hans-Otto Corfitzen z coraz większym niepokojem nazywał „odosobnionym zagrożeniem dla Pierwszego Kręgu Północnego, wywołanym nieodżałowaną śmiercią panny Zakalskyte”.

Przeskoczył na koniec i przeczytał ostatnią notatkę sporządzoną przez Corfitzena, zanim „odosobnione zagrożenie” nie dotknęło jego samego:

„Nasza organizacja pracuje na najwyższych obrotach, by zlokalizować zagrożenie. Kiedy zdecydowaliśmy się

na ostateczne rozwiązanie kwestii dwóch pozostałych kobiet, uważałem, że owo ryzyko zostało wyeliminowane. Niestety, myliłem się.

Kiedy piszę te słowa, specjalnie do tego zadania wybrani ludzie patrolują Nørlund. Wyrzucam sobie, że banalna prowokacja okazała się mieć tak daleko idące konsekwencje, i biorę na siebie całą odpowiedzialność.

Gdy cała sprawa będzie za nami, bardzo poważnie rozważę, czy nie pora, by moje miejsce zajął ktoś młodszy”.

Włożył oryginalne, odręcznie zapisane kartki Corfitzena z powrotem do aktówki, a całość umieścił w dużej bąbelkowej kopercie. Napisał na niej adres Muzeum Nyborg z dopiskiem: „Do wiadomości kustosza Maltego Bulbjerga”. Nie podał nadawcy.

Dla historyka specjalizującego się w instytucji Danehofu zawartość tej koperty będzie pewnie jak Święty Graal. Zwłaszcza że Malte Bulbjerg zamierza w przyszłym roku zacząć swoją obszerną historyczną pracę na temat Danehofu.

Łącznie kartki Corfitzena stanowiły krótką opowieść, tyleż wybuchową, co niepełną. Zabójstwo dokonane przez ministra sprawiedliwości jest w niej nazwane jedynie „czynem dokonany w szale”. Z drugiej strony nie włożył do teczki ładunku o największej sile rażenia. Nie byłoby rozsądnie pozwolić, by wybuchł w twarz miłego muzealnika.

Zachował dla siebie trzy kartki aktualizowanej na bieżąco listy obecnych — *czynnych* — dożywotnich członków Danehof Nord. Łącznie piętnaście osób. Sami mężczyźni. Pogrupowani w kręgi: Pierwszy, Drugi i Trzeci — po pięciu członków w każdym.

Druga strona to spis *biernych, emerytowanych* członków oddziału północnego. Ostatnia natomiast zawierała informacje o tych, których organizacja traciła od początku

roku. Poza Frederiksenem i Bergsøe wymieniono tam dwóch mężczyzn: siedemdziesięciodziewięcio-
dziesięciodwuletniego. Pierwszy zapewne zmarł śmiercią naturalną. Drugi to dyrektor banku — temu ktoś pomógł.

Pozbierał dodatkowy plik zapisanych ręcznie stron, które pozwolono mu skopiować na hotelowej kserokopiarce, i razem z listą członków wsunął do drugiej koperty. Napisał na niej adres L.T. Fritsena na Amager. Musiał teraz iść na pocztę i wysłać oba listy.

Musiał również pójść po swoje pieniądze zakopane w walizce w dolinie rzeki. I oczywiście ostatni raz pożegnać się z Mr. White'em.

Na koniec musiał zrobić coś, czego nie mógł dłużej odwlekać. Zadzwoić do Lewy, której obiecał dać znać, gdy czegoś się dowie. Nie istniał sposób na bezbolesne przekazanie wiadomości, że nigdy już nie zobaczy swoich sióstr, Virginii i Simony.

Zanim będzie mógł zostawić to wszystko za sobą, musi też przetrwać jutrzejszą małą uroczystość na komendzie w Aalborgu. Mdlilo go na samą myśl, że znajdzie się wśród tych wszystkich ludzi. Miał jednak szczególny powód, aby mimo wszystko się tam pojawić.

Jutro również pożegna się z Margrethe Franck. W ostatnich latach nikomu nie udało się zbliżyć do niego tak bardzo jak jej. Kiedy się nad tym zastanowił, musiał przyznać, że cieszył się z ich relacji.

Dwie godziny temu rozmawiali przez telefon. Zaproponowała, że po przyjęciu na komendzie pojedzie razem z nim i zamelduje się w Rold Storkro, gdzie on wciąż nie zwolnił swojego pokoju. Będą mogli zjeść dobrą kolację, wypić po lampce wina i po swojemu zakończyć całą sprawę. No i się pożegnać.

Przystał na jej propozycję. Nie mógł inaczej. Choć wpadał w panikę, gdy tylko o tym pomyślał.

Mogliby przy tej okazji wyjaśnić sobie wzajemną grę pozorów i ujawnić skrywane wcześniej cele, ale teraz to przecież nie miało znaczenia, bo ostatecznie wszystko rozegrano według zaakceptowanej ogólnie konwencji.

Wiedział, że Margrethe Franck była starannie dobranym wabikiem bez nogi. Mossman zrozumiał to natychmiast.

Wiadomo: żołnierze i ich ucięte nogi, i traumatyczne przeżycia... Czy można sobie wyobrazić współników, którzy zrozumieliby się lepiej niż ich dwoje?

Taki banał. Choć w którymś momencie szala wagi przechyliła się na jego stronę, niewątpliwie dzięki podejrzanemu zachowaniu Mossmana. A gdy już zawarli pakt, Franck dotrzymała słowa.

Nigdy by nie oskarżył Margrethe Franck, że z niego zakpiła. To ona mogłaby go o coś takiego oskarżyć, bo zdobył kopię nagrania za jej plecami. Ale nigdy by tego nie zrobiła.

Takie były reguły gry.

Rozdział 65.

Niczym fala ciśnienia uderzył w niego brzęczący odgłos dużej grupy ludzi zebranych w jednym miejscu. Siła uderzenia była tak wielka, że niechęć podeszła mu do gardła.

Pokonał ostatnie stopnie i za moment miał się znaleźć w największym pomieszczeniu na komendzie w Aalborgu. Widział już drzwi na końcu korytarza. Bez przerwy się otwierały i ludzie wchodzili lub wychodzili. Ale częściej wchodzili.

— Jesteś taki... milczący. I spięty. Coś się stało?

Margrethe Franck lekko ścisnęła go za prawe ramię. Połknął garść tabletek przeciwbólowych, żeby móc zdjąć temblak, w którym od operacji spoczywało jego lewe ramię. Nie podobało mu się jej zainteresowanie.

— Nie, nic takiego. Tylko... strasznie dużo ludzi. W jednym miejscu. Nie wiem dlaczego, ale źle to na mnie wpływa.

— To stań przy drzwiach, żebyś mógł co jakiś czas wychodzić. — Znow ścisnęła go za ramię. Możliwe, że domyślała się, co się z nim dzieje.

Zgodnie z umową czekała na niego na parkingu. Wyglądała wystrzałowo w spranych dżinsach, wysokich, brązowych kozakach i krótkiej, sięgającej pasa, skórzanej kurtce, także brązowej, postarzonej i z postawionym kołnierzem dla ochrony przed wiatrem. Na jasnych, sterczących włosach miała okulary słoneczne.

Uścisnęła go i pocałowała lekko w policzek. Wydawała się autentycznie zadowolona ze spotkania.

Razem mieli wziąć udział w uroczystości z okazji sześćdziesiątych urodzin komendanta regionu, dogodnie przypadających w piątek.

Zaproszenie dostał od Axela Mossmana. Komendant Max Bøjlesen nadal był nadętym dupkiem, więc osobiście się z nim nie skontaktował.

Mossman twierdził, że Bøjlesen zamierza przy tej okazji, wśród zakąsek i maleńkich kanapek, oficjalnie ogłosić, że sprawa Corfitzena wraz z jej rozlicznymi rozgałęzieniami została rozwiązana, i tym samym zamknąć śledztwo oraz podziękować swoim ludziom, skoro i tak wszyscy będą na miejscu. I to Bøjlesen wyraźnie poprosił szefa PET, żeby zapytał Nielsa Oxena, czy ten nie mógłby również się tam pojawić.

Czyżby Bøjlesen nagle postanowił się pokajać i po tylu latach poprosić o wybaczenie? Czy o to chodzi?

Margrethe Franck otworzyła drzwi i jazgot atakujący go z wszystkich stron nasilił się niewyobrażalnie. Wszedł do środka i natychmiast przykleił się do ściany przy drzwiach. Próbował jakoś zorientować się w sytuacji, ale obrazy migotały mu przed oczami jak w kalejdoskopie.

Buczenie, huk, przekrzykiwanie się, kurz, targowisko. W Gereszku, w Musa Qala, w Kabulu, przez całą wieczność.

Jeden wielki żyjący organizm, tętniący w zapyłonym, rozedrganym powietrzu. Zadaniem niewykonalnym jest objąć go wzrokiem.

► „Brawo 17. Nic podejrzanego, kontynuuję do części zachodniej. Odbiór”.

„Brawo 15, tu również spokojnie, bez odbioru”.◄

Wśród handlarzy, kupujących, wśród mężczyzn, wśród zasłoniętych kobiet, wśród dużych i małych

kończyn oderwanych przez wybuch, zawsze, kurwa, tak wielu czegoś nie ma... ręki, nogi, stopy, rodziny. Tak niewielu przyjaciół, tak wielu niewidzialnych wrogów.

— Jeśli się źle czujesz, to po prostu wyjdź na chwilę. Nie powinieneś się zmuszać. — Margrethe Franck położyła mu dłoń na ramieniu. — Zaraz do ciebie wrócę. Muszę się tylko z kimś przywitać — dodała. Po czym uśmiechnęła się i znikła w ludzkim gąszczu.

Stał przez chwilę oparty plecami o ścianę i zbierał siły. Gorączkowo szukał powodu, dla którego w ogóle się tu znalazł. Znalazł go w głębi sali, przy stole z napojami: szef operacyjny Policyjnej Służby Wywiadowczej Martin Rytter.

Odczekał jeszcze chwilę, zanim uznał, że myśli w pełni jasno, a potem, przedarłszy się przez tłum, dotarł do najbliższego współpracownika Mossmana pogrążonego w rozmowie z dwiema innymi ważnymi osobistościami. Bez skrępowania przerwał im rozmowę, wyciągając do Ryttera rękę.

— Witaj, Rytter — zaczął. — Zatem znów się spotykamy, tym razem w przyjemniejszych okolicznościach.

Uścisnął dłoń szefa operacyjnego, łapiąc jednocześnie lewą ręką prawe ramię mężczyzny, i je również mocno uścisnął. Było to serdeczne powitanie, jak dwóch starych przyjaciół, którzy długo się nie widzieli. Rytter był tym wyraźnie zaskoczony, ale nie dał się zbić z tropu.

On natomiast przekonał się, że pod cienką tkaniną blezera można wyczuć kant — coś równego i twardego. Szeroki pas na ramieniu. Zarówno powyżej, jak i poniżej pasa wyczuł miękką tkaninę i mięśnie. Opatrunek? Ciasny opatrunek na ramieniu Ryttera? I czy przypadkiem Rytter nie jęknął cicho, kiedy mocno ścisnął mu ramię?

Twarz Ryttera zresztą odrobinę się przy tym skrzywiła. Nikt nie mógł tego zauważyć. Chyba że wiedziałby, na co

zwrócić uwagę.

— Dzień dobry, Oxen. Powinienem ci chyba podziękować za owocną współpracę.

Rozluźnił uścisk i miał wrażenie, że na twarzy szefa operacyjnego widać ulgę.

— Nie ma za co.

— W każdym razie udało nam się zamknąć kilka śledztw, choć parę pytań pozostało bez odpowiedzi. Cóż, tym będziemy musieli się zająć w swoim czasie — podsumował Rytter.

— Pewnie tak. Właśnie wychodziłem, ale chciałem ci jeszcze powiedzieć jedną rzecz: nie powinieneś być zabijać mojego psa.

Przygwoździł Ryttera spojrzeniem. Ten, zdziwiony, uniół brwi.

— Twojego psa? Powiedz mi, piłeś coś? A może paliłeś?

Odwrócił się do Ryttera plecami i ruszył w stronę drzwi. Chwilę później jakiś łysy człowieczek z małego podium dokładnie na wprost niego zaczął wygłaszać mowę wychwalającą pod niebiosa dokonania sześćdziesięcioletniego Bøjlesena. Nie słuchał go. Szukał na próżno jasnej głowy Margrethe Franck.

— A niech mnie, witaj, Oxen! — Tuż przy nim stanął komisarz Rasmus Grube.

— Czołem, Grube.

— Jak twój bark? Słyszałem, że...

Grube nie dokończył, bo na podium stanął Bøjlesen. Szef policji złapał umieszczony w statywie mikrofon i przywitał wszystkich, dziękując za miłe słowa. Potem obszernie rozwodził się nad tym, jak to jest mieć sześćdziesiąt lat i wciąż być pełnym zapału i determinacji.

Komisarz w skupieniu słuchał swojego szefa. Oxen natomiast ponownie zajął się wypatrywaniem Franck. Kiedy ponownie spojrzął na gębę Bøjlesena, solenizant mówił akurat:

— Skoro jednak i tak wszyscy się tu dziś zebraliśmy, chciałbym skorzystać z okazji i uczcić zamknięcie jednej z najtrudniejszych spraw ostatnich lat. Mam świadomość, że wyjaśnienie śmierci emerytowanego ambasadora Hansa-Ottona Corfitzena było niezwykle złożone i wymagało ogromnych środków i wielkiego nakładu pracy ze strony wszystkich w naszej organizacji. Chciałbym dlatego gorąco podziękować za wasze zaangażowanie. Nie dalej jak dziś przed południem rozmawiałem przez telefon z ministrem sprawiedliwości Ulrikem Rosborgiem. Prosił, bym wam przekazał pozdrowienia i serdeczne podziękowanie za ciężką pracę. To, że chcę dziś trochę bliżej omówić całe śledztwo, wynika również z faktu, że stanowi ono podręcznikowy przykład tego, jak wiele my, policja, możemy osiągnąć, jeśli tylko zechcemy ze sobą współpracować. Tu, w Aalborgu, nasza współpraca z PET przebiegała bez zarzutu i wszyscy mieli pełną świadomość, że gramy w tej samej drużynie. To jest...

— Pierdolenie. PET o niczym nas nie informowało — mruknął Grube i pokręcił z dezaprobatą głową.

— Dlatego chciałbym podziękować szefowi PET Axelowi Mossmanowi, który jest tu dziś z nami: dziękuję, Axel — podsumował z podium Bøjlesen.

Po krótkiej przerwie solenizant zaczął nowy, nieoczekiwany, wątek:

— Pomógł nam również człowiek, którego nazwalibyśmy chyba pracownikiem kontraktowym i na którego początkowo niesłusznie padło podejrzenie. Miałem zresztą przyjemność przed laty być jego przełożonym, dopóki nie wybrał innej

ścieżki kariery. Zwykle nie mamy w zwyczaju nikogo nagradzać, ale chciałbym zrobić...

Nie wierzył własnym uszom. Docisnął plecy do ściany. Przepchał się za trzema, czterema stojącymi plecami do niego postaciami i wyslizgnął przez otwarte drzwi.

— ...wyjątek w tej konkretnej sprawie. Otóż wybrałem się na zakupy i mam tu kilka butelek dobrego czerwonego wina. Chciałbym, abyś podszedł i je przyjął, byśmy wszyscy mogli...

Biegł korytarzem i po chwili zbiegał ze schodów, przeskakując po trzy stopnie naraz.

— ...cię poznać i ci podziękować. Kochani, oto Niels Oxen. Może powitamy go brawami?

Zbiegał w dół, a z głośników sączył się nosowy popis obłudy i krasomówstwa Bøjlesena.

— Niels, zechcesz do nas podejść? Powiedziano mi, że tu dziś jesteś. Niels? Niels Oxen? Czy ktoś widział Nielsa Oxena?

Rozdział 66.

Zmierzchało, gdy dotarł do końca bocznej drogi i stanął przed skrzyżowaniem z wyblakłym drogowskazem. Usiadł na wzniesieniu na poboczu drogi i zsunął niżej czapkę z daszkiem.

Wieczne słońce złotą powłoką kładło się na polach i wiatrochronach, wyciągając z wszystkiego wydłużone cienie. Był ciepły czerwcowy wieczór. Wiatr, którego silne podmuchy szalały nad Aalborgiem, kiedy wcześniej tego dnia spotkał się z Margrethe Franck na parkingu przed komendą, całkiem ucichł.

Minęło sześć godzin od jego panicznej ucieczki. Rzucił się do niej, pchany strachem przed dużym skupiskiem ludzi, dławiąc się z wściekłości na obłudny spektakl Bøjlesena, w którym miał być statystą. Podłość tego człowieka okazała się większa, niż sądził, że jest możliwe.

Wpadł do pierwszej lepszej taksówki i poprosił jedynie, żeby jak najszybciej odwieźć go z powrotem do zajazdu.

W swoim pokoju w Rold Storkro usiadł przy biurku i spróbował napisać do Franck list. Okazało się, że nie potrafi. Po trzech nieudanych próbach schował długopis do kieszeni i zostawił na blacie jedynie krótkie:

„Droga Margrethe. Wybacz mi”.

Potem wziął plecak zawierający jego ziemski majątek i pieniądze od Mossmana. Drzwi pokoju zostawił uchylone, żeby mogła do niego wejść i znaleźć list.

I wyszedł. Z lewym ramieniem bezpiecznie na temblaku i życiem w stanie niemal nienaruszonym. Ruszył w dół przez

Rold Skov i dalej, ku otwartej przestrzeni, trzymając się najmniejszych dróg, jakie tylko znalazł.

Miał o czym myśleć. Płyta z kopią nagrania, na którym minister zabija kobietę podczas stosunku, znajdowała się obecnie w warsztacie L.T. Fritsena na Amager.

To o automatycznym wysłaniu nagrania do stacji telewizyjnych było blefem. Ale jeśli chce mieć spokój, musi się dowiedzieć, w jaki sposób najszybciej mógłby spełnić swoją groźbę.

Przez wiele dni rozmyślał też o tym, co się nagle stało z Danehof Nord. I gdzie mieściły się Danehof Syd i Danehof Øst. Łącznie czterdziestu pięciu członków rozproszonych po całym kraju. Miał nazwiska piętnastu należących do oddziału północnego. Dlatego bez przerwy dudniło mu w głowie pytanie: *kim* jest pozostałych trzydzieści osób, stanowiących tę dziwną średniowieczną elitę władzy?

Jaki typ człowieka może tu wchodzić w grę? Czy rekrutując nowych członków, sięgali również czasem po najświeższe towary ukryte w głębi regałów? I czy naprawdę żadnemu nie drgnęła powieka chociażby na wieść o smutnym końcu starego, niedołęznego dyrektora banku?

To było zabójstwo z premedytacją. I nie pierwsze w historii organizacji. Zdarzyło się wcześniej zarówno w kontekście ustawy antymonopolowej, jak i wielkiego przecieku, o ile dobrze odczytał roczniki. Jeśli wierzyć Axelowi Mossmanowi, nawet on sam się z tym zetknął. Widział słowo „Danehof” napisane krwią przez starego umierającego człowieka.

To przerażające, pomyślał, że istnieje władza tak wielka, że potrafi wymazać rzeczywistość. I jaką farsą jest świat, w którym ministrowi sprawiedliwości upiekło się to, co zrobił. Jak mogli aż tak się zapędzić?

Ale... z każdym pokonanym kilometrem czuł mimo

wszystko coraz większą ulgę. Teraz był tutaj. Kolejne skrzyżowanie. A rano będzie kolejny dzień. I wtedy koszmarne rzeczywistość wróci do niego, a on znów będzie bezlitośnie świadom, że to, co właśnie robi, nazywa się kontrolowanym wycofaniem. Wróg wciąż pozostaje na swoich pozycjach.

Na najbliższym wiatrochronie przysiadły ptaki. Ich chórny trel rozpływał się w ostatnich promieniach słońca. Na pastwisku leniwie przechadzały się krowy.

Nazwy miast na drogowskazy nic mu nie mówiły.

— No i co ty na to, Mr. White, stary dziadzie. Jak myślisz? W prawo, w lewo czy na wprost?

Nie wiedział, do kogo ma się zwrócić ani dokąd powinien się udać. Wiedział tylko, że znajdował się tak daleko na północy, że jedyną rozsądną opcją było ruszyć na południe.

Epilog

Z wykształcenia jestem dziennikarzem. Być może stąd moje nieprzeparte pragnienie, by wiedzieć, czy fikcja zawiera jakieś elementy prawdy. I gdzie. Zatem dla tych, którzy mają podobnie:

Zamek Nørlund i jego historia są prawdziwe. Choć jego właścicielem nigdy nie był żaden Corfitzen. Zamek jest własnością Fundacji Nørlund.

Krzyż Waleczności — Tapperhedskorset — jest nowym i najwyższym duńskim odznaczeniem wojskowym przyznawanym za akty nadzwyczajnej odwagi. W rzeczywistości po raz pierwszy, i jak dotąd ostatni, odznaczenie zostało przyznane 18 listopada 2011 roku — królowa Małgorzata udekorowała nim sierżanta Caspra Westphalena Mathiesena z Pułku Inżynieryjnego w Skive.

Danehof w Nyborgu istniał naprawdę. Staralem się pokrótce opowiedzieć jego historię. Mimo wyjątkowej i fascynującej władzy, jaką instytucja sprawowała w średniowieczu, zaskakująco mało miejsca poświęca się jej w historii Danii.

Okoliczności śmierci Bo „Bossego” Hansena podczas chorwackiej kontrofensywy są oparte na doniesieniach o Clausie Gamborgu, pierwszym duńskim żołnierzu poległym w otwartej walce w ramach operacji ONZ 4 sierpnia 1995 roku. Gamborg został pośmiertnie odznaczony za odwagę.

Zdecydowałem się akurat w tym miejscu przepleść fikcję z prawdą, by w migawce pokazać prawdziwe i niewyobrażalne okrucieństwo konfliktu na Bałkanach.

Zdarzenia, które doprowadziły do śmierci Gamborga, przez lata były poddawane dyskusji i krytyce, lecz tylko w mojej opowieści powołano komisję do ich zbadania.

Jens Henrik Jensen

Tego samego autora:
Wienerringen, powieść 1997

Trylogia o Kazanskim:
Kællingen i Kraków, powieść 1997
Hofnarren i Murmansk, powieść 1999
Ulven i Banja Luka, powieść 2002

Seria o Ninie Portland:
Økseskibet, powieść 2004
Kulmanden, powieść 2007
Spøgelsesfangen, powieść 2010

Więcej o autorze na stronie: www.jenshenrikjensen.dk

Spis treści

[Rozdział 1.](#)

[Rozdział 2.](#)

[Rozdział 3.](#)

[Rozdział 4.](#)

[Rozdział 5.](#)

[Rozdział 6.](#)

[Rozdział 7.](#)

[Rozdział 8.](#)

[Rozdział 9.](#)

[Rozdział 10.](#)

[Rozdział 11.](#)

[Rozdział 12.](#)

[Rozdział 13.](#)

[Rozdział 14.](#)

[Rozdział 15.](#)

[Rozdział 16.](#)

[Rozdział 17.](#)

[Rozdział 18.](#)

[Rozdział 19.](#)

[Rozdział 20.](#)

[Rozdział 21.](#)

[Rozdział 22.](#)

[Rozdział 23.](#)

[Rozdział 24.](#)

[Rozdział 25.](#)

[Rozdział 26.](#)

[Rozdział 27.](#)

[Rozdział 28.](#)

[Rozdział 29.](#)

[Rozdział 30.](#)

[Rozdział 31.](#)

[Rozdział 32.](#)

[Rozdział 33.](#)

[Rozdział 34.](#)

[Rozdział 35.](#)

[Rozdział 36.](#)

[Rozdział 37.](#)

[Rozdział 38.](#)

[Rozdział 39.](#)

[Rozdział 40.](#)

[Rozdział 41.](#)

[Rozdział 42.](#)

[Rozdział 43.](#)

[Rozdział 44.](#)

[Rozdział 45.](#)

[Rozdział 46.](#)

[Rozdział 47.](#)

[Rozdział 48.](#)

[Rozdział 49.](#)

[Rozdział 50.](#)

[Rozdział 51.](#)

[Rozdział 52.](#)

[Rozdział 53.](#)

[Rozdział 54.](#)

[Rozdział 55.](#)

[Rozdział 56.](#)

[Rozdział 57.](#)

[Rozdział 58.](#)

[Rozdział 59.](#)

[Rozdział 60.](#)

[Rozdział 61.](#)

[Rozdział 62.](#)

[Rozdział 63.](#)

[Rozdział 64.](#)

[Rozdział 65.](#)

[Rozdział 66.](#)

[Epilog](#)